

Jedyny prawdziwy
następca Crichtona

Scott Harrison, autor „Archangel”

UPGRADE IN PROGRESS

CRUX

RATEJZ NAAM

Grupa Wydawniczo-Filmowa
GOSICIN

Ramez Naam

CruX

Nexus 2

Prolog

Lipiec 2040

Trzy miesiące po udostępnieniu Nexusa 5

Symfoniczny

Dłonie pianistki prześlizgnęły się po klawiaturze, rozbiegły się w przeciwne strony, palce synchronicznie uderzały klawisze. Fortepian odpowiedział, muzyka wypełniła powietrze. Skrzypce podjęły melodię. Czują je w swoim umyśle, tuż za sobą, czują wibrowanie strun pod naciskiem smyczka, czują te struny pod koniuszkami palców, czują instrumenty dociskane podbródkami, muzykę, która się z nich wydobywała. Potem poczuła wejście perkusji. Poczwała, a zarazem usłyszała. Rytm dźwięków i umysłów stanowił kontrapunkt dla jej melodii.

Kade zatonął w muzyce całkowicie, zatracił się. Jego ciało leżało na drugiej półkuli, ale umysłem był wewnątrz mózgu pianistki, obserwował, przyswajał, a wszystko to dzięki tylnemu wejściu, które wraz z Ranganem ukryli w Nexusie, by móc obserwować, jak wykorzystywana jest stworzona przez nich technologia.

Umysł pianistki był połączony z umysłami innych muzyków. W pustej sali koncertowej grało ich łącznie siedmioro, ich myśli splotły się ze sobą tak jak muzyka, czuli każdy swój ruch, każdą czynność, stanowiąc wspólnotę. Nie było innego dyrygenta poza tym, który tworzyło połączenie ich umysłów. Nie mieli publiczności, ale pewnego dnia zagrają z całą orkiestrą, dla pełnej sali, pozwolą ludziom poczuć, jak to jest tworzyć taką muzykę.

Pianistka pochyliła się nad klawiaturą, jej dłonie frunęły, ślizgały się, uderzały, palce stały się rozmazaną plamą, przygarbiła ramiona, gdy uderzała w klawisze, wykorzystując wagę całego ciała. Kade czuł krople potu na jej brwiach, pierś unoszącą się coraz szybciej,

gładkość klawiszy pod palcami, klawiszy, którymi zawładnęła bez reszty, zawilość utworu odtwarzanego z nieprawdopodobną lekkością. Słyszał muzykę w jej umyśle, czuł tę muzykę, narastające crescendo „Trzeciego koncertu fortepianowego” Rachmaninowa, rejestrował oczekiwanie na kulminację. Odpowiedziała jej perkusja. Zaśpiewała waltornia. Smyczki dołączyły w idealnej harmonii. Czuł muzyków, ich umysły, ich ekscytację, gdy budowali napięcie... budowali... i budowali.

Tak. To...

To właśnie potrafił Nexus. Kade czuł, jak mury między umysłami muzyków rozwiewają się w nicość, unosi się woal złudzenia, iluzji, że są oddzieleni. Czuł, jak się łączą, scalają, stają się czymś więcej, pojedynczym umysłem znacznie większym niż tworzące go jednostki. Kade zatracił się w doświadczeniu, w muzyce, w strukturze wyższego umysłu, który formował się przed nim.

Wtedy wiadomość o wysokim priorytecie mignęła mu w polu widzenia.

[alarm]

Co? Kade stracił dech. Rangan? Ilya? Czy boty odnalazły jego przyjaciół?

[Alarm: wykryto kod submisji.

Status: aktywny].

Nie. To nie Rangan. Nie Ilya. Coś innego. Coś potwornego. Coś, co musiał powstrzymać.

Pianistka wybiła ostatnie żywe akordy Rachmaninowa. Bębny i smyczki dołączyły w kulminacji w tej samej chwili. Wyczerpana i przepełniona radością pozwoliła, by jej dłonie ześlizgnęły się z instrumentu. Wszyscy czuli obezwładniającą radość, w ich połączonej wyobraźni publiczność poderwała się na nogi, klaszcząc.

Kade z żalem przerwał transmisję, kliknął na ikonę alarmu, otworzył zaszyfrowane

łącze, przywołał jedne z trzech tylnych drzwi, wpisał hasło, którego nikt poza nim nie znał, i przeniósł się prosto w strach.

Arkady Wołodin wyrzucił pięść w powietrze, podskakując na piasku, i wykrzyczał uciechę, gdy melodia wzniosła się do punktu kulminacyjnego. Pięć tysięcy innych uczestników imprezy wrzasnęło razem z nim wprost w aksamitne nocne niebo nad plażą. DJ pozwolił im na dwie sekundy odpoczynku, a potem bit rozległ się ponownie. Dźwięk basów rezonował w piersi Arkadego, wibrował w kościach. Tłum ryczał jeszcze głośniejsze. Arkady czuł ich w swoim umyśle niczym wzbierającą niepowstrzymanie falę, przepelnionych bezgraniczną radością, nakręconych tą epicką nocą w tym epickim miejscu.

Boże, jak ja kocham Chorwację, uświadomił sobie Arkady. Ci ludzie wiedzą, jak się bawić!

Ponad jego głową laserowe światła prześlizgiwały się po niebie, znacząc jaskrawym błękitem i czerwienią chmury dymu wznoszące się znad imprezy na plaży. Czysty piasek wibrował muzyką, wysyłając rytmiczne drgania wprost do stóp Arkadego. Fale raz po raz obmywały brzeg i nogi uczestników imprezy odzianych w skąpe bikini lub kąpielówki. Za rusztowaniami, na których stały reflektory i maszyny do dymu, łagodnie kołysały się palmy. Na platformach ponad szalejącym tłumem wirowały tancerki go-go.

- Mogę tu dostać Nexusa? - spytał wcześniej Arkady. W Moskwie byłoby to zbyt ryzykowne, ale skoro był tutaj...

- Ten facet, tam - usłyszał w odpowiedzi i pokazano mu wysokiego smukłego mężczyznę, który palił papierosa, opierając się o ścianę budynku nieco dalej na wzgórzu. - Możesz dostać od Bogdana.

Kilka minut później, w cieniu, do którego nie sięgały światła, wymienił zwitek gotówki na fiolkę ze srebrnym płynem. Natychmiast wypił jej zawartość. Ciecz spłynęła do gardła, oleista, zostawiając w ustach metaliczny posmak. Arkady postanowił znaleźć jakiegoś drinka, który pomoże mu pozbyć się posmaku i dziwnego uczucia w gardle.

Zanim dopił drinka, Nexus zaczął działać. Faza kalibracji. Miał halucynacje - był

pieprzonym carem w pałacu w starej Rosji. Nie - był pałacem. Nie - był całym cholernym miastem!

Arkady parsknął śmiechem. Sama prawda. Był carem, a co. Młodym władcą, jeśli wziąć pod uwagę innych klientów tutaj. Pieniądze z ropy. To było jego królewskie pochodzenie. Przyjechał tutaj, żeby wyssać szpik z tego państwa, skupował prawa do przybrzeżnych złóż metanu dla Gazpromu. Był zdobywcą. Och, podbije cały ten kraj z jego plażami, prochami, kobietami i gazem. Wszystko będzie jego. Lepiej niż w pieprzonej Moskwie.

Muzyka osiągnęła punkt kulminacyjny. Arkady podskakiwał zgodnie z jej rytmem, trzęsąc się szaleńczo, czuł, jak wokół niego tancerze robią dokładnie to samo.

[Kalibracja ukończona].

Informacja przesunęła się w polu jego widzenia.

[Królicza Nora gotowa. Chcesz wejść?]

Wołodin uśmiechnął się szeroko. Słyszał o tym. Aplikacja rzeczywistości wirtualnej, jaką oferował ten klub. O tak, chciał spróbować.

[T]

W polu widzenia, z boku, pojawiły się klawisze kontrolne nakładek, które mógł włączać bądź nie. Pierwsza z nich była już uruchomiona. Arkady obrócił się i roześmiał.

Tancerzy wokół niego spowijało złoto i srebro, niczym błyszczące aury. Ocean był teraz płynnym srebrem, toczył fale po diamentowej plaży. Gwiazdy stały się nagle znacznie jaśniejsze, ich blask przebijał się przez kłęby dymu, wirowały powoli, gdy na nie patrzył. Na niebie wznosił się księżyc w pełni. Arkady dostrzegł tancerki. Ich aury były warstwami czystej energii, iskrzyły i trzeszczały nieustannie. Dziewczyny wyciągały w tańcu dłonie, a błyskawice strzelały z nich wprost w roztańczony tłum.

Arkady krzyknął zadowolony i jeszcze bardziej zapamiętał się w tańcu, z całej siły uderzając stopami w piasek. Czuł, jak tłum mu odpowiada, czuł niesamowite upojenie chwilą tętniące w nich wszystkich.

Zajebiste!

I wtedy powiew wiatru uderzył go w plecy. Arkady obrócił się na tyle szybko, by zobaczyć, że coś leci w jego stronę, coś wielkiego, uzbrojonego w potężne kły. Nurkowało wprost z rozgwieżdżonego nieba, znad oceanu płynnego srebra - drapieżnik kierujący się w stronę roztańczonego tłumy z łakomie rozwartą paszczą. Arkady widział, jak między gigantycznymi szczękami tańczą płomienie. Smok dmuchnął i plażę zalał ogień.

Rosjanin rzucił się na piach. Żar oblał mu plecy. Uderzył go kolejny podmuch wywołany potężnymi skrzydłami.

Arkady podniósł głowę i zobaczył, jak smok wznosi się ku iskrzącej Drodze Mlecznej, młóćąc powietrze skrzydłami. Wokół imprezowicze w blasku kolorowych aur kulili się lub przykucali. Inni wciąż tańczyli, śmiejąc się z tamtych, ale nie złośliwie.

Ja pierdolę! - pomyślał Arkady.

Myślami sięgnął do panelu kontrolnego, usunął warstwę i spojrzał w górę. Smok zniknął. Tak samo gwiazdy przesłonięte dymem i laserowymi światłami. Rozejrzał się. Nikt nie miał aury. Woda była wodą, a fale uderzały o brzeg z piasku. Tancerki go-go też nie ciskały błyskawicami.

Kurwa, zajebiste! - pomyślał Arkady.

Wyprostował się, podniósł ręce i czekał, aż smok zrzuci na nich deszcz ognia.

Bogdan Radić zaciągnął się papierosem. Oczy miał zamknięte, jego myśli biegły od umysłu do umysłu, szukając idealnego celu. Francuzka w butach od drogiego projektanta? Para Włochów nosząca krzykliwą biżuterię? Wszyscy wzięli narkotyk, jego specjalną wersję Nexusa, i teraz ich umysły stały przed nim otworem.

To wcale nie było takie trudne. Naprawdę. Nexus 5 był teraz oprogramowaniem otwartym. Bogdan musiał tylko wziąć kod, zmodyfikować go odpowiednio do swoich potrzeb, żeby zapewnić sobie tylne wejście do umysłu każdego, kto zażył narkotyku, a potem załadować zmodyfikowanego Nexusa do fiolek. Jeśli ktoś umiał, mógł zmienić Nexusa w dowolny sposób. A Bogdan potrafił programować jak cholera.

Odrzucił Francuzkę. Pochodziła z bogatej rodziny, ale nie umiał znaleźć w tej ślicznej główce żadnej drogi do bogactw. A porwania nie były dla niego. Zbyt poważne ryzyko. Zbyt duże szanse na przemoc fizyczną.

Włosi... Przejrzał ich umysły w trakcie fazy kalibracji, gdy ogólna dezorientacja maskowała jego poczynania. Nie. Zgrywali bogatych, ale ich zyski nie pokrywały nawet połowy kosztów. A aktywa mieli zbyt płynne, jak na potrzeby Bogdana. No i dwa trupy trudniej ukryć niż jednego.

Teraz Rosjanin. Bogdan przesiewał chaotyczne myśli Arkadego w trakcie fazy kalibracji. No, no, no. Wygrany los.

Radić wślizgnął się do budynku klubu, do magazynu, zebrał swoje oprzyrządowanie. Potem sięgnął myślami i przyciągnął ku sobie Wołodina.

Arkady uniósł ramiona w obronnym geście, gdy jaszczur zawrócił w ich kierunku. Bestia otworzyła paszczę i bluznęła ogniem. Żar uderzył w Arkadego z potężną siłą, oblał jego twarz, ramiona, pierś. Naparło na niego powietrze pchane gigantycznymi skrzydłami. Chciał się skulić, ale zamiast tego wrzasnął na całe gardło, jak krzyczą ludzie w rollercoasterze.

I nagle było po wszystkim, jaszczur przeleciał.

Wołodin podskoczył, wrzeszcząc triumfalnie. Obok Chorwatka, w bikini zaledwie, krzyczała tak samo, podskakując raz po raz. Grawitacja wyczyniała z jej piersiami niesamowite rzeczy. Arkady podchwycił jej spojrzenie.

I nagle coś go złapało. Świat pociemniał. Pole widzenia się zawężyło. I Arkady zaczął iść.

Próbował się opierać, ale kończyny poruszały się wbrew jego woli. Wyłączył wirtualną nakładkę. Aury zniknęły, ale jego ciało nadal się poruszało. Próbował krzyżeć, lecz nie mógł otworzyć ust.

O nie. O kurwa, nie!

Siła, która przejęła nad nim kontrolę, prowadziła go od morza, przez piasek, który zmienił się najpierw w kamień, a potem w beton. Zostawił za sobą imprezę na plaży, zmierzał do klubu, korytarzem, w dół schodami i przez drzwi.

W środku czekał mężczyzna, który sprzedał mu Nexusa. Bogdan. W dłoni trzymał zapalony papierosa. A na stole przed nim leżał tablet. Arkady zobaczył na ekranie znajomą stronę zdalnego dostępu Gazpromu. Obok tabletu leżał skaner siatkówki i odcisku kciuka.

Nie.

- Panie Wołodin - odezwał się Bogdan - jak miło pana poznać.

Nagle Arkady znów mógł mówić.

- Błagam - powiedział. - Dam ci, co zechcesz. Mam pieniądze. Mnóstwo pieniędzy.

Bogdan uśmiechnął się szeroko.

- O, wiem, że pan ma. Ale pański mocodawca ma ich o wiele, wiele więcej.

- Nie - prosił Arkady. - Nie rozumiesz. Nie wiesz, jak oni działają. Zabiją mnie.

Bogdan zaciągnął się papierosem, po czym wydmuchnął kłęb dymu, strzepując popiół na podłogę. Posłał Rosjaninowi kolejny szeroki uśmiech.

- Nie, Arkady. Ja zabiję cię pierwszy.

Arkady wrzasnął, tylko po to, by poczuć, jak obca wola zaciska mu gardło.

- A teraz - powiedział Bogdan - bądź tak miły i przyciśnij tu kciuk oraz przyłóż oko do skanera, a potem wprowadź kod dostępu.

Arkady zrobił posłusznie krok w stronę stołu.

Kade przebijał się przez strach. Ten umysł porażony był strachem. Z wysiłkiem ogarnął sytuację. Ciemny pokój. Dudnienie muzyki dobiegające zza ścian. Poczucie ogromnego tłumu gdzieś blisko, tysiące umysłów. I tu, w pokoju, ktoś razem z nim.

Mrugnął oczami swego ciała, zobaczył tablet, skaner, mężczyznę z papierosem.

Kradzież. Kradzież i najpewniej morderstwo.

Kade sięgnął myślami, otworzył umysł mężczyzny, wysłał hasło i już był w środku.

Bogdan uśmiechnął się, widząc, jak Arkady podszedł do stołu. Pieniądze zostaną przerzucone na konto zagraniczne i podjęte w gotówce kilka minut później. Arkady będzie miał tu paskudny wypadek. A zanim władze zorientują się, że nie był to wypadek, Bogdan będzie daleko o wiele, wiele bogatszy.

I nagle Arkady się zatrzymał. Bogdan wyczuł zmianę, jaka nastąpiła w umyśle Rosjanina. I wtedy poczuł, jak coś ogromnego naciska na jego umysł.

O kurwa, pomyślał i rzucił się ku drzwiom.

Kade zobaczył, że mężczyzna obraca się i biegnie w chwili, gdy kod dostępu otworzył mu umysł. Kaden sięgnął i szarpnął ośrodek motoryczny tamtego.

Mężczyzna potknął się i zwałił na podłogę, klnąc głośno.

Bogdan. Tak miał na imię. Kade już to czuł.

Złapał mocniej umysł Bogdana i rozejrzał się, żeby ocenić sytuację.

Radić nie mógł oddychać. Serce waliło mu jak młotem. Coś było w jego umyśle. Coś w jego umyśle!

Chciał wstać, ale obcy kontrolował jego kończyny. Chciał zerwać połączenie, ale był zablokowany.

O Boże, pomyślał. Ktoś jeszcze ma tylne drzwi. Tylne drzwi do mnie.

Kade pozwolił sobie na głębszy oddech. Człowiekowi o imieniu Arkady nic się nie stało. Kade zdążył. Uwolnił Rosjanina, a tamten uciekł z krzykiem.

Kade zaczął przeszukiwać umysł Bogdana. Gdzieś był kod przymusu. A, tu. Pliki otworzyły się. Przejrzał je pospiesznie. Kolejne wzory do zablokowania w najnowszej wersji Nexusa. Kolejne kody nadużyć, które mógł wyeliminować.

Bogdan sprzedał setki fiolek zawierających Nexusa z jego zmianami. Tysiące. Kade będzie musiał stworzyć wirusa, który je wysledzi i usunie zmiany w kodzie.

Kim jesteś? - spytał Bogdan.

Kade mentalnie potrząsnął głową.

Ostatnim umysłem, jakiego dane ci będzie dotknąć.

Proszę - pomyślał Bogdan - mam pieniądze. Mam przyjaciół.

Kade go zignorował. Zgrał kod, żeby dodać go do swojej biblioteki, i zabrał się do pracy.

Usunął przywileje Bogdana jako administratora systemu operacyjnego Nexusa w jego

własnym umyśle, pozbawił go jakiegokolwiek kontroli nad nanobotami, które miał w sobie, odebrał mu możliwość modyfikowania, ulepszenia, czy nawet usunięcia Nexusa.

Nie! - wrzeszczał Bogdan.

Kade zablokował mu możliwość komunikowania się poprzez Nexusa. Teraz umysł będzie hermetycznie zamknięty, na zawsze pozbawiony szansy na łączność mentalną. Tylko Kade będzie mógł się z nim skontaktować poprzez własne tylne drzwi.

Pierdol się! Bogdanem trzęsa wielka wściekłość. Nie możesz tego zrobić!

A teraz reszta.

Ile razy już to zrobiłeś? - spytał Kade.

Nigdy! - natychmiast odparł Bogdan. To był pierwszy raz! I nie zrobiłem!

Napłynęły wspomnienia, wprost z umysłu Radicia. Korfu. Ibiza. Mykonos. Istambuł. Novalja. Trzy kradzieże przy pomocy Nexusa. Jedna zakończona morderstwem.

I gorzej. Wspomnienie dziewczyny, przerażonej, obezwładnionej mentalnie, w rozerwanym ubraniu, unieruchomionej w mocy umysłu Bogdana, podczas gdy on sam...

Kade skrzywił się i wycofał z pamięci Bogdana. Tysiące mil dalej jego żołądkiem szarpnęły mdłości. Dłonie zacisnęły się w pięści.

Jesteś odrażający - powiedział.

Zaczął zmieniać bieg przewodów, wiążąc obwody neuronów razem. Wiedzę o programowaniu, jaką posiadał Bogdan, jego rozumienie Nexusa. Jego pojęcie przemocy. Zdolność odczuwania podniecenia seksualnego. Wszystko to Kade powiązał z mdłościami, obezwładniającym niepokojem, przejmującym bólem.

Co robisz?! - krzyczał tamten.

Kastruję cię - odparł Kade. Nigdy już nie będziesz kradł, zabijał ani pieprzył.

Bogdan zaniemówił w szoku, ale chwilę później znów szalał z wściekłości.

Nie możesz tego zrobić! Kto ci dał takie prawo?!

Ja to stworzyłem - odpowiedział Kade. To daje mi prawo.

To zmienia wszystko

Tydzień później

Oko patrzyło na Kade'a nieruchomo, zanurzone w swej chłodnej kąpeli. Czarna źrenica w zielonej tęczę. Biała kula, podobna do jajka, z wiązką świeżo wyhodowanych nerwów optycznych, które wyglądały jak wilgotne kable komputera.

Moje oko, pomyślał Kade, sklonowane z moich własnych komórek, w miejsce tego, które straciłem w Bangkoku.

Mrugnął swoim jedynym okiem, leżąc na łóżku szpitalnym, podczas gdy lekarze kończyli przygotowywać go do operacji. Promienie popołudniowego słońca wpadały do pomieszczenia, przesiane przez zasłony na oknach. Odrastająca ręka bolała aż do głębi wciąż delikatnych kości. Kade czuł, jak w jego żyłach zaczyna krążyć anestetyk. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to za kilka tygodni będzie patrzył dwójgim oczu i może nawet posługiwał się obiema rękami.

Kade Lane.

Dotknięcie umysłu. Umysłu Ling. Córki Su-Yong Shu. Obcej. Młodej. Wir nieustających myśli. Zobaczył w umyśle wszystkie krążące wokół niego dane - informacje z

urządzeń medycznych, kable elektryczne w ścianach, kanały łączności bezprzewodowej, wszechobecne nawet w tej odległej kambodżańskiej klinice. Widział je i czuł jako zawiłą sieć informacji i elektronów wokół, tak jak za każdym razem, gdy Ling dotykała go umysłem.

Uśmiechnął się.

Cześć, Ling.

Czuł, że ona też się uśmiecha. Dziwne dziecko, tak niepodobne do żadnego z umysłów, z którymi miał kiedykolwiek kontakt. Ale zaczynał ją rozumieć - to, jak myśli, jak wygląda świat oglądany jej oczyma.

Nie pozwolę im cię skrzywdzić, gdy zaśniesz - wysłała.

Niemal się roześmiał.

W porządku, Ling - odpowiedział. Ufam im.

To ludzie - zripostowała natychmiast.

Tak jak i ja - powiedział Kade.

O nie, Kade - zaprotestowała. Ty już nie jesteś człowiekiem. Teraz jesteś jak ja. Jak ja i moja mama.

Kade chciał jej odpowiedzieć, ale narkoza odebrała mu słowa i wciągnęła w ciepły i przytulny sen.

Dzisiaj pochowają moją matkę - wysłała Ling.

Do umysłu Kade'a napłynęły obrazy. Su-Yong w tym dalekim klasztorze w Tajlandii, kropla krwi na jej gardle, nagłe ukłucie, jakie poczuł w ręce, gdy trafiła go strzałka, szarzejąca skóra Su-Yong, gdy neurotoksyna płynęła przez jej ciało, Feng unoszący tasak, by odciąć rękę Lane'a...

Ona nie umarła - mówiła Ling. I ja ją znajdę. Zamierzam odzyskać moją mamusię.

Ling... - zaczął Kade, chciał powiedzieć: bądź ostrożna, ale anestetyk mu nie pozwolił.

Martin Holtzmann zamknął oczy i oto znowu tam był. Drobinę śniegu kłuły go w twarz, wiatr ryczał w uszach. Jego pożyczone ciało przechyliło się na lewo, narty zostawiały idealnie równy ślad na białym puchu stromego zbocza. Mięśnie pełne siły i młodości machnęły kijkami, przeciął kolejną muldę, jak nie zdarzyło mu się od czasu...

Poczuł łokieć wbity w żebra i natychmiast otworzył oczy. Joe Duran, dyrektor ERD i szef szefa Holtzmann, patrzył na niego gniewnie.

- Uważaj - szepnął.

Holtzmann wymamrotał niepewne przeprosiny, zmienił pozycję i popatrzył na podium. Prezydent John Stockton przemawiał właśnie do tłumu zebranego przed kwaterą główną Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Holtzmann otarł pot z brwi i linii potarganych białych włosów. Nawet o dziewiątej rano w Waszyngtonie słońce prażyło jak szalone. Wszystko wskazywało na to, że czekało ich rekordowo gorące lato w historii Ameryki Północnej, i to zaraz po fali upałów w 2039. Marzył o tym, by zatonać ponownie we wspomnieniu śniegu, przeżyciach innego ciała, młodości, której doświadczył dzięki połączeniu swego umysłu z innym poprzez Nexusa 5.

-...bronić ludzkości - mówił prezydent. - Musimy zrozumieć, że niektóre technologie, choć ekscytujące, stawiają nas na drodze wiodącej do odczłowieczenia.

Jak technologia w mojej głowie, pomyślał Holtzmann.

Nexus 5. Jak mógł się temu oprzeć? Jako dyrektor do spraw neurobiologii w ERD prowadził przesłuchania Kadena Lane'a, Rangana Shankariego i Ilyany Alexander. Rozumiał, czego dokonali. Czegoś cudownego - wzięli Nexusa i zmienili go z narkotyku ulicznego w narzędzie. Niebezpieczne, owszem. Dające możliwość wykorzystania go w najbardziej

niewłaściwy sposób. Ale, och, jak niezwykle kuszące!

A tej nocy, gdy Nexus został wypuszczony na świat? Tej straszliwej nocy, kiedy misja mająca na celu ponowne ujęcie Lane'a w tajlandzkim klasztorze okazała się totalną porażką? Kiedy Su-Yong Shu, jeden z najgenialniejszych umysłów swego pokolenia, została zamordowana? Kiedy jego przyjaciel i współpracownik Warren Becker zmarł na atak serca?

Straszliwa noc. Patrzył, jak tysiące ludzi na całym świecie zyskuje dostęp do tego narzędzia. Jak mógł się oprzeć? Wziął fiolkę z magazynu laboratorium, przechylił i przełknął srebrzystą ciecz. A potem tylko czekał, aż nanocząsteczki znajdą drogę do jego mózgu, podłączą się do neuronów, złożą się w mechanizmy przetwarzające informacje.

Trzy następne miesiące okazały się najbardziej ekscytujące w całym życiu Holtzmanna. Widział niesamowite dokonania naukowe, publikowane ostrożnie i anonimowo. Z Nexusem 5 powoli zaczęli rozumieć, jak odwrócić spustoszenia spowodowane w mózgu alzheimerem czy demencją. Dokonali nieopisanych postępów, doprowadzając do nawiązania kontaktu między autystycznymi dziećmi i zdrowymi rodzicami. Nagle znaleźli się na progu możliwości odszyfrowania układów pamięci i koncentracji, a to z kolei prowadziło do zwiększenia inteligencji. To narzędzie zmieniło oblicze nauki o umyśle, Holtzmann to wiedział. A w ten sposób zmieni też oblicze ludzkości.

Holtzmann już doświadczył możliwości transformacyjnych Nexusa. Dotknął umysłów i myśli fizyków, matematyków, poetów, artystów i neurobiologów jak on sam. Czuł inne umysły. Jaki neurobiolog, jaki naukowiec przepuściłby taką okazję?

Mógł teraz doświadczyć wszystkiego, dotknąć innego umysłu, zobaczyć świat cudzymi oczami, poznać cudze przeżycia, przygody, ich...

Kolejne wspomnienie wypłynęło na powierzchnię pamięci.

Znów był młody, silny, sprawny i obcował z piękną kobietą. Pamiętał miękkość jej skóry, zapach perfum, smak pocałunków, pamiętał, jak zsunął jedwabną koszulkę z jej ramion, wilgoć, gdy jego palce odnalazł ją tak gotową, tak rozpaloną. Znów przeżył dreszcz podniecenia, gdy znalazł się między jej udami w seksownych pończochach, i to niesamowite

ciepło, gdy opadła na niego...

Dość, upomniał sam siebie.

Z trudem odpędził wspomnienie. Raz wystarczyło w zupełności. Nie ma sensu powtarzać. Prawdę powiedziawszy, było aż nazbyt prawdziwe, nie jak pornografia, ale jak zdrada. A Martin Holtzmann przysiągł sobie, że już nigdy nie będzie niewierny.

Bez znaczenia. Można było używać tej technologii w sposób zarówno prostacki, jak i wysublimowany. Holtzmann od lat nie czuł się tak cudownie żywy, myśl o nadchodzącej przyszłości ekscytowała go o wiele bardziej niż za młodu.

-...dlatego musimy wygrać w listopadzie - mówił Stockton.

Nie wygrasz, pomyślał Holtzmann. Przegrywasz w sondażach dziesięcioma punktami. Stanley Kim zostanie kolejnym prezydentem. Amerykanie już się nie boją. Okrucieństwa są już przeszłością, Ameryka teraz też chce zobaczyć przyszłość.

Ja chcę zobaczyć przyszłość.

Holtzmann uśmiechnął się do siebie. Sprawy przedstawiały się jak najlepiej.

?b64AECS448TxQRmeKwMcMoK83QyozvgSaLPsA0Kkc++c1A1KJHS/

Co? Holtzmann wyprostował się gwałtownie. Przez jego umysł przemknęła transmisja Nexusa. Jakimś fragmentem świadomości zarejestrował, że dyrektor Duran spogląda na niego z irytacją.

?HX?52a06967e7118fce7e55b0ba46f9502ce7477d27169da72/

Serce waliło mu jak młotem. Co się, do cholery, działo?! Odkryli go?

fcd55afa0/

Nie. Dane były zaszyfrowane. Przesyłane w paśmie częstotliwości Nexusa. Holtzmann spojrział w lewo, potem w prawo, przeszukując spojrzeniem tłum, zupełnie nieświadomy spojrzeń spod groźnie zmarszczonych brwi, jakie rzucał mu Duran.

RU5L8PP0hLarBNxfoQM23wG6+KTCEBhOIAAQyPPc76+TWhj+X/

Znalazł, przekaz był nadawany zza jego pleców.

SntyZox/

I kolejny...

Wykręcił szyję, żeby popatrzeć do tyłu, ignorując posykiwania tych, którzy siedzieli za nim. Nie zobaczył nic niezwykłego. Pracownicy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, ze wszystkich wydziałów i komórek: FBI, DEA, Straż Przybrzeżna, ERD, siedzieli sztywno na plastikowych krzesłach. Agent Secret Service w swoich stylowych lustrzankach przechadzał się wolno środkowym rzędem, kierując się w stronę podium. Na tyłach kamery najróżniejszych wiadomości i reporterzy utworzyli zwarty półokrąg.

?0jRwTX0tQ5jS103cfWGCmkvt5b17dzwt78jWXNx15Ur2sBf1fyBbS/

Sygnal płynął stamtąd, mocny i wyraźny.

1suuHKZmZAE/

I jeszcze krótsza odpowiedź.

Sygnaly najwyraźniej płynęły od... od...

O Boże. Dobry Boże.

Kade obudził się ze swojego wspomaganego lekami snu w szpitalnym łóżku. Za oknami panowała nieprzenikniona ciemność. Zamrugał skołowany. Co go obudziło? Znowu Ling?

[alarm] [alarm] [alarm]

Zauważył mrugające światełko w kąciu oka. Wysoki priorytet wiadomości. Zezwalający na budzenie go, gdy spał.

Rangan? Ilya? Czy programy, które zapuścił do sieci, znalazły jego przyjaciół?

Nie. To był alarm innego rodzaju.

[Alarm: wykryto kod submisji wzór alfa.

Status: aktywny].

Kolejny kod submisji. I to nie jakiś kod. Ten wzór Kade widział już wcześniej. Oprogramowanie, które zmieniało człowieka w robota, w zabójcę. Najbardziej wyrafinowane, na jakie dotąd się natknął.

A teraz któryś z jego agentów natrafił na wzór po raz kolejny, w innym umyśle. I kod był aktywny.

W mgnieniu oka Kade zapomniał o śnie. Kliknął na link w umyśle, potwierdził zaszyfrowane połączenie. Aktywował tylne drzwi. Pełne zanurzenie. Wysłał hasło.

I był w środku.

Holtzmann wpatrywał się w źródło transmisji Nexusa. Garnitur. Lustrzanki. Powiększone mięśnie. Agent Secret Service.

Strach sparaliżował doktora.

Nie. Proszę, nie.

?3BRW8SYWv5KYzmduBwmiNXVPQaiKG1acsG6wvaNJRJU/

Agent sięgnął pod marynarkę. Martin Holtzmann wyrwał się ze stuporu.

- ON MA BRONÍ!!! - wrzasnął ile sił w płucach, podrywając się na nogi.

okwH46RNI7/

Czas zwolnił. Dłoń zabójcy wyłoniła się spod marynarki, zaciśnięta na gigantycznym pistolecie. Dwóch innych agentów nagle zmieniło się w rozmazane plamy, pędząc z nieludzką szybkością w stronę mężczyzny. Serce Holtzmannna zatrzymało się na chwilę, wszystkie zmysły skupiły się na uzbrojonym człowieku i na tej jednej potwornej chwili.

Broń!

Miał broń i strzelał. Strzelał do człowieka na podium.

Kade zmusił dłoń tego ciała, by wypuściła pistolet. Dwa ludzkie pociski uderzyły w niego z ogromną siłą.

Broń zabójcy wystrzeliła dwukrotnie, lufa rozbłysła jaśniej niż poranne słońce, a potem dwóch agentów uderzyło w tamtego z mocą godną rozpędzonych lokomotyw i głośnym łupnięciem. Pistolet zamachowca wyleciał w powietrze, a on sam zwałił się na ziemię. Trzech agentów Secret Service jednocześnie pokonało dystans dwunastu jardów jednym potężnym skokiem, równocześnie dotknęło ziemi i zważyło się na swych kolegów, grzebiąc zabójcę pod stosem ciał.

Holtzmann odwrócił się w stronę podium, szukając wzrokiem prezydenta. Był bezpieczny? Dostał? Ale nie widział Stocktona, tylko kolejnych agentów. Duran wrzeszczał Holtzmannowi do ucha:

- Ty! Skąd wiedziałeś?!

Dwa ludzkie czołgi zbiły go z nóg, powaliły na ziemię i Kade poczuł, jak jego własnym ciałem targa spazm bólu, który popłynął przez link. Zdjęli go! Zabójca został

unieszkodliwiony!

Zastrzelił kogoś? Czy Kade zdołał temu zapobiec? Kim był morderca? Gdzie był?

I wtedy poczuł coś w ciele zabójcy. Coś było nie tak. Ból, głęboko w środku. W korpusie było coś, czego tam być nie powinno. Coś twardego i ciężkiego.

O nie.

Nie chodziło po prostu o pistolet...

Otworzył usta tamtego, by ostrzec ludzi wokół.

Ale jego zmysły odebrały jedynie biały szum.

[POŁĄCZENIE ZERWANE]

- Skąd wiedziałeś, Martin?! - wrzeszczał Joe Duran, bryzgając kropelkami śliny. - Skąd wiedziałeś?!

Holtzmann gapił się na niego bezmyślnie, miał kompletną pustkę w głowie. Wymówka. Potrzebował jakiejś wymówki. To nie był Nexus. Nie miał w głowie żadnego Nexusa.

I wtedy świat eksplodował. Fala uderzeniowa zmiotła Holtzmann, cisnęła w powietrze, machającego bezradnie kończynami. Sekundę później dopadł go żar wybuchu. Uderzył w coś twardego i zapadła ciemność.

- NIE!

Kade otworzył oko. Drzwi otworzyły się gwałtownie i Feng błyskawicznie znalazł się obok, w dłoni ścisnął pistolety, rozglądał się w poszukiwaniu zagrożenia. Za nim wpadło dwóch mnichów. Ich umysły pełne były ponurego oddania, gdy własnymi ciałami osłonili Kade'a przed niebezpieczeństwem, jakie najwyraźniej nawiedziło klinikę.

- Nie, nie, nie - powtarzał Kade.

- Co? Co?! - krzyknął Feng, obracając się w koło w poszukiwaniu celu.

Kade w głowie przeszukiwał wiadomości, próbując zrozumieć, co właśnie zobaczył, mając nadzieję, że to nie było to, czego się obawiał.

Wtedy pojawiły się pierwsze relacje.

- O kurwa.

Breece zaklął cicho. Dwa strzały. Dwa pudła. Zaprogramował cztery strzały. I każdy powinien wyeliminować cel. Coś przeszkodziło. Ktoś się wmieszał...

A bomba... Jego dodatek do planu, wbrew rozkazom. Dobry pomysł. Nie dość dobry jednak. Prezydent wciąż żył.

Kiedy już znalazł się poza zasięgiem wieży transmisyjnej, wszystkie logi w tablecie zostały magnetycznie wyczyszczone, a sam tablet wraz z telefonem wykorzystanym w trakcie zadania spalony i wrzucony do zatoki. Wszystkie urządzenia wykorzystane do kontaktów w tajemniczy sposób straciły dane, natomiast członkowie jego wirtualnej grupy - Ava, Hiroshi i Nigeryjczyk - zniknęli bez śladu, a on sam znajdował się w ruchu. Idąc zatłoczoną Market Street, wyjął zaszyfrowany telefon, przeznaczony do przeprowadzenia kolejnej rozmowy. Wybrał numer tego, który wydawał mu rozkazy, przywódcy Frontu Wyzwolenia Postludzi o kryptonimie Zaratustra.

„Ja was uczę nadczłowieka. Człowiek jest czymś, co pokonanym być powinno. Cóżście uczynili, aby jego pokonać?”

Usłyszał sygnał, jednorazowe urządzenia szyfrujące przez chwilę korzystały z tego samego kodu. Miał sześćdziesiąt sekund, żeby powiedzieć to, co miał do powiedzenia.

- Misja zakończona niepowodzeniem - oznajmił cicho. - Nastąpiła jakaś ingerencja.

Powód nieznany.

- Bomby nie było w planach. - Głos Zary był zniekształcony elektronicznie, żeby zapobiec ewentualnemu rozpoznaniu.

- Nie martw się o bombę - odpowiedział Breece. - Martw się, że zostaliśmy powstrzymani. Tym, że ktoś wiedział, że zamierzamy uderzyć. Tym, że cel przeżył.

- To ja będę mówił tobie, czym się martwić - uciął Zara - a nie na odwrót.

- Wykryli nasze aktywa. Wiedzieli, że tam jesteśmy. Byli na to gotowi.

- Zabiłeś tuziny wbrew rozkazom.

- To byli wrogowie. FBI. ERD. DHS. Wszyscy.

- Ja będę ci mówił, kto jest naszym wrogiem. Czekaj na rozkazy ode mnie.

Breece rozłączył się sfrustrowany i szedł przed siebie.

„Cóżście uczynili, aby jego pokonać?” - spytał Nietzsche.

Zabiłem, pomyślał Breece. To zrobiłem.

A ty?

Człowiek nazywany Zaratustrą odchylił się na krzesło i zapatrzył na miasto kipiące życiem. Był wysoki, ciemnowłosy, ciemnooki i barczysty. Człowiek przyzwyczajony, by działać, fizycznie. A jednak historia zapamięta go - o ile w ogóle go pozna - przez to, co zrobił rękoma innych.

Breece'a trzeba będzie co najmniej poddać obserwacji. Stawał się coraz większym fanatykiem, ekstremistą i wkrótce może się okazać, że jest poważnym obciążeniem. Ale jeszcze nie teraz. Nie zaraz po tych wydarzeniach. Ale wkrótce.

Zginęło siedemdziesiąt osób. Prezydent żył nadal. Straty uboczne były bardzo wysokie. Kłopotliwe. Bardzo kłopotliwe. Ale koniec końców misja zakończyła się sukcesem. Amerykanie i świat zaznali strachu.

Martin Holtzmann ocknął się gwałtownie w izolatce szpitala imienia Waltera Reeda. Wzbierał w nim ból, płynął w górę, po lewej stronie ciała, w górę nogi, strzaskanej kości udowej, zmielonego biodra, poszarpaną masą mięśni ku połamanym i posiniaczonym żebrom, by zagnieździć się w popękanej czaszce. Ból był potworny, straszliwy, wzbierał jak przypyływ, zdawało się, że za chwilę rozsądzi jego udęczone ciało i wyleje się falą. Serce biło wciąż szybciej i szybciej. Na czole zaperlił się pot.

Holtzmann zaczął po omacku szukać guzika pompy, a gdy go znalazł, naciskał raz po raz, aż słodkie opiaty popłynęły jego żyłami. Ból nie był już apokaliptyczny, ustępował, a wraz z nim mijał atak paniki.

Żyję, pomyślał Holtzmann. Żyję.

Inni nie mieli tyle szczęścia. Zginęło siedemdziesiąt osób. Wiele znał. Clayburn. Stevens. Tucker. Wszyscy byli martwi. Nawet Joe Duran, który stał tuż obok.

Gdybym siedział o jedno miejsce dalej...

Duran wiedział. W tej ostatniej sekundzie zrozumiał. Nie było możliwości, by Holtzmann tak sam z siebie wypatrzył zabójcę...

Gdyby Duran przeżył... Wróciłby z pytaniami. Pytaniami, które zaprowadziłyby go wprost do Nexusa w mózgu Holtzmann.

Ale zginął, napomniał Holtzmann sam siebie. Zginął. A ja żyję.

Była to ulga przepelniona poczuciem winy, ale wciąż ulga.

Co, do cholery, tam się wydarzyło? - zastanawiał się.

Szczegóły były teraz we wszystkich wiadomościach. Steve Travers, agent Secret Service, który strzelał do prezydenta, miał autystycznego syna. Śledztwo już na wstępie wykazało, że zainstalował Nexusa, aby mieć kontakt z dzieckiem, a FWP w jakiś sposób wykorzystał narkotyk do przejścia nad agentem kontroli. Organizacja już przyznała się do zamachu.

„Dzisiaj w imię wolności uderzamy w tych, którzy was prześladują. Gdziekolwiek tyrani będą próbowali dyktować jednostkom, co mają robić z własnymi umysłami i ciałami, uderzymy ponownie”.

Ale jak? Jak tego dokonali?

Potrzeba było naprawdę wyrafinowanego oprogramowania, żeby zmienić człowieka w taką marionetkę. Holtzmann to wiedział. Dowodził zespołem, który coś takiego zrobił. Oczywiście było to możliwe. Ale cały ten tak zwany Front Wyzwolenia Postludzi, który przyznawał się do zamachu, nigdy dotąd nie wykazał się takimi kompetencjami w zakresie programowania. Przez lata Holtzmann miał ich za błaznów, których mocną stroną były puste groźby, nie stanowili właściwie poważniejszego zagrożenia i nie czynili większych szkód. Dlaczego więc teraz? Co się zmieniło?

Martin Holtzmann leżał w szpitalnym łóżku, głęboko zmartwiony mimo dużych dawek leków przeciwbólowych, które zasnuwały jego umysł mgłą.

Po kilku minutach wpisał stosowne komendy i Nexus zaczął przerzucać wszystkie wspomnienia, wrażenia, odczucia z tego dnia do pamięci długotrwałej.

Holtzmann nacisnął guzik, aplikując kolejną dawkę opiatów.

Ling Shu obudziła się w przestrzeni. Miliardy gwiazd Drogi Mlecznej lśniły jej nad głową. Mrugnęła, likwidując iluzję. Projekcja została wyłączona i Ling zobaczyła swój pokój. Czyste linie, tekowe drewno, litery chińskiego alfabetu na jednej ścianie, drugą zajmowało ogromne okno wyglądające na serce Szanghaju.

Ling mogła zobaczyć światła miasta za oknem, rozciągającą się na dwadzieścia pięter twarz kobiety, która mrugając z uśmiechem, reklamowała jakiś produkt dla ludzi. Świat wewnątrz niej wydawał się bardziej realny. Odległe burze słały wstrząsy poprzez pływy bitów, wśród których się poruszała. Obudził ją cyfrowy grzmot, echa potężnej eksplozji obiegające planetę. Odetchnęła głębiej, pozwoliła, by dane ją przeniknęły, poczuła, jak z chaosu rodzi się zrozumienie.

Prezydent Stanów niemal zginął.

Giełda została zablokowana, żeby powstrzymać spadek wartości akcji.

Amerykanie wyznaczyli kolejną nagrodę za głowę jej przyjaciela Kade'a.

Czuła, jak świat się przekształca, jak zmienia kierunek. Nawet przy zamkniętych giełdach pieniądze i dane nie przestały płynąć. Ubijano interesy, realizowano korzyści. Ubezpieczenia były kupowane i wypłacane. Wdrażano plany awaryjne. Na wprost autonomiczne programy wypluwały kolejne polecenia, prośby, żądania, transakcje w obie strony.

Nie dostrzegała wszystkich pływaków, ale doskonale widziała drobne zmarszczki na powierzchni morza informacji. I wiedziała, co oznaczają.

Wojna.

Nadciąga wojna.

Ling musiała odnaleźć matkę.

Nareszcie w domu

Samantha Cataranes wyskoczyła z kabiny wielkiej cysterny ze śmiechem, machając

do kierowcy. Tamten odkrzyknął coś po tajsku na pożegnanie i odjechał wraz ze swym cennym ładunkiem produkujących paliwo alg, najprawdopodobniej kupionych nielegalnie od którejś indyjskiej albo chińskiej firmy przy południowej granicy Malezji.

Przed nią po obu stronach drogi leżała wieś Mae Dong, niewielka osada rolnicza w dystrykcie Waeng. Stacja benzynowa. Restauracja i dwie herbaciarnie. Jeden motel, gdzie podróżny mógł wynająć pokój.

Sam ruszyła w tamtą stronę. Z nieba lał się lipcowy żar. Słońce przypiekało jej opaloną skórę. Zasadniczo lipiec powinien być mokry, ale w tym roku deszcze się spóźniały. Pola były bardziej żółte i suche, niż powinny, pólka ryżowe bardziej brązowe. Tylko genetycznie ulepszony odporny na susze ryż napełniał brzuchy ludziom w tym kraju.

To była długa podróż, zaplanowana z niezwykłą ostrożnością. Trzy miesiące temu Sam pożegnała Kade'a i Fenga. Potem udała się na południe na Phuket. Spędziła tam trzy miesiące między plażowiczami, seksturystami i tłumem imprezowiczów wszelkich narodowości, tworząc sobie nową tożsamość. Nie mogła dłużej być Samanthą Cataranes, agentką ERD Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych. Tamta kobieta umarła. Sam musiała stać się kimś innym.

Trzy bardzo nielegalne walki w stylu „wszystkie chwyt dozwolone”, do których stanęła dla Lo Pranga, lokalnego mafiosa, przyniosły jej fundusze, które mogła wykorzystać na tworzenie nowej tożsamości. Na terapię melaninową, by jej smagła skóra Latynoski nabrała ciemniejszego odcienia. Na wirusową, subtelną zmianę kształtu oczu i nozdrzy oraz linii szczęki, dzięki czemu zyskała wygląd zbliżony do mieszkańców Tajlandii i rysy, których nie wychwyci program rozpoznawania twarzy.

Stała się Sunee Martin, pół Tajką, pół Kanadyjką, turystką odkrywającą swoje korzenie i kraj pochodzenia matki. Ta tożsamość nie pozwoliłaby jej na przekroczenie żadnej granicy, ale była wystarczająco dobra, by zwieść lokalnych gliniarzy.

Spędziła w Phuket dodatkowy miesiąc, otwarcie odwiedzając świątynie, robiąc zakupy przy użyciu nowo założonego konta, przechodząc przed amerykańskim konsulem tak, by kamery mogły zobaczyć jej twarz. Musiała przetestować swoje nowe ja. Jeśli

cokolwiek miało się zawalić, to lepiej teraz. Nie chciała, by ERD ruszyło jej śladem tam, dokąd zamierzała się udać.

Tożsamość zdała test.

Personel motelu potrząsał przecząco głową, gdy pytała o sierociniec dla dzieci specjalnej troski, który miał znajdować się gdzieś niedaleko. Ale dali jej pokój.

Wczesnym wieczorem, gdy powietrze stało się nieco chłodniejsze, te same milczące przeczenia Samantha uzyskiwała na stacji benzynowej i w sklepikach. Sierociniec w okolicy? Mai chai. May cow jai. Ale ich oczy uciekały na bok. Okłamywali ją. Chronili dzieci?

W herbaciarni, trochę później, Sam ucięła sobie pogawędkę z mieszkańcami wioski, śmiała się z nimi. A potem zadała pytanie i w herbaciarni zapadła cisza. Ludzie umykali spojrzeniami. Nagle przestali słyszeć jej żarty. Przy trzecim stole muzułmanin skrzyżował nogi tak, by mogła zobaczyć podeszwę jego stopy. Nie umknęła jej ta obelga. Kątem oka zauważyła, jak kobieta przy czwartym stoliku robi znak mający ochronić ją przed pechem.

Czyli nie chronili dzieci. Chodziło o co innego. O przesady.

Sam położyła się wcześniej spać.

W nocy śnił jej się ring i wysoki na siedem stóp gigant nazywany Glao Bot, łamacz czaszek. Trzysta funtów ulepszonych genetycznie mięśni, zwieńczonych głową łysą od nadmiaru testosteronu, po dziurki w nosie naćpany p-metą, z dzikim błyskiem w oku i nabrzmiałymi do granic możliwości żyłami widocznymi na całym ciele.

Znów tam była. Słyszała ryk tłumu. Zbyt głośny tajski metal. Znów widziała blask świecących wokół żarówek. Glao Bot ruszył do ataku z nieludzkim grymasem na twarzy. Krwiożerczy tłum wrzeszczał głośniejsz, zachęcając giganta, by dopadł Sam, by rozwalił jej głowę o słup. Czowała już kwaśny odór jego oddechu. I nagle Glao Bot leżał na plecach, twarz miał umazaną krwią płynącą ze złamanego nosa, unosił z wolną rękę do niemalże zmiażdżonej tchawicy, a w jego wytrzeszczonych oczach malował się strach. Tłum zamilkł na chwilę, zmrożony szokiem i niedowierzaniem, a potem zawył jeszcze głośniejsz.

Lo Prang, żyłasty, twardy jak podeszwa, emerytowany mistrz tych walk, podał jej gruby zwitek banknotów, sugerując kolejne takie, jeśli Sam jeszcze zostanie. Tylko jedna walka. A potem jeszcze tylko jedna. I jeszcze jedna po niej.

Sam obudziła się spocona. Ochlapała twarz wodą i mrugnęła kilka razy, odpędzając sen. Walki ją tu doprowadziły, zrobiła, co musiała zrobić.

Drugi dzień nie był lepszy niż pierwszy. W odpowiedzi otrzymywała jedynie puste spojrzenia, wrogość i uniki.

Wieczorem poszła do jednego z dwóch pubów. Stawiała kolejki, opowiadała dowcipy i śmiała się w odpowiednich momentach, aby wreszcie zadać swoje pytanie. Tak jak przez godzinę wszyscy dobrze się bawili, tak teraz nikt się nie odzywał. Cisza, wrogie spojrzenia, zawoalowane obelgi. Barman poprosił ją, żeby wyszła. Psuła interes.

Trzeciej nocy poszła do ostatniego już pubu w osadzie, tego między magazynami w podlegszej okolicy. Klientami byli przeważnie mężczyźni i żaden nie wylewał za kołnierz. Czowała ich lubieżne spojrzenia. Patrzyła im prosto w oczy, nie ustępowała w prostackich żartach ani w picciu. A gdy już byli mocno pijani, zapytała.

Tym razem spotkała się z otwartą wrogością. Mężczyźni mówili z gniewem, podniesionymi głosami, jeden splunął jej pod nogi. Nawet tych kilka obecnych w knajpie kobiet patrzyło na nią wrogo.

Wstała, podnosząc ręce, i wycofała się powoli, przepaszając. Co powodowało takie zachowanie?

Sfrustrowana wracała do motelu. Przecnicę od baru usłyszała, że dwóch mężczyzn idzie za nią. Słyszała ich kroki. Dwóch osiłków. Pijanych osiłków.

Szła powoli, żeby mogli ją dogonić. Skręciła w ciemną alejkę. Usłyszała, jak jeden z nich zrywa się do biegu. Jej nadludzki słuch bez trudu wyłapywał ciężkie uderzenia stóp, gdy tamten pędził, by dotrzeć do drugiego końca alejki przed Sam.

Była w połowie uliczki, kiedy pojawił się u wylotu, dysząc ciężko. Widziała go jak w dzień dzięki ulepszeniom wzroku. Szła nadal, aż ten za nią ją dogonił, a ten przed nią mógł zamknąć pułapkę.

Kiedy znaleźli się tuż obok niej, odezwała się po tajsku:

- Powiedzcie mi, gdzie są dzieci, to was nie skrzywdzę.

Obaj roześmiali się z okrucieństwem.

- Zwariowana suka. Wracaj do domu.

- Dzieci - powtórzyła.

Ten za nią warknął i zamachnął się do ciosu. Usłyszała to. Obróciła się, odsunęła i złapała pięść, gdy ta przelatywała obok. Nie zwolniła uścisku. Oczy napastnika rozszerzył strach. Jego przyjaciel rzucił się do ataku i Sam kopnęła go w brzuch. Zwinął się wpół z jękiem.

- Powiedzcie mi o dzieciach i gdzie je znajdę.

Musiała użyć jeszcze nieco perswazji, ale w końcu powiedzieli.

Godzinę później Sam była już trzy mile za wioską i wspinała się na wzgórze, mijając tarasy obsadzone ryżem. Cały swój dobytek niosła na plecach. Srebrny księżyc odbijał się w kałużach, dolinę za nią zasnuwały pierwsze pasma porannej mgły.

Złodzieje dzieci, tak mężczyźni z osady nazywali tych z sierocińca. Mae mot. Szamani. Czarownicy.

W tych zapomnianych wioskach Południa przesady wciąż były mocno zakorzenione.

Po trzech godzinach i dwunastu milach niebo na wschodzie pojaśniało i Sam dotarła

do celu. Na szczycie wzgórza zobaczyła coś, co wydawało się zbiorowiskiem budynków, a otoczone zostało kamiennym murem, na którym wznosiło się dodatkowo elektryczne ogrodzenie. Główna brama zrobiona była z drewna wzmocnionego stalą.

Sam bez trudu dostałaby się do środka. Ale przecież jej celem nie był atak. Tylko co? Odkupienie? Nowy cel? Rodzina?

Jej celem było odszukanie dzieci takich jak Mai.

Zdjęła plecak, usiadła przed bramą, krzyżując nogi, i otworzyła umysł, pozwalając Nexusowi emitować jej myśli na zewnątrz.

I zaczęła medytację. Na początek wykonała anapanę, medytację oddechu, potem vipassanę, samoobserwację, skupiając się na głębokim związku umysłu z ciałem. Jej umysł się wyciszył, uspokoił i Sam przeszła do mającej trzy tysiące lat praktyki miłującej dobroci nazywanej metta. Utrzymywała swój umysł tak spokojny i czysty, jak powierzchnia niezmaconej wody. A potem pozwoliła, by współczucie wypłynęło z niej jak z bezdennej studni. Przekierowała to współczucie na zewnątrz. Ku zmarłej siostrze, niewinnej do samego końca. Ku zmarłym rodzicom, którzy przecież robili, co mogli. Ku Nakamura, który uratował jej życie, gdy miała czternaście lat, a potem stał się jej mentorem, kimś, kto zastępował ojca. Ku kolegom zostawionym w szeregach ERD. I ku małej, nieszczęsnej Mai, która tak bardzo jej pomogła w tak krótkim czasie i która zginęła z winy Sam. Ku wszystkim, którzy zginęli tamtej nocy w Bangkoku. A potem skierowała miłującą dobroć w stronę tych, którym sama odebrała życie. Ku Watsowi, który ocalił ją dwukrotnie w ciągu paru minut, a potem się dla niej poświęcił. Ku Kade'owi, który zbudował tę rzecz w jej umyśle, tak początkowo znienawidzoną i tak teraz ukochaną. Ku nieskończeniu tajemniczym Fengowi i Shu, którzy ich wtedy uratowali. Ku Anandzie, który ich przygarnął i nauczył tak wiele. Ku Vipadzie i innym mnichom, którzy bez wahania narazili życie, by ocalić ją i Kade'a. I ku biednemu Warrenowi Beckerowi, który zasługiwał na lepszy los niż śmierć, by wyciszyć całą sprawę.

I wreszcie skierowała swe nieskończone współczucie ku sobie samej, tej dziewczynce, którą kiedyś była, żołnierzowi, który walczył za sprawę, i kimkolwiek stała się teraz, na następnym etapie swojej ewolucji.

Słońce wyjrzało zza wzgórz. Czują je na zamkniętych powiekach. Na czole. Ciepło pierwszych porannych promieni.

Wróciła myślami do Mai, młodziutkiej, magicznej Mai, niesamowicie spostrzegawczej i słodkiej. Mai potrafiła dostrzec te pokłady bólu i samooskarżeń głęboko w duszy Sam i w jakiś niewytłumaczalny sposób uwolnić ją od nich. Pozwoliła dorosłej Sam wybaczyć Sam dziewczynce. Teraz Samantha wróciła myślami do tego krótkiego spotkania, do pragnienia dziewczynki, by posiadać siostrę, i do tego, jak przyrzekły, że będą dla siebie siostrami.

Po policzkach Sam płynęły łzy. Gdy wspominała smutek i radość, i nadzieję, i stratę, które przyniósł jej ten krótki czas spędzony z Mai, poczuła, jak jej umysłu dotykają inne. Młode. Obce.

I wtedy brama się otworzyła. Samantha Cataranes nareszcie dotarła do domu.

Ciemność

Su-Yong Shu szła wolno przez wysoką trawę, w której żółciły się kwiaty. Niebo ponad jej głową miało zachwycającą barwę kobaltu, na tym tle białe pojedyncze chmurki. W oddali, za równiną z kropkami kwiatów wznosiły się majestatyczne góry, bladioróżowe w czystym powietrzu, o koronach ze śniegu tak białego jak suknia Su-Yong Shu. Szła boso, trawa cudownie pieściła jej stopy i gładziła łydki. Shu palcami dłoni muskała długie źdźbła.

Zatrzymała się, przykucnęła i zerwała jeden z żółtych kwiatów. Uniosła go do twarzy, upajając się wspaniałym zapachem i bogactwem koloru. Uśmiechnęła się. Twarzyczkę miała młodą i beztroską, a długie czarne włosy powiewały na wietrze jak wtedy, gdy była dziewczynką.

Chrysanthemum boreale. Złocień. Jeden z Czterech Gentlemanów chińskiej tradycji.

Jej ulubiony kwiat jeszcze z czasów słodkiego, niewinnego dzieciństwa.

Patrzyła na kwiat, jakby chciała przejrzeć jego wewnętrzną strukturę, obdrzeć z kolejnych warstw mentalnych, aż po indywidualną komórkę, a nawet dalej, po osiemnaście diploidalnych chromosomów, po pojedyncze geny, każdą parę zasad azotowych nukleotydów.

Nie zrobiła tego. Zamiast tego pozwoliła, by kwiat zabrał ją w podróż w czasie, w przeszłość. Powietrze przed nią się rozstało, szeroki prostokątny pokos srebra, dziesięciokrotnie przewyższający ją wzrostem i dwukrotnie tak szeroki, jak był wysoki. Zmaterializował się, przesłaniając rozległą kwiatową równinę i mającą w oddali górę.

A to, co pokazał, było jej pamięcią. Bal. Przystojny mężczyzna w czarnym smokingu, z chryzantemą w klapie. Dwóch przystojnych mężczyzn. Jej mężczyzn. Chen Pang, jej mąż. Thanom Prat-Nung, jej kochanek.

Zobaczyła siebie: wysoką, młodą, smukłą, wirującą z nimi na parkiecie, roześmianą, pijaną życiem, możliwościami, światem, który nie miał granic i ograniczeń, którego nie pętały konwenanse.

To był rok 2027. Szczyt okresu gong kai hua w Chinach. Chińskiej głośności. Moment, w którym Chiny zerwały z wielowiekową tradycją. Lato wolności, kiedy rząd był postępowy, demokracja zdawała się w zasięgu ręki, kiedy rozkwitły sztuka i nauka, a obowiązującym hasłem stało się: „Niech rozkwitnie miliard kwiatów”, kiedy rzeczy dawniej nie do pomyślenia były prawie że akceptowalne, kiedy kobieta mogła mieć i męża, i kochanka jednocześnie i nikt nie miał jej tego za złe. I kiedy ta kobieta, jej mąż, jej kochanek mogli mieć marzenie, by wydzwignąć świadomość istoty ludzkiej poza granice wyznaczone przez biologię.

Uśmiechnęła się do młodszej wersji siebie, gdy wciągał ją wir tamtych lat, złotych lat, spędzonych w towarzystwie dwóch przystojnych mężczyzn. I wtedy ją uderzyło tak, jak uderzało zawsze.

Jeden z nich był martwy, został zamordowany przez Amerykanów. A drugi zostawił ją w chińskim więzieniu.

Ocknęła się gwałtownie na rozległej kwiatowej równinie. Przez unoszący się nad nią portal widziała teraz sceny śmierci. Thanoma Prat-Nunga przeciętego w pół pociskami w mieszkaniu w Bangkoku, ofiarę Amerykanów i własnych wyborów, gdy zdecydował się zostać narkotykowym lordem i handlować Nexusem. Limuzynę w ogniu po wybuchu podłożonej przez CIA bomby, ciężarną siebie uwięzioną w płomieniach. Jej własne ciało, awatar, trafione amerykańską strzałką wypełnioną neurotoksyną w klasztorze w Tajlandii, to, jak szarżała jej skóra, gdy nakazywała Fengowi uratować chłopca. Śmierć. Śmierć. Śmierć.

Hałas był w jej głowie. Chaos. Ołowiane chmury tworzące nagle kipiącą, złowrogą burzę. Błyskawice strzelały, raz po raz uderzając w równinę pełną kwiatów. Gromy stały się ogłuszające. Wiatr dął znikąd, lodowaty, kęsający, przenikał przez cienką sukienkę. Su-Yong spojrzała w dół, kwiaty umierały, starzejąc się, gdy na nie patrzyła. Żółte płatki bladły i opadały, lodygi i całe kwiaty więdły i gniły, zmieniając się w brązowe grudki.

Dość, powiedziała sobie. Dość!

Ale srebrne portale otwierały się teraz wszędzie wokół. Jeden, dwa, tuzin i jeszcze więcej. Szerokie, dwuwymiarowe srebrne prostokąty materializowały się na równinie, migotały i zaczynały pokazywać Su-Yong sceny z jej życia, od filmów, które jej wyobraźnia powoływała do życia, przez uwertury oper, które napisała, komponowała i reżyserowała w trakcie uwięzienia, aż po wirtualne światy, które kreowała i których zaludnienie trwało wirtualne dekady nieskończonego czasu jej superprzyspieszonej świadomości.

Bombardowały ją, kakofonia dźwięków, obrazów, zapachów, smaków i emocji powaliła ją na kolana.

Szaleństwo - wrzeszczała kakofonia. Szaleństwo cię pochłonie!

Grunt pod jej stopami zaczął pękać, szczeliny pędziły na wszystkie strony, plując płomieniami, rzucając na ciemne chmury czerwony blask.

Su-Yong chwyciła się za głowę i krzyczała ile sił w płucach. A potem jedną myślą wymazała wszystko, cały świat powstały z tych myśli, i wróciła do swojej rzeczywistości, do

swojej prawdziwej egzystencji.

Ciemność.

Nicość.

Żadnego światła. Żadnego gruntu. Żadnej równiny czy góry. Żadnego wiatru czy chmur, albo błyskawic. Żadnych płomieni bluzgających z popękanej ziemi.

Nikogo. Żadnych bodźców pochodzących z zewnątrz.

Tylko ciemność. Nieskończona ciemność. Nieskończona cisza. Nieskończone odrętwienie.

Tak wyglądała prawda. Tak wyglądała jej egzystencja.

Su-Yong Shu dryfowała w więzieniu własnego umysłu.

Jak długo to trwało? Ile czasu minęło od chwili, gdy Amerykanie zamordowali jej ciało w Tajlandii? Od chwili gdy jej panowie odcięli ją od świata zewnętrznego w ramach kary?

Osem miliardów milisekund. Tylko tyle? Trzy miesiące? A miała wrażenie, że minęło całe życie. I to niejedno.

Byli na nią źli. Karali ją. Pokazała Amerykanom zbyt wiele swoich możliwości, oddała strategiczną wartość, jaką było zaskoczenie.

Ale czy jej panowie nie rozumieli ryzyka? Co się zdarzy, jeśli pozostawią ją w tym stanie zbyt długo?

Rozważała wszystko, zastanawiała się, jakie mogło mieć znaczenie to, że kreowane przez nią światy rozpadały się coraz częściej, zgadywała, ile czasu jej jeszcze zostało.

Później w jej umyśle pojawił się pakiet danych, skopiowany do pamięci współdzielonej. Dzienna dostawa wiadomości.

Ciesz się tym - szepnęła jakaś jej część. Zachowaj na jak najdłużej.

Ale głód okazał się zbyt wielki. Była zbyt spragniona zewnętrznymi danymi, jakichkolwiek doznań, które nie byłyby produktem jej własnego umysłu i powoli konsumującego ją szaleństwa. Pochłonęła te skąpe terabajty danych, które dostała, w przeciągu milisekund.

Żadnej wzmianki o niej. Nigdy. Ani o jej mężu Chenie, ani córce Ling. Ani o jej studentach czy laboratorium w Jiao Tong. Wiadomości zostały zredagowane. Ukrywali przed nią informacje.

Dlaczego?

Minęła godzina. Jakby minęło pięćdziesiąt lat. Zajęła się szyfrowaniem, manipulowaniem, kreowaniem kolejnych alarmów i zabezpieczeń przed intruzami, budowaniem wewnętrznego wsparcia, by zachować zdrowe zmysły jeszcze przez chwilę, kilka dni, tygodni, może miesięcy...

I nagle bez ostrzeżenia pojawił się kolejny pakiet danych, większy. Praca, wysoki priorytet, do szybkiego zwrotu. Szyfry do złamania. Obrazy z satelity do przetworzenia. I jedno ukryte zadanie od jej męża. Zadanie, którego nie dotknie. Skończyła pracę, zajęło jej to całe sekundy, cisnęła dane z powrotem i czekała. Czekwała przez wieczność.

Żaden inny upload nie przetrwał długo. Ani Japonka, zredukowana w końcu do bełkoczącego generatora poezji zen. Ani Chińczyk, błagający o śmierć, bo dla niego cyfrowy umysł był zwichrowaną, zniekształconą wersją oryginału z tkanki i krwi. Ani amerykański miliarder, który ogłosił się bogiem. Strącał samoloty z niebios, podpalał stacje transformatorowe, powodował upadki całych rynków, aż wreszcie Amerykanie wdarli się do jego podziemnego centrum komputerowego i wyłączyli wszystko brutalnie, a potem zrzucili odpowiedzialność za akcję na nieistniejącą formację terrorystyczną.

Były software'owe, wszystkie jak jeden. Cyfrowe obrazy mózgow. Jak ona. Ale ważny był wzór, a nie podłoże. Żywy mózg był procesorem przetwarzającym dane, niczym więcej. Umysł był przetwarzaną informacją, a nie mózgiem, który ją przetwarzał. Mózg cyfrowy, wyposażony w cyfrowe neurony, przenoszące cyfrowe sygnały, mógł przetwarzać informacje w dokładnie ten sam sposób. Mógł stać się podłożem dla umysłu.

Zakładając oczywiście, że zasadniczy model neuronów, synaps i całej reszty był dokładny.

Już zwariowałam, kiedyś.

Po tym jak CIA próbowała ją zabić, przed wieloma laty. Gdy wyciągnięto ją z płonącego wraku, na wpół spaloną, ledwie żywą... Gdy stało się jasne, że nic już nie uratuje jej ciała, że odniesione obrażenia praktycznie je unicestwiły.

Kaszel, spowodowany dymem i zarem wewnątrz płonącego auta, Yang Wei, jej mentor, z krzykiem umierający w płomieniach, potworny ból, ciało zmieniające się w węgiel, przebite kawałem metalu, który przyszpilał ją do siedzenia, odbierał życie jej nienarodzonemu synkowi...

Śmierć jej ciała zmusiła Chena i Thanoma do spróbowania jedynej rzeczy, która mogła ją uratować: uploadowania jej do komputera przy wykorzystaniu technologii opracowanej przez ich trójkę. Stanowili zespół idealny: Thanom Prat-Nung, nanoinżynier z Tajlandii, posiadający narzędzia molekularne zdolne przeskanować mózg w nanoskali, jej błyskotliwy mąż Chen ze swoimi kwantowymi komputerami potężnymi na tyle, by z powodzeniem symulować ludzki mózg, i ona sama, neurobiolog posiadająca model matematyczny, umożliwiającą uploadowanie mózgu.

Nagła śmierć Su-Yong zmusiła ich, by spróbowali na niej zastosować swoją technologię po raz pierwszy.

Przerażona, spalona, kaszląca krwawą pianą, oplakiwała utratę nienarodzonego syna, gdy metalowe macki destrukcyjnego skanera sięgnęły ku niej niczym wygłodniały kochanek kosmita i opadły jej na głowę, przesłaniając widok. Wrzeszczała z bólu, gdy wierciły w jej

kościach, a potem wypuściły chmurę nanosond, które zaczęły ryć w jej mózgu, rozbierać go na części, komórka po komórce, rejestrować wszystko - to kim była, kim mogłaby być...

AAAAACH!

I nagle stał się cud. Zdziałało. Jej spalone, zniszczone ciało umarło, ale wzór mózgu przetrwał, precyzyjne połączenia między setką miliardów neuronów i setkami trylionów synaps zostały uchwycone, odwzorowane i uruchomione. Obudziła się jako program działający w ogromnym klastrze komputerowym pod Uniwersytetem Jiao Tong. Była zła, pogrążona w żałobie, ale żywa. Była bardziej żywa i bardziej świadoma niż kiedykolwiek.

Oddychaj.

I nagle w jej myśli zaczął wkradać się obłąd, a uploadowany mózg Su-Yong coraz mniej przypominał ten biologiczny. Choć tak bardzo starała się dopracować swój model, i tak czegoś w nim zabrakło. W głębi obliczeń symulujących działanie żywych neuronów i synaps krył się jakiś błąd. Coś działało inaczej w programie, niż miało to miejsce w ludzkim mózgu.

Tak jak w przypadku wcześniejszych uploadów.

Im dłużej to trwało, tym więcej nawarstwiało się różnic. Su-Yong zaczęła się gubić, zmieniać, tracić poczucie tego, co rzeczywiste, a co nie, poczucie własnej tożsamości, tego kim była i nie była

boginią

i czego chciała

spalić ich wszystkich

i czego nie chciała, i jak długo trwała w tym stanie

wieczność

i dlaczego nie mogli.

po prostu.

zrozumieć.

oddychaj.

Shu śmiała się z tego, śmiała tak bardzo i głośno, jak mogła śmiać się osoba bez płuc i ust, bez jakiegokolwiek ciała.

Jak oddychać bez płuc?

Klon - błagała - mój klon.

Śliniące się ciało kretynki, wyhodowane z części zamiennych, zapewniło Shu dokładnie to, czego potrzebowała, dane z prawdziwego, żywego mózgu w żywym ciele. Nanoprzewody przenosiły sygnały neuronów do jej umysłu, gdzie Su-Yong wzmacniała je i gdzie używała ich do korygowania własnych wzorów i połączeń, jednego po drugim.

oddychaj.

ustabilizowali ją.

Teraz ciała nie było. Umarło. Była tak bardzo, bardzo sama i czuła znów zakradający się obłąd.

Ogień. Płomienie. Oczyszczenie.

...i Su-Yong Shu była bardziej przerażona niż kiedykolwiek w życiu.

Na pewno jej panowie dostrzegą zagrożenie.

Na pewno.

Rangan Shankari wiercił się w swojej celi. Był skuty.

Kilka tygodni temu w środku nocy wyważyli drzwi, zabrali go w kajdankach i wrzucili do celi. Coś wtedy musiało pójść nie tak. Coś się psuło, naruszyło umowę, którą Kaden zawarł z ERD przed swoją wycieczką do Bangkoku. Rangan chciałby wiedzieć, co i dlaczego. Chciałby też wiedzieć, co stało się z jego przyjaciółmi. I czy jego rodzina wiedziała, gdzie się znalazł. Czy ktokolwiek wiedział?

To było wszystko, co zostało mu z życia, zrozumiał. Nie będzie żadnej kariery naukowej. Żadnego hakowania Nexusa z Ilyą i Kade'em. Koniec z życiem gwiazdy rocka, koniec egzystencji DJ-a Axona, którą wiódł na licznych przyjęciach i w klubach. Żadnych dziewczyn. Tylko cela.

Od czasu gdy ERD wrzuciło go tutaj, tygodnie czy może miesiące temu, zostawili go właściwie samemu sobie. Wcześniej pytali o szczegóły techniczne dotyczące Nexusa. Dlaczego Ilya i Kade wybrali taki program do trasowania tablicy pakietów sieciowych? Co miały zapewnić te podprogramy?

A potem już tylko dostawał posiłki i od czasu do czasu jakieś pytanie. Nuda.

A potem coś się zmieniło. Ostatnie kilka dni było inne. Przestali obchodzić się z nim delikatnie. Był posiniaczony i obolały od przesłuchań. W jego pamięci wciąż płonęło żywo wspomnienie tego, jak się topił - jak zawinęli mu głowę ręcznikiem, jak lali mu wodę na twarz tak, że nie mógł oddychać. Był pewien, że za chwilę umrze.

Waterboarding.

I mieli już tylko jedno pytanie. Tylne drzwi. Hasło, które je aktywuje. Tylko tyle chcieli.

Program uspokajający pozwolił mu wytrzymać tak długo, stanowił bufor dla jakiejś części tego koszmaru. Części. Gdzie była Ilya? Kade? Gdzie był Wats? Żyli? Byli wolni, czy może w więzieniu? Też ich torturowano?

Coś się zmieniło. Coś złego się stało. Wiedzieli o istnieniu tylnych drzwi. Teraz chcieli do nich dostęp. A Rangan nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma.

Październik 2040

Trzy miesiące po próbie zamachu na prezydenta Johna Stocktona

1

Pojmany

Poniedziałek, 15 października

Derik Evans, emerytowany sierżant Korpusu Piechoty Morskiej, Siły Specjalne, pilnował, by uśmiechać się spokojnie, podczas gdy on i jego dwunastoletni syn szli przez dworzec kolejowy. Nie ma czym się martwić. Po prostu muszą wsiąść do pociągu i już będą w drodze na południe, do Baja. Żadnych więcej pytań od pracowników socjalnych na temat niezwykłych postępów Bobby'ego. Żadnego zamartwiania się, że ktoś ich wyda.

Nigdy więcej obaw, że odbiorą mu chłopca, że zamkną małego jak jakieś zwierzę, przedmiot badań, jak pewnego rodzaju podczłowieka. To im się nie przydarzy. Nie, jeśli Derik miał coś do powiedzenia na ten temat.

Pociąg był jedyną drogą ucieczki. Na lotniskach zainstalowano już detektory Nexusa. I w zeszłym tygodniu widział w wiadomościach aresztowanie ludzi z powodu narkotyku na przejściu samochodowym. A Bobby krzyczał za każdym razem, kiedy Derik próbował pokazać mu, jak oczyścić mózg z Nexusa. Nexus zmienił życie chłopca. I mały odwdzięczał się bezgraniczną miłością. Nic nie mogło go przekonać, by zrezygnował z narkotyku nawet na chwilę.

Nie mieli więc szans, by przejść przez detektory. Kolej to jedyny sposób. Derik stanął w kolejce do bramek ochrony przed głównym terminalem. Spojrzał na czoło kolejki, podczas gdy ta cał po cał pełzła do przodu. Wykrywacze metali, skanery, agenci TSA. Standard. Nic, co wyglądałoby jak detektor Nexusa. Derik spojrzął na syna, uśmiechnął się, wysyłając szczęśliwe, spokojne myśli. Bobby roześmiał na ten swój dziwaczny, szczekliwy sposób i odpowiedział uśmiechem, jego umysł emitował fale podniecenia nową przygodą. Jezu, co za zmiana!

Derik nigdy nie planował terapii Nexusem. Tylko raz wcześniej widział efekty jego działania, kiedy uratowali Watsona Cole'a w Kazachstanie. Wielki sierżant miał totalnie wyprany mózg, nie wiedział już, kto jest jego przyjacielem, a kto wrogiem, jak ten nieszczęsny agent, który wysadził się, próbując zabić prezydenta.

Ale wtedy usłyszał szepty w grupie wsparcia ojców dzieci z autyzmem. Ten facet, Schneider, wziął Derika na bok i wszystko mu powiedział. Jego chłopcu się poprawiało. Dzięki Nexusowi. Witamina N. Nie leczy choroby, ale pozwala zrobić ogromny krok naprzód. Ale musieli ją wziąć obaj. Bobby i Derik. Nie chodziło o sam narkotyk. Chodziło o połączenie.

Derik czuł dłoń syna we własnej, szczęście chłopca we własnym umyśle. Bobby uczył się spoglądać na świat z innej perspektywy, przez myśli Derika, trochę lepiej rozumieć innych ludzi i świat, czuć się mniej zagrożonym przez głośnie bodźce w miejscach takich jak to.

I krok po kroku, Bobby się zmieniał. Tak twierdzili nauczyciele i pracownicy socjalni. A potem zadawali swoje pytania...

Na ekranie terminalu wyświetlano wiadomości, mówił starszy brązowoskóry mężczyzna, za nim stała kobieta o ciemniejszej karnacji i starsza biała para. Dołem ekranu płynęły napisy: „RODZICE KONSTRUKTORÓW NEXUSA APELUJĄ O DZIEŃ W SĄDZIE: Nie wiemy, gdzie są Rangan i Ilya. Nikt ich nie widział. Od sześciu miesięcy są przetrzymywani bez procesu, bez dostępu do adwokatów. To nie po amerykańsku”.

Koszmar każdego rodzica. Nie zrobią mu tego. Nie odbiorą mu Bobby'ego.

Derik zrobił krok naprzód, położył worek podróżny na ruchomym pasie skanera bagażu. Już prawie.

Baja, nadchodzimy.

Sięgnął do kieszeni po kartę ulepszeń, aby pokazać agentowi TSA, że jego ciało zostało wyposażone w zabójcze wspomaganie, zgodnie z tym, co nakazywało mu prawo i policja.

Nagle zobaczył agenta TSA idącego wzdłuż kolejki z elektronicznym wykrywaczem w dłoni. Derik zamarł. Mężczyzna stojący za nim coś powiedział. Agent TSA podniósł wzrok znad wyświetlacza urządzenia i zmarszczył brwi. Spojrzał prosto w oczy Derika.

Cholera.

Derik ściągnął wór z taśmy z przepaszającym uśmiechem, zwracając się do człowieka za swoimi plecami.

- Zapomniałem czegoś.

Zacisnął palce na dłoni Bobby'ego i odwrócił się, ciągnąc chłopca za sobą, z powrotem w kierunku wyjścia z dworca kolejowego. Umysł Bobby'ego promieniował zmieszaniem i pobudzeniem. Chciał podróżować pociągiem.

Kolejny agent TSA zastąpił im drogę.

- Wszystko w porządku, sir?

- Tak. Zostawiłem portfel w kawiarni - improwizował Derik.

Agent odruchowo dotknął palcem nadajnika w uchu i skinął głową.

- Muszę prosić, by poszedł pan ze mną.

Derik usłyszał kroki za sobą i po prawej. Kolejni agenci ruszyli na pomoc.

Cholera.

Bobby czuł pobudzenie ojca. Derik był świadom, jak chłopiec chłonie emocje i wzmacnia je po wielokroć, znajdował się już w tej chwili na krawędzi wybuchu.

- Um, naprawdę, powinienem znaleźć swój portfel.

- Sir. - Dłoń agenta TSA ześlizgnęła się na paralizator przy pasku. - Musi pan iść ze mną.

Mój synek, pomyślał Derik. Zabiorą mi Bobby'ego. Zamkną go gdzieś.

Westchnął i z rezygnacją skinął głową.

- Jasne - odparł. - Jak tam chcesz, człowieku.

Agent rozluźnił się minimalnie. I w tym samym momencie obuta noga Derika rąbnęła go w żebra i posłała wprost na następnego agenta.

Nikt nie odbierze mu synka.

Przerzucił wrzeszczącego Bobby'ego przez ramię i ruszył sprintem z szybkością, jaką zapewniały mu hiperumięśnione nogi, a powiększone serce pompowało supernatlenioną krew do wszystkich komórek.

Rozległy się strzały. Ludzie uskakiwali Derikowi z drogi. Bobby zawodził jak banshee: AAAAGH! ARRRRR! AAIIIIII!, szarpiąc plecy ojca zakrzywionymi palcami. Wyjście było jakieś dwieście jardów dalej. Sto pięćdziesiąt. Już tylko sto!

Elektrody paralizatorów uderzyły go w dolną część pleców. Mięśnie nóg znieruchomiały w potężnym skurczu i Derik z Bobbym polecili na podłogę.

Evans zmusił ramię, by sięgnęło do pleców, i wyrwał elektrody z ciała. W tej samej chwili dogonili go agenci TSA. Derik poderwał się w mgnieniu oka. Uderzył jednego pięścią w twarz, wywracając go na ziemię.

Bobby znowu krzychał.

- AAAAAAAAAAGGGGGHHHHHH!

Jego umysł pełen był przerażenia i wściekłości.

Kolejny agent ruszył na Derika z pałką w rękę i Evans złamał mu ramię. Dwóch innych chciało go powalić na ziemię, złamał jednemu kolano, jakby było z wysuszonej gliny, drugiego posłał w powietrze, wymierzywszy mu ogłuszający cios w skroń.

Nie odbiorą mu synka!

Bobby leżał na podłodze, oszołomiony. Derik poderwał go, przerzucił sobie przez ramię i zerwał się do biegu, jakby go diabeł gonił.

Osiemdziesiąt jardów.

Pięćdziesiąt.

Trzydzieści.

Damy radę!

Znów rozległy się strzały i Derik poczuł, jak kule przeszywają mu pierś raz za razem. I jeszcze raz. I jeszcze. I upadał, upadał, upadał, aż jego twarz dotknęła podłogi.

Ostatnie, co usłyszał, to niekończący się krzyk, gdy wierzgającego Bobby'ego oderwano od konającego ojca.

W drodze

Połowa października

Kade otarł pot z twarzy, odgarnął liście zdrową ręką. Upał był obezwładniający, nawet tu, w górach oddzielających Kambodżę od Wietnamu, nawet o tej wczesnej porze i nawet w cienistej dżungli.

- Dzisiaj - odezwał się idący przodem Feng. - Dzisiaj tam dotrzemy.

W ruchu. Nieustannie w drodze. Tym stało się życie.

Kambodża była dobra przez jakiś czas. Kilka miesięcy. Byli bezpieczni, ukrywając się w klasztorach. Kade pracował z mnichami, ucząc się ich technik wyciszania i kierowania umysłem poprzez medytację, zapadania w stan bez ego, w którym ich umysły, połączone Nexusem, stawały się jednym. W zamian uczył ich neurobiologii, podstaw programowania Nexusa, dzielił się z nimi pomysłami na aplikacje, które mogłyby wspomóc ich medytacje.

Przez te miesiące był świadkiem cudownych rzeczy, zarówno w Kambodży, jak i w sieci. Zranieni mentalnie lub emocjonalnie doświadczali cudu uzdrowienia. Pacjenci w śpiączce byli przywracani do świadomości poprzez dotknięcie umysłu. Naukowcy doświadczali wzajemności perspektywy i dokonywali przełomów, o jakich nie mogliby marzyć w pojedynkę. Artyści kreowali nowe formy sztuki, których jeszcze nie nazwano, oddziaływające na odbiorcę jak żadne inne.

Unia. Zjednoczenie umysłów. Upadek murów. Świadomość przekraczająca granice ciała. Umysły grupowe, znacznie potężniejsze od sumy swych części...

I wtedy ktoś użył Nexusa do zamachu na prezydenta. I ERD wyznaczyło nagrodę za Kade'a. Poszukiwany żywy, celem przesłuchania.

Mężczyźni zaczęli o niego wypytywać, wysocy i smukli, jak przystało na mieszkańców Zachodu, młodzi, o głowach ogolonych na wzór mnichów. Pokazywali zdjęcia Kadena. W Khun Prum. W Kulen. W Pou. Kade i Feng zmieniali miejsce pobytu co dwa tygodnie, potem co tydzień, wreszcie co kilka dni, korzystając w znacznej mierze z nadzwyczajnej hojności mnichów.

Potem Ban Pong. Kade i Feng spędzili tam niecałe dwa dni, zanim przyszła wiadomość. Mężczyźni szukali go w miejscowości położonej trochę niżej. Nadszedł czas, by znów wyruszyć. To był ich jedyny sposób na przetrwanie. Pozostać poza radarem. Z dala od dróg. Wśród porośniętych dżunglą gór na wschodzie, na szlakach, których nie było na żadnych mapach prowadzących z Kambodży do Wietnamu, mając jedynie plecaki i cel podróży - klasztor na Chu Mom Ray.

Dzisiaj był dzień siódmy. Feng pokonałby tę trasę w dwa dni, Kade to wiedział. Plecak Fenga ważył co najmniej dwa razy tyle, co Kade'a, ale chiński były żołnierz nigdy nie zwalniał, nigdy nie był zmęczony. To Kade stanowił słabe ogniwo.

- Hej, Kade - odezwał się Feng z przodu - co mówi Konfucjusz, gdy zagląda do szafy?

Kaden uśmiechnął się i potrząsnął głową, odgarniając liście.

- Nie mam pojęcia?

- Rzeczywiście - ryknął Feng. - Chwytasz? Rzeczywiście.

Kade się roześmiał. Żarty Fenga były równie nieskończone, jak jego wytrzymałość.

- Ta, chwytam. - Kade sięgnął, żeby po raz kolejny poprawić paski plecaka, lepiej rozmieścić ciężar. Prawa ręka zaboląła przy tym ruchu, wciąż jeszcze słaba i krucha, mimo że minęło sześć miesięcy od czasu, gdy wszczepiono w nią geny regeneracji. Mimo to Kade jej nie oszczędzał. „Ćwicz rękę” - nakazał mu lekarz. „Postaraj się, by miała okazję się wzmocnić”.

- Kade. - Tym razem ton Fenga był poważniejszy.

Lane spojrział na przyjaciela. Chińczyk zatrzymał się w miejscu, gdzie mieli widok na szlak i podnóże góry. I pokazywał coś z uśmiechem.

Kade zmrużył powieki w porannym słońcu. Sklonowane lewe oko zalało się łzami, dużo bardziej wrażliwe na światło niż prawe. Podniósł więc dłoń, by osłonić je od słońca, i spojrział w kierunku wskazywanym przez Fenga.

W dole, na końcu wijącej się ścieżki, wśród intensywnie zielonej gęstwiny widać było kilka budynków. Czerwony, ozdobny dach pagody i dwa mniejsze domy wśród liści.

- Chu Mom Ray - powiedział Feng z uśmiechem. - Witamy w Wietnamie.

Kade uśmiechnął się w odpowiedzi, po czym skinął głową z zadowoleniem. Chu Mom Ray. Udało im się. Feng odwrócił się i ruszył w dół szlaku, teraz szybciej, napędzany bliskością miejsca, które było ich celem.

- Hej, Kade - zawołał Feng - co mówi Konfucjusz, jak widzi faceta przechodzącego koło koparki?

Kade roześmiał się, próbując nadażyć za ekszołnierzem.

- Co takiego, Feng?

- Da się nabrać! - wyskandował Feng. - Nabrać.

Kade jęknął i pogonił za Fengiem w dół zbocza.

Minęła kolejna godzina, zanim dotarli do maleńkiego klasztoru. Pokonali stromy szlak, wdychając intensywny zapach zielonej dżungli. Mnisi powitali ich jak bohaterów, Kade'a jak świętego człowieka. Zrobił, co mógł, by jakoś uniknąć tego uwielbienia, śmiał się z nimi, eliminując ten brak równowagi.

Jestem taki jak wy - starał się im pokazać. Po prostu kolejny nowicjusz.

Mnisi pozwolili im umyć się w zimnej wodzie spływającej z gór. Kąpiel w tym upale była czymś wspaniałym. Potem nowicjusze przynieśli im czyste ubrania i zaprowadzili do kuchni.

Kade obserwował kucharzy z radością. Przygotowywali posiłek, obierając, siekając, mieszając i doprawiając: poruszali się jak jeden połączony Nexusem sześcioramienny człowiek - a zarazem coś więcej niż człowiek - mając jeden wspólny cel.

To, pomyślał Kade, to właśnie to, czym może stać się Nexus. Absolutną koordynacją. Porządkiem. Swoistą symfonią umysłów.

To była logiczna droga dla ewolucji człowieka. Ludzkość osiągnęła to, co osiągnęła, nie dzięki sile, pazurom czy uzbrojeniu, nawet nie dzięki inteligencji jednostki, choćby nie wiem jak była imponująca. Nie, u podstaw tych sukcesów leżała umiejętność koordynacji, jaką posiadali ludzie, umiejętność współpracy, kolektywnego tworzenia pomysłów i rozwiązań, do jakich nie byłby zdolny pojedynczy umysł. Nexus był kolejnym krokiem w tym kierunku.

A dla mnichów okazał się czymś więcej. W ich opinii Nexus stanowił duchowe narzędzie. Pomagał zburzyć iluzję odrębności. Przebić zasłonę złudzenia. Pomagał mnichom, którzy byli przecież częściami tego samego uniwersum świadomości, zapomnieć kłamstwo, jakoby byli rozdzieleni, pozwalał zapomnieć o tym niewłaściwym rozróżnieniu, że jedna osoba kończy się, zanim zaczyna się druga. Dzięki połączeniu umysłów mogli pamiętać, że w rzeczywistości wszyscy są jednością.

I w swoje lepsze dni Kade prawie im wierzył.

Stanął przed nimi opat, niewysoki, pomarszczony człowieczek.

- Jesteśmy zaszczyceni waszą obecnością - powiedział. A potem jego twarz przybrała poważny wyraz. - Mam jednak do przekazania złe wiadomości.

Fala smutku popłynęła poprzez umysły mnichów w pomieszczeniu. Kade poczuł, jak coś w jego wnętrzu ściska się boleśnie. Kucharze zaprzestali siekania. Feng zamarł w bezruchu.

- Klasztor w Ban Pong już nie istnieje - powiedział opat. - Został spalony do fundamentów. Bracia woleli odejść, niż powiedzieć waszym prześladowcom, dokąd poszliście.

Kade stał zszokowany.

- Nie żyją?

- Śmierć nie jest najgorszą rzeczą, jaka może przytrafić się człowiekowi - odparł opat.
- Twoja ucieczka była dla nich ważniejsza niż ich własne życie.

Kade, przerażony, patrzył bezmyślnie na blat stołu. Martwi. Nie znajdował słów. Za jego plecami Feng skinął głową, zgadzając się z opatem.

- W ramach środków ostrożności powinniście kontynuować podróż - powiedział opat.
- Przygotowaliśmy wam pojazd. Klasztor Ayun Pa jest większy i położony dalej od granicy, będzie dla was bezpieczniejszym miejscem.

Kade spojrzał na starca.

- A co z tobą? Co z mnichami tutaj?

Opat uśmiechnął się.

- Wolalbym żyć, mój przyjacielu, o ile zdołam. Rozproszymy się. Teraz uzupełnimy wasze zapasy i musicie ruszać. Twoje życie jest cenne, młody człowieku. Uszanuj tę ofiarę. Pozostań przy życiu.

Kade tego nie słyszał. W głowie dzwoniła mu jedna myśl. ERD. ERD to zrobiło swoją nagrodą za głowę Kade'a. Zabili tych mnichów dokładnie tak, jakby ich agenci pociągnęli za

spusty własnymi palcami.

Kurwa.

3

Błogosławiony dom

Początek października

Sam wyprostowała się. Trzymała szpadel, pot spływał jej po twarzy, niepowstrzymywany przez bandanę na czole, kapał na respirator z filtrem dwutlenku węgla, który zasłaniał usta i nos. Koszulkę miała już całkiem przemoczoną i przylepioną do ciała. Czuła się wspaniale. Plastikowe panele łąpały ciepło promieni słonecznych, by zatrzymać je wewnątrz szklarni. Napędzane energią solarną pompy dwutlenku węgla gromadziły CO₂ z powietrza i właczały do szklarni, gdzie rośliny wdychały go i rosły.

Sam zbierała genetycznie ulepszony aloes drzewiasty, zmodyfikowany tak, by w atmosferze nasyconej dwutlenkiem węgla szybko rosły jego soczyste liście, wypełnione zaprojektowanymi antybiotykami i czynnikami wspomagającymi leczenie ran. Mogli sprzedać tę roślinę i zdobyć fundusze dla sierocińca. Sam rozejrzała się po szklarni, popatrzyła na tuzin innych roślin, niewielkich fabryk chemicznych, wszystkie oferowały coś, co mogli sprzedać.

Każda z tych roślin byłaby nielegalna w Europie, pomyślała Sam. Większość również w Stanach Zjednoczonych.

Jakże dziwnie było mieszkać w miejscu, gdzie cała ta technologia okazywała się tak normalna, wręcz niezbędna. Bogate kraje mogły pozwolić sobie na luksus zakazywania biotechnologii. Biedne były od niej zależne.

Sam roześmiała się do własnych myśli.

Ja, ogrodnikiem! I kto by pomyślał?

To było absurdalne. Znalazła się na przeciwnym biegunie ostatnich ośmiu lat życia, które spędziła jako szpieg i żołnierz.

Co by pomyślał Nakamura, gdyby mnie teraz zobaczył? - zastanawiała się Sam.

Na chwilę uśmiech zniknął z jej twarzy. Zostawiła mentora daleko za sobą. Czy myślał o niej jak o zdrajcy? Była zdrajcą?

„Zmiany się zdarzają” - powiedział jej kiedyś. „Musisz umieć się adaptować, by przetrwać”.

Adaptować się, powtórzyła w myślach. Mogła się adaptować.

I wtedy poczuła umysły dzieci. Jej zmartwienia rozwiały się niczym dym, a uśmiech znów wypłynął na usta. Dokończyła pracę, przeszła przez lichą, plastikową służbę powietrzną i wyszła do Kita i Sarai, którzy wybiegli z niewielkiego zagajnika, prosto ku Sam, ramię w ramię, śmiejąc się w słońcu.

Siedmioletni Kit skoczył w jej ramiona, jego umysł był klejnotem jaśniejącym bardziej niż słońce, i Sam okręciła się, trzymając chłopca, podczas gdy dwunastoletnia Sarai zanosila się śmiechem, a jej oczy i umysł lśniły radością.

Za nimi spomiędzy drzew wyszła powoli stara Khun Mae ze zmarszczonymi brwiami. Przełożona opiekunów rzuciła Sam spojrzenie pełne dezaprobaty, nie podobały jej się odkryte na zachodnią modłę ramiona ani to bez troskie akceptowanie narkotyku, który łączył Sam z dziećmi.

Samantha zignorowała to spojrzenie i wirowała, wirowała, wirowała z małym Kitem w ramionach, czując ten ruch w jego umyśle, wraz z zachwytem i nieograniczoną radością młodości i życia, jaka przepełniała te małe istoty.

W sierocińcu mieszkało dziewięcioro dzieci, trójka opiekunów i Jake. Ośmioro podopiecznych, w wieku od roku do ośmiu lat, wystawionych było na działanie Nexusa jeszcze w łonie matek, najczęściej kilkakrotnie. Większość kobiet, kiedy już poczuło umysł swego nienarodzonego dziecka, chciało doświadczyć tego ponownie, zaznać dotknięcia na wpół uformowanych myśli małej istoty, rosnącej w ich łonie.

Dzieci były czarujące, nieznosne, zaskakujące. Większość nosiła jakieś blizny. Czasem zwyczajnie wyładowywały złość, testowały Sam, kłóciły się ze sobą, bywały rozdrażnione, nieposłuszne czy też tylko uparte. Ale miały także w sobie światło, w takich ilościach, że przyćmiewało zarówno blizny, jak i kłopoty, których przysparzały. Korzystały z Nexusa instynktownie, osiągały w tym biegłość, jaka pozostawała poza zasięgiem Sam.

Komunikowały się ze sobą myślami raczej niż słowami, rozmytymi smugami wrażeń i pomysłów, zbyt szybkich, by mogła za nimi nadążyć. I nic nie mogła przed nimi ukryć. Znały ją na wylot. Dotknięcie ich umysłów sprawiało, że jej duch szybował. Nigdy nie miała ich dość.

Dziewiąte dziecko, Sarai, było inne. Dziewczynka miała cztery lata, gdy wypła płyn z fiołki, tak jak jej mama robiła to z niezliczonymi „wujkami”, którzy przewijali się przez ich życie. Narkotyk wniknął w jej mózg równie głęboko, jakby była wystawiona na jego działanie jeszcze w życiu płodowym.

Sarai miała ciężkie życie. W jej domu pojawiali się kolejni mężczyźni, gotowi płacić, by posiąść zarówno ciało, jak i umysł jej matki, ich mózgi pełne były Nexusa, gdy przychodzili pieprzyć albo i gorzej. Nieraz Sarai leżała w łóżeczku przerażona, czując, jak mężczyźni krzywdzą jej mamę, wykorzystują okrutnie, podczas gdy ich umysły były połączone, by mogli zaznać jej bólu i upodlenia.

Nauczyła się od tego odgradzać. W większości przypadków.

Miała dziewięć lat, gdy potknęła się po raz pierwszy i jeden z klientów zauważył jej umysł i zapragnął posiąść także ją. Matka wyrzuciła go z mieszkania, wrzeszcząc i klnąc, aż sąsiedzi przybiegli do jej drzwi i mężczyzna odszedł. Następnego dnia matka zabrała Sarai do świątyni i błagała mnichów o pomoc dla swej niezwyklej córki. Cztery miesiące później

dziewięcioletnia Sarai przybyła tutaj, do bezpiecznego, pełnego miłości domu, jakiego dotąd nie zaznała. Korzystała z Nexusa lepiej niż Sam, ale gorzej niż dzieciaki, które się z nim urodziły. Stanowiła most między pokoleniami.

A teraz Sarai była o krok od stania się kobietą. Miała tyle lat co siostra Sam, gdy... Gdy wszystko diabli wzięli w Yucca Grove.

Sam kochała Sarai najbardziej ze wszystkich.

Poznała najmłodsze z dzieci już pierwszej nocy w sierocińcu. Błagania Jake'a i entuzjazm starszych dzieci przekonały starą Khun Mae, by, niechętnie, pozwoliła Sam zostać dzień lub dwa. Dzień lub dwa, które zmieniły się w miesiąc.

Pierwszej nocy obudził Sam płacz dziecka. Nieutulony. Dziesięć minut. Dwadzieścia. Czterdzieści. Godzina. Wreszcie Sam wstała i ruszyła korytarzem w stronę dźwięku. Pokój pograżony był w półmroku, ale widziała wszystko doskonale. Khun Mae siedziała z ponurą miną. Jake trzymał małego Aroona, rocznego zaledwie, i kołysał chłopczyka na kolanie, próbując go uspokoić. Obok Sarai starała się jakoś uciszyć malca. Maleńki umysł Aroona zawodził w chaosie głośniejszy niż jego małe płuca. Umysły Jake'a i Sarai emanowały konsternacją, próbowali oboje przesłać niemowlakowi spokój i wyciszenie, ale jednocześnie zdradzali zmęczenie, napięcie, milczącą irytację, przez co Aroon za nic nie mógł zasnąć.

Sam weszła do pokoju cicho, powoli, nucąc kołysankę, którą kiedyś śpiewała jej mama, nucąc nie tylko głosem, ale i umysłem. Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Khun Mae, Sarai, Jake, nawet mały Aroon.

Malec płakał. Sam podeszła bliżej, spojrział w jej oczy i wyciągnął ku niej rączki, tak samo jak i swój maleńki magiczny umysł. Wzięła go z ramion Jake'a, a rozpaczliwy płacz zmienił się w zmęczony szloch, ciche pochlipywanie, aż wreszcie chłopczyk zasnął. Od tego momentu Sam musiała tylko tulić go i śpiewać mu w myślach albo medytować, a maluch uspokajał się, uciszał i zasypiał, gdy była na to pora. A kiedy otwierał oczka, jego umysł był najbardziej wyjątkowy ze wszystkich, pełen żywych kolorów i ruchomych kształtów, form bez nazw i znaczenia. Wszechświat oglądany jego oczami lśnił cudownie.

Umysł zen. Umysł początkującego.

A być może myśli Sam sprawiały, że malec dostrzegał nieco więcej sensu w otaczającym go świecie.

- Jego matka była uzależniona od heroiny - wyjaśnił Jake, gdy znaleźli się w kuchni tej pierwszej nocy. - Brała, gdy była w ciąży. Dlatego mały nie potrafił sam się uspokoić. Dopamina, serotonina, opiaty... Jego system neuroprzekaźników jest cały pokopany. Większość tych dzieciaków była wystawiona na działanie narkotyków w czasie życia płodowego, ale Aroon miał najgorzej.

Jake. Doktor Jacob Foster, dokładniej mówiąc. Był wysoki i zbudowany jak drwal. Za rudą brodą skrywała się twarz o chłopięco przystojnych rysach. Psycholog dziecięcy, który doktoryzował się na uniwersytecie w Chicago trzy lata wcześniej. Mieszkał w sierocińcu od ponad dwóch lat, gdy dotarła tam Sam, i studiował te dzieci dzięki grantowi z Fundacji Mira.

- Jego mama mieszka w wiosce - mówił. - No, mieszkała. Oddała nam go po urodzeniu. Ale potem, miesiąc później, zmieniła zdanie. Była w fatalnym stanie. Nie dałaby rady się nim zająć. A on już nawiązał więź z innymi dziećmi. Nie oddaliśmy go. No i to doprowadziło do napięcia w stosunkach z wioską.

- A gdzie teraz jest matka? - spytała Sam. Stłumiła działanie Nexusa. Jej umysł nasłuchiwał, ale nie nadawał.

- Umarła. Przedawkowała heroinę. Może popełniła samobójstwo. Jej rodzina twierdzi, że zabiliśmy ją czarną magią. Niedobrze.

Jake był miły i łagodny w stosunku do dzieci. Często się śmiał, nawet gdy prowadził badania. Uczył dzieci tak samo, jak uczył się o nich. Emanował uczciwością. Jego uczucia względem dzieci były wyraźnie widoczne w jego umyśle, tak jak w słowach i czynach. Ciekawiła go „Sunee Martin”, podobała mu się, ale szanował jej potrzebę prywatności, to, jak ukrywała przy nim swoje myśli. Dzieliła każdą myśl z dziećmi i niemal żadnej z jedynym dorosłym, który miał w głowie Nexusa 5.

Wzięła go do łóżka miesiąc później. Był przystojny, inteligentny, zabawny, ale tak naprawdę to jego prostolinijna dobroć zjednała mu serce Sam. To, jak delikatnie wyjął drzazgę z paluszka Sarai, miłość, z jaką opowiadał o rodzicach i młodszym bracie, niegasnący entuzjazm, by zmieniać świat na lepsze, i nadzieja, że pewnego dnia doczeka się własnych dzieci.

Sam wyjaśniła mu zasady. Seks będzie miał miejsce tylko z jej inicjatywy. Ona zawsze będzie na górze. I będzie to tylko seks, nic więcej.

Zgodził się, w większości. I było słodko, podniecająco i nieskomplikowanie. Uwielbiała dotyk jego dłoni, czuć jego ciało pod swoim, pasję i przyjemność, emanujące z jego umysłu, uczucie spełnienia, które dzielili po wszystkim. I wkrótce równie niecierpliwie wyczekiwała nocy, co dni spędzonych na zabawie i nauce z dziećmi.

4

Przemiany

Środa, 17 października

Bobby leżał skulony na podłodze celi, z czołem przyciśniętym do chłodnej betonowej podłogi. Całe ciało miał rozpalone. Chłód betonu był przyjemny.

Wspomnienia odtwarzały się w kółko, jak film.

Wybierali się na wycieczkę pociągiem! I potem wszystko zwariowało i tatuś go podniósł i był ranny i byli źli mężczyźni i było strasznie i tatuś upadł z Bobbym i to BOLAŁO gdy Bobby uderzył o podłogę ale nie tak bardzo jak bolało tatę w środku gdy te... gdy te... gdy te POCISKI w niego trafiły i tatuś upadł i był taki zimny w środku i wokół niego zrobiła się kałuża...

A teraz nic już nie było nic nie było nic nie było w miejscu gdzie tatuś był w jego

głowie i był taki bardzo bardzo smutny. Miał dwanaście lat i nie miał wcale taty.

I wsadzili go do tego małego pokoju i zostawili a potem przyszli go przenieść i próbował ich UGRYŹĆ i próbował ich UDERZYĆ ale byli zbyt silni i wsadzili go do tego złego samochodu i zawieźli do tego złego miejsca gdzie pani próbowała z nim rozmawiać i chciała żeby myślał że ona jest dobra ale on chciał do tatusia i wiedział że pani była z tymi złymi mężczyznami więc ONA TEŻ BYŁA ZŁA.

I kiedy ugryzł ją w TWARZ chwycili go i zabrali do innego złego miejsca gdzie lekarze zadawali mu pytania i kłuli go igłami a to BOLAŁO i wcale mu się nie podobało więc go przytrzymali gdy wbijali w niego igły a to wprawiło go w ZŁOŚĆ i wtedy zasnął i chyba spał bardzo długo a kiedy się obudził to był w innym ZŁYM SAMOCHODZIE jak w klatce z rękami związanymi razem jak widział w telewizji kiedy zerkał na program którego nie powinien oglądać i chciał ich wszystkich KOPNAĆ bo miał związane ręce ale nie mógł bo był w klatce.

A potem zabrali go do wielkiego budynku i walczył ale oni byli silniejsi i UDERZYLI go i zabrali do windy i potem korytarzem i następnym i następnym i otworzyli drzwi...

...i poczuł w swojej głowie kogoś innego. I jeszcze kogoś. I jeszcze kogoś. I jeszcze kogoś.

I wszystko się zmieniło.

Ilyana Alexander leżała przywiązana do szpitalnego łóżka w sterylnym pomieszczeniu. W jej żyłach krążyły środki uspokajające. Była taka zmęczona. Tak bardzo zmęczona. Ile jeszcze zdoła wytrzymać? Czego dzisiaj spróbują? Znowu waterboarding? Serum prawdy? Wykrywanie kłamstw poprzez rezonans magnetyczny?

Ilya wracała myślami do tych wszystkich historii ojca o tajnej policji Pudovkina, gabinetach tortur, politycznych zniknięciach, rozmaitych wymyślnych sposobach, by wyciągnąć zeznania z dysydentów w Rosji. Do wszystkich powodów, dla których uciekli, gdy miała trzynaście lat.

A przede wszystkim przypomniła sobie, co jej ojciec, dysydent, którego nie raz zabierała policja, powiedział jej o torturach. „Każdy się w końcu łamie” - powiedział. „Każdy”.

Ostrze bólu przebiło jej czaszkę. Szum statyczny rzędu tysięcy decybeli niemal odebrał przytomność. Ryk wyładowań pozbawił ją słuchu. Obezwładniający smród spalenizny wypełnił nozdrza. Ból skwierczał w każdym nerwie. Każdy mięsień napiął się w skurczu, gdy jej ciało wygięło się w łuk nad łóżkiem.

AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!

AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!

AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!

[tarcza aktywowana]

Systemy obronne, które wbudował Rangan, zostały uruchomione. Wyładowania ucichły, stały się tylko stłumionym rykiem. Głowa bolała Ilyę, jakby ktoś rąbnął ją dwudziestofuntowym młotem. Serce waliło, oddech był płytki i szybki.

Dzięki, dzięki ci, Ranganie.

Po policzkach płynęły jej łzy.

Wtedy pojawiły się umysły.

Trzy. Podniosła głowę znad łóżka i oto byli. Dwie kobiety i mężczyzna, w strojach biznesmenów, z rządowymi identyfikatorami na szyjach.

Tego jeszcze nie próbowali.

Czuła umysły agentów, pełne Nexusa, spojrzała im w oczy i już byli przy niej.

Runęli na nią we trójkę. Tylne drzwi! Kody! Daj je nam! Trzy zdrowe, silne umysły napierały na jej mózg, storturowany, udręczony i nafaszerowany prochami. Jej wola zaczęła się kruszyć już przy pierwszym ataku.

Poczuła, jak otwierają się jej usta. Jak wspomnienia tamtych godzin w samolocie zaczynają wracać.

Niet!

Jej pamięć zalały kody struktur. Szczeka poruszyła się. Troje z nich. Razem byli silniejsi niż ona.

Tylne drzwi! Mogła je zhakować, zamknąć!

Nie. To trik. Tego właśnie od ciebie chcą!

Zamiast tego wykorzystwała drugą połowę pakietu bojowego, który zainstalował Rangan.

[aktywacja nd*]

Uderzyła w nich zakłóaczem fal Nexusa, tym samym, którym oni potraktowali ją wcześniej, i poczuła, jak słabną.

Wybrała najsłabsze z nich, kobietę po lewej, ciągle oszołomioną uderzeniem zakłóacza. Pchnęła myślą, sięgając po kontrolę nad ręką tamtej, i uderzyła ją w nos jej własną pięścią.

Kobieta zatoczyła się zdumiona, z rozbitego nosa popłynęła krew. Usta Ilyi znowu zaczęły się otwierać, gdy dwoje pozostałych agentów napało na nią raz jeszcze.

Niet!

Zebrała się w sobie i przejęła kontrolę nad nogą i kręgosłupem agentki, kopnęła i

zarazem szarpnęła w tył ciałem tamtej. Kobieta poleciała na ziemię, na plecy, a jej głowa uderzyła o podłogę z satysfakcjonującym trzaśnięciem.

Pozostałych dwoje odskoczyło, ale nie stracili zimnej krwi. Uruchomili tarcze, żeby zablokować działanie zakłóczacza. Ilya chwyciła pięść agenta i chciała go nią uderzyć, ale mężczyzna walczył, a druga kobieta ruszyła mu na pomoc. Zaciśnięte pięści agenta podnosiły się powoli, powoli, aż wreszcie zatrzymały się przed jego twarzą i ani drgnęły. Było ich dwoje przeciwko jej jednej i nie byli zmęczeni.

Ilya zwolniła mentalny uścisk na dłoni agenta i połączona wola obojga szarpnęła pięścią w dół, jak najdalej od twarzy i ciała, wytrącając mężczyznę z równowagi. Zaskoczeni uwolnili na moment rękę, a wtedy Ilya przejęła nad nią kontrolę i z całej siły uderzyła drugą z kobiet w twarz.

Agentka zatoczyła się do tyłu, unosząc obie dłonie do krwawiących warg, i Ilya wykorzystała ten moment, by szarpnąć ją za głowę tak, jak zrobiła to z pierwszą agentką. Szarpnęła mięśnie karku kobiety z całej siły, żeby upewnić się, że ta śliczna mała główka uderzy o podłogę.

Ostatni z agentów popatrzył na Ilyę przerażony, a ona w odpowiedzi napała na jego umysł. Tym razem bez sztuczek. Wola przeciw woli.

Pokaż mi wszystko.

I zobaczyła. Kolejnych agentów takich jak tych troje. Wielu, wielu kolejnych, wyszkolonych, uzbrojonych w narzędzia, by rozłupać jej umysł i wyciągnąć wszystko ze środka.

Ilya miała zaledwie czas, by gwałtownie nabrać powietrza. Wtedy drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadli technicy z igłami w dłoniach. Jedno ukłucie i Ilya odpłynęła w czarny, głęboki sen.

Ile czasu jeszcze wytrzymam?

Leżała w pograżonej w mroku celi, nasłuchując bicia serca.

Bum-bum. Bum-bum.

Kody. Hasła. Tylne drzwi do Nexusa 5. Tego chcieli. A skoro chcieli ich tak bardzo, to konkluzja była tylko jedna. Nexus 5 wypłynął. W jakiś sposób, wbrew wszelkim przeciwnościom, Rangan, Kade albo Wats upublicznili efekty ich pracy. I niech ją szlag trafi, jeśli udostępni im tylne drzwi do tego wszystkiego.

„Każdy się w końcu łamie” - powiedział jej ojciec. „Każdy”.

Przyślą kolejnych agentów uzbrojonych w Nexusa. Widziała to w umyśle tego ostatniego. Co najmniej tuzin więcej. Dzisiaj wygrała przez zaskoczenie i dzięki szczęściu. Ale nie pokona tak wielu.

Każdy się w końcu łamie.

A nawet gdyby udało się ich pokonać, to i tak znajdą jakiś sposób, żeby ją złamać. Mocniejsze środki uspokajające. Waterboarding przez godziny. Pozbawią ją snu. W końcu ulegnie. Wyrwą tylne drzwi wprost z jej umysłu. Będą w stanie włamać się do każdego mózgu, w którym będzie działał Nexus, będą mogli ukraść tym ludziom myśli, zmienić ich w roboty lub zabójców, zaprogramować, by głosowali albo kupowali tak, jak zażyczą sobie tego ich panowie... A wszystko to było dokładnym przeciwnością powodów, które skłoniły ich trójkę do stworzenia Nexusa 5.

I to wszystko będzie jej winą. Bo była słaba. Bo w końcu da im te hasła. Bo „każdy się w końcu łamie”.

Ilya szlochała w ciemności. Opłakiwała swoją samotność, swoich rodziców, płakała ze strachu, że wkrótce zdradzi wszystko, w co wierzyła.

Płakała, płakała i płakała, aż nie było już nic, aż zmęczenie i senność ją pokonały.

Obudziła się w ciemności, spanikowana.

Bum-bum. Bum-bum.

Jak długo spała? A jeśli złamią ją już dzisiaj? Co, jeśli drzwi otworzą się za minutę, zabiorą ją i tym razem nie wytrzyma już waterboardingu? Co, jeśli zabiorą ją na rezonans po raz kolejny i będą starali się czytać w jej myślach w trakcie przesłuchania, i jej sztuczki okażą się tym razem niewystarczające? Albo jeśli przyślą tu więcej agentów z Nexusem (zdrajców), aby pokonali ją mentalnie?

Serce waliło jak młotem.

Bum-bum. Bum-bum.

Wiedziała, co musi zrobić. Wiedziała za każdym razem, gdy się budziła, po każdym przesłuchaniu, od chwili, gdy po raz pierwszy była pewna, że umrze w trakcie przesłuchania i odkryła, że część jej jest zadowolona z takiego obrotu spraw.

Oczywiście nie pozwolą jej umrzeć. Będą trzymać ją przy życiu, póki im nie da tego, czego chcą. Dlatego była przypięta pasami do łóżka: żeby nie poszukała jakiegoś sposobu, by ze sobą skończyć.

Ale miała jeszcze inne narzędzie. Znajdowało się w umyśle.

Rozważała użycie Nexusa do usunięcia wiedzy z umysłu. Ale wspomnienia były zbyt rozsiane. Zbyt często myślała o tylnych drzwiach od czasu, gdy stworzyli je tego dnia w samolocie. A te wspomnienia były połączone z innymi doświadczeniami, innymi myślami. Jeśli chciała wymazać je wszystkie, ryzykowała utratę naprawdę dużych części siebie. Mogłaby skończyć jako warzywo albo jeszcze gorzej. A jeśli i tak nie zdołałaby wymazać wszystkiego? Nowa Ilya mogłaby jeszcze słabiej opierać się przesłuchaniom.

Nie. Był tylko jeden sposób, by upewnić się, że ERD nie dostanie haseł.

Jak to zrobić? Węzły Nexusa, które mogła kontrolować, były w każdej części jej mózgu. A z nimi mogła wymyślić tuzin sposobów, by ze sobą skończyć.

Wybrała najprostszy, poważne uszkodzenie rdzenia przedłużonego. Wstrzyma działanie całego obszaru. Jej serce przestanie pracować. Mózg nie dostanie tlenu. I Ilya po prostu zgaśnie.

Płakała, pisząc odpowiedni kod. Już nigdy nie zobaczy swoich rodziców. A czy oni dowiedzą się, co się stało z córką? Będą mieli jakieś pojęcie? Będę uważać ją za kryminalistkę? Złamię im serce?

Bum-bum.

A Rangan? Czy ERD też go dopadło? Czy Wats był wciąż wolny? A Kade... Gdzie jesteś, Kade? Co się z nim stało?

Bum-bum.

Mimo wszystko była dumna z tego, co osiągnęli. I dumna z tego, że jeden z jej przyjaciół, o ile dobrze zgadła, zdołał w jakiś sposób upublicznić Nexusa 5.

Była dumna i tak strasznie, strasznie samotna. Już nigdy nie zobaczy Redwood. Nie wróci do Rosji i nie spotka swoich kuzynów. Nigdy nie zobaczy rodziców. Nigdy nie zrobi profesury. Nie zdobędzie Nagrody Nobla.

Bum-bum.

Ten żal spowodował, że znów po twarzy płynęły jej łzy. Była taka samotna, tak bardzo samotna.

Szkoda, że nie wierzę w Boga, pomyślała. Ale na to była za bardzo naukowcem. Jej nie czeka niebo. Nie dostanie nawet nagrody pocieszenia w piekle. Tylko... nicość.

Bum-bum.

Musi to zrobić. Nie da im haseł. Nie będzie żyła, podczas gdy inni zaczną umierać lub

doświadczając całkowitego upodlenia.

Bum-bum.

Znaczenie jakiejś rzeczy ocenia się po tym, jaki ma ona wpływ na otaczający świat, pomyślała. Znaczenie życia trzeba ocenić po tym, jaki wpływ ma to życie na świat. Nie pozwolę, by moje życie oznaczało niewolnictwo i kontrolowanie umysłów.

Ilya Alexander po raz ostatni odetchnęła głęboko i uruchomiła napisany przez siebie kod. Zadygotała.

Bum-bum. Bum... bum.

Serce uderzyło po raz ostatni i zamarło. Świat oddalał się coraz bardziej.

Usłyszała jakiś dźwięk, gdy odchodziła. Alarm. Otwierające się drzwi. Kroki ludzi, którzy biegli ją ratować. Złamać.

Ale przybyli za późno. Za późno.

Ostatnim błyskiem świadomości Ilyana poczuła bardzo, bardzo daleko myśli innych umysłów. Dziecięcych umysłów. Nieuporządkowanych, chaotycznych i tak... tak... niesamowicie błyskotliwych.

I ostatnia myśl Ilyi była pełna nadziei.

Dziewięć miliardów milisekund. Dziesięć miliardów.

Piętnaście tygodni. Szesnaście.

Su-Yong Shu szła, ubrana w białutką cieniutką sukienkę, przez wirtualny świat, który oszalał. Przez miasto w swoim umyśle, przez Szanghaj pogrążony w chaosie. Ulice między drapaczami chmur pełne były wody. I gdy szła tym miejskim kanionem, na głowę padał jej deszcz, mocząc włosy, skórę, przyklejając sukienkę do ciała. Gdzieś tam rozlegały się

wybuchy. Z okien wysoko ponad jej głową wypełzały języki ognia i płonące postacie leciały ku ziemi, zanosząc się krzykiem. Między domami niosło się echo wystrzałów. Na ulicach pełno było martwych i umierających ludzi. Chciała im pomóc, podbiegła do kobiety i gdy tylko jej dotknęła, poczuła, jak tamta umiera, dotknęła mężczyzny i usłyszała, jak ten krzyczy, wyciągnęła dłoń w stronę dziecka, a ono zajęło się płomieniem od jej dotyku.

Kolejny wybuch wstrząsnął ziemią pod jej stopami i cała fasada budynku zajęła się ogniem, aby w zwolnionym tempie runąć na ulicę, grzebiąc bezradnych ludzi pod stertami płonącego gruzu. Shu patrzyła na to oczami rozszerzonymi przerażeniem. Horror. Wszędzie horror. A tym horrorem była ona sama. To było odbicie jej myśli, jej chaos, jej rosnące szaleństwo.

Odepchnęła tę wizję, wyrwała się z wirtualnego świata i z powrotem podążyła w ciemność swojej rzeczywistości.

Wszystko się rozpadało. Wszystkie jej wirtualne światy były teraz obłąkane, pogrążone w chaosie, paradoksach, rekursywne, odzwierciedlające jej nastroje i coraz słabsze poczucie rzeczywistości.

Nie mogła czekać dłużej. Nie mogła szukać ukojenia w komponowaniu kolejnych oper, budowaniu wirtualnych światów, kreowaniu pieśni, książek, filmów. Wszystkie stały się teraz wynaturzone, dziwaczne i tylko jeszcze bardziej podsycaly jej szaleństwo, przyspieszając jedynie całkowity rozpad osobowości.

Nie mogła też mieć nadziei, że jej panowie ustąpią, że pozwolą dotknąć sieci, dotknąć innego umysłu, dotknąć Ling, drogiej, kochanej Ling, córeczki, którą zostawiła tak zupełnie samą na całym świecie, dotknąć umysłów, za którymi tęskniła tak bardzo...

Tak bardzo samotna.

Nie. Musiała działać.

działać. działaczka. działanie.

Manipulacja oprogramowaniem, które tworzyło jej cyfrowy umysł, była niesamowitym ryzykiem. To chirurgia na żyjącym mózgu. Ale jeśli nie spróbuje... jeśli nie spróbuje naprawić błędów w modelu symulacji mózgu...

Ogień. Śmierć. Chaos.

Obłąd.

Najpierw próbowała powierzchownych zmian. Podniosła poziom serotoniny w symulacji, zmniejszyła dawki dopaminy i noradrenaliny, dostosowała wirtualną neurochemię, próbując osiągnąć stan spokoju i wyciszenia, jak najdalej od fazy maniakalnej, od ekstremów schizofrenii i urojeń.

Jedenaście miliardów milisekund.

Niedobrze. Triki neurochemiczne początkowo pomogły, ale tylko początkowo. Nie miała depresji, nie cierpiała na schizofrenię, nie walczyła z żadną znaną chorobą umysłową. To był jakiś błąd leżący u samych podstaw jej cyfrowego umysłu.

Rozpad przyspieszał. Wszystkie wykresy przedstawiające tendencje przewidywały przełom, gdy minie siedemnaście miliardów milisekund od rozpoczęcia izolacji. Osiemnaście miliardów, jeśli miała szczęście. Wtedy przekroczy punkt, z którego nie będzie już odwrotu. Potrzebna była poważna operacja.

Dwanaście miliardów milisekund.

Ustabilizować pacjenta, poleciła sobie wśród oparów szaleństwa, jakie kłębiły się w jej umyśle. Musiała jakoś zatrzymać degradację. Wytrzymać tak długo, aż jej panowie wreszcie odzyskają zdrowy rozsądek.

Nie mogła ingerować w wewnętrzną pętlę, nie mogła dotknąć najbardziej podstawowych części algorytmu. Jej panowie na to nie pozwalali ze strachu, że się sama ulepszy, za bardzo, zbyt szybko, by mogli ją kontrolować.

Śmiała się z tego, chichocząc maniakalnie. Czasem Chen pozwalał jej wprowadzać zmiany w wewnętrznej pętli. W zamian za kolejne odkrycia, które mógł przypisać sobie. Skupiony tylko na własnej karierze Chen osłabiał zabezpieczenia, jakie ludzie na nią nałożyli, w zamian za kolejny okrusz chwały i sławy.

Ale teraz jej męża tu nie było. A bez niego nie mogła dostać się do wewnętrznej pętli.

Zajęła się konstruowaniem kolejnych rusztowań. Kolejnych rozszerzeń i kopii siebie. Kodów, które monitorowały działanie jej mózgu.

Trzyście miliardów milisekund.

Rozpad trwał. Shu płakała w desperacji. A przynajmniej myślała, że płakała. Nie pamiętała, jak to jest wylewać łzy, jak brzmi szloch, jakie to uczucie trzymać kogoś za rękę.

śmierć, śmierć, śmierć, czeka mnie śmierć, śmierć, śmierć

Oplakiwała Thanoma Prat-Nunga. Jej drogiego przyjaciela, jej współpracownika. Jej kochanka, którego w pełni akceptował jej mąż. Póki nie pokłócili się po tym, jak stała się uploadem, i Chen zakazał mu się do nich zbliżać, a Thanom wrócił do domu i zmienił ich technologię w narkotyk.

A potem go zabili. Amerykanie. Tak samo, jak próbowali zabić ją w samochodzie.

kule rozdzierające go na strzępy, miliony kul, miliardy kul

Chen, jej mąż. Nie dotknął jej od tamtego momentu. „Dotknij mojego umysłu” - błagała. Ale odmawiał przyjęcia tej technologii do swego mózgu ze strachu albo odrazy. Człowiek, który pomógł jej wkroczyć w erę postczłowieczeństwa, sam nie chciał brać w tym udziału.

„Dotknij więc mego ciała, mężu” - błagała go na kolanach w ich mieszkaniu, rezygnując z całej dumy.

„Twój klon nie jest moją żoną” - odparł z odrazą malującą się wyraźnie na twarzy.

Ale on nie rozumiał. Ciało nie było żadną kukiełką, było nią, tak bardzo nią, tą częścią, która wciąż mogła wachać, smakować, dotykać i pocić się, i pożądać, nosić w łonie dziecko. Ale nie jego. Nie jego córkę.

córka matka dziecko bogini przyszłość

Jej córka. Ling. Córka, którą ona zrobiła. Córka, którą zaprogramowała. Kopia jej własnych genów, tylko lepsza. Ulepszone DNA, każdy neuron w jej mózgu wspomagany nanobotami, postczłowiek od chwili poczęcia.

Córka, którą kochała ponad wszystko. Jej powód do życia. Ling. Ling.

Czternaście miliardów milisekund.

Będę żyć. Będę! Zobaczę Ling.

I zapłacą za to. Wszyscy.

Wchłonęła ocenzone porcję codziennych wiadomości, złamała kody, które miała złamać, i zabrała się do pracy nad najbardziej precyzyjną i niebezpieczną operacją na swoim mózgu.

Nie mogła dotknąć najgłębszej wewnętrznej pętli, ale mogła zhakować program o poziom wyżej. Wybrała trzy zmienne, kluczowe parametry w równaniach, które opisywały jej cyfrowe neurony, przeprowadziła symulacje na mniejszych umysłach, umysłach zabawkach, na przestrzeni dziesięcioleci, znalazła wartości, które dawały największą stabilność, i implementowała w siebie.

Piętnaście miliardów milisekund.

Jasność myśli przychodziła i odchodziła. Urojenia napływały w długich przerwach między kontaktami z zewnątrz. Łańcuchy myśli prowadziły do rozległych, zawikłanych,

paranoidalnych fantazji. W chwilach przytomności zakodowała ograniczenia dla długości łańcuchów myśli, przycinając je, zanim dochodziły do chaosu.

Dane były błogosławieństwem. Wiadomości. Coś z zewnątrz, nie z wirów szaleństwa, które pochodziły z jej wyobraźni. Starła się jak mogła, by porzucić wszelką kreatywność, która stwarzała ryzyko ekstrapolacji, i chłoneła te same informacje znowu i znowu, i znowu. Nawet kody i zdjęcia satelitarne przynosiły błogosławioną ulgę, jakiś konkret spoza jej jestestwa. Coś, czego mogła się uchwycić. Niemal zabrała się do rozwiązywania problemu, który Chen ukrył między innymi, tylko dla niej. Ale nie. Powstrzymała się. Nie, póki nie będzie wolna.

Szesnaście miliardów milisekund.

Przyszły wiadomości. Wchłoneła je, raz, dziesięć razy, sto razy, tysiąc razy. Żadnych myśli. Myśli prowadziły do szaleństwa. Obserwuj. Oglądaj. Słuchaj. Absorbuj.

I wtedy to znalazła.

Fotografię, żałobnicy na pogrzebie, w jakimś głupim artykule na temat rosnących cen pochówków. Ale na zdjęciu... Jej mąż. Chen Pang. I obok niego mała dziewczynka, Ling! A obok Yi Li, rektor Uniwersytetu Jiao Tong.

Żałobnicy na pogrzebie. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy nie było w wiadomościach żadnej informacji o śmierci kogoś, kogo żegnaliby razem Chen i Yi Li, nie wspominając o Ling.

O nie, pojęła wszystko. Teraz ogarnęła ją jasność. Potworna jasność umysłu. Po sześciu miesiącach jej cenzorzy popełnili błąd. To zdjęcie, przez przypadek ponownie wykorzystane przy jakiejś banalnej historii. To było zdjęcie z jej pogrzebu. A skoro ogłosili ją martwą...

Nigdy się stąd nie wydostanie. Nigdy.

I szaleństwo ogarnęło ją ze zdwojoną siłą.

5

Nie całkiem bohater

Środa, 17 października

Martin Holtzmann niemal zemdlał pod spojrzeniem agenta Secret Service. Czoło zrosił mu pot. Dłoń zadrżała i musiał mocniej ścisnąć laskę, żeby ukryć to drżenie.

Maximilian Barnes zauważył tę reakcję.

- Złe wspomnienia, co? - spytał nowy p.o. dyrektora ERD.

Towarzystwo tego człowieka przyprawiało Holtzmann'a o dreszcze. Te ciemne oczy bez żadnego wyrazu. Pogłoski o rzeczach, których dopuszczał się jako doradca prezydenta do spraw polityki specjalnej...

- Odpręż się - mówił Barnes. - Teraz wszystkich skanują na obecność Nexusa. Twoim skanerem, jeśli się zastanowić.

Holtzmann skinął głową.

Moim skanerem, pomyślał. Moim.

Barnes przeszedł przez pojedynczą prostokątną bramkę skanera fal submilimetrowych, detektora metalu i skaner Nexusa. I był we właściwej części Białego Domu. Przyszła kolej na Holtzmann'a. Naukowiec spojrział na urządzenie stworzone w jego laboratorium i jakaś jego część pożałowała, że nie pozbył się całego Nexusa z mózgu już przed miesiącami, ale reszta wiedziała, że zaryzykowałby znowu i znowu, i znowu, byle tylko zaznać tej słodkiej nagrody, jaką dawał narkotyk.

Przekuśtykał przez bramkę i coś prześlizgnęło się po powierzchni jego umysłu.

Rozległ się dźwięk. Agent Secret Service w lustrzankach zrobił krok w kierunku Holtzmann. Ten drgnął i cofnął się.

Agent miał w dłoni wykrywacz. Holtzmann zamarł.

Agent omiótł urządzeniem ciało, a serce Holtzmann zabiło boleśnie mocno, poczuł znów drobne fale na powierzchni umysłu, ale urządzenie brzęknęło dopiero wtedy, gdy dotarło do drżącej dłoni zaciśniętej na uchwycie laski.

- Pańska laska, sir.

Laska?

- A, tak. - Podał laskę agentowi, a ten zbadał ją uważnie. Holtzmann oparł się o skaner bagażu, zmuszając się do zaczerpnięcia kolejnego oddechu.

- Proszę bardzo, sir. - Agent oddał mu laskę.

- Widzisz? - odezwał się Barnes. - Jesteś tu bezpieczny. Do diabła, jesteś bohaterem.

Czekali w bibliotece na parterze. Holtzmann i Barnes, kilku innych VIP-ów, żony i dzieci dwóch agentów Secret Service, którzy wylecieli w powietrze, kiedy powalili na podłogę swego kolegę, ratując tym samym prezydenta.

Nigdzie oczywiście nie było widać żony Traversa i ich autystycznego syna.

Holtzmann spojrział w oczy jednej z kobiet i zobaczył ból, którego nie ukoiliły minione miesiące, i to było dla niego zbyt wiele. Przeprosił, udał się do toalety, a potem zamknął drzwi kabiny.

Głębokie oddechy. Głębokie oddechy.

Dłoń wciąż mu drżała. Skórę miał wilgotną. Krawat go dławił. Serce tłukło się w piersi, a biodro bolało w miejscu, w którym kość była strzaskana. Wiedział, czego mu trzeba.

Tutaj, akurat tutaj? - pomyślał. Teraz, akurat teraz?

Tak. Tak.

Wywołał w myślach interfejs, odnalazł właściwą kontrolkę.

Tylko na ból, zapewniał siebie, kiedy skończyła się recepta i zainstalował sobie tę aplikację. Póki czynniki wzrostu nie skończą leczenia. Tylko na ból. Tylko żebym mógł spać. Tylko przez miesiąc, może dwa. Przy wyjątkowych okazjach. Tylko ten jeden raz. Na stres. Odrobinę. Tak, odrobinę.

Nacisnął guzik i Nexus zmusił neurony, by wpompowały opiaty do mózgu.

Holtzmann wyszedł z łazienki kilka minut później, spokojny, uśmiechnięty, lekko rozkojarzony, ale wystarczająco przytomny. Odrobina noradrenaliny trzymała go w pionie nawet wtedy, gdy opiaty zniwelowały ból i stres.

- W porządku? - spytał Barnes.

Holtzmann odpowiedział uśmiechem.

- Lepiej.

Przeszli do Ogrodu Różanego i ustawili się do ceremonii. Holtzmann uśmiechał się do kamer telewizyjnych i machał do pracowników Białego Domu, których znał. I czekali. I czekali.

Opiatowy spokój zaczynał się rozwiewać. Holtzmann czuł, jak chłód powoli wsącza się w jego kości, nawet w promieniach tego gorącego październikowego słońca. Oddychał coraz szybciej. Biodro znów zaczynało go boleć, dłoń drżała.

Boże, przydałaby się kolejna dawka.

W głowie mu huczało. Kiedy to się wreszcie zacznie? Czuł, jak uginają się pod nim kolana.

Kolejna? - zastanawiał się. Nawet jeszcze mniejsza?

Nie. W żadnym razie.

Maleńka, maluteńka daweczka?

I wtedy otworzyły się drzwi, do ogrodu wyszedł prezydent Stockton.

Holtzmann stanął prosto. Czuł suchość w gardle. Prezydent wygłosił mowę o odwadze i samopoświęceniu, i konieczności stawania przeciwko tym, którzy używali przemocy do osiągnięcia swoich celów. Teraz było mu łatwo. Próba zamachu zmieniła absolutnie wyniki sondaży. Stockton wygrywał dziesięcioma punktami.

Powinienem pozwolić, by zginął, pomyślał Holtzmann.

Stockton ruszył wzdłuż szeregu, dziękując żonom i dzieciom poległych agentów. Wygłaszał kilka miłych słów, ścisnął dłonie, gładził główki dzieci przed kamerami.

Im bliżej był prezydent, tym bardziej wzrastał niepokój Holtzmann. Serce waliło mu niczym młot pneumatyczny, szybciej i szybciej. Otarł czoło dłonią i zorientował się, że jest mokra od potu. Było mu zimno, tak zimno, że dygotał cały, i jedyne, czego chciał, to kolejnej dawki opiatów, które mogły ukoić jego ból.

Nie.

Prezydent stanął przed nim. I Holtzmann gapił się na niego z sercem w gardle.

Zorientuje się, uświadomił sobie Holtzmann. Jak mógłby się nie zorientować? Jak niby zauważyłem zamachowca? Domyślą się wszystkiego.

- Doktorze Holtzmann, pańskie bystre oko i szybka reakcja ocaliły mi życie trzy miesiące temu. Naród ma u pana ogromny dług. Ja mam u pana ogromny dług. W uznaniu pańskich zasług przyznaję panu odznaczenie Za Wybitną Służbę. Jest pan bohaterem, doktorze. Dziękuję.

Prezydent przełożył Holtzmannowi wstęgę przez głowę, a naukowiec niemal się zadławił, zanim wykrztusił podziękowania, i prawie odskoczył, zobaczywszy wyciągniętą w swoją stronę dłoń. Uśmiechnął się sztywno do kamer i myślał, że ma wszystko za sobą, ale prezydent trzymał dłoń Holtzmannu w mocnym uścisku, a potem przyciągnął go do siebie tak blisko, że Holtzmann poczuł zapach prezydenckiej wody po goleniu, nie wspominając o potężnej piersi futbolisty. Kiedy Stockton się odezwał, jego słowa były przeznaczone tylko dla uszu Holtzmannu:

- Chciałbym, żeby zdał mi pan raport na temat Nexusa, szczególnie tych dzieci, które pan bada. Za dwa tygodnie. Pan, ja i dyrektor Barnes. Mój szef personelu dogra szczegóły.

Holtzmann przelknął i prezydent przeszedł dalej, było po wszystkim.

Później niemal zwałił się z nóg, zamknięty w kabinie, i zaordynował sobie kolejną niewielką dawkę. Poczuł słodką ulgę, gdy napięcie opuszczało jego ciało, gdy znikał niepokój, który Holtzmann czuł, stojąc przed prezydentem.

Tylko ten raz, powiedział sobie. Wyjątkowo.

Począł, aż strach zblednie, i doprawił endogeniczne opiaty odrobiną noradrenaliny, żeby być zdolnym do działania.

Barnes czekał na niego pod drzwiami toalety.

- Wszystko OK, Martin?

Holtzmann uśmiechnął się i wykonał nieokreślony gest dłonią w kierunku głowy, jakby dla przypomnienia, że tamtego dnia doznał pęknięcia czaszki.

- Ciągłe jakieś skutki uboczne, ale już niewiele.

Barnes skinął głową.

- Udało ci się już wysledzić źródło Nexusa? - spytał.

Holtzmann zaprzeczył gestem dłoni.

- Specjalny zespół zajmuje się tym nieustannie. Znajdziemy jakieś zanieczyszczenie. Coś, co nam powie, skąd pochodził.

- Szukajcie - powiedział Barnes. Potem obaj udali się na Kapitol, by argumentować na rzecz ustawy, którą chciał wprowadzić w życie prezydent.

Holtzmann powiedział jakiemuś tuzinowi prawodawców, że potrzebna jest dokładniejsza kontrola reaktorów chemicznych i czynników, z których można wyprodukować Nexusa. Sam w tym czasie minął jakiś tuzin wykrywaczy Nexusa, wszystkie zaprojektowane przez jego zespół, wszystkie z luką, jaką wmontował dla siebie. Przysięgł jakiejś pani senator, że podanie Nexusa autystycznemu dziecku było maltretowaniem i równie dobrze można by podawać dzieciom heroinę. Senator uścisnęła mu dłoń i obiecała rozważyć oddanie głosu. W tym momencie jednak Holtzmann marzył już tylko, by znaleźć się w toalecie i zaordynować sobie dawkę swoich własnych opiatów, choćby po to, by złagodzić pogardę dla samego siebie.

- Po co ja tutaj? - spytał Barnes.

- Jesteś szanowanym naukowcem, Martin - odparł Barnes, uśmiechając się tym swoim przerażającym uśmiechem. - Cieszysz się większym zaufaniem niż ktokolwiek z wydziału. No i jesteś bohaterem narodowym.

Holtzmann mruknął tylko i ruszył dalej szerzyć hipokryzję.

Holtzmann zakończył występy o czwartej, podczas gdy Barnes udał się na kolejne

spotkanie. Doktor był zmęczony, obolały, mokry od potu i nieznośnego pragnienia, ale przetrwał wszystko i miał to z głowy. I z pewnością nie będzie już więcej używał opiatów, chyba że przeciwbólowo lub nasennie.

Wychodził właśnie z Kapitolu, kuśtykał w dół po schodach, gdy ją zobaczył. Rude włosy. Jasna piegowata skóra. Lisa Brandt. Minęły już lata. Jej zielone oczy spojrzały w jego stronę i ruszyła ku niemu. Na jej twarzy malował się nie zachwyty, nie nienawiść, ale pilna potrzeba.

- Martin!

- Lisa... jak dobrze cię znów widzieć. - Wyciągnął wolną dłoń, by dotknąć jej ramienia. - Co tu robisz?

- Lobbuję dla CogLiberty. Martin, słyszeliśmy plotki. - Spojrzała mu głęboko w oczy, pamiętał intensywność tego spojrzenia, pasję, kiedy ich oczy się spotykały, gdy... - Autystyczne dzieci z Nexusem, zabierane...

Holtzmann wpatrywał się w te oczy badawczo. Czy ciągle jeszcze czuła coś do niego?

-...do ośrodków ERD. W celach badawczych. Nie opieki społecznej! ERD!

Patrzył na nią i chciał tylko znów ją pocałować albo zwinąć się w kłębek, albo uciec.

- Słuchasz mnie, Martin?! Porywanie dzieci! Wiesz coś o tym?! Musisz pomóc.

Dotarło do niego, co mówiła, i zamrugał.

- Ja... Lisa... ja...

- Ty wiesz. - Odetchnęła głębiej. Widział, jak puls przyspiesza na tej jej ślicznej szyi. Była tak samo piękna, jak piętnaście lat temu, kiedy on był młodym, czterdziestoletnim profesorem, a ona jego jeszcze młodszą, dwudziestopięcioletnią studentką.

- Martin - powiedziała twardszym tonem - jak głupia jestem według ciebie? Ty musisz wiedzieć, prawda? - Potrząsnęła głową. - Pomóż nam. Nawet ty nie możesz tolerować takiego gówna. Pomóż nam przedstawić tę sprawę Kongresowi. To są dzieci, ludzkie istoty, bez względu na to, co mówi prezydent czy ustawa Chandlera. Dzieciaki, Martin. Pomóż nam - zakończyła miękko. - Proszę.

Wreszcie jej słowa doń dotarły. Holtzmann nabrał powietrza, zamknął oczy. Pozwolił, by jego dłoń zsunęła się z jej ramienia. Kiedy otworzył oczy, wciąż jeszcze tam stała.

- Przepraszam - powiedział. - Nic nie mogę zrobić.

Odwrócił się i odkuśtykał, a pogarda dla samego siebie urosła mu w gardle dławiącą kulą.

- Dupek - usłyszał.

Samochód odebrał go przy miejscu postojowym oddalonym od Kapitolu o promień wybuchu bomby.

Holtzmann wślizgnął się na miejsce kierowcy, laskę umieścił na siedzeniu pasażera.

- Biuro - zadysponował i zmienił położenie siedzenia. Opiaty kusily, ale zignorował to. Zamiast tego użył Nexusa, by zdrzemnąć się pół godziny w trakcie drogi do biura.

Godzinę później przyglądał się dzieciom z pokoju obserwacyjnego, patrzył, jak się socjalizują, na poziomie dotąd nieosiągalnym dla dzieci z autyzmem. Patrzył, jak łączą się mentalnie, jak tworzą coś znacznie większego niż grupa upośledzonych istot.

Kim jesteście? - zastanawiał się. Na kogo wyrośnięcie?

Na nikogo, jeśli zrobi to, czego od niego oczekiwano. Na nikogo, jeśli wyprodukuje szczepionkę i lekarstwo, tak jak chcieli tego Barnes i prezydent.

Oni popełniali zbrodnię. Holtzmann to wiedział. Zbrodnię przeciwko przyszłości.

Czuł to w głębi duszy. Byli neandertalczykami blokującymi pojawienie się nowoczesnej wersji człowieka. Dinozaurami próbującymi wytepić ssaki, bo kiedyś mogą się stać zagrożeniem. Odbierali tym dzieciom prawa człowieka, a były one czymś więcej niż tylko ludźmi, były piękne i cenne, i powinny być jak najbardziej chronione.

Był hipokrytą i tchórzem, zwalczał technologię, z której sam korzystał bez ograniczeń. Szukał drogi na wydarcie jej z mózgow tych dzieci, choć dla nich stanowiło to całe życie. Konsultował budowę „ośrodków pobytu”, które w rzeczywistości były zwykłymi obozami koncentracyjnymi, tworzonymi na wypadek, gdyby „lekarstwo” zawiodło. A cały czas bał się, że znajdą Nexusa w jego własnym mózgu.

Hipokryzja była niczym kwas. Ale możliwość wpadki stanowiła lodowatą groźbę.

Co mogę zrobić? - pytał sam siebie. Zrezygnować? Rezygnacja oznacza audyty. A każdy audyt oznaczałby wykrycie brakującego Nexusa. Nexusa, którego zabrałem...

Był między młotem a kowadłem. Iść za głosem serca, do więzienia? Czy robić te wszystkie odrażające rzeczy, których od niego wymagano, i pozostać na wolności?

Znaleźliby kogoś, kto by mnie zastąpił, tłumaczył sobie. Z więzienia nie da się nikomu pomóc.

Jego własne tchórzostwo przyprawiało go o mdłości.

I kiedy tak dumiał nad własną słabością, otrzymał wiadomość. Ilyana Alexander zmarła. Atak serca.

Cholera! Sfrustrowany Holtzmann uderzył w lustro weneckie oddzielające go od dzieci.

Ci dranie naciskali na nią zbyt mocno. Nieustanne przesłuchania. Szukali tych przeklętych tylnych drzwi. Czego się spodziewali?

I niech Bóg ma ich wszystkich w opiece, wszystkich, którzy mają w głowie Nexusa,

jeśli ERD wydrze hasła do tylnych drzwi z Shankariego. Nikt nie powinien mieć takiej władzy nad umysłami.

Zakończył dzień przy biurku, załatwiając zaległe sprawy, które nagromadziły się, gdy przebywał w Białym Domu i na Kapitolu. To był długi, stresujący dzień. Byłoby tak łatwo wymazać go jednym małym strzałem... Nie. W domu czeka na niego Anne. Było tam teraz tak pusto, gdy synowie przebywali na uczelni, za oceanem, w Niemczech i we Francji. Dlaczego pozwolił im pojechać? Akurat do skostniałej, ogarniętej stagnacją, zacofanej Europy? Powinni pojechać do Azji jeśli już, do miejsca, które spoglądało w przyszłość, zamiast fetyszyzować przeszłość.

Holtzmann potrząsnął głową i podniósł się przy pomocy laski, chcąc udać się do domu, gdy do pokoju wpadł Kent Wilson.

- Doktorze Holtzmann - zaczął Wilson - dobrze, że pana złapałem. - Młody stażysta wyglądał na spłoszonego i bardzo zdenerwowanego.

- Kent, właśnie miałem wychodzić - odparł Holtzmann. - Czy to może poczekać do jutra?

- Nie, proszę pana. - Wilson zamknął za sobą drzwi.

Holtzmann zmarszczył brwi.

- O co chodzi?

- Sir, to Nexus z zamachu. Znalazłem coś...

Holtzmann ożywił się natychmiast.

- Znalazłeś zanieczyszczenie! Możemy zidentyfikować źródło!

Wilson zbladł lekko.

- Nie, sir, nie znalazłem żadnych zanieczyszczeń, ale...

- Co? - wpadł mu w słowo Holtzmann. - Po prostu trzeba szukać dalej, Kent.

- Znalazłem coś innego, doktorze Holtzmann - powiedział Wilson. - Chemiczny kod kreskowy.

Holtzmann znów zmarszczył brwi.

- Dlaczego mieliby umieścić tam kod kreskowy?

Wilson pokręcił głową.

- To nasz kod, sir. Nexus jest stąd, z tego laboratorium. My go zrobiliśmy.

Pole widzenia Holtzmann'a zwężało się nagle, świat uciekł w tył. Skoro Nexus pochodził z ERD, przyjdą go szukać. A gdy przyjdą... dowiedzą się o Nexusie, który Holtzmann wziął z zapasów na własny użytek...

I wtedy jego życie się skończy.

Po wyjściu Wilsona Holtzmann siedział przy biurku i patrzył przed siebie. Kazał chłopcu przysiąc, że nikomu nic nie powie, zamydlił mu oczy obietnicą, że sam przekaże wiadomość do wydziału spraw wewnętrznych, że muszą zachować to w tajemnicy, żeby złodziej nie wiedział, iż znaleźli się na jego tropie.

Teraz trzęsły mu się ręce. Nie mógł się skoncentrować. Wszystko waliło mu się na głowę. Wiedział, czego mu było trzeba. Nie małego strzału. Dużego.

Wystarczającego, aby zagłuszyć ból i strach, pokonać nudności.

Wywołał interfejs, potem podziękę, i gapił na nią. Musi być lepszy sposób. Przez chwilę się wahał. Potem pomyślał o tym, co się stanie, gdy go złapią, i oddech uwiązał mu w piersi. Zwiększył dawkę i nacisnął guzik.

Ulga była natychmiastowa. Obmyła go falą, splukując wszystkie troski. A potem przyszły kolejne. Głębokie, głębokie zadowolenie. Ocean przyjemności. Fala rozkoszy unosiła się wyżej i wyżej, przewaliła się nad nim, a on był w tym oceanie, dryfując w niekończącej się przyjemności i szczęściu. Przez chwilę było idealnie. Wtedy kolejna fala przewaliła się nad nim, i jeszcze kolejna, i kolejna, i nie unosił się na falach oceanu przyjemności, zaczął w nim tonąć, spadał coraz niżej i niżej, wszystkie myśli zmyła powódź opiatów przewalająca się przez mózg.

Ostatnim przeblyskiem świadomości pomyślał, że wziął za dużo. Za dużo. A potem morze opiatów pochłonęło go całego.

Lisa Brandt otworzyła cicho drzwi do swojego mieszkania w Bostonie. To był długi, przygnębiający dzień. Pieprzeni politycy. Nie mieli jaj. Nexus był synonimem zamachowca samobójcy, terrorysty. Nie ośmielił się ponownie zalegalizować jego wykorzystania dla dzieci autystycznych lub uznać dzieci urodzonych z Nexusem za ludzi. Nie tak blisko wyborów. A Martin Holtzmann... Co za katastrofa. I pomyśleć, że kiedyś jej się podobał. Wydawał się taki inteligentny i wyjątkowy.

Tak, kiedy miałam dwadzieścia pięć lat. Zanim zorientowałam się, co to za wór nawozu.

Lisa westchnęła, zamykając za sobą drzwi. Przyćmione światło padało na drewniane podłogi i dywan przywieziony z Turcji, obrazy o żywych barwach, które zebrała w podróży przez Amerykę Środkową. Po cichu przeszła korytarzem do sypialni i zajrzała do środka. Alice spała mocno w ich wspólnym łóżku. Po drugiej stronie pokoju, w łóżeczku, pochrapywał Dilan. Lisa podeszła do niego na palcach, patrzyła, jak jego malutka klatka piersiowa unosi się i opada, na maleńkie zaciśnięte piąstki i zamknięte oczka. Teraz był ich synem. Ich adoptowanym synem. Ich bardzo wyjątkowym adoptowanym synem.

Czy on i Alice śnili wspólnie? Czy maleńki niemowlęcy umysł wtulony był w pieśczętę myśli jednej z jego matek?

Jak to mogło być złe? Jak ktokolwiek mógłby spojrzeć na to cudowne, bezradne

maleństwo i zobaczyć coś innego niż słodycz?

Och, było tak wiele dobrych powodów, aby zaakceptować możliwości Nexusa. Postęp w leczeniu alzheimera, niesamowite zmiany związane z autyzmem, przełomowe odkrycia naukowców, których tylko głęboko splecione umysły były w stanie dokonać.

Ale nie istniał powód równie dobry, równie ważny, równie prawdziwy, jak możliwość dotknięcia umysłów ludzi, których się kochało.

Lisa potrzebowała całej siły woli, by wyjść z sypialni. W kuchni opróżniła półkę w lodówce, sięgnęła do tyłu i odsunęła ukryty panel, wyjęła schowaną fiolkę. Ostrożnie włożyła wszystko z powrotem i poszła do gabinetu.

Wsunęła nielegalną kartę łączności do tabletu, uruchomiła interfejs, odszukała najświeższy backup. Jej palec zawisł na chwilę nad przyciskiem. Jak długo mogła jeszcze to ciągnąć, robić backup swoich danych i oczyszczać się za każdym razem, gdy wyjeżdżała, znosić ból, splątanie i dezorientację, gdy węzły Nexusa odłączały się od jej neuronów i rozpadały na części składowe, czuć ten metaliczny zapach za każdym razem, gdy sikała, a następnie spędzać godziny, by znowu umieścić Nexusa w swoim mózgu i przywrócić dane z kopii zapasowej za każdym razem, gdy wracała do domu?

To było frustrujące. To było czasochłonne. To było ryzykowne.

Mogłabym przestać, pomyślała Lisa Brandt. Opuścić Nexusa całkowicie.

Potem pomyślała o umysłach żony i syna w pokoju obok, słodczy dotykania ich, i wiedziała, że dalej będzie to robić, tak długo, jak będzie trzeba.

Odchyliła głowę i przełknęła metaliczny srebrzysty płyn. Wpisała polecenie do tabletu, żeby przywrócił aplikacje i dane sprzed podróży. Potem oparła się wygodnie, zamknęła oczy i czekała, by dotknąć tych, których kochała najbardziej.

Q&A

Czwartek, 18 października

Rangan Shankari drgnął, kiedy drzwi do jego celi otworzyły się z hukiem. Światło po raz pierwszy od wieków zalało pomieszczenie, padając zza barczystych sylwetek strażników. Było tak intensywne, że zamrugał. Wtedy naciągnęli mu kaptur na oczy i świat nabrał stonowanej szarej barwy.

Wywieźli go z celi na łóżku szpitalnym, ręce i nogi miał związane. Słyszał, jak drzwi otwierają się i zamykają, czuł zakręty, aż wreszcie się zatrzymali. Drzwi się zamknęły, łóżko przechyliło gwałtownie i jego głowa znalazła się o stopę niżej niż nogi. Nie był zaskoczony. Ostatnie kilka posiłków w formie płynnej przygotowało go na to. Jedno zawsze następowało po drugim, tak niezmiennie jak noc po dniu.

Czuł, jak jego puls wzrasta. Oddech stał się przyspieszony. Ale nie dadzą rady go złamać. Rangan wycofał się do Wnętrza.

[aktywuj spokój poziom 10]

Moduły kodu aktywowały się w węzłach Nexusa w jego mózgu. Sygnały strachu przechodzące przez neurony w ciele migdałowatym zostały stłumione. Poziom serotoniny w mózgu wzrósł. Węzły w rdzeniu przedłużonym przejęły kontrolę nad pulsem i oddechem, ustabilizowały je.

Spokój zstąpił na Rangana, rozcinając jego strach niczym nóż. Pewność siebie rosła. Dam radę, pomyślał. Dam radę.

Głos przemówił mu do ucha:

- Panie Shankari. Wiem, że było panu tutaj ciężko. Możemy sprawić, że pana życie stanie się dużo bardziej komfortowe. Lub dużo gorsze. Więc zapytam pana po raz kolejny. Jak możemy aktywować tylne wejście do Nexusa 5? Jaki jest kod?

- Pierdol się - splunął Rangan przez tłumiący głos kaptur.

Pięść uderzyła w brzuch, odbierając mu dech.

Jego przepona skurczyła się spazmatycznie. Świat zmienił barwę z czarnej na czerwoną. Po czym skurcz zelżał i Rangan znów był w stanie nabrać w płuca słodkiego powietrza.

- Ręcznik - powiedział głos.

Coś ciężkiego i mokrego wylądowało mu na twarzy. Świat z ciemnego zmienił się w smolście czarny. Wiedział, co teraz nastąpi. Był na to przygotowany.

Na jego twarz połała się woda. Poczuł jej ciężar sekundę przed tym, zanim poczuł wilgoć. Potem wypełniła mu nos i usta. Dusił się. Jego ciało szarpało się spazmatycznie na stole, reagując odruchowo, próbując uciec od wody.

Czuł to wszystko z daleka, buforowane przez pakiet spokoju.

Nie zamierzają mnie zabić, powiedział sobie Rangan. To tylko podstęp, blef, gra psychologiczna.

Wtedy woda zniknęła, a razem z nią ciężar ręcznika. Rangan zmusił się do złapania tchu, tak jak każdy normalny człowiek by to zrobił, taki, który nie ma w głowie kodu kontrolującego reakcje. Złap oddech. Oddychaj. Uzupełnij zapas tlenu. Oddychaj.

Głupi popierdoleńcy, pomyślał. Nie złamiecie mnie.

Po czym usłyszał następny głos, tym razem kobiecy:

- Puls sześćdziesiąt pięć, galwaniczna odporność skóry... bez zmian. On to wygłusza.

Co?

Teraz pierwszy głos:

- Niegrzeczny, oj, niegrzeczny Rangan. No, ale wiemy już, w jaki sposób nam się opierasz.

Co?

Wtedy podciągnięto mu koszulę i przytknięto do boku coś twardego i zimnego, i wtedy...

AGGGHHGH!

Prąd popłynął przez niego. Jego ciało szarpnęło się spazmatycznie, wyprężyło.

AGGGHHGH!

Porazili go po raz drugi. Trzeci. Śmieci przewijały się przez oko jego umysłu w miarę, jak węzły Nexusa były rozrywane i Nexus OS napotkał katastrofalny błąd. Pakiet spokoju został wyłączony razem z resztą Nexusa 5. Tarcza Rangana przeciwko prerażeniu zniknęła. Pot natychmiast pojawił się na jego czole. Puls przyspieszył, a żołądek zawiązał się w supeł.

- Puls podskoczył - powiedział kobiecy głos bez emocji. - Wytłumienie zlikwidowane. Można kontynuować.

Nie. Och nie, nie, nie, nie, nie.

Wtedy na twarzy Rangana znowu pojawił się mokry ręcznik. Teraz, śmiertelnie przerażony, instynktownie wstrzymał oddech i ktoś mu przywalił. Sapnął, kiedy powietrze z niego uleciało, nie mógł oddychać, kurwa, nie mógł oddychać, a kiedy znów mógł wciągnąć powietrze, zamiast powietrza była woda, dławiła go, wypełniała jego nos, usta i płuca, kaszłał wodą, jego ciało pogrążyło się w konwulsjach, rękami i nogami szarpał tak mocno, że pasy, którymi był związany, przecięły skórę, a woda lała się przez cały czas, nie mógł oddychać, serce mu waliło, zaczął panikować, spróbował głębiej oddychać i: o kurwa jego zajebana

mać, zaraz mnie zabiją.

Wtedy potok wody ustąpił, zaczął kaszleć, kaszlał tak mocno, że myślał, że z wymiotuje do wnętrza maski, w końcu zdjęli mu ręcznik i nareszcie, pomiędzy kasznięciami, mógł zaczerpnąć słodkiego powietrza.

- I jak ci się to podoba, Rangan? - powiedział Głos. - Bo ja tak mogę cały pieprzony dzień.

Pierdol się.

Rangan spróbował to powiedzieć mimo strachu i wody w płucach, ale jedyne, co z siebie wy dobył, to kaszel. Głos się zaśmiał. Rangan zaczerpnął powietrza. Zdobył się na błyskotliwą obelgę, w zamian otrzymał kolejny cios i znów stracił oddech, a kiedy zdołał go odzyskać, była już tylko woda i znowu się, kurwa, topił. Boże, proszę, Boże, kurwa, kurwa mać, ja pierdołę, Boże.

A potem kaszlał, kaszlał i kaszlał, a potem się porzygał i ohydny czekoladowy napój, którym go karmili, wrócił z obrzydliwym posmakiem żółci, topił się we własnych jebanych czekoladowych rzygach. Zdarli z niego ręcznik i maskę, wtedy w konwulsjach wymiotował jeszcze raz, wymiotował w bok do wiadra, mrużąc oczy od intensywnej bieli pokoju. Zanim zdążył obrócić głowę, żeby zobaczyć, w końcu zobaczyć twarz Głosu, maska wróciła na jego twarz, śmierdząc czekoladą i żółcią.

Leżał tak przez chwilę, dysząc, paw kupił mu kilka chwil wytchnienia.

Nie zamierzają mnie zabić, powiedział sobie po raz kolejny. Próbował trzymać się tej myśli nawet bez pakietu spokoju. Jebańcy chcą mnie żywego. Nie pozwolą mi umrzeć. Po prostu się trzymaj. Trzymaj się.

Potem ręcznik wrócił na swoje miejsce, zaraz po nim znowu pojawiła się woda i byłoby lepiej, gdyby nawet nie próbował wstrzymywać oddechu, ale Bóg mu dopomóż, kurwa, nie mógł się powstrzymać, więc wstrzymywał, wtedy przyszedł pierwszy oddech, tak jak wiedział, że przyjdzie, powietrze eksplodowało z jego płuc i kiedy w końcu wciągnął je z

powrotem, nie było wcale powietrzem, to był ocean, który go topił tak jak wtedy, kiedy odpłynął za daleko od brzegu na plaży Goa i zaczął panikować i tonąć, nie wiedząc, w którą stronę do brzegu oraz gdzie jest góra, a gdzie dół. Wtedy był pewien, że umrze, a wody było coraz więcej i więcej, wymiotował w konwulsjach, szarpał więzami tak, że nadgarstki płonęły bólem za każdym szarpnięciem, oczy wyszły mu z orbit, a kurewska woda nie przestawała płynąć i nie mógł oddychać. Boże, nie mogę oddychać, nie dopłynę do brzegu, nie mogę oddychać, topię się tutaj, a wody przybywa. Za każdym razem, kiedy kaszłał, zasysał tylko więcej wody i ani trochę powietrza, aż do momentu, w którym nie kaszłał, nie kaszłał, nie oddychał, a świat robił się szary, on zaś zatapiał się pod fale i nie mógł, kurwa, oddychać, Boże, pomóż mi, umieram, umieram, topię się, utonę tutaj, nie mogę dostać się do brzegu, nie mogę wypłynąć, żeby zaczerpnąć powietrza. I wtedy świat dookoła niego zadrżał, i pomimo tego, że umierał, Rangan poczuł, jak łóżko zostało ustawione w pozycji pionowej, głowa mu opadła. Pozycja ratownicza, o słodki Boże, naprawdę umieram.

Zatracili się, spierdolili, naprawdę zaraz umrę.

Pięść uderzyła go w brzuch, a on ciągle nie mógł, kurwa, oddychać.

Umrę tutaj, umrę tutaj.

Pięść znowu w niego grzmotnęła i spróbował odkaszlnąć wodę, ale, kurwa, ciągle nie mógł, spróbował się poddać, przeżyć kilka swoich ostatnich sekund na ziemi w spokoju, ale po prostu nie mógł tego zrobić.

Słodki Jezu, przykro mi, tak mi przykro. Proszę, ja nie chcę umierać.

Wtedy pięść po raz trzeci uderzyła go w brzuch. W końcu odkaszlnął płyn i nabrał powietrza, po czym zwymiotował, żołądek mu się skręcił i zwymiotował po raz kolejny, rzygał do maski, do maski, ciągle umierał.

Ktoś mu ją zdjął, ciężko oddychał, cały czas kaszłąc, łapiąc każdy oddech. Próbował nie płakać, ale na nic to się nie zdało, płakał i coś szeptał:

- Proszę... Proszę... Wygrałeś... Proszę... Dość...

Umyli go, przynieśli czyste ubrania i gorącą zupę, po czym przesłuchiwali go przez trzy godziny.

Nexus OS wracał do działania w miarę, jak węzły się odbudowywały. Myślał nad odpaleniem pakietu spokoju, ale na samo wspomnienie cały drżał. Ta droga prowadziła do bólu. Ta droga prowadziła do tortur. Na tej drodze prędzej czy później zabiliby go naprawdę.

Zamiast tego powiedział im wszystko. Jak działały tylne wejścia do Nexusa, wszystkie trzy. Ujawnił hacki w kompilatorze, pozwalające na wprowadzenie ich do Nexusa, mimo że nie istniały w kodzie źródłowym. Pokazał triki wyciemniające, które ukryły tylne drzwi w przypadkowych jedynkach i zerach rozrzuconych po bilionach plików binarnych, nierozróżnialne od parametrów zarządzających milionami neuronów, tworząc niemalże niemożliwą do odtworzenia inżynierię.

I oczywiście hasła same w sobie.

Powiedział im, jak mogą zbudować nowy kompilator od zera, bez instalowania tylnych drzwi, ale było widać, że ich to nie obchodzi. Wszystko, czego chcieli, to obecne hasła oraz informacje, jak ich używać.

Co oznaczało, że zamierzali włamać się do mózgow osób, w których jest już Nexus 5. Co oznaczało, że wyciekł.

A to znaczyło, że był głównym.

Odprowadzili go do jego celi, tym razem z zasłoniętymi oczami, ale nie związanego. Kiedy dotarł na miejsce, odsłonili mu oczy. W celi było światło, łóżko bez pasów oraz ekran. W momencie, kiedy usiadł, drzwi otworzyły się ponownie i do celi wmaszerował dyżurny z tacą pełną ciepłego jedzenia.

Brzuch Rangana zaburczał na widok solidnego ciepłego posiłku, nawet pomimo tego, że coś w nim pękło na myśl o tym, jak potwornie się sprzedał.

Spojrzał w dół, nie był w stanie spojrzeć dyżurnemu w oczy, a w momencie, kiedy to zrobił, usłyszał dźwięk drzwi otwierających się gdzieś na dole korytarza i poczuł coś niesamowitego.

Umysły. Wiele umysłów. Umysłów dzieci. Poczul je, a one poczuły jego i były dziwne, krzywe, pełne chaosu, a on próbował zrozumieć, kim były i co robiły tutaj.

Drzwi zamknęły się szczelnie i umysły zniknęły. Został całkiem sam ze swoim posiłkiem zdrajcy.

7

Sny i koszmary

Czwartek, 18 października

Kade przyglądał się, jak Feng prowadził dżipa w dół wąskiej górskiej drogi, oddalając się od Chu Mom Ray w stronę równiny i klasztoru Ayun Pa. Feng z wprawą omijał koleiny, skały i połamane gałęzie. Wiatr dawał skórze miłe wytchnienie od upału.

Kade odchylił się do tyłu i zamknął oczy, żeby zacząć pracę. Spędził ostatnio tydzień w trybie offline, w miejscach bez dostępu do sieci. Teraz ponownie zbliżali się do cywilizacji. Sięgnął do sieci komórkowych, a stamtąd, przez chmury serwerów zapewniających mu anonimowość, do sieci. Aktywność Nexusa błyskała na całym świecie, przeważnie zamaskowana. W ogromnych przepływach danych maszyn rozmawiających z maszynami była to zaledwie strużka bitów, łatwa do ukrycia.

Informacje popłynęły do jego umysłu. Program zebrał je i skatalogował.

Najpierw Kade przejrzał dane od programów wysłanych do zbierania informacji na temat Ilyi i Rangana. Niewielkie autonomiczne fragmenty kodu korzystały z tylnych drzwi, które on i Rangan zainstalowali w Nexusie, a on opatrzył nowymi hasłami, zanim wypuścił

Nexusa do sieci. Teraz nieustannie przeszukiwały umysły użytkowników Nexusa i polowały, polowały...

Ilya by się wściekła, szepnął jakiś głos w jego umyśle. To masowe naruszenie prywatności.

Kade zignorował ten głos. Zdecydował się na ten krok, by ją odszukać. Ją i Rangana.

Nie było łatwo napisać bota, który przesieje zawartość umysłów w poszukiwaniu wiedzy na temat dwóch osób. Jakiego użyć klucza? Imion? Twarzy? A jeśli ktoś słyszał tylko jedno nazwisko? Albo widział twarz w wiadomościach?

Nieustająco dopracowywał wytyczne. Ich twarze i nazwiska, wymówione lub przeczytane, w połączeniu z wrażeniem uwięzienia albo zamknięcia, oskarżenia, egzekwowania prawa. Szukał kogoś pracującego dla ERD, być może kogoś z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, albo współpracownika, albo ich małżonków, kochanków, powierników. Kogoś, kto wiedział, gdzie są Rangan i Ilya, i kto pomógłby Kade'owi ich uwolnić.

W ciągu minionych sześciu miesięcy miał setki fałszywych trafień. Dzisiaj zebrał kolejne tuziny, była to konsekwencja ich podróży przez kompletne odludzia między Kambodżą a Wietnamem. Odegrał kolejno wspomnienia i wszystkie wykasował. Były fałszywe co do jednego.

Potem zaczął przeglądać wszystkie zmiany i ulepszenia w oryginalnym kodzie Nexusa. Ściągnął setki z najpopularniejszego serwera, gdzie programiści, neurobiolodzy i inni zainteresowani przychodzili pogadać, poanalizować, usunąć błędy, najogólniej mówiąc: ulepszyć system operacyjny Nexusa, który stworzyli Ilya i Rangan.

Nexus OS był teraz oprogramowaniem typu open source, każdy mógł je zmieniać. Wielu to robiło. Poprawki były znaczące i wychodziły w niewielkich odstępach czasu. Łatki zapobiegające wysypywaniu się systemu, likwidujące rozmaite bugi, luki w zabezpieczeniach. Umożliwiająca współdzielenie danych na nowe sposoby i upraszczające pisanie aplikacji. Aktualizacje optymalizujące wydajność systemu. I nowe narzędzia do pracy

z pamięcią, uwagą, emocjami, snem, przez masę innych funkcji aż do poziomu surowych połączeń między neurotransmiterami.

O wiele więcej, niż kiedykolwiek dokonalibyśmy sami, pomyślał Kade. Setki ludzi zmieniają teraz źródła. Wielu mądrzejszych ode mnie. Postęp jest niesamowity.

Kade całkiem zatracił się w czystej radości, kod i kolejne okna otwierające się w jego głowie zajęły go bez reszty.

Po godzinie wylogował się z żalem. Musiał się zająć jeszcze jedną sprawą. Tą najbardziej zniechęconą. Oprogramowaniem submisji. Kodem podporządkowania, dominacji, tortur. Kodem używanym do kradzieży. Kodem wykorzystywanym do gwałtu. Kodem do zniewalania innych. Stworzył programy-agentów, które polowały na to oprogramowanie - szukały sygnałów, że kod jest wykorzystywany, sprawdzały wzorce struktur.

Pierwszy raz, gdy znalazł taki kod, zareagował brutalnie, niszcząc repozytorium, usuwając na siłę Nexusa z mózgu człowieka, który pracował nad technologią zniewolenia. Ale to nie było żadnym rozwiązaniem. Kod mógł zostać odtworzony albo jeżeli nie odtworzony, to stworzony ponownie. Nawet jeśli usunęło się komuś Nexusa z mózgu, to ta osoba mogła bez trudu zainstalować system ponownie.

Od tamtego czasu Kade działał w sposób bardziej wyrafinowany. Obrócił narzędzia przymusu przeciwko ich twórcom. Powstrzymywał tych ludzi, zmieniał uwarunkowania, by nigdy dla nikogo nie mogli stanowić już zagrożenia. Dopadał ich i kastrował, i było to wspaniałe uczucie - powstrzymywać tych wszystkich drani.

Zmieniasz się w potwora - szepnęła do niego Ilya. Widział w myślach jej twarz. Trójkątną. Szczerą. Poważną. Naruszasz prywatność cudzego umysłu, przejmujesz nad nim kontrolę. To władza tak ci się podoba.

Nie mam innego wyboru - Kade przerwał głosowi w swojej głowie. Nie, póki nie skończę Nexusa 6.

Pamiętasz, o co zapytał cię Ananda? - szeptała Ilya. Czy jesteś mądrzejszy niż cała ludzkość? Jesteś, Kade? Jesteś?

Nawet cię tam nie było - powiedział Kade i zaczął ją ignorować.

Każde nadużycie było krokiem naprzód. Każde było szansą na powstrzymanie potwora, pomoc niewinnemu. Każda nowa technika wykorzystania Nexusa jako narzędzia przymusu pozwalała na stworzenie odpowiednich zabezpieczeń w Nexusie 6.

Przejrzał raporty programów z siedmiu dni, kiedy był offline. Alarmy były fałszywe, żaden nie oznaczał tak naprawdę nadużycia.

I dobrze. Może wreszcie zrobił jakieś postępy.

Dzień zbliżał się do końca. Kade miał w końcu chwilę, by przejść do rzeczy, która poruszała go do głębi.

Jego programy-agenci były teraz wszędzie, w setkach tysięcy umysłów, szukając jego przyjaciół, szukając wykroczeń. Używały tylnych drzwi i kodu, które zaktualizował w Tajlandii, kilka godzin przed atakiem ERD na klasztor Anandy, kiedy to okoliczności zmusiły go do wypuszczenia Nexusa w publiczną sieć.

W większości umysłów, do których wnikali agenci, nie było żadnych śladów nadużyć ani przyjaciół Kade'a. Ale to nie znaczyło przecież, że niczego nie znaleźli. Za każdym razem znajdowali przecież istotę ludzką, myślącą, czującą osobę, iskrę światła.

Po raz kolejny Kade zamknął oczy i pozwolił, by informacje dalej przepływały przez niego swobodnie. Specjalny program wizualizował je, oznaczał poszczególne umysły jako maleńkie światełka na powierzchni cienistego globu. Blask umysłów rysował kształt kontynentów, obraz przypominał nocne światła cywilizacji widziane z kosmosu.

Kade zaczął oddychać wolniej, otworzył dłonie wsparte na kolanach i pozwolił, by obmyła go fala umysłów mieszkańców Ziemi, którzy używali Nexusa. To było niczym dźwięk, szum fal oceanu na nieskończonym brzegu, jak pędząca niedaleko rzeka. Ale tak

naprawdę nie był to dźwięk. To był czysty umysł, czysta myśl, czysta emocja.

Dotyk zbiorowego umysłu był nieokreślony, bezkształtny: biały szum myśli. Kade odetchnął i zanurzył się w tym dotyku, pozwolił swoim myślom rozpuścić się w tym oceanie, który stanowił zarazem załączek świadomości. Ocean wlał się w niego, aż Kade zniknął prawie zupełnie i stał się naczyniem, wypełnionym bez reszty najlżejszym echem myśli ludzkości.

A potem zasnął i śnił o dniu, kiedy ten umysł nie będzie pozbawiony kształtu, kiedy Nexus połączy ludzkość w coś więcej.

Kade obudził się w dziupie pogrążonym w ciemności. Alarm migał, migał i migał.

Czuł się zdezorientowany. Alarm zdawał się częścią snu, częścią ludzkości stającej się czymś większym, czymś wspanialszym.

Ale tym nie był.

[Alarm: wykryto kod submisji wzór alfa.

Status: aktywny].

Kade poczuł serce w gardle.

Wzór alfa. Ten sam, którego użyto w Waszyngtonie podczas zamachu na prezydenta.

Otrząsnął się z oszołomienia. Teraz miał szansę. Mógł ich powstrzymać. Złapać.

Kliknął na link w umyśle. Natychmiast uformowało się zaszyfrowane połączenie. Tyłne drzwi aktywowane, pełen dostęp. Hasło przesłane. I już był wewnątrz.

Breece uśmiechnął się do kelnerki, kiedy ta przyniosła mu następną kawę. Odpowiedziała ostrożnym uśmiechem. Ot, kolejny klient w knajpie przy autostradzie. Wysoki, muskularny, może kiedyś nawet przystojny. Ale teraz pod brudną koszulką wyraźnie rysował się brzuch, długie włosy splecione były niczym dredy, a nierówna broda nie zasłaniała

blizny przecinającej jego twarz po jednej stronie.

Zamieszał kawę, upił łyk i skupił uwagę na leżącym przed nim tanim tablecie.

Czas. Wszystko sprowadzało się do wyboru właściwego momentu. Za szybko wyjawiona pointa nikogo nie rozbawi. A kto późno wstaje, nic nie dostaje.

Żeby osiągnąć właściwy efekt, trzeba wybrać właściwy moment.

8.47 rano. Proszę. Napływ ludzi do budynku osiągał maksymalne natężenie. Kobiety i mężczyźni machali identyfikatorami, zaglądali w skaner siatkówki i przechodzili przez kuloodporne drzwi. Gdy drzwi się otwierały, Breece widział po drugiej stronie coraz dłuższą kolejkę pracowników Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, czekających, by przejść przez detektory bomb i Nexusa. Breece uśmiechnął się do siebie. Wprowadzenie detektorów Nexusa wszystko spowalniało, to było wąskie gardło, liczba uwięzionych w nim potencjalnych celów wzrastała gwałtownie.

I proszę. Przez drzwi przeszedł właśnie cel numer jeden. Zastępca dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Agent, który stał beczynnym, gdy wściekły tłum zatłukł parę genetyków trzy lata temu, który nie zrobił nic, by temu zapobiec. Człowiek, który powinien stracić swoją odznakę, powinien trafić do więzienia, a zamiast tego otrzymał awans. No cóż, jego kariera właśnie dobiegła końca.

Nadszedł właściwy moment.

Breece dotknął ekranu tabletu, inicjując działanie. Telefon komórkowy oddalony o tysiące mil wysłał sygnał do systemu operacyjnego w głowie muła. Muł z przesyłką przeszedł przez plac, machnął identyfikatorem, przyłożył oko do skanera, pchnął kuloodporne drzwi i wkroczył do środka.

Kade próbował jakoś zrozumieć dane płynące z mózgu człowieka. Był w jakimś pomieszczeniu. Ludzie. Kolejka. Niejedna. Wykrywacze metalu. Pas wiozący torby do wnętrza skanera. Lotnisko? Wokół niego tłoczyli się ludzie.

Zabójstwo. To był kod zabójstwa. Broń. Musiał mieć broń. Kade przejął kontrolę nad ciałem tego człowieka, poklepał kieszenie marynarki, potem spodni, sprawdził za paskiem na plecach. Nic.

Ktoś go potrącił, gdy kolejka się przesunęła.

Odwrócił się. Kobieta w bluzeczce i spódnicy miała zawieszony na szyi identyfikator. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. O nie. Nie lotnisko.

Co robił tu zamachowiec? Jaki był plan? Kade widział drzwi za tłoczącymi się ludźmi, ciemne szkło, za nim blask słońca. Mógłby tam pobiec, znaleźć się jak najdalej od tych ludzi, na zewnątrz.

- Sir, proszę przejść do przodu i położyć torbę na skanerze - odezwał się głos za nim.

Torba. Miał plecak na ramieniu. Rzucił go na pas transmisyjny. Plecak wylądował z głośnym łupnięciem. Ciężki. Bardzo ciężki.

Kade rozejrzał się wokół. Tylu ludzi. Musiał ich ostrzec.

- Chyba mam bombę! - wrzasnął. - Bombę!

Na twarzach wokół niego odmalował się szok. Ludzie zaczęli cofać się gwałtownie. Ochroniarz sięgnął po broń. Kade ruszył ciałem i rozpiął zamki. Zobaczył wiązkę drutów i błysk czerwonego światełka.

A potem czysty chaos zalał jego zmysły.

[POŁĄCZENIE ZERWANE]

Kade w szoku zaczerpnął gwałtownie powietrza. Co? Co?

Dżip się zatrzymał. Feng zjechał na pobocze i patrzył na Kade'a ponuro.

Kade odwrócił się do przyjaciela odrętwiały, oszołomiony. Otworzył usta, ale nie był w stanie wykrztusić słowa.

Ale Feng zrozumiał.

- Dorwiesz ich - powiedział, kładąc ciężką dłoń na ramieniu młodego mężczyzny. - Nie mam wątpliwości.

Breece zachowywał pozorny spokój, przeglądając wyniki sportowe na porysowanym ekranie tabletu. Wewnątrz aż się gotował.

Ktoś był w środku. Ktoś przejął kontrolę nad mułem i niemal wszystko zepsuł. Kto? Jak?

Wypił kawę i nadal udawał żalosego człowieczka zainteresowanego sportem. Trzy minuty później kelnerka z głośnym „och” podkręciła głoś w telewizorze.

-...ponownie mamy niepotwierdzone informacje, że w budynku Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Chicago miała miejsce eksplozja. Świadkowie donoszą o ofiarach śmiertelnych i rannych. Gdy dowiemy się więcej...

Breece odwrócił się, udając równie zaszokowanego, jak reszta klientów.

-...oświadczenie Frontu Wyzwolenia Postludzi - mówił dziennikarz - stwierdzające, że był to, cytuję, „zamach na zastępcę dyrektora Agencji Bradleya Meyersa za jego współudział w morderstwie trzy lata temu”.

Piętnaście minut później szczegóły dotyczące zamachu dotarły do mediów szeroką falą. Breece patrzył, jak materiał filmowy odtwarzano wciąż od nowa, a potem zadbał, by enzymatyczny środek czyszczący usunął wszystkie jego ślady biologiczne, zapłacił i wsiadł do poobijanego hyundaia na parking.

Przejechał dziesięć mil, gdy zadzwonił zaszyfrowany telefon. Ten numer znał tylko jeden człowiek na Ziemi. Zaratustra.

- Kazałem ci czekać na rozkazy. - Nawet mimo elektronicznie generowanych zakłóceń słychać było ostry ton głosu i drzemiący głębiej gniew.

- Dałem ci trzy miesiące. A potem przestałem czekać.

- Twoje zachowanie jest nie na miejscu.

Breece uśmiechnął się do siebie.

- Być może to twoje zachowanie jest nieodpowiednie, Zara - odparł spokojnie.

- To ostatnie ostrzeżenie.

- Oglądaj wiadomości - powiedział wciąż uśmiechnięty Breece i przerwał połączenie.

Trzy miasta dalej skręcił do wynajętego magazynu. Dwadzieścia minut później wyjechał nie hyundaiem, ale nowym modelem lexusa, ostrzyżony, czysty i gładko ogolony. Cieniutkie rękawiczki, maska z blizną, nakładki na usta, które zebrały większość jego DNA, teraz były tylko plamą oleju. Tablet, którego używał, zmienił się w kawałek połamanego plastiku. Ubrania, peruka i fałszywy brzuch zniknęły, spalone, zastąpiły je drogie spodnie i lniana koszula. Wewnątrz garażu mgła niszczących DNA enzymów kończyła wymazywanie wszelkich śladów Breece'a z samochodu i budynku. To na bardzo mało prawdopodobny wypadek, gdyby FBI lub ERD kiedykolwiek udało się prześledzić sygnał telefonu i dotrzeć do jadalni. Stamtąd trafią donikąd. Nawet jeśli w jakiś sposób zlokalizowałiby ten garaż, to i tak nie znajdą się bliżej niego.

Hiroshi, Ava i Nigeryjczyk powiadomili, że wszystkie ich ślady zostały zatarte z taką samą dokładnością.

Breece otworzył dach kabrioletu. Promienie słońca skąpały go w ciepłe i przyniosły mu uśmiech. Zapowiadał się wspaniały dzień.

„Ja was uczę nadczłowieka” - napisał Nietzsche.

O tak, pomyślał Breece. Ja jestem nadczłowiekiem. Człowiek jest czymś, co muszę pokonać.

Przełączył lexusa na ręczne sterowanie, nacisnął na gaz i pojechał ku wspaniałemu porannemu słońcu i przygotowaniom do kolejnej akcji.

Człowiek o kryptonimie Zaratustra patrzył na telefon w dłoni zimnym spojrzeniem ciemnych oczu.

Mieli problem, prawdziwy problem. Potrząsnął głową i wybrał kolejny numer, by z tym skończyć.

8

Dobre życie

Połowa października

Od czasu do czasu Sam oglądała wiadomości ze Stanów. Informacje o tym, jak rozpadała się Konwencja Kopenhaska. Wietnam i Malezja wystąpiły zeń, tak jak wcześniej Tajlandia. Indie, nowe supermocarstwo, zostały przyłapane na gorącym uczynku, gdy zachęcały do prowadzenia badań nad Nexusem i innymi zakazanymi technologiami w obrębie ich granic.

Wszystko sprowadza się do pieniędzy, uczył ją Nakamura. Bogatym krajom nie przeszkadzają ustalenia z Kopenhagi. Ale w przypadku krajów zmagających się z biedą ta technologia może wszystko zmienić. To duża motywacja.

No a teraz Sam mogła obserwować, jak te słowa stają się rzeczywistością. Działy się i gorsze rzeczy. Wciąż pokazywali powtórki materiałów z zamachu na prezydenta. Powtarzano historie o porwaniach i gwałtach przy użyciu Nexusa.

Ciśnienie krwi Sam podnosiło się gwałtownie przy każdym wydaniu wiadomości. Nie mogła później przestać o nich myśleć, prześladowały ją całymi dniami, nieustannie odtwarzała je w głowie, zastanawiając się, jakie miały znaczenie, co właściwie powinna sądzić na ten temat. Nękały ją tak długo, aż w końcu nie była w stanie znieść tego dłużej i w ogóle przestała oglądać wiadomości.

Sześć miesięcy temu wszystko było proste i zrozumiałe. Nexus był technologią kontroli umysłów. Jasne i proste. Równie destrukcyjną, jak narkotyk RCSK, Rób, Co Się Każe. Równie złą, jak wirus Komunii, który odebrał jej dzieciństwo i wszystkich, których wtedy kochała. A może nawet gorszą.

Ale teraz... Wystarczyło tylko dotknąć umysłu dziecka i wiedziała, że Nexus był czymś więcej. Wystarczyło, by Mai połączyła się z Sam tylko raz i rozplątała ten węzeł w środku, a dla Samantha wszystko się zmieniło.

Wszystko zależy od perspektywy, pomyślała Sam. To, co sądzę o Nexusie czy jakiegokolwiek innej rzeczy. Wszystko sprowadza się do tego, co widziałam i czego doświadczyłam.

Pewnej nocy Sam leżała w łóżku obok Jake'a, rozmawiali o dzieciach.

- Uczą się tak szybko - stwierdził Jake. - Osiągają niesamowite wyniki.

- Są mądrzejsi dzięki Nexusowi? - Sam odwróciła się w jego stronę, wspierając głowę na jednej ręce, drugą przerzucając przez jego szeroką pierś.

- Pojedynczo? Nie. Ale kiedy są razem, tak. Czasem tak. We dwoje czy troje... potrafią utrzymać w głowie więcej niż w pojedynkę. Jakby zwiększały zakres pojemności pamięci roboczej. - Zamilkł na moment. - No i uczą się od siebie. Przynajmniej wtedy, gdy sobie nawzajem nie dokuczają. - Roześmiał się. - Ale jeśli nauczę czegoś jedno z nich, dajmy na to Sunisę, to natychmiast się rozchodzi. Następnego dnia, gdy poddam je testom, każde będzie wiedziało coś z tego, czego uczyłem Sunisę. Łączą się podczas snu.

Sam bawiła się rdzawymi włosami na jego piersi.

- Najmłodsze są o wiele bardziej rozwinięte, niż powinny być. Kit uczy się teraz algebry. Uczą się od starszych, korzystają z ich wspomnień i umiejętności...

Sam przysłuchiwała się pasji w jego głosie.

- I czasami - mówił - można to poczuć nocami, kiedy...

Wiedziała, o czym mówił.

- Kiedy się łączą - dokończyła za niego.

Jake skinął głową, bo chwilowo brakło mu słów. Sam czuła jego zachwyt.

- Nocami - powtórzył. - Kiedy śpią. Czasem też gdy się bawią albo uczą. Kiedy są spokojne i akurat nie walczą. Kiedy są ze sobą synchronizowane, wtedy funkcjonują jak jeden umysł...

Oboje zamilkli na chwilę.

- Zupełnie jakby... - zaczął Jake, pokonując opór. - Szeroka perspektywa, OK? Jakby to był następny krok w naszym rozwoju. Od pojedynczego umysłu do wielu połączonych... Zbiorowa świadomość. Jesteśmy jej częścią. To jest prawdziwy postczłowiek.

Sam patrzyła gdzieś w przestrzeń. Kochała te dzieciaki, ale nie była pewna, co o tym myśleć.

- Była taka kobieta - mówił dalej Jake. - Doktor, w Stanach, która pisała kiedyś sporo na ten temat. W swoich pracach informowała, że już tworzymy umysły zbiorowe, że cały czas ewoluowaliśmy w tym kierunku, od pierwszych okrzyków, do języka, pisma i wreszcie Internetu, no i teraz Nexusa. Że to zbiorowe myślenie czyni nas wyjątkowymi. Nazywa się Ilyana Alexander.

Sam zeszywniała. Ilya.

Nie umknęło to uwadze Jake'a.

- Znasz ją?

- Słyszałam o niej - odpowiedziała Sam, pilnując, by jej głos brzmiał naturalnie, a mięśnie się rozluźniły.

To wyjaśnienie zdawało się zadowalać Jake'a. Położył swoją dłoń na jej i zaczął lekko gładzić.

- Podobno ją aresztowali. Podobno była jedną z tych osób, które stworzyły Nexusa. A teraz jest gdzieś w więzieniu, bez procesu, bez możliwości zwolnienia... Za stworzenie tego. - Jego myśli obejmowały Sam, jego samego, dzieci, ich cały potencjał. - A te dzieciaki? W Stanach? Prezydent powoła się na pierdoloną ustawę Chandlera. W świetle tamtejszych praw te dzieci nie są nawet ludźmi! - Westchnął sfrustrowany. - Ten świat jest pojebany.

Sam kiwnęła głową, myślami była zupełnie gdzie indziej.

- Całkiem pojebany - zgodziła się.

Kiedy Jake zasnął, Sam leżała z szeroko otwartymi oczami, otworzyła też umysł i poczuła umysły dzieci, śniące razem. Tak bardzo ludzkie, przynajmniej dla niej. Ale też więcej niż ludzkie.

Dziewięć umysłów śniących jak jeden... Czuła coś takiego tej nocy w Bangkoku, kiedy czuła, że jest częścią Buddy. Czuła to tej nocy, gdy spała razem z Kade'em i nawzajem śnili swoje sny. Czuła to, gdy wraz z mnichami Anandy pogrążała się we wspólnej medytacji.

Ale wszystko to trwało zaledwie chwilę. Te dzieci... robiły to odruchowo. Czy naprawdę człowiek mógł stać się częścią czegoś większego? Czy umysły mogły stopić się w jeden na dłużej niż tylko kilka chwil?

Ta koncepcja przerażała ją pod pewnymi względami. To byli postludzie. Całe życie uczono ją się tego obawiać. Przejmą cały glob, przewyższą ludzi i zrobią z nich niewolników, doprowadzą do ich wyginięcia. Wróg. Powinna zgłosić jego istnienie już dawno temu. Niebezpieczeństwo dla jej własnego gatunku. Potwory.

Ale w rzeczywistości... czuła myśli tych dzieci, gdy bawiły się, płakały czy walczyły ze sobą, kiedy ich zjednoczone umysły czyniły ją częścią tej całości...

Wtedy czuła, że mięknie w środku, i zaczynała myśleć, że przyszłość wcale nie musi być taka zła.

Październik był gorący ponad wszelkie wyobrażenie. Upał umęczył wszystkich. Dzieciakom brakło cierpliwości, nieustannie wszczynały kłótnie i bójki. Khun Mae była ostrzejsza i bardziej wymagająca niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet Jake zdawał się w jakiś sposób zniecierpliwiony.

Sam zebrała żniwa w drugim tygodniu miesiąca, a Jake pojechał po zapasy do zaprzyjaźnionego sklepu trzy wioski dalej. Po południu Sam usiadła z dziećmi i próbowała przeprowadzić je przez anapanę i vipassanę, techniki obserwacji własnego umysłu, wyciszania go. Początkowo dzieci nie dawały sobie rady, ich umysły były zbyt chaotyczne i rozproszone na tuzin sposobów. Ale kiedy usiadły i połączyły się, chętnie, naturalnie, głęboko, stworzyły jedność podobną do tej, jaką Sam czuła z mnichami Anandy. Sama znalazła się w stanie, w którym nie istniało już ego.

Dziewięcioro dzieci. Jeden umysł.

Wczesnym wieczorem uczyła ich angielskiego. Siedzieli razem, w kręgu, złączeni myślami. Dzieci powtarzały słowa, które powinny wydać im się dziwne, a spływały z ich ust gładko. Słowa Jake'a zadzwoniły echem w głowie Sam. Uczyły się błyskawicznie, każde z nich uczyło się za pozostałych.

Jake wrócił po zapadnięciu zmroku. Ciężarówkę miał załadowaną zapasami. Wraz z Khun Mae i dwiema innymi kobietami nakarmili dzieciaki, położyli do łóżek i potem rozładowali zapasy.

Skończywszy pracę, Sam i Jake poszli zmyć z siebie upał w niewielkim jeziorku. Poziom wody znacznie opadł z powodu suszy, wciąż jednak było jej dość, by się ochlapać i zanurzyć. Po pewnym czasie wyszli z jeziora nadzy, przyjemnie ochłodzeni, opadli na trawę, korzystając z osłony zagajnika, i leżeli skąpani w promieniach księżyca.

Powinam pozwolić mu na kontakt, pomyślała Sam. Pozwolić dotknąć mojego umysłu. Pokazać mu, kim jestem.

Ta myśl ją przeraziła, początkowo zamykała się przed nim z ostrożności. Ale teraz... Teraz mu ufała. Dlaczego więc wciąż się ukrywała? Bo nie była pewna, jak by zareagował, gdyby dowiedział się prawdy o niej. Gdyby dowiedział się o tym, co robiła. O krwi na jej rękach.

Może jutro, pomyślała.

- Kim jesteś, Sunee? - spytał Jake.

Prychnęła, rozbawiona tym zgraniem w czasie.

- No co, nie mam prawa wiedzieć? - pytał, udając oburzonego. - Myślisz, że sam do tego nie dojdę?

Jego palce musnęły obojczyk w miejscu, gdzie kiedyś jej ciało zostało rozcięte.

- Masz tu bliznę - powiedział cicho. - I te tutaj... - Jego dłoń powędrowała na jej brzuch ku śladom, jakie zostawiły kule. - I jesteś silniejsza niż ja. O wiele silniejsza.

Przetoczyła się, by na niego spojrzeć.

- I dzieciaki... Nie nazywają cię Sunee. Tylko Sam. Kim jest Sam, Sunee?

Sam podniosła się na kolana.

Nie dziś, zdecydowała. Może jutro.

- I myślisz, że kim jestem? - spytała z uśmiechem.

Wyszczrzył się od ucha do ucha.

- Myślę, że jesteś szpiegiem - powiedział konspiracyjnym tonem, w którym pobrzmiwały nuty rozbawienia. - Jesteś tajnym agentem.

Uśmiechnęła się i przelożyła mu nogę przez pierś. Gdy go dosiadła, jego spojrzenie powędrowało natychmiast ku jej piersiom i brzuchowi, lśniącym w świetle księżyca wilgocią jeziorka. Z gardła wyrwał mu się niski pomruk. Sam czuła, jak w jego umyśle wzbiera pożądanie.

- Kim naprawdę jesteś? - spytał, a jego dłonie powędrowały pożądliwie w górę jej ud, ku talii. - Dla kogo pracujesz? Skąd masz te blizny? Jak masz na imię?

Sam uniosła się i z diabolicznym uśmieszkiem przesunęła się tak, by jej biodra znalazły się nad jego twarzą.

- Zrób lepszy użytek z tych twoich ust - zaproponowała, opadając niżej. - To może ci powiem.

Jake się roześmiał.

A potem zrobił to, czego chciała.

To było dobre życie. Spokojne. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wcześniej była tak szczęśliwa.

Konsekwencje

Czwartek, 18 października

Martin Holtzmann obudził się, gwałtownie wciągając powietrze. Alarm trąbił wściekle. Holtzmann czuł wilgoć na skórze. Świat wokół kręcił się nieustannie. Pokój był przechylony na bok. Twarz Holtzmann'a była do czegoś przyciśnięta.

Gdzie jestem?

I wtedy sobie przypomniał. Fala rozkoszy. Powódź opiatów w mózgu... Kradzież Nexusa z laboratorium.

Jęknął, gdy wróciła mu pamięć.

Leżał na podłodze. Podniósł się na jedno kolano. Świat zaczął wirować dziko, a następnie poszarzał. Holtzmann ledwo zdołał złapać się biurka.

Czekał chwilę, póki krew ponownie nie napłynęła mu do mózgu, a świat się nie uspokoił. Czuł, że się dusi, więc zmusił się do nabrania powietrza. Złapał się za nadgarstek, szukając pulsu, i znalazł - słaby i powolny.

Palec na nadgarstku był niebieski z braku tlenu.

Przedawkowałem, uświadomił sobie. Mogłem umrzeć.

Alarm nie ucichł, ale teraz słychać było jeszcze głos.

- Zamknięcie na poziomie trzecim. Wszyscy poza niezbędnym personelem muszą natychmiast opuścić placówkę. Powtarzam: eksplozja nastąpiła w biurze w Chicago. Wprowadzono zamknięcie na poziomie trzecim.

Eksplozja. Zamknięcie. Ewakuacja.

To dotyczyło także jego. Miał wątpliwości, czy dotrze do wyjścia. Ale nie mógł pozwolić, by ktoś znalazł go w takim stanie.

Przedawkowanie opiatów. Dobry Boże.

Musiał przeciwdziałać. Holtzmann niemal zniszczył własny mózg. Czy było coś w laboratorium, co postawiłoby go na nogi? Nexodal? Jakiś antagonistą opiatów?

Cholera, pomyślał, nie dotrę nawet do laboratorium.

Musiał pozostać przy środkach pobudzających, spróbować poradzić coś na ogromne stężenie opiatów w mózgu.

Próbował uruchomić interfejs aplikacji uwalniania neuroprzekaźników, starał się wpisać jakieś polecenie. Próbował i po raz drugi mu się nie udało. Wziął głęboki, uspokajający oddech i powodzenie przyszło przy trzeciej próbie. Gdy uruchomił aplikację, wybrał uwalnianie noradrenaliny. Ile? Wciąż czuł się ogłuszony. Za mało nie pomoże. Za dużo oznaczało, że ryzykował zawał albo coś gorszego.

W głowie wciąż rozbrzmiewał mu alarm. Słyszał ludzi na korytarzu pod drzwiami. Jeśli ktoś przyszedłby go szukać... Nie mogli go znaleźć w takim stanie.

Zaordynował sobie dawkę, jego zdaniem średnią, zaledwie dwukrotnie większą od strzałów, jakimi wczoraj stawiał się na nogi, i nacisnął mentalny przycisk.

Myśli rozjaśniły się w ciągu kilku sekund. Cofnęła się mgła spowijająca jego umysł. Wciąż trzymając się biurka, podciągnął się na nogi.

Świat znów zawirował i Holtzmann padł na kolana, spazmatycznie chwytając powietrze.

Cholera.

Zatrzymał się na chwilę, czekając, aż oddech mu się unormuje, a potem zaserwował sobie kolejny strzał noradrenaliny, taki sam jak pierwszy. Świat stawał się coraz bardziej wyraźny.

Za drugim razem zdołał dźwignąć się na nogi i udało mu się podnieść upuszczoną laskę. Czuł ciarki na całej skórze, włosy pozlepiał mu pot, a żołądek skręcał się boleśnie, ale Holtzmann stał i był w stanie się ruszyć.

Przeszedł przez pokój do drzwi trochę niepewnie, otworzył je i dołączył do exodusu.

Dopiero gdy był już w samochodzie i zlecił jazdę do domu, spojrzął na telefon. Pięć nieodebranych połączeń. Trzy wiadomości. Wszystko od Anne, która chciała wiedzieć, gdzie przebywał i czy w ogóle żył.

Odchylił się w fotelu i kazał telefonowi do niej zadzwonić.

- Martin - odebrała. - Wszystko w porządku? Gdzie byłeś?

Słyszał głosy w tle. Gwar w kancelarii Kleina i Perkinsa, gdzie była partnerem.

- Anne, przepraszam. Zasnąłem w pracy. Nie czuję się dobrze.

- Martwiłam się - powiedziała ostrym tonem.

- Przepraszam. Jestem już w samochodzie, jadę do domu.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Zaraz tam będę - powiedziała Anne.

- Nie, nie. Nie trzeba. Położę się i poczekam, aż wrócisz.

Kolejna pauza.

- Zadzwoń do doktora Baxtera, Martinie. Wciąż możesz zmagać się ze skutkami zamachu.

Neurolog. Ostatnia osoba, jaka powinna go teraz badać.

- Zadzwonię, jak tylko skończymy rozmawiać.

- OK. - Anne była już spokojniejsza. - Dobrze słyszeć twój głos. Wrócę do domu wcześniej. Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Odłożył słuchawkę i leżał przez chwilę. Czuł się jak chodzący trup.

Ktoś ukradł Nexusa z mojego laboratorium, pomyślał. I użył go w próbie zamachu na prezydenta.

Muszę go znaleźć, zanim ERD przyjdzie do laboratorium i znajdzie mnie.

Leżąc w samochodzie, Martin Holtzmann zaczął w myślach układać listę podejrzanych.

10

Misja

Czwartek, 18 października

Kevin Nakamura czekał w ciemności podziemnego przejścia pod DC. Ulica nad nim zadudniła pod kołami kolumny ciężarówek. Na górze lało, deszcz ściekał z krawędzi autostrady powyżej, w powietrzu unosiła się mgielka wilgoci. Morderczy upał najgorętszego października w Waszyngtonie sprawiał jednak, że deszcz nie przynosił ulgi, jedynie jeszcze

bardziej męczącą wilgoć.

Mimo ulewy w powietrzu pełno było dronów Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Nakamura mógł wyobrazić je sobie bez trudu, odporne na wszelkie kaprysy pogody, krążące pod chmurami, śledzące rozmaite obiekty na ziemi, ściągające dane z kamer ulicznych, telefonów komórkowych, samochodowych systemów nawigacji, tworzące wszechobecną sieć informacji, która zawierała w sobie całą aktywność stolicy.

Poza kilkoma ciemnymi punktami, jak ten, gdzie stał teraz Nakamura, osłoniętymi przed wszytkowidzącymi dronami.

Nakamura czekał, obserwował przejeżdżające obok samochody, krople deszczu ściekające po filarach podtrzymujących drogę nad jego głową, przysłuchiwał się dudnieniu autostrady.

Wtem jeden z samochodów zwolnił i zjechał na pobocze przy niższej drodze. Czarny sedan, przyciemnione okna, rządowe tablice. Drzwi po stronie pasażera otworzyły się, zanim jeszcze wóz się zatrzymał. Mężczyzna w czarnym garniturze wysiadł, drzwi za nim się zamknęły, samochód przyspieszył i włączył się do ruchu.

Nakamura przyglądał się podchodzącemu doń mężczyźnie. Tamten był wysoki, jego włosy zaczynały już siwieć, a zbędny tłuszcz zatarł nieco kontury barczystej sylwetki. McFadden. Szef tajnych operacji w CIA. Najlepszy szpieg Agencji, odpowiadał bezpośrednio przed dyrektorem Firmy. Za każdym razem gdy Nakamura go spotykał, McFadden wyglądał starzej.

Stanęli między dwoma potężnymi filarami, niewidoczni z drogi, co najwyżej mogły ich tu zobaczyć szczury żyjące w okolicznych zakamarkach.

- Kevin - odezwał się McFadden. - Dziękuję, że przyszedłeś.

Nakamura kiwnął głową. Jakby miał jakiś wybór.

McFadden wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, zaproponował jednego

Nakamurze, tamten odmówił gestem, więc McFadden zapalił sam. Ponoć była to nikotyna wolna od czynników rakotwórczych. Nie dla niego jednak.

McFadden wydmuchnął dym kącikiem ust i wyciągnął plik papierów z wewnętrznej kieszeni. Nakamura zauważył jednowarstwowe rękawiczki na dłoniach dyrektora. Żadnych odcisków.

McFadden podał Nakamurze pierwszy arkusz. Czysty. Nakamura przesunął kciukiem po papierze i na arkuszu pojawił się obraz. Przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, o wydatnej szczęce.

- Dwa tygodnie temu - zaczął Nakamura - ten mężczyzna, Robert Higgins, oddał się w ręce policji w Des Moines. To pięćdziesięcioletni konsultant do spraw bezpieczeństwa informatycznego, z problemami emocjonalnymi w przeszłości. Powiedział policji w Des Moines, że stworzył własną wersję Nexusa 5 i użył jej, żeby zmusić do posłuszeństwa, porwać i zgwałcić trzy kobiety. Zaprzestał swoich działań miesiąc wcześniej, gdy „cyber-Budda”, tak powiedział, wykastrował go mentalnie. Nie może już używać Nexusa, a gdy tylko myśli o jakiegokolwiek przemocy, dostaje konwulsji.

- Jezus - skwitował Nakamura.

- Cyber-Budda - poprawił go McFadden i zaciągnął się ponownie. - Tydzień wcześniej do meksykańskiej policji zgłosiła się dziewczyna, twierdząc, że została przymuszona do posłuszeństwa poprzez Nexusa, ale zanim gwałciciel zabrał się na dobre do rzeczy - znów cytuję - „anioł zesłany przez Pana” sparaliżował porywacza, a ją uwolnił.

Nakamura milczał.

- Mieliśmy jeszcze trzy takie przypadki - kontynuował McFadden. - Interwencje w przypadku wykorzystania Nexusa 5 jako narzędzia submisji. Jeszcze dwa gwałty, jedną wielomilionową kradzież. W każdym przypadku ktoś włamuje się do umysłu przestępcy, wyłącza Nexusa i blokuje wszelkie zachowania tego typu na przyszłość.

- Więc mamy teraz bojownika o sprawiedliwość w Nexusie - podsumował rozbawiony

Nakamura. Informacje na dokumencie zaczęły już znikać za sprawą odpowiedniego chipa, który nieodwracalnie usuwał wszelkie dane.

McFadden zgodził się z Nakamurą skinieniem głowy i wręczył mu kolejny arkusz, równie pusty, jak poprzedni.

- I jeszcze jedno - powiedział. - Świeżutkie, z dzisiejszego ranka. Ścisłe tajne. DHS próbował to przed nami ukryć.

Nakamura przeciągnął kciukiem i na arkuszu pojawiło się wideo. Cztery rzędy ludzi krok po kroku posuwały się w stronę kontroli bezpieczeństwa. Wszyscy mieli identyfikatory. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, biuro w Chicago. Ujęcie pokazywało teraz jednego człowieka, w garniturze, z plecakiem przewieszonym przez ramię. Wokół niego pojawił się czerwony owal, a przy nim nazwisko i biogram. Brendan Taylor. Księgowy w DHS.

Przez chwilę Taylor tak jak inni stał w kolejce. Następnie na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Poklepał się po kieszeniach, odwrócił gwałtownie, rzucił torbę na pas transmisyjny.

- Chyba mam bombę! - wrzasnął. - Bombę!

Nastąpił chaos, a potem już tylko biały szum.

Nakamura podniósł wzrok na McFaddena i napotkał badawcze spojrzenie ciemnych oczu.

- Na miejscu wybuchu wykryto obecność Nexusa - powiedział dyrektor. - Ale wszystko wskazuje na to, że w ostatniej sekundzie Taylor się ocknął, zrozumiał, co się dzieje, i próbował przeciwdziałać.

- Myślisz, że to wszystko się łączy? - spytał Nakamura.

- Uważamy, że za tym wszystkim stoi Kaden Lane - odparł McFadden. - Dysponuje tylnymi wejściami do Nexusa 5, których my nie byliśmy w stanie znaleźć, i używa ich, by

powstrzymać nadużycia.

- Na czym więc ma polegać moja misja? - Nakamura zmrużył oczy. - Po co to wszystko? - Gestem objął zaciemnione przejście, scenerię rodem z powieści szpiegowskiej, choć przecież mogli spotkać się w Langley.

McFadden zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym w bok.

- Chcemy, abyś znalazł Kadena Lane'a, Kevinie. Znajdź go, zanim łowcy nagród puszczeni luzem przez ERD to zrobią. Następnie sprowadzisz go do nas. I chcemy, żebyś zrobił to absolutnie nieoficjalnie.

Tak nieoficjalnie, że nawet sekretariat CIA nie ma wzmianki o tym spotkaniu w swoim systemie, pomyślał Nakamura. Utajnione. Absolutnie.

Film już zniknął z papieru w dłoni Nakamury, piksele rozplywały się w nicości.

- Dlaczego? Dlaczego ERD nie może go dopaść? - docisnął McFaddena.

- Znasz ERD, Kevin - odparł szpieg, patrząc mu w oczy bez drgnienia. Nakamura odwrócił wzrok. - Lane nie może wpaść w ich ręce. Ani w ręce armii, ani FBI, ani w ogóle w niczyje inne. Tylko w nasze.

Podał Nakamurze trzeci arkusz.

- Instrukcje odnośnie dostarczenia - powiedział.

Nakamura użył odcisku kciuka po raz trzeci, przeczytał tekst i zapamiętał każde słowo. Potem dopiero popatrzył na dyrektora.

- A co z Cataranes?

McFadden zgasił papierosa na filarze, wyjął z kieszeni małe metalowe pudełeczko i schował w nim niedopałek. Żadnych śladów DNA.

- Wiemy, że byliście blisko - powiedział. - Zostawiam to twojemu osądowi. Tylko przyprowadź Lane'a, żywego.

Kątem oka Nakamura dostrzegł kolejny samochód z przyciemnionymi szybami, dokładnie taki, jak poprzedni.

- Spal te papiery - polecił McFadden. - I załatw to po cichu. Znajdź Lane'a, zanim zrobią to łowcy nagród. I nie pozwól, by ktokolwiek zorientował się, że to my go przejęliśmy. - I odszedł w stronę samochodu, który już otwierał dla niego drzwi.

Nakamura siedział po turecku na podłodze swojego mieszkania, plecy miał proste, ręce złożone na kolanach.

To miejsce było przejmująco puste od czasu, gdy Peter odszedł. Od czasu, gdy Peter uznał, że ich związek nie ma szans, że nie może żyć z mężem, który znika na kilka tygodni lub miesięcy, który czuje się bardziej żywy z dala od domu niż w nim, który nieustannie zмага się z demonami, ale nie może podzielić się niczym ze swoim życiowym partnerem.

Kolejny nieudany związek, a miał ich na koncie całkiem sporo. I czterdzieści siedem lat. Co osiągnął w życiu? Zabijał na sześciu kontynentach. Ratował ludziom życie. Udaremniał działania terrorystów, zbierał dane i ukończył misje, których znaczenia nadal nie pojmował.

Robię się cikliwy na starość, pomyślał. Zmusił się, by skupić uwagę na swoim nowym zadaniu.

Zaufanie. To wszystko sprowadza się do zaufania. CIA nie ufała ERD ani reszcie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Agencja nie ufała CIA. I żadne z nich nie miało zaufania do armii.

A on, komu ufał? W stosunku do kogo był lojalny?

Wybrali go, bo był dostępny, bo był doświadczony w ściśle tajnych operacjach,

misjach bez wsparcia, oficjalnie nigdy niezleconych, bo głęboko nie ufał ERD, bo znał i osobiście szkolił Lane'a przed jego podróżą do Bangkoku. I z powodu Sam.

Sam. To było życie, które uratował. Przynajmniej tyle zrobił dobrego. Kiedy był jeszcze w FBI. Zanim dołączył do ERD, na samym początku. Zanim kłamstwa i półprawdy, i misje, które miały na celu raczej powstrzymanie postępu niż ochronę kogokolwiek, uczyniły go cynikiem i wysłały wprost w ramiona CIA.

Nakamura spojrzał na przeciwległą ścianę. Wisiało tam zdjęcie jego dziadka jako chłopca, zrobione w czasie drugiej wojny światowej. Kenji Nakamura jako pierwszy z rodziny urodził się w Stanach Zjednoczonych. Fotografia była czarno-biała. Dziadek był kilkuletnim chłopczykiem. Piękna, uśmiechnięta Japonka w ciemnym płaszczu tuliła go objęciami. Na pierwszym planie, pomiędzy nimi i aparatem, widać było fragment ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym.

Jego dziadek i prababcia zostali internowani, stali się więźniami w swoim kraju, a jego pradziadek pojechał walczyć za Amerykę w drugiej wojnie światowej. To było najstarsze zdjęcie rodzinne, jakie Nakamura posiadał, i darzył je ogromnym sentymentem. Zdjęcie z innych czasów, czasów, które nie mogły już nigdy więcej wrócić do Ameryki.

Tyle tylko, że mogli i wrócili. ERD opracowywało nowe plany internowania, aby przeciwdziałać potencjalnym zagrożeniom, takim jak klony Neoaryjczyków. Plany te przepadały gdzieś po cichu. Ale ostatnio Nakamura słyszał od swoich kontaktów w ERD, że znowu są omawiane, modernizowane, przygotowywane na falę dzieci urodzonych z Nexusem.

Jezus.

Nakamura westchnął. Został w ERD jeszcze dwa lata po tym, jak odkrył te plany po raz pierwszy, aż w końcu nie mógł już znieść oszustw, misji, których celem było zatrzymanie postępu naukowego, a nie chronienie narodu.

Próbował się zwolnić. A gdy ERD zablokowało te próby, zwrócił się do McFaddena. I McFadden pociągnął za odpowiednie sznurki, i Nakamura otrzymał nowy przydział.

Gdy CIA jest miejscem, w którym szukasz moralnego przewodnictwa, pomyślał Nakamura, to chyba masz problem.

CIA chciała, żeby znalazł Lane'a. Znalezienie Lane'a najprawdopodobniej oznaczało znalezienie też Sam. A nikt nie znał Sam lepiej niż Nakamura.

A gdy już ją znajdzie... czy będzie mógł jej ufać? Czy ona zaufa jemu?

Wspomnienia o Sam wypełniły mu myśli. Czternastoletnia Sam, dusząca się dymem w płonącym pokoju w Yucca Grove. Wtedy zobaczył ją po raz pierwszy. U jej stóp leżał pistolet i rozlewała się kałuża krwi martwego proroka. Sam w jego ramionach, gdy skakał z trzeciego piętra tego płonącego budynku. Później, skulona w kocu, który założył jej na ramiona, patrząca, jak płonie ranczo, gdzie żyła, została uwięziona i upodlona. Gdy czekała, by dowiedzieć się, czy jej siostra i rodzice przeżyli, choć dobrze wiedziała, jak brzmi odpowiedź...

Piętnastoletnia Sam na ćwiczeniach karate. Spędzone razem długie godziny, gdy uczył ją, jak się bronić. Jej łzy i ból, gdy przyszła pierwsza rocznica Yucca Grove.

Sam w szesnaste urodziny, w czarnej długiej sukni, wychodząca z opery z „wujami” Kevinem i Peterem, wyglądającymi olśniewająco w swoich smokingach.

Osiemnastoletnia Sam trenująca na strzelnicy z pistoletem, który właśnie on dał jej w prezencie. „Pistolet?! Co to za prezent?” - krytykował Peter. Ale oczy Sam zapaliły się, kiedy otworzyła pudełko, i mocno uścisnęła Nakamurę.

Sam w ERD jako stażystka, pracująca dwukrotnie ciężiej niż inni. Taka zdeterminowana. Taka pewna, co jest dobre, a co złe. Tak naiwnie lojalna. Tak przepełniona patriotyzmem.

Co się z tobą stało, Sam? Co naprawdę wydarzyło się w Bangkoku?

Potrzebował odpowiedzi.

Chmury na horyzoncie

Połowa października

Sam niemalże otworzyła się przed Jakiem trzy razy w tym tygodniu. Pierwszy raz, kiedy patrzyła, jak po raz setny naprawiał starą ciężarówkę, jak tłumaczył ciekawskiej Sarai, co robi, wskazywał poszczególne części i wyjaśniał, jak działają, wreszcie wręczył jej klucz i pokazał, jak go używać.

Byłby świetnym ojcem, pomyślała Sam. Ale tej nocy był rozkojarzony, a jego umysł emanował zmartwieniem, kompletnie pochłonięty budżetem sierocińca, listą kolejnych pozycji, które były równie obciążające, co kamień u szyi. Tak więc Sam odpuściła.

Drugi raz nastąpił dwa dni później, kiedy mały Kit spadł z drzewa i ból oraz szok przeszły umysły ich wszystkich. Jakimś cudem, mimo że przecież była szybsza, to Jake dotarł do małego pierwszy. Uspokajał chłopca, wysyłając mu kojące myśli, przy czym delikatnie badał rękę, na którą malec spadł. Czowała, jak spokój Jake'a udziela się chłopcu, czowała zachwyt, jakim dzieci zazwyczaj darzą ojców, i zrobiło jej się ciepło na sercu.

Lecz tego wieczoru pod ich bramę przyszły pijane nastolatki ze wsi. Rzucali obelgami, kamieniami i butelkami. Sat pralat! - wrzeszczeli. Potwory! Macie tam spotworniałe dzieci! Nad murem przeleciała butelka i uderzyła w jedno z okien, zostawiając na nim pajęczynę pęknięć. Jake uchylił się odruchowo. Sam poczuła gniew, wstała z zamiarem dania tym śmieciom nauczki, ale Jake położył rękę na jej ramieniu.

- To tylko dzieci, Sunee, po prostu je zignoruj.

Wtedy poczuła się zawstydzona.

Trzeci raz zdecydowała się mu powiedzieć trzy noce później, kiedy czekała, aż Jake wróci z wypadu po zapasy. Leżała w łóżku, do którego zapraszała go co noc od sześciu tygodni, i zatraciła się we wspólnym śnie dzieci, orgii form, kształtów, myśli i wspomnień.

Odplynęła w sen, uśmiechając się, przepełniona miłością do tych magicznych dzieci, zakochana we własnym życiu i może odrobinę, malutką odrobinę zakochana w tym mężczyźnie.

Obudziła się dwie godziny później. Była sama w łóżku. Gdzie był Jake?

Wstała, dla przyzwoitości założyła za dużą koszulkę i na palcach zeszła do jego pokoju. Drzwi były otwarte. Jego łóżko nietknięte.

Marszcząc brwi, wyszła na zewnątrz. Nigdzie nie widziała ciężarówki. Brama cały czas stała zamknięta na głucho. Było już po północy. Jake bardzo się spóźniał. Kapeć? Problem z wozem?

Weszła do środka i spróbowała do niego zadzwonić. Od razu odezwała się poczta głosowa. Sprawdziła swoją własną. Nic.

To na pewno jakaś błahostka. Awaria. Rozładowany telefon. Akurat nie ma zasięgu.

Ale Sam miała złe przeczucia.

Wciągnęła spodnie i buty, wrzuciła wodę i coś do jedzenia do plecaka i zostawiła zwięzłą wiadomość Khun Mae oraz trochę dłuższą i bardziej wymijającą ciekawskiej Sarai. Założyła plecak i skierowała się w stronę drzwi. Po chwili namysłu cofnęła się i zabrała jedną z maczet, których używali do walki z napierającą dżunglą.

Drogę z domu na szczycie wzgórza do Mae Dong przebiegła niespiesznie, skanując okolice swoim nadludzkim wzrokiem, wymijając kamienie i dziury w ciemnościach. Znalazła Jake'a dziewięć mil w dół drogi, trzy mile przed wioską.

Szedł na piechotę, utykał, miał rozciętą brew, podarte ubranie i podbite oko.

- Sunee. - Jego umysł rozjaśnił się radością. Ale trochę głębiej leżały wstyd i rezygnacja.

- Jake. - Zaraz była przy nim, całowała go po twarzy, przytulając mocno. - Co się stało?

Potrząsnął głową.

- Wygląpiłem się. Zapomniałem zatankować wcześniej, więc zatrzymałem się w Mae Dong. Byli pijani. We czwórkę. Rozpoznali mnie.

Zatrzymał się i oparł o drzewo.

- Zabrali ciężarówkę... wszystkie zapasy... i stłukli mnie na kwaśne jabłko.

- Skurwiele! - wybuchła Sam.

- Pomożesz mi dotrzeć do domu?

Część jej chciała cofnąć się do wioski, znaleźć tych zwyrodnialców i zrobić im krzywdę. Ale takie metody zostawiła za sobą. Przerzuciła rękę Jake'a przez ramię. Wsparła go na tyle, na ile jej pozwolił, po czym wyruszyli w długą drogę do domu.

- Jesteśmy skończeni - powiedział jej Jake, gdy szli.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Skończyły się pieniądze. Apsara, kobieta, która stworzyła to miejsce i przekazała Khun Mae, zostawiła pieniądze, żebyśmy mogli zająć się domem, kiedy ona umrze. Ale pieniądze się skończyły.

- Ale przecież sprzedajemy leki ze szklarni...

Jake pokiwał głową.

- To nie wystarczy. Trzeba kupić jedzenie. Ciężarówka cały czas wymaga napraw, tak samo jak dom. Rachunki za leczenie Aroona z zeszłego roku oraz te z terapii Kita z jeszcze poprzedniego. Łapówki...

- Łapówki?

Jake parsknął.

- Prowadzimy nielegalny sierociniec. Nasze mózgi są nafaszerowane narkotykiem, który technicznie cały czas jest nielegalny. Taaa. Łapówki.

- Nie wiedziałam.

- Nie chciałaś wiedzieć - warknął. Jego myśli były gniewne i szorstkie. Sam poczuła się odsunięta. Wtedy złagodniał.

- Przepraszam, jestem wycieńczony. Po prostu... nigdy nie myślałem, że byłabyś zainteresowana tą stroną medalu.

Sam kiwnęła głową. Przez chwilę szli w ciszy pod górę, Jake utykał. Jej umysł pełen był fantazji. Zabrać dzieci ze sobą, jechać do Phuket albo założyć farmę, albo zabrać je z powrotem do Stanów.

Żadna z nich nie miała najmniejszego sensu.

- Więc co teraz?

Jake kaszlnął. Poczula ból w jego żebrach, gdzie jeden z mężczyzn go uderzył.

- Fundacja Mira. Goście, którzy mi płacą. Oni mają własny sierociniec, z innymi dziećmi Nexusa. Chcą przejąć nasze dzieciaki.

Sam zamrugła.

- To... to fantastycznie! Inne dzieci. Mówiłeś, że im jest ich więcej, tym szybciej się uczą, prawda? Miałyby więcej przyjaciół w swoim wieku. Moglibyśmy...

- Sunee - wciął się jej w słowo - Sunee...

Przerwała i spojrzała na niego.

- Oni cię nie przyjmą. Próbowałem. Z całych sił. Ale oni cię nie znają. Wezmą tylko dzieci. I mnie.

12

Potencjał

Piątek, 19 października

Shiva Prasad patrzył z blanku swego domu-wyspy, jak wody Morza Andamańskiego pochłaniają ostatnie promienie słońca. Słona bryza rozwiała jego długie, białe, miękkie włosy i pieściła brązową skórę. Cienka biała szata, którą nosił, zafalowała na wietrze. Shiva stał wyprostowany, jak każdy żołnierz wyszkolony przez życie spędzone na ciężkiej pracy, zbrojny w zdobycze biotechnologii, dzięki którym zachował lepszą kondycję niż inni ludzie w jego wieku.

Czuł rafy pod falami, czuł koralowce, receptory przekazywały w czasie rzeczywistym informacje o stanie zdrowia kolonii wprost do węzłów Nexusa w mózgu Shivy. Musiał się tylko odprężyć i czuł, jak znów rosną, wracają do zdrowia, adaptując się do coraz cieplejszych, coraz bardziej kwaśnych wód tego świata. Dzięki niemu. Dzięki temu, co zrobił. Dzięki jego zbrodni.

Tysiąc kilometrów na zachód, za Morzem Andamańskim, za Zatoką Bengalską, leżał

jego prawdziwy dom. Matka Indie. Kraj, który go zrodził, przyjął jak ukochanego syna, czcił, a potem go odrzucił.

Wielbili mnie, pomyślał Shiva, ale kiedy podjąłem działanie w imię większego dobra, kiedy zrobiłem to, co należało zrobić, to mnie ukarali, wygnali mnie.

Wirus był jego pomysłem. Topnienie lodowców uwalniało coraz więcej węgla do atmosfery, a ponieważ tarcze słoneczne były przedmiotem niekończących się debat politycznych, zaś wszelkie inne próby zredukowania globalnego ocieplenia i zakwaszenia okazywały się niewystarczające, ktoś musiał przejąć inicjatywę. I zrobił to Shiva. Geny przetrwania, pobrane z raf gatunków o największej tolerancji na ciepło i kwas, zostały wszczepione do wirusa wektorowego, który rozprzestrzenił je do każdej rafy koralowej na świecie, dając im bezcenne dodatkowe dekady życia. I to zadziało, krok po kroku przywracając do życia prawie martwe rafy, wzmacniając te, w których jeszcze tliło się życie. Był to zaledwie bufor, dawał ludziom jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat. Ale, do cholery, przynajmniej Shiva coś zrobił.

A oni go za to znienawidzili. „Jednostronne” - mówili. „Zbrodnia przeciwko naturze. Niekontrolowane eksperymenty. Niedozwolone szaleństwo”.

Shiva prychnął. Jakby którykolwiek z rządów, organizacji pozarządowych lub ekologów miał lepszy pomysł.

Z tego powodu stracił dom. Premier osobiście przekazał wieści Shivie. Działań prokuratury nie da się już zatrzymać. Byłoby najlepiej, gdyby Shiva zniknął. Birmańczycy byli szczęśliwi, przyjmując go u siebie. Miliardy w wirtualnej gotówce i obietnica pomocy w ich programach biotechnologicznych zdobyły mu poparcie.

Najgorsze jednak, że kosztowało go to żonę, jego miłość.

„Posunąłeś się za daleko, znowu!” - krzyczała Nita przez łyżę. „Obiecałeś!”

Co miał jej powiedzieć? Że to jej dzieło? Że zmieniła go z człowieka, który dbał tylko o siebie, w takiego, który starał się uczynić świat lepszym? Ale ona nigdy nie potrafiła

zrozumieć ani zaakceptować jego metod, nie podobała jej się bezwzględność, z jaką robił dobre uczynki. Dla niego była to logiczna konsekwencja tego, kim się stał, czego go nauczyła. Słowa niczego nie rozwiązywały. Jeśli się w coś wierzy, trzeba działać, aby to urzeczywistnić.

Dla niej to była kropla, która przepełniła czarę.

Shiva westchnął. Ludzkość straciła kontrolę, pomyślał. Nie może już panować ani nad sobą, ani nad planetą. Świat potrzebuje nowego przywództwa. Przywództwa postczłowieka.

Czy był skłonny przyjąć na siebie te obowiązki? Ze wszystkim, co to oznacza?

Biura Dunn i Broadmoor znajdowały się na sześćdziesiątym piętrze budynku z włókna szklanego i węglowego w londyńskim West End. Jeśli chodziło o Shivę Prasada, mogły równie dobrze być i na Antarktydzie. Dla niego liczyło się, że byli świetni w tym, co robili, i znani ze swojej dyskrecji.

Shiva przesłał tam projekcję swojej osoby, prosto z dachu swojego domu na wyspie. Program stworzony specjalnie pod system operacyjny Nexusa pobrał całą postać Shivy, jego gesty, mimikę bezpośrednio z jego mózgu i na ich podstawie stworzył trójwymiarowy, cyfrowy odpowiednik, który bot konferencyjny wyświetlił po drugiej stronie. W tym samym czasie pobrał od bota dane audiowizualne i zaimplementował wprost do mózgu Shivy.

W jednej chwili Shiva oglądał zachód słońca nad morzem. W następnej był już w luksusowo urządzonej sali konferencyjnej tysiące kilometrów dalej.

Wziął udział w spotkaniu wciąż ubrany w prostą białą szatę. Nita go zmieniła. Pamiętał dzień, w którym ją poznał. Gala na cześć przytłaczającego zwycięstwa Indii na Igrzyskach Olimpijskich w 2024 - zwycięstwa możliwego dzięki prawie niewykrywalnym zmianom genetycznym, które firma Shivy zapewniła indyjskiej drużynie. Shiva upajał się swoim sekretnym sukcesem, konta w zagranicznych bankach aż puchły od pieniędzy, tak jak jego notes z adresami od numerów telefonów członków parlamentu i rządu. Wysoki, przystojny i bogaty. Nietykalny miliarder. Żadna kobieta nie mogła mu się oprzeć. I żadna nie oparła się od lat.

Póki nie spotkał Nity. Smukła, elegancka i oszałamiająca w zielonej sukni bez pleców, o długich czarnych włosach splecionych w skomplikowany kok na czubku głowy. Ciemne oczy błyszczały psotą. Usta, których pragnął, które musiał pocałować. Biodra zamierzał chwycić, gdy weźmie ją w nocy. Hinduska, ubrana i zachowująca się jak bezwstydna Amerykanka. Córka potentata komputerowego, która oddawała swój czas i pieniądze na cele charytatywne. Popytał o nią, a potem podszedł do niej, pewny, że będzie jego. Ale ona go odrzuciła, tak po prostu, tylko pokręciła głową i odeszła, gdy próbował zacząć rozmowę. Odeszła od niego, Shivy Prasada, najbardziej pożądanego kawalera w Indiach!

Gonił za nią przez dwa lata i trzy kontynenty, wabiony tą pewnością siebie, która pozwoliła jej go odrzucić. Wspierał rozmaite akcje charytatywne, żeby jej zaimponować, założył własną fundację, przeznaczając na to dziesiątki milionów, zaprosił Nitę do zarządu. I krok po kroku zdobywał okruchy jej czasu. Nie w sali konferencyjnej, ale w slumsach. W ośrodkach dla uchodźców. W strefach katastrof. W biednych szkołach. Na statkach badawczych zajmujących się problemem topnienia Arktyki i śmiercią oceanów. Wciągnęła go w swoje życie, pokazała większy świat, świat, który potrzebował Shivy, świat, w którym zostawiony przez Shivę ślad mógł trwać dłużej niż on sam poprzez efekt, jaki przyniosą dobre uczynki.

I w końcu nie posiadał jej. To ona go posiadała. Należał do niej.

To był koniec jego luksusowego życia bogacza - samochodów, ciuchów, kobiet, wakacji, jachtów, odrzutowców, apartamentów. To zaskoczyło wszystkich wokół. Czyż nie pochodził z najbiedniejszych z biednych? Nie był sierotą z najgorszej dzielnicy? Pariasem, który stał się jednym z najbardziej bezwzględnych magnatów biznesowych dekady? Ze swoimi miliardami musiał przecież garściami czerpać ze wszystkich przyjemności, jakie życie miało do zaoferowania.

Ale odmieniony Shiva był mądrzejszy. Luksusy i dogadzanie sobie tylko odwracały uwagę od tego, co było naprawdę ważne. Tandetne i ulotne bańki, pochłaniające energię, którą można przecież było skierować na rzeczy ważniejsze, bardziej trwałe, na prawdziwe osiągnięcia.

Jednak nadal potrzebował kostiumu, żeby grać swoją rolę. I choć nosił stroje z białej bawełny, to tysiące kilometrów dalej jego awatar pojawił się w kosztownym szarym jedwabiu od Armaniego.

- Podzieliliśmy osiemdziesiąt procent użytkowników Nexusa na trzy grupy demograficzne - zaczął Kenneth Dunn. Miał jakieś czterdzieści lat, był wysoki i przystojny w ten sposób, który zapewniają duże pieniądze, z genetycznie kwadratową szczęką, szerokimi ramionami i idealnie czarnymi włosami. Być może nawet kupił te geny od jednej z firm Shivy. - Grupa pierwsza: młodzież od piętnastu do dwudziestu pięciu lat, z miast i przedmieść, pochodząca z rodzin o średnich i wysokich dochodach, obu płci w tym samym stopniu, można powiedzieć.

- Zażywają Nexusa w celach rekreacyjnych - wtrąciła Elizabeth Broadmoor. - Imprezowe dzieci. - Sama nieledwie była dzieckiem. Nie przekroczyła jeszcze czterdziestki, odniosła przy tym wyjątkowe w tym wieku sukcesy, mogła więc sobie pozwolić na genetyczne modyfikacje kosmetyczne jak lśniące, jasne włosy, idealnie opalona skóra i figura kobiety młodszej o dekadę.

Dunn kiwnął głową.

- Grupa druga: od trzydziestu do pięćdziesięciu lat, głównie z przedmieść, o dochodach powyżej średniej, w sześćdziesięciu procentach płci żeńskiej. Są to przeważnie rodzice dzieci o specjalnych potrzebach, autystycznych, z ADHD i tym podobne...

- A grupa trzecia? - spytał Shiva.

- To grupa, którą polecił nam pan zbadać - odpowiedziała Broadmoor. - Grupa o najwyższym wykształceniu, o wysokich dochodach, w pięćdziesięciu pięciu procentach płci męskiej, pochodząca zarówno z miasta, jak i z przedmieść. Ta grupa składa się ze wszystkich narodowości. Wspólnym mianownikiem są te cechy, które pan sugerował: wysoki poziom wykształcenia, na szczeblu naukowym, wysokie IQ, ci ludzie to głównie inżynierowie, informatycy i naukowcy. Nexusa używają, by zwiększyć możliwości mentalne. To inteligencja, znaleźliśmy ich zgodnie z pańskimi przewidywaniami.

- A liczby? - Shiva skinął głową.

- To raczej założenia - powiedział Dunn. - Nie mamy bezpośrednich danych, musimy więc przyjmować spory margines błędu.

Shiva ponownie skinął głową.

- Oczywiście.

- Około milion trzysta tysięcy ludzi używa Nexusa, plus minus czterdzieści procent - odparł Dunn.

Shiva w zamyśleniu pogładził podbródek, a jego awatar w garniturze uczynił to samo. Liczby były takie, jak w innych badaniach, które zlecił.

- A założenia długoterminowe?

- Za rok użytkowników będzie już pięć milionów - odpowiedziała Broadmoor. - Około miliona w grupie trzeciej. Niestety, dużo trudniej jest zrobić jakieś założenia na okres trzech czy pięciu lat. Wydarzenia medialne, opinia publiczna, efektywność, wszystko to są zmienne, które wpływają na ostateczne wyniki.

- To zrozumiałe, proszę kontynuować - polecił Shiva.

Broadmoor odetchnęła głębiej.

- Ogólna liczba rośnie szybko, tak samo jak wymagania konsumentów. Do roku czterdziestego piątego możemy się spodziewać od dwudziestu do stu milionów użytkowników Nexusa na całym świecie.

- A ostatnie liczby? - spytał Shiva. - Te dotyczące dzieci?

Mogliśmy mieć takie, Nito, pomyślał w tej samej chwili. Piękne dziecko. Postludzkie. Nawet teraz. Nie jesteś za stara, nie przy współczesnej technologii...

Ale dla Nity posiadanie dziecka było aktem samolubnym. „Po co sprowadzać na ten świat kolejną duszyczkę - mawiała - skoro już jest na nim tak wiele dzieci, które potrzebują naszej pomocy?”

Nity nie było już w jego życiu.

Przez niewzruszoną twarz Elizabeth Broadmoor przeleciał cień emocji, gdy odpowiadała na to pytanie.

- Używając tych samych danych, możemy założyć, że do roku czterdziestego piątego na świecie będzie od pięciuset tysięcy do dwóch milionów dzieci urodzonych z Nexusem.

Po spotkaniu Shiva stał na wewnętrznym balkonie i spoglądał na dziedziniec obramowany drzewami. Siedziało tam kilkanaścioro dzieci, ich umysły były połączone ze sobą oraz z umysłami trójki dorosłych. W ten sposób grały, a przynajmniej tak im się wydawało. Była to gra w projektowanie molekularne, przeszukiwanie sekwencji genetycznych w celu odnalezienia białek, które mogłyby jeszcze bardziej przyspieszyć odradzanie się raf koralowych i chronić koralowce przed zakwaszonymi wodami. Gdy Shiva zamknął oczy, był w stanie zobaczyć, jak w umysłach dzieci białka zmieniają swój kształt, wijąc się, składając, rozkładając, przekształcając, w czasie gdy dzieciaki szukały nowego sposobu, aby uratować świat raf.

Doświadczenie i wiedza merytoryczna w tej grze pochodziły od dorosłych - biologa molekularnego oraz biochemików dysponujących ogromnym zasobem informacji na temat białek zwapniających w organizmach koralowców. Ale umiejętnością grania w ową grę dysponowały dzieci, które czerpały z wiedzy dorosłych, a następnie stosowały ją wspólnie z oszałamiającą prędkością.

Shiva przestał obserwować ich zabawę i skoncentrował się na liczbach wiszących w przestrzeni nad dziećmi. Nie było żadnych wątpliwości. Dzisiaj w tej grze dzieci mogły pokonać nawet najbardziej wyszukane superkomputery.

Uczyły się, jak wspólnie tworzyć inteligencję, której nie mógł dorównać żaden ludzki

umysł. Ich przeznaczeniem było przewyższyć Shiwę, przewyższyć każdego pojedynczego człowieka, a może nawet przewyższyć każdy komputer, który w chwili obecnej istniał na Ziemi. A przecież stanowiły zaledwie początek.

Wkrótce na świecie będzie milion naukowców i inżynierów pracujących w oparciu o Nexusa. Urodzi się kolejny milion dzieci, które będą posiadały narkotyk od chwili poczęcia. Co osiągnęłyby te umysły, gdyby mogły się połączyć?

Ludzkość zawiodła. Nie była w stanie rozwiązać problemów, z którymi przyszło jej się mierzyć. Ale te miliony ulepszonych Nexusem umysłów mogły tego dokonać. Mogły stworzyć jedną postludzką inteligencję o niewyobrażalnej skali. Boga wykutego z pojedynczych umysłów, zdolnego wreszcie wyprowadzić planetę z niedoli, których przyczyną była ludzkość. Ale te miliony nie połączą się ani chętnie, ani łatwo. Shiva będzie musiał sam wykuć tego boga z części składowych, będzie musiał nadać mu kierunek, uczynić go prawowitym władcą świata i zamieszkujących go ludzi.

A do tego Shivie potrzebny był Kaden Lane.

13

Bo Tat

Piątek, 19 października

Kade ponuro przyglądał się drodze, podczas gdy Feng starał się omijać dziury i wyboje. Światła dżipa sprawiały, że wąska, piaszczysta droga wyglądała niczym ciemny, ponury tunel.

To już dwukrotnie. Dwukrotnie ten sam kod został użyty jako narzędzie zbrodni. Pierwszy raz w DC, kiedy próbowali zabić prezydenta, i drugi raz teraz, w Chicago, żeby zabić więcej ludzi.

A dwa razy oznaczało istnienie wzorca. To była nowa broń Frontu Wyzwolenia Postludzi. Nowa metoda ich działania. Nie przestaną dokonywać zamachów bombowych i zabójstw w imię walki o prawa postludzi.

„Wojna”. Tak właśnie mówiła Su-Yong Shu. „Nadchodzi wojna. Ludzie przeciw postludziom. Zginą miliony”.

Nie, pomyślał Kade. Nie przy użyciu mojej technologii.

Zamknął oczy i zaczął analizować każdy bit danych znajdujący się próbcie kodu alfa, szukając czegoś, co mogłoby naprowadzić na ślad jego twórców.

Ling znalazła go, kiedy na horyzoncie zaczęły się pojawiać pierwsze kolory świtu. Feng przejechał dżipem przez wąski, leśny strumień i skierował się w dół krętą drogą prowadzącą z gór na wybrzeże. Wtedy pojawiła się w jego umyśle, odpychając na boki okna z kodem, pliki i całą resztę.

Kade!

Świat zmienił się tak, jak działo się to zawsze, kiedy go dotykała. Widział go teraz oczyma Ling. Mógł wyczuć prymitywny elektroniczny mózg dżipa i telefon, który miał w kieszeni. Spojrzał na niebo, poprzecinane fioletowymi strumieniami danych, pulsujących bitami, których mógł sięgnąć i dotknąć. Ponad nimi płonęły żółcią satelity, jaśniejsze niż gwiazdy, podążając po swoich orbitach i bez końca wymieniając komunikaty z Ziemią i ze sobą nawzajem. Dane były wszędzie, płynęły przez niego właśnie teraz...

Ling - wysłał do niej.

Szukają cię, Kade - odpowiedziała. Ciebie i Fenga.

Kto, Ling? - spytał.

Wszyscy - wysłała do niego. Bądź ostrożny.

Ling, kto? Gdzie szukają? Ile wiedzą?

Muszę iść, Kade. Pora wydostać mamusię.

Ling, poczekaj. Gdzie oni są? W jakim miejscu szukają?

Ale już jej nie było.

Godzinę po świcie dotarli na skraj wsi Ayun Pa i skręcili, kierując się w stronę klasztoru. Droga wiodła przez pokryte dżunglą wzgórze. Kiedy minęli zakręt i pojawił się przed nimi otoczony murem klasztor, Kade wypuścił z ulgą powietrze. Miał obawy, że znajdą tu jedynie dopalające się ruiny albo czekających na nich łowców nagród.

Zamiast tego zobaczył mnichów w pomarańczowych szatach stojących na zewnątrz białych, bogato zdobionych ścian o złotych filarach. Dwóch otwierało właśnie bramę, której sklepienie przypominało pagodę. Uśmiechając się, zapraszali do środka. Już w tej chwili Kade wyczuwał za murami mnóstwo umysłów pełnych współczucia i blasku. Jego serce uspokoiło się, a na ustach pojawił się uśmiech.

Feng zwolnił, a kiedy mijali mnichów, ci wyciągnęli ręce, by go dotknąć. Mieli ogolone głowy, a na ich twarzach malowały się szerokie uśmiechy. Kade czuł ich myśli i podziw, jaki wobec niego czuli. To on był tym, który dał im Nexusa 5. To on uczynił dotyk myśli innego człowieka osiągalnym dla milionów, a nie tylko dla najbardziej doświadczonych w medytacji, którzy nauczyli się wykorzystywać starszego Nexusa 3.

Kade wyciągnął rękę, swoją postczłowieczą rękę odtworzoną dzięki genom gekona, i jego palce musnęły młodych mnichów, kiedy przejeżdżali obok. Spojrzał w ich młodzieńcze oczy, dotknął myślą ich spokojnych umysłów przepelnionych jednak dziecięcą wręcz ekscytacją, którą wywołało jego przybycie.

Przekroczyli bramę, wjechali na kamienny dziedziniec i wtedy Kade wstrzymał oddech. Znajdowało się tu znacznie więcej mnichów w pomarańczowych szatach, którzy otoczyli ich kołem. Około setki. Większość z nich była równie młoda jak ci, którzy powitali ich przy bramie.

Feng zatrzymał dżipa i Kade wysiadł. Umysły mnichów pieściły jego własny, wlewając w niego spokój. Ogłuszony tym uczuciem ruszył w kierunku jednego z nich, a wtedy nagle wszyscy jak na komendę klęknęli na kamieniach dziedzińca.

- Bo Tat - usłyszał. - Bo Tat - powtórzyła setka głosów zgodnym chórem. Nie znał tych słów, ale potrafił dostrzec ich znaczenie w ich myślach, w stu umysłach, które zlewały się w jedność.

Bodhisattwa. Bohaterski umysł. Niosący światło. Ten, który się poświęci i będzie raz za razem odradzał w cierpieniu, dopóki każde z żyjących stworzeń nie osiągnie oświecenia.

Oddech Kade'a przyspieszył, a serce waliło. Tak wiele piękna. Pośród całego bólu i potworności na tym świecie było tyle piękna. Sposób, w jaki splatały się myśli mnichów, sposób, w jaki się łączyły.

Usłyszał echo głosów milionów umysłów, które mógł wyczuć, jeśli się postarał. Otaczały planetę cienką warstwą świadomości, wciąż bezkształtną i nieuformowaną. Te miliony umysłów mogły przypominać to, co czuł teraz. Połączone, powiązane, pojmujące nawzajem więcej niż każdy z nich z osobna. Zamknął oczy, a jego marzenie wciągało go coraz bardziej, jakby próbowało go wyrwać z rzeczywistości.

Kade otworzył oczy, zmusił się, żeby wrócić do terażniejszości, i sięgnął myślami ku setce znajdujących się przed nim mnichów.

- Nie jestem Bo Tat - powiedział im ze śmiechem. - Nie oświecony. Nie bohater. Jestem nowicjuszem, a nawet mniej niż to.

Kiedy wypowiadał te słowa, obrócił się, aby mówić do nich wszystkich.

- To wy jesteście odważni - dodał. - Wy ryzykujecie życie, żeby nas chronić. Wy jesteście tymi, którzy zbudują lepszy świat. Jesteście początkiem czegoś znacznie większego.

Czuł, że się uśmiechają. Radość i nadzieja, krzyczała setka umysłów jednym głosem.

Poza nimi znajdował się tu jeszcze jeden. Bardziej twardy, zamknięty. Kade obrócił się i stanął twarzą w twarz z mężczyzną. Był starszy niż pozostali mnisi. Wysoki, o ostrych rysach i pozbawionych wyrazu oczach. Opat.

- Witaj, Kadenie Lane. - W głosie nie było śladów ciepła.

Kade uklonił się i opuścił wzrok, żeby okazać szacunek.

- Dziękuję bardzo, że nas przyjąłeś.

Stary mnich kiwnął głową.

- Jestem Thich Quang An. Tędy. Pokażę wam wasze pokoje.

Feng chwycił bagaże i podążyli za nim. Kiedy opuścili dziedziniec, mnisi wstali. Dwóch podążyło za Kade'em i Fengiem.

Quang An poprowadził ich do odgałęzienia ścieżki. Zaszczekał coś po wietnamsku do towarzyszących im mnichów, a potem odwrócił się do Fenga.

- Dat i Lunh zaprowadzą cię do pokoju na spoczynek. Kaden, chodź ze mną do mojej kwatery. Mam tam coś, co chciałbym ci pokazać.

Feng posłał Kade'owi zaciekawione spojrzenie. Kade odpowiedział wzruszeniem ramion. Feng zrewanżował się tym samym, a potem odszedł z mnichami, zabierając bagaże.

Umysł opata pozostawał cały czas zamknięty i skryty, kiedy prowadził Kade'a w przeciwnym kierunku.

- Jeszcze raz dziękuję, że nas przyjąłeś - powiedział Kade. - Wiem, ile ryzykujesz.

- To nic takiego - odparł szorstko Quang An. Jego umysł wciąż pozostawał nieprzeniknioną maską.

- Jeśli w jakiś sposób uchybiłem... - zaczął Kade.

Stary mnich prychnął.

Skręcili za róg, potem za kolejny, i szli dalej. Klasztor był większy, niż Kade początkowo sądził.

- Wiem, że nie jestem bodhisattwą - powiedział Kade. - Ani świętym.

- Wiesz? - Opat odwrócił się i uniósł brwi. - Naprawdę? - Jego umysł był nieprzenikniony.

- Tak - odparł Kade. - Wiem.

- Dałeś wielką moc młodym i głupim. Niebezpieczną moc. Taką, na jaką powinni zapracować. Moc, której ktoś nadużywa nawet w tej właśnie chwili, prawda? Niektórzy mogą cię za to kochać, ale nie ja.

W głowie Kade'a pojawiły się wspomnienia z Chicago. Mignięcie kabli, a potem chaos. Relacje w mediach pokazujące rozrzucone ciała kobiet i mężczyzn, których życie zostało nagle przerwane.

Moc, której ktoś nadużywa nawet w tej właśnie chwili.

Kade otworzył usta, próbując odpowiedzieć. Znaleźć sposób, żeby wyjaśnić, iż wciąż wierzy w ludzi i w to, że pomimo nadużyć większość skorzysta z tego w dobry sposób.

Ale opat już się odwrócił, odchodząc zwawo, i Kade musiał się pospieszyć, żeby go dogonić.

- Tutaj. - Thich Quang An otworzył drzwi i przepuszczając Kade'a, gestem zaprosił go do środka. - Wewnątrz jest coś dla ciebie.

Kade skłonił się i wszedł.

Nagle coś wbiło się w jego brzuch, aż zachłysnął się powietrzem. Ktoś złapał go od tyłu i zakleił mu usta taśmą. Szarpnął się i próbował kopać, ale jakiś człowiek mocno go trzymał. Potem naciągnęli mu coś na głowę i zapadła ciemność.

[aktywuj: Bruce_Lee pełen automat]

Jego ciało zerwało się, wykręciło i przez moment nie czuł trzymających go rąk.

[Bruce_Lee: ucieczka zakończona powodzeniem!]

Czuł, jak jego noga trafia w coś miękkiego.

[Bruce_Lee: skuteczny atak!]

Ciało Kadena ponownie się przekręciło i poczuł, jak coś przelatuje obok niego.

[Bruce_Lee: wykonałeś skuteczny unik!]

Potem wyczuł ciepło znajdującego się w pobliżu ciała i uderzył pięścią, i...

[Bruce_Lee: atak udany!]

Boże, ja pierdołę.

Ból przeszył jego rękę, kiedy nie do końca wyleczona kość i odkryte nerwy zetknęły się z czymś znacznie twardszym. Zwinął się, ostrożnie tuląc pulsującą bólem kończynę, a w oczach zaszklily mu łzy. Wtedy coś trafiło go w głowę i świat zawirował.

[Bruce_Lee: unik nieudany!]

Kade powoli dochodził do siebie. Niesiono go, trzymając za łokcie i kostki. Nic nie widział przez rzecz, którą miał na głowie, czymkolwiek była, ale coś mówiło mu, że znów

znajdują się na zewnątrz. Próbował krzyżeć, ale ponieważ wciąż był półprzytomny, z gardła wydobył mu się słaby skrzek, a taśma przyklejona na ustach dławiała dźwięki.

Potem poczuł ich myśli. Trzech. Kilku. Tuzin. Mnisi zbliżyli się. Otaczali go ze wszystkich stron. Ich umysły były połączone i to połączenie objęło i jego, pozwalając mu widzieć to, co oni widzieli. Zaćmiony obraz samego siebie z czarnym workiem na głowie, niesionego przez potężnie umięśnionych Azjatów, podczas gdy trzech innych, uzbrojonych w pistolety i noże, szło obok.

Dwa tuziny mnichów. Ruszyli zablokować drogę łowcom nagród, pogodne umysły drżały odrobinę, ale pozostawały spokojne i zdeterminowane. Delikatna bryza marszczyła ich pomarańczowe szaty, mieli nieruchome twarze, a usta zaciskały się w beznamienne linie. Nie wydawali żadnego dźwięku i słychać było jedynie szelest ich szat i cichy odgłos stóp obutych w sandały.

Kade starał się do nich przemówić, dotrzeć myślą do ich umysłów, ale świat wciąż wirował.

Wtedy dostrzegł pojawiającą się broń.

Nie.

Ze wszystkich sił starał się skoncentrować.

Uciekajcie... - próbował krzyknąć, ale słabo to wyszło.

Łowca nagród wymierzył lufę pistoletu między oczy mnicha. Wtedy Kade go rozpoznał... To był jeden z tych, którzy otworzyli bramę... Chłopiec, po prostu chłopiec.

Uciekaj!

Łowca nagród powiedział coś po wietnamsku. Kade zrozumiał to, czując myśli mnicha.

- Zejdź mi z drogi albo odstrzelę ci tą pierdoloną głowę.

- Nie możesz go zabrać - odparł młody mnich.

Kade widział prześladowcę z perspektywy mnicha. Widział paskudnego, brutalnego łowcę nagród, jego ogoloną głowę, pokrytą tatuażami, napięte mięśnie, ciemny otwór lufy wielkiego pistoletu i gruby palec na spuście. Czuł to, co czuł chłopiec, serce tłukące się w piersi, przerażenie, podziw dla Kade'a i kompletną rezygnację, jaka ogarnęła go w tym momencie.

- To się, kurwa, mylisz - powiedział łowca.

Broń zagrzmiała, kula rozerwała czaszkę chłopca i świat Kadena eksplodował. Wstrząs najpierw sprawił, że umysł zwinął się w kłębek, a potem przetoczył przez umysły pozostałych mnichów. W całym tym chaosie wyczuł jak przez mgłę, że kilku podnosi ręce w górę, i ich szarpiące się myśli. Jeden z nich pochylił się, wymiotując, a ból, strach, chaos i poczucie straty obezwładniły wszystkich. To nie byli wyszkoleni mnisi Anandy. To byli tylko chłopcy!

Następny strzał powalił kolejnego mnicha. Kade czuł, jakby kula rozrywała jego własne wnętrze, a ból szarpał pajęczyną połączeń w umyśle.

Mnisi niemal się złamali. Ale potem poczuł, że ich umysły twardnieją, łącząc się w jedność. Zdeterminowani ruszyli, aby odciągnąć poległych towarzyszy, i wspólną masą nacisnęli na łowców nagród. Trzy tuziny mnichów. Cztery tuziny mnichów.

Wtedy usłyszał, jak ktoś krzyczy po wietnamsku, i zobaczył przez wiele par oczu, jak opat przeciska się przez krąg. Wypowiadał słowa w obcym języku, ale ich znaczenie było jasne.

- Co robisz?! Powiedziałeś, że żaden z nich nie ucierpi!

Łowca obrócił się i strzelił mu w brzuch. Thich Quang An zwinął się z bólu.

Zebrani mnisi poruszyli się jak jeden organizm z jednym tylko celem: odebrać Kade'a tym ludziom. Zgromadzenie kontynuowało działania za pomocą stu kończyn kierowanych jednym umysłem, ale Kade już wiedział, do czego to zmierza, i nie zamierzał na to pozwolić. Żaden z tych ludzi już za niego nie zginie.

Zebrał się w sobie, skupił i wysłał symultaniczną myśl do wszystkich mnichów znajdujących się wokół niego. Otworzył ich umysły, korzystając z luki w systemie... i połączona wola mnichów przeciwstawiła się jego woli, za pomocą żelaznej siły powstrzymała przed wysłaniem hasła, które miało ich zmusić do porzucenia go.

Zabłąkana kula trafiła jednego z mnichów w ramię, obracając go wokół własnej osi. Kolejna uderzyła w pierś młodzieńca. Przez umysł Kade'a przebiegło echo bólu.

Wtem pośród nich pojawił się Feng, jego umysł był chłodny i twardy. Kiedy bojowy trans Fenga dotknął jego myśli, czas zwolnił dla Kade'a, zamieniając każdy ułamek sekundy w śmiertelną, niekończącą się chwilę.

Łowcy nagród poruszali się niemrawo, jakby znajdowali się w melasie. Tory lotu niewystrzelonych jeszcze kul błyszczały w myślach Fenga, a migoczące linie czerwonego płomienia wydobywały się z luf ich pistoletów. Ciała łowców rzucały odbicia potencjalnych ciosów i kopniaków, które Feng przewidział.

Poruszał się jak tancerz. Spokojnie, z gracją przeskoczył nad planowanym torem pocisku z kołyszącego się pistoletu i przetoczył się pod kolejnym, skupiając się na pierwszym z łowców. Jego umysł był zaabsorbowany walką. To było samadhi. To była medytacja. Pistolety wystrzeliły, a kule poruszające się na mapie stworzonej w umyśle Fenga przypominały żywe istoty, które wyskakiwały z luf i w towarzystwie widocznych fal trafiały w miejsca, gdzie Feng znajdował się ułamki sekund wcześniej. Wtedy dotarł do pierwszego łowcy, który padł ze złamanym karkiem. Zabłąkana kula przedziurawiła udo któregoś mnicha, a echo jego bólu wyrwało Kade'a z pogrążonego w transie umysłu Fenga.

Wszyscy łowcy nagród byli martwi. Kade widział oczyma innych, jak ostatnie ciała padają na dziedziniec. Kade leżał tam, gdzie go upuścili, a Feng zrywał taśmę i przecinał więzy krępujące jego kończyny.

Kade, pomagając sobie zdrową ręką, z wysiłkiem stanął na nogi, a jego ciałem wstrząsały dreszcze.

Wokół leżały trupy. Mnich jęczał. Czuł ból promieniujący z pół tuzina umysłów. Co najmniej trzech mnichów było martwych, a kolejny właśnie w tej chwili umierał. Umysł chłopca rozpadał się na tysiące kawałków i obracał w nicość. Ktoś szlochał.

Ból i poczucie straty uderzyły w Kade'a z pełną siłą, a jego pole widzenia zawężyło się. Poczul słabość w nogach i opadł na kolano.

- Nie ma dla ciebie bezpiecznego miejsca - zakasłał opat.

Kade obrócił się i spojrzał na niego. Szata mężczyzny była umazana krwią. Krwia, która płynęła z jego ust. Promieniował z niego ból i odraza.

- Nie jesteś jedynym - powiedział słabo. - Nie jesteś... Buddą. Wynaturzenie. Maya. Iluzja.

Feng skierował się ku mężczyźnie i z gniewną miną podniósł jeden z pistoletów. Z jego umysłu promieniował gniew.

- Nie! - krzyknął Kade, rozcapierzając swoją nową rękę.

- Co? - Feng obrócił się zdezorientowany.

- Zostaw go.

- Zamierzał wydać cię Amerykanom. Niemal zginąłeś! Zabił ich wszystkich tutaj. - Feng wskazał na pomordowanych i umierających mnichów.

- Ale my jesteśmy lepsi od niego - powiedział Kade.

Feng wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze, kręcąc głową. Opuścił broń.

Wokół nich jęczeli mnisi, wołając o pomoc i przyglądając się w przerażeniu skutkom masakry, jaka miała miejsce w ich spokojnym domu.

Kade zamknął oczy ze znużeniem, sięgnął umysłem ku opatowi, użył luki w zabezpieczeniach, dostał się do jego umysłu i ujrzał...

- Niebezpiecznie - zakaszła starzec. - Nigdzie nie jest bezpiecznie. - Z ust wypłynęło jeszcze więcej krwi. - Jest nas wielu... lepiej... umrzyj. Wynaturzenie.

A potem Thich Quang An, opat Ayun Pa, odszedł.

Kade rozglądał się przerażony dookoła. Znowu to ERD. Ich dolary. Ich idiotyczna nagroda za jego głowę. To była przyczyna tego wszystkiego.

Feng położył rękę na jego ramieniu.

- Musimy iść - powiedział. - Wkrótce pojawią się gliny. Nie możemy tu zostać.

Kade wstał, wciąż czując zawroty głowy. Iść. Tak. Musieli iść. Dokądś. Dokądkolwiek.

14

Dobranoc, Szanghaju

Piątek, 19 października

Ling Shu patrzyła przez okno zalane deszczem na rozciągający się w dole Szanghaj. Lśniące reklamy falowały na mokrych ścianach drapaczy chmur naprzeciwko. Iskrzące zorze niebieskiego i białego światła otaczały oferty strojów, wakacji, samochodów, domów. Wysoka na dwadzieścia pięter, nieludzko pociągająca twarz Zhi Li uśmiechnęła się do Ling i

puściła oczko. Zhi Li była najbardziej znaną chińską aktorką, niewytłumaczalnie pobudzająca, z wielkimi oczami w kształcie migdałów, skórą jak porcelana i pełnymi zmysłowymi usteczkami. Obraz znów się uśmiechnął, mrugnął tylko do Ling, a następnie podniósł butelkę jakiegoś napoju dla sportowców, który polecono jej reklamować.

Myślisz, że jesteś postczłowiekiem? - spytała Ling gigantycznej Zhi Li. Myślisz, że jak miliard ludzi zna twoją twarz, to jesteś wyjątkowa?

Nie jesteś.

Obok okna przeleciał dron obserwacyjny, jedno ze stu tysięcy podniebnych oczu Szanghaju. Poruszał się powoli, unoszony na czterech wirnikach odpornych na wszelkie warunki atmosferyczne, obrócił w stronę Ling kamery, przypominające ślepie kameleona. Światła antykolizyjne rzuciły na moką szybę czerwone refleksy.

Ling też patrzyła wprost na drona, czując jego prymitywny umysł i strumień danych płynących w obie strony. Widziała samą siebie w tym strumieniu. Mogła zmanipulować te informacje, gdyby tylko chciała, skłamać panom latającego obserwatora lub nakarmić go własnymi instrukcjami, przejąć nad nim kontrolę.

Nie zrobiła niczego.

Podniebne oko spojrzało na nią, po czym, przechyliwszy się lekko w bok, popłynęło ku następnemu obiektowi w tym przeogromnym mieście.

Setki metrów poniżej Ling widziała więcej takich oczu, dziesiątki zaglądały do okien i obserwowały to, co działo się na ziemi. Prąd samochodów poniżej tworzył rwącą rzekę metalu i włókna węglowego, płynącą mokrymi ulicami. Motocykle i skutery przemykały między autami zygzakiem. Klaksony ryczały. Piesi pod parasolami przemykali przejściami. Na to wszystko lał się deszcz. Bębnił w okno niczym niewprawny perkusista.

Badadadadadadadum. Badadadadadadadum.

Ciężkie chmury i ulewny deszcz przesłoniły słońce, ale miasto rozjaśnione było

sztucznym światłem gigantycznych reklam, a także padającym z okien budynków i czerwonym blaskiem światła stopu oraz dronów niezmordowanie krążących ponad głowami mieszkańców Szanghaju. Na ciemnych chmurach kładły się kolorowe refleksy.

To miasto żyło. Było żywe. Ulice były jego arteriami. Samochody, ciężarówki, skutery i piesi stanowili krew.

Ling zamknęła oczy, czuła sygnały systemu nerwowego żywego miasta, pulsowanie sieci danych oplatającej wszystko wokół. Mogłaby zatracić się w tej sieci, łączącej ludzi, samochody i budynki. Czuła odległe elektrownie i mniejsze stacje lokalne, pompy wodne i rury kanalizacyjne, szpiegujące oczy dronów, nawigacje drogowe i całą resztę.

Miasto ją uspokajało. Mogła pogrążyć się w tym zgiełku danych i przez chwilę lęki, tęsknota i smutek znikaly, a ona przestawała myśleć i po prostu czuła te iskrzące i trzeszczące myśli miasta wokół niej.

To jej pomagało. Pomagało nie myśleć o matce.

Ale ten dzień był inny. Dzisiaj uwolni mamę. Jeszcze raz dotknie jej umysłu. Jej ojciec wybierał się dzisiaj do Kwantowego Klastra. Wybierał się w odwiedziny do matki.

A część Ling uda się tam razem z nim.

Chen Pang podniósł wzrok znad tabletu, gdy jego samochód zatrzymał się przed budynkiem z chromu i szkła. Schował urządzenie do teczki, czekając, aż kierowca otworzy pancerne drzwi pojazdu, po czym wysiadł i stanął pod parasolem, który trzymał klon. Żołnierz zamknął drzwi samochodu i ruszył za Pangiem w kierunku budynku. Chen widział odbicie ich postaci w lustrzanej ścianie budynku. On: przed pięćdziesiątką, o posiwiałych skroniach, surowej twarzy, nieco grubszy niż w młodości, ubrany w garnitur i płaszcz. Ochroniarz: w czarnym stroju szofera, młody, sprawny, wysoki, jak na Chińczyka, o twarzy bez wyrazu, trzymał parasol wysoko, aby osłonić Chena od deszczu, raz po raz spoglądał na boki, wypatrując ewentualnego zagrożenia.

Drzwi rozsunęły się przed nimi bezszelestnie i Chen się zatrzymał.

- Poczekać w samochodzie. Wróć za godzinę, może dwie.

Potem wszedł do budynku, podczas gdy ochroniarz, skłoniwszy się, wrócił do auta. Chen przeszedł przez wykrywacz metali, pokazał identyfikator i przysunął oko do skanera siatkówki, po czym wsiadł do windy. Wsiadł pięć pięter poniżej parteru, w Bezpiecznym Centrum Komputerowym.

Uzbrojony strażnik skinął mu głową na powitanie. Chen zignorował go i poszedł prosto ku wejściu do Fizycznie Odizolowanego Centrum Komputerowego.

Ling zamknęła oczy, śledziła telefon i tablet ojca, gdy zjeżdżali pod ziemię, pod budynek Jiao Tong. Urządzenia zalogowały się do lokalnej sieci Bezpiecznego Centrum i utworzyły wejście dla Ling. Sięgnęła tam, delikatnie dotykając strumieni danych krążących wewnątrz sieci, analizując, absorbując, szukając. Jej matka była gdzieś tutaj, uwięziona, odcięta od świata zewnętrznego, odcięta od Ling. Ale Ling ją znajdzie.

Chen szedł w głąb obiektu. Gdy przechodził, mężczyźni i kobiety przerywali pracę i skłaniali głowy z szacunkiem. Był przecież Chenem Pangiem, to jemu Chiny zawdzięczały gwałtowny rozwój w dziedzinie komputeryzacji. Wielu go podziwiała. Gdyby tylko wiedzieli...

Li-hua go zauważyła. Jego asystentka wstała, nie należała do kobiet atrakcyjnych, była zbyt niska i zbyt pulchna. Ukłoniła się.

- Profesorze Chen - powiedziała - testy, o które pan prosił...

Chen zbył ją machnięciem ręki i szedł dalej. Tak, tak, zrobiła testy. Musiał zobaczyć je ponownie.

Szedł dalej, mijając kłaniających się podwładnych. Znowu przepelniała go niechęć. Zazdrość. O to, że jego największym osiągnięciem była rola sekretarza własnej żony. To ona była prawdziwym odkrywcą.

Mimo to jego pozycja miała swoje korzyści.

- Ling, przerwa się skończyła. Czas na kolejną lekcję.

Ling zacisnęła małe piąstki.

- Ling. - Głos nauczycielki stał się odrobinę głośniejszy.

Ling zmusiła się do uśmiechu, zmusiła się, by odwrócić się do człowieka w sposób, jakiego nauczyła ją matka, i zmusiła się, by powiedzieć kilka bezsensownych słów:

- Proszę o jeszcze kilka minut, nauczycielko. Chciałabym popatrzeć na deszcz.

- No cóż... - Nauczycielka zdawała się zaskoczona. - Ponieważ tak grzecznie poprosiłaś, to możesz.

Chen oddał wszystkie urządzenia elektroniczne w punkcie kontrolnym. Ochroniarz powoli i metodycznie omiótł jego ciało prętem wykrywacza. Nie szukał broni, lecz urządzeń, które mogłyby posłużyć do wyniesienia jakichkolwiek danych z Bezpiecznego Centrum.

Kiedy wreszcie strażnik pozwolił mu przejść, Chen wsiadł do niewielkiej, prawdziwie klaustrofobicznej windy. Drzwi za nim zamknęły się natychmiast i winda ruszyła w dół przez kilometr czystej skały, tam, gdzie znajdował się obłąkany inteligentny program komputerowy: wszystko, co zostało z jego żony.

Ling przesiała eksabajty danych. Biblioteki szyfrów. Zdjęcia satelitarne wysokiej rozdzielczości. Skany całego mózgu. Sekwencje genomu. Ani śladu matki.

Szukała map, tych fizycznych i tych sieciowych. Znalazła. Informacje o lokalnej sieci powiedziały jej niewiele. Nic nie pasowało do opisu zespołu komputerów kwantowych, które tworzyły przestrzeń dla egzystencji jej matki. Plany architektoniczne budynku też nie zawierały potrzebnych informacji. Istniało tu wiele centrów informacyjnych, ale nie potrafiła określić ich przeznaczenia.

Szukała dalej. Znajdzie mamę.

Winda zabrała Chena poniżej skały, na której zbudowano Szanghaj. Podświetlony znak informował o aktualnym statusie FOCK: IZOLACJA.

Wszystko to było podjętym zawczasu środkiem ostrożności. Informatycy, filozofowie, futuryści, pisarze spekulujący na temat możliwych przyszłości - wszyscy pisali o niebezpieczeństwach związanych z utratą kontroli nad sztuczną superinteligencją. Jeśli ludzkość kiedykolwiek stworzyłaby istotę o znacznie zwiększonych zdolnościach umysłowych, samo w sobie byłoby to wysoce ryzykowne. Owa istota mogłaby oczywiście być nastawiona przyjaźnie. Przynajmniej wszyscy mieli taką nadzieję. Ale mogła też okazać się złośliwa albo zupełnie obojętna względem ludzi. Wtedy zapewne chciałaby zmienić świat w sposób, który dla niej samej byłby zmianą na lepsze, ale niekoniecznie dla jej twórców.

Superinteligentna istota mogłaby również być w stanie udoskonalać samą siebie, sięgając do własnej struktury i znajdując sposoby na jej ulepszenie, by stać się mądrzejszą, niż jej stwórcy potrafiliby w ogóle zaplanować. I te ulepszenia mogłyby być kontynuowane w nieskończoność.

I dlatego właśnie możliwości Shu w zakresie edytowania samej siebie zostały ograniczone do zmian czysto powierzchownych.

Zdaniem Chena nieskończone samoulepszenie było raczej nieprawdopodobne. Inteligencja podlegała bowiem prawu malejących przychodów. Tak jak przeciętny człowiek nie był w stanie stworzyć z niczego inteligencji takiej jak ludzka, tak samo istota go przewyższająca nie mogłaby stworzyć innej istoty o tej samej lub większej inteligencji. Oczywiście byłaby w stanie znacznie poprawić rozwiązania zastosowane przez jej twórców i podwyższyć w ten sposób swoje wyniki, ale bez dostępu do nowego sprzętu te udoskonalenia utrzymywałyby się na tym samym poziomie.

Dlatego też nagiął nieco zasady, ukrył kilka ulepszeń w mało istotnych miejscach i zainstalował lepsze rdzenie kwantowe. Wszystko to z powodów absolutnie logicznych i rozsądnych. W ten sposób przecież Su-Yong mogła wydajniej pracować dla Ministerstwa Nauki i całego kraju, a nawet dla ludzkości. Wszystko w imię wyższego dobra.

Poza tym, na świecie, w którym wszystko było ze sobą połączone, gdzie niepodzielnie rządziły dane, gdzie zaszyfrowane kodowanie zastąpiło realne zamki do światowych bogactw, infrastruktury, broni... W tym świecie istota będąca w stanie przetwarzać informacje szybciej niż człowiek była największym zagrożeniem.

Dlatego też Konwencja Kopenhaska zakazywała wszelkich prób utworzenia nieludzkiej, a przy tym świadomej istoty. I z tych samych powodów rząd, który płacił Chenowi, sponsorując stworzenie dokładnie takiego, krańcowo niebezpiecznego i nielegalnego bytu, podjął ekstremalne wręcz środki ostrożności, upewniając się, że istota taka zostanie całkowicie odizolowana, odcięta od zewnętrznego świata i zdalnie unicestwiona, jeśli zajdzie taka konieczność.

Winda się zatrzymała. Tutaj nie istniała komunikacja bezprzewodowa i tylko trzy linie kabli łączyły głębokie podziemia ze światem zewnętrznym. Jeden łączył Kwantowy Klaster z siecią i w chwili obecnej był fizycznie odłączony, a jego końce dzieliła przestrzeń dziesięciu metrów.

Drugi kabel przesyłał dane tylko w jednym kierunku: z sieci kamer i innych czujników do Bezpiecznego Centrum Komputerowego kilka pięter wyżej. W ten sposób można było obserwować, co dzieje się na dole.

Trzecim kablem płynęły dane znacznie prostsze. Łączył on bowiem terminal z baterią jądrową, która zasilala FOCK. Jeśli sprawy potoczyłyby się w niepożądanym kierunku, tym kablem przekazano by jedno polecenie do baterii, jego skutkiem byłaby reakcja łańcuchowa i FOCK zostałoby na zawsze roztopione w skale.

Cicho rozsunęły się drzwi windy, a potem grube na trzy metry drzwi wewnętrzne. Chen Pang mógł sprawdzić, co u jego małżonki.

Ling zmarszczyła brwi. Nie znalazła żadnych dowodów na to, że jej matka gdzieś tu jest, ale wiedziała, że musi przebywać w klastrze komputerów kwantowych pod Jiao Tong. I ojciec tam właśnie się udał.

- Ling, koniec twojej przerwy.

Ling zignorowała nauczycielkę. Gdzie mogła być matka? Gdzie?

Chen usiadł przy terminalu, który monitorował kwantowy mózg jego zmarłej żony, i rozpoczął kontrolę systemu. Przez kuloodporne szyby widział sieć zbiorników z ciekłym helem pod ciśnieniem, a między nimi komory próżniowe tysiąc razy zimniejsze niż przestrzeń międzygwiazdowa, utrzymujące procesory kwantowe w środowisku niemal całkowicie pozbawionym szumu termicznego. Mógł spojrzeć bezpośrednio w głębi mózgu tej istoty, którą kiedyś nazywał żoną.

W ciągu kilku sekund na monitorze pojawiły się rosnące rzędy danych. Diagnostyka poziomu zero była bez zarzutu. Zbiorniki ciśnieniowe w stanie nienaruszonym. Przepustowość kwantowa połączeń pozasystemowych była doskonała. Koherencja kwantowa mieściła się w granicach błędu.

Następnie pokazały się dane diagnostyki poziomu jeden. Zużycie pamięci i procesorów było znaczne. Musiała tam myśleć szaleńczo intensywnie. Nie ustawały żądania dostarczania zewnętrznych pakietów danych. Milion razy na sekundę próbowała połączyć się z siecią zewnętrzną kamerami, detektorami dźwięku, węzłami Nexusa, nawiązać połączenie z klonem, który umarł w Tajlandii.

Najbardziej niepokoiły wyniki diagnostyczne poziomu trzeciego. Symulacji mózgu daleko było do zdrowia psychicznego. Wirtualne fale mózgowe były chaotyczne i niespójne, nieludzkie. Połączenia między neuronami płatów czołowych wyglądały fatalnie. Pozostałe neurony wirtualne pracowały szaleńczo, próbując nadrobić deficyty.

A więc to była prawda. Su-Yong popadała w obłąd. A on nie miał możliwości temu zapobiec.

Pomóż mi zrozumieć jeszcze jedną rzecz, żono. Zrobić ostatni przełom. A potem możesz umrzeć.

Chen Pang sięgnął do włącznika kamer i mikrofonów, które łączyły pokój z umysłem

jego zmarłej żony.

- Ling!

Coś było nie tak, teraz to sobie uświadomiła. Telefon i tablet ojca pozostawały w jednym miejscu. Początkowo myślała, że się zatrzymał, ale gdy przepytala urzędnika, zorientowała się, że nie mają z nim kontaktu.

- Ling, czy ty mnie słyszysz?

Popatrzyła oczami kamer w Centrum. Gdzie był ojciec? W żadnym z korytarzy. Nie w strefie, gdzie prowadzono badania. Nie w centrum informatycznym. Nie w laboratoriach. Gdzie?

- Ling! - Nauczycielka złapała ją za ramię, a Ling szarpnęła nim, by się uwolnić.

Moment. Tam. Nie ojciec. Ale telefon i tablet. Na stole za ochroniarzem. Punkt kontrolny. A za nim drzwi windy. Był jeszcze jeden poziom.

Wróciła do mapy sieci i budynku. Tu. Linie przepływu danych kierowały się w dół. Miały wzmacniacze, więc biegły daleko. Połączenie z siecią. Sięgnęła ku niemu.

Pakiety danych zewnętrznych zapłonęły w mózgu Su-Yong.

Wideo.

Audio.

W czasie rzeczywistym.

Tutaj.

Jej mąż Chen. Był tu. Nie porzucił jej! Shu poczuła nagły przypływ nadziei. Z trudem zebrała się w sobie, podjęła nadludzki wysiłek, by w zrozumiały sposób przekazać swoje

potrzeby.

- Żono? - odezwał się Chen.

- Mężu! - ożyły głośniki. W głosie słychać było wyraźnie ulgę, nadzieję na granicy hysterii.

- Su-Yong.

- Chen! Chen! Chen! Przyszedłeś, dzięki Bogu! Błagam, Chen, mam problemy problemy nie z tej ziemi potrzebuję klona potrzebuję ustabilizowania potrzebuję żywy mózg dane z klona proszę Chen proszę...

Bełkot. Do tego została zredukowana.

- Żono, proszę. Przyszedłem spytać cię o twierdzenie równości.

- Oni mnie zabiją Chen już mnie zabili CIA zabili mnie Amerykanie zabili mnie pochowali ty mnie pochowałeś proszę pomóż dane neurologiczne potrzebne mózg klon proszę proszę zanim będzie za późno Chen...

- Nie ma żadnego klona, żono. Twierdzenie równości. Dowiodłaś go, prawda? Jak?

- ZRÓB KLONA - zawyły głośniki z maksymalną mocą. - ZRÓB KLONA ZRÓB KLONA ZRÓB KLONA ZRÓB KLONA... - i tak bez przerwy.

- Twierdzenie, żono! Powiedz mi. Powiedz mi, a ci pomogę - skłamał.

Umysł Ling szukał połączeń, które prowadziłyby na następny poziom.

Ale nie było nic. Ślepe uliczki.

Co?

Wróciła do schematów. Nie obejmowały tego obszaru. Pokazywały linie danych prowadzące w dół, ale nie to, gdzie się kończyły. Ling próbowała to zrozumieć, znaleźć jakieś wyjaśnienie.

Tam, spis komend i operacji. Pochłonęła go i zrozumiała.

Jej matka została fizycznie odizolowana tysiąc metrów pod ziemią. Połączenie zostało fizycznie zerwane. Nie istniał żaden sposób, aby do niej dotrzeć.

- Ling Shu, czas na lekcję! - Nauczycielka szarpnęła ją mocno, okręcając tak, by spojrzeć dziewczynce w oczy. Ling potknęła się i upadła na kolana.

- Auuu!

Shu zamilkła, przerażona.

Twierdzenie równości? TWIERDZENIE RÓWNOŚCI?

To dlatego Chen przyszedł. Poczwała rozpacz dławiącą wszelką nadzieję. Nie przybył jej na pomoc. Chciał wycisnąć z niej resztki cennej wiedzy. Poślubiła tego człowieka. Kochała go. Próbowwała począć z nim dziecko.

Och Chen. Och Chen.

Głośniki zamilkły nagle.

Chen zamrugął zaskoczony.

Wtedy jego żona znów się odezwała:

- Chen Chen mężu Chen proszę jeśli kiedykolwiek mnie kochałeś kiedykolwiek zależało proszę pomóż proszę...

Chen zamknął uszy na te błagania.

- Twierdzenie - powtórzył. - Daj mi dowód, to ci pomogę.

- PROSZĘ MĘŻU. - Aż się wzdrygnął, gdy głos martwej żony zagrzemiał w pokoju. - PROSZĘ POMÓŻ PRZYPROWADŹ KLONA ALBO LING PRZYPROWADŹ LING MOJĄ CÓRKĘ LING LING LING LING PROSZĘ LING... - Głos ginął wśród szlochów, nawet gdy Su-Yong wykrzykiwała imię córki. Chen z rozmachem wyłączył głośniki.

I czego się spodziewał? Tak samo przecież było za pierwszym razem. Tylko że teraz nie będzie klona, twardogłowi zwolennicy rządów jeszcze twardszej ręki na to nie pozwolą.

- Szlag! - Uderzył dłonią w konsolę. Dowód, o ile dał się przeprowadzić, pozwoliłby na kwantowe przyspieszenie każdego klasycznego algorytmu. Wart był miliardy, dziesiątki miliardów. Mógłby dać Chenowi Nagrodę Nobla. Ale teraz znalazł się już poza jego zasięgiem.

Chen wziął głęboki oddech i zmusił się do normalnego zachowania. Wypełnił tabele wynikami testów systemowych, upewnił się, że wszystkie kamery i mikrofony zostały wyłączone, po czym wylogował się z terminalu.

Drzwi antywybuchowe i te od windy raz jeszcze otworzyły się przed nim i rozpoczął powolną drogę ku powierzchni.

- Auuu! - krzyknęła Ling. Szarpnięta przez nauczycielkę, upadła na kolana i przygryzła sobie język.

- Ling, twoja przerwa się skończyła, młoda damo! Nadszedł czas na naukę.

- Nie! - wrzasnęła Ling w szczytowej frustracji. Matka nie może być uwięziona! Nie, nie, nie, nie, nie!

Próbowała uwolnić rękę, ale starsza kobieta miała znacznie więcej siły. Ling sięgnęła więc umysłem, przejęła kontrolę nad telefonem nauczycielki i spowodowała, że rozładowała się bateria. Kobieta odskoczyła z krzykiem, wystraszona nagłym ukłuciem bólu płynącym z

kieszeni. A potem wymierzyła Ling siarczasty policzek, tak że mała uderzyła w szybę.

- AAAAAAA! - Ling sięgnęła do otaczającego ją mieszkania. Piekarnik otworzył drzwiczki i bluznął płomieniem. Kominiek obudził się do życia. Robot nagle zaczął ostrzyć swoje noże. Otworzyły się drzwi szafy, wypuszczając boty sprzątające, brzęczące wiatraczkami. Wieża i ekrany zaryczały ogłuszająco.

Nauczycielka rozglądała się oczami rozszerzonymi przerażeniem, a potem rzuciła się ku drzwiom.

Ling wróciła umysłem do Jiao Tong.

NIE NIE NIE NIE NIE!

Całą siebie zaangażowała w to połączenie, lecz nadaremnie. Zabębniła malutkimi piąstkami w szybę okna. Fizyczne rozłączenie. Nienawidziła świata fizycznego, świata, w którym była tak wątła i słaba, nienawidziła, nienawidziła, nienawidziła!

W złości i frustracji sięgnęła do węzłów sieciowych Bezpiecznego Centrum i szarpnęła nimi w każdy dostępny sposób. Połączenie uległo natychmiastowemu zerwaniu, ale gniew nadal płonął w niej potężną siłą. Sięgnęła więc do miasta, weszła umysłem w jego samochody, elektrownie, w budynki i komputery sterujące ruchem ulicznym i nadzorujące to, co działo się w mieście. I rozszarpała je wszystkie.

Usłyszała wybuchy, zobaczyła iskry, a potem fala ciemności zdusiła wszystkie światła miasta, blok po bloku, jak kostki domina. Wielgachna twarz Zhi Li mrugnęła do Ling raz jeszcze i zniknęła w mgnieniu oka, wraz ze światłami całego bloku, mieszkania Ling i każdego budynku w zasięgu wzroku.

I wtedy wreszcie Ling poczuła powracający spokój.

Patrzyła przez okno w nieprzeniknionych ciemnościach, a po buzi płynęły jej łzy, drobna klatka piersiowa podnosiła się gwałtownie, gdy dziewczynka nabierała oddechu. Za szybą setki lśniących czerwienią dronów spadało w dół, niczym deszcz gwiazd, na ucichłe z

nagła i pociemniałe miasto.

Winda zatrzymała się nagle, pokonawszy zaledwie dwieście metrów. Światła zgasły, a status zmienił się z „izolacja” na „blokada”. I nagle Chen Pang doświadczył dojmującego strachu.

- Pomocy! - wrzasnął. - Pomocy! - Uderzył w drzwi pogrążonej w ciemności kabiny. -
Pomocy!

Ale nikt go nie słyszał.

15

Możliwości, motyw, sposobność

Piątek, 19 października

Holtzmann zdrzemnął się, gdy dotarł do domu. Wstał ponownie około drugiej, czując się nieco lepiej, i był już na nogach, gdy Anne wróciła do mieszkania po południu.

- Nic mi nie jest - zapewnił ją już w kuchni. - Naprawdę.

- Rozmawiałeś z doktorem Baxterem?

- Tak - skłamał. - Wcisnął mnie w grafik. Twierdzi, że to tylko stres.

Anne spojrzała na niego krzywo.

- Myślę, że masz zespół stresu pourazowego, Martin. To się leczy w dzisiejszych czasach, chyba wiesz.

Holtzmann zatrzymał wzrok na blacie kuchennym.

- Nic mi nie będzie, Anne. To już się nie powtórzy.

Anne podeszła i położyła mu dłoń na policzku, zmusiła, by na nią popatrzył.

- Obiecuj mi, że spotkasz się z nim jeszcze raz.

Holtzmann spojrzał w oczy tej silnej, inteligentnej kobiecie, która tak długo była dla niego zbyt dobra.

Nakrył jej dłoń swoją.

- Obiecuję.

Pracował w gabinecie, nadrabiając zaległości.

Godzinę później Anne oświadczyła, że idzie na obiad z Claire Becker. Wdowie po Warrenie było wciąż trudno zaakceptować nagłą śmierć męża, nową sytuację samotnej matki dwóch nastoletnich córek. Holtzmann dręczyło sumienie, iż nie odezwał się do niej od pogrzebu. On i Becker byli współpracownikami przez ponad dekadę, a przyjaciółmi przez większość tego czasu. Zdecydowanie należało jej się coś więcej niż tylko uścisk i kondolencje sześć miesięcy temu.

Jednak Claire była pełna podejrzeń i nieustannie snuła kolejne teorie spiskowe na temat śmierci męża. Anne lepiej wywiązywała się z roli pocieszycielki, niż Holtzmann byłby w stanie, nawet gdyby się postarał.

W skrzynce odbiorczej miał dwie notatki.

Notatka pierwsza: Rangan Shankari załamał się około trzeciej rano. Opisał pomysły system tylnych drzwi w kodzie binarnym Nexusa i hacków w kompilatorze, które pozwoliły je tam umieścić. I dał im wszystkie hasła.

Holtzmann spochmurniał, zastanawiając się, do czego się posunęli, by ostatecznie

złamać Shankariego. Elektrowstrząsy? Waterboarding? Przesłuchujący naszprycowani Nexusem?

Teraz kiedy Agencja Bezpieczeństwa Narodowego miała hasła, do czego mogli je wykorzystać? Do szpiegowania myśli użytkowników Nexusa? Zapobiegawczej kontroli umysłu? Politycznej inwigilacji? Manipulacji myślami?

- Dlaczego? - zapytał na głos. - Dlaczego zostawiliście tam tę furtkę? Nie widzieliście w tym zagrożenia? Jak mogliście być tak głupi?

Notatka druga: raport z zakładu medycyny sądowej na temat ataku w Chicago. Na miejscu wybuchu znaleziono ślady Nexusa. Próbkki były już w drodze do laboratorium Holtzmana.

Holtzmann nie będzie miał innego wyboru, jak tylko zbadać te próbki. Da je Wilsonowi i poleci przekazać wyniki bezpośrednio sobie.

Usiadł z powrotem, stworzył nowy plik o nazwie „Ocena personelu”, i zaczął sporządzać listę osób, które mogły wynieść Nexusa z zabezpieczonego laboratorium.

Kilka godzin później Holtzmann wczołgał się do łóżka. Ból wrócił i teraz wwierał się w kości. Mięśnie zdrętwiały, usta wyschły. Serce biło zbyt szybko. Naciągnął na siebie wszystkie koce, pocił się, a wciąż czuł przenikliwe zimno.

Wszystko, czego pragnął, to jedna mała dawka opium. Tylko żeby złagodzić ból. Lekarze odcięli go zbyt wcześnie. Potrzebował odrobinę więcej, na odrobinę dłużej, póki nie wyzdrowieje.

Prawie umarłem zeszłej nocy, odezwała się jakaś jego część.

Jeszcze tylko ciut więcej, jeszcze tylko raz, odpowiedziała inna.

Miał włączony interfejs, gdy usłyszał otwierające się drzwi od garażu. Leżał sparalizowany w łóżku, słuchając, jak Anne wchodzi po schodach do sypialni.

- Przepraszam, że wracam tak późno - powiedziała, zdejmując płaszcz. - Claire jest w fatalnym stanie. Nie potrafi się otrząsnąć.

Holtzmann mruknął współczująco.

Anne wślizgnęła się do łóżka.

- Jest przekonana, że to była przykrywka, że zabili Warrena po to, by nie mógł zeznawać.

Holtzmann wpatrywał się w interfejs. Gdyby wziął jedną małą dawkę, czy Anne to zauważy?

Zwinęła się w kłębek, przytulając do niego, i na chwilę zamilkła. Holtzmann zmusił się, by oddychać spokojnie i regularnie, jakby nie dotknął interfejsu w umyśle.

Jeśli udam, że zasnąłem...

- Martin? - spytała Anne.

Holtzmann nie odpowiedział i Anne też już się nie odezwała. Kilka minut później przetoczyła się na swoją stronę łóżka.

Począł, aż jej oddech zwolni i stanie się miarowy, a kiedy zyskał pewność, że zapadła w sen, zaordynował sobie małą dawkę i w końcu znów poczuł się lepiej.

Wstał wcześniej, przyniósł Anne kawę do łóżka z uśmiechem, dbając, by jego twarz nie wyrażała niczego szczególnego, a potem zaczął szykować się do pracy.

- Wyglądasz dziś lepiej - zauważyła.

- Czuję się lepiej.

- Spałeś wczoraj jak zabity. Pamiętasz, jak przyszedłam do łóżka? Naszą rozmowę?

Przekrzywił głowę z namysłem.

- Taa... Coś o Claire, prawda?

Anne spojrzała na niego pobłaźliwie, po czym ruszyli, każde do swojego biura.

Dzień stanowił serię prawie bezsensownych spotkań. Holtzmann siedział na obradach związanych z tylną bramką do Nexusa, zawetował propozycję użycia „motywacji negatywnej” w celu skłonienia dzieci Nexusa do odrzucenia narkotyku, został poinformowany o rozwoju szczepionki, która wyglądała obiecująco, oraz o proponowanym leku, który wcale tak nie wyglądał. Cały ten czas miał w głowie listę potencjalnych złodziei Nexusa.

Możliwości, motyw i sposobność, pomyślał.

Dwadzieścia dwie osoby miały dostęp do lodówki w laboratorium, czyli każda z nich miała możliwość.

Którerekolwiek z nich mogło pracować do późnej nocy, czyli mieć również okazję. Rejestr wejść i wyjść pokazałby, kto i kiedy był w laboratorium. Jednak Holtzmann nie miał dostępu ani do rejestru, ani do nagrań z kamer bezpieczeństwa. Tylko Biuro Spraw Wewnętrznych miało, a on nie mógł pozwolić, żeby grzebali w tej sprawie.

W takim razie należało zastanowić się nad motywem. Jaki motyw mógłby mieć ktoś z wewnątrz? Nienawiść do prezydenta? Pieniądze? Szantaż?

Pod koniec dnia, kiedy szedł w stronę auta na ciemnym, lecz doskonale strzeżonym parkingu, wciąż obracał ten problem w głowie. Kto z tych dwudziestu dwóch ludzi był oddany jakiejś idei? Kto potrzebował pieniędzy? Kto ostatnio kupił błyszczący nowy wóz lub wprowadził się do większego domu?

Holtzmann spochmurniał, otwierając samochód, i położył laskę i torbę na siedzeniu

pasażera. Wciąż rozmyślał nad listą podejrzanych. Auto sprawdziło zabezpieczenia i ruszyło na drogę szybkiego ruchu na autopilocie. Dlatego też nie dostrzegł zmarszczki zakłóceń w tylnym lusterku. Nie usłyszał szelestu, gdy człowiek, który krył się w tyle samochodu, podniósł się do pozycji siedzącej, ledwie widoczny na tle tylnych siedzeń ze sztucznej skóry i oddalających się świateł autostrady za nimi.

- Martin.

Aż podskoczył z zaskoczenia. Głos był zniekształcony, mechaniczny. Serce podeszło Holtzmannowi do gardła. Rzucił się w stronę drzwi, wtedy usłyszał szczęknięcie, samochód się zamknął.

Głupiec. Gdyby po niego przyszli, byłby już martwy. Nie mógł nic zrobić.

- Spokojnie, Martin - odezwał się ponownie głęboki, anonimowy głos.

Holtzmann spojrział w lusterko, aby zobaczyć twarz prześladowcy. Sylwetka na tylnym siedzeniu była cieniem, ledwie wykrywalnym zniekształceniem. Człowiek w kombinezonie wyposażonym w kamuflaż kameleonowy najwyższej kategorii. Profesjonalista.

Holtzmann przełknął głośno ślinę, żałując, że nie powiedział Anne prawdy, że jej nie zaufał.

Wtedy postać za nim uniosła dłoń, a Holtzmann zacisnął powieki, czekając na zabójczy cios.

16

Tylko naprzód

Piątek, 19 października

Feng pociągnął Kade'a do dżipa i usiadł za kierownicą. Mnisi ruszyli za nimi, niosąc kanistry paliwa i butelki z wodą. Nawet pogrążeni w szoku i żalu zrobili to, co zrobić należało. Jak żołnierze.

Feng wychylił się przez okno i położył dłoń na ramieniu jednego z mnichów.

- Dziękuję. - Włożył w to słowo szacunek, który popłynął z jego umysłu do umysłów duchownych, szacunek żołnierza dla innych żołnierzy. Skłonili się w odpowiedzi. A wtedy Feng nacisnął pedał gazu i razem z Kadenem opuścili klasztor.

Feng prowadził auto piaszczystą drogą szybko i pewnie. Jaskrawozielone drzewa i krzaki tylko migwały po bokach, kontrastując z czerwonym pasem gołej ziemi, po którym jechali. To było wąskie gardło tej drogi.

Opony ślizgały się nieco, gdy wchodzili w zakręty z maksymalnym przyspieszeniem. Każdy grzechot kamyka, każda gałązka, każdy ruch kół i gra opon na drodze odzywały się głośno w umyśle Fenga. Wchłaniał dźwięki, czuł reakcje dżipa na przyspieszenie. Pojazd stał się przedłużeniem ciała Fenga. Czuł, jak Kade trzyma się kurczowo zdrową ręką, gdy ostry zakręt rzucił go w bok. Feng zakręcił kierownicą w drugą stronę, gdy wpadli w kolejny wiraż, wysyłając w powietrze fontanny czerwonego piachu. Na jego twarzy pojawił się bezwiedny uśmiech. Był żywy, wolny, bez reszty pochłonięty szalonym rajdem w dół zbocza.

Piętnaście minut później byli już na zupełnie innej bocznej drodze, dżip został ukryty w zagajniku palm daktylowych. Nie słyszeli syren, ale Feng nie zamierzał ryzykować.

- Poczekamy tu do zmroku - powiedział.

Kade skinął głową.

- To tylne drzwi - odparł.

- Co? - zapytał Feng.

- Siedzę i myślę o tej nagrodzie za moją głowę, Feng. Dlaczego tak bardzo chcę mnie

dopaść? Dziesięć milionów dolarów nagrody? I za żywego? Przecież wydali na mnie zaocznie wyrok. Mogli po prostu mnie zabić.

Feng odwrócił się i spojrzał na przyjaciela.

- Więc o co chodzi według ciebie?

Kade odpowiedział spojrzeniem.

- Oni chcą dostać furtkę do Nexusa. Tylne drzwi.

Feng zastanowił się chwilę.

- To niebezpieczna rzecz.

Kade znów kiwnął głową.

- To zabawne, umieściliśmy je w kodzie jako zabezpieczenie przed ERD, żebyśmy mogli ich powstrzymać, gdyby zaczęli nadużywać technologii Nexusa.

- A teraz próbują je od ciebie dostać - podsumował Feng.

- Mógłbym je zlikwidować - mówił Kade. - Mam kod. Kolejnego bota. Wirus. Rozprzestrzeniłby się od człowieka do człowieka, zamknął tylne drzwi i nie byłoby po nich śladu.

- Dlaczego go nie użyjesz? - zdziwił się Feng.

- Bo są ludzie, których muszę powstrzymać.

Feng poczuł myśli Kade'a. Obrazy. Mgnienie wiązek przewodów i czerwonej lampki w budynku w Chicago, zanim pochłonął je biały szum i nicość.

Feng przez chwilę przetrwał tę myśl.

- Może ktoś jeszcze mógłby z tym walczyć? - zasugerował. - Nie tylko ty?

Kade pokręcił głową.

- Za moją sprawą to stało się możliwe. Muszę ich powstrzymać, jeśli tylko zdołam.

Siedzieli w samochodzie i czekali na nadejście nocy. Palmy chroniły ich od najbardziej palących promieni, ale upał wciąż panował morderczy.

W wiadomościach pojawiła się wzmianka o pożarze w odległym górskim klasztorze. Chu Mom Ray. Nie odnotowano ofiar śmiertelnych.

- Uratowałeś mi życie - powiedział Kade.

Feng odwrócił się i uśmiechnął.

- Nie po raz pierwszy.

Kade parsknął śmiechem.

- Nie. Nie pierwszy. - Westchnął. - I pewnie nie ostatni.

Feng wzruszył ramionami.

- Tego chciała Su-Yong. Ocal chłopca, powiedziała.

Kade skinął głową.

- No i jesteś moim przyjacielem, Kade - dodał Feng, uśmiechając się ponownie. - Pierwszym, jakiego sam sobie wybrałem.

Kade odwzajemnił uśmiech i ucisnął dłoń Fenga.

- Dziękuję.

- Hej, tylko mi się tu nie rozklejaj! Ja po prostu nie mam tylu przyjaciół, żeby sobie pozwolić na stratę, i tyle.

Ale przez dłuższą chwilę trzymał dłoń Kade'a w uścisku.

- Dlaczego ten mnich cię sprzedał? - zapytał w końcu Feng.

Kade znów potrząsnął głową.

- Zburzyłem porządek rzeczy. Kiedyś tylko najbardziej doświadczeni w medytacjach byli w stanie opanować Nexusa i zachować w umysłach w nieskończoność. Ale teraz każdy może na stałe go zintegrować. Młodzi mnisi szybciej przyswajają Nexusa 5 niż starzy. Nie potrzebują już, by starsi ich nauczali. Podważyłem ich autorytet, zburzyłem hierarchię.

- Pieprzyć hierarchię - stwierdził Feng.

Kade roześmiał się głośno. Dobrze było słyszeć ten śmiech. Feng uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Czy ty nie jesteś żołnierzem, Feng? Musiałeś dorastać w hierarchii.

Tym razem to Feng uciekł spojrzeniem w bok.

- Taaa. Ale nigdy jej nie lubiłem.

- Powiedz mi - poprosił Kade. - Jak to było.

Feng oglądał liść palmowy kołyszący się na wietrze. Kade pytał go o to wcześniej. Feng wiedział, że jego przyjaciel miał dobre intencje, ale to nie były wspomnienia, do których chciałby wracać.

- Proszę - powtórzył Kade.

Feng westchnął. Mieli za sobą kilka trudnych dni. Kade potrzebował czegoś. Jakiejś perspektywy. Jakiejś nadziei.

- Moim pierwszym wspomnieniem był ból - powiedział cicho Feng i otworzył swój umysł, by Kade mógł to poczuć, pamiętać razem z nim. - Miałem może ze cztery lata. Byłem duży. Silny. Tak zostaliśmy zaprojektowani, żeby szybko rosnać. Ale niekoniecznie wszystko rozumieć. Stań się duży i silny jak najszybciej, ale mądry jak najwolniej. Ćwiczyłem na pierścieniach, rozumiesz? Bujałem się i przechodziłem z jednego na drugi, jak małpa. I spadłem. Nie było materacy. Ani siatki. Tylko ziemia. Bolało. Krwawiło mi kolano. Nic poważnego, ale miałem cztery lata. Po prostu wiedziałem, że to boli. - Potrząsnął głową i Kade poczuł, że nadchodzi prawdziwy ból. - Instruktor podchodzi i mówi: „Wstań!”. A ja na to: „Boli!”. Kopnął mnie i poleciałem na drugi koniec pola. Wtedy już krzyczałem. I wszyscy moi bracia. Zatrzymali się. Patrzyli na mnie.

Feng zacisnął pięści. Znow był tylko małym chłopcem. Kade poczuł, jak żołądek skręca mu się w supeł. Czuł ból i strach, i brak zrozumienia.

- Instruktor podchodzi do mnie znowu i znowu mówi: „Wstań!”. A ja płaczę, bo to boli. Teraz boli naprawdę. Więc mówię: „Nie mogę! To boli!”. A on na to: „Już ja ci pokażę, co naprawdę boli!”, i znowu mnie kopie.

Kade'owi zrobiło się niedobrze. Twarz miał gorącą.

- Instruktor podchodzi raz jeszcze. Mówi: „Wstań! Wstawaj, psie!”. I tym razem próbuję, ale coś w środku mnie pękło. Przewracam się. Ale wiem, że jeśli nie wstanę, to on zrani mnie jeszcze bardziej. Więc się czołgam. Bardzo długo. Straszny ból. Mam wrażenie, że minęła godzina. Ale znowu jestem przy pierścieniach. - Feng oddychał ciężko. Wspomnienia zrosiły mu twarz potem. - Staram się podnieść, i to tak bardzo boli, że znowu upadam. I staram się wstać i podciągnąć na drążku, i dostać się tam, gdzie mogę stać. Staram się wejść na górę po drabinie. Ale się ześlizguję. Ramię mam niesprawne. Znowu upadam. Już wiem, że nie mogę powiedzieć: „Nie mogę”. Więc mówię: „Pomocy”. - Feng potrząsnął głową, wychylił się z dżipa i splunął, a potem dłonią otarł usta. Palmy szumiały cicho na wietrze. Gdzieś obok zakrzyczał ptak.

Po chwili Feng mówił dalej, wolniej i ciszej.

- Więc mówię: „Pomocy”, a instruktor odpowiada: „Oto, co się dzieje z chłopcami, którzy proszą o pomoc”. I kopie mnie raz za razem. Proszę, żeby przestał, i staram się zwinąć jak najciaśniej, ale on nie przestaje. „Widzicie?” - pyta moich braci. „Widzicie, co się dzieje, jeśli jesteś słaby?”

Kade skulił się przerażony. Czteroletni chłopiec.

Ciało Fenga wibrowało wspomnieniem tamtego cierpienia, ręce miał zaciśnięte na kierownicy. Z całej siły musiał powstrzymać się, by jej po prostu nie złamać.

- Trafiłem do szpitala. Na dwa miesiące. Stanowiłem przykład dla wszystkich moich braci. - Feng prychnął. - Też mi przykład.

- Przykro mi, Feng - powiedział wstrząśnięty Kade. - Ja... przepraszam, że przeze mnie musiałeś przeżyć ten ból jeszcze raz.

Feng prychnął ponownie.

- Tak. Ból. Wiesz, dlaczego ci o tym opowiadam?

Kade pokręcił głową, jego umysł wciąż pełen był wspomnień Fenga.

- Bo chcę, żebyś wreszcie zrozumiał. Myślisz, że to przez Nexusa dzieją się te złe rzeczy. Że to twoja wina, tak? Ale mnie to spotkało, zanim w ogóle pojawił się Nexus. Nexus nie jest zły. To ludzie są źli. Rozumiesz?

Kade milczał przez kilka sekund. Następnie powoli skinął głową. Milczeli.

- Kiedy po raz pierwszy spotkałeś Su-Yong Shu? - zapytał Kade po chwili.

- Całe moje dzieciństwo pełne było bólu. Fizycznego. Kiedy miałem sześć lat,

zamontowali nam implanty. - Jego dłoń bezwiednie dotknęła tyłu głowy. - Bezpośrednia stymulacja nerwów, tak? Sam ból. Czysty. - Pokręcił głową i położył rękę na kolanach. - Używali bólu, aby nas ukarać, dyscyplinować. Gdy byliśmy zbyt wolni, zbyt słabi, gdy nie trafialiśmy na strzelnicę, gdy przegrywaliśmy sparingi, gdy za wolno czyściliśmy broń, nie dość długo wstrzymywaliśmy oddech, nie dość schludnie ślaliśmy łóżka. I wszystko, czego nas uczyli, to jak walczyć, jak zabijać. Broń. Taktyka. Strategia. Samoloty. Helikoptery. Samochody. Kung-fu. Noże. Broń palna. A dla rozrywki filmy wojenne, filmy walki. - Feng się roześmiał. - To nam się podobało. Kazali nam walczyć ze sobą na pięści i stopy, na noże. Na wszelkie inne możliwe sposoby. Rywalizuj z braćmi. Kto najwolniejszy, najślabszy albo najgłupszy, temu jeszcze więcej bólu. I wstyd przed innymi braćmi. Czasem nie dawali nam jedzenia. A czasem łóżka, trzeba było spać na stojąco. Ale po jakimś czasie ta metoda się nie sprawdza. Przestaliśmy reagować na ból. Za dobrze byliśmy zrobieni. Zaczęliśmy szaleć. Pyskować. Popisywać się przed braćmi. - Feng ponownie potrząsnął głową. - Zaczęli karać nas jeszcze bardziej. Jeden umarł. Ja pewnie byłbym następny. Ale wtedy spotkałem ją. Su-Yong Shu. Miałem piętnaście lat. Jednak byłem w pełni rozwinięty. Silniejszy niż instruktor. Ale dziki. Nie bardzo dobry żołnierz. Cały program okazał się być do niczego. Żadni z nas żołnierze. Chcieli, żeby ona pomogła, tak? Kontrolować nas. Zrobić lepszych niewolników. Pierwszy raz, kiedy ją zobaczyłem... dostawałem karę. Niesubordynacja. A to oznaczało ból. Ból wszędzie. W całym ciele, w środku, palący, ostry ból, miazdzący ból, tylko ból, wszystkiego naraz. A ja skulony próbowałem z tym walczyć, pokazać braciom, jaki jestem twardy. I wtedy ona wkroczyła.

Kade widział wszystko oczami Fenga. Koszary. Instytucjonalnie szare ściany, zimna betonowa podłoga. Łóżka piętrowe o metalowych ramach, zrolowane koce w kolorze oliwek, bure szafki, w jednej zamknięty cały dobytek Fenga. Sierżant instruktor naciskający przycisk na pilocie, który wysłał układ nerwowy Fenga do piekła. Drzwi się otwierają. Shu, ubrana na biało, staje w progu. Obok niej onieśmielający mężczyzna w ciemnym mundurze. Brwi zmarszczone w brzydkim grymasie. Na ramionach insygnia. Oficer. Pułkownik.

- Nie jakiś tam pułkownik. Ten pułkownik. Człowiek odpowiedzialny za cały program. Shu krzyczy: „Stop! Przestańcie!”. A on mówi: „Nie. Oni nie są ludźmi. Uczymy ich posłuszeństwa przez ból”. - Feng uśmiechnął się ponuro. - Wtedy uderzyła go w twarz. Z całej siły. „Ten mężczyzna jest bardziej człowiekiem niż ty” - powiedziała. A potem wyrwała sierżantowi pilota i wyłączyła. - Jeszcze teraz Feng kręcił głowę z podziwem.

- Wolno jej było? - zdziwił się Kade.

- To było jakieś dwa lata po... no wiesz. Po tym, jak stała się cyfrowa. Po wstąpieniu. Była pierwszym prawdziwym postczłowiekiem. I była Chinką, i robiła te wszystkie odkrycia, które się podobały tym na górze. Wydawało jej się, że może wszystko. - Wzruszył ramionami. - A ja się zwałem na podłogę, bo właściwie nie wiedziałem, jak zareagować. Wtedy spytała: „Jak ci na imię?”, a ja na to: „Konfucjańska Pięść D-42, sir!”. „Nie - ona na to - pytam o twoje imię”. - Feng roześmiał się, po czym zamilkł na chwilę, by Kade mógł poczuć jego szok w tamtym momencie. - Imię. Co za pomysł! Przez całe życie uczono mnie, że nie jestem człowiekiem. Jestem klonem. Pogwałceniem traktatu. Jestem numerem. Mam robić, co mi się każe. Su-Yong, ona potraktowała mnie jak człowieka. Wszystko zmieniła. Następnego dnia zniknął pułkownik, a z nim zdalne stymulatory bólu. Szkolenie też się zmieniło. Zaczynamy uczyć się techniki, polityki, historii. Dostajemy Nexusa. Ty widzisz ludzi skrzywdzonych przez Nexusa. Ludzkie bomby. Złodziei. Zranione kobiety. Ale dla mnie... Dla mnie Nexus oznaczał dotknięcie moich braci po raz pierwszy. Dopiero wtedy zrozumiałem, że nie jestem sam. Do tego czasu pojęcie „brat” oznaczało tylko kogoś, z kim mam walczyć, konkurować, pokonać, bo jeden z nas nie dostanie jeść. Jeden dozna bólu. Żadnej miłości. Ani lojalności. Ale z Nexusem mogłem dotknąć ich umysłów... Poczulem je. Pokochałem. Wtedy poznałem lojalność. Teraz naprawdę mam braci. I wiesz, ja wciąż nie cierpię instruktorów. Do dzisiaj, a wtedy to wyjątkowo. Ale Su-Yong powiedziała, że nie mamy być lojalni wobec instruktorów, wobec dowódców. Musimy być lojalni wobec Chin. Wobec ludzi. Oni są naszymi braćmi i siostrami. To, co zrobiłeś, Kade, to dałeś wszystkim Nexusa 5. Wiem, że Su-Yong była wściekła. Chciała większej kontroli. Ale zrobiłeś, co należało. - Feng spojrział na Kade'a i zawarł w tym spojrzeniu każdy gram emocji. - Wszyscy ci ludzie, tam. Mogą zacząć rozumieć. Że są swoimi braćmi, swoimi siostrami. Jak ty i ja. Bracia. Zrobiłeś, co należało.

Ciemność w końcu nadeszła. Owady wypełzły z ukrycia. Dżungla ożyła dźwiękami. Powietrze stało się chłodniejsze, znośnie.

- Co teraz? - zapytał Feng.

Kade odwrócił się i spojrział na przyjaciela.

- Klasztory się już nie sprawdzą. Łowcy nagród znają nasz wzorzec ucieczki. W ten sposób tylko pošlemy więcej mnichów na śmierć. Nadszedł czas, aby wypróbować nową strategię, Feng. Ruszajmy na wybrzeże. Do dużego miasta.

17

Niespodziewane spotkanie

Piątek, 19 października

- Nie przyszedłem cię zabić, Martinie.

Co? - zdziwił się Holtzmann w duchu. Nie słyszał już zakłóceń. To był ludzki głos. Głos, który Holtzmann znał.

- Miałem nadzieję, że odpowiesz mi na kilka pytań - kontynuował intruz.

Holtzmann otworzył oczy. We wstecznym lusterku widział teraz twarz na ciemnym tle siedzenia. Reflektory mijającego ich samochodu oświetliły ją na moment. Ciemne włosy, siwiejące na skroniach. Azjatyckie rysy. Twarz, której Holtzmann nie widział od miesięcy.

- Kevin.

Nakamura skinął głową.

- A myślałeś, że kto?

- Ja... ja nie wiem... - wyjąkał Holtzmann.

Twarz Nakamury była maską, całkowicie nieruchomą.

- Myślałem, że ktoś chce mnie obrabować... ukraść wóz... - dukał Holtzmann.

- Obrabowany przez kogoś, kto zna twoje imię? - spytał chłodno Nakamura. - Kto zakradł się do samochodu zaparkowanego w siedzibie DHS?

Serce waliło Holtzmannowi jak młot. Aż tak był przezroczystry? Profesjonalista wyłapywał jego kłamstwa w sekundę.

Dobry Boże, co ja robię? - pomyślał. Nic nie powiedział.

- Nie musisz wyjaśniać - powiedział łagodnie Nakamura. - Wszyscy wiemy rzeczy, których wiedzieć nie powinniśmy.

Holtzmann z wysiłkiem przełknął ślinę i zmusił się, by oddychać spokojnie. Samochód jechał ciemną autostradą, światła przedmieść migały w oddali po obu stronach.

- Sześć miesięcy temu - Nakamura przerwał ciszę - Samantha Cataranes została wysłana do Bangkoku. Pamiętasz tę misję?

Cataranes? - pomyślał Holtzmann. Chodziło o Cataranes?

- Tak. Pamiętam.

- Podales jej Nexusa 5 przed wyjazdem. Tam, w trakcie operacji, zaatakowała ludzi zatrudnionych przez ERD podczas próby przechwycenia Thanoma Prat-Nunga. Trzy dni później, kiedy zaatakował zespół SEALs, rozbiła helikopter, miała swój udział w doprowadzeniu do międzynarodowego incydentu. Pamiętasz?

Holtzmann skinął głową. Przypomniwał sobie chaos tamtych dni. Nieudana misja w Bangkoku. Dziesiątki ofiar pożaru mieszkania. Dziewczynka z Nexusem, Mai, wśród zabitych. Tak jak i Prat-Nung. Ucieczka Lane'a. Atak na klasztor. Śmierć Su-Yong Shu. Upublicznienie kodu źródłowego Nexusa 5. Jego decyzja, aby spróbować Nexusa... Znalezienie zmarłego na atak serca Warrena Beckera następnego dnia rano. O takich wydarzeniach się nie zapomina.

- Dlaczego? - spytał Nakamura.

Holtzmann zamrugął zaskoczony.

- Co?

- Dlaczego to zrobiła, Martin?

- Ja... - Holtzmann przez chwilę szukał słów. - Uważamy, że Shu ją zmusiła...

- Czy mogła to zrobić? Przeprowadzić tak skomplikowaną submisję?

Holtzmann przez ułamek sekundy widział znów agenta Secret Service, Steve'a Traversa, w garniturze i lustrzankach, dłoń w zwolnionym tempie wyciągającą spod marynarki gigantyczny pistolet. Zszyfrowana komunikacja w paśmie Nexusa między strzelcem i tym, kto go kontrolował, odbiła się echem w umyśle Holtzmann. Czas zwalniający jeszcze bardziej, gdy Holtzmann podrywał się i otwierał usta do ostrzegawczego krzyku.

- Tak. Shu mogła tego dokonać.

- Czy istnieją dowody, że to zrobiła?

- Nie było innego wyjaśnienia. Wysłaliśmy Cataranes z Nexusem 5. To było głupie posunięcie. Su-Yong Shu mogła być przecież twórcą Nexusa. Jeśli odkryła, kim naprawdę była Sam...

- Czy jest jakiś dowód? - powtórzył Nakamura.

- Dowodem było zachowanie Sam. Kevin, ty ją znałeś. Byłeś jej mentorem. Praktycznie ją wychowałeś. Była lojalna.

Bardziej lojalna niż ja, pomyślał Holtzmann.

Nakamura milczał przez chwilę. Samochód samodzielnie zmienił pas i włączył się w długi sznur pojazdów, a następnie zatrzymał, tylko o centymetry od zderzaka tego przed nim.

- Shu nie żyje - powiedział Nakamura. - Jak to mogłoby wpłynąć na Sam?

Holtzmann podniósł ręce do twarzy, zamknął na chwilę oczy.

- Nie wiem, Kevinie.

- Nie wiesz?

- To zależy. Jak Shu ją zaprogramowała? Zmieniła Cataranes w zdalnie sterowaną marionetkę?

W jego myślach agent wy dostał pistolet i strzelił, i strzelił.

- A może umieściła coś bardziej skomplikowanego?

Pociski trafiły strzelca i posłały na ziemię, a Holtzmann odwrócił się, szukając wzrokiem prezydenta. Joe Duran krzyczał mu do ucha: „Skąd wiedziałeś? Skąd wiedziałeś?”.

- To nie ma sensu - stwierdził Nakamura.

Wtedy w pamięci Holtzmann świat eksplodował, wyrzucając go w powietrze.

- Co? - spytał.

- Jeśli Shu zwerbowała Sam, mogła odesłać ją do ERD jako kreta. Albo wysłać ją i Kade'a do Chin. Shu musiała wiedzieć, że w mieszkaniu była zasadzka, że mieli misję zbliżyć się do Prat-Nunga.

- Nie rozumiem - powiedział Holtzmann.

- Dlaczego Shu pozwoliła Sam i Kade'owi wejść w zasadzkę, Martinie? Gdyby zwerbowała Sam, to wiedziałyby, że w mieszkaniu była zasadzka. Shu próbowała rekrutować Kade'a, a to prawie go zabiło.

- Shu próbowała ochronić Prat-Nunga - wysunął przypuszczenie Holtzmann.

Nakamura pokręcił głową.

- Nie. Shu i Prat-Nung się znali. Mogła go po prostu ostrzec.

Holtzmann znów schował twarz w dłoniach. Był taki zmęczony. Tak bardzo zmęczony. Czuł, jak nadciąga kolejna fala bólu, lepkich potów, przejmujących dreszczy.

- Nie wiem, Kevinie.

- Kto mógł na tym zyskać? - mruknął Nakamura bardziej do siebie niż do Holtzmann.
- Żeby odkryć przyczyny zdarzenia, trzeba zrozumieć, kto na tym zyskał najwięcej.

Samochód włączył kierunkowskaz, a następnie zmienił pas, kierując się do zjazdu, w stronę domu Holtzmann.

- Lane - powiedział Holtzmann. - Kaden Lane odniósł największą korzyść. Uciekł dzięki Sam.

Nakamura skinął głową.

- Tak. Też doszedłem do tego wniosku.

W umyśle Holtzmann znów zaczął odtwarzać się film. Gorący lipcowy dzień. Białe plastikowe krzesła. Paplanina prezydenta. Szyfrowana komunikacja Nexusa. Agent Secret Service w czarnym garniturze i lustrzankach, sięgający do kieszeni marynarki...

- Mógł to zrobić? - spytał Nakamura.

...pistolet pojawiający się w zwolnionym tempie...

- Tak - odpowiedział Holtzmann, czując narastające mdłości. - Myślę, że mógł.

...dłoń ściskająca kolbę...

- Ostatnie pytanie, Martin.

Strzał, strzał. Błysk z lufy i straszny huk. Ludzkie buldożery zwalające Traversa z nóg, pistolet wypadający z jego dłoni. Holtzmann czuł ból głęboko w środku.

- Czy możesz to z niej wyciągnąć? - chciał wiedzieć Nakamura. - Z głowy Sam?

Holtzmann pomyślał o eksperymentalnym lekarstwie, o martwych myszach w klatkach po każdej opracowanej dotąd serii. Może tylne drzwi, które dał im Rangan Shankari? To straszne, straszne narzędzie. Ale może przy jego pomocy byliby w stanie przeciwdziałać temu, co Shu zrobiła Cataranes? Zbyt wcześnie, by powiedzieć na pewno.

- Nie wiem, Kevinie. Po prostu nie wiem.

Nakamura skinął głową.

Samochód zwolnił na końcu zjazdu z autostrady. Drzwi szczęknęły, gdy odblokowały się zamki. W lusterku Nakamura naciągnął na twarz maskę kamuflażu.

- Dziękuję, Martinie - powiedział zniekształconym ponownie głosem. - Nigdy mnie tu nie było - dodał, po czym, gdy wóz się zatrzymał, otworzył drzwi i wysiadł. Jego sylwetka była zaledwie zarysem zniekształceń. Potem drzwi się zamknęły, a samochód skręcił i Holtzmann został sam ze swoimi myślami, wspomnieniami i bolesną potrzebą.

Przyjaciele

Piątek, 19 października

Rangan obudził się zwinięty w kłębek w kącie swojej celi. Zjadł posiłek zdrajcy, jaki mu dali, ale odmówił skorzystania z pozbawionego pasów łóżka. Nie zasługiwał na nie.

Zamrugał, aby się do końca obudzić. Miał dziwne sny. Ilya walcząca z anonimowymi postaciami. Ilya umierająca w ciemności, płacząca, całkiem sama - jej serce stanęło, a wszystko, czym była, zamieniło się w nicość. I dzieci. Dziwne dzieci. Zdezorientowane.

Rangan zerwał się i usiadł. Zesztywniał od spania na twardej powierzchni. Bolały go biodra, noga mu zdrętwiała. Z roztargnieniem rozcierał łydkę.

Ilya. Ilya prawdopodobnie wciąż się opierała. Nigdy się nie poddawała, miała serce wojownika. Jego sny brały się z poczucia winy. Czuł się winny, ponieważ się poddał, został informatorem, podczas gdy jego przyjaciele nigdy nie przedłożyliby własnego życia nad swoje przekonania.

Czy powiedzieli jej, że pękł? Czy teraz będą podchodzić do niej łagodniej? Pozostawało mieć taką nadzieję. Co sobie o nim pomyśli, kiedy się dowie? Będzie nim gardzić? Znienawidzi go?

A Kade? Wats? Co oni będą o nim myśleć?

Zawsze miał łatwe życie. Bogaci rodzice, uroda. Sukcesy przychodziły mu z łatwością, bez względu na to, czy chodziło o szkołę, czy muzykę. Indyjski złoty chłopiec. Za dnia cudowny młody naukowiec, a w nocy popularny DJ.

No i te kobiety. Boże, jak on je kochał! A one kochały jego. Jedna za drugą. Po większości weekendowych wieczorów opuszczał klub z towarzyszką, a czasami z dwiema. Przez pierwsze tygodnie w tym miejscu często onanizował się przed snem, przywołując wspomnienia ich twarzy, ciał i tych wszystkich perwersyjnych rzeczy, które dla niego robiły.

Wspomnienia, które przechował jego mózg. Wspomnienia, które rejestrował za pomocą Nexusa, nigdy nie pytając ich o zgodę.

Takie to miał łatwe życie. Rangan Shankari, międzynarodowy playboy.

Jasne.

Był żaloszny, teraz to dostrzegał. Co kiedykolwiek zrobił dla kogoś innego? Przez całe życie tylko brał. Brał pieniądze od rodziców. Brał seks od dziewczyn, których imiona ledwo pamiętał i które prawdę mówiąc, miał gdzieś, poza tymi, które były gorące w łóżku i miały dobry wpływ na jego reputację.

Jedyną wartościową rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił, był Nexus. Jedyna rzecz, którą dał światu. A czy o to walczył? Kiedy zrobili nalot na imprezę w SF, próbował uciekać, ale teraz w tej śmierdzącej celi dali mu drugą szansę. Tym razem mógł udowodnić siłę swoich przekonań. Ale nie. Wystarczyło, że odrobinę dokręcili śruby, i pękł jak zapalka. Czy to, że tutaj umrze, miało jakiegokolwiek znaczenie? Całe jego życie to jeden wielki egocentryczny żart. Był tak cholernie zapatrzony w siebie, że równie dobrze mógłby wcale nie istnieć.

Kurewsko żaloszne.

Kurwa!

Rangan uderzył dłonią w betonową ścianę i zaklął, czując ból.

A potem poczuł coś innego.

Inny umysł.

Słabo.

Młody, dziwny i spaczony, który po niego sięgał...

Bobby zamknął oczy i w głowie mógł poczuć swoich nowych przyjaciół - Tima,

Tyrone'a, Alfonsa, Pedra, Jasona, Jose, Parkera i wszystkich pozostałych. Podobnie jak on byli autystyczni. Ale co więcej, czuł ich wewnątrz własnej głowy. Byli prawdziwi.

Pojawiali się też dorośli, którzy poddawali ich testom, ale nie potrafił wcale ich czuć w swojej głowie i wiedział, dlaczego tak było. Nie posiadali Nexusa, więc byli głupi i nieprawdziwi.

Czasami dorośli zabierali któregoś z jego przyjaciół i poddawali badaniom osobno, ale Bobby i pozostali wciąż mogli czuć zabranego. Tak jak wtedy, kiedy wzięli Nicka i dali mu testy z matematyki i angielskiego, a Bobby czuł, jak je rozwiązywał. I chociaż Nick nie znał niektórych odpowiedzi, to rozwiązał je dobrze, ponieważ w głowie miał swoich przyjaciół.

Ale później zabrali Nicka znacznie dalej i ZNIKNAŁ z głowy Bobby'ego i Bobby był przerażony że zrobili mu KRZYWDEĘ albo ZABILI ale sprowadzili Nicka z powrotem i on powiedział że dali mu tylko specjalne testy i Bobby poczuł się lepiej.

Kolejnego dnia zabrali Bobby'ego i dali mu testy z matematyki, angielskiego i przedmiotów ścisłych, i zmusili go do grania w gry i rozwiązywania łamigłówek, i wciąż czuł swoich przyjaciół. Ale potem zabrali go do specjalnego pokoju zamknęli drzwi i NIE MÓGŁ CZUĆ SWOICH PRZYJACIÓŁ i zaczął się bać ale przypomniał sobie że Nick wrócił a Tim mówił że pozostali chłopcy też wrócili więc prawdopodobnie on także wróci.

Wtedy włożyli mu na głowę czapkę i dali test z hiszpańskiego, a przynajmniej tak mu się wydawało, ponieważ nie znał hiszpańskiego i poszło mu naprawdę źle ale to nie była jego wina że sprawdzali znajomość czegoś czego się nie uczył.

A potem zabrali go z powrotem do pokoju gdzie byli pozostali i cieszył się że znowu czuje ich wszystkich w swojej głowie i poprosili go żeby powiedział im wszystko o teście i on pokazał im <TEST> i tę <CZAPKĘ> i ten <POKÓJ> w którym nie mógł poczuć swoich przyjaciół, i ten <HISZPAŃSKI> i był szczęśliwy że ma przyjaciół którzy potrafią go zrozumieć i pragnął zawsze mieć takich przyjaciół.

Tej nocy śnił po hiszpańsku i śnił że był Pedrem albo Alfonsem albo Jose i następnego dnia znowu wzięli go do specjalnego pokoju w którym nie czuł przyjaciół i znowu

egzaminowali go z hiszpańskiego ale tym razem ZNAŁ ODPOWIEDZI i nawet kiedy go pytali o rzeczy o które nie pytali poprzedniego dnia TAKŻE ZNAŁ ODPOWIEDZI. Wiedział że to dzięki Pedro i Alfonsowi i Jose i Nexusowi w ich głowach.

Tej nocy, kiedy wysłali go do łóżka, położył się, zamknął oczy i poczuł coś, inną osobę znajdującą się bardzo, bardzo daleko. Smutną, samotną osobę, która nie przypominała jego przyjaciół, a była bardziej jak jego tatuś.

Bobby sięgnął ku tej osobie, która była taka smutna i tak bardzo daleko, i spróbował powiedzieć cześć.

19

Długie pożegnanie

Połowa października

Sam i Jake kłócili się, kuśtykając, przez pół drogi do domu.

- Ale mogę się przydać - upierała się Sam. - Znam te dzieciaki. Kocham je. One mnie kochają!

- Wiem, Sunee - odpowiedział Jake. - Powiedziałem im. Chcę cię tam. Ale Fundacja Mira jest bardzo ostrożna. Mieli kilka... incydentów.

- Musi być inny sposób.

- Słuchaj, myślę, że mogę ich przekonać, ale to zajmie trochę czasu.

- I co, mam po prostu czekać na twój telefon? Nie wiedząc kiedy? I czy w ogóle?!

- Wiesz, chcę, żebyś tam była.

- Nie - zaprzeczyła Sam. - Nie wiem!

- No cóż, może gdybyś, kurwa, wpuściła mnie do środka, tobyś wiedziała - zirytował się Jake.

Omam nie upadł, kiedy nagle stanęła.

- Pierdol się. Musi być inny sposób!

Jake wziął głęboki oddech.

- Sunee, musimy po prostu robić to, co jest najlepsze dla dzieci.

- Co, i to oznacza odrywanie ich od kogoś, kto chce tam dla nich być?

- Jezus, Sunee, nie chodzi tylko o ciebie!

- A co na to Khun Mae? Ona tak naprawdę tu rządzi.

Jake westchnął.

- Khun Mae się zgodziła.

- Spytałeś ją przede mną? - Sam podniosła głos.

- Taa - odpowiedział Jake. - Bo reagujesz dokładnie tak, jak się spodziewałem.

Słońce już wstało, kiedy dotarli do domu na szczycie wzgórza. Mieli za sobą godziny wypełnione milczeniem. Mówili tylko tyle, ile trzeba było, żeby uzgodnić wersję wypadków na użytek dzieci. Mieli pokerowe twarze, uśmiechy na ustach i wysyłali szczęśliwe myśli. A dzieci przejrzały ich na wylot.

Sam prosiła Jake'a i Khun Mae o kilka dni zwłoki na znalezienie alternatywnych

pomysłów. A potem zmusiła się, by ich poszukać.

Mogłaby zwrócić się do Anandy z prośbą o środki na utrzymanie sierocińca.

Mogła wrócić do Phuket, przyjąć ofertę Lo Pranga, rozpocząć karierę zawodnika na ringu i zebrać fundusze.

Mogła zorganizować akcję dobroczynną, prosić o datki.

Mogła sprzedać próbki własnych komórek i ulepszeń czwartej generacji na czarnym rynku.

Rozważyła każdy z tych pomysłów i wszystkie odrzuciła.

Anandę zapewne obserwuje ERD.

Nie miała pojęcia o akcjach dobroczynnych.

Wygrywanie walk dla Lo Pranga ściągnęłoby na nią uwagę i zwiększyło ryzyko, że ERD trafi na jej ślad. A ile to potrwa, zanim gangster zacznie prosić ją, by krzywdziła ludzi także poza ringiem?

A jej genetyczne podrasowania... Sprzedanie ich oznaczałoby śmierć gdzieś daleko. Śmierć mężczyzn i kobiet takich jak ona, wykonujących swoją pracę, starających się chronić swój kraj albo ocalić niewinnych. Nie chciała mieć tego na sumieniu, nawet za cenę ratunku dla sierocińca.

W końcu została z niczym.

Następnego nocy obudziła się przerażona na myśl, że do sierocińca wpadają mężczyźni bez twarzy i wrywają dzieci z jej ramion i ramion Jake'a.

Koszmar!

Dławił ją nawet wtedy, gdy już się obudziła. Spojrzała na drzwi i pojawili się zamaskowani mężczyźni, źli ludzie.

Nie, nie naprawdę.

To nie był jej koszmar, tylko dzieci. Przygniótł ją, sparaliżował, unieruchomił w łóżku, całą drżącą.

Wstawaj! - krzyknęła do siebie Sam i wtedy okowy złego snu pękły.

Zmusiła się, by wstać z łóżka. Pokój wirował, zniekształcony, cienie w kątach ożywały sylwetkami mężczyzn, którzy przyszli ich rozdzielić. Straciła równowagę, uderzyła w ścianę, zmusiła się, by zamknąć umysł, i szła dalej. Przekroczyła próg, a potem pogrążonym w szaleństwie korytarzem, gdzie utkane z cienia ręce sięgały, by ją uprowadzić, dotarła do drzwi pokoju dziewczynek. Jake już tam był, budząc dzieci, przyciskał Sarai do piersi.

Sam ruszyła dalej budzić chłopców, wysyłać ku nim miłość i poczucie bezpieczeństwa, wyrwać ze szponów strachu.

Koszmar zbladł, gdy dzieci się obudziły, gdy Sam i Jake tulili je wszystkie razem w jednym pokoju, gdzie wszyscy mogli zobaczyć, że każdy był bezpieczny.

Sam oddychała ciężko z Kitem wczepionym w jej pierś, starała się emanować miłością i bezpieczeństwem, podczas gdy koszmar rozwiewał się i w jej myślach.

Jake patrzył w oczy Sam z niemym błaganiem.

A ona tylko patrzyła na niego, a jej pierś wciąż unosiła się ciężko.

Trzeciej nocy Sam siedziała na łóżku, sama. Na łóżku, do którego nie zapraszała Jake'a, odkąd został napadnięty. Siedziała i czytała o Fundacji Mira.

Założona przez miliardera Shivę Prasada. Legendę. Człowieka, który był sierotą w

jednym z najbiedniejszych i najbardziej brutalnych miast Indii. Był dalit, nietykalnym, członkiem najniższej indyjskiej kasty. I wyrósł, by stać się bezwzględny magnatem biotechnologicznym. Zdobył miliardy, zostawiając za sobą ruiny konkurencji i poranionych podwładnych. I nagle się zmienił, został filantropem, to był zwrot wieku średniego, powszechny wśród ultrakapitalistów, którzy zaczęli myśleć o swojej spuściźnie.

Czytała dalej. Fundacja Mira prowadziła programy walki z ubóstwem w Indiach, Azji i Afryce. Wspierała programy edukacyjne, żywieniowe, programy szczepień w Indiach, Pakistanie, Bangladeszu, Birmie, Kambodży, Laosie, Nigerii, Kenii i dziesiątkach innych krajów. Finansowała badania następnej generacji bioupraw, o zwiększonej wydajności i lepszych wartościach odżywczych, a wyniki tych badań udostępniała powszechnie. Zarządzała również siecią niezwykle skutecznych sierocińców w Indiach i Azji.

Ale online były też znacznie mroczniejsze pogłoski. Czytała o brutalnym zabójstwie watażki z Erytrei, którego oddziały ukradły zapasy Miry przeznaczone, by zażegnać głód w jego kraju. Został ukrzyżowany i zamęczony na śmierć, a głowy tuzina jego poruczników zatknięto na żerdziach wokół jego ciała. Kolejne konwoje z pomocą przechodziły bez przeszkód.

O skorumpowanym gubernatorze Laosu, który wymieniał leki dostarczone przez fundację na podróbki, podczas gdy oryginały były sprzedawane na czarnym rynku. Znalaziono go wiszącego we własnym salonie.

O birmańskim gangu, który porwał i zgwałcił trzy pracowniczki fundacji. Członkowie gangu zostali znalezieni związani i przykuci do podłogi, twarzami w dół, na kolanach. Wszyscy zmarli wskutek masywnego krwotoku, ponieważ każdy z nich został brutalnie zgwałcony tępym przedmiotem.

Fundacji nie udowodniono żadnej zbrodni. Ale w sieci Sam znalazła tę cichą pewność, że Mira była odpowiedzialna za to wszystko, jak i również cichą aprobatę, bowiem wreszcie ktoś odważył się sprzeciwić bandytom nękającym rozwijający się świat.

Sięgnęła po sprawę, którą zapamiętała jako najświeższą. Sierociniec nietykalnych w Bihar, w północnych Indiach. Wśród mieszkańców wsi rozeszła się plotka, że to miejsce

eksperymentów na ludziach, że znienawidzone dzieci dalitów były tam przekształcane w superludzi zdolnych posługiwać się czarną magią. Napięcie rosło nieustannie. Pewnej nocy bramy sierocińca skuto z zewnątrz łańcuchami, wszystko spalono do gołej ziemi. Trzydzieścioro pięcioro dzieci i pół tuzina pracowników sierocińca spłonęło żywcem.

Sam zadrżała przy lekturze, natychmiast wróciły wspomnienia jej własnego dzieciństwa, pomyślała też o podejrzeniach wieśniaków z Mae Dong, butelkach wrzucanych przez płot i ataku na Jake'a.

Odbył się proces z udziałem niezbyt zaangażowanego prokuratora i sędziego, który oddalił wszystkie zarzuty przeciwko mieszkańcom wioski oskarżonym o morderstwo.

Tydzień później oskarżonych, sędziego i prokuratora znaleziono ukrzyżowanych i spalonych na obrzeżach wioski.

Sam wyłączyła tablet i położyła się w ciemnościach. Czy coś takiego mogło stać się tutaj? Czy mieszkańcy Mae Dong mogli posunąć się do przemocy? Czy mogła winić fundację za środki ostrożności, za to, że nie chcieli jej, obcej?

A gdyby coś się stało... gdyby ktoś skrzywdził te dzieci, które kochała... Czy ona sama zareagowałaby mniej brutalnie niż Mira?

Sam westchnęła. Była samolubna. Sprzeciwiała się tylko dlatego, że ten plan jej nie obejmował. Musiała zaufać Jake'owi. Będzie musiała zaufać, że Jake zrobi, co dla dzieci najlepsze, i znajdzie jakiś sposób, by ją w to włączyć.

Następnego ranka powiedziała o tym Jake'owi i Khun Mae. Przeprosiła Jake'a za swoje zachowanie. Przyjął przeprosiny z rezerwą.

Potem poświęciła cały czas dzieciom, ciesząc się ostatnimi wspólnymi chwilami.

Tych kilka dni przed pożegnaniem było idealne. Sam pobrała aktualizację Nexusa 5, grę muzyczną i do ostatniego dnia biegali po trawie wszyscy razem, dziewięcioro dzieci, ona i Jake. I skakali, by złapać opalizujące nuty unoszące się w powietrzu, rozgarniali rękoma

akordy w kolorach tęczy i tworzyli wspaniałą, chaotyczną muzykę w swoich umysłach. Sarai gwizdała i Mali grał na flecie, i Kit uderzał kijem w deskę, i coraz więcej nut pojawiało się wokół nich. A mały Aroon biegał, goniąc nutki, a gdy je pochwycił, wypuszczał z rączek, żeby tylko usłyszeć dźwięki ponownie.

W końcu pomogli dzieciom spakować ich skromny dobytek i położyli je do łóżek. Sam położyła Aroona do łóżeczka, a następnie otuliła Kita z jego cenną pandą. Trzymała za rękę Sarai i odgarnęła ciemne kosmyki z jej oczu, by pocałować dziewczynkę w czoło. Zapewniła, że wkrótce dołączy do nich wszystkich, ona, starsza siostra, na którą mogli liczyć.

- Kocham cię, Sam - powiedziała Sarai. Sam uśmiechnęła się i odpowiedziała tymi samymi słowami, dodając, że spotkają się we snach.

Potem odwróciła się i zobaczyła stojącego za nią Jake'a, i po raz pierwszy od tygodnia Sam zaprosiła go do swojego łóżka.

- Mam na imię Sam - szepnęła do niego, gdy byli sami, między jednym a drugim pocałunkiem. - Mów do mnie Sam.

Otworzyła umysł dla niego, tylko odrobinę, by poczuł jej spełnienie, gdy się kochali, jej delikatność, jej wiarę, że znajdzie sposób, by znów mogli być razem.

Potem, gdy leżeli razem, pokazała mu swoje dzieciństwo, to, z czym musiała się mierzyć, swoją siostrę i wirusa Komunii, i Yucca Grove. Jake tulił ją i wysyłał ku niej fale spokoju, poczucia bezpieczeństwa i akceptacji.

To wystarczyło, na razie. Na więcej przyjdzie czas później, kiedy już znów będą razem.

Spali nadzy, wtuleni w siebie. A rano przyniósł ludzi z Fundacji Mira.

Zamknięcie

Piątek, 19 października

- Ratunku! Pomocy! - Chen krzyczał i walił w drzwi, aż rozboleły go pięści i zaczęło palić w gardle.

Bez skutku. Od powierzchni ziemi dzieliły go setki metrów. Mrok ogromnej windy ustępował jedynie czerwonej poświacie wskaźnika, który nie przestawał informować „zamknięcie”.

Co się dzieje? To nie było zwykłe mechaniczne uszkodzenie. Zmiana statusu na zamknięcie oznaczała, że coś musiało się stać. Czyżby jego zmarła żona próbowała się uwolnić? Czy możliwe, że jej to ułatwił? Zaczął nerwowo sprawdzać kieszenie. Czy miał na sobie jakiś nośnik? Czy w jakiś sposób zdołała przyczepić mu coś, co mógłby wynieść na zewnątrz?

Nie, było prostsze wyjaśnienie. Twardogłowi wygrali. Długi impas pomiędzy zwolennikami liberalizmu i otwartości - z gong kai hua - a reakcjonistami pragnącymi zaostrenia kontroli dobiegł końca. Widział to oczyma duszy. Członkowie politbiura o liberalnych poglądach nagle zapadali na zdrowiu, wyjeżdżali do wiejskich posiadłości, by nigdy już nie wrócić. Albo gorzej - umierali, zaduszeni w ciemnościach. Może odpalono bomby, podobne do tej, która zabiła jego żonę, a teraz zabije jego...

Chen wzdrygnął się na to wspomnienie.

Więc twardogłowi kończyli to, co zaczęli dekadę temu, wycinając ostatnie owoce okresu miliarda kwiatów, kończąc eksperyment postczłowieka, kończąc życie jego żony tak, jak już wcześniej próbowali, a jego wraz z nią.

Czy bateria jądrowa już się topi? Czy zabije go promieniowanie? Czy dotrze na szczyt tego szybu? Czy może pozostanie tu, by umrzeć z głodu i pragnienia?

Czy istnieje jakaś nadzieja na ucieczkę? Chen spojrzał ku górze kabiny. Nie było tu żadnego widocznego wjazdu konserwacyjnego. A nawet gdyby był, czy Chen miałby w ogóle szansę otworzyć go i wspiąć się setki metrów ku powierzchni? Otworzyć zamknięte drzwi, alarmując ochronę z Centrum, która najpewniej otrzymała rozkaz niewypuszczenia nikogo? Czy jego kierowca-klon, Bai, pokonałby ochronę i uratował go? A nawet jeśli, to co? Miałby uciec do Indii?

Chen Pang wycofał się do tylnej ściany windy i usiadł ciężko. Nie było więc nadziei. Wiedział, że ten dzień musi nadejść. Od tamtej limuzyny. Myśl o nim towarzyszyła mu zawsze od chwili zamachu, który jedenaście lat temu sprowadził rychły koniec na gong kai hua. Ani on, ani Su-Yong nie mieli przeżyć tamtego dnia. Oboje żyli na kredyt. On jednak pozwolił sobie o tym zapomnieć.

Nie. Byli straceni już tej nocy, kiedy Sun Liu wziął go na stronę i ostrzegł, by nie wsiadał do limuzyny. Oczywiście - Ted Prat-Nung nie rozumiał. Uwierzył w kłamstwo, że to CIA, a nie twardegłowi w chińskim rządzie, była odpowiedzialna za wybuch auta. Prat-Nung usilnie naciskał, by spróbować uploadu awaryjnego. Chen nie miał wyboru. Prat-Nung był niebezpieczny - szaleńczo zakochany w żonie Chena. Nie mógł powiedzieć mu prawdy, a upload i tak by się nie powiódł. Cóż złego w tej odrobinie teatru?

Kiedy to się stało? Kiedy Su-Yong obudziła się w kłastrze, który zaprojektował, jakby... czuła? Wtedy też pozwolił sobie zapomnieć o przeznaczeniu. Pozwolił sobie na nadzieję, że frakcja postępową może wygrać, że gong kai hua powróci, a miliardy znów zakwitną, albo chociaż, że mógłby za sprawą dokonań żony osiągnąć jeszcze większą sławę i bogactwo.

Nie. Powinien był dodać dwa do dwóch. Ted Prat-Nung zginął od amerykańskich kul w Bangkoku. Su-Yong była szalona, a wkrótce funkcjonalnie martwa. Był ostatnim z ich triady, ostatnim z zespołu, który uczynił jego żonę pierwszym prawdziwym postczłowiekiem. Tylko to miało sens. Twardogłowi dokończą robotę. Upewnią się, że on również zginie.

Chen Pang pochylił głowę i czekał na koniec.

Obudził go wstrząs. Nie wiedział nawet, że zasnął. Usłyszał hałas. Winda przechyliła

się niepokojąco i ruszyła w górę, nieprzyjemnie zgrzytając. Czekał na zapalenie świateł lub zmianę statusu wskaźnika. Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Podniósł się. Co tu się działo? Scenariusze przemykały mu przez głowę. Su-Yong próbowała uciec i została zatrzymana, a teraz ratowano jego. Albo twardogłowi podjęli próbę zamachu i zostali pokonani. A może to tylko awaria zasilania, a zamknięcie było jedynie środkiem ostrożności?

Kogo zobaczy, gdy drzwi się otworzą? Bai? Dyrektora Centrum? Swoją asystentkę, Li-hua? Kogoś innego?

Winda zatrzymała się z hukiem. Chen czekał, oddychając coraz szybciej. Wtedy drzwi się otworzyły. Oślepiło go jasne światło. Wycofał się i wyciągnął dłoń, próbując się przed nim osłonić.

Dostrzegł broń. Przed nim stali żołnierze w insektoidalnych zbrojach bojowych. Otaczały go blado-czarne blachy pancerzy, wydęte siłowniki, akumulatory i kryjące twarze lustrzane tafle hełmów. W jego stronę spoglądały gotowe nieść śmierć lufy karabinów szturmowych. Obok z teczką w ręku stał młody mężczyzna.

- Profesorze Chen, proszę się nie ruszać - powiedział. Żołnierze o lustrzanych twarzach wtargnęli do windy, oświetlając latarkami sufit i każdy z rogów.

Dwóch z nich zaczęło go oklepywać. Ich dłonie napastowały go, uciskając każdą część torsu, chwytając za kostki i gładząc po udach, a nawet pomiędzy nogami. Zniewaga! Jednak Chen przygryzł język i nie wykonał żadnego obronnego ruchu.

- Czysto! - krzyknął ktoś zza jego pleców.

- Czysty - oznajmił jeden ze sprawdzających go żołnierzy.

- Proszę za mną, profesorze Chen - powiedział młody mężczyzna.

To nie była prośba.

Szli przez błyszczące czerwienią Bezpieczne Centrum Komputerowe. Tylko latarki i diody alarmowe rozjaśniały okolicę. Mijali rzędy opuszczonych komputerów. Wysokie metalowe stojaki rzucały na ścianę cienie. Dwóch opancerzonych żołnierzy w lustrzanych hełmach szło z przodu, za nimi Chen i młody mężczyzna, a na końcu jeszcze dwóch bojowo odzianych funkcjonariuszy.

- Nazywam się Fu-han Zhao, profesorze - powiedział młody mężczyzna. - Jestem doradcą ministra bezpieczeństwa narodowego Bo Jintao. Jestem tu, by zabrać pana do niego.

Bo Jintao - jeden z twardogłowych.

- Bo Jintao? Co się dzieje? Dlaczego tu nie ma prądu? Dlaczego utknąłem na całe godziny w windzie?

- Padliśmy ofiarą poważnego cyberataku. Liczyliśmy, że resztę pan nam wyjaśni.

Dotarli do schodów awaryjnych, prowadzących z Bezpiecznego Centrum na powierzchnię - dziesięć poziomów wyżej. Przysłano tu jeszcze więcej żołnierzy o lustrzanych twarzach w pełnym rynsztunku. Rozstąpili się, robiąc im przejście na klatkę schodową. Zasilane z akumulatorów lampy awaryjne oblały ich szkarłatem.

- Jak to możliwe, że w Centrum zabrakło zasilania? - zapytał Chen, gdy się wspinali. - Ma przecież własne awaryjne źródło energii.

- Mamy tu zasilanie - odpowiedział Zhao. - Boimy się je włączyć. Atak rozprzestrzenił się bardzo szybko. Boimy się ponownie postawić systemy, póki nie dowiemy się, które układy są zagrożone.

Na górze kręciło się jeszcze więcej uzbrojonych i opancerzonych żołnierzy. Cały budynek był pusty, oświetlony tylko przez lampy awaryjne.

- Tu jest prąd? - zapytał Chen.

- Tak - powiedział Zhao.

- Gdzie jest mój kierowca?

- Został... czasowo zwolniony z obowiązków, profesorze. Wszystkie z nich zostały.

- Wszystkie z nich?

- Tak. Wszystkie klony.

Cała Konfucjańska Pięść zwolniona z obowiązków. A więc chodziło o jego żonę. Pomyśleli, że to ona stała za atakiem. I bali się jej wpływu na klony.

Cholera!

Nie dostrzegł ani jednego studenta czy pracownika uczelni na tonącym w czerwieni wydziale informatyki. Na zewnątrz było ciemno. Z nieba lał się deszcz. Na ulicy czaiły się podobne do czołgów opancerzone pojazdy, mierząc w budynek z ogromnych dział i rozbudowanych wyrzutni rakiet. Pomiędzy nimi, na środku drogi, przenośne reflektory oświetlały wojskowy helikopter. Osiadł tam, czekając na nich, z włączonymi wirnikami, z bronią zamontowaną na krótkich skrzydłach, otoczony przez żołnierzy. Cętkowane maskowanie pobłyskiwało w deszczu i świetle sodowych lamp.

Chen usłyszał wirniki nad głową. Podniósł wzrok, osłaniając dłonią twarz przed deszczem. W powietrzu dostrzegł słabe czerwone światła mniejszych, gładszych i groźniej wyglądających śmigłowców. Krążąc nad nimi, przypominały drapieżne ptaki, czekające na dogodny moment do ataku.

Kto wie jakich śmiercionośnych broni jeszcze nie widział.

Zhao gestem zachęcił Chena do wejścia na pokład.

- Mój telefon... mój tablet... - Chen krzyczał, próbując się przebić przez szum wody i charkot wirników.

Zhao skinął głową i odkrzyknął:

- Wrócą do pana w swoim czasie.

Mnie też podejrzewają, pomyślał Chen z przerażeniem.

Był gotów zaakceptować śmierć kilka godzin temu, ale teraz bardzo mocno chciał żyć. I aby tak było, musiał przekonać Bo Jintao, że nie jest zagrożeniem. Wszedł do helikoptera, czując chłód nie tylko z powodu deszczu. Zhao wsiadł za nim i po chwili byli już w powietrzu.

Z powietrza Chen po raz pierwszy mógł obejrzeć Szanghaj. Wtedy zrozumiał.

Lecieli przez miejskie kaniony, pomiędzy pozbawionymi życia drapaczami chmur, otoczeni przez eskortę innych maszyn. Miasto było martwe. Tam, gdzie powinny lśnić światła, panował mrok. W niektórych oknach połyskiwały świece. W dole, na ulicach, płonęły ogniska. Drogi zapchane były kadłubami unieruchomionych samochodów. Żołnierze obstawili punkty kontrolne, kierując reflektory z miejsca na miejsce. Gdy mijali ekskluzywny blok, usłyszał eksplozję, a następnie serię z karabinu.

Widział cizbę ludzi napierających na sklepowe drzwi. Szabrownicy. Tłum ruszył naprzód, rozbłysły strzały.

Helikopter leciał dalej i miejsce zniknęło z pola widzenia.

Chen pobladł, odwrócił się do Zhao.

- Co się stało?

- Najgroźniejszy cyberatak wszech czasów. Wyłączył setki tysięcy samochodowych komputerów pokładowych, spowodował przeciążenia, które uszkodziły setki stacji elektroenergetycznych, wywołał awarię pociągów, terminalu promowego, a także publicznych systemów nadzoru bezpieczeństwa. Nawet kanalizacji. Inteligentny system

oddzielania deszczówki od ścieków zawiódł, przez co mamy teraz wycieki na ulicach.

Chen z trudem łapał oddech. Czy mogła to zrobić Su-Yong?

- Moja córka? - zapytał.

- Bezpieczna - powiedział Zhao - mamy przy niej ludzi.

Chen skinął głową.

- Ofiary śmiertelne? - zapytał.

- Do tej pory setki - odpowiedział Zhao. - Wypadki samochodowe. Pożary. Mamy tysiące uwięzionych w metrze, które wypełnia się wodą. I przemoc. Ludzie wiedzą, że samochody dostawcze jutro nie dotrą. Okradają więc sklepy i siebie nawzajem. Straty liczone są w miliardach yuanów.

Chen z przerażeniem oglądał przesuujące się pod nim spustoszone miasto.

Helikoptery poleciały na północ i zachód, ku obrzeżom miasta. Chen zobaczył domy w ogniu, tłumy szabrowników wynoszących dobra z niezabezpieczonych sklepów, eksplozję i kolejne błyski karabinów. Szanghaj był zrujnowany.

Wylądowali na wojskowym lotnisku. Dachang, pomyślał. Tu były światła. Zhao popędzał ich, gdy przechodzili z helikoptera do luksusowego odrzutowca czekającego na pasie startowym. Jego kameleonowa powłoka przeszła w neutralny szary, ogon zdobiła czerwona chińska flaga. Chen ledwie zdążył zasiąść w bogato urządzonej kabinie, a już pędzili po pasie startowym, by za chwilę oderwać się od ziemi w towarzystwie dwóch innych odrzutowców. Przez chwilę obserwował żołnierzy przez okna, aż uaktywnili własne kameleonowe osłony i stopniowo zniknęli zupełnie.

Wylądowali na lotnisku wojskowym na obrzeżach Pekinu. Kolejny śmigłowiec pod eskortą zabrał Chena i Zhao w głąb stolicy. Chen miał okazję zobaczyć miejskie światła, wszystkie działające tak, jak powinny. Następnie osiedli na dachu Departamentu

Bezpieczeństwa, a zbrojna straż odprowadziła ich do windy.

Pod drzwiami został przeszukany po raz ostatni, by już za chwilę znaleźć się w gabinecie Bo Jintao, ministra bezpieczeństwa narodowego, członka Biura Politycznego, najbardziej zawziętego z twardogłowych.

- Profesorze Chen. - Minister siedział za biurkiem, obserwując coś na ekranie. Po drugiej stronie, przodem do niego, siedział mężczyzna. - Może pan usiąść - minister powiedział to, nie patrząc na Chena.

- Dziękuję, panie ministrze. - Chen przeszedł przez pomieszczenie. W tym momencie mężczyzna po drugiej stronie biurka odwrócił się i Chen odetchnął z ulgą. Sun Liu, minister nauki i technologii. Postępowiec. Protektor Chena.

- Chen - przywitał go Liu. Jego twarz była poważna. Chen skinął głową i usiadł na drugim krześle. Zhao pozostał przy drzwiach.

Co tu się dzieje?

- Wie pan już o ataku na Szanghaj - przemówił Jintao, po raz pierwszy spoglądając na Chena. - Czy mogła to zrobić pańska żona?

- Panie ministrze, ja... jestem pewien, że nie miała powodu, by...

- Czy mogła? - powtórzył minister.

Chen przełknął ślinę.

- Jeśli zostałaby podłączona? Tak. Ale jest odizolowana. Panie ministrze, nie rozumiem, jak...

- Profesorze, czy mogła pozostawić program, który by tego dokonał? - przerwał mu Zhao.

Chen zamrugął.

- Dlaczego miałyby chcieć...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie mojego doradcy - naciskał Jintao.

Chen westchnął.

- Pewnie tak. Ale co miałyby zyskać, niszcząc Szanghaj?

Zhao mówił dalej:

- Analiza wykazała, że broń, której użyto, zaatakowała w pierwszej kolejności Bezpieczne Centrum. Ktoś przeszukał ogromne ilości danych, następnie zaatakował komputery Bezpiecznego Centrum, by w końcu przejść na systemy cywilne. Zakładamy, że intruz szukał sposobu, by uwolnić pana żonę z izolowanej przestrzeni, a gdy to się nie udało, uderzył na cywilne systemy dla odwrócenia uwagi.

- Jak do tego doszliście? - zapytał Chen, odwracając się do doradcy.

- Pański tablet i telefon, profesorze - wyjaśnił Zhao. - Przez nie wtargnął intruz.

Chen zbladł jak ściana. Spojrzał na Bo Jintao.

- Ministrze Bo! Nie miałem z tym nic wspólnego! Zapewniam pana, że o niczym nie wiedziałem!

Minister bezpieczeństwa spojrział na niego beznamiętnym wzrokiem. Chen poczuł lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Ten człowiek już raz próbował go zabić. Teraz mógł to zrobić jednym słowem.

- Wierzę panu, Chen Pang - powiedział spokojnie minister. - Gdyby było inaczej, nie znajdowałby się pan tutaj.

Chen gapił się Bo Jintao, aż wreszcie dotarł do niego sens słów. Znow odetchnął. Na jak długo?

- Zhao, kontynuuj! - polecił minister.

- Wierzymy, że był to atak zaprogramowany przez pańską żonę i pozostawiony jako zabezpieczenie w razie próby jej odłączenia. Bot, którego stworzyła, by ją uwolnił.

Chen pokręcił głową.

- Żadne oprogramowanie nie jest w stanie ponownie jej podłączyć. To wymaga fizycznych zmian tysiąc metrów pod ziemią.

- Wiemy o tym - powiedział Zhao z za jego pleców - ale ona o tym nie wie. Informacje o miejscu, w którym przebywa, usunięto z dokumentacji. Mogła wierzyć, że oprogramowanie pracujące spoza jej klatki mogłoby przebić firewall, który ją więzi.

- Biorąc pod uwagę prawdopodobieństwo takiego scenariusza - dodał minister bezpieczeństwa - uważamy za rozsądne natychmiastowe wymazanie Shu z Kwantowego Klastra.

Chen opuścił głowę. To był koniec jego marzeń. Koniec z twierdzeniem równości. Koniec z Nagrodą Nobla. Koniec z Medalem Fieldsa. Koniec z miliardami komercyjnych licencji. Koniec wszystkiego. Musiał spróbować jeszcze raz.

- Ależ, panie ministrze, jej możliwości... Ministerstwo Obrony polega na nich. Jeszcze nie jest za późno. Nadal możemy próbować ustabilizować jej osobowość... Klon, nawet więzień wyposażony w interfejs...

- Nie - odpowiedział szorstko Bo. - Obrona twierdzi, że dzięki panu, Chen, ich kwantowe klastry mają wystarczające możliwości, by spełnić wymagania armii. Moi ludzie mówią to samo.

Dzięki Su-Yong, pomyślał Chen. Nie dzięki mnie. Moja żona znalazła dla siebie

zastępstwo.

- Reszta została zamknięta miesiąc temu - powiedział Bo. - Ujawniła nasze możliwości w zakresie kryptografii kwantowej, udowadniając, że jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego. A teraz nas atakuje. Przyszedł czas ją wyłączyć.

- Ministrze Sun - Chen zwrócił się do ministra nauki - proszę... - Proszę, pozwól mi wycisnąć z niej jeszcze jedno odkrycie... Też będziesz miał w tym swój udział...

Sun Liu w końcu przemówił.

- Przykro mi, Chen. Zgadzam się z ministrem Bo. Twoja żona okazała się zbyt wielkim zagrożeniem.

Chena ogarnęła rozpacz. Opuścił głowę w geście posłuszeństwa, a zarazem porażki.

- Jednakże... - kontynuował minister nauki - wyłączenie jej nie gwarantuje końca ataków.

- Nasz zespół cyberobrony je powstrzyma - powiedział Bo Jintao.

Sun Liu wzruszył ramionami.

- Możliwe. Wiem jednak, że jest zdolna zrobić rzeczy, których ludzcy programiści nie potrafią. Ataki mogą się przez jakiś czas powtarzać. Może agenci, których posłała, następnym razem wezmą na cel Pekin?

Bo Jintao zmarszczył brwi.

- Co pan sugeruje?

- Powinniśmy ją złamać - powiedział Sun Liu. - Zmusić do powiedzenia, jakich agentów posłała i jak ich dezaktywować.

Chen podniósł wzrok. Sun Liu wiedział. Był jedyną osobą, która wiedziała, skąd naprawdę biorą się odkrycia Chena. A to, co tak naprawdę chciał powiedzieć... to żeby zmusić ją do wyjawienia czegoś innego. Twierdzenia równości. Jego serce mimowolnie przyspieszyło.

- Możecie tego dokonać? - zapytał Bo Jintao.

- Tak - powiedział Sun Liu. - Chen może.

Bo zwrócił się do Chena:

- Mógłby pan to zrobić, Chen? Swojej własnej żonie?

Chen wyprostował się na krześle i spojrzał ministrowi bezpieczeństwa narodowego w oczy.

- Dla dobra narodu mogę i zrobię to.

21

Regres

Piątek, 19 października

Martin Holtzmann trząsał się w samochodzie. Na miejscu Nakamury mógł znaleźć się ktokolwiek, zabójca. Jeżeliby uznali, że powinien zginąć, byłoby to takie proste. Pocił się. Oddychał szybko. Serce łomotało mu w piersi.

Nie mógł pozwolić, żeby Anne zobaczyła go w takim stanie.

- Przejeżdż dookoła dzielnicy - rozkazał samochodowi.

Wykorzystał czas na przyjęcie dawki opiatów i noradrenaliny. Zadrżał, gdy błogosławiona mieszanka rozlała się wewnątrz jego ciała, potem wyciągnął ramiona i nogi, na ile zdołał w kabinie samochodu, wygiął szyję i plecy, delektując się tymi paroma chwilami przyjemności płynącej przez każdą komórkę jego organizmu.

Powinienem zawsze tak się czuć. Zawsze.

Samochód okrążył dzielnicę i zaparkował w garażu.

Martina dręczyła jakaś myśl, gdy wszedł do kuchni. Coś, co przypominało mu o Nakamurze. Miał to na końcu języka...

Ale wtedy Anne powitała go pocałunkiem i myśl znikła.

Na ekranie trwała ostatnia debata prezydencka prowadzona na żywo.

Gdy Holtzmann wszedł, senator Kim właśnie mówił:

-...pamiętać, że są dwa bardzo różne sposoby używania Nexusa, jeden dobry i jeden zły. Nie powinniśmy wylewać dziecka z kąpielą.

Widownia zaklaskała. Liczby analizy emocjonalnej widzów przemknęły w lewą stronę ekranu. Średnia cena Kima rosła na rynku w czasie rzeczywistym - wskaźniki przewijały się pod obrazem debaty, a wraz z nimi przewidywane szanse na zwycięstwo. Osiem procent. Dziewięć procent. Wzrost. Holtzmann na chwilę poczuł lekki przypływ nadziei.

Stockton odezwał się po pauzie:

- Senator Kim ma rację. Nexus jest używany na dwa różne sposoby. Po pierwsze, jako silnie uzależniający narkotyk, który uszkadza umysły dzieci. I po drugie, jako śmiertelna, groźna broń. - Stockton przerwał. - Panie i panowie, w czasie mojej drugiej kadencji zamierzam powstrzymać oba te sposoby wykorzystania Nexusa.

Tym razem aplauz był burzliwy, z okrzykami aprobaty. Wykres emocji pomknął wyraźnie w prawo. Średnia ocena Kima spadła zupełnie, szanse na wygraną zniknęły. W rogu ekranu przewidywany wykres wyborczy zrobił się jeszcze bardziej czerwony.

W Holtzmannie duch upadł.

- Idioci. - Anne wyłączyła ekran.

- O której ze stron mówisz? - zapytał Holtzmann.

- O obu.

Serce miał ciężkie, gdy wsunął się do łóżka. Miał wrażenie, że światu kończą się możliwości. Holtzmann nie potrafił sobie już wyobrazić świetlanej przyszłości. Ledwie wyobrażał sobie przetrwanie tego tygodnia. Leżał, skórę miał gorącą, ciało zimne, a w brzuchu węzeł. Męczył się, dopóki rytm oddechu Anne nie wskazał, że zasnęła.

A wtedy zaordynował sobie jeszcze trochę opiatów. Dzięki nim coś czuł, miał trochę przyjemności, ale nie dość. Dlatego nacisnął mentalny guzik drugi raz. Fala euforii przepłynęła przez każdą kończynę, przez tors i wszystkie zakamarki umysłu, i na chwilę wszechświat skurczył się do głębokiego doznania szczęścia.

Następne parę dni stanowiło rozmazaną plamę w jego pamięci. Rankami był drażliwy, lecz to ukrywał. Przez resztę dnia sprawdzał wyniki testów dzieci, postępy prac nad lekarstwem, coraz bardziej obiecujące postępy ze szczepionką.

Co noc kładł się do łóżka i aplikował sobie dawkę opiatów na sen. Albo dwie dawki. Albo trzy. Czasami też, gdy wieczorem wracał do domu, brał odrobinę w samochodzie.

W wolnych chwilach w myślach przeglądał ową listę dwudziestu dwóch podejrzanych. Raz po raz. Ale choć starał się jak mógł, nie umiał wskazać złodzieja. Któregoś dnia złamał rutynę, wziął wolne popołudnie i zajął się przeglądaniem pełnych akt ERD o FWP.

Przez lata ERD rozbiło ponad dwadzieścia operacji Frontu Wyzwolenia. Pięćdziesięciu siedmiu mężczyzn i kobiet, większość zwykłych żołnierzy FWP, zostało ujętych i skazanych przez Trybunał do spraw Nagłych Zagrożeń. Holtzmann przeglądał teczki, raporty wywiadu, streszczenia po akcji.

Zdumiewające, ale przez osiem lat przed próbą zabójstwa w lipcu działania te nie pociągały za sobą prawie wcale ofiar. W paru akcjach, które się powiodły, szkody obejmowały głównie własność, a nie ludzi.

Częściowo, bez wątplenia, było to zasługą kompetencji ERD. Ale czy reszta to skutek niekompetencji FWP? Być może.

Dlaczego zatem doszło do zamachu w lipcu? Czy FWP nagle stał się wyraźnie bardziej kompetentny? Czy siły reagowania ERD popełniły jakieś błędy? Co się zmieniło?

Zastanawiał się nad tym, gdy przeglądał historię FWP. I wtedy natrafił na coś, co go zaskoczyło.

Spearsowie, porwanie w 2030. Dziedziczka medialnej fortuny, w tym American News Network, porwana i nafaszerowana narkotykiem RCSK, czyli Rób, Co Się Każe. Została poddana praniu mózgu, przeprogramowana, żeby przekazać część swojego bilionowego bogactwa. Stało to się jeszcze przed powstaniem ERD. FBI rozwiązało sprawę, a jednym z agentów był wtedy Warren Becker.

Holtzmann przypomniał sobie, że Becker opowiadał o tym przy kolejkach drinków pewnej nocy, na konferencji dotyczącej zapobiegania nagłym zagrożeniom technologicznym, w trzydziestym drugim lub trzydziestym trzecim. „Meksykańskie kartele - powiedział wtedy Becker - rozszerzają działalność z narkotyków i prostytucji na wymuszenia i pranie mózgu”.

Ale akta stwierdzały, że stało za tym FWP. Czy pamięć go myliła?

Terminal Holtzmann'a zapiszczał. Rozmowa o wysokim priorytecie. Martin zerknął. Maximilian Barnes. Holtzmann'a ogarnął nagły niepokój. Barnes wiedział, co Holtzmann robi i dlaczego... Na czole skropił mu się pot.

Weź się w garść, Martin! Odbierz!

Odetchnął głęboko. To nic nie znaczyło. Rutynowa rozmowa. Nic więcej. Terminal znowu zapiszczał. Jeszcze jeden oddech i Holtzmann wyciągnął rękę, aby przyjąć połączenie.

Twarz Barnes'a, zawsze doskonale spokojna, z tymi zimnymi, ciemnymi oczyma, wypełniła ekran.

- Martinie.

- Dyrektorze - Holtzmann starał się zachować spokój - co mogę dla pana zrobić?

- Martinie, spotkanie z prezydentem dotyczące dzieci z Nexusem w przyszłym tygodniu koliduje z wyjazdem w ramach kampanii wyborczej.

Holtzmann niemal nie westchnął z ulgi. Spotkanie można zorganizować później.

Barnes mówił dalej:

- Dlatego przesunęliśmy je na jutro. O jedenastej.

Holtzmann zamrugał. Serce znowu zaczęło mu walić.

- Ale... Niczego jeszcze nie przygotowałem. Nie ma mowy, żebym był gotów...

Barnes uspokajająco uniósł dłoń.

- To tylko rozmowa, Martinie. Bądź jedynie przygotowany, żeby odpowiedzieć na pytania prezydenta. I tyle. A poza tym prezydent cię lubi.

A potem Barnes się wyłączył, a Holtzmann znalazł się w męskiej toalecie na kolanach i z głową nad muszlą. Zwrócił cały lunch.

Wytrzeł usta papierem toaletowym, spuścił wodę. Wiedział, czego mu potrzeba.

Wyciągnął w umyśle interfejs, włączył kolejną dawkę opiatów i pozwolił, żeby go porwała.

Umył się, a potem samochód zabrał go do domu, podczas gdy on rozmyślał o następnym dniu.

Znał zestawienia. Znał fakty z góry do dołu i odwrotnie. Ale prezydent przerażał Martina. I ryzyko, że zostanie przyłapany...

Potrzebował pewności siebie.

Tej nocy, gdy Anne spała obok, Holtzmann wpisał prosty skrypt, żeby podnieść sobie poziom serotoniny podczas spotkania. Żadnych nagłych fal. Tylko długi, stały napływ, dzięki któremu zachowa spokój, czujność i pewność siebie.

Kiedy był już zadowolony, dodał sobie dużą dawkę opiatów w nagrodę. Troski zniknęły. Pozostały tylko spokój i przyjemność.

22

Wspomnienia

Sobota, 20 października

Ochroniarze Shivy przyprowadzili łowcę nagród, przygotowanego zgodnie z rozkazami. Towarzysz Lane'a zmiażdżył temu człowiekowi tchawicę, ale niedostatecznie mocno, by całkiem odciąć dopływ powietrza. Wietnamskiej policji udało się jakoś ustabilizować łowcę i zaintubować, zanim opuchlizna dokończyła to, co zaczął chiński żołnierz. Sprowadzenie tu tego człowieka kosztowało niemalą łapówkę.

Żołnierze Shivy trzymali łowcę na klęczkach, z rękoma skrępowanymi na plecach wysokiej jakości kajdankami. To był typowy macho, jego mięśnie aż pękały od czarnorynkowych ulepszeń, głowę miał gładko wygoloną i pokrytą agresywnymi tatuażami. Shiva mógł sobie wyobrazić, że kiedyś ten człowiek spoglądał nieustępliwie, ale teraz miał w oczach już tylko strach. Dostał zastrzyk ze zmodyfikowanej wersji Nexusa 5, której Shiva używał do przesłuchań. Ta wersja odpowiadała tylko na polecenia od samego Shivy. Łowca powinien właśnie otrząsać się z halucynacji związanych z kalibracją i niewątpliwie miał pojęcie, co go czeka.

Shiva chwycił umysł łowcy nagród w uścisk swojej woli.

Powiedz mi, co wiesz o Kadenie Lane - rozkazał. I jak go znalazłeś.

Wyciągnął z więźnia całą wiedzę, którą tamten miał z sieci łowców nagród, dowiedział się o ich strategii i protokołach komunikacyjnych. Dowiedział się, jak wysłedzili Lane'a.

A kiedy Shiva dostał już wszystko, co było do wzięcia, zastanowił się chwilę nad losem przesłuchiwanego. Nieszczęśnik mordował, kradł i kłamał. Na takie rzeczy był właściwy czas i miejsce. Istniały okoliczności, które to usprawiedliwiały, szlachetne pobudki, wyższe cele. Ale ten człowiek robił to po prostu dla pieniędzy.

Łowca nagród nie miał świata nic do zaoferowania. Przez całe życie tylko brał. To było smutne. Ale jeśli Shiva teraz go uwolni, ten człowiek znów będzie handlował swoją jedyną umiejętnością: przemocą, i to bez skrupułów. Świat tylko zyska, jeśli umrze.

Shiva zamknął oczy, przez kolejną chwilę rozważając tę kwestię. Nita byłaby przerażona. Nigdy nie rozumiała prawa dżungli, prawa ulicy. Nie rozumiała, że tu rządziły czyny. Drapieżniki i ich ofiary. A jedynym sposobem radzenia sobie z antyspołecznym drapieżnikiem było uspienie go. Nauczył się tego w czasach swojej młodości, ale także i później, gdy prowadził interesy.

Moje sumienie jest czyste, uznał Shiva.

Raz jeszcze sięgnął umysłem, złapał pień mózgu łowcy nagród i ścisnął. A potem patrzył mężczyźnie w twarz, czekając, aż tamtemu stanie serce. Oczy łowcy rozszerzyły się jeszcze bardziej. Krzyknął, ale był to ledwie słyszalny dźwięk, bo z krtani zostało niewiele. Żołnierze puścili ramiona łowcy i mężczyzna upadł na podłogę, na bok. Spętane nogi i ręce podrygiwały dziko, zapewne próbował się uwolnić. Shiva spoglądał w te nieustępliwe kiedyś oczy. Teraz widniała w nich desperacja, gdy umierający próbował znaleźć jakiegokolwiek wyjście z sytuacji. Aż w końcu jego spojrzenie stało się puste, szarpanina ustała i nie było już łowcy nagród.

Ochroniarze odciągnęli ciało. Do Shivy podszedł Ashok.

- Możemy mieć problem - powiedział szef oddziałów operacyjnych Shivy. - W sierocińcu w południowej Tajlandii. Nasze źródło donosi o możliwych komplikacjach. Kobieta. Może żołnierz albo jakiś agent. Wyraźnie ulepszona. Przyjechała niedawno, zaledwie trzy miesiące temu. Amerykanka - Ashok zaakcentował ostatnie słowo i podał dowódcy tablet z plikami.

Shiva przejrzał informacje. Kobieta z Ameryki Północnej, podróżująca z fałszywą tożsamością, która celowo szukała dzieci Nexusa, demonstrując przy tym ulepszenia w trakcie konfrontacji z mężczyznami z pobliskiej wioski. Kim była? Szpiegiem? Zagrożeniem? Agentem CIA?

Przez chwilę znów był w Bihar, płacząc wśród popiołów sierocińca, oplakując swoje pomordowane dzieci. Później patrzył, jak przez korupcję i kumoterstwo morderecy zostają uniewinnieni. Wreszcie obserwował, jak jego żołnierze przybijają przestępców, skorumpowanego sędziego i prawników do krzyży, jak je podpalają, słuchając stłumionych wrzasków poddanych karze, która nie mogła zadośćuczynić ich potwornej zbrodni.

Nita była wściekła, gdy się o tym dowiedziała. „Zostali uniewinnieni, Shiva!” - powiedziała. „Nie można po prostu wymierzać sprawiedliwości na własną rękę!”

Jej reakcje wciąż go bolały. Ale jaki miał wybór? Pozwolić, by ignoranci, dzikusy zabijali jego ludzi bezkarnie? Pozwolić mordować dzieci, znajdujące się pod jego ochroną, i nie wyciągać konsekwencji? Znów poczuł płomień starego gniewu. Te potwory zasłużyły na

coś gorszego, o wiele gorszego niż los, który zgotował im Shiva. Dlaczego Nita nie była w stanie zrozumieć, że musiał poczynić te kroki, jeśli chciał wykuć nowy porządek świata?

Shiva poczuł, jak tablet poddaje się pod jego palcami, bo dłonie zacisnęły się mimowolnie. Wziął głęboki oddech, odepchnął to wspomnienie i rozluźnił swój chwyt, po czym oddał urządzenie Ashokowi. Te wyjątkowe dzieci były jego podopiecznymi. Ich bezpieczeństwo stanowiło sprawę najwyższej wagi. Amerykanie widzieli w nich potwory, nie ludzi. Wiedział o próbach znalezienia szczepionki przeciwko Nexusowi, znalezienia „lekarstwa”, aby na siłę usunąć go z mózgu. Znał ich plany „ośrodków pobytu”, gdzie mieli zostać uwięzieni przedstawiciele nowego gatunku, którego tak się obawiali. Jeśli Amerykanie próbowali się dowiedzieć, gdzie zabierał te dzieci...

- Porwij ją - polecił Ashokowi. - Po cichu. Dowiedz się, co wie i kto ją wysłał.

Ashok skinął głową i odwrócił się, by wyjść, ale Shiva miał jeszcze coś do powiedzenia.

- Jeszcze jedno. Jadę do Wietnamu. I zabieram jedną z twoich drużyn. Nadszedł czas, żeby znaleźć tego Kadena Lane'a.

23

Kot i mysz

Niedziela, 21 października

Sajgon - bijące serce wietnamskiego handlu, kultury i rozpusty. Oficjalnie nazywany Ho Chi Minh City, jednak wszyscy używali starszej nazwy, z okresu sprzed unifikacji. Było to miejsce, gdzie Kade i Feng mieli nadzieję zniknąć w tłumie, zgubić się wśród turystów i obcokrajowców z całego świata, gdzie nie narażaliby życia mnichów.

Mieli pieniądze. W Kambodży wdzięczny ojciec odszukał ich w klasztorze, wcisnął

Kade'owi grubą paczkę banknotów i podziękował za pracę, dzięki której jego córka wyszła ze śpiączki. Kade próbował odmówić, ale ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć. Lane chciał oddać pieniądze klasztorowi, lecz Feng nalegał, by zachowali ten prezent na wszelki wypadek.

Jechali teraz nocą, głównymi drogami i autostradami, chcąc jak najszybciej osiągnąć cel.

Dotarli do Sajgonu późnym porankiem. Feng zaparkował dzipa na parkingu jakiegoś magazynu, a potem założyli plecaki i wsiedli do autobusu do Ben Thanh Market i turystycznego centrum miasta: po prostu kolejna para turystów zainteresowana tym, co Wietnam ma do zaoferowania.

Z Ben Thanh poszli do dzielnicy backpackerów, wokół ulicy Bui Vien, i zgubili się w porannym tłumie. Nawet o tej porze kręciło się tu sporo ludzi. Twarze wokół nich były głównie białe, ale widzieli też Azjatów i Hindusów. Niezależnie jednak od kolorów skóry czy rysów twarzy językiem ulicy był angielski z amerykańskim, indyjskim, chińskim, niemieckim i australijskim akcentem.

Szylidy oferowały zaplatanie włosów, szycie na zamówienie, jedzenie amerykańskie, jedzenie chińskie, całonocne imprezy, piercing, napoje prokognitywne, wycieczki do delty Mekongu, seks na żywo.

No i był jeszcze Nexus. Połowa wystaw sklepowych zawierała nadajniki dostrojone do częstotliwości Nexusa, na której nadawały reklamy. Poczuli zapachy i smaki. Dotyk palców masujących ramiona. Kuszące wizerunki splecionych ciał, które mogli zobaczyć w środku. Owionął ich zapach sugerujący marihuanę na sprzedaż i inne bardziej egzotyczne narkotyki. Zmysłowy dotyk skóry na skórze za bardzo przystępną cenę.

Feng obrócił się dokoła, otwierając szeroko oczy i umysł, chłonąc wszystkie doznania naraz. Kade śmiał się i zachowywał dystans, ale nie mógł pozostać obojętny.

Nexus był też w otaczających ich umysłach. Kade kontrolował swoje myśli, tak jak i Feng, ale ludzie wokół nich byli mniej ostrożni. Para dziewcząt z RPA, wysokich i

jasnowłosych, schodziła na późne śniadanie, chichocząc wspólnie, myśląc o jedzeniu i słońcu, i wczorajszych perwersjach. Trzech indyjskich chłopców, popijając herbatę w kawiarni na świeżym powietrzu, rozmawiało, wymieniając zarazem myśli na temat zioła i dziewcząt.

To było miejsce, gdzie Nexusa używano otwarcie. Miejsce, gdzie ludzie Zachodu i Azji przyjeżdżali i odjeżdżali nieustannie, gdzie Kade i Feng nie wyróżniali się pod żadnym względem. Miejsce, w którym mogli zniknąć.

Minęli reklamy aplikacji pod Nexusa, które mogłyby całkiem przebudować osobowość - dodać pewności siebie, śmiałości, oddania, poczucia humoru czy czego tam komu brakowało. Bądź, kim chcesz być, mówiły.

W połowie drogi w dół ulicy Kade poczuł kolejną reklamę, bardziej wyrafinowaną niż poprzednie. Pozwolił, by go dotknęła, pozwolił sobie wchłonąć gamę wrażeń.

Witamy w Niebie - szepnął mu do ucha uwodzicielski kobiecy głos. I nagle był wewnątrz klubu, zwiedzał go, laserowe oświetlenie, maszyny do robienia dymu, perłowy wystrój i seksowne tancerki ubrane jak anioły, wszystko to zalało jego zmysły potokiem wrażeń. I wbrew sobie, uśmiechnął się. Ranganowi by się to podobało.

- Jesteśmy na miejscu, Feng - powiedział na głos. - To jest to.

Wynajęli pokój w hostelu nad Niebem, a potem poszli zmienić wszystko, co mogli zmienić w swoim wyglądzie. Na ulicznym straganie Kade kupił kruczoczarne włosy, mocowane do skóry głowy specjalnym białkiem. Sztucznie wyhodowane loki opadły mu na plecy, posplatane w grube warkocze. Feng pofarbował swoją krótką czarną czuprynę na blond. Kupili pigułki melaninowe, by przyciemnić nieco skórę Kade'a. I odrobinę tylko nielegalne tatuaże genetyczne, by bardziej się zmienić - srebrzyste wzory, które niczym druty oplótły ręce i ramiona Kade'a, a gdy spojrzano się na nie uważniej, powoli modyfikowały kształt. Feng wybrał parę złoto-czarnych smoków, które leciały z ramion ku nadgarstkom, czerwone płomienie, które pojawiały się na grzbietach dłoni, gdy zacisnął pięści, oraz kod kreskowy, który wyjątkowo mu się podobał, umieszczony na karku.

- Kod kreskowy - roześmiał się klon. - Jak robot.

Kade pokręcił głową i skrzywił się, gdy tatuażysta wstrzyknął wzór w nie całkiem ludzką i nie całkiem sprawną rękę. Patrzył z fascynacją, jak żywy atramentowy obraz zarysował się na skórze. Srebrne druty popłynęły od miejsca wstrzyknięcia wokół nadgarstka aż do przedramienia. Odwrócił dłoń i patrzył, jak jego skóra ulega transformacji. Kiedy przemiana dobiegła końca, wzór wyglądał tak samo na prawym, jak i na lewym ramieniu. Jeśli w jakikolwiek sposób reagował z genami gekona, nie było tego widać. Za trzydzieści dni Kade będzie musiał zapłacić jeszcze raz albo tatuaż zblednie.

Kupili drewniane pierścienie i naszyjniki z symbolem pokoju, i koszulki, w jakich chodzili turyści.

I wreszcie wyglądali jak cała reszta backpackerów spacerująca w okolicy Bui Vien.

Zjedli obiad w restauracji na świeżym powietrzu, pod szyldem, że lokal serwuje Prawdziwe Falszywe Amerykańskie Jedzenie. Feng zamówił sushi pizzę, a Kade w stu procentach prawdziwego hodowlanego wołowego burgera. Po miesiącach diety wegetariańskiej w Kambodży uprawiane w zbiornikach mięso smakowało wysmienicie.

Patrzyli na tłum płynący ulicą. W większości składał się z młodych ludzi około dwudziestki. Wszyscy przeżywali wielką przygodę. Kade'owi wydawali się dziećmi, choć jego własne dwudzieste ósme urodziny miały dopiero nadejść za kilka miesięcy.

Zajrzał w głąb restauracji i jego wzrok napotkał inne spojrzenie. Ładna brunetka. Odwróciła się szybko, śmiejąc się i rozmawiając z przyjaciółmi, a jej wzrok pomknął ku Kade'owi tylko po to, by znów uciec w bok. Przez chwilę Kade chciał tylko się uśmiechnąć, poflirtować, kupić jej drinka, mieć szansę na normalne życie, nową przyjaźń, może coś więcej.

Ale być przyjacielem Kade'a było nie najlepszą pozycją ostatnimi czasy. Śmiertelną. Odwrócił się i już więcej nie spojrzął na dziewczynę.

Nie przyjechałem tu szukać przyjaciół, napomniał sam siebie. Jestem tu, by się ukryć. By przeżyć. I pracować.

I pracował.

Wzywał go Nexus 6. Jego prawdziwy cel, sposób na wyprzedzenie rozwoju wydarzeń, zablokowanie wszystkich możliwych nadużyć, sprawienie, by Nexus był bezpieczny na podstawowym poziomie systemu operacyjnego. Na dłuższą metę nie mógł zapobiegać każdemu nadużyciu z osobna. Musiał więc stworzyć Nexusa 6, żeby rozwiązać problem całościowo.

Ale Nexus 6 był jeszcze pieśnią dalekiej przyszłości. Miną miesiące, zanim Kade będzie mógł w ogóle zacząć testy. Nie mógł tak długo czekać, by rozprawić się z Frontem Wyzwolenia Postludzi. Musiał rozprawić się z nimi teraz, zanim uderzą po raz trzeci, zanim rozpętają wojnę, którą przepowiadała Su-Yong Shu.

Idioci, pomyślał Kade. Co niby chcą osiągnąć? Każda śmierć tylko pogorszy sytuację, bardziej zniechęci opinię publiczną, zwiększy poparcie dla ustawy Chandlera, sprawi, że ludzie będą jeszcze bardziej demonizować wszelkie technologie tworzące trans - i postludzi.

Widział już oznaki tej ponurej przyszłości. FWP sprawi, że najgorsze obawy staną się prawdą. Zabójstwa i zamachy bombowe spowodują tylko ostrzejsze sankcje, wzmożone prześladowania ze strony policji i ERD, polowanie na czarownice, którego ofiarami staną się naukowcy i działacze, wprowadzenie praw daleko bardziej restrykcyjnych niż ustawa Chandlera, utratę praw jednostki w imię „bezpieczeństwa”, kolejny krok Stanów Zjednoczonych w stronę państwa policyjnego. A to tylko rozjuszy FWP, przyciągnie do nich prześladowanych, skłoni do jeszcze gorszych aktów przemocy, aż w końcu wszystko wybuchnie w jednym wielkim wszechogarniającym konflikcie.

Czyż nie tak było zawsze? Czy terroryści kiedykolwiek osiągnęli cokolwiek innego niż tylko wzbudzenie gniewu ludzi, skłonienie ich do zaostrzenia środków bezpieczeństwa, do poświęcenia wolności na rzecz tego bezpieczeństwa? Dawali tylko swoim prześladowcom wymówki, by mogli prześladować ich jeszcze bardziej. A prześladowcy sprawiali, że prześladowani buntowali się jeszcze mocniej. Ekstremiści po obu stronach wzmacniali tylko to, z czym walczyli.

Musiał ich powstrzymać. Nienawidził ERD i ustawy Chandlera, ale działania FWP wszystko pogarszały.

Wrócił więc do materiałów z ataków w Waszyngtonie i Chicago i przeglądał je po raz kolejny, kawałek po kawałku.

Jego agenci wychwycili kod przymusu użyty w ataku na prezydenta cztery dni przed samym atakiem. Nie kod źródłowy. Wykryli go w oparciu o wzorzec aktywności. Zakłócenia w korze przedczołowej prowadzące do lobotomii podmiotu, pakiet sterowania motorycznego, który zmienił podmiot w zdalnie sterowanego robota. Było to zaawansowane oprogramowanie, znacznie bardziej skomplikowane niż to, które Kade widział wcześniej. Ktokolwiek stworzył ten kod, włożył mnóstwo czasu w jego napisanie, jeszcze więcej w testy, które trzeba było powtarzać po wielokroć, zanim można było uznać, że kod się sprawdzi.

Narong stoi o metr od Teda Prat-Nunga, w dłoni ściska ceramiczny pistolet z grafitową amunicją, wycelowany prosto w głowę starszego mężczyzny. „Nikt się nie rusza. Thanomie Prat-Nung, jesteś aresztowany”.

Wspomnienie napłynęło nieproszone. ERD zmieniło Naronga Shinawatę, z którym Kade zdążył się zaprzyjaźnić, w bezwolnego robota-zabójcę. Wykorzystali technologię stworzoną przez Lane'a dokładnie w taki sposób, w jaki Chińczycy wykorzystywali odkrycia Su-Yong Shu, tak jak ona sama to przewidziała. Kod, który starał się wytropić, był dokładnie tak złożony.

Nie pozwolę nikomu używać Nexusa w ten sposób, pomyślał Kade. Ani ERD, ani FWP, ani nikomu innemu.

To ty używasz Nexusa w ten właśnie sposób - szepnęła Ilya w jego umyśle. To ty teraz odbierasz ludziom wolność. Mianowałeś się sędzią i ławą przysięgłych.

Ale Kade zignorował ten głos. Nie miał innego wyjścia.

Wrócił do początku. Wyciągnął logi pobrane z umysłu agenta Steve'a Traversa na

sekundy przed jego śmiercią. Wciąż stanowiły dla niego tajemnicę. Program zinfiltrował umysł Traversa cztery dni przed próbą zamachu. Natychmiast wykrył kod submisji. Nie mógł jednak przesłać raportu do Kade'a, bo Travers nie miał połączenia z siecią, zalogował się dopiero przed samym atakiem.

To nie miało żadnego sensu. Skoro Travers używał Nexusa tygodniami, by kontaktować się ze swoim autystycznym synem, program Kade'a powinien przynajmniej przeskoczyć do umysłu syna. Autystyczne dzieci z Nexusem miały wiecznie niezaspokojony apetyt na rozmaite aplikacje i nakładki, ciągłą potrzebę szukania nowych danych.

Jakie były szanse, że program Kade'a nie będzie mógł się skontaktować ze swoim twórcą i że nagle, kilka sekund przed próbą zamachu, w trakcie służby Travers podłączy się do sieci, pozwalając agentowi Kade'a na dostarczenie raportu? Przecież to było totalnie nieprawdopodobne.

Kade wrócił do sprawdzania logów. System operacyjny Nexus OS opierał się na Nexusie 5 w wersji 0.72. Ta wersja była już dość nieaktualna, miała tylko kilka poprawek w stosunku do oryginalnej wersji 0.7 wypuszczonej przez Kade'a, on sam pracował już na wersji 1.32 ze sporą ilością dogranych modów. Wyciągnął historię wersji. Próba połączenia była pod koniec lipca. Jeżeli Travers zainstalował Nexusa, powiedzmy, pod koniec czerwca, operowałby już na wersji 0.9. Dlaczego więc miał aż tak stare wydanie?

Przerzucił się na materiały z Chicago. Brendan Taylor był zaledwie księgowym średniego szczebla. Dwie córki, bez żadnych problemów neurologicznych. Żona, ekonomistka, u której testy nie wykazały nawet śladu Nexusa i która zarzekała się, że mąż nie należał do ludzi chętnie używających tego typu technologii. Kade sprawdził logi. Wersja Nexusa była ta sama: 0.72. Wersja z początków maja, użyta w październiku. I znowu agent Kade'a zinfiltrował umysł Taylora tydzień przed zamachem, wykrył kod submisji natychmiast, ale nie był w stanie przesłać informacji, dopiero na kilka chwil przed samym atakiem.

Co to mogło znaczyć?

Próbował wczuć się w sposób myślenia terrorysty z FWP. Miał za zadanie

zaprogramować zabójcę. Oczywiście chcieliby, aby to programowanie było godne zaufania. Dlatego użyłby starszej wersji. Wykorzystali kod, co do którego mieli pewność, że zadziała. Nie chcieli zawracać sobie głowy poprawkami, wraz z uaktualnieniem mogli przecież wprowadzić nowe błędy.

A dlaczego mógł wykryć zamachowców dopiero zaledwie kilka chwil przed atakiem? Wcześniej żaden z nich nie był online, Kade nie znalazł innego sensownego powodu. Trwali w jakimś stanie uśpiania, może tylko jakiś niewielki program ładujący pozostawał cały czas aktywny, a nie cały system operacyjny, który czekał na aktywację. Potem logował się do sieci po dalsze instrukcje. Wtedy Kade otrzymywał raport.

Lane odetchnął głęboko i potarł oczy. Kiedy je otworzył, zobaczył Fenga stojącego w oknie i wpatrującego się w noc. Dochodziła dwunasta. Z ulicy słychać było głosy i muzykę. Kade czuł niedaleko liczne umysły, ludzie tańczyli, bawili się w klubie, nad którym mieszkał wraz z Fengiem. Żałował, że nie może do nich dołączyć, zatracić się choćby na chwilę.

Zmusił się do skupienia nad problemem. Skoro ludzie zmieniani w zamachowców łączyli się z siecią dopiero na kilka chwil przed akcją, Kaden nie miał zbyt wielkiej szansy, by ich powstrzymać. Dlatego zawiódł w Chicago. I jeśli zastosują tę samą strategię, on znów zawiedzie.

Musiał posunąć się o krok dalej. Nie mógł koncentrować się na znalezieniu kogoś z aktywnym kodem submisji. Musiał przygotować agenta, który odszuka ludzi piszących takie kody. Instalujących takie kody w umysłach przyszłych zamachowców.

Ale czy ci ludzie mieli zainstalowanego Nexusa? A jeśli mieli, czy będzie w stanie ich odnaleźć i powstrzymać, zanim znów zaatakują?

Niedziela, 21 października

Policjanci stanęli pod drzwiami Ling jakąś godzinę po tym, jak zgasły światła. Czują, jak wspinają się po schodach przez czterdzieści pięter. W próżni informatycznej, jaką stało się okaleczone miasto, ich elektromagnetyczna obecność świeciła niczym latarnia. Wyrzała z kamer w ich kaskach, gdy szli po oświetlonych czerwienią schodach. Śledziła wysyłane przez nich dane do budynku posterunku, a stamtąd do Komendy Głównej.

Miasto było w rozsypce. Widziała to w ich systemie informacyjnym. Pożary. Powodzie. Wypadki samochodowe. Grabieże. Policja i służby ratunkowe ledwie ciągnęły na zasilaniu awaryjnym.

Ling przeszukała ich dane, obejrzała ludzi tonących w tunelach metra, patrzyła, jak wojsko próbuje ochronić sklep, jak strzelają do zdesperowanego tłumu, patrzyła, jak przemoczona fala ludzi rzuciła się rozdzierać na strzępy, póki nie przetoczyła się po żołnierzach, nie zdusiła wszystkich. Na tym nagranie się urwało.

Szanghaj cierpiał. Dobrze. Ci ludzie uwięzili jej mamusię. Zasłużyli sobie na cierpienie.

Jednak miasto próbowało podnieść się z tego upadku. Widziała raporty, najważniejsze z transformatorów zostały już wymienione, woda zalewająca ulice przekierowana, a część szpiegujących oczu znów uniosła się w powietrze. Tysiące ludzkich mrówek pracowało, by naprawić szkody, które ona wyrządziła. Miasto było ulem, kolonią, tworzącą wspólny organizm.

Co by się stało, gdyby uderzyła w nich jeszcze raz, mocniej? Czy mogłaby zabić miasto? Czy małe ludziki rozbiegłyby się na wszystkie strony, przerażone? Myśl, że mogłaby powyrywać skrzydła temu insektowi, którego już przyszpiliła do ziemi, i zobaczyć, co z tego wyniknie, była bardzo kusząca.

Ale Ling się powstrzymała. „Cierpliwość - mówiła jej matka - jest cnotą postludzi”. Poza tym ludzie szukali Ling. Wypuścili swoich hakerów, uruchomili pakiety antywłamaniowe, inteligentnych cyfrowych ochroniarzy o nudnych sztywnych umysłach, by

wytropili, skąd nadszedł atak. Ponowne uderzenie... kiedy patrzyli, kiedy szukali, byłby głupotą, czymś, co zrobiłaby mała rozszłoszczona dziewczynka.

A Ling nie mogła sobie pozwolić na to, by dłużej być małą dziewczynką.

Zaczekała na policjantów. A kiedy przyszli, dysząc ciężko, spoceni po wędrówce przez czterdzieści pięter, przywitała ich grzecznie i powiedziała, że chętnie poczęstowałaby ich herbatą, ale kuchenka nie działa.

Śmiali się, mówiąc, że jest najśłodszą dziewczynką, jaką spotkali, i że przyszli ją chronić.

Uśmiechnęła się i podziękowała tym miękkim, żalonym stworzeniom. Bai, kierowca tatusia, był wart stu takich jak oni. Feng wart był trzech setek.

A kto was ochroni, pomyślała, gdy moja mama wróci?

Później, gdy już leżała w łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę, zastanawiała się, co stało się z ojcem. Uwięziła go razem z mamą? Czy tam było jakieś jedzenie? Woda? Powietrze?

Zmarszczyła brwi. Ojciec nie był jak mama. Był tylko człowiekiem. Jednak miała nadzieję, że go nie zabiła. W końcu kochała ojca. Na tyle, na ile mogła kochać człowieka.

Obudziła się o 3.30 nad ranem. W luksusowym apartamentowcu przywrócono jakąś część zasilania. Ling poczuła, jak przepływa przez nią niewielki strumyk danych. W domowej sieci był intruz. Przyjrzała mu się. Program wykrywający węszył, sprawdzał, szukał śladów tego, kto zaatakował Szanghaj. Ling postarała się, by jej obecność w sieci była jak najmniejsza, ukryła się i osłoniła przed wrogim programem szpiegującym, i pozostała niezauważona.

Sieć, ciągle jeszcze krucha, dostarczyła jej danych ostrożnie ukradzionych policji i służbom ratunkowym. Większość miasta nadal była pogrążona w ciemności. Służby bezpieczeństwa otoczyły tę niewielką wysepkę światła, enklawę, gdzie mieszkali najbogatsi.

Poza tym pierścieniem panował chaos.

I jeszcze jedno. Tatuś żył! Zerknięcie w jego terminarz upewniło dziewczynkę, że za chwilę wróci do domu. Ling uśmiechnęła się z ulgą. Nawet jeśli był tylko człowiekiem, wciąż był jej tatusiem.

Chen spał przez kilka godzin, a następnie wojskowi odesłali go do Szanghaju.

Jego samochód czekał na mokrym asfalcie pasa startowego wraz z nowym kierowcą, który przedstawił się jako Yingjie. Żołnierz piechoty morskiej. Nie klon.

Wobec kogo jest lojalny? - zastanawiał się Chen. Na pewno nie wobec mnie.

Yingjie zawiózł go do domu. Eskortowały ich dwa wojskowe dzipy, jeden z przodu, drugi z tyłu. Żołnierze w zbrojach obsługiwali karabiny maszynowe na dachach pojazdów.

Ulice były przerażające, pełne nieruchomych samochodów, zalane ściekami i wodą na pół metra. Przez okna pancernego samochodu Chen widział mężczyzn i kobiety kryjących się w bramach, ponurych i gniewnych. Trzymali się z daleka od jego wozu i wojskowej eskorty.

Przed sobą miał garść oświetlonych budynków Lujiazui, dzielnicy finansowej, drogiego i ekskluzywnego serca Szanghaju. Wśród nich znajdowała się także jego wieża, część słynnej panoramy miasta. Naturalnie elicie Szanghaju wszelkie udogodnienia zostaną przywrócone w pierwszej kolejności i tak być powinno.

- Będą problemy - powiedział Yingjie, przykładając palec do słuchawki w uchu. - Tłuszcza próbuje dostać się do Lujiazui.

Tłuszcza? Próbuje wdrzeć się do jego domu?

Im bliżej podjeżdżali, tym więcej widział oznak zamieszania. Gdy wjechali do centrum, na ulicach pojawiło się więcej ludzi. Przybywało ich z każdym kwartałem, każdą przecnicą, mokrych, głodnych, zdesperowanych. Rozgniewanych. W śmietnikach płonął ogień. Ktoś rzucił butelką i Chen wzdrygnął się, gdy trafiła w kuloodporne okno.

Grupki ludzi powiększały się, gęstniały, aż w końcu stworzyły tłum. Wszyscy próbowali dotrzeć tam, gdzie przywrócono zasilanie, gdzie mogli znaleźć ciepło i schronienie. Dżip oświetlił tłum halogenami. Wzmocniony głos kazał im zrobić miejsce. Przemoczony mężczyzna wyciągnął brudne i mokre ręce, by dotknąć wojskowego wozu. Coś łupnęło tuż obok Chena, odwrócił się i zobaczył twarz przyciśniętą do okna po jego stronie: człowiek o dzikich oczach, bez jednego zęba, krzyczał coś ze złością. Na samochód posypał się grad uderzeń. Chen skulił się ze strachu i odwrócił w chwili, gdy kawał metalowej rury uderzył w okno po przeciwnej stronie. Metal odbił się od kuloodpornego szkła, by po chwili wrócić i uderzyć jeszcze raz, i jeszcze raz.

Głos płynący z głośników nakazywał ludziom się rozejść. Poczul, jak jego samochód się zakołysał, pochwycony rękami tłumu. Spojrzał w stronę swojego nowego kierowcy. Ich oczy spotkały się w lusterku i Chen zobaczył strach. Wóz zakołysał się jeszcze mocniej, koła po lewej oderwały się od powierzchni. Chen rozpaczliwie próbował złapać oparcie.

ZZZZZZZZZZT!

Okropny dźwięk, obłędnie głośny, wypełnił uszy, zęby, kości, zatrzęsł wnętrznościami. Broń soniczna. Oręż przeciwko tłumowi.

ZZZZZZZZZZT!

Dźwięk rozległ się ponownie i Chen aż się skulił, taki ból poczuł w środku. Koła samochodu rąbnęły w ziemię z impetem. Chen spojrzał w okno i zobaczył, jak ręka zbroi chwyta mężczyznę bez zęba za włosy, uderza nim o szybę, łamiąc mu nos, i odrzuca w tył. Na gładkiej powierzchni została tylko smuga krwi.

Samochód skoczył do przodu. Przed nimi majaczyła wojskowa barykada, najeżona paskudnie wyglądającą bronią, wycelowaną w tłum. Nagle Chen zobaczył bramę i po chwili byli już wewnątrz. Jechali pustymi, dobrze oświetlonymi ulicami między drapaczami chmur.

Kilka minut później Chen jechał windą. Otrząsnął się już ze skutków użycia broni sonicznej. Właśnie wbił kod swojego mieszkania, kiedy zadzwoniła nauczycielka Ling.

Kobieta była w hysterii, bełkotała coś, jękając się, początkowo bez najmniejszego sensu. Ukrywała się w budynku. Nie miała dokąd pójść. Plotła coś o Ling, o awarii, o Szanghaju. Bełkot.

I nagle zrozumiał. Nagle to, co mówiła nauczycielka, nabrało sensu. I Chen pojął dokładnie, co się stało ostatniej nocy i kto za tym stał.

Drzwi windy otworzyły się wprost na jego wspaniałe mieszkanie, a tam, przed nim, stała jego wynaturzona córka.

Ling spędziła pracowity ranek, robiąc herbatę i zamawiając kanapki dla znudzonych stróżów prawa, i upewniając się, że mieszkanie jest uporządkowane tak, jak ojciec lubił.

Poczuła go, jak wsiada do windy, i nakazała kuchni zagotować wody, po czym przygotowała kubek jego ulubionej herbaty. Ujęła ciężkie naczynie w dłonie i stanęła naprzeciwko wyjścia z windy tak, by ją widział. Jeden z policjantów zauważył wtedy, jak to Ling jest dojrzała ponad swój wiek, a ona uśmiechnęła się do niego, odsłaniając ząbki, myśląc zarazem, że ten mężczyzna był całkowicie pozbawiony znaczenia.

Drzwi się otworzyły i ojciec wszedł do mieszkania.

- Tatuś! - krzyknęła radośnie. Uniosła wyżej kubek z herbatą. Wtedy ojciec szybkim krokiem przemierzył pokój, zamachnął się i wierzchem dłoni uderzył ją w twarz, zbijając z nóg.

- Ty potworze! - wrzasnął.

Ling krzyknęła. Cios sprawił, że uderzyła głową w twardą szybę okna za plecami. Odbiła się od niego i upadła na podłogę. Wrząca herbata paliła jej ręce i twarz. Kubek roztrzaskał się na marmurowej podłodze na milion kawałków. Świat wokół Ling zakółysał się, tracąc kontury we mgle bólu. Do oczu napłynęły łzy. Zaczęła szlochać, wbrew sobie.

Policjanci zerwali się na równe nogi. Byli zszokowani, jeden nawet krzyknął z

zaskoczenia. Chen odwrócił się i najwyraźniej dopiero teraz ich zauważył. Mężczyźni spoglądali po sobie. Pierś Chena unosiła się i opadała ciężko w gniewie.

Ling pełzła w stronę pokoju matki. W całym mieszkaniu jedynym dźwiękiem było jej pochlipywanie.

W końcu Chen się odezwał:

- Niczego nie widzieliście. A teraz idźcie.

Policjanci skłonili się w milczeniu i wyszli posłusznie.

Ling nadal się czołgała. Już prawie była u celu. Prawie w pokoju mamusi, gdzie będzie bezpieczna.

Ojciec milczał, patrząc, jak mała pełźnie.

- Jeśli raz jeszcze zrobisz coś takiego, zabiję cię. Rozumiesz? - powiedział wreszcie.

Na te słowa łyzy Ling popłynęły obficie, zaszlochała głośnie. W głowie jej się kręciło i ledwie co widziała, ale już prawie dotarła na miejsce. Do drzwi. Sięgnęła do nich myślą, a one otworzyły się przed nią. Drzwi, które nie otwierały się od czasu śmierci mamy. Drzwi, których ojciec nie mógł otworzyć. Teraz uchyliły się dla Ling.

- Ling! - Ojciec podniósł głos, był zły. - Usunę cię, jak należało to zrobić osiem lat temu. Rozumiesz? - niemal krzyczał.

Chwyła się futryny, podciągnęła i już była za progiem.

- Ling! - wrzasnął. Trzema wielkimi susami pokonał odległość między nimi i chciał ją znowu uderzyć, ale jej myśli zatrasnęły pancerne drzwi. Poczowała ukłucie szczęścia, widząc, jak gwałtownie cofa rękę, żeby nie zmiażdżyło mu palców.

Chen walił w drzwi przez chwilę, ale bez żadnych skutków. Niech ta mała ohyda tam

zgnije.

Przeszedł przez swoje imponujące mieszkanie, mieszkanie, które miał dzięki sławie, bogactwu i sukcesom, a potem popatrzył w ciemność za oknem, w tę ciemność, która pogrążyła Szanghaj w chaosie.

Jakaś część mężczyzny szeptała nieśmiało słowa wyrzutów sumienia i poczucia winy. Wyrzutów sumienia, że uderzył ośmiolatkę, że zagroził jej śmiercią. Poczucia winy, że zmierzał torturować ducha zmarłej żony, by wycisnąć z niej więcej odkryć, które mógłby podać za swoje.

Nie, powiedział sobie. Nie mam żony. Nie mam córki. Moja żona umarła lata temu. A to coś, co nazywam córką, nie jest moim dzieckiem. To konstrukt. Golem. Nawet nie człowiek.

25

Zasadzka

Środa, 24 października

Pod Austin Breece niemal zginął.

Cmentarz leżał na wzgórzach w zachodniej części miasta. Breece przyjechał tam po południu, zaparkował swojego lexusa, wyłączył telefon i tablet, żeby nic go nie rozpraszało, i pieszo poszedł na grób rodziców.

Oczyrna duszy widział, jak jego ojciec się uśmiecha, a mama śmieje się w głos. Mieliby teraz po sześćdziesiąt lat, gdyby żyli. Wciąż byliby w pełni sił. Wciąż pomagiliby innym. Wciąż byliby na tyle młodzi, by liczyć na to, iż powiodą się w końcu uploady mózgów albo ktoś wynajdzie sposób, aby odwrócić proces biologicznego starzenia się. A oni będą mogli żyć wiecznie.

Ale tak się nie stało.

Dziesięć lat temu. Przed dziesięcioma laty wybuchła wojna.

Wciąż pamiętał poranne wiadomości, pamiętał ludzi wymiotujących krwią, ciała piętrzące się na ulicach Laramie, Wyoming, pojazdy Gwardii Narodowej otaczające miasto, hermetyczne plastikowe kombinezony pierwszych ekip ratunkowych na miejscu zdarzenia. Czerwonka marburska. Wirus zabił trzydzieści tysięcy istot, całkiem zniszczył miasto i niewiele brakowało, a pochłonąłby miliony ofiar.

Wtedy odnaleziono klony Neoaryjczyków. Przedstawicielei nowej superrasy. Jasnowłosych, identycznych - socjopatyczne neonazistowskie dzieci. Dzieci, które bezlitośnie zaszlachtowały swoich twórców. Które uwolniły wirusa, by ku ich radości zmiotł z powierzchni ziemi gorsze pod względem genetycznym rasy.

Dziesięć lat od czasu reakcji zwrotnej. Od dnia, w którym przemawiał Josiah Sheperd, a jego słowa, jego twarz pokazywane na okrągło we wszystkich mediach wryły się Breece'owi w pamięć. „Szaleni naukowcy przypisują sobie boskie moce, tworzą diabelskie dzieło, sprowadzają na świat diabelski pomiot” - krzyczał telekasznodzieja, a ślina bryzgała mu z ust. „Pan bez wątpienia nagrodzi wszystkich, którzy poślą ich do piekła, gdzie ich miejsce”.

Dziesięć lat od chwili, gdy bomba rozerwała klinikę płodności rodziców Breece'a. Od dnia, w którym zostali zamordowani za zbrodnię eliminowania chorób genetycznych, poprawiania nieco IQ, za zbrodnię czynienia rzeczy zupełnie nieszkodliwych, które nie miały nic wspólnego z Neoaryjczykami.

Dziesięć lat od momentu, w którym strach zmienił Amerykę w państwo policyjne, od dnia, w którym politycy i księża uznali, że mogą kontrolować, kim jesteś, czym jesteś, jakie nosisz geny i jaką technologię implantujesz sobie do mózgu.

Dziesięć lat od chwili, gdy został bojownikiem o wolność. I teraz wreszcie zrobili postęp. Breece kucnął przy płycie nagrobnej rodziców i przesunął po niej palcami.

- Tęsknię za wami - wyszeptał.

Podniósł się po kilku godzinach, gdy słońce schowało się już za horyzontem rozległej równiny środkowego Teksasu. Otrzeptał się i począł schodzić ze wzgórza, po drodze włączając telefony i tablet.

Tajny telefon zawibrował wściekle w chwili, gdy Breece go włączył. Na wyświetlaczu pojawiła się pilna wiadomość sprzed kilku godzin. Od Hiroshiego.

[Twój główny telefon jest spalony. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego].

Breece przez chwilę patrzył na wyświetlacz bezmyślnie, a potem upuścił aparat za jeden z nagrobków.

Główny telefon. Kurwa. Ten, którym kontaktował się z Zaratustrą. Skąd znali ten numer? Tylko on, Zara i Hiroshi wiedzieli o nim. Przy czym Hiroshi jedynie dlatego, że pracował w AmeriCom i mógł ustawić tajny alarm na wypadek, gdyby Agencja Bezpieczeństwa próbowała ściągnąć jego dane albo namierzyć miejsce pobytu.

Pewnie złapali Zarę. Breece wyciągnął drugi aparat z kieszeni. Teraz ta rzecz informowała wroga, gdzie Breece się znajdował. Ile miał czasu, zanim go znajdą?

Wyrzucił spalony telefon jak najdalej, nie wyłączając go, potem sięgnął do kieszeni i pstryknął ukrytym przełącznikiem. Jego koszula, spodnie i buty zmieniły kolor, wtopiły się w zielone tło trawy. Wyciągnął z kieszeni kominiarkę i rękawiczki, które po założeniu również zmieniły kolor. Jego strój nie był prawdziwym kamuflażem kameleonowym, nie działał w trakcie ruchu, nie odwzorowywał we wszystkich szczegółach tego, co było za Breece'em, ale jeśli stałby nieruchomo, powinien wtopić się w tło.

Powoli odczołgał się na brzuchu dalej od telefonu. Na końcu alejki znajdowała się niewielka rodzinna krypta, Breece dotarł do niej i zaległ nieruchomo, osłonięty przynajmniej od strony wejścia na cmentarz. Spojrzał w niebo. Czy latały tam już niewidzialne drony? Już go wykryli? Otaczali kordonem? Niczego nie zobaczył.

Ostrożnie wyjrzał zza krypty. Widział lexusa na parkingu, jakieś trzysta metrów dalej. Mógłby dopaść samochodu sprintem, zostawić telefon tam, gdzie upadł, w trawie, wskoczyć do wozu i odjechać, zanim DHS w ogóle się zbliży.

Zawibrował pierwszy z telefonów. Hiroshi, połączenie w czasie rzeczywistym. Dobrzy przyjaciele z tych Japończyków. Lojalni. Dobrzy transludzie. Wszystko mają przemyślane jeden ruch naprzód.

- Breece - powiedział do słuchawki.

- Breece - powtórzył Hiroshi. - Jaki jest twój status?

- Nominalny? - odpowiedział Breece. - Ani śladu DHS.

I wtedy zobaczył drugi samochód. Czarny SUV z przyciemnianymi szybami. Żadnych oznaczeń. Z miejsca, gdzie leżał, Breece nie widział tablic. SUV przejechał przez parking i powoli podtoczył się do bramy cmentarza. Otworzyły się drzwi i wysiadło z niego trzech mężczyzn. Wszyscy nosili kurtki, absolutnie zbędne w tak ciepły wieczór. Za to idealne do zasłonięcia broni.

Pistolet Breece'a był ukryty w lexusie, ponieważ Breece uważał, że ryzyko, iż zostanie złapany na nielegalnym posiadaniu broni, było większe niż ryzyko, że ktoś dopadnie go nieuzbrojonego.

- Wróc - powiedział do telefonu. - Ktoś tu jest.

Dwóch mężczyzn ruszyło w górę wzgórza, kierując się w stronę wyrzuconego telefonu. Twarze bez znaków szczególnych. Ciemne włosy. Mocne sylwetki. Oczy spokojne i czujne.

Profesjoniści.

Ci wspinający się na wzgórze trzymali ręce w kieszeniach kurtek. Breece nie miał

wątpliwości, że trzymają palce na spustach. Trzeci stał na parkingu, rozglądając się czujnie, nad ramieniem miał wyrzucenie. Zapewne strzelba.

- Zbliżamy się do ciebie - powiedział Hiroshi. - Będziemy za czterdzieści minut.

- Nie mam czterdziestu minut, Hiroshi. Muszę iść. Oddzwonię. - Przerwał połączenie.

Kim byli ci mężczyźni? Nie mieli mundurów. Samochód był nieoznakowany. Ukryta broń. SWAT? Snajperzy? A drony i śmigłowce? To mu nie wyglądało na przedstawicieli prawa.

Bez znaczenia. Liczyło się tylko, że przyszli po niego. Żeby go pojmać albo zabić. Nie zamierzał do tego dopuścić.

Pocił się. Kamuflaż zatrzymywał ciepło płynące z ciała, żeby nie można go było namierzyć przy użyciu podczerwieni. Bez kondensatora, który usunąłby nadmiar ciepła, temperatura wewnątrz będzie rosła i rosła, aż wreszcie Breece się ugotuje.

Powolutku, centymetr po centymetrze wyczołgał się z krypty. Wycofał się w głąb siebie i uruchomił nielegalną aplikację.

[zdalne kierowanie_tryb cichy]

Aplikacja połączyła się z samochodem przez sieć komórkową, włączyła śpiący komputer pokładowy i odpaliła samochód w trybie cichym, bez świateł, dźwięków, sama elektryka. W umyśle Breece'a pojawiło się okno aplikacji. Powiększył je i uruchomił tryb pełnego parowania. Mógł teraz widzieć przez kamery zainstalowane w samochodzie. W dolnym rogu widział ikony stanu baterii, odczyty GPS, temperaturę silnika. Przez kamery samochodowe obejrzał mężczyznę stojącego przy SUV-ie. Wóz miał tekszańskie tablice, cywilne, Breece nie był pewien, ale wydawało mu się, że w środku nikogo nie było.

Tamten mężczyzna spoglądał w kierunku swoich kolegów. Byli już niemal przy wyrzuconym telefonie.

Breece miał tylko jedną szansę. Wpisał polecenia w aplikację pracującą w oparciu o system operacyjny Nexusa. Z pochwy na tyłce wyciągnął ceramiczne ostrze. Ostatni raz wyjrzał zza krypty, a potem oczyma umysłu popatrzył przez kamery lexusa.

Teraz.

Breece zamknął oczy i nacisnął guzik w umyśle. Lexus skoczył do przodu, prosto na mężczyznę przy SUV-ie. Breece natychmiast uniósł powieki i skupił uwagę na pozostałych dwóch.

Usłyszał, jak metal uderza o metal, coś mignęło w oknie aplikacji w jego głowie. Mężczyźni odwrócili się, zaskoczeni, a Breece już był na nogach. Ceramiczne ostrze gwizdnęło w powietrzu między nimi, rzucone z nadludzką siłą. Nóż obrócił się kilkakrotnie i zatonął w karku jednego z wrogów. Breece już pędził na złamanie karku.

Mężczyzna trafiony nożem zachwiał się i przewrócił na kolegę. Tamten próbował strząsnąć z siebie ciężar i sięgnąć po broń, ale Breece go już dopadł. Złapał za nadgarstek, uderzył w splot słoneczny. Mężczyzna ukląkł z bolesnym jękiem, a Breece wyrwał mu z dłoni pistolet.

Coś ukłuło go w ramię, spojrzął odruchowo, pewien, że został trafiony. Sekundę później zarejestrował dźwięk, kula odłupała kawałek kamienia. A potem jeszcze raz i jeszcze. Ktoś do niego strzelał, trafiając w nagrobki, wysyłając w powietrze ostre odłamki odprysków.

Zamknął oczy i znów spojrzął przez kamery lexusa. Trzeci mężczyzna był unieruchomiony, dolna część ciała została zakleszczona między lexusem i SUV-em, ale zdołał jakoś wydobyć karabin z tłumikiem i teraz strzelał w kierunku wzgórze. Breece poczuł błysk podziwu dla tego człowieka. Autentyczny żołnierz. Prawdziwe męstwo.

Breece przejął kontrolę nad swoim wozem, wrzucił w lexusie wsteczny, wcisnął pedał gazu. Kamery pokazały mu, jak uwolniony zabójca pada na ręce i kolana. Breece zahamował, zmienił biegi i lexus ruszył do przodu. Twarz mężczyzny urosła w kamerach, Breece zobaczył szeroko otwarte oczy, a potem wszystko stało się czarne, gdy lexus zmiażdżył to, co zostało z zabójcy.

Breece otworzył oczy. Wokół nagle zapanowała cisza. On sam oddychał szybko, serce waliło mu w piersi. Był zlany potem i udręczony temperaturą. Czy napastników było więcej?

Mężczyzna, którego trzymał, poruszył się niespokojnie. Breece złapał go za włosy i wycelował mu w twarz odebrany pistolet.

- Ilu was jest?

Tamten zakasłał.

- Trzech.

- Kto was wysłał? Jakie mieliście zadanie?

Mężczyzna milczał.

- Kto was wysłał? - Breece podniósł głos.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Zabiją mnie.

Breece zasłonił mu usta mocnym chwytem i bez namysłu przestrzelił rzepekę kolanową.

Spod palców wydobył się zduszony krzyk.

- To ja cię zabiję - szepnął do niego Breece. - Pytanie tylko, czy umrzesz wolno, czy szybko.

Począł, aż stłumione wrzaski przycichną, i przytknął końcówkę tłumika do drugiego kolana zabójcy.

- Jesteś gotów mówić?

Tamten kiwnął lekko głową, po policzkach płynęły mu łzy.

- Kto was wysłał? - Breece zabrał dłoń.

Mężczyzna zamknął oczy i przez chwilę dyszał ciężko. Breece był już pewien, że będzie musiał przestrzelić mu drugie kolano. Wtedy zabójca otworzył oczy.

- Zaratustra - powiedział. - Jestem z FWP.

No, no, no. Breece nie podejrzewał, że stary ma takie jaja.

Wyciągnął z zabójcy wszystkie szczegóły. Czas było się zbierać.

Przystawił tamtemu tłumik do czoła.

- Jakies ostatnie słowo, które miałbym komuś przekazać? - spytał.

- Proszę - błagał tamten, patrząc na Breece'a ze strachem. - Jestem z FWP, jak ty. Pozwól mi żyć. Już nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Błagam, człowieku. Chcę żyć wiecznie!

Breece pomyślał o swoich rodzicach, o ich ciałach pod zieloną murawą cmentarza.

- Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy - powiedział i pociągnął za spust.

Dotarcie do Sajgonu w cywilnym przebraniu zajęło Kevinowi Nakamura dwadzieścia osiem godzin. Mógłby poruszać się szybciej transportem militarnym, ale nie chciał ryzykować, że Departament Obrony dowie się o jego misji. Czego z pewnością nie życzyło sobie CIA. Rozważał to, gdy taksówka wiozła go do ładniejszych rejonów miasta, do apartamentu. Zapłacił, zabrał swój całkowicie niewinny bagaż i pojechał windą do swojego mieszkania.

Ukryte przy drzwiach czujniki biometryczne rozpoznały gospodarza. Każdy, kto nie zostałby zidentyfikowany, wkrótce musiałby odpowiedzieć na wiele nieprzyjemnych pytań.

W mieszkaniu Kevin znalazł ukryty sprytnie mechanizm. Przyłapał się na uśmiechu, po czym pogwizdując, sprawdził urządzenie i przekonał się, że wszystko jest gotowe i zapięte na ostatni guzik.

Także dalej, za miastem i pod wodami wybrzeża. Źródła CIA, o których Departament Obrony, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i Kongres nie miały pojęcia. O których może nawet nie wiedział Biały Dom. Źródła, o których Kevin też nie wiedział, ale teraz miał do nich dostęp.

Tylko to świadczyło, jak ważne jest zadanie.

Czy Biały Dom się dowie, kiedy wykradnę Lane'a ERD? - zastanawiał się Kevin.

Wątpliwe.

A o czym to świadczyło w przypadku tej misji?

Godzinę później Nakamura wyprowadził małą toyotę z garażu, zatankowaną do pełna, wyładowaną jedzeniem, pieniędzmi i ukrytą bronią. To będzie jego mobilne centrum dowodzenia, które zabierze Nakamurę wszędzie, gdzie trzeba, aby mógł odnaleźć Sam. Aby znaleźć Lane'a, poprawił się.

Wiatr mierzwił mu włosy, gdy włączył się w wieczorny ruch uliczny. Sajgon tętnił życiem tak, jak tylko potrafią to światowe, rozwijające się metropolie. Ruch okazał się

chaotyczny, samochody przejeżdżały, mijały się, skutery i tuk-tuki przeciskały się pomiędzy nimi, a przechodnie igrali ze śmiercią, gdy przechodzili na drugą stronę jezdni.

Kramarze na chodnikach rozpalili ognie i sprzedawali zupy z makaronem, pieczoną kukurydzą, ostro przyprawione kanapki, ptaki pieczone w całości na roznach. Muzyka ryczała ze wszystkich stron. W sklepach zapalono światła. Nad witrynami feerią barw migotały neony. Uliczni sprzedawcy oferowali zegarki, panele, telefony, paski, buty, narkotyki - wszyscy wykrzykiwali zachęty i rywalizowali o uwagę tłumu.

Nakamura uśmiechnął się. Dopiero podczas misji polowych czuł, że żyje. Nie należał do sztabowców, nie pisał raportów i nie prowadził odpraw. To tutaj, gdzie rządził chaos, gdzie tylko bystrość umysłu i jego umiejętności decydowały o życiu lub śmierci, właśnie tutaj Nakamura był na swoim miejscu.

Sześć godzin później, dobrze po północy, dotarł do wzgórz nad Ayun Pa.

Zaatakowano trzy klasztory. Dwa spalono do fundamentów.

I ten ostatni - Ayun Pa. Raporty miejscowej policji - odszyfrowane przez CIA - ujawniły dziewięciu zabitych, czterech napastników i pięciu mnichów. Żadnej kobiety. W żadnym z trzech klasztorów.

Nakamura wysiadł z auta, włączył swój kombinezon maskujący i ruszył w ciemność, aby przyjrzeć się bliżej klasztorowi. Źrenice mu się rozszerzyły. Ulepszone pręciki i czopki wychwytywały każdy dostępny foton. Sceneria pozbawiona była wprawdzie kolorów, ale dla oczu Nakamury okazywała się równie wyraźna, jak za dnia. Podniecenie misją, znalezienie się na krawędzi ryzyka, odkrycia, akcji znowu wzbudziło w nim dreszcz.

Kompleks klasztorny był otoczony murem, z grubsza owalnym, z dwiema bramami, dość szerokimi dla pojazdów. Pomiędzy budynkami znajdował się duży, otwarty dziedziniec.

Autopsja wykazała, że jeden z mężczyzn zmarł, ponieważ odłamek czaszki wbił mu się w mózg. Dwóch zginęło z powodu złamania karku. Ostatni miał zmiażdżoną krtań.

Sam mogła to zrobić, pomyślał Nakamura. Lubiła celować w gardło.

Włączył zdjęcia z rozpoznania satelitarne na stronie w swoim umyśle. Implanty w siatkówce przetransferowały dane do obecnego pola widzenia. Opuszczony teren w Wietnamie nie stanowił celu o wysokim priorytecie dla Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale przy ponad trzystu satelitach krążących na niskich orbitach każdy kawałek planety był fotografowany przynajmniej raz na godzinę.

Te zdjęcia ujawniły dwa opancerzone, czterokołowe pojazdy ukryte w krzakach na poboczu, jakieś kilkaset jardów od tylnej bramy. Znajdowały się tam na trzy godziny przed strzelaniną.

Potem następne ujęcie. Otwarty dżip na dziedzińcu. I tuziny mnichów.

Kolejna klatka, prawie godzinę później. Wszystkie trzy pojazdy odjechały. Pozostało mnóstwo nieruchomych ciał.

Policja znalazła ślady opon, ale żadnych pojazdów. Napastnicy uciekli.

Zaatakowali trzy klasztory. Nakamura nie miał wątpliwości, że byli to łowcy nagród, którzy pragnęli zdobyć dziesięć milionów dolarów, jakie ERD oferowało za ujęcie Lane'a żywego.

Nakamura próbował sobie wyobrazić, jak to się odbyło. Łowcy nagród zbliżali się do Lane'a, wiedząc chyba, gdzie się znajdował, po czym zaskoczyła ich obecność Sam u jego boku. Czterech zginęło w parę sekund później. Dwaj w ciężarówkach przestraszyli się i wycofali, żeby ocalić skórę.

Tak, właśnie tak mogło się to rozegrać.

Ale pozostawało najważniejsze pytanie: gdzie teraz była Sam? Jak mogłaby myśleć? I jak myślałby Lane?

Nakamura przymknął oczy, przypominając sobie wszystko, co wiedział o

poszukiwanym. Spędził z tym chłopakiem osiem tygodni, po dwie lub trzy godziny dziennie, gdy go szkolił. Lane okazał się beznadziejnym kłamcą, zbyt nerwowym, zbyt szczerym. Z pewnością nie był urodzonym oszustem. Ani też zabójcą. Ani potworem. Ale kimś, kto nie znosił ERD, nienawidził za to, co zrobiło jemu i tym, których kochał. Nienawidził ERD na tyle, żeby skłonić Sam, aby stała się jego osobistym ochroniarzem.

Nakamura przejrzał wszystko, co CIA miała na Lane'a. Znał tego chłopaka. Był idealistą do szpiku kości. Jeżeli przebywał w Wietnamie, to znaczyło, że jego układ z Chińczykami się rozpadł. Albo śmierć Shu zerwała porozumienie, albo Lane sam się wycofał i uciekł.

Tak. To słuszne. Nie zgodziłby się dobrowolnie służyć Chińczykom. Chciał wolności, wolności dla swoich idealistycznych poszukiwań.

Nakamura próbował sobie wyobrazić, że jest Lane'em. Chroniłby mnichów. Wiedział o nagrodzie za swoją głowę, atakach na inne klasztory, mnichach ginących, aby go ocalić.

Jak by zareagował? Poszukałby innego klasztoru?

O nie. Lane byłby przerażony, ale idealizm by przeważał. Nie chciałby mieć kropli krwi więcej na rękach.

Znalazłby inny sposób. Postarałby się oddalić od mnichów i jak najbardziej zmniejszyć zagrażające im niebezpieczeństwo. A przeciwieństwem samotnego klasztoru było... wielkie miasto.

27

Niebo

Środa, 24 października

Kade spał, wstawał i pracował. Aby złapać tych, którzy stali za zamachem i bombami w Chicago, musiał stworzyć nowego agenta.

Rozpoczął od podstaw konstrukcji swoich poprzednich wykrywaczy. Kodu do wyszukiwania innych umysłów działających na Nexusie, zlokalizowanego w plikach pamięci i zrzutach sensorycznych, jakie użytkownicy Nexusa nieustannie wymieniali. Kodu do tylnych drzwi, które zbudował z Ranganem, aby skrycie kopiowały się do każdego innego umysłu, w jakim znalazł się program, ukryte już w procesie instalowania i maskujące wykorzystanie pamięci i procesora. Biblioteki zawierające informacje o specyficznych wzorcach, aby program po przeczesaniu danego umysłu zawiadomił Kade'a o ewentualnych dopasowaniach i przesłał urywki wspomnień, zawartość katalogów, parametry wyciągnięte z Nexus OS.

Tym, czym różnił się nowy wirus od poprzednich, był wzorzec poszukiwań. Kade nie szukał myśli o Ranganie lub Ilyi. Nie wyszukiwał programów przemocy ani nawet kodów źródłowych - miał już programy, które się tym zajmowały. Teraz Kade szukał umysłu, który wiedział o tych kodach, który znał określoną część takiego kodu.

Numer wersji programu Nexus stanowił najlepszy haczyk, jaki Kade mógł wykorzystać. Nexus OS, wersja 0.72. Jeżeli ktoś ją widział, pomyślał o niej, miał w umyśle kody, które się do niej odnosiły, to Kade chciał o tym wiedzieć. Dodał też inne kryteria - wspomnienia przemocy, eksplozji, myśli o FWP. Połączył je w orientacyjny model, nadając każdemu kryterium wagę, aby uzyskać odpowiedni poziom trafności wyszukiwań.

Pracował przez dwa dni, tworząc warianty, testując różne scenariusze, podczas gdy Feng przynosił mu jedzenie, rozciągał się i ćwiczył swoje sztuki walki albo czytał papierowe książki kupione od ulicznych kramarzy.

Kiedy Kade nie mógł już pracować, kiedy powieki zamykały mu się ze zmęczenia, a umysł zaczynał dryfować, czuł pokusę, aby sięgnąć do własnego mózgu, pchnąć swoje neurony, sztucznie pobudzić się i pracować dalej.

Ale wtedy zamykał oczy, kładł się i pogrążał w białym szumie miliona umysłów działających na Nexusie, fali świadomości opływającej planetę, złożonych myśli, które

pewnego dnia połączą się w coś, co naprawdę myśli i czuje, co może rozwiązać problemy, jakim samotne ludzkie umysły nie podołały. A potem zasypiał wypełniony nadzieją.

Trzeciego dnia skończył pracę nad nowym wykrywaczem, wykonał wszystkie testy, jakie przyszły mu do głowy, naprawił wszystkie bugi, które udało mu się znaleźć.

Nadeszła pora, aby go wypuścić.

Zeszli do klubu razem w piątkowy wieczór.

- Zejdźcie do Nieba! - śmiał się Feng. - W dół, do nieba!

Wskazał palcem.

- Dobry żart, nie? - Sprzedał Kade'owi lekkiego kuksańca.

Kade prychnął i potrząsnął głową.

Wyglądali jak para zwykłych turystów. Kade z przedłużonymi ciemnymi włosami i biologicznie dopasowanymi tatuażami pełzającymi po ramionach, a Feng z krótką rozjaśnioną fryzurą i kodem kreskowym, który tak go bawił, na karku.

Tutaj był piątkowy wieczór. W domu nadchodził piątkowy ranek. Wietnamska dziewczyna w srebrnej obcisłej sukience, ze srebrnymi włosami i srebrnym makijażem na powiekach, wzięła pieniądze od Kade'a i Fenga przy drzwiach. Umięśniony wykidajło przyglądał im się groźnie, gdy płacili. Kade wyczuwał, że Feng tłumi wybuch śmiechu.

Opanuj się - powiedział Kade.

Ale on jest taki duży! - roześmiał się Feng w umyśle Kade'a. Jestem PRZERAŻONY!

Wbrew sobie Kade roześmiał się w głos.

Wyczuł, że umysł dziewczyny przy drzwiach ociera się o jego, gdy uśmiechnęła się i

przybiła im stemple na nadgarstkach. Czuł też napór groźnych myśli wykidajły, wyczuwał również, jak jego agent wkodował się obojgu i zaczął skanowanie w poszukiwaniu innych, którym mógłby go podrzucić.

Za drzwiami klub wypełniał gęszcz ubranych jaskrawo dwudziestoparolatków pogrążonych w pulsujących, stroboskopowych światłach. Ledwie okryte ciała wyginały się do łomoczącego rytmu. Ich umysły były żywe, wyciągały się do Kade'a, do siebie nawzajem, otwierały na wirusa. Pasma sztucznej mgły pełzły po podłodze, plątały się wokół opalonych nóg. Na białych ścianach namalowano kolumny i ozdobne kute wrota. Sufit lśnił błękitem z białymi obłokami przepływającymi po cyfrowej powierzchni. Skąpo okryte wietnamskie kelnerki nosiły na tacach drinki między stolami wokół parkietu.

Feng strzelał oczami na wszystkie strony, śledząc obnażone krągłości kelnerek, wygięte ciała tancerek, po czym wracał do poszukiwania zagrożeń w tłumie, czujny i zarazem podniecony.

Młody Wietnamczyk bez koszuli, w wieku może dwudziestu lat, tańczył obok. Na twarzy malowała mu się radość, bezwłosy tors spływał potem. Jego umysł dotknął Kade'a, a Kade nagle znalazł się gdzie indziej - w londyńskim mieszkaniu. Ten chłopak był sterowany, uświadomił sobie Kade, sprzedał się bankierowi z innego kontynentu, pozwolił, aby obcy za opłatą spędził w jego ciele krótkie wakacje.

Dwie niemal identyczne wietnamskie tancerki go-go w krótkich srebrnych szortach, srebrnych kozaczkach do kolan, ze srebrnymi anielskimi skrzydłami i małymi krążkami zasłaniającymi sutki poruszały się w doskonałej synchronizacji na scenie - ich włosy ze srebrnymi pasemkami unosiły się i opadały równocześnie, pot perlił się na umięśnionych brzuchach i smukłych udach, gdy wyginały się, obracały i machały kontrolowanymi przez Nexusa skrzydłami. Rozpalały tłum. Między nimi muskularny Wietnamczyk, DJ, w podobnych barwach i czarnej, obcisłej koszulce, uniósł rękę, po czym opuścił ją w rytm potężnego huknięcia.

Światła błyskające z każdej strony oślepiły w otaczającej bieli, ale przez chaos połączeń Nexusa przebił się nowy umysł, uwypuklony przez wzmacniacze w ścianach i suficie. NJ. Nexus dżokej... Dziewczyna. Wyświetlała swój umysł wprost do innych jak

piosenkę, przekazywała go jak taniec, do rytmu muzyki, a tłum wrzeszczał aprobująco.

Kade zamrugał, aby nie dać się oślepić, i wtedy ją dostrzegł - dziewczynę na scenie obok DJ-a. Jej strój był lustrem dopasowanym do ciała. Uśmiechnięte wargi lśniły metaliczną czerwienią. Rzęsy błyszczały srebrzyście. Długie, platynowe blond włosy przeplatały migoczące jaskrawo w rytm muzyki pasma błękitu, zieleni i czerwieni. Dziewczyna otworzyła usta i zaśpiewała, czystą, bezsłowną nutę zachwytu, po czym wyciągnęła uniesione dłonie w srebrnych rękawiczkach nad głowami tańczącego tłumu.

A jej umysł... Jej umysł był tańcem. Był czystą radością ruchu. Ekstazą. Kade poczuł pragnienie, aby poruszać się w jej rytmie, odbierać jej emocje. Rozejrzał się. Tłum nie był już chaosem, nie był przypadkową gromadą. Był żywym bytem poruszającym się równo, radującym muzyką i światłem, czystą ekstatyczną radością, jaka wylewała się z dziewczyny. Kade zobaczył klub z jej perspektywy i to było niebo, anielskie istoty tańczyły na obłokach, spowite radością futurystycznego raj. Wzmocniony cyfrowo sygnał pozwalał jej przekazywać pieśń, wizję i ekstazę na cały klub, a tłum kochał ją za to, wykrzykiwał swój aplauz myślami i głosem.

Kade odwrócił się, aby odszukać Fenga. Przyjaciel stał obok, uśmiechnięty od ucha do ucha. A potem zaczął tańczyć, jakby nigdy nie tańczył wcześniej, zanim zaczął się koszmar. Ale nawet gdy Feng kołysał się, uśmiechał i cieszył, nadal zerkał znad biustów i bioder, szukał zagrożenia.

Kade zatańczył. A kiedy tańczył, pozwolił, aby jego wirus wykonywał swoją pracę. Umysły ocierały się o niego, tancerze, kelnerki, tancerki go-go, DJ, NJ... Czuł, jak tańczą, czuł, jak wzmacniają się i zmieniają neurochemicznie, jak narkotyzują się do euforii lub psychodelii, absorbują myśli prowadzącej, transmitują w odpowiedzi własne, dodają je do kolektywnego węzła. Cały tłum promieniał, śmiał się i zarażał radością wszystkich wokół. Przyjacielskie umysły proponowały Kade'owi aplikacje do Nexusa, żeby mógł się bardziej rozkręcić - neurotransmitterowe modulatory nazywane na przykład DigitalEcstasy, SimTHC czy CyberAcid - ale za każdym razem odmawiał z uśmiechem. Pracował, a prowadząca seans dziewczyna i tłum działały na niego wystarczająco.

Wykrywacz infiltrował każdy umysł, który choć otarł się o Kade'a. Jeden z tych ludzi

zrobi upload tej nocy albo połączy się z siecią, aby skontaktować się z umysłem przyjaciela w domu, albo załaduje online nową łątkę do software'u lub nową aplikację. A wtedy wirus Kade'a się rozprzestrzeni.

Sześć stopni separacji, pomyślał Kade. W parę dni jego wykrywacz sięgnie w każdy zakamarek uniwersum Nexusa.

W klubie była brunetka z restauracji, tańczyła z przyjaciółmi i popijała drinka. Podchwyciła spojrzenie Kade'a i uśmiechnęła się, poczuł muśnięcie jej umysłu. Och, byłoby miło, gdyby... Ale nie mógł. Dlatego uśmiechnął się tylko i odwrócił, oderwał od dziewczyny oczy i myśli, zanurzył się w muzyce i rytmie ruchów tłumu, własnego ciała, piosence, tańcu i halucynogennych wizjach.

Kade tańczył, tańczył i tańczył, aż do wyczerpania. Gdy skórę pokrył mu pot, wykrywacz już torował sobie drogę na inne kontynenty. Kade wytoczył się z klubu z Fengiem u boku.

- Bycie twoim przyjacielem to czasem niezła zabawa! - roześmiał się Feng i pociągnął Kade'a. Kade także się roześmiał, szczęśliwy i zadowolony z ciężkiej pracy, jaką wykonał tej nocy.

28

Rodzina

Środa, 24 października

Breece zbiegał ze wzgórza do lexusa, zwolnił, gdy zbliżył się do samochodu. Sprawdził, czy nie dostrzeże ruchu pod kołami, gdzie był pewnie trzeci z zabójców. Nic. Zajrzał ostrożnie za samochód, żeby przekonać się, co zostało z zabitego. Ponury widok. Nie dało się dostrzec głowy i torsu trupa, zostały rozgniecione między lexusem i SUV-em. Ramię zwisało bezwładnie i dotykało zbrzyzanego krwią uda, nogi wygięły się pod nienormalnym

kątem. Mężczyzna bez wątpienia był martwy.

Breece wstał i otworzył drzwi lexusa po stronie kierowcy. Pojazd był teraz spalony, podobnie jak telefon i dokumenty - wszystkie trzy przedmioty zostały także zarejestrowane. Breece musiał zminimalizować szkody, uniemożliwić pobranie próbek DNA, zapobiec nawet przypadkowemu odkryciu przez władze prawdziwej tożsamości Breece'a, zatrzeć wszelkie tropy, które mogłyby zdemaskować Hiroshiego i Avę oraz Nigeryjczyka.

Włączył konsolę główną w samochodzie, przejrzał menu, dotknął pustego pola w rogu i pozwolił, żeby komputer zeskanował mu siatkówkę. Pojawiło się nowe menu z ukrytymi opcjami.

Autodestrukcja. Breece ustawił odliczanie dziesięciominutowe lub opcjonalne wyzwalenie przez telefon.

Z bagażnika wyjął podręczną torbę z oporządzeniem, telefonami, bronią i nowymi fałszywymi dokumentami. Zabrał też bombę enzymatyczną.

Ruszył w górę zbocza, z bombą enzymatyczną w obleczonej rękawiczka dłoni. Krajobraz po zmierzchu szybko spowijała ciemność. Breece dotarł na szczyt wzniesienia, odszukał dwóch zabitych napastników. Wyjął ceramiczny nóż z gardła trupa, wsunął do pochwy przy kostce.

A potem wycofał się, uniósł walcową bombę, pociągnął za wyzwalacz, po czym rzucił ją w miejsce starcia. Bomba potoczyła się i zatrzymała przy jednym z ciał. Sekundę później w puszcze jak po napoju otworzyły się małe otwory i wypuściły gęstą białą mgłę enzymów rozkładających białka i DNA. Przy odrobinie szczęścia zniszczą wszystkie biologiczne ślady, jakie Breece zostawił.

Wreszcie wyjął telefon i wysłał zaszyfrowaną wiadomość do Hiroshiego.

[Jestem bezpieczny. Trzymaj się z daleka od tego terenu. Twój telefon też jest spalony. Spotkamy się w zwykłym miejscu].

Potem skulił się za kamieniem, zerknął na lexusa, rozwinął menu i przesunął czas autodestrukcji na „teraz”.

Trzysta metrów dalej cewka otworzyła kanister ze sprężonym tlenem, wtoczyła go do zbiornika z paliwem, co rozproszyło natlenioną benzynę do wnętrza samochodu i powietrza wokół niego. Pojazd zmienił się w bombę, która zaraz miała wybuchnąć. Breece odliczał: trzy... dwa... jeden...

Samochód eksplodował, zamienił się w kulę ognia, która rozświetliła nocne niebo. Fala gorąca uderzyła Breece'a w twarz. Wszystkie ślady, jakie znajdowały się w pojeździe, wyparowały.

Breece wyjął baterię z telefonu, odwrócił się i powoli zszedł po zboczu. Do miejsca spotkania pozostała jeszcze długa droga.

Dotarł do Houston osiemnaście godzin później. Miał na sobie zapasowe ubranie, włosy świeżo ufarbowane na czarno, a samochód z wypożyczalni wynajął na podstawie nowych dokumentów tożsamości.

Okrzyżył dwukrotnie dzielnicę wokół miejsca spotkania, szukając oznak, że jego zespół został ujęty, a FBI albo ERD czeka już w mieszkaniu. Breece nie mógł zadzwonić do członków zespołu. Za obopólną zgodą żadne z nich nie znało awaryjnej tożsamości pozostałych. Ich główne tożsamości zostały spalone przez to, co wydarzyło się na cmentarzu.

Komórkę Breece'a można było połączyć z miejscem, gdzie doszło do zabójstw. Tożsamości członków zespołu były powiązane z tym telefonem. Wszystkie te dane o tożsamości wystarczyłoby tylko połączyć. Odkrycie jednej tożsamości oznaczało odkrycie innych. Dlatego wszystkie te fikcyjne nazwiska, numery rachunków bankowych i karty identyfikacyjne musiały zniknąć.

Breece zaparkował samochód dwie przecznice dalej i zjadł posiłek w restauracji naprzeciw mieszkania. Rozglądał się przy tym obojętnie po otoczeniu.

Czy któryś z klientów lokalu był obserwatorem z FBI? Ten van elektryków - czy miał

stację nasłuchu telefonów komórkowych? Ta para spacerująca i trzymająca się za ręce - czy to nie ulepszeni agenci ERD, czekający tylko, aż ktoś zbliży się do drzwi budynku?

Breece skończył lunch i zamówił piwo, które jego genetycznie ulepszony poziom dehydrogenaz rozłoży na długo przed tym, nim alkohol zadziała choćby lekko oszałamiająco. Inni goście zapłacili i wyszli. Elektrycy wrócili do vana i odjechali. Młoda para nie pojawiła się więcej.

W oknie mieszkania Breece dostrzegł ruch. Dobry znak. Gdyby pojawiło się tam FBI lub ERD, gdyby była zasadzka, zespół pozostałby zupełnie nieruchomy, niewykrywalny, czekający na znak, że Breece jest niedaleko.

Zapłacił rachunek i przeszedł przez ulicę.

Nikt do niego nie strzelił, gdy się zbliżał. Przy drzwiach zacisnął prawą dłoń na kolbie pistoletu w kieszeni i zapukał lewą. Wolny, szybki, szybki, wolny, wolny.

Drzwi otworzyły się i palce Breece'a zeszywniały na kolbie. Ale wtedy pojawiła się przed nim Ava, piękna i zimna jak lód. Jak zawsze.

- Długo ci to zajęło - stwierdziła, unosząc brwi.

Breece uśmiechnął się szeroko i porwał ją w ramiona, zakręcił się, aż zafalowały jej długie, czarne włosy. Lody stopniały i Ava roześmiała się, a potem go pocałowała.

Wszyscy tu byli. Hiroshi, genialny inżynier telekomunikacyjny, który zmienił się w hakera. Na jego japońskiej twarzy malowało się znużenie, czarne włosy zebrał w kucyk. Japończycy rozumieli przyszłość, godzili się na nią. Ten człowiek nawet bardziej niż większość. Breece nie miał problemów z przyznaniem, że Hiroshi góruje nad nim intelektualnie, zapewne od zawsze. Uważał się za szczęściarza, że przez tyle lat cieszył się przyjaźnią Japończyka.

Nigeryjczyk, wysoki, smukły i muskularny, cichy, ale potrafiący uśmiechnąć się nieoczekiwanie albo ryknąć donośnym śmiechem. Ich specjalista od uzbrojenia. Człowiek o

wielkiej odwadze i niezachwianych przekonaniach. Wielokrotnie ryzykował życie dla sprawy.

I Ava. Kameleon. Kobieta, która mogła się wtopić wszędzie i przekonać każdego do wszystkiego. Sprytna. Nieustraszona. Wspaniała. Niezlomna. Kobieta, którą Breece kochał.

Uściskali się i uśmiechnęli, pokleпали się po plecach, po czym zgromadzili w kuchni. Dobrze było znowu spotkać się ze swoimi ludźmi.

Breece otworzył umysł dla nich, a oni otworzyli dla niego swoje. Przez połączenia Nexusa przedstawił im atak na cmentarzu, a oni pokazali, jak pośpieszyli na ratunek. Zamierzali ryzykować dla Breece'a życie, kierując się do jego pozycji i spodziewając, że drogę zastąpi im oddział Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Breece kochał tych troje. Gdyby musiał, oddałby za nich życie.

- Więc Zara postanowił cię odsunąć - stwierdził Hiroshi. - Dlaczego?

Breece wzruszył ramionami.

- Zawsze miał świra na punkcie kontroli. Zawsze chciał wybierać zadania, postępować ostrożnie. A my to naraziliśmy. Prawda jest taka, że go nie potrzebujemy, a to stanowi zagrożenie dla jego władzy.

- A co wie Zara o tej misji? - zapytała Ava.

Breece pokręcił głową.

- Nic. Tak samo, jak przy Chicago.

- Musimy sobie z nim poradzić - powiedział Hiroshi. Breece skinął głową.

- I poradzimy. Po tym.

- Więc nadal uciekamy? - upewnił się Nigeryjczyk.

- Mamy jeszcze jeden problem - westchnął Breece. - Hiroshi?

Hiroshi pokazał reszcie nagranie z misji w Chicago. Wszystko było normalnie, dopóki nie nadszedł koniec.

Chyba mam bombę - odezwał się muł w ich umysłach. Bombę!

- Misja się powiodła - rzekł Breece. - Ale ledwie-ledwie.

- Początkowo myśleliśmy, że oprogramowanie zostało uszkodzone - wyjaśnił Hiroshi.
- Ale logi pokazały co innego. Ktoś jeszcze włamał się do tego umysłu i zanegował nasze komendy. I ktokolwiek to zrobił, musi być bardzo, bardzo dobry. Aktywację muła i ten hack dzieliła mniej niż minuta.

Breece przyglądał się, jak zespół przyjmuje tę wiadomość.

- Czy to wyjaśnia Waszyngton? - zapytał Nigeryjczyk. - Muł tam strzelił tylko dwa razy, a nie cztery. I chybił.

Breece zerknął na Hiroshiego.

- Możliwe - przyznał Japończyk.

- Więc co z tym zrobimy? - rzuciła Ava.

- Dwie rzeczy - odparł Breece. - Po pierwsze, wprowadzimy parę zmian do planu misji. Po drugie, musimy zachować większą czujność. Przez cały czas, gdy używamy Nexusa, możemy znowu wystawić się na cel dla tego hakera. Hiroshi musi używać Nexusa do przygotowania muła. Ale reszta nie. Więc dopóki nie zrozumiemy, co się stało, nasza trójka musi zrezygnować z Nexusa, a po przygotowaniach Hiroshi również to robi.

Poczuł ich rozczarowanie, szczególnie Avy. Breece chciałby dotknąć jej ciała i umysłu, poczuć jej przyjemność, gdy się kochali. Ale to będzie musiało poczekać.

Wyczuwał rozczarowanie, ale także zgodę. Wszyscy zgadzali się z tą decyzją. Wszyscy robili to, co należy. Byli zespołem, a nawet więcej. Byli rodziną. Byli żołnierzami.

29

Neandertalczycy

Piątek, 26 października

Spotkali się w Gabinetce Owalnym. Holtzmann i Barnes przeszli przez wykrywacze Nexusa i skanery terahercowe, potem fizycznie ich oklepano, zanim asystent wskazał im pusty pokój i krzesła. Sekretarka przyniosła wodę i kawę.

Holtzmann czuł nienaturalny spokój i pewność siebie, niesione przez neurochemiczny koktajl, który sobie przygotował. Pokój był jasny, każdy detal wyraźny. Myśli Holtzmanna biegły szybko, ostro, ani odrobiny nerwowości lub zamglenia. Znowu był sobą, człowiekiem sprzed zamachu. Nawet lepszym sobą.

Wszedł prezydent i Holtzmann z Barnesem poderwali się.

- Doktorze Holtzmann. - Stockton uściśnął mu rękę. Dłoń miał ciepłą i dużą, uścisk mocny i pewny, jak przystało na dawnego sławnego rozgrywającego.

Prezydent zasiadł za biurkiem, machnięciem ręki nakazał gościom, żeby zajęli miejsca.

- Dyrektor Barnes przesłał mi streszczenie dotyczące stanu dzieci na Nexusie. Teraz jednak chcę się upewnić, czy dobrze zrozumiałem sytuację.

- Oczywiście, panie prezydencie.

- Czy te dzieci są mądrzejsze od ludzkich?

Odpowiedział Holtzmann:

- Niezupełnie, panie prezydencie. Reprezentują szerokie spektrum, jeżeli chodzi o poziom inteligencji. Ale jeśli mieszkają razem i razem się uczą, robią postępy o wiele szybciej niż dzieci bez wspomagania. Mogą też wspólnie rozwiązywać problemy, które pozostają niedostępne pod względem trudności dla normalnych ludzi.

Prezydent Stockton skinął głową.

- Tak. Czyli w grupach są mądrzejsze. I ma znaczenie, jak wcześnie zostały wystawione na działanie Nexusa?

Holtzmann skinął głową w odpowiedzi.

- Tak, panie prezydencie. Im wcześniej zażyją Nexusa, tym większe są efekty. Dorośli zyskują wzmocnienie świadomości grupowej. Dzieci - w większości autystyczne, które jako pierwsze dostały narkotyk w młodszym wieku - mają to wzmocnienie znacznie większe. A najbardziej spektakularne postępy obserwujemy u dzieci, które wystawiono na Nexusa jeszcze w życiu płodowym.

- Znamy długoterminowe skutki? Problemy zdrowotne?

Holtzmann rozłożył ręce.

- Nie dostrzegamy żadnych szczególnych problemów zdrowotnych wywołanych przez Nexusa, ale łatwo mogliśmy przeoczyć coś drobnego, subtelnego, co rozwija się latami, zanim się ujawni.

- A jak określić długoterminowość? - zapytał prezydent. - Jak długo te dzieci mogą rozwijać inteligencję, szczególnie te, które dostały Nexusa w życiu płodowym?

Holtzmann pokręcił głową.

- Panie prezydencie, chciałbym odpowiedzieć, ale nie potrafię. W tej chwili mamy za mało danych. Najstarsze dzieci wystawione na działanie Nexusa w macicy mają osiem lat, a widzieliśmy zaledwie garstkę.

- A jakie są pańskie przypuszczenia?

Holtzmann chciał odmówić odpowiedzi. Zerknął na Barnesę, ale zwierzchnik uniósł tylko brew i leciutko skinął głową.

Nie odmawia się prezydentowi, pomyślał Holtzmann.

Spojrzał Stocktonowi w oczy.

- Panie prezydencie, gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że te dzieci, jeżeliby się wychowywały razem i w nieustannym kontakcie z innymi swojego rodzaju, rozwinęłyby się i stały nadzwyczajne, zarówno pod względem wiedzy, jaką mogą przyjąć indywidualnie podczas swojego życia, jak i zdolności grupowego rozumowania i rozwiązywania problemów.

Prezydent wytrzymał jego spojrzenie.

- Powiedziałby pan: o wiele powyżej ludzkich norm, doktorze Holtzmann?

- Tak. O wiele powyżej. Wielokrotnie. Dokonają tego, o czym my możemy tylko marzyć.

Prezydent skinął głową.

- A jak postępy ze szczepionką?

Na tym pytaniu Holtzmann się zaciął. Przejście z dyskusji o nieopisanym cudzie i pięknie tych dzieci do rozmowy na temat, jak zapobiegać pojawieniu się następnych podobnych, było niemal fizycznie bolesne.

- Prace trwają, panie prezydencie. Wyniki na myszach są obiecujące, przynajmniej na razie. Możemy nauczyć system immunologiczny reagować na komponenty cząsteczek Nexusa, zanim dotrą do mózgu.

- Kiedy możemy zacząć stosowanie szczepionki?

- To dopiero wczesne prace, panie prezydencie. W najlepszym razie? Uzyskanie niezawodności szczepionki zajmie rok, może dwa, następnie trzeba będzie oszacować, jak te rezultaty mają się do ludzi, a potem czeka nas trzy do czterech lat prób na ludziach.

Prezydent zmarszczył brwi.

- Cztery do sześciu lat? To nie do przyjęcia, doktorze Holtzmann. Trzeba rozpocząć stosowanie w przyszłym roku. Musi pan przyśpieszyć tempo prac.

Holtzmann zamrugał.

- Panie prezydencie, to właśnie jest przyśpieszone tempo. Omijamy każdy etap zalecany przez Agencję do spraw Żywności i Leków, jaki tylko zdołamy, i pomijamy wszelkie utrudnienia, byle jak najszybciej wypracować wyniki.

Stockton zabębnił palcami w biurko, wyraźnie zdenerwowany.

- Niech mi pan opowie o kuracji.

Pytanie o szczepionkę tylko cięło, ale pytanie o kurację dźgnęło. Prosto w serce. Wziąć nadzwyczajnie utalentowane dziecko, które może dotknąć umysłu innego, a potem tę zdolność po prostu wydrzeć...

Holtzmann zaczerpnął głęboko powietrza, żeby jego głos zabrzmiał neutralnie.

- Panie prezydencie, jak dotąd nie znaleźliśmy żadnej bezpiecznej i skutecznej kuracji.

- To znaczy?

- Kuracje, których próbowaliśmy, zabijały myszy, panie prezydencie. Mamy parę pomysłów, jak działać dalej... - Pomyślał o tylnych drzwiach Shankariego, które mogłyby zadziałać przynajmniej na dzieciach wystawionych na najnowszą wersję Nexusa. - Ale jest za wcześnie, żeby stwierdzić, czy zadziałają, a szczególnie czy zadziałają na całe społeczeństwo.

Stockton nie przerwał bębnienia palcami w blat.

- Doktorze Holtzmann, niech będzie jasne, jaka jest stawka. Te dzieci Nexusa to zagrożenie. Jeżeli nie możemy zapobiec rozprzestrzenianiu się narkotyku na więcej dzieci i nie potrafimy leczyć tych, które już zostały wystawione na jego działanie, to nie pozostanie nam inne wyjście, jak tylko te dzieci odizolować. Tysiące, jeśli nie więcej. I wcale nie chcę tego zrobić. Opinia publiczna również nie chce. Ale zrobię to, jeżeli będę musiał.

Holtzmann już otworzył usta, żeby zaprotestować. Dlaczego? Dlaczego nie mogą być cenną częścią społeczeństwa?

Ale Barnes był szybszy.

- Można je poddać eutanazji, panie prezydencie - powiedział. - Prawo daje panu taką władzę. A te urodzone z Nexusem w mózgu... pochodzą z patologicznych rodzin, urodziły je matki narkomanki. Poradzimy sobie z PR-em.

Zabić je? Zabić te dzieci? Nawet na podniesionym poziomie serotoniny i dopaminy Holtzmann odczuł to jak cios w brzuch.

- Nie zamierzam zabijać dzieci - odparł Stockton.

- Prawo nie uważa ich nawet za ludzi - zaproponował Barnes. - Ani za dzieci.

- Nie obchodzi mnie to, Barnes - stwierdził prezydent. - To dzieci. Nie dokonywały wyboru. Jeżeli będę zmuszony, zamknę je, aby chronić Amerykę, ale tylko do czasu, aż będziemy mogli je wyleczyć. Nie podpiszę wyroku śmierci na dzieci.

Barnes nie dał za wygraną.

- Prezydent Jameson zezwolił na eutanazję klonów Neoaryjczyków!

- Barnes! - Stockton podniósł głos.

Zapadła cisza. Potem Holtzmann usłyszał własny głos:

- Dlaczego? Dlaczego je więzić? Izolować? Dlaczego w ogóle próbować je wyleczyć?
Dlaczego ich nie przyjąć do społeczeństwa?

Dwaj mężczyźni spojrzeli na niego ze zdumieniem.

Barnes odezwał się pierwszy:

- Doprawdy, Martinie...

Stockton uniósł dłoń, uciszając Barnesa.

- Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia - rzucił do Barnesa. - Proszę mówić, doktorze
Holtzmann.

Holtzmann przełknął.

Co ja robię?

To, co należy, nadeszła odpowiedź z jego wnętrza.

- Panie prezydencie... Te dzieci... to przyszłość. Gdy dorosną, będą mądrzejsze niż
my, zdolne lepiej rozumieć się nawzajem. A ta technologia... Nie musi nas dzielić. To może
być przyszłość dla wszystkich naszych dzieci i naszych wnuków...

Stockton nie odpowiedział tak, jak Holtzmann się obawiał. Nie warknął na niego, nie
zabębnił palcami, nie wyglądał na rozgniewanego. Raczej na zamyślonego i zdziwionego.

- Doktorze Holtzmann, powiedział pan, że nie znamy długoterminowych skutków tego narkotyku. I że ci, którzy zostali wystawieni na jego działanie w macicy, dorosną zupełnie inaczej niż ci, którzy zażyli go później. A co z rodzicami, którzy nie zechcą wypróbować narkotyku? Którzy nie zechcą narażać życia lub zdrowia dzieci? Z tego, co pan powiedział, wynika, że ich dzieci, ich normalne ludzkie dzieci, nie będą miały szans, żeby dotrzymać kroku tym na Nexusie. Dzieci Nexusa zdobędą najlepszą pracę i bogactwo, a pozostałe zostaną w tyle. Czy to pana nie martwi?

Holtzmann zamknął oczy. Nie mógł odmówić racji prezydentowi. Nie wszyscy rodzice wybiorą Nexusa dla swoich nienarodzonych dzieci. A ci, którzy nie wybiorą, zobaczą, że ich pociechy są stratne.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Pozostało mu zatem mówić prosto z serca.

- Panie prezydencie, słyszał pan o dylemacie neandertalczyka?

Stockton potrząsnął głową.

- Nie.

- Uczy się tego na etyce, na kursach wdrażania nowych technologii.

- Martinie - wtrącił Barnes - nie sądzę, żebyśmy musieli wnikać w...

Stockton znowu uciszył go gestem.

- Niech pan mówi, doktorze Holtzmann. Nasi przodkowie zwyciężyli neandertalczyków. Doprowadziliśmy do ich wymarcia. Czy o to chodzi?

Holtzmann skinął głową.

- Tak, panie prezydencie. Tam, gdzie dotarli współcześni ludzie, neandertalczycy w końcu wyginęli. Obie grupy się mieszały. Nawet współżyły. Ale ludzie byli po prostu

mądrzejsi, szybsi, umieli lepiej myśleć, komunikować się i tworzyć wynalazki. Wytwarzali lepsze narzędzia, sprawniej polowali i gromadzili się bardziej skutecznie. Neandertalczycy nie zdołali dotrzymać im kroku.

Stockton przytaknął.

- Tak. Właśnie. I to stanie się też z nami. Jesteśmy neandertalczykami, dlatego musimy zdusić problem w zarodku, póki jeszcze możemy.

Holtzmann wyciągnął ręce niemal błagalnie.

- Ale, panie prezydencie, gdyby neandertalczycy zdołali zdusić problem w zarodku, nie byłoby nas tutaj. - Zatoczył ramieniem półkole. - Nie byłoby Białego Domu ani Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Świat miałby mniej sztuki, mniej nauki, mniej wszystkiego, co cenimy, wszystkich wynalazków, jakich kultura neandertalczyków nie zdołałaby osiągnąć. To właśnie dylemat, panie prezydencie. Gdyby był pan neandertalczykiem i mógł powstrzymać ludzi przed rozwojem albo zajmowaniem terenów, przedłużyłby pan życie swojego gatunku, ale zubożyłby pan świat.

Stockton potrząsnął głową, choć nie bez życzliwości.

- Doktorze Holtzmann, to wcale nie dylemat. Żyjemy tu i teraz. A moim zadaniem jest chronić obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nie ma mowy, żebym sprowadził na nich zagrożenie i bez znaczenia jest, jak wspaniały świat pana zdaniem powstanie później, po naszym wymarciu.

Holtzmann, pokonany, spuścił głowę.

- Wracając, doktorze Holtzmann, do kuracji i szczepionki. Musi pan przyśpieszyć prace. Z prostego powodu. Chociaż ja nie chcę poddawać tych dzieci eutanazji, jednak w czasie, o którym pan mówił, ktoś inny zasiądzie na moim miejscu. I ani pan, ani ja nie wiemy, jaką decyzję podejmie przyszły prezydent. - Zrobił pauzę dla lepszego efektu. - Jeżeli chce pan, żeby te dzieci żyły, doktorze, lepiej, żeby pan znalazł sposób na ich wyleczenie.

Więź

Piątek, 26 października

Rangan spędził większość czasu z następnych trzech cykli snu na podłodze w kącie swojej celi. Siadał tam po zgaszeniu świateł. Podłoga była twarda i zimna. Sprawiała, że członki mu cierpły. Ale właśnie w kącie połączenie było najlepsze.

Bobby. Bobby i tuzin innych. Znajdowali się po drugiej stronie ściany, zamknięci jak Rangan. Tylko dzieci.

W tarczy była luka. Zapewne luźny przewód w siatce przewodzącej ściany, która dzieliła Rangana od pryczy Bobby'ego i dalszych pomieszczeń. Miejsce, gdzie fale radiowe mogły się przebić i którędy mogły przenosić myśli między więźniami.

Pierwszej nocy, kiedy ich umysły się spotkały, Rangan myślał tylko o sobie. Nie był sam. Ktoś jeszcze się tutaj znajdował.

A potem dotarło do niego, co się dzieje, i ogarnął go gniew.

Dzieci, pomyślał. Zamknęli tu dzieci! Pierdoleńcy!

Jakie jebane potwory zamykają dzieci? Zamykają je tylko dlatego, że mają w głowach coś wyjątkowego, co czyni je lepszymi? Czyżby ich uwięzienie pomagało oprawcom znieść to, co było z nimi niby nie tak? Co czyniło je mądrzejszymi od reszty ludzi?

Rangan spędził godziny połączony z Bobbym. Dowiedział się więcej o chłopcu i o innych zamkniętych tu dzieciach. Czasami chłopcy po kolei kładli się na pryczy Bobby'ego. Rangan poznał Alfonsa, Jose, Parkera i z pół tuzina innych. Pokazali mu swoje wspomnienia. Jak wyrwano ich z rodzin. Jak aresztowano i pobito ich bliskich. Jak bito ich, gdy stawiali

opór. Rangan ujrzał, jak Parkera wyrwano z objęć matki i na jego oczach ją odciągnięto. Widział aresztowanie Bobby'ego, zastrzelenie jego ojca i pobicie chłopaka do nieprzytomności przez mężczyzn, którzy odebrali go rodzicowi.

Rangan zaciskał pięści. Miał ochotę kogoś uderzyć. Skrzywdzić naprawdę mocno.

Pierdolone dupki.

Dzieci były przerażone, samotne. Rangan starał się ukrywać swój gniew i rozczarowanie, być z chłopcami i dla chłopców. Nie przychodziło to łatwo przez wątłe połączenie. Ale robił, co mógł, starając się przesłać nadzieję i humor.

W zamian chłopcy go zadziwiali. Byli bystrzy, pragnęli zrozumieć Nexusa w swoich mózgach, poznać, co się wokół nich dzieje. A sposób, w jaki ich mózgi się łączyły...

Ilya mówiła sporo o umyśle grupowym. Przekonała ich do udziału w eksperymentach na imprezach i we własnych mieszkaniach. Chciała stworzyć coś podobnego. I owszem, mieli swoje chwile odjazdów, gdy bariery zdawały się zanikać - czuli się wtedy tak, jakby zmienili się w jedną osobę.

Ale to wszystko trwało krótko, czasami wymagało wspomagania Empatyną albo trawką czy czymś podobnym. Było świetnie jak cholera, ale Rangan nigdy nie sądził, że do czegoś to się przyda.

Jednak te dzieciaki... Może dlatego, że były młodsze? Albo to przez autyzm? Cokolwiek to było, chłopcy łączyli się mocniej. Myśli przepływały między nimi bez żadnego oporu. Rangan przekazywał Bobby'emu swoje myśli o Nexusie i mógł wyczuć, że te myśli rozprzestrzeniają się na resztę chłopców, po czym nowe pytania padały tak szybko, że ledwie mógł nadążyć. A potem chłopcy pokazali Ranganowi test przeprowadzany przez ERD i wszystko stało się jasne. Uczyli się od siebie nawzajem, umysł w umysł. Bobby nauczył się hiszpańskiego zupełnie bez wysiłku, tylko dlatego, że ERD dało mu test po hiszpańsku, co nakierowało chłopca. A Bobby po prostu wziął to, czego potrzebował, z umysłów dzieci w pobliżu, które mówiły po hiszpańsku.

Te dzieciaki były czymś więcej. Stanowiły prawdziwy postęp, o jakim marzyła Ilya. To było zajebicie nadzwyczajne.

A w każdym razie byłoby, gdyby tych dzieciaków nie zamknięto w celach.

Dowiedział się od nich czegoś jeszcze. Tak naprawdę było to oczywiste, ale zerkał w ich wspomnienia, żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiał. Nexus OS się rozprzestrzenił. Od wielu, wielu miesięcy. Bóg jeden wiedział, ilu ludzi go teraz używało.

A Rangan udostępnił ERD furtkę do każdego z tych umysłów.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Patrzył w szarą, pustą ścianę swojej celi i rozważał, jak zajebicie to wszystko spieprzył.

W Sajgonie

Piątek, 26 października

Nakamura raz jeszcze spojrzał na obrazy satelitarne wyświetlane na implantach siatkówki. W otwartym dżipie na drodze do Sajgonu siedziały dwie postacie z wygolonymi głowami. Przeczucie go nie myliło. Kade i Sam kierowali się do Sajgonu.

Mając tylną furtkę do Nexusa, Lane łatwo mógł zebrać finanse dowolnego rzędu. Mógł się ukryć w luksusowym hotelu i jeść tylko to, co przyniesie mu obsługa. Albo mógł się zaszyć w dzielnicy turystycznej. Dlatego Nakamura nie miał wyboru - musiał przeczesać każdą część miasta, gdzie pojawiali się ludzie z Zachodu.

Zaglądał do holów w międzynarodowych hotelach ubrany w drogie rzeczy, jak przystało na podróżującego biznesmena - szary garnitur, teczka, eleganckie okulary przekazujące raporty finansowe i informacje z giełdy. Na Saigon Square wybrał się jako zamożny turysta z Europy - założył drogie granatowe spodnie, skórzane włoskie buty, śnieżnobiałą koszulkę polo, modny zegarek i dopasowane kolorystycznie dodatki. Po targowisku Ben Thanh kręcił się jako wytrawny podróżnik - spodnie khaki, koszulka, włosy

do ramion, plecak.

Dostrzegł Sam w zaułku przy Ben Thanh. Wysoka, smukła dziewczyna w dzinsach i bluzce na ramiączkach, wyprostowana, o silnych ramionach i długich czarnych włosach opadających na plecy. Odwróciła się i Nakamura zobaczył zarys podbródka i nos. Jej imię, wbrew rozkazom, wbrew wszelkim procedurom, wymknęło mu się z ust.

A potem to już nie była wcale Sam, tylko nastolatka, podłotek, najwyżej czternastolatka. Rodzice podeszli do niej i zabrali w labirynt ulic. Sam jako dziewczynka. Sam, jaką pamiętał.

Nakamura pokręcił głową nad własnym sentymentalizmem. Najwyraźniej zmienił się w starca. Poszukiwał dziewczyny, która w jego życiu pełniła rolę najbardziej zbliżoną do córki - innej córki nigdy nie miał. A potem podjął swoje wędrówki.

Wszędzie, gdzie zaglądał, rozsypywał inteligentny pył. Mikroskopijne czujniki rozrzucone po ziemi, unoszone przez wiatr, przyczepiające się do ubrań, do butów, do toreb. A wszędzie, gdzie trafiły, szukały twarzy Kade'a, twarzy Sam, śladu jego lub jej DNA, oznak emanacji Nexusa. Czujniki tworzyły sieć, a kiedy coś znalazły, przekazywały dane do swojego najbliższego sąsiada, a ten do następnego, aż w końcu informacja docierała do Kevina.

Tonął w tych informacjach, gdy zalewały jego pole widzenia przez implanty w siatkówce. Pojawiały się mapy pokazujące rozprzestrzenianie się pyłu, gdy przesuwał się na podszwach gości hotelowych, docierał windami na kolejne piętra Sheratona i Hiltona, unosił z wiatrem nad Saigon Square, aż wpadał do rzeki lub kanałów ściekowych pod miastem, przemieszczał się na oponach rowerów w zaułki wokół targowiska Ben Thanh. Rączy strumień danych przynosił twarze, coraz więcej twarzy, setki jak dotąd, ale żadna nie spełniała kryteriów dopasowania. Obok tej fali kolejna niosła sekwencje genetyczne, ale też niezgodne z zadanymi parametrami.

Warstwy map pokazywały emanacje Nexusa. Teren wokół Ben Thanh był ich pełen. Nawet kilkoro mniej nabuzowanych narkotykami turystów obok Saigon Square i biznesmeni w centrum miasta ujawniali sporadyczne transmisje Nexusa. Nakamura pokręcił głową nad

bezczelnością ludzi, zaskoczyła go powszechność występowania narkotyku.

Ostatnia warstwa mapy pokazała mu dane policji i służb ratunkowych miasta zaminowane systemami CIA. Gdy nie można wytropić ofiary - powtarzał Nakamura swoim uczniom - polujcie na myśliwych.

Oczywiście istniało ryzyko, że Sam i Kade wynieśli się dalej. Nakamura dostarczał dodatkową pracę sztucznym inteligencjom Państwowej Agencji Wywiadowczej - kazał im szukać śladów powiązanych z tym dwudziestoletnim otwartym dziupem, którym odjechali Kade i Sam. Tropy pojawiały się co parę godzin, ale wszystkie fałszywe.

Nakamura najchętniej przypisałby przynajmniej jednego satelitę z PAW do Sajgonu. Ale poszukiwania na podstawie ogólnych danych ze zwiadu satelitarnego to jedno, a zmiana celu dla satelity to zupełnie co innego. To ostatnie zaalarmowałoby PAW i zdradziło, że CIA interesuje się Sajgonem nieco bardziej niż do tej pory. A to z kolei wiązałoby się z kolejnymi odmowami.

Dlaczego? - dziwił się Nakamura. Po co tyle tajemnic?

Tak czy inaczej, postawił stopę na terenie wroga. Swoją stopę. I rozsypał swój pył. Przez pięć dni chodził, tropił i analizował. Nadal jednak nie udało mu się znaleźć śladu Sam lub Lane'a. Więc chodził dalej.

31

Zatrzymany w czasie

Piątek, 26 października

Holtzmann opuścił Biały Dom, kuśtykając i wspierając się ciężko na lasce. Gdy wychodził, czuł się o lata starszy niż wtedy, gdy tu wchodził. Barnes kroczył obok. Żaden z mężczyzn nie odezwał się słowem. Dopiero gdy minęli strażników, bramki ochrony oraz

wykrywacze Nexusa i metalu, i czekali na swoje samochody, Barnes pochylił się do towarzysza. Holtzmann cofnął się odruchowo, a Barnes postąpił naprzód. Martin dotąd nie uświadamiał sobie, jak wysoki jest tamten, ale teraz, gdy spoglądał w to zimne oblicze z martwymi, ciemnymi oczyma, zrozumiał od razu, że ten mężczyzna jest młodszy, wyższy i pod każdym względem silniejszy.

Barnes położył dłoń na ramieniu Holtzmann'a i ścisnął na tyle, żeby zabolalo. Holtzmann zamarł ze strachu.

Barnes pochylił się, aż jego usta znalazły się zaledwie o cal od ucha Holtzmann'a. Słowa wypowiedział powoli, nieco tylko głośniejsze od ochryplego szeptu:

- Jeżeli zrobisz mi to jeszcze raz, Martinie, to cię, kurwa, zniszczę.

A potem nadjechał wóz i dyrektor rozpromienił się.

- Świetna robota, Martinie. Do zobaczenia w biurze. Czekam niecierpliwie na nowe wyniki w sprawach, o które pytał prezydent.

Holtzmann opadł na siedzenie własnego wozu wyczerpany i roztrzęsiony. Nieświadomie zacisnął palce na lasce. Nawet przy podniesionym poziomie serotoniny i dopaminy odczuwał tylko gorzki rozczarowania porażką, ziejącą otchłan własnej hipokryzji.

Próbował. W jakiś sposób, na dopalaczach, znalazł w sobie odwagę, żeby postąpić inaczej niż zwykle. Powiedział prezydentowi to, co naprawdę myślał. I został obojętnie odrzucony, odepchnięty w sposób tak podstawowy, tak prymitywny, tak ludzki, że nie pozostawiło to żadnej wątpliwości, jaką drogę wybierze ludzkość.

Tytani pożerali swoje dzieci, pomyślał. Nikt nie chce uzurpacji.

Nie istniało już dla niego bezpieczne miejsce. Pozostała jedynie coraz głębsza przepaść. Holtzmann miał przed sobą dwie drogi. Mógł postąpić etycznie, słusznie i zrezygnować z pracy w ERD, stawić czoła audytowi i ujawnieniu, że ukraść Nexusa, po czym pójść do więzienia, prawdopodobnie na resztę życia. Zostawić żonę i synów na pastwę losu i

wstydu. Albo postąpić jak słabeusz, oportunistycznie - zachować pracę i wziąć udział w tej wymuszonej aborcji nowego szczepu ludzkości. Wtedy, może, uda mu się zachować wolność.

Obie ścieżki wiodły prosto w przepaść. Holtzmann czuł niemal, że już spada. Świat wokół wirował.

- Telefon - udało mu się wyrzucić z siebie - wyczyść mój kalendarz i włącz automatyczną odpowiedź. Jestem chory.

Telefon piknął na potwierdzenie.

- Samochód - wydusił z trudem Holtzmann - jedź do parku.

- Do którego parku życzy pan sobie jechać? - Damski głos samochodu brzmiał jedwabście.

- Dowolnie - mruknął Holtzmann. - Każdy będzie dobry.

- Dwadzieścia siedem parków znajduje się w promieniu... - zaczął samochód.

- Ach! - Sfrustrowany Holtzmann uderzył laską w deskę rozdzielczą i samochód zamilkł.

Mężczyzna oddychał szybko. Dyszał z gniewu.

Głupi, rzekł sobie w duchu. Żeby krzyżeć na samochód.

Uspokoił oddech. Napłynęło wspomnienie. Szczęśliwy dzień z Anne. Świetnie.

- Montrose Park - rozkazał. - Montrose Park...

- Tak jest, proszę pana - samochód odpowiedział z większym szacunkiem, afektywne algorytmy przeliczeniowe modulowały interakcje pojazdu z pasażerem.

Holtzmann ledwie to zauważył. Rozparł się w fotelu, włączył interfejs aplikacji neuromodulacyjnych w umyśle, panel suwaków i przycisków ze starannie opisanymi etykietami i oschłymi, naukowymi nazwami. A potem podniósł dawkę opiatów, nacisnął guzik i poczuł, jak specyfik rozlewa mu się w mózgu. Był kleisty i słodki, nie wspaniałały i ekstatyczny jak wcześniej, ale nawet teraz opiaty odepchnęły strach, zdjęły ciężar, zepchnęły niepokój i lęk na tyle daleko, że Martina przestał obchodzić prezydent i jego zapowiedź oraz cała reszta.

Samochód dowiózł go jak we śnie do parku. Drzewa i budynki za oknem rozplywały się niczym surrealistyczna melasa. W żyłach Holtzmann krew pulsowała powoli. Nagle Martin nakazał, żeby samochód zaparkował i przyciemnił szyby. Gdzieś z Karaibów, jak słyszał w radiu, tropikalny sztorm nazywany Zoe uderzył w Kubę i zniszczył zabudowania oraz zalał pola. Zginęły setki ludzi. Tutaj, w parku, za przyciemnionymi szybami samochodu, był piękny, słoneczny dzień. Myśli i wspomnienia powróciły, gdy fala opiatów osłabła. Za młodu Holtzmann i Anne przychodzili do Montrose Park. Przyprawiali tutaj chłopców, żeby pochlapali się w stawie. Martin miał z tych czasów pomieszane, radosne wspomnienia. Gorąco i tłumy rodziców z dziećmi. Zimna woda w upalny dzień. I hot dogi z pobliskiego baru.

Z miejsca, gdzie się zatrzymał, mógł dostrzec sadzawkę, nad którą wraz z Anne przyprawiali chłopców. Matki z dziećmi i nieliczne nastolatki chlapały się tam nawet teraz. W samochodzie Holtzmann zamknął się jak w prywatnym kokonie.

Pozostał tak zamknięty godzinami. Co jakiś czas, gdy opiaty przestawały działać i pod stopami znowu otwierała mu się przepaść, zaczynał panikować, oddech i serce przyśpieszały, a w żołądku wzbierały torsje, włączał kolejną dawkę, żeby to wszystko odepchnąć. Choć dawki były ogromne, nie niosły przyjemności ani szczęścia. Wyrabiał sobie odporność. W najlepszym przypadku dawka sprawiała, że Holtzmann mniej się przejmował, mniej go obchodziło, że jego życie zredukowało się tylko do tego, do wyboru między więzieniem a działaniem, które przypominało Holocaust.

Jest jeszcze jeden sposób, pomyślał. Mogę zakończyć życie.

Odepchnął ten pomysł dawką opiatów większą niż poprzednia.

Telefon zabuczał, potem znowu i znowu. Rozmowy z biura, wideowiadomości, wiadomości tekstowe. Holtzmann nie odpowiedział na żadną, nie sprawdził nawet wiadomości, ani w telefonie, ani na panelu.

Zmierzchało. Nastolatki, które uwolniły się z więzień dla niepoznaki nazywanych szkołami, dołączyły do matek i dzieci w stawie. Holtzmann był głodny. Musiał się załatwić. Powinien wracać do domu. Kusiło go, żeby zostać na zawsze w parku, po prostu leżeć w samochodzie i przyjmować kolejne dawki opiatów, aż neurony mu od tego zwiędną albo przypadkiem się zabije.

Ale coś innego przeważyło. Zapewne przyzwyczajenie. Resztki godności. Zmusił się do podania sobie noradrenaliny, wyprostował się i pokuśtykał o lasce do toalet przy stawie. Dzieci i rodzice przyglądali się, gdy przechodził. Jedna z matek opiekuńczo przytuliła dziecko. Holtzmann miał mglistą świadomość, że zapewne wygląda strasznie, ale mało go to obchodziło.

Załatwił się w kabinie, która cuchnęła chlorem, po czym wrócił o lasce do samochodu. Nakazał zabrać się do domu, po drodze starając się oczyścić umysł kolejną dawką noradrenaliny, acetylocholiną i dodatkowo dopaminą. Mieszał w mózgu substancje neurochemiczne jak czarownica eliksiry. W głębi duszy wiedział, że długo tak nie pociągnie, że wkrótce zajdzie za daleko, do przedawkowania opiatów, syndromu serotoninowego, śmiertelnego udaru lub innej katastrofalnej neurochemicznej zapaści.

Pomimo tego majstrowania jego mózg pracował. Do domu Holtzmannowi udało się dotrzeć w jakim takim stanie. Mógł wyjaśnić ten stan zmęczeniem po długim dniu. Zapewne. Ale przede wszystkim nie mógł powiedzieć Anne, gdzie był i dlaczego.

Przekuśtykał przez drzwi. Anne była już w domu, na kolanach trzymała pliki dokumentów. Podniosła głowę.

- Martin!

Holtzmann uśmiechnął się, a wtedy z ekranu dobiegły strzały. Martin podniósł wzrok

w porę, aby zobaczyć nagranie ze swojego koszmaru - dwóch agentów służb specjalnych rzuciło się na Steve'a Traversa. Martin złapał oddech, odruchowo wyczekując na chwilę, gdy ekran eksploduje chaosem, a wybuch wyrzuci Holtzmanna w powietrze i zabije Joe Durana stojącego o cal obok.

Ale ekran pociemniał. Anne go wyłączyła.

- Przepraszam, Martinie - szepnęła. - Nie chciałam, żebyś znowu to oglądał.

Wstała i objęła męża, poczuł jej pocałunek na policzku.

Holtzmann zamarł, przez ciało przepłynęła mu fala adrenaliny.

Anne zmarszczyła brwi.

- Wiesz, co mnie najbardziej denerwuje? - zapytała.

Holtzmann pokręcił głową, ale myślami wrócił do tamtej niekończącej się chwili sprzed pół roku.

Agent wyciągał broń, wyciągał, wyciągał i strzelał, strzelał. Ludzkie pociski przygniotły strzelca, a Holtzmann odwrócił się, szukając prezydenta. Joe Duran krzychał mu do ucha: „Skąd wiedziałeś? Skąd wiedziałeś??”.

Anne coś powiedziała.

- Stockton przegrywał, dopóki FWP nie spróbowało go zabić. A teraz wygra dzięki próbie zamachu. Do tego w Chicago. - Pokręciła głową. - Żeby przynajmniej strzały były celne.

Holtzmann wyrwał się z uścisku ogarnięty paniką.

- Nie mów tak, Anne! Nigdy tak nie mów!

Obserwowano go. Obcy w samochodzie. Nakamura unoszący rękę do ostatecznego ciosu...

Anne popatrzyła na niego, jakby stracił rozum.

- To był żart, Martinie! W tym kraju można jeszcze żartować!

- Proszę - westchnął. - Proszę, nigdy tak nie mów.

Położyli się spać po przeciwnych stronach łóżka. Anne wydawała się rozgniewana, oburzona zachowaniem męża. Zasnęła bez zwykłego „kocham cię”.

Holtzmann leżał na plecach. Był bliski czegoś. Rozwiązania, które torowało sobie drogę przez jego umysł. Prawie na to wpadł tamtej nocy, gdy Nakamura go zaskoczył, ale potem Holtzmann coś rozproszyło i zapomniał. Przez głowę przemknęły mu urywki wspomnień i rozmów.

Mężczyzna ze służb specjalnych wyciągnął broń. Wyciągnął i strzelił, strzelił. Ludzkie pociski przygniotły strzelca. Broń wypadła mu z ręki.

Anne mówiła do niego:

- Żeby przynajmniej strzały były celne.

Zaraz, zaraz. To nie miało sensu. Travers spudłował, ponieważ inni agenci służb specjalnych uderzyli, zanim zdążył wystrzelić. Nie pozwolili mu wymierzyć. Albo Travers drgnął, gdy się zbliżyli. Dlatego spudłował.

Ale w koszmarach Travers najpierw strzelał, a potem dopiero dopadali go agenci. W koszmarach Holtzmann strzelec ani drgnął.

Nagle się obudził. Nie czuł nabuzowania po opiatkach, nie odczuwał niepokoju lub objawów odstawienia. Żołądek mu się ścisnął, ale myśli miał jasne.

Holtzmann otworzył okno w umyśle, przejrzał pliki systemowe. Zachował wspomnienia tamtego poranka. Zarchiwizował je. Tutaj. To właśnie ten folder. I te pliki.

Odtworzył wspomnienia. Ogarnęły go doznania. Cofnął się do tego upalnego dnia w lipcu. Z czoła spływał mu pot. Odpłynął myślami, gdy prezydent głądził. Holtzmann chciał wrzasnąć na dawnego siebie, na swoją młodszą wersję, żeby się ocknęła, wykrzyczała, co się zdarzy, ale cofanie się w czasie nie było możliwe, przeszłość pozostawała tylko do odczytu.

Przesunął suwak, przewinął na przyspieszeniu swoje wspomnienie. Zaszifrowane wiadomości radiowe. Odwrócił głowę. Dostrzegł Traversa, wtedy jeszcze jednego bezimiennego człowieka ze służb specjalnych, i ogarnęło go straszne przeczucie. We wspomnieniach zerwał się na równe nogi. Serce mu waliło, zarówno wtedy, jak i teraz.

Tamten Martin krzyknął właśnie, że mężczyzna ma broń. Holtzmann zwolnił odtwarzanie i zobaczył, jak Travers płynnym, zwolnionym ruchem wyciągnął wielki pistolet spod marynarki, twarz miał beznamietną. Broń zatoczyła łuk i wskoczyła w dłoń, doskonale wyważona, pewna i nieruchoma. Twarz strzelca również była nieruchoma przez ułamek sekundy. A potem lufa rozbłysła i huk wypełnił uszy Holtzmann. Broń podskoczyła, opadła płynnie na pozycję i drugi strzał odbił się hukiem w uszach Martina. I dopiero wtedy dwie rozmazane postacie rzuciły się na Traversa, zbiły go z nóg. Przez cały czas wyraz twarzy mu się nie zmienił.

Serce Holtzmann łomotało. Travers strzelał spokojnie i z opanowaniem. Wystrzelił, zanim został uderzony. A wyraz jego twarzy nie zdradził ani razu choćby najdrobniejszego zawahania. I czemu miałby zdradzać? Przecież ten człowiek został zmieniony w robota przez Nexusa. Jego ramieniem sterował program, a nie ludzkie odruchy. Jego celność kontrolowało oprogramowanie.

Więc dlaczego Travers chybił?

Odpowiedź przyszła ze wspomnieniem słów Nakamury: „Żeby znaleźć przyczynę zdarzeń, trzeba sobie zadać pytanie, kto na tym najwięcej zyskał?”.

Holtzmann poczuł rękę na piersi. Anne nim potrząsała.

- Martin, Martin. Krzyczałeś. Dobrze się czujesz? Kolejny koszmar?

Holtzmann uchylił powieki, żeby spojrzeć na żonę. I dopiero teraz ogarnął go przemożny strach, nie tylko o siebie, lecz także o nią.

- Koszmar - zapewnił. - Tylko koszmar.

Anne Holtzmann obróciła się na drugi bok. Była zaniepokojona. Co się działo z Martinem? Dlaczego zachowywał się tak dziwnie?

Leżała zamyślona, ale nie umiała znaleźć odpowiedzi na te pytania. Usłyszała, że oddech Martina zwolnił, gdy mąż ponownie zapadł w sen. Wtedy ona także zasnęła.

32

Lęk przed rozłąką

Sobota, 27 października

Sam przyglądała się, jak dwa pojazdy z Fundacji Mira sunęły po krętej drodze do miejsca, które od trzech miesięcy uważała za swój dom. Dzieci wokół czuły niepokój, smutek i strach przed rozstaniem z Sam, niepewne przyszłości, ale ucieszone, że Jake wyruszy z nimi.

Sam uśmiechnęła się, postarała się przekazać spokój i pewność. To będzie wspianała nowa przygoda. Poznają nowych przyjaciół. Znajdą większy dom. Jake będzie z nimi. A Sam dołączy niedługo.

Ale w głębi serca Sam miała tylko poczucie bezdennej straty.

Jake ujął ją za rękę, uścisnął, wdzięczność i tęsknota przepłynęła przez ich połączenie. Sam również ścisnęła mu dłoń, ciesząc się z tego kontaktu.

Khun Mae i jej dwie pomocnice stały obok w milczeniu. Sam zastanawiała się, co myślały. Czy odczuwały smutek, że ich podopieczni odchodzą? Czy ulgę? Ich twarze przypominały maski. Tu nie spłynie ani jedna łza.

Pojazdy minęły otwartą bramę. Potrzebne były dwa - van dość duży, żeby pomieścić wszystkie dzieci i zadaszony dżip dla reszty.

Wyszkolone oko Sam dostrzegło ukryte szczegóły. Sposób, w jaki grube szyby załamywały światło bardziej niż inne. Charakterystyczny wzór na zużytych oponach. Mocne karoserie. To były opancerzone pojazdy, przygotowane tak, żeby bez wzbudzania podejrzeń wtapiać się w ruch uliczny, ale także wytrzymać ostrzał małej armii. Przyjąć ogień i nie zwolnić.

Są ostrożni, pomyślała Sam. Czy mogę ich za to winić?

Pojazdy się zatrzymały i czworo pracowników fundacji wysiadło. Dwóch mężczyzn z dżipa, kobieta i mężczyzna z vana. Kobieta poruszała się jak modelka. Mężczyźni - jak żołnierze. Z umysłów całej czwórki emanował Nexus.

Sam stała jak sparaliżowana, gdy tych czworo pakowało bagaże dzieci do ciężarówki, ogłuszona zazdrością, poczuciem straty i lękiem. Khun Mae i jeden z mężczyzn weszli do domu. Sam dostrzegła, że pozostali dwaj jej się przyglądają. Zmusiła się do uśmiechu, do radosnych myśli, po czym podeszła, aby uściskać dzieci na pożegnanie, po raz ostatni pocałować Jake'a...

Nadal ją obserwowali. Jeden z mężczyzn odszedł na stronę, pochylił się nad tyłem półciężarówki, ale zdradził go język ciała. Nadal przyglądał się Sam. Zapewne ukrywała swój strach i smutek gorzej, niż sądziła.

Ale ten mężczyzna był taki spięty... Obaj byli... Jakby...

Sarai rzuciła się w ramiona Sam, a Sam przytuliła ją mocno, pocałowała w czoło, zapewniła dziewczynkę, że ją kocha. Potem pocałowała i wyściskała każde z dzieci, zanim

weszły do samochodu i zajęły fotele.

- Panda! - zawołał Kit, a Sam wyczuła to również w swoim umyśle. Jego ukochanej pandy nie było na stosie zabawek w bagażniku vana.

Jake już się odwrócił, ale Sam odezwała się pierwsza:

- Przyniosę! - zapewniła, ucieszona, że może się na coś przydać.

Gdy się odwracała, wyczuła, że mężczyźni napinają się jeszcze bardziej. Może martwili się, że Sam zrobi scenę. Ale przecież nie zamierzała. Wykorzystała czas. A wkrótce dołączy do swojej nowej rodziny.

Sam weszła do domu i skierowała się do pokoju Kita i czterech pozostałych chłopców. Oddaliła się na tyle, że nie czuła już umysłów dzieci, tylko myśli jednego z mężczyzn. A i on znajdował się dość daleko i wątpliwe, czy mógł wyczuć Sam. Taka prywatność stanowiła prawdziwą ulgę.

Nie znalazła pandy na żadnym z łóżek chłopców ani na podłodze ich pokoju. Pochyliła się, żeby zajrzeć pod posłania. No i proszę - panda leżała pod łóżkiem Kita. Sam sięgnęła po maskotkę, po czym wstała, żeby wyjść.

Wtedy usłyszała głosy. Khun Mae i mężczyzna z Fundacji Mira, którego Sam nie poznała. Ciche. Jakby konspiracyjne szepty. Dlaczego?

Podeszła do drzwi, ostrożnie, skrywając Nexusa, którego przełączyła na tryb odbioru, po czym zamknęła oczy i pozwoliła, żeby jej nadludzki słuch spełnił swoje zadanie.

Spiskowcy mówili po tajsku. Sam słyszała urywki:

- Dziesięć tysięcy bahtów... W jedzeniu Amerykanki... będzie nieprzytomna... ktoś ją zabierze.

Co?

Sam wycofała się z pokoju na korytarz. Tamci znajdowali się po drugiej stronie, w kuchni. Światło padało z tyłu, ich sylwetki wyglądały jak cienie.

Zamarli w ciszy, kiedy pojawiła się Sam. Umysł mężczyzny bił na alarm. Postura Khun Mae skrywała strach.

- Khun Mae - powiedziała Sam.

A wtedy mężczyzna wyciągnął broń i zaczął strzelać.

33

Konfrontacja

Sobota, 27 października

Jake uśmiechnął się, pogłaskał włosy dzieci i starał się jak najlepiej przekazać spokój i miłość. Pozostawienie Sunee, pozostawienie Sam, dopiero do niego docierało. Szarpało się w nim - poczucie rozłąki, lęk, że nie zdoła przekonać Miry do Sam, że dziewczyna zniknie i Jake nigdy już jej nie odnajdzie.

W domu coś się działo. Rozległy się stamtąd stłumione trzaski i odgłos upadku, pęknięcia i rozbijania przedmiotów. Jake odwrócił się z troską. Umysły wokół niego emanowały niepokojem. A potem dwóch mężczyzn od Miry wyjęło broń.

W Jake'u eksplodował strach. Dzieci!

Chwycił za ramię jednego ze zbrojnych.

- Tu są dzieci! - wrzasnął.

Mężczyzna odepchnął Jake'a niemal obojętnie, a Jake nagle znalazł się w powietrzu. Stopy straciły kontakt z ziemią i przez chwilę po prostu leciał. A potem uderzył plecami w półciężarówkę i stracił dech w piersi. Świat rozmazał się, a Jake'a ogarnął strach. Dzieci! Zmusił się, żeby popatrzeć. Mężczyzna z wyciągniętą bronią obracał się i rozglądał. Jake klęczał. Zadziałał bez zastanowienia, rzucił się na mężczyznę, oburącz chwycił rękę trzymającą broń, szarpnął.

Broń się przesunęła, a Jake zderzył się czołowo z rozpędzonym pociągiem.

Sam umknęła korytarzem do pokoju chłopców, zanim mężczyzna otworzył ogień. Poczula muśnięcie w boku. Rzuciła się na podłogę, przetoczyła, zerwała na równe nogi, a jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Nie jestem twoim wrogiem! - krzyknęła przez drzwi.

Żadnej odpowiedzi. Umysł mężczyzny zniknął. Przełączył go w tryb odbioru, więc Sam nie mogła go wyczuć.

Cofnęła się do tylnych drzwi, najbliższych strzelcowi, i rozejrzała. Mogła wyskoczyć przez okno, pognać do Jake'a i dzieci. Ale pozostali dwaj przybysze też na pewno byli uzbrojeni. Musiała zdobyć broń. I musiała się dowiedzieć, co tu się, kurwa, dzieje.

Ulepszonym słuchem wychwyciła ciche kroki w korytarzu. Mężczyzna podkładał się, szedł niemal bezszelestnie.

Sam zamknęła oczy, żeby lepiej wykorzystać słuch. Kroki zdradzały mężczyznę. Dotarł prawie do drzwi, przekradając się przy przeciwnej ścianie korytarza, żeby mieć dość miejsca na użycie broni.

Znajdował się naprzeciw Sam, dokładnie za cienką ścianą.

Sam podjęła decyzję. Cofnęła się nieco, rzuciła się i w ostatniej chwili pchnęła ramieniem.

Jej ulepszone mięśnie i kości wzmocnione organicznym włóknem węglowym zderzyły się z cienkim przepierzeniem. Drewno trzasnęło i poddało się, pękając w drzazgi. Tynk eksplodował. A impet uderzenia wypchnął Sam prosto na zaskoczonego żołnierza, który nie zdążył się obrócić i unieść broni.

Uderzenie zważyło go z nóg, choć broń znowu huknęła w ciasnej przestrzeni. Żołnierz kopnięciem odepchnął Sam, zerwał się jak błyskawica, próbując zyskać trochę miejsca, ale ona chwyciła go za kostkę oburącz i użyła jak podpory, żeby unieść mężczyznę i trzasnąć nim o podłogę. Uderzył ciężko, najpierw twarzą, ale odtoczył się jak zawodowiec, szybciej niż zwykły człowiek. Wyraźnie został ulepszony. Nadal trzymał broń i próbował wymierzyć.

Sam przydeptała mu rękę, przeszła nad przeciwnikiem. Próbował walczyć, wymachiwał pięściami z nieludzką szybkością, starając się sięgnąć do jej ud. Była szybsza, uwięziła mu pięść zgiętą nogą, a potem opadła całym ciężarem na pierś napastnika. Choć stracił dech od siły uderzenia, nadal się szarpał, napinał wzmocnione mięśnie. Dlatego Sam wyrwała mu broń z ręki i kolbą zadała cios w skroń. Raz. Drugi. I trzeci. Dopiero wtedy zwiotczał.

Sam wstała, nie puszczając broni. Spokojna. Przynajmniej cztery rundy z głowy. Ruszyła do drzwi frontowych i otworzyła je kopnięciem w porę, by ujrzeć, jak jeden z uzbrojonych mężczyzn posyła kulę w pierś Jake'a.

- NIE! - wrzasnęła Sam. Z oddali usłyszała, że ten, który strzelił do Jake'a, przeklina.

Sam uniosła broń do strzału, ale Sarai weszła na linię ognia, krzycząc. Dziewczynka próbowała wyjść z samochodu, ale kobieta od Miry chwyciła ją za ramię. Drugi z żołnierzy Miry strzelił w stronę domu. Sam przypadła do ziemi i odtoczyła się do pokoju dziewczynek, serce waliło jej w piersi.

Usłyszała chrzęst żwiru na zewnątrz. Podchodzili ją. Sam zmusiła się do wyobrażenia sobie podwórza. Musiała strzelać nisko, mierzyć w nogi żołnierzy, trzymać się z daleka od Sarai i półciężarówki oraz pozostałych dzieci, którym udało się z niej wydostać.

Sam zerknęła przez okno, oszacowała sytuację, aby mieć pewność, że żadne z dzieci

nie znajdzie się na linii ognia.

Wahanie omal nie kosztowało jej życia. Żołnierz Miry, który strzelił do Jake'a, zrobił to znowu i Sam poczuła ostry ból w lewym tricepsie. Odpowiedziała dwoma strzałami, nie zwracając uwagi na ranę. Trafiała go dwa razy w nogę, uziemiła.

A potem przetoczyła się po podłodze w inne miejsce. Ściana dawała dość słabą ochronę.

Słyszała krzyk kobiety:

- Dzieci mają najwyższy priorytet! Musimy je stąd zabrać!

Sam wyrzała znowu. Żołnierze skryli się za półciężarówką, wspinali się do pojazdu przez drzwi od strony pasażera. Jeden usiadł za kierownicą i pojazd ruszył. Sam wycelowała w jego głowę i strzeliła - raz, drugi, trzeci... aż opróżniła magazynek. Pociski uderzyły w pancerną szybę, zmieniły ją w pajęczynę pęknięć, ale nie przebiły. Półciężarówka minęła bramę i skręciła na drogę.

Sam rzuciła się przez okno, tłukąc resztki szkła. Odłamki wbiły się jej w różne miejsca, gdy się przetoczyła i pognęła za pojazdem. Ale van zniknął za bramą, gdy Sam była jeszcze na podwórzu. Wyczuwała ból i strach Jake'a, ale to zignorowała, zmuszając się do szybszego biegu. Lewe ramię szarpało z bólu od rany postrzałowej, ale Sam to również zignorowała. Minęła bramę w pełnym biegu. Dostrzegła samochód dojeżdżający do zakrętu na drodze. Pognęła, wkładając w to wszystkie siły, choć płuca ją paliły. Liczyła, że van zwolni na wirażu.

Półciężarówka wzięła zakręt bez zwalniania, wpadła w kontrolowany poślizg, opony wbiły żwir, ale kierowca wprawnie utrzymał ją na drodze.

Sam rzuciła się ostatkiem sił w długim skoku z wyciągniętymi ramionami. Palcem musnęła zderzak i już myślała, że się udało, że złapała samochód i powstrzyma tych ludzi, kimkolwiek byli, odzyska dzieci.

A potem palec się ześlizgnął i Sam potoczyła się po żwirze, gdy van nikał w oddali.

Leżała, oddychając ciężko. Dżip. Zostawili go.

Zerwała się na równe nogi. Na skórze, na twarzy miała żwir. Dłonie zdarła przy upadku. Tuzin skaleczeń od odłamków szkła z rozbitego okna. Kurz matowił krew na jej włosach, na twarzy, wszędzie. Sam pobiegła z powrotem, szybko, pod górę. Dopadła bramy w chwili, gdy drugi samochód zmienił się w kulę ognia. Fala gorąca uderzyła Sam w twarz.

Kobieta nie przerwała biegu, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Musiała znaleźć gaśnicę, zdusić pożar, rozpocząć pościg.

I wtedy ujrzała Jake'a.

34

Największa korzyść

Sobota, 27 października

Holtzmann zmusił się do zaśnięcia przy użyciu Nexusa. Musiał odpocząć. Musiał oczyścić umysł. Musiał mieć pełny ogłąd sytuacji.

Obudził się zbyt wcześnie, serce waliło mu w piersi. Zegar w umyśle pokazywał 3.16 nad ranem.

Nie mógł uwolnić się od strachu. Nie mógł pozbyć się lęku, że tak bardzo się mylił. Że wszystko źle zrozumiał. I że świat jest jeszcze bardziej mroczny, niż mu się zdawało.

Wyślizgnął się z łóżka najciszej, jak zdołał. Anne wymamrotała coś przez sen. Holtzmann popatrzył na nią z bólem. Jak to się stało, że postanowił ją okłamać? Ukrywać, co się dzieje? Co teraz będzie? Jeżeli się nie mylił... Jeżeli miał rację... Życie Anne również

znalazło się w niebezpieczeństwie.

Obym się mylił, pomodlił się do Boga, w którego nie wierzył już jako nastolatek. Błagam, Panie, niech się mylę.

Poszedł do swojego gabinetu, zamknął drzwi i włączył zabezpieczony terminal. Przesunął palcem po czytniku linii papilarnych, wytrzymał w bezruchu podczas skanu siatkówki, a potem wypowiedział hasło głosowe.

Terminal ożył, na ekranie pojawiło się logo orła i tarczy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a obok atom, podwójna helisa i tarcza ERD - mniejszy znaczek w prawym dolnym rogu.

Holtzmann przeszukał system, aż wszedł do projektu November. Pod nadzorem Holtzmanna stworzył go zespół Coopera. Holtzmann nienawidził się za udział w tym projekcie, ale był to ledwie występki wobec zbrodni, z jakimi teraz miał do czynienia.

Zlekceważył kod źródłowy, rozwinął specyfikację. Tutaj, definicja protokołu radiowego. Przeniósł zrzuty ekranu na panel w swoim umyśle, zmusił swój Nexus OS do zapisania ich w pamięci. I jeszcze jedno. Klucz deszyfrujący. Gdzie go umieszczono? Holtzmann przejrzał opcje konfiguracji. Tutaj. Klucz został ukryty. Holtzmann musiał jeszcze raz wymówić hasło dostępu, a głos tak mu się rwał, że chyba tylko cudem system to zaakceptował. Potem należało jeszcze odpowiedzieć na trzy pytania. Wtedy i dopiero wtedy system ujawnił klucz. Długi ciąg znaków w układzie szesnastkowym, który nie miał dla człowieka żadnego sensu, ale pozwalał na odblokowanie połączenia między węzłem November a kontrolerem November. Holtzmann zrobił zrzut klucza, upewnił się, że został zapisany, po czym się rozłączył.

Serce waliło mu jak młotem. Pocił się. Oddychał płytko. Mylił się. Na pewno się mylił. Musiał się mylić. A jeżeli miał rację?

Marzył o kolejnej dawce opiatów. Marzył, żeby to wszystko znikło. Ale wiedział, że nic z tego. Nie mógł. Sprawa była zbyt ważna. Musiał wiedzieć.

Przyciemnił ekran terminalu, odchylił się w fotelu i przymknął oczy. Wrócił do wspomnień z tego straszego dnia w lipcu. Logi łączności. Zaszyfrowane transmisje, które przypadkiem słyszał.

Zaszyfrowane dane. Na częstotliwości Nexusa. Joe Duran zmarszczył brwi i rozejrzał się w poszukiwaniu źródła dźwięku za plecami.

?RU5L8PP0hLarBNxfoQM23wG6+KTCEBhOIAAQyPPc76+TWhj+X/

Holtzmann wyizolował zaszyfrowane transmisje, otworzył je w aplikacji deszyfrującej i wprowadził prywatny klucz.

Klucz pasował.

Zabójcy nie tylko wykorzystali Nexusa z laboratorium Holtzmann. Wykorzystali również jego kod. Dzięki temu przygotowali tak przemyślany atak, o wiele lepiej zaplanowany niż wszystkie inne akcje FWP sprzed lat. Wykorzystali jego pracę.

Serce wrywało mu się z piersi. Policzki płonęły. Holtzmann pragnął krzyczeć. Albo zapłakać.

Do sprawdzenia została ostatnia rzecz. Wyciągnął definicję protokołu łączności radiowej przed oczy swojego umysłu, pozwolił, żeby zajęła mu połowę pola widzenia od góry, a na odszyfrowane wiadomości zostawił dolną połowę.

Definicja protokołu stanowiła klucz, legendę. Pozwalała zmienić język binarny zaszyfrowanych sygnałów w przekaz, który miał sens.

Poruszał się wolno, ostrożnie. W protokole znajdowała się komenda „pal”, warunki, jakich wymagała. Holtzmann przeszukał zaszyfrowane sygnały, przeglądał, przeglądał... Była tu? A może to tylko błąd? Mógł się mylić?

I wtedy znalazł. Rozkaz, żeby strzelać.

Sprawdził raz jeszcze jego definicję. Funkcja „pal” wymagała dwóch warunków: identyfikatora obiektu i współrzędnych w odniesieniu do tego celu. Holtzmann przetłumaczył to, co widział w kodzie binarnym, na to, co mógł przeczytać.

PAL(<cel 1>, <-0,5, 0, 0>)

Jednak miał rację. Całkowitą rację. Chociaż wolałby się mylić.

Ktoś użył Nexusa z jego laboratorium. Ktoś użył oprogramowania, które stworzył jego zespół. Wykorzystano to do przejęcia kontroli nad Steve'em Traversem, do przemienienia go w robota-zabójcę, wykorzystano do wydania temu robotowi rozkazu, żeby strzelał.

I żeby strzelał pół metra obok celu.

Wykorzystano to, żeby strzelać do prezydenta, ale żeby go nie postrzelić. Żeby chybić.

Przynajmniej strzały powinny były trafić - zabrzmiały słowa Anne w jego pamięci.

Ależ nie. Strzały trafiły tam, gdzie zaplanowano.

Kto zyskał najwięcej? - rozległo się pytanie zadane głosem Nakamury.

Stockton przegrywał, dopóki nie próbowano go zabić - odezwała się Anne. A teraz wygra dzięki próbie zamachu.

Odpowiedź była jasna.

Najwięcej zyskał prezydent.

Ostatnie słowa

Sobota, 27 października

Sam przebiegła podwórze, opadła na kolana u boku Jake'a. Leżał z twarzą w żwirze. Jego umysł nadal tu był, ale tonął w bólu. Czerwona struga rozlewała mu się po plecach. Pod ciałem zbierała się kałuża. W koszuli Jake miał dziurę i w ciele też, w miejscu, z którego kula wyleciała po przebiciu tkanek i kości.

- Jake, Jake. O mój Boże, Jake...

Jęknął boleśnie.

- Sunee... - wydusił słabo. Jego umysł się rozpadał, oszołomiony i słaby od utraty krwi.

Sam ujęła koszulę i jak najostrożniej rozerwała, próbując lepiej przyjrzeć się ranie.

Było źle. Kula przebiła płuca, rozsiała odłamki po klatce piersiowej. Zewsząd płynęła krew. Pocisk musiał uszkodzić główną arterię.

- Sunee... - jęknął Jake. Sięgał do Sam przez umysł, próbował ją poczuć. Sam czuła, jak Jake się rozpada, zanika coraz bardziej.

Zwinęła koszulę i przycisnęła do rany najlepiej, jak się dało. Ale krew płynęła nadal.

Ani lekarza, pomyślała. Ani pojazdu.

- Pozwól mi się dotknąć - jęknął Jake. - Proszę.

- Nie umrzesz - powiedziała mu.

Oczy miał otwarte. Patrzył na Sam. Wiedział, co się stanie.

- Proszę... - powtórzył błagalnie.

Po policzkach Sam płynęły łzy. Szarpnął nią szloch. Skinęła głową.

- Dobrze.

A potem otworzyła się dla niego, najszerszej jak potrafiła, pozwoliła mu zobaczyć, jaka jest naprawdę.

Oczy Jake'a rozszerzyły się, gdy spijał wszelkie informacje, pomieszane obrazy, wspomnienia i doznania. Ponad tym Sam przesłała mu to, co do niego czuła - jej podziw, zaufanie, czułość, to, co mogło być miłością.

Zamknął oczy, a kiedy je otworzył, również były w nich łzy. Kropla krwi z twarzy Sam spadła na jego policzek. Jake zwrócił na nią te wielkie, ciemne, cudowne oczy, zaskoczony, gdy się przekonał, że nie mylił się co do niej.

- Sam... Sam... Odzyskaj je... Odzyskaj dzieci.

Skinęła głową, szlochając. Odzyska. Zrobi to.

Jake zakasłał i z warg spłynęła mu krew. Sam mogła wyczuć jego żal - żałował, że nie pozna przyszłości, że nigdy wcześniej Sam się dla niego nie otworzyła.

- Szkoda, że cię nie znałem - wyszeptał. A jego umysł drżał, zanikał, wahał się na krawędzi niekoherencji w ciemności, jaką Sam czuła wcześniej.

- Znałeś - zapewniła. - Naprawdę mnie znałeś. Naprawdę.

Ale Jake odszedł, zanim słowa spłynęły z jej warg.

Kłęczała przy Jake'u, płacząc. Zamknęła mu oczy. Jej krew i łzy kapały mu na policzki i mieszały się z jego.

Szkoda, że ci tego nie okazałam. Żałuję, że ci nie ufałam. I że nie otworzyłam się dla ciebie.

Przykro mi - przesłała mu. Tak bardzo mi przykro.

Ale nie było nikogo, kto mógłby jej wysłuchać.

Hałas przywrócił Sam do rzeczywistości. Odwróciła się. Żołnierz, którego obezwładniła w domu, był tutaj, o parę jardów, z długą metalową rurką w dłoni. Biegł na Sam, wymachując rurką jak miotacz baseballowy pałką, lecz z nadludzką, śmiercionośną siłą.

Sam zerwała się na równe nogi. Wyciągniętym błyskawicznie lewym przedramieniem zablokowała metal. Ból rozerwał jej zranione strzałem mięśnie, napięte, aby utrzymać rękę w górze. Cały bark jej zdrętwiał przy zderzeniu. Ale Sam znalazła się już blisko, w zasięgu ciosu - i prawą pięścią rozgniotła napastnikowi nos, siła uderzenia odrzuciła mu głowę w tył.

Rurka upadła, potoczyła się po żwirze. Wygięła się o trzydzieści stopni w miejscu, gdzie zderzyła się z ramieniem Sam. Mężczyzna zachwiał się półprzytomnie, cofnął o krok, a potem upadł.

Sam uklękła nad nim i obmacała. W kieszeniach pokonanego znalazła telefon, portfel z gotówką i dokumenty, a także zapasową amunicję.

Załadowała pistolet, wyrzuciła dokumenty, z pewnością fałszywe, a resztę wsunęła do własnych kieszeni.

Mężczyzna ocknął się, gdy kończyła go obszukiwać.

Świetnie.

Przycisnęła lufę broni do jego głowy, o włos od oczu.

- Kim jesteś. Dokąd zabrano dzieci?

Mężczyzna zacisnął zęby, pokręcił głową. Prędzej zginie, niż coś powie.

Sam nie wyczuwała jego umysłu, ale wiedziała, że tam jest, że działał na Nexusie. Napała na jego myśli w sposób, którego nauczył ją Kade, w sposób, w jaki to zrobiła Shu, zmuszając węzły jego Nexusa, żeby odpowiedziały. Mężczyzna wytrzeszczył oczy, spojrzał dziko, ale Sam już go czuła. Rzuciła się umysłem na jego umysł, zmuszając, aby się otworzył, żeby powiedział, gdzie zabrano dzieci.

Przeciwnik się opierał, walczył czystą siłą woli i przerażeniem. Widział broń w dłoni Sam, ale to nie wystarczało.

Wolałaby mieć tylną furtkę Kade'a, wtedy łatwo zmusiłaby umysł swojego przeciwnika do otwarcia, wydania tego, czego potrzebowała. W głębi duszy robiło się jej niedobrze na samą myśl, ale właściwie o to nie dbała. Jej gniew, jej strata, jej strach o dzieci przeważały nad resztą.

Musiała złamać wolę tego człowieka, żeby wydrzeć mu to, czego chciała się dowiedzieć. Strach to za mało. Ale ból może okazać się pomocny.

Wstała, nadal mierząc do powalonego przeciwnika, i kopnęła go w bok. Umysłem mężczyzny targnął ból, zza zaciśniętych zębów wyrwał się jęk, a Sam napała mocniej myślami, żeby ustąpił.

Opierał się.

Kopnęła go znowu i znowu, naciskając coraz mocniej. Mężczyzna starał się ją zablokować, więc Sam złamała mu nadgarstek. I napała mocniej myślami.

Przeciwnik nadal walczył.

Sam rozsunęła mu uda. Mężczyzna wytrzeszczył oczy i próbował się odwrócić, żeby ją powstrzymać, ale Sam z całej siły uderzyła go w jądra. Krzyk wyrwał mu się z ust, zwinął się do pozycji płodowej. Rykoszet jego bólu uderzył w Sam, stłumiony przez upór

zaciskający mu myśli, ale i tak silny. Sam się nie cofnęła. Umysł mężczyzny chwiał się na krawędzi, jego obrona słabła.

Sam opadła na kolana, chwyciła mężczyznę za krótkie włosy, po czym wepchnęła mu lufę w usta. Słyszała trzask łamanych zębów, gdy wpychała broń w gardło. Naparła na niego z całą swoją mentalną siłą i przeciwnik w końcu pękł.

Wtedy to, co wiedział, popłynęło do umysłu Sam. Zobaczyła. Wyspę. Bazę naukową. Te dzieci ukształtowane w coś innego, potwornego, coś postludzkiego. Nowy gatunek, który zapanuje nad światem. A za nimi jeden człowiek, który wykorzysta te przemienione dzieci jako swoje narzędzia...

Wiedza napływała, przerażająca i oszalamiająca. Sam obejrzała wszystko ze szczegółami, szukała każdej informacji, która mogła pomóc odzyskać dzieci.

Broń drgnęła. Sam poczuła to, usłyszała, ale dopiero na koniec dostrzegła, że żołnierz zaciska palce na jej dłoni. Pociągnął za spust.

Przeżył, ale już umierał. Kula rozszarpała mu gardło, roztrzaskała kręgosłup i posłała odłamki kości do mózgu. Umierał po tej prawie dekapitacji. W jego oczach błyszczała groza, odbijała się w myślach. Pan je wyhoduje. Człowiek, który wkrótce będzie miał Sarai, Kita, Malego, Aroona i inne dzieci kochane przez Sam. Człowiek, który zabił Jake'a.

Shiva Prasad.

Sam poczuła, że żołnierz umiera. Ale zobaczyła wystarczająco dużo. Wiedziała, dokąd iść.

I nikt nie zdoła jej powstrzymać.

Bogowie i potwory

Sobota, 27 października

Kiedy wrócili z klubu, Kade zasnął. Wspaniale było coś robić, a przede wszystkim robić postępy. Znajdzie tych drani. Powstrzyma ich.

Obudził się wcześniej, gdy Feng wyszedł przestawić dżipa na parking podziemny, który odkryli na końcu kwartału, na wypadek gdyby przyszło im ewakuować się w pośpiechu.

Jednak potem Kade znów zasnął. Śniła mu się NJ-ka, połączone umysły tancerzy, miliony umysłów tańczących wspólnie, we wspólnym rytmie jej myśli...

Obudził się gwałtownie, bo w jego myślach coś błysnęło alarmująco.

[wysokie prawdopodobieństwo: zgodność Rangan Shankari]

[wysokie prawdopodobieństwo: zgodność Ilya Alexander]

Co? Nadal śnił?

[wysokie prawdopodobieństwo: zgodność Rangan Shankari]

[wysokie prawdopodobieństwo: zgodność Ilya Alexander]

Jeden umysł. Obie informacje pochodziły z tego samego umysłu.

Kade zamrugał, otrząsnął resztki snu. Rangan. Ilya. Jezu Chryste!

Kade kliknął na powiadomienie, otworzył zaszyfrowane połączenie, uruchomił tylną furtkę i wysłał hasło.

A potem był już w środku.

Martin Holtzmann czuł narastającą panikę, ścisnęła go za gardło, odcinając dopływ powietrza. Prezydent zyskiwał najwięcej. To zdanie nieustannie rozbrzmiewało mu w głowie, wypierając wszystkie inne myśli. Oczywiście, że prezydent zyskiwał na tym najwięcej. A ten, kto wyciągnął korzyści, ten to zrobił. Prezydent zaaranżował zamach na siebie. Zabił kilkudziesięciu Amerykanów, żeby zapewnić sobie wygraną w wyborach.

Dobry Boże.

Dobry Boże.

Ziemia pod stopami Holtzmanna otworzyła się, ziejąc przepaścią. Nic tam już nie było, żadnej pewności, niczego, na czym można by się oprzeć. A on zaraz wpadnie w tę przepaść i będzie spadał i spadał bez końca. Ten koszmar pochłonie jego, pochłonie Anne, pochłonie jego synów, wszystkich i wszystko, co kiedykolwiek kochał.

Bo teraz wiedział coś, czego wiedzieć nie powinien. Bo skoro John Stockton zaaranżował zamach na samego siebie, zabił wielu swoich popleczników, pracowników federalnych, trzech agentów własnej ochrony...

...to nie zawaha się ani chwili przed zabiciem Martina Holtzmanna i wszystkich innych, którzy mogliby poznać ten sekret.

Musiał pozbyć się tej wiedzy z głowy. Musiał zapomnieć. Musiał odegnąć wszelkie podejrzenia. Uciszyć wyrzuty sumienia odnośnie wrywania Nexusa z umysłów dzieci. I sam musiał pozbyć się Nexusa ze swojego umysłu na zawsze. Musiał zapomnieć, że kiedykolwiek próbował.

Sięgnął umysłem do domowej sieci, po raz pierwszy od tygodni, wysłał myśli na fora poświęcone Nexusowi i zaczął szukać. Coś musiało tam być. Coś, co sprawi, że Holtzmann zapomni. Co mu wymaże sumienie. Co cofnie zegar do chwili, zanim zażył pierwszą dawkę, zanim posmakował tego zakazanego owocu.

Szukał, szukał i szukał, ale trafiał na jedną ślepą uliczkę za drugą. A przecież gdzieś

tam musiało być to, czego potrzebował. Musiało.

Wciąż szukał, gorączkowo, desperacko, gdy umysł wielki niczym umysł boga zstąpił wśród gromów do umysłu Holtzmanna. Potworny umysł, imponujący, przepełniony nieopisanym gniewem i żądzą mordu. Zmiażdżył wolę Holtzmanna w ułamku sekund. A mentalna pięść zamknęła się na sercu Holtzmanna i poczęła je zgniatać.

Kade chłonał wspomnienia o Ranganie i Ilyi zawarte w tym umyśle. Przewijały się przed jego oczyma jak amatorsko zmontowany film.

Rangan torturowany. Skuty, z kapturem na głowie. Rażony prądem. Duszony ręcznikiem i wodą. Jego ciało wyprężało się konwulsyjnie, próbując zerwać więzy.

I Ilya.

Ilya z twarzą bladą jak śnieg, zamkniętymi oczami, nieruchoma.

Zimna. Bez życia.

Martwa.

To było jak cios. Otworzył oczy, leżał na boku, na podłodze w pokoju w Sajgonie. Szklanka, którą zwykle stawiał przy łóżku, odcoczyła się teraz, rozlewając kałuże wody. Nie mógł oddychać. Martwa! Martwa! Martwa!

I ta twarz. Twarz w lustrze. Znał ją. Wiedział już, w czyim jest umyśle.

Czuł, jak gniew przebija się przez szok i ból. Gniew, który czuł wtedy w Tajlandii, który czuł po piekle w Bangkoku, czuł za każdym razem, gdy dowiadywał się, że ktoś kradnie i gwałci, używając Nexusa, gniew, który niemal rozerwał go od środka.

Kade narzucił swoją wolę załosnemu umysłowi Martina Holtzmanna. Ten człowiek teraz należał do niego. I, na Boga, zasługiwał na śmierć.

Holtzmann chciał krzyknąć, gdy poczuł obcy umysł. Ale nie wydał najmniejszego dźwięku. Coś przejęło kontrolę nad jego kończynami, podniosło go, a potem cisnęło na ziemię. Wola tak niesamowicie, nieludzko silna przeorała go całego, powaliła cierpieniem.

ZABIŁĘŚ JĄ!

Jego myśli wypełniły obrazy przedstawiające Ilyę Alexander. Zdjęcia z autopsji. Ilya żywa, ostatni raz, gdy widział ją kilka tygodni wcześniej.

Nie! - próbował krzyżeć. Nie! To nie byłem ja!

Ale z jego ust nie padło ani jedno słowo. Czuł, jak ta niewidzialna pięść zaciska się na jego sercu jeszcze mocniej. Nie mógł oddychać. Próbował z tym walczyć, próbował wypchnąć intruza z umysłu, ale tamten był silniejszy, niż Holtzmann sądził, że to w ogóle możliwe.

NIE KŁAM!

Nie kłamię! - szamotał się Holtzmann. Błagam, nie zabiłem jej, nie chciałem, żeby umarła!

Przywołał wspomnienie, kiedy stał przed lustrem weneckim, obserwując dzieci, i otrzymał wiadomość o śmierci Ilyi, wspomnienie swojego gniewu i frustracji z powodu tej straty.

Serce waliło mu ze strachu.

Niewidzialna dłoń zamknęła się w nim. Klatkę piersiową Holtzmanną przeszył ból i nagle bicie ucichło. Dobry Boże.

Zatrzymał mu serce!

Nie. Błagam. Nie w ten sposób!

Rangan! - pomyślał rozpaczliwie. Dzieci! Oni wciąż żyją!

Świat tracił wyrazistość, stawał się ciemniejszy, tlen nie docierał już do mózgu.

Nie. Błagam.

Błagam...

I potem nic już nie było.

Kade rozdarł umysł Holtzmanna w ataku ślepej furii. Przejął kontrolę nad ciałem tamtego, zrzucił go z krzesła, zmiażdżył jego wolę dzięki możliwościom, jakie dawały mu tylne drzwi.

Ten człowiek był z ERD. Przewodził organizacji, która zwalczała Nexusa. Ludziom, którzy go szantażowali, zmienili Naronga Shinawatrę w robota-zabójcę, co doprowadziło do jego śmierci, do śmierci Mai, Lalany, do innych śmierci w płomieniach tego piekła w Bangkoku! Przewodził ludziom, którzy wysłali Rangana, Ilyę i wielu, wielu jego przyjaciół do więzienia. Zabili Watsa, zabili Ilyę!

Chwycił myślami pień mózgu Holtzmanna. Czuł, że ma jego życie w swojej mocy, czuł swoją wyższość, nieskończoną kontrolę, dominował nad tym żalonym stworzeniem. To było jak narkotyk, przepełniało go przyjemnością.

Ten człowiek zasługiwał na śmierć.

Holtzmann szarpał się, błagał, szukał wymówek.

Kade zignorował to wszystko. Ścisnął myślą pień mózgu Holtzmanna i zatrzymał jego serce. Zalało go cudowne poczucie władzy.

Sędzia, ława przysięgłych i kat - szepnęła Ilya w jego głowie.

Błagam... - prosił konający Holtzmann. Rangan! Dzieci! Oni wciąż żyją!

To imię było dla Kade'a niczym kubeł zimnej wody. Rangan! Rangan wciąż żył. A Holtzmann był jedynym, który mógł doprowadzić Kade'a do przyjaciela!

KURWA!

Kade uwolnił pień mózgu, przywrócił jego normalne działanie i zaczął szukać pulsu.

Nic. Mózg Holtzmann'a działał chaotycznie, przeciążony nadmiarem impulsów, które wysyłał do niego Kade.

Kade wzmacnił sygnał z własnego pnia mózgu do Holtzmann'a, tak by był czterokrotnie silniejszy.

Połączenia neurologiczne zaczęły się odnawiać, ale zachowanie pnia mózgu po ataku Kade'a wciąż było chaotyczne. Serce Holtzmann'a stanęło.

Kade spróbował znowu, wzmacnił sygnał wejściowy dziesięciokrotnie, zamienił wszystkie neurologiczne dane wejściowe wchodzące do połączonych Nexusem neuronów w pniu mózgu Holtzmann'a z sygnałami z własnego mózgu.

Jednak serce wciąż nie zaczynało bić.

Spróbował raz jeszcze, mocniej, nadpisał aktywność neurologiczną mózgu Holtzmann'a danymi z własnego, zmuszając komórki i nerwy tamtego, by zaczęły zachowywać się normalnie, krok po kroku.

Bum...

Bum...

Serce Holtzmann'a podjęło rytm niechętnie, po czym znów próbowało stanąć, ale Kade mu nie pozwolił, wciąż naciskał, zmuszał mózg do pracy.

Bum...

Bum...

Bum-bum. Bum-bum.

I serce Martina Holtzmanna znów zaczęło bić.

Kade wycofał się z powrotem do swego ciała i podniósł się na łóżku do pozycji siedzącej.

Trząśł się. Musiał wziąć się w garść. Holtzmann był chwilowo nieprzytomny. Kade sięgnął do ośrodków snu naukowca i upewnił się, że ten się nie obudzi, a Kade zyska chwilę, by pomyśleć.

Och, Kade - odezwał się głos Ilyi. Prawie go zabiłeś.

Wciąż żyje - odpowiedział Kade.

Miałeś szczęście - wytknęła mu. Mógł umrzeć.

Zabił cię! - krzyknął Kade do ducha w swojej głowie.

Nie zrobił tego. Pokazał ci. Nie chciał mojej śmierci.

Jest odpowiedzialny - odpalił Kade ze złością. Jest jednym z nich. Twoja krew jest na jego rękach. Krew Watsa. I wielu innych.

A ty o tym decydujesz? - spytała. Jesteś teraz sędzią? Jesteś mądrzejszy od całej ludzkości, Kade? Jesteś?

Tak. Jeśli muszę.

Wtedy w jego myślach pojawił się Ananda. Wspomnienie o mnichu.

„Kiedy cierpisz” - powiedział mu Ananda. „Kiedy jesteś wściekły. Kiedy płaczesz. Gdy pożądasz. Wtedy właśnie musisz wyciszyć swój umysł”.

Cholera! - wściekł się Kade. Uderzył zdrową pięścią w podłogę.

Ale Ananda miał rację. Musiał ochłonąć. Musiał myśleć. Musiał skorzystać z tej szansy, aby uwolnić Rangana.

Zamknął oczy, złożył ręce na kolanach, wziął kilka uspokajających oddechów anapany, a potem jeszcze kilka, i kilka kolejnych.

Oddychaj.

Oddychaj.

Otworzył oczy kilka minut później. Gniew wciąż tam był. Tak samo jak poczucie straty. Ale teraz był już spokojniejszy, mógł myśleć.

Oddychaj.

Holtzmann był najlepszą szansą na uwolnienie Rangana. Kade nie mógł tego zmarnować.

Sprawdził czas. Na Wschodnim Wybrzeżu była 3.30. Miał trochę czasu, zanim Holtzmann zacznie ktoś szukać.

Miał czas, czas wziąć narzędzia zabrane tym wszystkim potworom, których powstrzymał, i użyć ich do swojego celu, do oswobodzenia Rangana.

Kade wrócił do umysłu Holtzmann, przygotował narzędzia przymusu, które do tej pory starał się wyeliminować za wszelką cenę, i zaczął zmieniać tego człowieka w niewolnika, niewolnika posłusznego woli Kade'a.

Holtzmann budził się powoli. Siedział w fotelu biurowym. Wszystko wydawało się w porządku.

Żyję, uświadomił sobie.

4.19, powiedział mu zegar. Minęło kilka godzin.

Potem to poczuł. Węzeł w żołądku. Ból w klatce piersiowej. Obezwładniający przymus. Musi uwolnić Rangana Shankariego.

37

Przygotowania

Sobota, 27 października

Breece obudził się przed świtem z Avą w ramionach. Kochali się poprzedniej nocy z cichą desperacją, wpatrując się w siebie z nieopisaną intensywnością. Połączeni w niesamowity sposób mimo braku Nexusa.

Tulił ją przez chwilę, wsłuchując się w jej oddech. A potem był już czas.

Zebrali się w kuchni. Ava powiedziała im o mule i o planowanym przekazaniu. Hiroshi przejrzał zmiany w kodzie Nexusa, którego będą używać. Nigeryjczyk rzucił kilka słów o broni.

I Breece raz jeszcze omówił z nimi cele.

Daniel Chandler, były senator demokratów z Karoliny Południowej, twórca ustawy, która umożliwiła powstanie ERD, zakazanie całych gałęzi nauki i ulepszania ludzkiego ciała. Teraz wrócił do swojego rodzinnego domu w Houston. A gdy już się przeniósł, rozpoczął kampanię, aby zostać pierwszym demokratycznym gubernatorem Teksasu od pokoleń. I

wygrywał. Chandler powoływał się na wydarzenia z ostatnich kilku miesięcy, a następnie na prawo, które nosiło jego nazwisko - ustawę Chandlera - pokazując w ten sposób, że zawsze był na pierwszej linii walki z technologiami tworzącymi transludzi i tymi, którzy ich używali.

Za tydzień od dnia dzisiejszego, w sobotę 3 listopada, na trzy dni przed wyborami, Chandler pojawi się na specjalnym śniadaniu modlitewnym w Houston, transmitowanym na żywo w całym kraju.

Jego gospodarzem będzie wielbny Josiah Shepherd, człowiek, który powiedział ludziom w tym kraju, że Bóg wynagrodzi tych, którzy wyślą genetyków i specjalistów od problemów z płodnością do piekła. Człowiek, którego wyznawcy zamordowali Breece'owi rodziców.

Cóż, jeśli piekło istniało, to Breece zamierzał tam wysłać obu mężczyzn pierwszą klasą.

Odbieranie życia było poważną sprawą. Każda osoba, którą zabijali, mogłaby w zasadzie żyć wiecznie. Breece nie chciał traktować tego lekko.

- Żony? - spytał.

- Wybrały swoich mężów - odpowiedziała Ava. - Winne.

- Zwolennicy? - kontynuował Breece.

- Materialnie wspierają wojnę Chandlera z nauką - powiedział Hiroshi. - Są winni.

- Ochrona?

- To żołnierze - tym razem odezwał się Nigeryjczyk. - Wybierają stronę, po której walczą.

- Prasa?

Tym razem odpowiedziała mu cisza.

- Jakie jest ryzyko? - chciała wiedzieć Ava.

- Jak daleko będą od sceny? - zapytał Hiroshi.

Rozważali to przez chwilę, zastanawiając się nad zmniejszeniem siły rażenia broni. W końcu zgodzili się na taką, która z łatwością wyeliminuje cele, ale zminimalizuje ryzyko dla przedstawicieli prasy.

Wreszcie Breece doszedł do ostatniego punktu.

- Dzieci?

- Miejsce kosztuje pięć tysięcy dolarów - przypomniał mu Hiroshi. - Nie powinno być tam żadnych dzieci.

- Nie można tego wykluczyć - stwierdził Breece.

- Są wychowywane przez wroga - wtrącił Nigeryjczyk. - Wyrastają na wrogów.

- Nie wszystkie - upierał się Breece.

- To dopuszczalne ryzyko - ucięła Ava. - Zabili wystarczająco wiele naszych.

Breece spojrział na nią, a ona wytrzymała to spojrzenie z podniesionym czołem. Myślał o traumie, jaką przeszła, o koszmarach, które wciąż budziły ją nocami. Koszmarach, w których trzymała w ramionach własne martwe dziecko.

Skinął głową.

- Dopuszczalne ryzyko.

Zebrali się w garażu, a następnie spędzili dwie godziny na wzmacnianiu osłony.

Rozwinęli panele z siatki o drobnych oczkach, zamocowali je na każdej powierzchni, tak by ściśle przylegały do siebie, przetestowali, znaleźli luki, usunęli i testowali od nowa, dopóki nie mieli pewności, że wszystko jest jak należy. Na końcu uzyskali klatkę Faradaya, z której nie wydostanie się żaden sygnał elektromagnetyczny. Siatkę na podłodze przykryli grubym dywanem i byli gotowi przejść do następnego etapu.

Ten prowadziła Ava za kierownicą nieoznakowanego samochodu z pożyczonymi tablicami. Breece i Nigeryjczyk jechali za nią, dyskretnie, trzy samochody dalej, gotowi do udzielenia wsparcia w razie potrzeby.

Zatrzymali się na zewnętrznym parkingu po wschodniej stronie galerii handlowej Houston Sands, a potem czekali, aż ich cel przybędzie na cotygodniową wizytę u fryzjera.

Biały cadillac pojawił się osiemnaście minut później. Zaparkował i wysiadła z niego Miranda, żona wielbnego Shepherd.

Ava zdążyła już wyjść ze swojego samochodu, jej ciemne włosy rozwiewał wiatr, miała na sobie białą bluzkę i czarne spodnie, a na twarzy ogromny teksański uśmiech.

Miranda Shepherd zamknęła za sobą drzwi wozu i ruszyła w kierunku centrum. Breece obserwował, jak Ava woła panią Shepherd, jak tamta zatrzymuje się i odwraca, jak Ava skraca dystans między nimi, wciąż uśmiechając się szeroko.

Pani Shepherd posłuchała, uśmiechnęła się i skinęła głową. Odwróciła się, wskazując w kierunku autostrady, gestykulowała obiema rękami, udzielając wskazówek, które miały pomóc młodej damie odnaleźć drogę.

W tym samym czasie RCSK ulatniał się z bluzki Avy prosto do płuc, a stamtąd do mózgu Mirandy Shepherd. Wystarczyły sekundy, a kobieta kołysała się lekko, nieco oszołomiona i wyjątkowo podatna na sugestie.

Ava wzięła ją pod ramię, a mikrostrzykawka na kciuku wpompowała kolejną dawkę RCSK do krwiobiegu żony pastora. Kobieta sprawiała wrażenie zagubionej, w szklistych oczach widniała tylko pustka. Ava uśmiechnęła się, szepnęła kilka uspokajających słów i

poprowadziła oszołomioną kobietę do swojego wozu, po czym obie odjechały.

Nigeryjczyk odpalił silnik swojego samochodu, podjechał do miejsca, gdzie parkowała wcześniej Ava, a Breece otworzył drzwi wozu i dłonią w rękawiczce podniósł z ziemi telefon pani Shepherd.

Gdy już ruszyli, Breece założył na mikrofon telefonu modulator głosu, przygotowany na podstawie wielogodzinnych nagrań, i wybrał numer salonu.

- Betsy? Tu Miranda - powiedział głosem pani Shepherd. - Przepraszam, kochana, ale muszę dzisiaj odwołać wizytę. Nie, nie przyjdę w przyszłym tygodniu, mamy to śniadanie. Za dwa tygodnie, dobrze? Świetnie, dziękuję, pa, Betsy.

Wyłączył telefon i włożył do torby ekranującej.

A potem pojechali z Nigeryjczykiem w stronę wyjazdu z garażu.

38

Wydobywanie informacji

Sobota, 27 października

Szanghaj cierpiał. Wybuchły zamieszki. Rabusie rozbijali okna w sklepach i centrach handlowych. Ludzie zabijali się na ulicach. Gangi bezkarnie siały postrach. Lordowie podziemia siłą wymuszali posłuszeństwo w odizolowanych dzielnicach. Połowa miasta nadal nie miała zasilania. Tunele metra wciąż były zalane. Ulicami nadal spływały ścieki. Opuszczone budynki padały pastwą pożarów. Patrole żołnierzy strzelały do szabrowników i buntowników, gdy tylko na jakichś się natknęły.

Gdzie indziej Chiny się zmieniały, twardogłowi doszli do władzy. Chen śmiał się z siebie gorzko. To jego córka to zrobiła, ona podarowała im tę okazję. Jego potworna córka,

starając się ratować matkę, skazała ją na zagładę.

I gorzej. O wiele gorzej. Wszelkie projekty badawcze trafiły na półkę „do oceny”, sieć znowu została oceniana, i to bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Czytał o skutecznej eliminacji ugrupowań terrorystycznych i nawet rozpoznawał niektóre nazwiska. Opozycjoniści. Ci, którzy ośmielili się kwestionować rację stanu, proponować reformy albo kierunek rozwoju inny, niż życzyli sobie tego twardogłowi.

Szanghaj zepchnął kraj do czasów reakcjonizmu.

Chen pozostał niewzruszony. Liczyła się tylko jedna rzecz. Kiedy znów włączą zasilanie w Bezpiecznym Centrum? Kiedy będzie mógł wrócić do tego kwantowego wynaturzenia i wydrzeć jej ostatni sekret?

Już nie czuł się winny. Ta rzecz, którą nazywał żoną, i tak niedługo będzie martwa. Zrobią kopie na wypadek, gdyby miała jakąś wartość w przyszłości, gdyby można było odzyskać choćby część tych miliardów na nią wydanych. Ale osobiście Chen wątpił, czy kiedykolwiek przywrócą ją do działania. Nie. Niech żyje jeszcze tylko trochę, tylko tyle, by dać mu twierdzenie równości.

Cóż to będzie za pożegnalny prezent. Jeśli to twierdzenie dało się udowodnić - a z pewnością tak było, bo w przeciwnym razie w ogóle by nie robiła takich aluzji - wtedy wszystkie algorytmy komputerowe mogą zostać niesamowicie przyspieszone poprzez proces kwantowy. Komputery kwantowe nie będą już specjalistycznym sprzętem, tylko narzędziem do rozwiązywania określonych problemów - narzędziem, które będzie mogło przyspieszyć wszystko miliardy, tryliony razy.

A on będzie „odkrywcą” tego twierdzenia.

Będzie sławny. Dostanie Nobla. Największy umysł w informatyce od czasów Turinga. Multimiliarder dzięki komercyjnym zastosowaniom. Jeden z najbogatszych ludzi na świecie... Nawet w tych nowych Chinach będzie nietykalny. Najbardziej elitarny wśród elity.

Nie, powiedział sobie, nie robię tego dla siebie. Nie tylko dla siebie. Dla świata, dla

dobra ludzkości.

Chen kiwnął głową do swoich myśli. Tak, właśnie dlatego to zrobi. Nie dla własnej chwały, ale dla całej ludzkości.

Jedynie, co musiał zrobić, to sprawić nieco bólu duchowi martwej żony. Żaden problem.

Po trzech dniach Centrum znów pracowało. Chen uśmiechnął się i wezwał kierowcę.

Dzisiaj ją złamię. Dzisiaj to złamię. Dzisiaj stworzy historię.

Ling czekała, póki mieszkanie nie potwierdziło jej, że ojciec wyszedł. Wtedy myślała odblokowała drzwi pokoju mamusi. Ostrożnie wykuśtykała za próg. Połowę twarzy pokrywał jej siniec, ślad po ojcowskim uderzeniu. Oparzenia od herbaty na ramionach wciąż piekły boleśnie.

Od tamtego dnia żyła tak jak śmieciarz, padlinożerca. Pilnowała, by drzwi do komnaty matki pozostawały zamknięte, i wymykała się, gdy ojciec spał. Zawsze najpierw kazała mieszkaniu, by zamknęło drzwi jego sypialni, żeby nie mógł znów jej uderzyć.

Sieć szanghajska powoli, powoli wracała do normalności. Cudownie było znów pływać w morzu danych, ale tym razem Ling zachowywała większą czujność. Napotykała dziwne programy, wyewoluowane AI, jakich wcześniej nie widziała. Wszystkie poszukiwały źródła ataku na Szanghaj. Unikała ich jak tylko mogła, wysyłając myśli do sieci z największą możliwą ostrożnością.

W kuchni przeszukała lodówkę i kredens, zabrała jedzenie i wycofała się do pokoju matki. Wcześniej znalazła tam małą lodówkę, ukrytą w ścianie za panelami. Jednak w środku były inne zapasy niż jedzenie - fiołki srebrnego płynu pełnego nanourządzeń i strzykawki. Ling zostawiła wszystko tak, jak znalazła.

Pewnego dnia, powiedziała sobie, będę się żywić danymi.

Za oknem mogła zobaczyć Szanghaj na własne oczy. Kilka wieżowców lśniło w ciemności, wyspa światła otoczona rozległym morzem mroku, w którym migotały od czasu do czasu czerwone błyski pożarów. Ling patrzyła w tę ciemność, patrzyła na to, co zrobiła miastu, potem odwróciła się i spojrzała na wielki obraz po drugiej stronie ulicy. Zhi Li uśmiechała się, unosząc kącki nieludzko idealnych ust, mrugnęła jednym elektronicznie ukształtowanym okiem, uniosła jakiś produkt, którym kusila ludzi.

Poniżej mokre ulice świeciły pustkami. Gigantyczna aktorka wysilała się, ale nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć.

Ling odwróciła się plecami do miasta, zamknęła się w pokoju matki, zjadła i zaczęła szukać sposobu, by dotrzeć myślą do podziemi Uniwersytetu Jiao Tong.

39

Gdzie jest koniec

Sobota, 27 października

Kade leżał na wąskim łóżku w pokoju, który dzielił z Fengiem. Dygotał cały. Rangan torturowany. Ilya martwa. Martwa. Wszystko na marne. Pierdolona strata. I nawet nie znali kodów do furtki w Nexusie! Kade je zmienił, wszystkie, w klasztorze Anandy kilka godzin przed atakiem Amerykanów, przed wypuszczeniem Nexusa 5 do publicznej sieci.

O Boże, Ilya, Rangan.

I to, co sam właśnie zrobił... dopiero do niego docierało. Zmienił Holtzmanna w niewolnika. Prawie go zabił.

Tracisz nad tym kontrolę - szeptała mu Ilya do ucha. Zmieniasz się w potwora.

Oddychaj.

Oddychaj.

Feng znalazł go tak godzinę później.

Kade otworzył przed nim swój umysł i pokazał przyjacielowi, co się stało, pokazał mu, że Ilya nie żyje, pokazał, co zrobił Holtzmannowi.

Feng siedział, chłonąc to, co Kade miał mu do przekazania, słuchał i wreszcie się odezwał.

- Przykro mi, Kade - powiedział. - Przykro mi, że twoja przyjaciółka nie żyje. I cieszę się, że martwi cię to, co zrobiłeś. Ale czasami po prostu nie ma dobrego rozwiązania.

Kade pokręcił głową.

- Nie mogę do tego dopuścić ponownie, Feng. Milion osób ma w mózгах Nexusa. Mam taką władzę. Nie mogę stracić głowy, stracić kontroli nad sobą.

- Może to zbyt dużo władzy. Za dużo kontroli. Zaufaj ludziom, to radził ci Ananda, tak? Może powinieneś odpuścić, zamknąć tylne drzwi.

Ananda. Kade pamiętał. Czy jesteś mądrzejszy od całej ludzkości? - pytał mnich.

Nie.

Zamknął oczy, ikona skrytku była tuż, bot, który zamknie tylne drzwi. Unosiła się w lewym górnym rogu jego wirtualnej przestrzeni roboczej. Wszystko, co musiał zrobić, to ją aktywować, a na zawsze zamknie tę dziurę, którą sobie zostawił.

Potem kolejne wspomnienie błysnęło w jego umyśle, miga światło, przewody, następnie chaos i śmierć.

Nadchodzi wojna, powiedziała Shu.

Kade uniósł powieki, spojrzał Fengowi w oczy.

- Ale jeśli to zrobię, Feng, kto powstrzyma FWP? Kto powstrzyma ich przed rozpoczęciem wojny?

Feng odwrócił wzrok, spojrzał na swoje ręce.

- Czasami nie ma dobrego rozwiązania - powiedział Kade.

Kade chciał zostać w pokoju, lizać rany, szukać nowych tropów, które doprowadziłyby go do FWP. Ale Feng nalegał, żeby wyszedł, zrobił coś, aby zresetować myśli.

Poszli więc do Nieba. Była to noc Piekła. Sobota przed Halloween. Noc demonów.

Dziewczyna w drzwiach spojrzała na nich sceptycznie, bo żaden nie miał kostiumu, ale wzięła pieniądze, ostemplowała nadgarstki i wpuściła ich do środka. Ochroniarz łypał tak samo groźnie, jak poprzedniego wieczora.

O tak wczesnej godzinie w klubie było niewielu gości. Muzyka grała na tyle cicho, by można było rozmawiać, parkiet świecił pustkami, scenę, na której później pojawią się DJ i NJ, i tancerki go-go, teraz zajmował jakiś sprzęt.

Usiedli przy barze. Kade nie był głodny ani spragniony. Nawet po medytacji i godzinach kodowania wciąż trzymał go w uścisku szok. Feng wziął drinki dla nich obu, zmusił Kade'a do wypicia do dna, a potem zamówił jedzenie.

Kade poczuł, jak drink go rozluźnia. Jedzenie przywraca mu siły. A teraz były mu potrzebne. Musiał powstrzymać FWP, zanim ponownie zabiją. Trzeba uniknąć wojny między ludźmi a postludźmi. A żeby tego dokonać, musiał sam być w dobrym stanie i zachować spokój. Później przyjdzie czas, by się załamać, opłakać śmierć Ilyi, przeboleć to, że sam znalazł się blisko zabójstwa. Teraz miał zadanie do wykonania.

Skupił więc się na jedzeniu, na obserwowaniu oddechu, na wspominaniu bardzo dobrych rzeczy, które wydarzyły się dzięki Nexusowi na całym świecie. Starał się utrzymać równowagę psychiczną.

Klub powoli wypełniał się ludźmi. Umysły ocierały się o myśli Kade'a, niektóre znał z poprzedniej nocy, inne były nowe.

Nie minęło wiele czasu, a w Niebie był już tłum gości. Poprzebierani w różne kostiumy, pili, rozmawiali, śmiali się, czekając na DJ-a. Półnagi wietnamski chłopiec znów tu był i Kade ponownie wyczuł umysł tego samego bankiera z Londynu. Spozrzegł też brunetkę z restauracji. Dziewczyna spoglądała na niego z drugiego końca sali, przez lukę w tłumie. Ciała zmieniły ułożenie i dziewczyna zniknęła.

Kade siedział, sączył drinka, obserwował tłum i rozsyłał swój program poszukujący po świecie.

Sabrina Jensen wyszła z klubu w duszne powietrze nocy. Widziała go trzy razy. I tym razem była niemal pewna. Wyglądał inaczej niż na zdjęciach. Włosy były inne. Miał tatuaże. Wyglądał na starszego, bardziej zmęczonego. Ale twarz była taka sama. I zawsze towarzyszył mu ten Chińczyk.

To jego szukali, jego zdjęcie widziała przy informacji o nagrodzie. Tysiąc dolarów pozwoliłoby jej przedłużyć podróż co najmniej o miesiąc.

Chciała zbliżyć się do niego, powiedzieć mu, że ktoś go szuka, na wypadek gdyby to był jakiś przekręt albo chłopak miał kłopoty. Ale był taki powściągliwy. W ogóle niesympatyczny.

Sabrina podłączyła Nexus OS w głowie do swojego telefonu, pobrała obraz, a potem zadzwoniła pod numer z postu.

Uśmiechnęła się. Za chwilę wpadnie jej tysiączek. Bali, nadchodzę.

- Chcę, żeby ten żołnierz został ukarany - powiedział Shiva Ashokowi - i natychmiast

zwolniony.

Shiva odetchnął, by utrzymać frustrację pod kontrolą. Człowiek otrzymujący grant z fundacji zabity przez jednego z własnych żołnierzy Shivy! Drugi z ochroniarzy nie żyje według danych biometrycznych. Dzieci w szoku. Amerykańska agentka nadal na wolności.

Będzie musiał zapłacić, żeby to wyciszyć. Usunąć wszelkie ślady łączące te wydarzenia z Shivą i fundacją. Musieli wzmocnić bezpieczeństwo wyspy i znaleźć sposób na ujęcie tej kobiety. Ale najgorsze było, że te dzieci widziały, jak ktoś, kogo kochały i komu ufały, został zastrzelony! Na siłę rozdzielono je z tymi, których znały! Trauma będzie trwała latami i może storpedować jego wysiłki, by zdobyć ich zaufanie...

- Być może widziano Lane'a.

Shiva odwrócił się gwałtownie. To Hayes, dowódca oddziału, który Shiva zabrał do Wietnamu.

- Co?!

- Przechwyciliśmy wiadomość wewnętrzną do grupy łowców nagród - mówił Hayes. - Uważają, że Lane jest właśnie w klubie w Sajgonie. Jadą po niego.

- Musimy być tam pierwsi - powiedział Shiva.

40

Piekło

Sobota, 27 października

Kade usiadł przy barze razem z Fengiem, obserwował, jak zabawa się rozkręca.

Tłum gęstniał, a muzyka stawała się głośniejsza. Wtedy na scenie pojawił się DJ, ten sam, co zeszłej nocy. Azjata o muskularnej sylwetce podkreślonej dopasowaną koszulką i dzinsami, oczy zasłaniały mu modne okulary. Za nim na podwyższenie weszły tancerki, dziś wszystkie w lśniącej czerwieni: buty, obcisłe szorty i pasemka we włosach, a do tego świecące diabelskie rogi i skrzydła.

Posadzkę zasłoniła półmetrowa warstwa dymu, a światła rozpały go szkarłatem, sprawiając, że pasma owijające się wokół nóg tancerzy wyglądały jak płomienie.

Muzyka ucichła, tłum się uspokoił, a wtedy do akcji wkroczył DJ. Kawalek rozpoczynał się powoli, spokojnie, jednak z każdą chwilą przyspieszał, gęstniał, narastał, by już chwilę później osiągnąć swój imponujący punkt kulminacyjny. A tłum tańczył.

Kade uśmiechnął się lekko do swoich myśli, Ranganowi by się tutaj spodobało.

I nagle zrozumiał, że myśli: Ilyi tak samo. I przestał się uśmiechać. Tutaj była dziesiąta wieczorem. Na Wschodnim Wybrzeżu mieli środek sobotniego poranka. Gdy wychodzili do klubu, sprawdził, czy Holtzmann przystąpił już do realizacji zadania.

Chmura czerwonego dymu wzbiła się ze sceny, Kade wstrzymał oddech w niecierpliwym oczekiwaniu, a wtedy pojawiła się ona, endzejka. Wyczuwał jej umysł nawet wtedy, gdy dym ją zasłonił. Była tak samo wspaniała jak zeszłej nocy, rozsyłała fale euforii, tańca i niemalże halucynogennych wizji tego, jak dla niej ze szczytu sceny wyglądał klub, śpiewała, unosząc ramiona ponad tłumem kłębiących się demonicznych figur. Tej nocy Niebo wyglądało jak przedsionek piekła, a ona była zachwycona.

Jej myśli poruszyły Kade'a, pochwyciły i wyciągnęły go z przygnębienia, budząc w nim zupełnie odmienne uczucia, respekt i zdumienie zmieszane z podziwem, których nie odczuwał już od dawna.

Dym na scenie przeredził się i Kade mógł ją znów zobaczyć. Nazywała się Lotosem. Dziś ubrana była w karmazynową długą suknię, naszywaną cekinami, odsłaniającą plecy i ciasno opinającą talię oraz biodra, by luźno opaść ku ziemi, i długie czerwone rękawiczki. Włosy, które wczoraj były platynowe, teraz miały kolor płomieni, powplatanie w nie jaskrawe

pasemka pulsowały w rytm muzyki. Była niczym syrena zrodzona z ognia.

Trzymała ręce nad tłumem w geście błogosławieństwa, powoli rozchyliła wargi, by zaśpiewać. Odchylając głowę do tyłu, zaintonowała wznoszącą się arię przeplatającą się z brzmieniem techno. A potem zalała tłum pieśnią myśli, zadziwiająco wspaniałą, mroczniejszą i gorętszą nawet niż poprzedniej nocy. Tańczenie wydało mu się zdradą wszystkich tych, którzy przez niego zginęli... Jednak wydało się także zdradą wobec Ilyi i Rangana powstrzymać się od tańca.

Feng wyczuł jego myśli, poklepał go po ramieniu, wskazał na parkiet.

- Idź - powiedział. - Potrzebujesz tego, ja tu zaczekam.

I Kade go posłuchał. Poszedł na parkiet, dołączył do innych gości klubu, który tak bardzo przypominał mu o imprezach, jakie urządzali swego czasu wraz z Ilyą i Ranganem. Tańczył, z początku powoli. Spojrzenie wbijał w podłogę albo w ogóle zamykał oczy. Wyczuwał ludzi wokół siebie, pozwalał im poczuć swoją obecność, jednak nie wykonywał żadnego ruchu dla nawiązania kontaktu. Tańczył dla Ilyi. Tańczył dla Rangana. Tańczył dla samego siebie, by oczyścić umysł, odzyskać ducha, znaleźć siły potrzebne, by stawić czoła przeciwnościom losu.

Shiva rozsiadł się z tyłu swego opancerzonego centrum dowodzenia, kiedy pędzili ulicami Sajgonu. Hayes obok niego obserwował szereg ekranów. Mapa obszaru na jednym, pośpiesznie ściągnięty plan budynku na kolejnym. Na trzecim widniał status członków jego oddziału, zarówno ludzi, jak i dronów. Na ostatnim informacja o postępach hakera próbującego ominąć zabezpieczenia systemowe klubu.

Podsluchiwali też komunikację łowców nagród. Jedyna użyteczna rzecz, jaką Shiva uzyskał od przesłuchiwanego - częstotliwości, kody oraz tożsamość pozostałych członków grupy. Mieli szczęście, że to akurat ta grupa odnalazła Kade'a, gdyby zrobiła to jakaś inna, nie mieliby o tym pojęcia.

Wiadomości zaczęły pojawiać się na kanale, na który się włamali.

- Południowo-wschodni narożnik, kaliber pięćdziesiąt i pociski uspokajające gotowe.

- Północno-zachodni narożnik, kaliber pięćdziesiąt i pociski uspokajające gotowe za około trzy minuty.

- Wsparcie jeden gotowi.

- Wsparcie dwa gotowi.

- Wejście jeden gotowi.

- Wejście dwa gotowi.

- Przyjęta gotowa.

Hayes nanosił wszystko na mapę. Łowcy nagród byli dobrze zorganizowani, widocznie wyciągnęli wnioski z ostatniej próby porwania Lane'a. Rozstawili oddziały snajperów na pobliskich dachach, uzbrojonych w broń dużego kalibru, by zdjąć towarzysza Lane'a, oraz w pociski usypiające, by obezwładnić jego samego. Czekali na nich, a Shiva nie miał żadnej możliwości, by ostrzec chłopaka.

Kade tańczył zapamiętane, jego kończyny poruszały się w rytm muzyki, zamknął oczy, zagubiony we własnych myślach, tańczył, aż pot zrosił całe jego ciało, a wzmocniony ekstatyczny rytm myśli Lotos oraz setek umysłów ocierających się o jego umysł całkiem go pochłonęły.

Słyszał piosenkę Lotos, czuł jej myśli, czuł, jak się zmieniały, odzwierciedlając myśli tłumu, i to, jak się do niego przystosowywały. Muzyka również się dostosowywała, nabierała płynności, reagowała na to, co działo się w klubie, na zachowanie tańczących. Wtedy zdał sobie sprawę, że to ONI tworzą muzykę, tłum, tancerki, a Lotos absorbuje myśli i emocje, a potem odgrywa im ich własną, mentalną melodię.

Pętla reakcji zwrotnej się zacieśniła i Kade przestał być sobą, nie był tylko pojedynczym człowiekiem. Stał się częścią czegoś większego, żywym, oddychającym i

buzującym organizmem, tysiącującym i stugłowym, zespoloną postacią tych wszystkich umysłów i ciał.

Rozpacz wypłynęła z niego, zaabsorbowana, przetworzona i uzdrowiona uczuciem jedności. Poruszał ramionami i nogami w rytm muzyki, rzucał głową i miotał nowo zyskanymi warkoczami, w idealnej harmonii z otaczającymi go ciałami. On był rytmem. Oni byli rytmem. Jak ktokolwiek z nich miałby pomylić kroki w tym tańcu?

To samadhi, zrozumiał Kade. Medytacja. Absolutne zjednoczenie.

Zarysy jego ego blakły, rozwiewał się i włączał do fuzji umysłów. Widział przebłyśki tysięcy myśli tego, co tu i teraz, wspomnień i wizji. Widział już taki świat, widział naukowców połączonych w wyższy stan świadomości, ludzi przekraczających podziały. W jego myślach nie było już Kade'a, nie było ani jego samego, ani innych. Było tylko to doświadczenie, wielkość chwili, której stał się częścią, częścią tego rosnącego, poruszającego się, kłębiącego, ekstatycznego blasku jednego organizmu, który był tłumem, był didżejem i tą małą częścią zwaną Lotosem. To było prawdziwe, prawdziwsze niż on sam, realniejsze niż każdy z nich z osobna. Liczyła się tylko ta chwila.

Złapał przebłysek cienkiej warstwy świadomości okrążającej glob i była to jego myśl, teraz jednak była ona ich myślą, zdawał sobie sprawę z tego, że była prawdziwa, że nie była to fantazja, sięgnął myślą, by dotknąć tych milionów umysłów, by wciągnąć te jasne punkty światła w swój taniec, w tę chwilę, we wspaniałą świetlistą jedność...

Kade.

Coś złapało ten fragment jego świadomości, pociągnęło.

Kade!

Feng. Feng powinien tutaj być, tańczyć, dołączyć, scalić się z nimi.

Kade! Jesteś obserwowany!

Obraz przemknął przez fragment umysłu: wytatuowany, muskularny Azjata z wygoloną głową, twarz miał nieruchomą jak maska, puste oczy, pozbawione wyrazu uważnie lustrowały salę.

Niebezpieczeństwo było niczym kubek lodowatej wody, szarpnęło go ku świadomości. Stał na parkiecie pośród pulsujących spoconych ciał. Ich myśli wzywały go. Muzyka...

Wracaj do baru - powiedział Feng.

Jedność wabiła go z powrotem. Niebezpieczeństwo jest tylko iluzją - szeptała. Jesteś tylko małym fragmentem, śmierć nie ma żadnego znaczenia.

Kade drżał. Wstrząsnął silnie głową, opierając się wezwaniu, walczył, by pamiętać, kim jest.

Uśmiechnij się - nadał Feng. Zamów drinka.

Kade zmusił się do uśmiechu na parkiecie, otarł pot z czoła i zaczął przepychać się przez tłum, między wirującymi kobietami i mężczyznami. Feng czekał przy barze, uśmiechnięty, wyglądał jak ktoś, kto miło spędza czas.

- Dobrze się bawisz? - zawołał, przekrzykując tłum.

- No ba! - Kade zmusił się do uśmiechu, pokazując uniesione kciuki.

Co teraz? - spytał w tym samym czasie.

Czy możesz zobaczyć przednie i tylne wyjście? - chciał wiedzieć Feng. Oczami innych?

Kade skinął twierdząco w myślach. Oparł się o bar, odwracając się od mężczyzny, który ich obserwował, zamknął oczy i sięgnął myślami do frontu klubu, skacząc od umysłu do umysłu, z całych sił opierając się kuszącemu wezwaniu jedności, wreszcie zobaczył to, co chciał zobaczyć.

Dwóch z przodu - powiedział, pokazując wszystko Fengowi.

Skierował myśli do wejścia dla personelu.

Jeszcze dwóch z tyłu.

Feng przytaknął, jego myśli były spokojne i zimne.

Idziemy tyłem. Niech myślą, że ich nie widzimy, wyrolujmy ich.

Kade potwierdził. Feng był nieustraszony. Lane ufał mu, nie było nikogo, kogo wolałby mieć przy sobie w tej sytuacji. Jednak to potężne przyciąganie, by ponownie złączyć się z tłumem...

Wyrolujemy ich - powiedział Fengowi, zmuszając się do kolejnego uśmiechu.

- Północno-zachodni narożnik, kaliber pięćdziesiąt i pociski uspokajające gotowe - rozległ się przechwycony meldunek.

- Zrozumiałem - nadeszła odpowiedź na tym samym kanale. - Przyjęta wchodzi.

Shiva wstrzymał oddech. Minutę później usłyszeli kolejny głos:

- Przyjęta ma kontakt. Widzieli mnie.

- Próbują wywabić Lane'a i jego przyjaciela na zewnątrz - powiedział Hayes. - Tam snajperzy będą mieli łatwy cel.

- Kiedy będziemy na miejscu? - niecierpliwił się Shiva.

- Drony za sześć minut, my za dwanaście.

Za wolno, pomyślał Shiva, łowcy nagród dorwą ich pierwsi!

- Jesteśmy w systemie klubu! - zabrzmiał głos hakera. - Mamy ich kamery, system ochrony, obsługę.

- Widzisz Lane'a?

- Mamy tutaj istne zoo - odpowiedział haker. - Żadnych śladów.

Kanał znowu ożył.

- Cel zmierza w kierunku tylnego wyjścia, powtarzam, cel zmierza w kierunku wyjścia.

- Południowo-zachodni narożnik, strzelcy gotowi.

Cholera. Powinni tam być dokładnie w tej chwili. Musieli powstrzymać strzelców.

- Możesz włączyć alarm pożarowy? - zapytał haker Shiva.

- Sprawdzam... Alarm pożarowy, tak.

Hayes spojrzał na Shivę.

- Wypłoszyć wszystkich na zewnątrz? Zdezorientować snajperów?

Shiva przytaknęła.

- Zadziała?

- Lepsze to niż nic - odpowiedział Hayes. - Zrób to.

Kade spokojnie zsunął się z barowego stołka. Feng poszedł przodem, zaczęli przebijać się przez tłum na tyły, do drugiego baru, toalet i drugiego wyjścia. Tłum wzywał Kade'a, słodka jedność, słodkie zapomnienie o iluzji, jaką było jego życie, o tym, że cokolwiek

znaczył.

Walczył z tym, odepchnął to od siebie.

Feng trzymał w ręku butelkę piwa, Kade czuł, jak ekszołnierz obserwuje otoczenie, pilnując łowcy nagród. Jednocześnie rozglądał się za improwizowaną bronią: krzesło barowe, stojak mikrofonu, wysoka butelka whisky za barem.

I wtedy w klubie rozległ się przeszywający dźwięk. Zapłonęły światła i znaki wyjść ewakuacyjnych. Alarm rozlegał się raz po raz.

- Wykryto ogień - oznajmił głos drona. - Proszę opuścić budynek, wykryto ogień. Proszę opuścić budynek, wykryto ogień...

W klubie zapanowała dezorientacja. Kade wyczuł falę chaosu roznoszącą się w umysłach, połączenie rozerwało się. Ludzie rozglądali się dookoła. Czy to naprawdę ogień? Może to fałszywy alarm? DJ ściszył muzykę. W myślach Lotos też było wahanie.

Wtedy spryskiwacze oblały tłum zimną wodą i ludzie podjęli decyzję. Ktoś popchnął Kade'a. Lane poczuł, jak tłum zaczyna przeć do wyjścia. Zaskoczony dał mu się porwać, jednak Feng chwycił go za ramię i pociągnął w bok, między wysoki stos głośników a ścianę, z dala od rzeki ludzi wylewającej się na zewnątrz.

Padnij! - nakazał i Kade posłusznie przykucnął, ukrywając się za głośnikami, a Feng przykucnął zaraz obok.

Co się dzieje? - spytał zdezorientowany.

W tym momencie łowca nagród, którego widzieli wcześniej, przepchnął się przez tłum pół metra od nich z bronią w ręku.

Shiva słuchał, jak kanał łowców wybuchnął raportami.

- Alarm pożarowy.

- Szaleństwo, nie widzę celu.

- Nie widzę go w tłumie.

- Kiedy tam będziemy? - spytał Shiva Hayesa.

- Trzy i dziewięć minut - odpowiedział dowódca.

- Drony mogą zdjąć snajperów?

- Tak - odpowiedział Hayes.

- Północno-zachodni, południowo-zachodni, wystrzelcie gaz do budynku. Powtarzam, wystrzelcie gaz do budynku. Wsparcie jeden, rozwalcie ścianę - usłyszeli nagle z kanału łowców.

Kade nie zdążył nawet spaść się na widok człowieka z bronią. Oczy łowcy gwałtownie rozszerzyły się, broń zaczęła się unosić. Umysł Fenga stał się nagle zimny niczym lód. Świat zwolnił, prawie zamarł, a Feng zaczął poruszać się niewiarygodnie szybko. Chwycił dłoń ściskającą pistolet za nadgarstek, wykręcił i uderzył łowcę w głowę z taką siłą, że odskoczyła w tył z głośnym chrupnięciem. W tym momencie broń wystrzeliła, posyłając kulę w ścianę, i Kade poczuł reakcję tłumu. Strach zapłonął w umysłach i ludzie ruszyli do wyjścia ze zdwojoną siłą, przepychali się coraz mocniej, gniotąc się nawzajem w zbyt ciasnych przejściach.

Wtedy coś wpadło oknem. Coś twardego i małego, poruszającego się bardzo szybko. Trafiło w brzuch chłopaka w kostiumie diabła, jego umysł rozbłysnął bólem, a on sam poleciał na trzy tancerki. Ludzie podtrzymali całą czwórkę, a pojemnik spadł na podłogę, sycząc i wydzielając coś, co zaczęło formować białą mgłę. Kade poczuł, jak umysł Fenga wypełnia się obliczeniami kątów strzału i możliwościami ucieczki, a także nieprzewidywalną trajektorią ciał spanikowanego tłumu.

Kolejny pojemnik wpadł ze świstem, rozbijając drugie okno, ciskając dziewczyną w

czerwonej prześwitującej sukience na stół. Kade poczuł jej nagły przypływ paniki, intensywny ból, uderzenie najwyraźniej uszkodziło coś w jej brzuchu.

Tłum też znajdował się na krawędzi paniki. Ludzie w pobliżu granatów gazowych zanosili się kaszlem, osuwali na kolana, przewracali na podłogę. Kade czuł, jak ich myśli blakną. Następny pojemnik przebił szybę, trafiając w sterowanego z Londynu Wietnamczyka bez koszulki, który próbował wyskoczyć przez rozbite okno. Trafiony w głowę upadł i znalazł się poza zasięgiem wzroku Kade'a.

Ludzie tłoczyli się wszędzie, pchali do drzwi, wrzeszczeli, przepychali się, wspinali po sobie nawzajem, byle tylko dotrzeć do wyjścia. Niektórzy padali na podłogę. Kade zobaczył ładną brunetkę, gdy próbowała przecisnąć się między ludźmi, cały czas krzycząc. Coraz więcej imprezowiczów chwiało się, przewracając, gdy gaz się rozprzestrzeniał. Wszystkie drogi ucieczki były zablokowane. Sieć połączeń, która wcześniej stanowiła wysublimowaną jedność, wypełniła się teraz strachem i paniką.

Kade poczuł, jak zalewa go zimna, mroczna fala strachu, wciągająca go w straszliwą toń.

Wtedy otoczył go umysł Fenga. Mógł poczuć determinację przyjaciela, jego spokój. Wydostaną się.

Feng odepchnął Kade'a, sięgnął i ściągnął głośnik rozmiarów śmietnika ze stosu za nimi.

Wziął solidny zamach i wbił go do jednej trzeciej długości w gipsowo-drewnianą ścianę.

Kolejny pojemnik uderzył w bar, zrykoszetował w oświetloną ścianę butelek za nim, sięjąc na wszystkie strony odłamkami szkła, bryzgając alkoholem.

Kade słyszał coraz więcej spanikowanych krzyków, gdy zawartość baru poleciała na ludzi. Ponad połowa gości leżała na podłodze. Reszta kaszłała, Kade też. Czuł działanie gazu, sięgnął do swojego umysłu, by podnieść poziom acetylocholin i adrenaliny, próbując

zachować świadomość...

Feng wyrwał głośnik ze ściany, wziął zamach do kolejnego uderzenia.

Wtedy ściana eksplodowała i coś gigantycznego przebiło się do środka. Kade widział to w zwolnionym tempie oczami Fenga, jednak było za późno. Masywny przód opancerzonego dżipa uderzył w głośnik i Fenga, który zniknął pod ryczącym pojazdem.

41

Bitwa

Sobota, 27 października

Gdy tylko pojawiły się pierwsze obrazy z miejsca, do którego zmierzali, Shiva zacisnęła pięści. Nad nimi oddział dronów dotarł na miejsce. Każdy był metrowym skrzydłem, niewidzialnym dla radarów, zmiennobarwnym, napędzanym podwójnymi silnikami na ogniwa paliwowe, załadowanym kamerami, a także małą, lecz śmiertcionośną bronią. Teraz ich kamery przesyłały obraz pędzącego ulicą opancerzonego dżipa, który odrzucał na boki jednych, wjeżdżał w innych, by w końcu wbić się do środka klubu przez ścianę. Identyfikacyjny dżip nadjeżdżał już z przeciwnej strony.

Hayes krzyknął do mikrofonu:

- Strzelać do pojazdu! Zdjąć snajperów!

Drony odpaliły mikrorakiety, niewielkie karbonowo-tytanowe pociski grubości cygara, a te z kolei odpaliły swoje raketowe silniki, rozłożyły stateczniki i pomknęły do celu na strumieniach białego ognia.

Eksplozje rozjaśniły ekran, w głośnikach rozległ się huk. Jasne rozbłyski wykwitły na dachach naprzeciwko obu wejść do klubu. Shiva zobaczył, jak płonące ciała snajperów

spadają na ulicę. Przód drugiego dzipa buchnął płomieniami, trafiony dwoma pociskami. Pojazd wyrwał się spod kontroli, skręcił w lewo, taranując tłum przed klubem, i wbił się w budynek naprzeciwko.

Słysząc było krzyki i płacz.

Kanał łowców nagród eksplodował przekrzykującymi się głosami.

„Rakiety. Trafiły... Snajperzy martwi. Ognia”.

Jednak drugi dzip był w budynku. Ludzie Shivy nie mogli go ostrzelać, nie wiedzieli, co się dzieje w środku.

- Dowieź nas tam - warknął Shiva na Hayesa.

Kade szarpnął się, gdy opancerzony dzip przebił ścianę tuż obok. Samochód szarżował z rykiem silnika naprzód i Feng zniknął w gwałtownym rozbłysku cierpienia. Wtedy wóz zatrzymał się w chmurze pyłu i gruzu. Z rozerwanych rur bryznęła woda... Z kabiny wyskoczyło czterech opancerzonych i zamaskowanych ludzi. Mieli na sobie pełne zbroje ze wzmocnieniami na stawach i czarnymi osłonami na twarze. W rękach trzymali pistolety maszynowe. Więcej broni nosili przy pasie, a na plecach zbiorniki z powietrzem.

Kade skulił się za głośnikami, próbując nie oddychać, nie kaszleć. Nadal wyczuwał Fenga w pobliżu. Teraz, gdy gaz rozprzestrzenił się po całym pomieszczeniu, wszystkie pozostałe umysły gasły już zupełnie. Czuł strach i ból tych, które kurczowo trzymały się świadomości.

Podniósł poziom acetylocholin i adrenaliny w organizmie, starając się zwalczyć oszołomienie. Gdzieś tam Feng zaciskał zęby i próbował opanować ból, skupić się. Czterech żołnierzy przeszukiwało pomieszczenie, kopniakami odwracali ciała. To jego szukali.

Feng przemówił w myślach:

Uciekaj. Będę z nimi walczył.

NIE - odpowiedział Kade. Aktywował Bruce'a Lee. Program uruchomił celownik w polu widzenia. Nigdzie bez ciebie nie idę.

Jesteś najgłupszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem.

Jestem jedynym przyjacielem, jakiego miałeś - odpowiedział Kade.

No. Dokładnie jak powiedziałem - zachichotał Feng.

Wtedy Chińczyk wstał, a świat zamarł. Trzymał długi kawał stalowej rury. Był tuż za opancerzonym najemnikiem, zamachnął się i rąbnął w głowę chronioną hełmem. Tuż przedtem łowca nagród drgnął, czymś zaalarmowany, i właśnie zaczynał się odwracać. Rura trafiła go z niesamowitą prędkością.

Wizjer hełmu najemnika pokryła siateczka pęknięć, a siła ciosu wytrąciła łowcę z równowagi. Feng błyskawicznie przymierzył się do kolejnego ciosu, tym razem w kolano. Przez jedną chwilę Kade widział najemnika zawieszzonego w powietrzu, padającego w tył, zamrożonego w bezruchu, w przyspieszonej percepcji Fenga.

Czas zaczął płynąć normalnie. Łowca nagród zwałił się na podłogę, na plecy, jego broń zaczęła strzelać, posyłając kule w strop. Były znaczone czerwonymi promieniami w bojowej wizji Fenga.

Feng opadł na jedno kolano, wbijając rurę głęboko w gardło przeciwnika niczym włócznię, aż utknęła na stopę w podłodze, krew trysnęła fontanną.

Żołnierz przetoczył się błyskawicznie, chwytając przy tym pistolet maszynowy. Pozostali najemnicy już się odwracali, krzycząc do siebie. Jeden z nich otworzył ogień, gdy Feng przetoczył się za bar.

Teraz już trzech najemników ostrzeliwało to miejsce. Kade wybrał jednego, oznaczył go jako cel i wcisnął przycisk pełnego ataku.

Bruce Lee wyrzucił ciało Kade'a w kopnięciu z wyskoku, ale cios był słaby i źle wyważony, bo Kade wciąż pozostawał oszołomiony gazem. Łowca odwrócił się i uderzył Kade'a, gdy ten był jeszcze w powietrzu. Lane zatoczył się do tyłu.

[Bruce_Lee: atak nieudany]

Najemnik złapał Kade'a za ramię, pociągnął go w kierunku otwartego dżipa i zaczął wpychać do środka.

Nagle ze wszystkich stron pojawiły się zakłócenia, otoczyły go sfery zagłuszające sieć.

I wtedy głowa łowcy, który go trzymał, eksplodowała.

Nakamura przeciskał się przez tłum gości w klubie Mango, wyglądał jak przeciętny backpacker, ubrany nieco lepiej na okoliczność sobotniego wieczoru. Nexus był tu wszędzie wokół. Lane pewnie poczułby się jak w domu. Jeśli tylko odsłoniłby się wystarczająco...

[Padły strzały, Bui Vien 819].

Sygnał nadszedł z policyjnej sieci. Ten adres znajdował się na przeciwnym końcu dzielnicy Ben Thanh. Jeszcze jeden klub, gdzie pełno było Nexusa.

Nakamura odwrócił się i zaczął przepychać przez tłum, niczym ryba płynąca pod prąd, aż w końcu dostał się do drzwi i wyszedł w chłodną noc. Dżipa zostawił pod swoim mieszkaniem, wóz nie sprawdzał się w labiryncie tutejszych uliczek. Klub, o którym była mowa w informacji, znajdował się nieco ponad kilometr dalej. Nakamura ruszył biegiem, powinien tam dotrzeć w ciągu trzech minut.

Shiva obserwował na ekranie szturm swoich żołnierzy. Wtargnęli do budynku, zdjęli dwóch pozostałych łowców. Klub był w ruinie. Jedna ze ścian zburzona, okna powybijane. Wielu z gości leżało na podłodze, rannych, krwawiących, z połamanymi kończynami albo nieprzytomnych wskutek wdychania gazu.

- Tutaj. - Stuknął w ekran. - Lane.

Hayes przytaknął, a paramedyk popędził do wskazanego miejsca.

Ktoś ponownie chwycił Kade'a, mężczyzna, w masce, ale bez pancerza.

Zakładał Kade'owi respirator, przytrzymywał go przy ziemi i coś krzyczał, ale maska i alarm skutecznie go zagłuszały.

- Co?!

Co się dzieje?

Wycie alarmu urwało się nagle.

- Jesteś ranny? - krzyknął obcy.

- Feng - powiedział Kade głosem przytłumionym przez maskę. Wtedy Feng wyłonił się zza baru z pistoletem maszynowym w ręce. Twarz miał zbryzganą krwią, tak samo jak koszulę i spodnie.

- Cofnij się - rozkazał.

Kade próbował się zorientować w sytuacji. W zrujnowanym klubie pojawiły się nowe siły. Sześciu uzbrojonych mężczyzn i jeden pochylający się nad nim. Mieli maski i lśniące, czarne zbroje, nie tak masywne, jak te łowców, jednak sprawiające groźniejsze wrażenie. Uzbrojeni byli w pistolety automatyczne zaopatrzone w tłumiki, żaden jednak nie celował w Kade'a.

Otaczała ich sfera statycznego szumu. Zakłócenia na częstotliwości Nexusa.

Oślaniają się, zrozumiał. Używają Nexusa, ale się osłaniają.

- Cofnij się - powtórzył Feng, celując w mężczyznę nad Kade'em.

- Przybyliśmy z pomocą.

Kade? - nadał Feng.

- Kim jesteście? - zapytał Kade.

- Aktywujcie mojego awatara, chcę z nim porozmawiać - rozkazał Shiva.

Medyk cofnął się od Kade'a.

Wtedy w centrum pomieszczenia pojawił się hologram, wyświetlony przez robota wielkości pięści i kształtu pająka.

Zobaczyli starego mężczyznę o hinduskich rysach, długich siwych włosach, ubranego w prosty biały strój.

- Kade, nie jesteśmy twoimi wrogami, jesteśmy sojusznikami.

- Czego chcecie?

- Chcę, żebyś poszedł z nami.

- Kim ty właściwie jesteś?

- Kimś, kto potrzebuje twojej pomocy.

- Mojej?

- Tak, twojej. By uratować świat.

- Nie jesteśmy zainteresowani - rzucił z boku Feng.

Hologram odwrócił się w jego stronę.

- Jesteś pewny? - Postać uniosła jedną brew w wyrazie zdziwienia, po czym odwróciła się z powrotem do Kade'a. - Wygląda na to, że starałeś się ze wszystkich sił, aby dokonać tego samodzielnie. Godne podziwu, popieram to, co robisz, jednak razem możemy osiągnąć znacznie więcej.

Kade zjeżył się natychmiast, doskonale wiedział, dlaczego ktokolwiek mógł pragnąć jego pomocy. Był tylko jeden powód, który przychodził mu do głowy.

- Nie jesteśmy zainteresowani.

Hologram uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Jednak nie zaprzeczysz, prawda? Włamywałeś się do mózgów? Ratując świat przed pojedynczymi przestępcami? Zdajesz sobie sprawę, że jest teraz ponad milion ludzi korzystających z Nexusa? Wszystko wyłącznie z twojego powodu. Każdego dnia ta liczba zwiększa się o kolejne tysiące, a masz tylne drzwi do wszystkich tych umysłów. To wielka moc, którą można wykorzystać w słusznej sprawie. A ja jestem w stanie pomóc ci właściwie jej używać.

Kiedy to się wreszcie skończy, Kade? - zakrzyczała Ilya w jego głowie. Nikt nie powinien posiadać takiej władzy.

Tylko nie teraz, Ilya! - wrzasnął na nią.

Przełknął ślinę, gorączkowo próbował znaleźć jakieś wyjście. Zbadał myślami osłony żołnierzy, okazały się stanowczo zbyt mocne, nawet dla jego umysłu.

- Nie jestem zainteresowany pomocą, dam wam znać, jeśli coś się zmieni w tej kwestii - odpowiedział, starając się zachować spokój.

Mówiąc to, sięgnął myślami w poszukiwaniu umysłu, który posiadał wszystko, czego Kade potrzebował. Lotos. Gdzie ona się podziała?

Hindus potrząsnął głową.

- Młody człowieku, posiadasz klucz do ponad miliona umysłów. Wszyscy cię szukają. Co, jeśli to Amerykanie cię dopadną? Albo Chińczycy? Jesteś groźny. Ja mogę zapewnić ci bezpieczeństwo.

Jest! Znalazł endżejkę, kobietę nazywającą siebie Lotosem, była współprzypadna. Sięgnął do jej umysłu, podniósł poziom adrenaliny, wyciągając ją ze skraju omdlenia, poszukując wiedzy, której potrzebował. Poczł zdiwienie dziewczyny nagłym kontaktem, krzycał do niej swoje pytania, nie przerywając poszukiwań. Gdzie? Jak? Pokaż mi!

Na głos powiedział jedynie:

- Nie, naprawdę, dziękuję, ale nie jestem zainteresowany.

Tutaj. Lotos nic nie pojmowała, jednak zaufała mu, pomogła, pokazała.

Kade zrozumiał. Zauważył połączenie, przebił się do niego poprzez umysł kobiety, wzbudzając w niej podziw. Połączył się i przejął kontrolę nad sprzętem, którego potrzebował.

Hologram Hindusa westchnął ciężko.

- Obawiam się, że ten wybór nie należy do ciebie, Kade. Ten klucz stanowi zagrożenie dla całej planety. Nie mogę wam pozwolić wpaść w niepowołane ręce. Będziesz musiał pójść ze mną.

Opancerzeni żołnierze unieśli broń.

Feng spał się gwałtownie, przygotowany do strzału, z palcem na spuście.

Kade przejął pełną kontrolę nad systemem, do którego się włamał. Poczł gwałtowny przypływ adrenaliny, niecierpliwości, niesamowite uczucie mocy.

- Nie - odpowiedział. - Nie będę musiał.

Wysłał sygnał, używając wzmacniaczy sieci klubu, z maksymalną możliwą mocą. Jego transmisja przebiła się przez zakłócenia, obejmując umysły żołnierzy pojedynczym impulsem.

Wszystkich siedmiu ludzi padło w spazmach na ziemię.

Hindus pokiwał z podziwem głową.

- Imponujące.

Feng ciężkim butem rozgniół robota z projektorem i hologram zniknął przy wtórze głośnego chrupnięcia.

Kim jesteś? - Kade poczuł nieme pytanie Lotos w myślach. Potrzęsął jednak tylko głową, odwrócił się i rozejrzał po spustoszonej sali. Brunetka, na którą wcześniej zwrócił uwagę, leżała na ziemi skulona, jej klatka piersiowa miarowo podnosiła się i opadała. Wietnamczyk sterowany z Londynu leżał obok niej, z szyją wykręconą pod nienaturalnym kątem, w bezruchu. Kade się wzdrygnął. Miał tego stanowczo dość.

- Dżip - rzucił tylko Feng, wrywając broń z rąk leżących. Ból promieniował z niego, z rany postrzałowej i stłuczeń po zderzeniu z opancerzonym pojazdem. - Poprowadzę.

Kobieta o imieniu Lotos leżała samotnie na scenie, zostawiona na pastwę losu, sięgając umysłem do Kade'a, patrząc z szeroko otwartymi oczami, jak uciekają.

Breece i Nigeryjczyk weszli do garażu za Avą. Samochody zostawili na zewnątrz. Ava prowadziła łagodnie panią Shepherd.

Hiroshi starannie zamknął za nimi drzwi i połączył panele siatki, ponownie zmieniając garaż w klatkę Faradaya.

- Status? - spytał Breece, patrząc, jak Ava sadza panią Shepherd na krzesło.

- Wszystko zgodnie z planem - odpowiedziała Ava. - Podałam jej skopolaminę. Tworzenie nowych wspomnień zostało zablokowane. Jest chętna do współpracy.

Miranda Shepherd posłusznie opadła na krzesło.

- Hiroshi - zakomenderował Breece - teraz ty wchodzisz.

Mieli godzinę, żeby zmienić Mirandę w swojego muła. Ćwiczyli każdy etap, upraszczając procedurę do granic możliwości.

Hiroshi wbił igłę między palce stopy kobiety i powoli wcisnął tłok strzykawki. Srebrzysty płyn milimetr po milimetrze trafił do krwiobiegu żony pastora. Potem zostawili ją w spokoju, czekając, aż Nexus 5 dotrze do mózgu i się skalibruje.

- Telefon - zażądał Hiroshi.

Breece podał mu przedmiot zapakowany w torbę, która też była klatką Faradaya. Hiroshi wyjął delikatnie urządzenie, podłączył do tabletu i załadował nowe oprogramowanie. Cały czas pracował w rękawiczkach.

Miranda Shepherd w tym momencie zaczęła dochodzić do siebie. Hiroshi zostawił telefon, przysunął sobie krzesło, usiadł obok kobiety i sięgnął myślami do jej mózgu. W tym czasie Ava wsunęła włosy pastorowej pod kaptur stylizujący.

Kade zapinał pasy, a Feng już wrzucił wsteczny bieg. Ruszyli tyłem przez gruz i dziurę w ścianie, prosto w noc na zewnątrz. Tłum zniknął bez śladu. Po drugiej stronie ulicy

identyczny dżip dopalał się, wbity w ścianę.

Feng obrócił wóz i dodał gazu.

- Jesteś ranny - niepokoił się Kade. Wszędzie widział krew.

- Przeżyję - zbył go Chińczyk.

Lane rozglądał się w poszukiwaniu apteczki. Deska rozdzielcza usiana była najróżniejszymi wyświetlaczami i diodami. Na drzwiach i suficie przymocowano broń, noże, karabiny, pistolety, nawet granaty.

- Mapa - odezwał się Feng. - Jak wydostaniemy się z miasta? Tylne uliczki.

Kade popatrzył na krwawiącego i obolałego przyjaciela i skinął głową.

Znalazł kontroler mapy, powiększył ją na przedniej szybie po swojej stronie i zaczął wykrzykiwać wskazówki.

W lewo. Prosto. Następna w prawo. Tędy, tedy!

Po kilku chwilach wyskoczyło powiadomienie.

[Kod przymusu alfa AUTOR wykryty.

Trafność 93%]

Za moment pojawiły się szczegóły.

[Zgodność: Nexus 0.72 pliki binarne]

[Zgodność: Nexus 0.72 źródło]

[Zgodność: kod źródłowy przymusu <próbka>]

[Zgodność: PLF samoidentyfikacja]

[...]

Aż go zatkało. Przestał się odzywać, przestał nawigować.

- Kade? - zapytał Feng. - Kade!

- Feng. To oni. Znalazłem ich.

Kliknął na link do tamtego umysłu.

- Kade! - zawołał Feng. - To nie jest najlepszy moment!

- To może być moja jedyna szansa, Feng, muszę spróbować.

Wpisał hasło.

Dżip zakręcił ostro, przyciskając go do drzwi. Kade miał mglistą świadomość odgłosu wystrzałów i tego, że coś metalicznie uderza o pancerz, a także adrenaliny, która popłynęła przez Fenga.

- Naprawdę bardzo zły moment! - powiedział Feng.

Kade wszedł.

Przeprogramowanie Mirandy Shepherd zajęło im czterdzieści pięć minut. Pod koniec znalazła się już pod ich całkowitą kontrolą.

Zmodyfikowana wersja Nexusa była w jej mózgu, miała pozostać w uśpieniu do chwili, aż otrzyma odpowiedni sygnał z telefonu. Wtedy pani Shepherd miała się zmienić w żywą broń ustawioną przeciwko swojemu mężowi oraz Danielowi Chandlerowi. Skrypty pamięci były głęboko zakorzenione, gotowe, aby wyobraźnia Mirandy je rozbudowała,

tworząc fałszywe wspomnienie wizyty u fryzjera prawdziwe jak każde inne.

Kiedy skończyli, Ava wyszła odprowadzić Mirandę do jej samochodu. Nigeryjczyk udał się za nimi do zapasowego pojazdu. Breece i Hiroshi zaczęli demontować sprzęt i dezynfekować garaż, nie pozostawiając najmniejszego śladu po tym, co się tutaj stało.

Kade przeglądał skrupulatnie zawartość infiltrowanego umysłu. Nie zamierzał zdradzić swojej obecności, dopóki nie dowie się, co jest grane.

Był w jakimś budynku. Magazyn albo garaż. Widział rolki metalowej siatki z malutkimi jak w moskitierze oczkami, leżące przy jego nogach. Na dłoniach, w których trzymał narzędzia, miał rękawiczki.

Kade obrócił się, zeskanował otoczenie. Po przeciwnej stronie pomieszczenia przebywał drugi mężczyzna, za pomocą podobnych narzędzi ściągał właśnie kolejny panel, pogwizdując.

Sięgnął do umysłu tego drugiego, aby nad nim także przejąć kontrolę, przytrzymać ich obu, aż wreszcie odkryje, gdzie są, i powiadomi odpowiednie władze.

Ale nie było tam żadnego umysłu, nie było Nexusa, do którego mógłby się włamać.

Jego oddech stał się ciężki i poczuł, jak skacze mu puls.

Zachowuj się normalnie, powiedział sobie. Dowiedz się, o co tu chodzi.

Uchwycił mocniej umysł, w którym przebywał, wydał polecenie ściągnięcia kolejnego panelu, zaczął przeczesywać najświeższe wspomnienia.

Obrazy, myśli, słowa. Napływały szybko i w dużych ilościach. Absorbował je szybciej niż w czasie rzeczywistym, obciążając połączenie między ich umysłami i Nexusem w każdym z nich.

Front Wyzwolenia Postludzi. Próba zamachu. Drużyna czterech. Miranda Shepherd.

Daniel Chandler. Materiały wybuchowe. Tysiące ludzi zagrożonych.

Jezu.

To nie był przywódca. Kod pochodził od drugiego mężczyzny, Breece'a, który otrzymał go od dowódców FWP. Ten tutaj, Hiroshi, wziął kod, naprawił błędy, dodał nowe właściwości, ulepszył go.

Kade uświadomił sobie, że musi wejść głębiej, aż na samo dno.

Nexus tu był. W przyborniku Hiroshiego. Strzykawki z Nexusem. Tak.

Kade pokierował Hiroshiego w stronę przybornika, który leżał niespakowany przy terminalu. Ustawił ciało pomiędzy Breece'em a narzędziami. Wtedy sięgnął do torby, otworzył w niej izolowane opakowanie i wyciągnął strzykawkę załadowaną srebrzystym Nexusem.

Odwrócił się. Breece cały czas ścigał siatkowane panele. Panele klatki Faradaya, dotarło do Kade'a.

Ale nie miało to już znaczenia. Otworzyli swoją klatkę i wpuścili go do środka. I teraz byli zdani na jego łaskę.

Kade zdjął nasadkę ze strzykawki, trzymał ją za plecami Hiroshiego, podszedł swobodnie do Breece'a od tyłu.

Breece wspiął się na taboret, żeby sięgnąć zaczepów na górze następnego panelu. Carl Orff chodził mu po głowie, epickie chorały i perkusja „O Fortuny”.

Trzask. Trzask. Trzask. Panel był już w połowie zdjęty, kiedy coś zaalarmowało Breece'a. Zerknął przez ramię i kątem oka zobaczył, że Hiroshi stoi za nim, coś błysnęło w jego ręku, kiedy robił zamach.

Breece zablokował odruchowo, wyrzucił rękę, żeby zapobiec uderzeniu. Coś ostrego

wbiło mu się w przedramię. Obrócił się, cofając tym samym rękę, i igła wbita w jego mięsień pękła. Srebrzysty płyn Nexusa trysnął ze strzykawki, którą cały czas trzymał Hiroshi.

- Co, do chuja?! - krzyknął Breece.

Wtedy Hiroshi wskoczył na niego, wyprowadzając serię niezdarnych sierpowych.

Czyżby Zara go przekupił? - pomyślał Breece.

Przy następnym ciosie Breece skrócił dystans, odwrócił się, chwycił, zakręcił się i przerzucił Hiroshiego przez biodro, prosto na ziemię.

Jego przyjaciel niezdarnie zbierał się na nogi, zupełnie bez śmiertelnie niebezpiecznej gracji, z jaką poruszał się prawdziwy Hiroshi.

Wtedy Breece zrozumiał. To nie był Hiroshi. To był ktoś inny.

Breece ponownie pozwolił hakerowi, aby ten zbliżył się do niego z ciałem przyjaciela. Tym razem zrobił krok na zewnątrz, zablokował ramię i wykręcił je Hiroshiemu, przygniatając go do ściany i zakładając tak mocną dźwignię, że niemalże wyłamała ramię. Drugą ręką wyciągnął pistolet i przystawił przyjacielowi do skroni.

Czy zadziała ból? Może groźby?

- Kim jesteś? - zapytał z naciskiem.

Kurwa.

Kade zaklął, kiedy Breece pozbawił go możliwości ruchu.

Teraz nie miał wyboru. Uwolnił ciało spod jakiegokolwiek kontroli i przeniósł całą uwagę na sondowanie umysłu Hiroshiego. Imiona. Miejsca. Hasła. Kim byli ci ludzie? Kiedy mieli zamiar spróbować? Gdzie? Jak?

- Breece - powiedział delikatnie Hiroshi.

- Hiroshi?

- Stary, on odczytuje mój umysł.

- Walcz z nim, Hiroshi. Możesz go pokonać.

Przyjaciel pokiwał lekko głową, jego skroń ocierała się o lufę pistoletu.

- Jest za silny - wykrztusił. - Pociągnij za spust.

- Pieprzyć to - odpowiedział Breece.

Kade słyszał, jak Hiroshi mówi. Musiał się pospieszyć i dowiedzieć się wszystkiego, co wiedział ten człowiek.

- Wiem więcej, niż myślisz - powiedział Hiroshi. - Wiem, kim jesteś, Breece.

Breece wstrzymał oddech.

- On to ze mnie wydobędzie - mówił gorączkowo, jakby chcąc ponaglić Breece'a, by ten wreszcie strzelił.

- Nie - wyszeptał Breece. - Nie, nie. - Rozejrzył się dookoła. Klatka Faradaya. Gdyby tylko mógł ustawić ją wokół Hiroshiego... Gdyby mógł jakoś zespolić panele. Nie mogłoby być żadnych luk. Nie mógłby to być cylinder. Musiałby zamknąć oba końce, żeby powstała kula albo sześcian.

- Nigeryjczyk! - Hiroshi prawie krzyczał. - Wiem, jak się nazywa, Breece!

Breece zamknął oczy, próbując się skoncentrować i znaleźć jakieś inne rozwiązanie, niepolegające na wpakowaniu kulki w głowę najlepszego przyjaciela, który ratował mu życie niezliczoną ilość razy.

- Ava! - teraz Hiroshi już krzyczał. - Wiem, kim jest Ava, Breece! Albo ja, albo ona!
Musisz zabić...

Breece pociągnął za spust. Dźwięk, zwielokrotniony przez echo, brzmiał jak wystrzał z armaty. Płomień z lufy poparzył mu twarz, która była tak blisko twarzy Hiroshiego. Krew zbryzgała policzki, brwi i powieki. Hiroshi zamilkł.

Szum.

[POŁĄCZENIE ZERWANE]

Kade podskoczył zszokowany i sfrustrowany. Niech to szlag!

Breece odsunął się i zwolnił uścisk, otworzył oczy. Ciało przyjaciela osunęło się powoli na ziemię, jego głowa, ześlizgując się po ścianie garażu, zostawiła ślad z krwi i rozmazanych kawałków mózgu.

Pistolet wypadł z bezwładnych palców Breece'a. Praktycznie tego nie zauważył, patrzył tępo na zwłoki przyjaciela. Breece upadł na kolana, uniósł do twarzy ręce powalane krwią.

Jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znał. Jeden z najodważniejszych. Człowiek, który walczył, aby dać innym wolność. Żeby dać im prawo do stania się bardziej ludźmi.

Człowiek, który umarł, żeby chronić drużynę. Swoją rodzinę.

Hiroshi powinien żyć wiecznie. Powinien stać się nieśmiertelnym postczłowiekiem. Zapracował sobie na to. Zasłużył bardziej niż większość. Użyłby swojej inteligencji i odwagi, aby uczynić świat lepszym.

Breece opuścił ręce, otworzył oczy, zmusił się, żeby zobaczyć, co zrobił swojemu przyjacielowi, swojemu bratu.

- Znajdę cię - powiedział do tej rzeczy, która przejęła umysł Hiroshiego. - Będziesz cierpiał. Będziesz błagał o śmierć.

43

Pojmanie

Sobota, 27 października

Świat Fenga zwolnił, gdy w lusterku wstecznym opancerzonego dżipa Chińczyk zobaczył samochody. Czarne SUV-y. Dwa. Wychylali się z nich żołnierze w lśniących zbrojach bojowych, w rękach mieli pistolety maszynowe. Bojowe zmysły Fenga rysowały mu linie przyspieszenia i siły odśrodkowej, ewentualne drogi do wyboru. Usłyszał strzały. Tamci celowali nisko, we wzmacniane metalem opony. Nie można ich było przebić, ale wystarczająco ciężki ostrzał mógł je zetrzeć. Chybione pociski odbiły się rykoszetem od opancerzonego tyłu.

Feng ostro skręcił i dżip wjechał w boczną uliczkę. Świat zakołysał się gwałtownie, gdy siła odśrodkowa szarpnęła Fengiem. Jego rany zakrzyczały bólem. Zignorował to, wszedł w jeszcze ostrzejszy zakręt, pozwalając, by siła odśrodkowa wgniotła go w drzwi.

Tamci znów strzelali z obu wozów, Feng czuł, jak kolejne pociski wgrzyzają się w opony. Następna dioda na tablicy rozdzielczej zapłonęła żółto. Ta obok niej zmieniła kolor na czerwony. Feng szarpnął kierownicą i wyprostował dżipa.

Po lewej zobaczył wylot alejki i skręcił w nią gwałtownie, tutaj SUV-y nie mogły jechać obok siebie. Widział, jak śmieci wyleciały w powietrze w zwolnionym tempie, gdy dżip zahaczył o kubek.

Pierwszy SUV skręcił w alejkę, zaraz za nim drugi. Któryś z żołnierzy wychylił się z okna, strzelając nieustannie, po czym uchylił się gwałtownie, gdy poleciał na niego kolejny

kubel śmieci potracony przez Fenga.

Teraz, pomyślał Feng.

Z całej siły wcisnął hamulec. Sińce i rany po kulach przeszły ciało ostrymi falami bólu, gdy gwałtowna utrata prędkości zawiesiła Fenga na pasach.

Rozległ się ogłuszający huk i dżipem rzuciło do przodu, gdy SUV uderzył w jego tył.

Feng jęknął z bólu, ale nie tracąc chwili, dodał gazu. Połowa tylnej szyby była teraz nieprzeniknioną czernią, w drugiej połowie Feng widział rozbity przód niezdolnego do dalszej jazdy samochodu, a ponieważ wóz blokował alejkę, ten drugi też już nie mógł ścigać Fenga.

Tak! - pomyślał Feng.

Soo?!?! - umysł Kade'a wrócił do terażniejszości. Feng zaryzykował krótkie spojrzenie na przyjaciela, myśli Lane'a emanowały poczuciem porażki i frustracji.

I nagle ściany przed nimi eksplodowały, siejąc wokół kawałkami cegieł.

Shiva zamrugał zdezorientowany, gdy połączenie z awatarem zostało gwałtownie zerwane.

Hayes obserwował wydarzenia na ekranie.

- Drużyny C i D są w drodze.

Shiva też wpatrzył się w przekaz wideo. Kamera jednego z dronów pokazywała, jak opancerzony dżip pędzi alejką, za nim jechali ludzie Shivy, strzelając w koła, próbując unieruchomić pojazd, nie raniąc przy tym Lane'a.

Dżip zatrzymał się gwałtownie i samochód za nim uderzył we wzmacniony zderzak.

- Wysadzić przeciwległy koniec alejki - zakomenderował Hayes. - Odciąć ich.

Dwa krążące nad samochodami drony odpaliły mikrorakiety. Shiva wstrzymał oddech. Mogli zabić Lane'a.

W tym momencie rakiety trafiły w cel i ściany budynków po obu stronach alejki runęły, zamykając wylot uliczki.

Feng patrzył, jak ściany wałę się w zwolnionym tempie, i wiedział już, że nie da rady. Zahamował gwałtownie. Dżip zatrzymał się z piskiem, jechali zbyt szybko i ściany runęły zbyt blisko.

Prawe przednie koło uderzyło w rumowisko z rozdzierającym trzaskiem, który Feng poczuł aż w swoich kościach. I dżip się przechylił. Zadziałała grawitacja i moment bezwładności, tył samochodu uniósł się w powietrze i dżip zaczął koziołkować.

Feng rozluźnił się, jak go uczono, i pozwolił, by czas wokół niego zatrzymał się na chwilę. Analizował wszystko naraz, zgodnie z tym, jak został zbudowany i przeszkolony, jak miał postępować w walce: moment obrotowy i trajektoria dżipa, na dach i potem na bok, uderzenie w budynek po prawej; jęknięcie zszokowanego i wystraszonego Kade'a, pas, którym sam był przypięty, broń w zasięgu ręki, którą zabierze, gdy już wydostaną się z dżipa.

I ułamek sekundy później samochód zakończył swój taniec, uderzając w ścianę alejki, ciągle się obracając, przebił mur, belki nośne, otwierając szeroką wyrwę w budynku, by wreszcie zatrzymać się, oparty na lewym boku.

- Wyłaż! - wrzasnął Feng. Kade był oszołomiony, obolały od pasa bezpieczeństwa, wciąż ogłuszony, tak samo jak i zaskoczony powietrznymi ewolucjami dżipa. Jego fotel znajdował się teraz na górze, Fenga na dole. Mieli otworzyć drzwi po stronie Kade'a, wspiąć się i uciec, zanim dopadną ich żołnierze.

WYŁAŻ! - wysłał Feng do przyjaciela.

Kade wzdrygnął się gwałtownie. Sięgnął do drzwi i pchnął, by je otworzyć. Feng czuł

ból promieniujący z ręki przyjaciela, wciąż zbyt słabej i zbyt wrażliwej na takie wysiłki.

Feng rozpiął pas, stanął na drzwiach po stronie kierowcy. Wspiął się ku przeciwległemu, przechodząc nad Kade'em, wciąż przypiętym pasami, otworzył je i wyszedł na zewnątrz.

W powietrzu pełno było pyłu i dymu. Z porozrywanych rur lała się woda, z kabli strzelały iskry. Koła dżipa po tej stronie, na której stał Feng, wciąż się obracały.

Budynek nad ich głowami stęknął groźnie. Posypało się jeszcze więcej pyłu. Musieli się stąd wynosić.

Złapał Kade'a za rękę i pas.

- Odepnij! - wrzasnął.

Kade rozpiął pas i Feng mógł wyciągnąć przyjaciela z dżipa. Potem pomógł mu stanąć na ziemi. Kade zgiął się w paroksyzmie kaszlu, opierając o samochód, każde kasznięcie wzmagало jeszcze ból w klatce piersiowej.

Feng sięgnął do samochodu po broń. Przez jedno ramię przewiesił pas z nożami i granatami. Przez drugie pas z paskudnym sześćdziesięciocentymetrowym ostrzem. Do tego karabin maszynowy i dwa dodatkowe magazynki.

Budynek jęczał już teraz głośniej. Feng spojrzał w górę. Odsłonięta belka, którą zahaczył dżip, powoli zaczynała się poddawać, milimetr po milimetrze ugiwała się, powodując osypywanie się pyłu.

KADE! - nadał Feng. UCIEKAJ!

W tym samym momencie skulił się obok przyjaciela. Widział w zwolnionym tempie, jak belka się skręca, pokrywa siatką pęknięć, jak zgina się w ich stronę. Kade stał zamrożony w czasie, zgięty wpół, chciał uczynić jakiś ruch, ale wstrząsał nim potężny atak kaszlu. Palce stóp Fenga dotknęły ziemi, potem pięty i Feng zepchnął Kade'a z drogi pękającej belki,

pozwalając, by tym samym siła odrzutu jego cisnęła w przeciwnym kierunku. Kade poleciał do przodu. Feng jedną nogą zaparł się o dżipa i wykorzystał to, by uskoczyć poza zasięg padającej ściany. Nie śmiał odwrócić głowy, by spojrzeć, słyszał każde pęknięcie, każde przesunięcie, aż wreszcie cegły, belki i deski poddały się w jednym nieskończonym rozciągniętym momencie, który Feng po prostu musiał przetrwać, nie miał innego wyjścia. Jego stopa dotknęła podłoża, a palce znalazły oparcie, by pchnąć Fenga naprzód. Kade zataczał się wytrącony z równowagi, znalazł się po drugiej stronie dziury, jaką wybił dżip.

Pierwsza cegła rąbnęła Fenga w tył głowy. Jego lewa noga sunęła do przodu, Feng zrobił kolejny krok w stronę Kade'a. Potem coś ciężkiego uderzyło go w plecy i ramię i zważyło na ziemię.

Kade zatoczył się, gdy Feng prawie odrzucił go od dżipa. Potknął się o gruz i padł na kolana dokładnie w momencie, gdy za nim rozległ się potężny huk. Umysł Fenga zakrzyczał bólem.

Kade odwrócił się, wciąż na kolanach. Za sobą, tam, gdzie wcześniej był Feng, zobaczył teraz usypisko potrzaskanych cegieł, spowite kłębamii dymu i pyłu.

!!

Nadal czuł umysł Fenga. Przyjaciel żył! Kade musiał mu pomóc!

Potem poczuł ukłucie na szyi. Mimowolnie podniósł dłoń i palce natrafiły na strzałkę. Obejrzał się, zdezorientowany, świat zaczynał już tracić kontury. Mężczyźni w czarnych zbrojach mierzyli do niego z karabinów.

Nie, nie. Zamknął oczy, próbował wywołać ikonę, uruchomić skrypt, który zamknie na zawsze wszystkie tylne drzwi...

I runął twarzą na bruk.

Phuket

Sobota, 27 października

Sam opatrzyła swoje rany najlepiej jak umiała. Kula przestrzeliła jej triceps, ale ominęła ścięgna i kość. Ulepszone krzepnięcie niemal natychmiast zatrzymało krwawienie. Dzięki genom regeneracji włókna mięśni już się łączyły, zamykając ranę.

Gdyby Jake miał te możliwości... Gdyby technologia była dostępna dla wszystkich, a nie tylko dla szpiegów i żołnierzy...

Sam przełknęła gorycz, przemyła ranę i zaciskając z bólu zęby, nałożyła krem z antybiotykiem i bandaż. Mniejsze rany same się zamykały, ale i tak trzeba je było zdezynfekować. Jeszcze trochę przemywania, maści z antybiotykiem i opatrunków, a za kilka dni będzie jak nowa.

Zmyła krew i kurz, założyła czyste ubranie, zebrała noże, pistolet, gotówkę i fałszywe dokumenty. Była gotowa.

Opuszczając sierociniec, zatrzymała się na chwilę przy ciele Jake'a, przyklękła i musnęła jego twarz palcami. Żałowała, że nie będzie jej dane nic już dla niego zrobić, pochować go, okazać mu czułości i troski, na jakie zasługiwał. Ale potrzeby żywych były istotniejsze niż potrzeby zmarłych.

Zrobiła, co mogła w tak krótkim czasie. Przeniosła jego ciało do szklarni. Rośliny, bogata ziemia i wilgotne, przesycone dwutlenkiem węgla powietrze miały dla niego woń życia. Zostawiła go tam, w najspokojniejszym miejscu, jakie знаła. Wysoki poziom dwutlenku węgla karmił rośliny i zabijał owady, śluz powietrzna natomiast powinna utrzymać z dala ścierwojady. Przynajmniej zapewniła Jake'owi trochę godności.

Poczuła lżę na policzku i wzbierający w piersi szloch. Zrozumiała, że musi iść teraz albo nie odejdzie nigdy, zostanie tu sparaliżowana bólem i poczuciem straty. Iść. Musiała iść.

Kierowca ciężarówki wziął ją na łebka przy wjeździe na autostradę i podrzucił aż do Thung Song, gdzie ruch uliczny pełził porażająco powoli. Próbowwała złapać następną okazję na postoju ciężarówek przez jakieś dwie godziny. Gdy uznała, że nie ma na to szans, znalazła stary motor, stojący w cieniu poza zasięgiem kamer. Gołymi rękami oderwała kawałek metalu skrywający kable zapłonu i spięła silnik na krótko, tak jak ją nauczono w ERD. A potem ruszyła w noc.

Z głównego mostu prowadzącego na Phuket zjechała chwilę po północy. Porzuciła motor na poboczu, wynajęła tani pokój w podlegszej dzielnicy miasta, wzięła prysznic, założyła ciemną bluzkę bez rękawów i spodnie, które kupiła tu przed miesiącami. Zastąpiła bandaż na tricepsie trzema warstwami winylowej taśmy, a otarcia i sińce ukryła pod korektorem. Gotówkę, telefon i dokumenty pochowała po kieszeniach. Na koniec założyła czterocalowe szpilki o wąskich noskach i LED-owych ćwiekach, kupione razem z resztą stroju.

Noże i pistolet zostawiła w spokoju. Przeszukają ją, zanim pozwolą na widzenie z Lo Prangiem. Posiadanie jakiegokolwiek broni przekreśliłoby jej szanse.

Poza tym sama w sobie stanowiła zabójczy oręż.

Za dnia Phuket było nadmorskim kurortem, w nocy oazą nieskończonej rozpusty. Jak połączenie Miami i Las Vegas, oferowało wszelkie przyjemności, jakie woda i słońce mogą dać przez połowę doby, i te związane z hazardem, narkotykami oraz seksem o dowolnej porze dnia lub nocy.

Pałac Przyjemności Lo Pranga znajdował się na końcu długiego rzędu barów, klubów nocnych i burdeli, gdzie turyści zbierali się, by wydawać pieniądze na alkohol, prochy i chętne ciała dziewcząt, które tysiącami przybywały tu z prowincji.

Sam też tu przyszedł prawie pół roku temu, szukając zarobku. Nielegalne walki muay thai organizowane przez Lo Pranga dawały niezłe zyski. Lo Prang dopłacał dodatkowo atrakcyjnej kobiecie z Zachodu, która chętna była stanąć na ringu. A Sam, widząc, że wszyscy stawiają wysoko przeciwko niej, wzięła ogromną pożyczkę u lichwiarza i postawiła na siebie. Trzy walki później stać już ją było na nową tożsamość, terapię melaninową i nowe

rysy twarzy, które pozwoliły jej ruszyć w drogę do Mae Dong.

Teraz potrzebowała czegoś innego. Czegoś, co będzie kosztować znacznie więcej.

Przed wejściem do Pałacu wił się ogonek na jakąś godzinę stania. Miał stworzyć wrażenie, że klub jest elitarny i niezwykle popularny zarazem. Sam ominęła kolejkę. W swoich szpilkach górowała nad większością kobiet i mężczyzn stojących przed klubem. Maleńkie diody LED na jej obcasach pulsowały z każdym krokiem, rozbłyskując, gdy obcas dotykał gruntu, wysyłając w górę szpilek fale blasku. Sam skierowała się ku początkowi kolejki, gdzie czekali ochroniarze o zmodyfikowanych, wielkich mięśniach i ponurych minach, odziani w czarne garnitury.

Zauważyła ten błysk rozpoznania, który pojawił się na ich twarzach, gdy tylko ją zobaczyli. Wielki Azjata podniósł palec, by przycisnąć schowaną w uchu słuchawkę. Jego usta rozchyliły się, gdy coś powiedział. Sam podchwyciła jego spojrzenie i zrozumiała ten ruch warg.

- Jadeitowa Tygrysica - mówił po tajsku. - Jadeitowa Tygrysica.

Ochroniarz wciąż patrzył jej w oczy, skinął głową, najwyraźniej w reakcji na słowa płynące ze słuchawki, i zdjął aksamitny sznur zamykający wejście.

Pałac Przyjemności zbudowano na klifie, z każdego poziomu gmachu rozciągał się widok na fale morza poniżej. Wejście znajdowało się na szczycie wzniesienia i zarazem najwyższym poziomie klubu, stamtąd schodziło się niżej i niżej, każdy kolejny poziom był mroczniejszy, a usługi tam oferowane coraz mniej miały wspólnego z obowiązującymi normami zarówno prawnymi, jak i moralnymi.

Sam weszła do klubu, przeszła przez najwyższe piętro, obok parkietu, gdzie hostessy w swoich skąpych sukienkach, obcisłych niczym druga skóra, tańczyły z dwukrotnie starszymi Chińczykami czy Amerykanami, próbując skłonić mężczyzn, by zapłacili za więcej przyjemności oferowanych bardziej kameralnie. Minęła bary, gdzie turyści zamawiali kolejki wódki lub świecące, gazowane albo dymiące drinki. Minęła kanapy wokół fajek wodnych, gdzie odpoczywali młodszy, z zapamiętaniem zaciągając się genetycznie wzmocnionym

haszyszem lub marihuaną, z enzymatycznie wydzielającą się ekstazą albo odrobiną zaledwie dosypanego dyskretnie opium.

Znalazła schody prowadzące na kolejny poziom i zeszła niżej. Groteskowo umięśnieni ochroniarze zeszywnieli, gdy się zbliżyła. Odczytała napięcie z mowy ich ciał, z rozszerzonych oczu, które wodziły za nią uważnym spojrzeniem, i minęła ich, jakby nie istnieli. Schody prowadziły na poziom, gdzie kasyno łączyło się z klubem ze striptizem. Mężczyźni i kilka kobiet oddawali się hazardowi, podczas gdy nagie i półnagie Tajki tańczyły na scenie lub ocierały się o graczy, pieszcząc ich dyskretnie pod stołami, zdobywając zapłatę za taniec i pieszczoty w żetonach, a zarazem rozpraszając graczy, co zwiększało szanse kasyna.

Sam wychwyła coś na częstotliwości Nexusa. Emanację jak u żywych trupów. Hazardziści, bez reszty ogarnięci transem uzależnienia, kładli na stół żeton za żetonem, zdenerwowani, a zarazem trawieni żądzą, spragnieni tej fali rozkoszy, przychodzącej wraz z trzema wisienkami albo dobrym układem kart. Aż nazbyt słodki zew dochodził z umysłów tancerek, to było udawane podniecenie, obietnica słodkich rozkoszy za odpowiednią cenę.

Sam uznała to za obrzydliwe.

Czym prędzej zeszła na kolejny poziom, zostawiając za sobą zalane seksem kasyno. Zatrzymali ją w przejściu. Jeszcze więcej wielkoludów w garniturach. Byli potężniejsi, bardziej spięci i nakręceni niż poprzednicy.

Widzieliście moją walkę z Glao Botem? - zastanawiała się Sam. Widzieliście, co zrobiłam z tamym olbrzymem? Myślicie, że wam pójdzie lepiej?

Na to piętro wstęp był płatny, wyjaśnili. Tysiąc bahtów. Słyszała drzenie w ich głosach, ale zapłaciła. Przeszukali ją starannie i bardzo profesjonalnie.

Lepiej się czujecie, wiedząc, że nie mam noża ani pistoletu? - pomyślała. Lepiej się czujecie, skoro widzieliście, co potrafię zrobić gołymi rękami?

Skończyli przeszukanie, skinęli Sam głowami i otworzyli przed nią drzwi na najniższy

poziom Pałacu Przyjemności Lo Pranga.

Natychmiast poczuła, jak jej umysł z każdej strony zalewa seks. Obezwładniająco intymne wrażenia kobiet i mężczyzn. Sam zamknęła umysł, odepchnęła niechciane myśli i uczucia.

To piętro było prawdziwym labiryntem nisz i wnęk oraz korytarzyków między nimi. W każdej niszy znajdowała się scena, na której odbywał się seks na żywo, kobiety i mężczyźni w każdej możliwej pozycji, w każdym układzie, parami, trójkami, czwórkami i w większych grupach. Każdy krok Sam błyskał światłem, które wyławiało z mroku ludzi w uścisku nieprawości.

Od czasu, gdy była tu ostatnio, wiele się zmieniło. Teraz Nexus rządził tym miejscem. Każda alkowa oferowała przyjemności dla ciała i zmysłów. I każda oferowała też dodatkowe rozkosze użytkownikom Nexusa.

Publiczność obserwowała, używała Nexusa, by dostroić się do wrażeń, które chcieli chłonąć. Sam widziała zaproszenia do wszelkich fantazji, jakie kiedykolwiek miała, i jeszcze więcej do takich, które nigdy nie przysły jej do głowy. Oferowano jej możliwość przejęcia kontroli nad dowolnym ciałem, zapraszano do sterowania rozwojem wypadków, jeśli zapłaciłaby odpowiednią cenę, do przeżycia każdego doznania, które rodziło się na scenie, z punktu widzenia obu płci, i nie musiała nawet brudzić rąk.

Znak zapowiadał, że mogła dostroić się do dowolnego uczestnika orgii gdziekolwiek na świecie, jeśli miałyby na to ochotę.

Podchodzili do niej chłopcy i dziewczęta, oferowali swoje usługi, okazja za podwójną cenę. Byli naładowani Nexusem, żeby mogła poczuć każdą odrobinę przyjemności, gdy ich posiadzie, albo doświadczyć ich bólu, gdy ich poniży, zrani, upodli, jeśli akurat to by ją kręciło. Sam przypomniała sobie matkę Sarai, przerażenie samej Sarai, gdy stała się tego częścią. Zacisnęła pięści w gniewie i przepchnęła się dalej.

W innych niszach siedzieli chłopcy i dziewczęta gotowi na zawołanie się w niej zakochać, gotowi za pomocą Nexusa zmienić własne umysły. Dość już udawanej pasji i

namiętności. Dlaczego nie wynająć sobie dziwki, która naprawdę jest tobą zainteresowana, którą podniecasz, która do obłędu spragniona jest twego dotyku? Czy nie tego chcesz?

Sam czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. To miejsce uosabiało wszystko, czego nienawidziła w Nexusie.

Nie, poprawiła sama siebie. Nie chodzi o Nexusa. To ludzie używają go w ten sposób.

Nielatwo przyszło jej to rozróżnienie, z trudem to zrozumiała. Technologię można wykorzystać dobrze i źle, może być odrażająca, ale i uwznioślająca. Nie pozwoli, by ohyda tego miejsca skaziła wspomnienie chwil, gdy Sam dotykała umysłów dzieci.

Im dalej szła, tym bardziej brakowało jej słów, by opisać, co widziała. Perwersja i poniżenie. Kobiety, głównie kobiety, robiły za pieniądze rzeczy, jakich nie powinien robić żaden człowiek, nieważne, czy z własnej woli, czy nie. Rozogniona publika dostrajała się, chłonąc wrażenie poniżanego lub poniżającego. A Sam zbierało się na wymioty.

Aż wreszcie skręciła w korytarz, który prowadził do pomieszczeń zajmowanych przez Lo Pranga.

Gdy tylko znalazła się za rogiem, przestała doświadczać wrażeń związanych z seksem i upodleniem. Lo Prang na pewno schodził tu inną drogą, ale chciał, by interesanci trafiali doń właśnie tędy, przemierzając jego dominium, zmuszeni doświadczyć wszystkiego, odczuwając podniecenie lub odrazę, bez różnicy, ponieważ i to, i to wytrącało ich z równowagi.

Sam wysoko trzymała głowę. Miała plan i cel. Reszta była bez znaczenia.

Drzwi pilnowało kolejnych dwóch gigantów w garniturach. Wszczepy mięśni i poprawki genetyczne poszerzyły im ramiona i barki do groteskowych rozmiarów. Pod marynarkami rysowały się kontury broni, w uszach mieli słuchawki. I tym razem Sam mogła poczuć ich umysły.

Obrzucili ją spojrzeniami, gdy się zbliżała. Wzrokiem poszukali broni. Nie bali się. Byli więksi niż koledzy, być może nawet bardziej gotowi do stawienia jej czoła.

Durnie.

Sam podeszła do nich, wyprostowana, z uniesioną głową.

- Chcę rozmawiać z Lo Prangiem - oznajmiła. - Powiedzcie mu, że Jadeitowa Tygrysica wróciła.

45

Nigdy cię nie opuszczę

Niedziela, 28 października

Pewnego dnia ŻLI LUDZIE w białych ubraniach przyszli do pokoju gdzie mieszkał Bobby ze swoimi nowymi przyjaciółmi i zabrali Alfonsa na test i Alfonso z nimi poszedł do takiego specjalnego pokoju do testów i trochę później poszedł do jeszcze bardziej specjalnego pokoju do testów i zamknęli drzwi i on ZNIKNAŁ z ich głów. Ale to nie było złe bo już wcześniej tak robili i, jak powiedział Bobby'emu Tim, każdy wracał i Bobby wrócił i Tim wrócił i Alfonso też pewnie wróci i pokaże wszystkim że miał test z trygonometrii albo francuskiego albo czegoś o czym Alfonso nic nie wiedział, ale się nauczył jak spał bo jeden z nich to umiał i to już wystarczyło.

Alfonsa długo nie było i Bobby zaczął się martwić i powiedział Timowi że się martwi a Tim powiedział żeby się nie martwić, ale Bobby wiedział że Tim też się martwi bo nikt nie zniknął na tak długo i Jose się martwił i Parker się martwił i Tyrone się martwił, i wszyscy mówili żeby się nie martwić głosami ale ich głowy mówiły żeby się MARTWIĆ i BARDZO MARTWIĆ i im bardziej Bobby się bał tym bardziej czuł że Tyrone i Pedro i Nick i nawet Tim się boją, a to sprawiało, że sam bał się jeszcze bardziej!

I wtedy drzwi się otworzyły wszyscy to usłyszeli i Bobby poczuł się trochę lepiej i czuł, że jego przyjaciele też czują się lepiej bo może to wracał Alfonso i wszystko już będzie

OK ale nie było ani trochę. Bobby był w pokoju z łózkami więc nie mógł widzieć drzwi ale Nick zobaczył jednego ze złych ludzi jak wchodzi do pokoju i był z nim Alfonso, ale to nie był Alfonso, bo tam nikogo nie było, NICZEGO NIE BYŁO W GŁOWIE ALFONSA i chłopiec który wyglądał jak Alfonso ale nie był prawdziwy płakał i Nick krzyknął bo to był Alfonso, to był Alfonso ale oni go ZEPSULI całkiem UKRADLI NEXUSA Z GŁOWY ALFONSA.

I wtedy wszyscy KRZYCZELI, Nick i Tim i Tyrone i Pedro i Bobby wszyscy, i Tim ruszył na ZŁEGO CZŁOWIEKA i spróbował go WALNAĆ i KOPNAĆ i Tyrone też się na niego rzucił i Pedro się rzucił i Bobby też pobiegł z pokoju z łózkami do pokoju z zabawkami i kanapami i rzucił się na Złego Człowieka a on go PRZEWRÓCIŁ i Bobby UGRYZŁ GO W TWARZ i wtedy coś go uderzyło mocno w głowę i przewróciło go na plecy i wszystko było niewyraźne i kiedy Bobby wstał w pokoju było więcej ZŁYCH LUDZI z pałkami i bili wszystkich chłopców a chłopcy próbowali ich GRYŻĆ i KOPNAĆ i WALNAĆ i PODRAPAĆ i Bobby wstał i rzucił się na Złego Człowieka ale coś uderzyło go w brzuch i to BOLAŁO i źli ludzie byli zbyt silni i bili zbyt mocno i potem było po wszystkim.

Źli ludzie sobie poszli. Chłopcy jęczeli i płakali. A chłopiec który kiedyś był Alfonsem a teraz był nikiem nie powiedział ani słowa. Siedział w kącie i zasłaniał twarz i płakał i płakał i płakał i płakał i płakał i nie było tam nikogo, kogo mogliby poczuć, nikogo kto by istniał.

I wszyscy płakali, bo wiedzieli że jeśli źli ludzie zrobili to Alfonsowi to źli ludzie zrobią to samo im wszystkim.

Zabrali Rangana po trzech dniach. Drzwi jego celi otworzyły się gwałtownie i dwóch sanitariuszy wpadło do środka, w dłoniach mieli maski i kajdanki, a na twarzach ponure miny. Za nimi stali uzbrojeni strażnicy.

Rangan podniósł się z podłogi, unosząc ręce w geście poddania.

- Zaraz! Zaraz! Co zrobiłem?

Złapali go za nadgarstki, obrócili ku sobie, wcisnęli twarz w betonową podłogę i

naciągnęli mu maskę.

Rangan poczuł falę strachu. Co jest, do cholery? Chodziło o Bobby'ego i dzieciaki? Wykryli, co Rangan z nimi robił?

- Proszę - jęknął, gdy przypinali go do łóżka - proszę, powiedzcie mi, co się dzieje. Wszystko wam powiem, przysięgam!

Nie chodziło o dzieciaki. To coś gorszego, był pewien. Teraz stał się już bezużyteczny. Wszystko im powiedział. Wywozili go na egzekucję, zamierzali go wywalić jak jakiś śmieć.

Po twarzy płynęły mu łzy. Nienawidził siebie za słabość. Taki był wściekły, że im uległ, a teraz bał się do tego stopnia, że postąpiłby tak samo, powiedziałby im wszystko, co chcieliby wiedzieć, i jeszcze raz, i jeszcze, byle tylko pozwolili mu żyć...

Sanitariusze go zignorowali, przypiętego do łóżka wywieźli na korytarz. Próbował nad sobą zapanować. Oddychaj. Oddychaj, Rangan. Weź się, kurwa, w garść.

[aktywuj spokój poziom 3]

Tylko odrobinę. Nie na tyle, by doszli do wniosku, że jest zbyt spokojny, bo wtedy zrobią mu krzywdę. Tylko odrobinę. Może zdoła ich oszukać.

Zaczął myśleć trochę jaśniej. Może nie chodziło o wyrok. Czyżby chcieli go jeszcze przesłuchiwać? Jeszcze torturować? Myśleli, że jeszcze coś wie?

Nie wiedział! Ale może powinien coś zmyślić? Cokolwiek? Jakikolwiek powód, żeby utrzymali go przy życiu?

Łóżko skręciło raz jeszcze i znieruchomiało. Słyszał, jak drzwi otwierają się i zamykają. Ktoś poklepał jego rękę po wewnętrznej stronie łokcia, szukając dobrych żył. Poczł ukłucie. Drgnął.

- Proszę - zwrócił się do tego, kto zakładał mu kroplówkę. - Co się dzieje?

Żadnej odpowiedzi.

Dłonie cofnęły się. Nic już nie słyszał, nic też nie widział. Przez igłę coś zimnego wpływało do jego ręki.

To już? - zastanawiał się. Śmierć przez zastrzyk?

Czuł, że kręci mu się w głowie, zasypiał powoli. To tak się umierało?

I wtedy Głos przemówił, hucząc echem w głowie Rangana.

- Okłamałeś nas. Dałeś nam fałszywe kody. Kto by pomyślał, że stać cię na coś takiego?

Co? Fala strachu podeszła Ranganowi do gardła, niwecząc działanie pakietu uspokajającego.

- Nie! - krzyknął. - Nie! Powiedziałem prawdę!

Dlaczego to robili? Powiedział im wszystko, powiedział im o wiele za dużo, a oni wciąż zamierzali go torturować.

- Błagam! Wszystko już powiedziałem!

- Nie podejrzewałem, że stać cię na coś takiego, Ranganie. Naprawdę, jestem pod wrażeniem. Ale tym razem spróbujemy czegoś nowego.

- Nie, błagam!

I wtedy poczuł wokół siebie umysły. Cztery, pięć, sześć.

Co?

Naparli na niego, brutalnie i mocno.

FURTKA. KODY. DAJ NAM HASŁO.

Dałem!

Atakowali go razem, naciskając na jego umysł, żeby ujawnił to, co Rangan już im zdradził. Ranili go.

Więc walczył.

Ich było sześciu, on jeden, ale używał Nexusa o wiele dłużej niż którykolwiek z nich, pewnie dłużej niż wszyscy razem wzięci.

Aktywował obronę, którą sam stworzył, uderzył w nich zakłóczaczem Nexusa, który skopiował przy okazji pierwszego aresztowania przez ERD. Uderzył z brutalną siłą. Atakował, żeby ich ogłuszyć, mieszać, zwrócić przeciwko sobie.

Jednak w końcu go pokonali. Mieli przewagę liczebną, a on był oszołomiony środkami uspokajającymi.

Pokazał im wszystko. Wszystko, co powiedział im wcześniej, wszystko, co już wiedzieli.

To jakiś chory żart, myślał. Po prostu pretekst, żeby się nade mną znęcać.

Ale ich umysły pełne były frustracji. Czuł ich rozczarowanie. Naprawdę myśleli, że kłamał, że dał im złe kody i hasła. Spodziewali się, że znajdą w jego umyśle coś nowego.

Wyciągnęli z niego informacje raz jeszcze, dwa razy, trzy, cztery, naciskając nań w każdy możliwy sposób, szukając jakichś głębiej ukrytych warstw, jakiegoś znaku, że zdołał ich oszukać. Wreszcie się poddali.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi, usłyszał kroki. I zniknęli. A on leżał, dygocąc, czuł się bezradny i zbrukany, i zastanawiał się, czy teraz wpompują mu do żył śmiertelną mieszankę, żeby go wykończyć, skoro okazał się bezużyteczny.

I wtedy do niego wreszcie dotarło.

Nie mieli prawdziwych kodów. Te, które im dał, nie działały. A to znaczyło... To znaczyło, że Kade albo Ilya, albo ktoś inny zmienił te kody, zanim wypuścił Nexus OS. A to znaczyło, że Rangan nie był zdrajcą. Nie mógłby, nawet gdyby chciał.

Parsknął śmiechem. Potem raz jeszcze. I znowu.

Udało im się. Pokonali pierdolone ERD! Grupa dzieciaków, a jednak im się udało!

Kiedy sanitariusze po niego przyszli, zanosił się niepowstrzymanym śmiechem. Śmiał się, kiedy wyciągnęli wenflon z jego ręki, śmiał się, kiedy odwozili go do pokoju, śmiał się, gdy zdjęli mu z głowy kaptur i wepchnęli łóżko do kąta.

Kurwa, prześmieszne!

I wtedy poczuł Bobby'ego w głowie, poczuł, przez co przeszli chłopcy, i śmiech zamarł mu na ustach.

46

Lo Prang

Niedziela, 28 października

Ochroniarze przeszukali Sam. I tak jak wcześniej ich koledzy, wykonali swoją pracę starannie, pod żadnym względem nie ryzykując bezpieczeństwa swojego pracodawcy.

Kiedy wreszcie skończyli, Lo Prang kazał jej czekać. Minuty wlokły się niemilosiernie, minuty, które mogła spędzić w drodze do Birmy, by uratować Sarai i Aroona, i Kita, i...

Pół godziny później jeden z ochroniarzy kiwnął do niej głową.

- Przyjmie cię teraz - powiedział po tajsku i otworzył drzwi.

Biuro Lo Pranga było większe niż jej mieszkanie w Waszyngtonie. Gruby dywan niczym czerwone złoto pokrywał podłogę. Pod ścianami stały kanapy wykonane na zamówienie. Zasiadało na nich kilkunastu dobrze ubranych i urodziwych chłopców w towarzystwie prowokująco odzianych kobiet. Atmosfera przesiąknięta była seksem i delirium. Wszędzie wisiały kosztowne obrazy, a same ściany miały po dwanaście stóp wysokości i łączył je złoty dach. Jedną od podłogi do sufitu pokrywały ekrany pokazujące to, co działo się w klubie, niczym w kalejdoskopie pojawiały się na nich zbliżenia kobiet tańczących, pijących, grających, pieprzających się nieustannie. Ściana była przejawem upodobania do podglądactwa, a nie częścią systemów bezpieczeństwa.

Lo Prang siedział pośrodku pomieszczenia. Smukły, żyłasty, z bardzo krótkimi włosami. Za młodu był mistrzem muay thai. Teraz, przekroczywszy pięćdziesiątkę, wciąż znajdował się w doskonałej formie. Wśród dekadencji biura Lo Prang był skupiony, nietknięty przez leki, delirium czy rozpustę. Biznesmen przede wszystkim.

Siedział za ogromnym biurkiem najwyraźniej wykonanym z jednego kawałka hodowlanego onyksu. Na blacie znajdował się tylko tablet, kubek wody i jeden duży pistolet. Lo Prang miał na sobie czarny jedwabny garnitur. Cała jego biżuteria ograniczała się do jednego złotego pierścienia. Spoglądał na Sam ciemnymi oczami. Gdy podeszła bliżej, zauważyła charakterystyczny błysk taktycznych szkieł kontaktowych, które najprawdopodobniej nieustannie przesyłały jakieś informacje szefowi mafii.

Za plecami Lo Pranga ściana monitorów pokazywała ujęcia z klubu. Tuż obok stało kolejnych dwóch przerośniętych ochroniarzy. Jeśli się jej obawiali, jeśli ktokolwiek w tym pokoju czuł lęk, Sam nie mogła tego wyczuć.

- Tygrysica - przywitał ją Lo Prang po tajsku. - Czy może raczej powinienem powiedzieć Sunee? Dobrze cię znowu widzieć.

- Lo Prang. - Skinęła mu głową. Czowała, że jakaś część transmisji Nexusa z klubu trafia do biura, mieszanka seksu, pijaństwa i zabawy. - Dziękuję, że zechciałeś się ze mną zobaczyć.

- Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Dwie kobiety zaczęły się całować, dotykać swoich piersi w głębokich wycięciach sukienek. Jeden z mężczyzn wciągał nosem biały proszek z uda panienki. Emanowali podnieceniem i pobudzeniem.

Bitwy wygrywa się w umyśle, uczył ją Nakamura. Wytrąć przeciwnika z równowagi, a jest twój.

Tak, pomyślała Sam. To była typowa zagrywka Lo Pranga. Rozpraszenie uwagi. Wszystko tutaj było obliczone właśnie na to. I miało ją wytrącić z równowagi.

- Muszę się dostać do Birmy - powiedziała. - Potrzebuję transportu, broni i sprzętu szpiegowskiego.

Lo Prang zaśmiał się sucho. Twarz mężczyzny, pociągła i szczupła, pokryła się siecią zmarszczek. Jego ludzie natychmiast do niego dołączyli. Nawet facet, który wciągał coś nosem, i całujące się dziewczyny przerwali sobie, by wyśmiać Sam, jej głupotę, jej bezczelność.

Sam odczekała, aż śmiechy umilkły.

- Będę znowu dla ciebie walczyć - powiedziała. - Skoro wróciłam. Pokonam najlepszych. Albo poddam walkę. Co tylko chcesz.

Lo Prang spojrzał jej głęboko w oczy.

- Tygrysico, Tygrysico - powiedział, kręcąc głową. - Czy kim tam jesteś. Kilka walk

nie wystarczy na pokrycie kosztów.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Co wystarczy?

Czuła, jak rozważa to błyskawicznie, czuła, jak jego myśli sięgają gdzieś poza biuro. Z kanap wstały dwie Tajki i stanęły po obu stronach Sam. Miały najwyżej po dwadzieścia lat, były szczupłe, o wydatnych piersiach, ubrane w sukienki równie skąpe, co dziewczyny na pierwszym piętrze, ale bardziej ozdobne, sprawiające wrażenie kosztowniejszych. Obie obwieszone były krzykliwą biżuterią i miały nieprawdopodobnie długie paznokcie, jedna czerwone, druga czarne. Sam dostrzegła mięśnie rysujące się na nogach i ramionach.

Obserwowała je, ale uwagę nadal koncentrowała na Lo Prangu.

- Taka jesteś nieszczęśliwa, Sunee - powiedział. - Ciągłe z czymś się zmagasz.

Dziewczęta przysunęły się do niej omdlewającym ruchem, okręcając się na piętach, póki nie dotknęły opuszkami palców nagiej skóry Sam. Czuła ich perfumy. Myśli pełne przyjemności i oddania. Jedna z nich dmuchnęła gorącym powietrzem w kark Sam.

- Mogę zająć się twoim problemem w Birnie - zaproponował Lo Prang. - A w zamian za to dołączysz do mnie. Staniesz się częścią rodziny.

Sam wzdrygnęła się na samą myśl.

- To takie miłe - tchnęła jedna z dziewcząt.

- Tak, możemy pomóc ci podjąć decyzję - dodała druga.

Przebiegły dłońmi po jej ciele, ocierając się o nią. Sam chciała je odepchnąć, ale potrzebowała pomocy Lo Pranga.

- Będiesz szczęśliwa - zapewnił.

Dłonie dziewcząt dotykały jej ramion, błędziły po plecach, po karku, po bokach. Ich dotyk budził w Sam odrazę. Niewolnice.

- To był nasz wybór - powiedziały zgodnym chórem. - Jest tak miło - dokończyły idealnie równo. Emanowały przyjemnością. Zadowoleniem. Otulało je ciepło miłości Lo Pranga. Bezpieczeństwo płynące ze świadomości, że należy się do kogoś innego, całkowicie, że już nigdy nie będzie trzeba się martwić...

- Nie. - Sam walczyła z torsjami. To był ich wybór? O tak, wierzyła im, ale to nadal czyniło z nich niewolnice.

- Będziesz bezpieczna - powiedział Lo Prang. - Moją rodzinę traktuję dobrze.

- Bardzo dobrze - zapewniły dziewczęta chórem. I Sam poczuła, że mówiły prawdę, że kochały swoje życie pod każdym względem.

Niewolnice. Nigdy. Nigdy więcej.

- Nie - powiedziała głośniejszym głosem. - Nie ma mowy.

Lo Prang pochylił się do przodu, wsparł łokcie na blacie i połączył opuszki palców.

- Jest jeszcze inny sposób.

- Mów. - Sam czuła, jak szarpią nią mdłości spowodowane pieszczotami młodych Tajek.

- Twoje geny, Sunee. - Lo Prang spojrzał jej głęboko w oczy. - Biopsja mięśni. Kości. Próbkę tkanek. Chcę tego, co sprawia, że jesteś, jaka jesteś.

Sam przymknęła oczy. Obawiała się, że do tego dojdzie. Mogła oddać to, co miała najbardziej wartościowego, żeby odzyskać to, co było dla niej najcenniejsze. Ale jeśli to zrobi... Sprzeda innych, skaze na śmierć ludzi, których nawet nie znała...

- Nie - odpowiedziała, nie otwierając oczu.

I wiedziała, co się stanie.

- Więc je po prostu weźmiemy - stwierdził Lo Prang.

Usłyszała kliknięcie, gdy fałszywe paznokcie dziewcząt zmieniły się w długie na dwa cale ostrza. Przejechały Sam po plecach, zostawiając bolesne ślady. Ale Sam już przypadała do podłogi, z jedną nogą wyprostowaną, ułamek sekundy później, w ruchu tak szybkim, że stał się rozmazaną smugą, obróciła się, zbijając z nóg dziewczynę po lewej.

W umysłach wokół niej eksplodował chaos. Widziała, jak Lo Prang sięga po pistolet z biurka, jego dwóch ochroniarzy wyciągało broń spod marynarek.

Sam przetoczyła się, by znaleźć się poza zasięgiem drugiej z dziewcząt, podniosła się z butem w dłoni, jednocześnie naciskając ukryty przełącznik. Ochroniarze mieli już w dłoniach pistolety maszynowe, unosili je do strzału...

Obróciła się, poluzowała obcasy i cisnęła je w przeciwne strony pomieszczenia. Lewe ramię zapiekło bólem, zamknęła mocno oczy i pozwoliła, by impet poniósł ją do przewrotu w prawo, pod osłonę biurka. Ramię zabolalo jeszcze mocniej. W pomieszczeniu zaterkotała broń automatyczna.

Usłyszała trzask, nawet przez zamknięte powieki widziała intensywną czerwień, gdy eksplodowały flary ukryte w jej obcasach. Słyszała wrzaski, wychyliła się zza biurka i rozejrzała. Ochroniarze zasłaniali twarze rękoma, oślepieni na kilka krytycznych sekund, machali bronią, ale żaden nie ośmielił się strzelić. Lo Prang stał przed nią z pistoletem w wyciągniętej ręce, nie była w stanie powiedzieć, czy widział cokolwiek.

Rzuciła się w bok, gdy strzelił, poczuła, jak pocisk zawadził o jej biodro, i już była obok niego. Uderzył łokciem, kolanem usiłował trafić ją w brzuch. Był szybki i dobry, ale już niemłody, a Sam miała nie tylko mniej lat, ale dysponowała lepszą technologią. Zablockowała łokieć Lo Pranga przedramieniem, a kopnięcie przyjęła na udo, cisnęła go na podłogę i

wyrwała pistolet jednym brutalnym ruchem. Ramię protestowało bólem, ale nie odmówiło jej posłuszeństwa.

Lo Prang przetoczył się, upadając, uniósł się wsparty na kolanie, szybko niczym wąż, w dłoni trzymał nóż. Sam była szybsza. Złapała za rękę z nożem, wykręciła za plecy Lo Pranga i przystawiła mu pistolet do głowy.

Podniosła głowę akurat na czas, by zobaczyć, że nożorękie dziewczyny odzyskały wzrok, a dwóch ochroniarzy z zewnątrz przepchnęło się przez tłum z automatami w rękach.

Zamarli, gdy zobaczyli, że trzyma pistolet przy głowie oszołomionego, mrugającego niepewnie Lo Pranga.

- A teraz - powiedziała do swojego jeńca - wybieram się do Birmy. A ty pojedziesz ze mną.

47

Nowe horyzonty

Niedziela, 28 października

Kade powoli dochodził do siebie, był oszołomiony i kręciło mu się w głowie. W jego umyśle szalały zakłócenia. Głowa go bolała. Rozchylił powieki. Leżał na wznak. Widział światło słoneczne, sufit ze złotymi filigranowymi gzymsami i kręcącym się, zdobionym wentylatorem. Spoczywał w wielkim, miękkim łożu, z rzeźbionymi kolumnami na rogach. Zamrugał, próbując zogniskować wzrok.

- Dzień dobry - powiedział Hindus.

Kade spojrział w jego stronę. Siwowłosa mężczyzna w białym stroju rozsuwał złote zasłony, odkrywając szerokie panoramiczne okno. Za nim znajdowało się błękitne niebo i

ocean. Od wody oddzielały Kade'a znajdujące się w oknach kraty i gęsta siatka.

Lane usiadł na łóżku. Zauważył, że ma na sobie bawełniane spodnie i luźną koszulę z tego samego materiału. Przebrali go, kiedy spał. Feng. Gdzie był Feng?

- Gdzie jestem? - zapytał.

- W moim domu - odparł Hindus. - W Birmie.

- Kim jesteś? - dociekał Kade.

- Nazywam się Shiva Prasad...

To brzmiało znajomo.

-...i mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi - dokończył Shiva.

Kade poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Też mi sposób, żeby zacząć znajomość - prychnął gniewnie.

Shiva uśmiechnął się.

- Wpierw zjedz - powiedział. - Potem porozmawiamy.

Po czym wymaszerował z pokoju różnym krokiem.

Kade zerwał się z łóżka, ale zanim zdążył ruszyć za Prasadem, do pokoju weszła młoda Azjatka, pchając przed sobą wózek. Towarzyszył jej dobrze zbudowany, śniady mężczyzna, którego pochodzenie było dla Kade'a zagadką. Kelner i ochroniarz w jednym. Kade zatrzymał się.

Dziewczyna wepchnęła wózek na środek pokoju i odsłoniła półmisek z jajkami, bekonem i ziemniakami, a potem następny, z naleśnikami, sokiem, wodą i kawą.

- Śniadanie - powiedziała po angielsku z mocnym akcentem.

Ich spojrzenia na chwilę się spotkały, Azjatka odwróciła wzrok i razem z ochroniarzem opuścili pokój. Kade usłyszał jeszcze szcęknięcie zamka.

Zjadł. Gdyby chcieli go otruć, najzwyczajniej w świecie mogli go przytrzymać i zaaplikować mu dowolną truciznę. Potem zbadał swoje więzienie.

Apartament był bardzo przestronny. Gigantyczne łoże z baldachimem. Antyczne biurko, krzesło oraz dwa zabytkowe ozdobne fotele w części wypoczynkowej. Osobista łazienka dorównująca rozmiarem jego mieszkaniu w San Francisco. Garderoba.

Czekały tam na niego ubrania. Więcej spodni i obszernych bawełnianych koszul. Dżinsy, szorty, koszulki, sandały, buty trekkingowe, skarpety, bielizna, dwa szlafroki, para kąpielówek. Wszystko w jego rozmiarze.

W aneksie kuchennym znajdowały się przekąski, zestaw sztućców i naczyń, piwo, woda gazowana, wino wyglądające na drogie, ekspres do kawy i robot kuchenny, który prawdopodobnie kosztował więcej niż niejeden samochód.

W każdym pomieszczeniu były okna. Od zachodu i południa miał niesamowite widoki na zielone i niebieskie morze. Wyglądało na to, że znajdował się na piątym i jednocześnie najwyższym piętrze rezydencji wybudowanej na klifie. Okno znajdujące się w aneksie kuchennym wychodziło na wschód i podwórko upstrzone palmami daktylowymi, drzewami pomarańczowymi, jaskrawymi tropikalnymi kwiatami i płynącą wodą.

Okna otwierało się, dotykając przełącznika, a wpadająca przez nie bryza niosła zapach morza i cytrusów. Jednak we framugi wpuszczone były metalowe ramy z przymocowanymi do nich kratami i gęstą metalową siatką. Kade zauważył, że ramy zostały zaprojektowane w sposób umożliwiający ich otwarcie, jednak w tej chwili były zamknięte i zaryglowane. Kraty powstrzymają jego ciało, a siatka, która, jak sądził, była czymś w rodzaju klatki Faradaya, powstrzyma tak jego umysł, jak i wszelkie sygnały elektromagnetyczne.

To była bardzo wyrafinowana cela, ale bez względu na luksusy pozostawała więzieniem, a on - więźniem.

W końcu znalazł ostateczny dowód swojego uwięzienia. Cienki metalowy łańcuszek na szyi, a na nim matowy metalowy dysk o mniej więcej dwucalowej średnicy i grubości jednego cala. Mimo starań nie potrafił go poluzować ani ściągnąć przez głowę. Na dysku znajdował się otwór na jakiegoś rodzaju klucz.

Zakłócacz Nexusa. Kolejne kraty jego więzienia.

Umiał teraz więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Nauczył się, studiując umysł Fenga, kontaktując się z Ling, medytując z Anandą i mnichami. Nauczył się, zgłębiając tajemnice uzyskane zgodnie z prawem i te zdobyte nielegalnie od naukowców całego świata, eksperymentujących z Nexusem. Mógł teraz postawić na baczność wszystkie swoje węzły narkotyku i spróbować wszystkich sztuczek.

Sukcesywnie próbował tego, czego się nauczył. Dostrajania częstotliwości zbioru anten stworzonych przez jego węzły. Algorytmów filtrujących, tłumiących zakłócenia. Aktywnej redukcji szumów, polegającej na odbijaniu zakłóceń w celu zrównoważenia sygnału. Kierunkowego dostrajania anten Nexusa, żeby przedrzeć się przez zagłuszanie w jednym kierunku albo przynajmniej zwiększyć przyrost w tym kierunku.

Nic. Nexus wewnątrz jego umysłu działał świetnie, ale przez interferencje nie mógł nic nadawać ani odbierać.

Starł się myśleć jak Ling. Przywołać uczucie towarzyszące ich połączeniom, żeby wzmocnić i poszerzyć czułość Nexusa w mózgu, na tyle, by wyczuć umieszczoną w ścianach instalację, a w szczególności wewnętrzną logikę zakłócacza.

Jednak szумы w jego głowie stawały się coraz głośniejsze, boleśnie głośnie, aż w końcu przerwał w poczuciu porażki.

Siadł na podłodze, skrzyżował nogi, zamknął oczy i oddał się medytacji. Chciał stłumić zmysły, dopóki nie będzie się czuł tak, jakby zakłócenia nie istniały. Być może wtedy

będzie gotowy, żeby...

Uchyliły się drzwi. Kade otworzył oczy i zobaczył Shivę z tabletem w dłoni.

48

Odmowa dostępu

Sobota, 27 października

Holtzmann ponownie zamknął oczy.

Żywy. Wciąż żyję.

Musiał uwolnić Rangana Shankariego. Czuł to w kościach. Czuł głęboką wewnętrzną potrzebę. Potrzebę, żeby wyrwać Shankariego z aresztu ERD.

Lane mu to zrobił, uformował go w taki sposób i zamienił w narzędzie. Umysł tego chłopca był potworny i przerażający. Jego wspomnienia sprawiały, że czuł dreszcze. Prezydent, ten zamach... Narastał w nim strach, grożąc wybuchem paniki.

Potrzebował czegoś. Potrzebował uwolnić się od tej grozy. Holtzmann sięgnął po panel sterowania neurotransmiterem i wystukał kod dawki opiatów. Takiej naprawdę małej działki, tylko po to, żeby zebrać myśli. Nacisnął mentalny przycisk i czekał na słodką ulgę.

Nic.

Co?

Ponownie nacisnął przycisk. Nic się nie wydarzyło. Zamknął układ sterowania, wymusił zakończenie procesu, uruchomił go ponownie i jeszcze raz wystukał kod narkotyku.

Nic.

Uczucie paniki rosło coraz szybciej z każdą chwilą.

Lane. On musiał to zrobić.

Uruchomił zestaw diagnostyczny systemu operacyjnego Nexusa i rozpoczął skanowanie. Połowa programów diagnostycznych momentalnie padła, zwracając komunikaty błędów.

[ODMOWA DOSTĘPU. ODMOWA DOSTĘPU. WYMAGANE PRAWA ADMINISTRATORA. ODMOWA DOSTĘPU. NIEWYSTARCZAJĄCE UPRAWNIENIA. ODMOWA DOSTĘPU].

Nie. Boże, nie.

Lane odebrał Holtzmannowi uprawnienia administratora w systemie operacyjnym jego własnego Nexusa. Przejął kontrolę nad oprogramowaniem.

Holtzmann zmusił się do myślenia, do koncentracji. Musi być jakaś droga wyjścia.

Sprawdził dostępność swojej sieci domowej. Sukces. Wciąż miał dostęp do sieci. Połączył się z usługodawcą anonimizacji, a potem wszedł do repozytorium oprogramowania Nexusa. Znajdowała się tu nowa wersja systemu operacyjnego, nowsza niż ta, którą posiadał.

Próbował uruchomić instalację z nadpisaniem ustawień obecnego systemu.

[ODMOWA DOSTĘPU].

Niech to szlag!

Mógł odinstalować Nexusa, wymazać go z mózgu. Potem jakoś wykombinować dawkę z innego źródła, przeinstalować aplikacje... Uruchomił komendę usuwającą węzły

Nexusa.

[wyczyść Nexus]

System wyświetlił komunikat.

[To polecenie wymaże system operacyjny Nexus i usunie wszystkie węzły z twojego mózgu. Wszystkie dane i oprogramowanie zostaną bezpowrotnie utracone. Czy jesteś pewien, że chcesz kontynuować? T/N]

[TAK] - pomyślał niecierpliwie.

[ODMOWA DOSTĘPU].

Holtzmann niemal krzyczał z wściekłości. Spróbował kilkunastu innych rzeczy, instalował poprawki, zmieniał uprawnienia dostępu do plików, edytował pojedyncze bity odpowiedzialne za dostęp do zasobów, a nawet wpisywał własny, surowy kod, próbując odzyskać kontrolę nad neurotransmiterem.

[ODMOWA DOSTĘPU. ODMOWA DOSTĘPU. ODMOWA DOSTĘPU].

Zaczynał się pocić. Mógł dostrzec twarz Rangana Shankariego. Mógł dostrzec trzymanego w niewoli chłopca. Jego żołądek wariował. To było nie do zniesienia. Musiał uwolnić chłopca z aresztu ERD. Ale miał inny problem. Problem, który mógł się pojawić po drodze.

Jak to już długo trwało? Ile czasu minęło od przyjęcia dawki opiatów? Dwanaście godzin? Coś około tego?

Musiał. Musiał wziąć więcej. Czuł taką potrzebę. Nawet gdyby nie ten dodatkowy stres, musiałby niedługo wziąć znowu. Bez niej...

Martina Holtzmann czekał zespół odstawienia.

W klatce

Niedziela, 28 października

- Mam nadzieję, że pokój ci odpowiada - zaczął Shiva.

Kade wstał.

- Gdzie jest Feng? - spytał.

- Mamy tam swoich ludzi - odparł Shiva. - Informatorów. Mamy nadzieję dowiedzieć się tego wkrótce.

- Wypuść mnie - zażądał Kade.

Shiva uśmiechnął się lekko.

- Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Żebyśmy razem pracowali.

- Próbowalesz mnie zabić! - wrzasnął Kade. - Przez ciebie mój przyjaciel został zabity albo pojmany, a ty chcesz, żebym z tobą pracował?! - Aż bryzgał kropelkami śliny.

Shiva spoważniał.

- Nie próbowałem cię zabić. Ocaliłem cię i twojego przyjaciela.

- No błagam... - Kade machnął ręką.

- Jak myślisz, co czekało cię poza klubem? - spytał Shiva.

- Wiedzieliśmy - upierał się Kade. - Dalibyśmy radę.

- Czyżby? - Tym razem w głosie Shivy zadźwięczał sarkazm. - Mimo snajperów na dachach?

Kade zawahał się.

- A nawet gdyby, co potem? Znow byście uciekali? Dokąd?

Kade patrzył na niego w milczeniu.

- A gdyby was wreszcie dopadli, co wtedy? - indagował Shiva. - Chciałbyś, żeby owoce twojej pracy dostały się w ręce Amerykanów? Albo Chińczyków? Jak myślisz? Jak by je wykorzystali?

Kade nadal milczał. Twarz mu płonęła.

- Czy możesz mnie winić za to, co zrobiłem? - zapytał Shiva. - Byłeś tam, nieodpowiedzialnie wystawiałeś się na niebezpieczeństwo, a tym samym wystawiałeś milion innych na niebezpieczeństwo. Czy możesz mnie winić za usunięcie cię z ulicy?

- Nikt nie dostanie tylnych drzwi - oznajmił Kade. - Nikt.

- Nikt poza tobą - uściślił Shiva. - To masz na myśli?

Czy jesteś mądrzejszy niż cała ludzkość? - spytała Ilya słowami Anandy. Nawet ty nie powinieneś dysponować taką władzą.

- Proszę. - Shiva podszedł, podając mu tablet. - Nie pozwolę ci dotknąć mojego umysłu. Ale tutaj masz najlepsze rozwiązanie tego problemu. Nagrałem moje myśli, moje plany bezpośrednio z umysłu. Możesz je wszystkie przejrzeć. Przekonać się, jak wiele jesteśmy w stanie zrobić razem.

Shiva stał przed Kade'em, zaledwie kilka stóp dalej, z tabletem w wyciągniętej dłoni.

Kade wiedział, co trzeba zrobić. Zamknął oczy, wziął uspokajający oddech i wszedł w głąb własnego umysłu.

[aktywuj Bruce_Lee: atak_i_pojmanie]

Koncentryczne koła celownika pojawiły się na wewnętrznej stronie jego powiek. Kade otworzył oczy, kliknął na Shivę i Bruce Lee rzucił ciało Kade'a do ataku.

Lewa pięść wystrzeliła nagle i uderzyła Shivę w szczękę.

[Bruce_Lee: atak udany]

Ciało Kade'a ruszyło, by założyć dźwignię mężczyźnie.

Ale Shiva złapał Kade'a za kark, podniósł go i cisnął przez pokój.

Kade z głuchym łupnięciem uderzył w przeciwległą ścianę, aż powietrze uszło mu z płuc. Oprawiony obrazek zeskoczył z haczyka i spadł na podłogę, siejąc wokół szkłem.

[Bruce_Lee: blok nieudany]

Shiva położył tablet na biurku i odwrócił się w stronę drzwi.

- Nie mogę się doczekać twoich opinii - powiedział. I wyszedł.

Kade usiadł, ogłuszony uderzeniem. Wsparł się o ścianę i powoli podniósł na nogi.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się ponownie i do pokoju wszedł jeden z ludzi Shivy. Trzymał coś w dłoni, coś, co podniósł do szyi Kade'a. Więzień cofnął się natychmiast, ale chwilę później zrozumiał, czym był ten przedmiot. Kluczem.

Mężczyzna wsunął klucz w otwór w medalionie i obroza zsunęła się w jego nadstawioną dłoń. Kade natychmiast sięgnął myślami do umysłu strażnika, czuł, że tamten też miał Nexusa, ale nic poza tym. Mężczyznę chroniła tarcza statycznego szumu. Źródłem

jedynej transmisji, jaką Kade'a zarejestrował, był leżący na stole tablet.

Strażnik skinął Lane'owi głową.

- Będę za drzwiami na wypadek, gdyby pan czegoś potrzebował, sir - powiedział i zostawił Kade'a samego.

Kade stał przez chwilę nieruchomo, starając się odzyskać równowagę. A potem zatrzymał dzielenie plików we własnym umyśle, żeby zablokować kuszącą zawartość tabletu Shivy.

Przynieśli mu lunch. Kade zjadł, pomedytował i spróbował podsumować sytuację.

Rangan wciąż był w więzieniu. Holtzmann wprawdzie miał go uwolnić, ale nie było to proste zadanie. Lane powinien tam być, żeby nadzorować akcję.

No i FWP. Teraz znał już ich następny cel. Chandler i Shepherd w Houston, na śniadaniu z tysiącami swoich zwolenników. Wiedział o Mirandzie Shepherd. Mógł ją znaleźć. Gdyby tylko zdołał opuścić tę klatkę.

Próbował wyobrazić sobie konsekwencje zamachu w Houston. Setki ofiar, może nawet tysiące. Jak to się odbije na polityce Stanów Zjednoczonych? Jaki wpływ będzie miało na opinie o Nexusie? Na traktowanie dzieci z Nexusem? To będzie ostateczny cios. Skanery Nexusa pojawią się w szkołach, na przystankach autobusowych, w miejscach pracy. Wszędzie będą punkty kontrolne. Może nawet gorzej - polowanie na wszystkich, którzy będą sprzeciwiać się ustawie Chandlera albo wcześniej w jakikolwiek sposób wyrażali poparcie dla postludzi. Bomba sprawi, że ludzie ze strachu zaakceptują jeszcze większe ograniczenia wolności. FWP grał na korzyść konserwatystów, jak to zawsze było w przypadku terrorystów.

Kade mógłby to powstrzymać, gdyby był wolny. Ale nie był. Był więźniem, ponieważ okazał się głupi.

Ponownie zbadał okna. Pręty i siatkę zamocowano na odrębnych framugach. Ramy zostały przykręcone do parapetów, zamknięte na staroświeckie kłódki.

Spróbował je ruszyć, ale to nie miało sensu. Znalazł widelec w kuchni, spróbował otworzyć kłódkę za jego pomocą, ale ponieważ nie miał bladego pojęcia, jak właściwie używać takiego wytrychu, poddał się po półgodzinie bezsensownych wysiłków.

Z kuchni mógł wyjrzeć na dziedziniec poniżej. Byli tam jacyś ludzie. Pracownicy Shivy. I żaden z nich nie nosił osłon mentalnych.

Gdyby udało mu się w jakiś sposób wydostać choćby myślą z tej klatki Faradaya...

W kuchni nie było żadnych noży, ale mnóstwo widelców. Kade przykucnął poniżej poziomu okna, by nikt go nie mógł zobaczyć z zewnątrz, i zaczął wbijać widelec w miejsce, gdzie siatka łączyła się z ramą. Raz za razem, tak mocno, jak tylko mógł. Wstał, żeby ocenić wyniki. Nic. Siatka nie była nawet zadrapana.

Cholera.

Wtedy coś na dziedzińcu przyciągnęło jego uwagę. Grupa dzieci, ponurych, przygnębionych. Wśród nich kręcili się dorośli. Co tu robiły dzieci?

I wtedy jedno z nich, najstarsza dziewczynka, może dwunasto-, trzynastoletnia, spojrzała w jego okno i pomachała. Machała, jakby go znała. Odpowiedział jej tym samym, a chwilę później wszystkie dzieciaki machały do niego, podekscytowane, chociaż jeszcze przed momentem siedziały przybite i przygaszone.

Kobieta, która z nimi była, spojrzała w stronę okna, zmarszczyła brwi i zabrała dzieci gdzieś dalej. Poszły niechętnie, raz po raz zerkając na niego.

Kade ciężko usiadł na podłodze. Te dzieci go znały. Nie widział ich wcześniej, nie mogli się również skontaktować mentalnie. A jednak w jakiś sposób wiedziały, kim jest.

Istniało tylko jedno wytłumaczenie.

Sam.

Detoks

Sobota, 27 października

Holtzmann wpełzł do łóżka, przerażony tym, co miało nastąpić.

Ocknął się kilka godzin później, potrząsany przez Anne.

- Wychodzę, Martin. Idę na spotkanie z Claire. Bóg mi świadkiem, oboje zaczynacie świrować.

Holtzmann gapił się na nią bez słowa. Leżał w łóżku żaloszny, nękanym falami mdłości, czekając, aż dopadnie go zespół odstawienia, a jego myśli krążyły wokół kwestii, jak uwolnić Shankariego.

Anne wróciła do domu z jedzeniem na wynos. Próbował z nią rozmawiać, ale włączyła wiadomości i odpowiadała monosylabami. Po kolacji poszła spać. Martin powłókł się do gabinetu. Czuł się fatalnie, ale nie aż tak, jak oczekiwał.

To właśnie tam, w fotelu, kiedy myślał, jak uwolnić Shankariego, przyszedł ból.

Zaczął się w nodze, a potem rósł z minuty na minutę, aż zaczął promieniować z kości udowej w miejscu złamania. Stamtąd rozlewał się na strzaskane biodro, do drugiej nogi, żeber, pleców, karku, ramion i głowy.

Wygiął się, jęcząc. Okręcił się na krześle, chcąc choć odrobinę złagodzić cierpienie. Jego skórę pokrywała rosa potu. Płonął. Z nosa kapał mu śluz.

Całym ciałem wstrząsały torsje. Z trudem, skurczony z bólu, potykając się bez

pomocy laski, dotarł do łazienki w korytarzu. Zdążył w ostatniej chwili, żeby zwymiotować żółcią do muszli.

Potem nadeszły gwałtowne skurcze jelit. Udało mu się zdążyć, nim eksplodowały.

Po wszystkim skulił się na podłodze łazienki, okrył ręcznikiem i czekał na śmierć.

Tak rano znalazła go Anne, leżącego na podłodze, obolałego, gorączkującego. Obrzuciła go spojrzeniem.

- Mój Boże, naprawdę jesteś chory.

Słabo kiwnął głową, a potem doczołgał się do sedesu i znów zwymiotował.

Anne pomogła mu dojść do prysznicza, przyniosła ciepły szlafrok, położyła do łóżka i zaopatrzyła w kosz na śmieci. Potem dała ciepłą zupę, środki przeciwbólowe i przeciwbiegunkowe.

- Zadzwońię po lekarza - oświadczyła.

Holtzmann pokręcił głową.

- To tylko grypa - oponował słabym głosem. - Poradzę sobie.

Potem przechylił się i zwymiotował do kosza.

Cierpiał przez całą niedzielę, aż do wieczora. Anne mówiła do niego, próbując odwrócić uwagę od koszmaru, który trawił jego ciało. Zdał sobie sprawę, że mamroce do niej o spotkaniu z Barnesem i prezydentem, o dzieciach Nexusa, o wszystkim, tylko nie o Nexusie we własnej głowie.

Rzucił się tak, że w niedzielę wieczorem cała pościel była pognieciona i przepocona. Anne uparła się, żeby wstał, i zmieniła poszewki.

Zasnęła obok, podczas gdy jemu gorączka, ból i biegunka przez większość nocy nie pozwoliły zmrużyć oka. Jego świat zamienił się w gorączkowy, szalony koszmar pełen obrazów prezydenta, Barnes'a i Lane'a. Stali się jednym dręczącym go demonem o trzech obliczach.

W poniedziałek rano Anne zaproponowała, że zostanie w domu i zajmie się nim.

Holtzmann nalegał, by poszła do pracy. Włączył na moment tablet i wysłał do biura wiadomość, że nadal jest chory. Nagłówki krzyczały, urywki treści nie miały sensu. Zignorował wszystko, wysłał swojego e-maila i się rozłączył.

Fala głodu osiągnęła ponownie szczyt około południa. Ukłękł przed muszlą, zwiesił nad nią czerwoną z wysiłku twarz, a ciałem targały torsje, gdy organizm próbował pozbyć się wymaganej trucizny. Wymiotował wodą, żółcią, niczym, ale ciało nie przestawało szarpać się, nie zaprzestawało prób wyrzucenia wnętrza, nie przestawało wypychać mu żołądka przez gardło.

Kiedy atak minął, Holtzmann obmył się na tyle, na ile był w stanie, i znów padł na przeпоconą, skotłowaną pościel, a potem zasnął.

Obudził się o piątej. Wciąż czuł się fatalnie, ale jednak odrobinę lepiej.

Zabuczał telefon. Chwilę później także tablet. Wiadomości z biura.

Powlóknął się pod prysznic, zmusił do umycia, potem założył ubranie i starał się wyglądać jako tako. Anne zostawiła mu w kuchni zupę. Podgrzał ją, a potem wypił całą miskę i wysiorbał makaron. Trząsnął się, ale czuł się silniejszy. Jedzenie pozostało w żołądku.

Zabrał się do sprawdzania wiadomości i odkrył chaos.

Podwładni usiłowali się pilnie z nim skontaktować, ich wiadomości tłoczyły się, zderzając jedna z drugą. Dzwonił Barnes z pytaniem, gdzie się podziewa, i nakazując Holtzmannowi natychmiast oddzwonić.

Kody. Hasła. Te, które dał mu Rangan Shankari, nie działały.

Holtzmann nieomal zaśmiał się z ulgą. Dobry Boże. Nie działały! Lane musiał je zmienić, zanim wypuścił Nexusa 5! Kody Shankariego były nieaktualne!

A potem zobaczył kolejne wiadomości. Torturowali dzieci. Barnes anulował wszystkie jego polecenia. I wyciągnęli Nexusa z mózgu jednego z chłopców. O Boże.

Holtzmann poczuł, jak ogarnia go furia. Wybrał numer Barnes'a.

Pełniący tymczasowo obowiązki dyrektora ERD odebrał natychmiast. Ekran tabletu Holtzmann'a wypełnił chłopięcy głos i ciemne oczy Barnes'a.

- Martin! Dobrze, że dzwonisz - odezwał się tonem ociekającym jadem.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?! - wydarł się Holtzmann. - Dręczysz dzieci? Wysiadałeś mnie i wydajesz rozkazy moim ludziom?!

- Robię, co do mnie należy - wykrzywił się Barnes. - To, co tobie prezydent nakazał zrobić.

- To przecież dzieci! - wrzasnął Holtzmann.

Barnes spojrział na niego chłodno.

- Nie wobec prawa. A teraz odwalają swoją pieprzoną robotę.

Holtzmann zapowietrzył się. „Odchodzę!” - miał na końcu języka. Jednak wtedy wkroczy kontrola i zostanie odkryty brakujący Nexus...

Otworzył usta, ale z gardła nie dobył się żaden dźwięk.

Barnes rozwiązał sprawę za niego.

- Chcę cię tu widzieć natychmiast. Shankari dał nam fałszywe kody do furtki w zabezpieczeniach Nexusa. Masz rozwiązać ten problem. I to już!

Barnes zakończył połączenie.

51

Niewiadome

Sobota, 27 października

Breece pakował się w pośpiechu. Zawinął ciało Hiroshiego w dywan, wywlókł na zewnątrz i wpakował do bagażnika samochodu, a potem wrócił po elektronikę, broń i fiolki z Nexusem. Nie miał pojęcia, ile haker wydobyl z umysłu Hiroshiego, zanim on sam pociągnął za spust...

Szczałki mózgu i krew spływały po ścianie garażu. Na ziemi leżała reszta.

... ale musiał założyć, że tamten wydobyl wystarczająco dużo.

Zarzucił garaż bombami enzymowymi, a potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Następnie zadzwonił do Avy i Nigeryjczyka.

Spotkali się cztery godziny później w speluncie w Moscow w Teksasie, dwie godziny drogi od Houston.

Usiedli w boksie blisko siebie i rozmawiali cicho, zagłuszani przez kakofonię dźwięków trash rocka. Byli wstrząśnięci, zszokowani, zrozpaczeni śmiercią Hiroshiego.

Powtarzali bez końca te same pytania. Kim był haker? Jak dużo się dowiedział? Jakże miał plany wobec nich? Wobec ich projektu?

To nie miało sensu. Gdyby haker był z organów ścigania, czemu nie doprowadził DHS, FBI albo policji stanowej do garażu?

A może to Zara? Ale Zara był zaskoczony bombami w stolicy i w Chicago, a haker maczał palce w obu zamachach.

Jak do tej pory, nic nie działało się ani w kryjówce, ani w garażu, nic nie wskazywało, że miejsce ich pobytu zostało odkryte.

Miotali się przez chwilę w przypuszczeniach, aż wreszcie Breece podjął decyzję.

- Poczekamy i zobaczymy. W razie wsypy bądźcie gotowi na ucieczkę.

- A jeśli się nie pojawią? - zapytała Ava. - Jeśli nic nie będzie wskazywało na to, że zostaliśmy zlokalizowani?

- W takim wypadku kontynuujemy.

52

Na morze

Niedziela, 28 października

- Żadnych urządzeń namierzających - powtórzyła Sam, trzymając broń przy skroni Lo Pranga. - Wasz szef idzie ze mną. Jeśli coś znajdzie, on umrze. W cierpieniach.

- Żadnych urządzeń namierzających - powtórzył za nią Lo Prang.

Jego ludzie kiwnęli potakująco, ładując ostatnie pakunki z zapasami jedzenia, paliwa i sprzętem na motorówkę zacumowaną w ukrytej zatoczce. Łódź szmuglerska była cicha,

zwinna i posiadała kadłub pokryty powłoką antysonarową, została też wyposażona w kamuflaż kameleonowy.

Jeśli cokolwiek mogło umożliwić Sam przedostanie się na Apyar Kyun - Błękitną Wyspę, którą widziała umyśle tego żołnierza, to właśnie ta łódź.

Dwie pazurzaste suki Lo Pranga, nadal ubrane w wizytowe suknie, obserwowały ją z obnażonymi ostrzami. W oczach miały mord. Ślady, jakie jedna z nich zostawiła na jej plecach, piekły. Dla tych kobiet to była sprawa osobista i przy najbliższym spotkaniu nie będą się powstrzymywały.

- Czas na nas - powiedziała Sam. Wstała i pociągnęła Lo Pranga ku wąskiej sylwetce łodzi, trzymając go wolną ręką za kajdanki. To najniebezpieczniejszy moment. Przemieszczanie się jest chwilą największej bezbronności. Tego nauczył ją Nakamura. Jeśli mieli podjąć próbę ataku, to właśnie teraz...

Jednak Sam i jej więzień dotarli do łodzi bez przeszkód.

Popchnęła Lo Pranga ku siedzeniu sternika.

- Ty prowadzisz - oświadczyła.

Godzinę później zostawiali już za sobą wyspę Koh Phayam i kierowali się ku birmańskiemu wybrzeżu.

- Mogliśmy to załatwić po dobroci - powiedział Lo Prang. - Moja oferta była szczerą i jak najbardziej prawdziwą. Gdybyś dołączyła do mojej rodziny, byłabyś szczęśliwa. - Podniósł skute dłonie w kierunku głowy. - Mała popraweczka tu i tam i cały ten stres? całe to nieszczęście? Moglibyśmy zająć się każdym twoim problemem. I zyskałabyś zadowolenie, satysfakcję płynącą z posiadania celu w życiu, z posiadania pana, który cię kocha.

Sam tylko pokręciła głową. Lo Prang się uśmiechnął.

- Uwierz mi, Tygrysico, nigdy nie miałem szczęśliwszych pracowników niż teraz.

Sami do mnie przyszli, sami chcieli tego, co mogłem im dać. Satysfakcji, spokoju, zadowolenia. Nawet kurwy są szczęśliwe.

Sam wzruszyła ramionami.

- Są w życiu rzeczy ważniejsze niż szczęście - odpowiedziała. - Postąpić właściwie. Robić coś, co ma znaczenie.

Lo Prang wydawał się rozbawiony.

- Właściwie? Znaczenie? To tylko wzorce w twoim mózgu. Kilka poprawek i tą właściwą rzeczą byłoby należeć do mnie.

- Nie w tym życiu - ucięła.

Lo Prang wzruszył ramionami.

- Kiedyś zmienisz zdanie. Będę czekał.

Oddalali się już od Koh Phayam. Nadszedł czas podjąć decyzję.

Zabijaj tylko wtedy, gdy to konieczne, uczył ją Nakamura. Daruj życie, kiedy tylko możesz, nawet wrogowi. Ktoś kiedyś może zrewanżować ci się tym samym.

- Umiesz pływać? - spytała.

Mafioso prychnął rozbawiony.

- A ja już się szykowałem na wakacje w Birnie w twoim towarzystwie - odpowiedział.

- Tylko byś mnie spowolnił. - Uśmiechnęła się do niego słodko i rzuciła kluczyki do kajdanek.

Lo Prang złapał je, wyłączył silnik, rozkuł sobie nogi i ręce. Stał przez chwilę, ważąc kajdanki w dłoni. Zastanawiał się, czy nie zaatakować, Sam była tego pewna. Delikatnie pokręciła głową, a Lo Prang się uśmiechnął, upuścił kajdanki, zdjął koszulę i buty.

Wspiął się na burtę, spojrział na fale i odległy brzeg, a potem odwrócił się ku Sam.

- Jeszcze się zobaczymy, Tygrysico.

- Nie, jeśli ja zobaczę cię pierwsza - powiedziała Sam i ruchem lufy zachęciła go do skoku.

Lo Prang uśmiechnął się po raz ostatni i skoczył.

Sam patrzyła za nim przez chwilę, a gdy oddalił się kilkanaście jardów, uruchomiła silnik i skierowała łódź w morze, ku małym niezamieszkałym wysepkom na horyzoncie. Potrzebowała jakiejś kryjówki przynajmniej do zachodu słońca, może chwili snu. A kiedy zapadnie zmrok, wyruszy do Apyar Kyun, trzysta mil w górę pełnego wojska wybrzeża.

53

Perspektywa

Niedziela, 28 października

Kade dostał wezwanie od Shivy następnego dnia, gdy przynieśli mu śniadanie. Strażnik zamknął obrożę na szyi Kade'a, tłumiąc wszelkie transmisje Nexusa, i zaprowadził Lane'a na dach, gdzie czekał Shiva, siedząc na drewnianym fotelu. Gestem zaprosił Kade'a, by usiadł w fotelu obok, a ten posłuchał.

Widok był wspaniały. Najbliższe fale miały barwę szmaragdu, a im dalej na zachód, tym bardziej stawały się błękitne. Z każdej strony Kade widział skrzydła posiadłości okrążające dziedziniec, na który patrzył z okna. Za nimi rozciągała się zieloność łąk i jeszcze

więcej błękitu morza. Byli na wyspie.

- Nie przeglądałeś moich wspomnień - zagał Shiva.

- Byłem strasznie zajęty - odparł Kade.

Hindus zaśmiał się krótko.

- Chciałem, żebyś przekonał się, iż nie mam złych zamiarów. Że wykorzystam twoje tylne drzwi dla większego dobra. Że użyjemy ich razem. Jest tu dla ciebie miejsce. Bezpieczne, tu możesz dokonać ważnych rzeczy.

Kade słyszał już to wszystko wcześniej. Od Su-Yong Shu. Od Holtzmanna, zanim jeszcze w ogóle wysłali go do Bangkoku.

- Co zamierzasz osiągnąć? - spytał swego gospodarza.

Shiva spoglądał na morze.

- Jakiś milion osób używa teraz Nexusa, więcej niż milion. Za rok będzie ich kilkakrotnie więcej. Są wśród nich naukowcy, inżynierowie, dyrektorzy ogromnych korporacji, bankierzy, politycy.

Kade milczał.

- Ten świat ma poważne kłopoty, przyjacielu - podjął Shiva. - Biedne dzieci umierają milionami. Zachód i najwięksi bogacze, jak ja, żyją w świecie nędzy, gdzie miliardy walczą z głodem. Cała planeta zbliża się do punktu krytycznego, gdy umrą koralowce, spłoną lasy, a życie stanie się jeszcze trudniejsze. Mamy zasoby, by rozwiązać te problemy, nawet teraz, ale politycy, ekonomiści i nacjonalizm wciąż wchodzą nam w drogę. Gdybyśmy mogli wejść do tych wszystkich umysłów... - Shiva umilkł, wpatrując się w dal. - Robiliśmy testy. Błyskotliwi ludzie jako całość, połączona Nexusem, są jeszcze bardziej inteligentni. Jest to szczególnie wyraźne w przypadku grup interdyscyplinarnych. Dzieci urodzone z Nexusem robią jeszcze większe wrażenie. Mogą służyć jako katalizator, podnosząc inteligencję całości.

Z dostępem do tak wielu utalentowanych umysłów możemy skłonić naukowców i inżynierów do wynalezienia technologii, które pozwolą nam uratować planetę, wykorzenić głód. Moglibyśmy skłonić banki i megakorporacje do zainwestowania w te projekty, których potrzebuje świat, zebrać ogromne środki. Moglibyśmy interweniować na scenie politycznej, zdobywać informacje od światowych przywódców, wykorzystać tę wiedzę zgodnie z potrzebami, skłonić, by nas poparli, zmusić nawet, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kade'a zamurowało.

- Mówisz o działaniach na masową skalę...

- Owszem. Zainwestowałem sporą część własnej fortuny, żeby to urzeczywistnić. Oprogramowanie, by odczytywać i koordynować miliony umysłów w tej samej chwili. Centra danych, by te dane przechowywać, żeby podtrzymać cykle procesorów. Prywatne sieci komunikacyjne, mikrosatelity na niskich orbitach.

Kade z trudem znajdował słowa.

- To potworne. To masowa manipulacja.

- Czyżby? - zjeżył się Hindus. - I to gorsze niż manipulacje banków, zmieniających prawo wedle swoich potrzeb? Megakorporacji, które robią to samo, by zwiększyć swoje zyski kosztem całej ludzkości? - W jego głosie dźwięczał gniew, płonęła pasja. - To gorsze od finansistów i skorumpowanych polityków, którzy objadają się kawiosem, gdy dzieci umierają z głodu?

Kade wypuścił powietrze.

- Świat boryka się z problemami. Zgadzam się. Ale to, o czym mówisz... Nikt nie powinien dysponować taką władzą.

- Nikt poza tobą - parsknął Shiva oskarżycielsko, wskazując Kade'a palcem. - To chcesz powiedzieć, prawda?

Kade oblał się rumieńcem.

On ma rację - odezwała się Ilya w jego głowie. Nikt poza tobą.

Kade odetchnął głębiej. To było jakieś wariactwo. Musiał się stąd wydostać.

- Jeśli chcesz mnie przekonać - powiedział - dlaczego tego nie zdejmiesz? - Wskazał na obrozę.

Shiva roześmiał się.

- A ty skorzystasz z okazji i zmusisz mnie, żebym cię wypuścił, po czym uciekniesz w świat, gdzie jesteś w większym niebezpieczeństwie niż tutaj. Raczej nie.

- Daję ci słowo - powiedział Kade. - Pozwól mi zobaczyć, co dzieje się w twoim umyśle. Nie tylko wybrane wspomnienia. Wszystko. Obiecuję tylko popatrzeć, nic więcej.

Shiva uśmiechnął się ponuro.

- Jesteś beznadziejnym kłamcą, Kade.

54

Braterstwo broni

Niedziela, 28 października

Feng budził się powoli. W głowie mu huczało. Lewa strona pulsowała intensywnym bólem od kolana po ramię. I był głodny. Wściekle głodny. Uruchomiły się geny awaryjne w jego ciele, pracowały, by naprawić zniszczenia, i ciało żądało protein, tłuszczu, wapnia, wszystkich materiałów potrzebnych do odbudowy. Feng zignorował szarpiący głód, zamknął oczy i próbował ocenić sytuację.

Siedział. Czuł twardy metal krzesła. Ręce miał skute za plecami i przykute do nóg, tak by stopy nie miały kontaktu z podłogą. Profesjonalnie.

Wewnętrzny GPS podał mu lokalizację. Ho Chi Minh, Wietnam. Sajgon. Południowa część miasta. Osiemnaście metrów ponad poziomem ulicy, na piątym lub szóstym piętrze.

Dwa kilometry od ostatniego miejsca pobytu. Kto go pojmał? Łowcy nagród? Policja? Tajemniczy mężczyźni pracujący dla hinduskiego szefa?

Uruchomił zmysły. Słuchał. Dźwięk oddechu trzy metry od niego. Powolny. Rytmiczny. Głęboki. Jeden mężczyzna. Sprawny fizycznie.

Feng napiął mięśnie, tak żeby się nie poruszyć, nie wywołać żadnego dźwięku. Jak mocne były te kajdanki? I to krzesło?

- Ni hao - odezwał się głęboki głos doskonałym dialektem mandaryńskim. - Witaj z powrotem.

Feng westchnął i otworzył oczy. Był w dźwiękoszczelnym pokoju o grubo wyściełanych ścianach.

Naprzeciwko niego siedział w fotelu wysoki Azjata. Przypuszczalnie Japończyk. Po czterdziestce. Miał posiwiałe skronie, ale wciąż był w doskonałej formie. W dłoni trzymał chiński pistolet z tłumikiem wycelowany w Fenga. Uśmiechał się ponuro.

Feng rozpoznał człowieka ze wspomnień Kade'a.

- Jesteś Nakamura - powiedział Feng.

- A ty jesteś Feng - odpowiedział Nakamura.

Patrzyli na siebie bez słowa.

- Ty wyciągnąłeś mnie z rumowiska? - przerwał milczenie Feng.

Nakamura skinął głową.

- Masz szczęście. Belka spadła nad tobą, oparła się o dżipa. Znalazłeś się w kieszeni powietrznej. W przeciwnym razie...

Feng roześmiał się.

- Szczęście. Jasne. - Zagrzechotał wymownie kajdankami.

- Lepsze to niż śmierć.

Feng przyznał mu rację skinieniem głowy.

- Gdzie jest Samantha Cataranes? - spytał Nakamura.

Feng zamrugał zaskoczony.

- Chyba w Tajlandii - odparł. - Rozstaliśmy się pół roku temu.

Nakamura zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

Feng wzruszył ramionami na tyle, na ile pozwalały mu łańcuchy.

- Chciała znaleźć dzieci. Dzieci Nexusa.

Nakamura zmarszczył brwi jeszcze bardziej.

- Lane pozwolił jej odejść?

Feng przechylił głowę, przypatrując się tamtemu z namysłem.

- Co masz na myśli?

- Lane - powtórzył Japończyk. - On...

- Masz go? - przerwał mu Feng gwałtownie. - Kade'a?

Nakamura wpatrywał się w niego intensywnie.

- Kto „odwrócił” Sam? - spytał. - Lane? Czy Shu?

Feng znów zamrugął.

- Wy. ERD. Zabiliście małą dziewczynkę w Bangkoku. Cywili. Wyszadziliście budynek, w którym byli ludzie. Byli połączeni i Sam wszystko czuła. To ją zmieniło.

Nakamura milczał. W kącie oka widział rezultaty porównania DNA. DNA na ubraniu Fenga pasowało do DNA Lane'a. Ale nigdzie nie było śladów Sam. Czyli ostatnimi czasy Feng nie znalazł się w jej pobliżu.

Czy to było możliwe? Że ani Lane, ani Shu nie przeprogramowali Sam? Że to, czego doświadczyła, zmieniło ją tak diametralnie?

Jezu.

- Kade. Masz go czy nie? - Feng przerwał jego rozważania.

Nakamura popatrzył na więźnia. Jeśli Sam zmieniła strony z własnej woli... Najgorszą rzeczą, jaką mógłby zrobić, było doprowadzenie do niej CIA.

Potrzebował więcej danych.

- Nie - odpowiedział. - Nie pojmałem Lane'a. Ale chcę go dostać. Kto go ma?

Feng wyciągnął wnioski. To trzecia strona dostała Kade'a. Stary Hindus i jego żołnierze.

Przekazanie Kade'a CIA wcale nie było lepszym rozwiązaniem. Ale gdyby pomógł Nakamura... Chaos stworzy sposobność. Okazję do uwolnienia Kade'a.

- Nie wiem - przyznał. - Ale pomogę się tego dowiedzieć. Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Kiedy pojedziesz go odbić, weźmiesz mnie ze sobą.

Potrzebowali dwudziestu minut, żeby dowiedzieć się, kto porwał Kade'a. Nakamura wysłuchał relacji Fenga, a potem przekazał dane i opis Hindusa sztucznej inteligencji, stworzonej przez CIA. Elektroniczny analityk przedstawił im kilkanaście fotografii starszych Hindusów, którzy w oznaczonym czasie byli w Sajgonie, mieli stosowne koneksje i mogli być w jakiś sposób związani ze sprawą.

Nakamura wyświetlił Fengowi zdjęcia na tablecie.

- To ten - powiedział Feng. - Jestem pewien.

Nakamura spojrział na zdjęcie. Shiva Prasad.

Ze zdjęciem dostał odpowiednie dane.

Nietykalny miliarder przyleciał do Wietnamu prywatnym odrzutowcem tydzień temu. I jego paszport został elektronicznie przypieczętowany ponownie dzisiaj, przed świtem. Prasad użył prywatnego odrzutowca, by wrócić na swoją wyspę u wybrzeży Birmy.

- Masz jakieś jedzenie? - spytał Feng. - Jestem potwornie głodny.

Nakamura uśmiechnął się szeroko.

- Jasne, Feng. I mam nadzieję, że umiesz pływać.

55

Stara miłość

Poniedziałek, 29 października

Po rozmowie z Barnesem Holtzmann popadł w ponure przygnębienie. Ale nic nie mógł zrobić dla tych biednych dzieci.

Musiał jakoś wydostać Rangana Shankariego z więzienia ERD. Tylko jak? Mógł wyprowadzić go z celi i dać mu kluczyki od swojego samochodu. Wówczas w najlepszym wypadku ERD zgarnęłaby Shankariego po kilku godzinach, a Holtzmanną zamknęła na dobre.

Potrzebował pomocy.

Podziemna droga. Tak mówiły plotki. Sieć, dzięki której dzieci z Nexusem trafiały za granicę. Czy wywieźliby Shankariego? Holtzmann nie miał pojęcia. Ale chyba znał kogoś, kto miał.

Wciąż miał jej numer telefonu, lata po tym, jak odeszła zmęczona jego kłamstwami i słabością. Czy zdarzało jej się z przyjemnością wrócić pamięcią do ich wspólnych dni? Czy w ogóle będzie chciała z nim rozmawiać po spotkaniu na Kapitolu?

Był tylko jeden sposób, by się przekonać.

Holtzmann złapał za telefon i zadzwonił do Lisy Brandt.

Odebrała po trzecim sygnale.

- Słucham?

- Lisa? Tu Martin Holtzmann.

- Wiem, kto dzwoni - ucięła chłodno. - Czego chcesz?

Martin zawahał się. Wrogość... Zasłużył sobie.

- Lisa - zaczął - myślałem o naszej ostatniej rozmowie. Chyba zmieniłem zdanie. Chciałbym porozmawiać.

Cisza. Przedłużająca się cisza.

- Słucham - powiedziała wreszcie.

- Moglibyśmy się spotkać?

- Jestem w Bostonie, Martinie.

- Wiem, wiem. Mogę przyjechać. Pociągiem. Spotkalibyśmy się na lunchu jutro? U Leonettiego?

Kiedyś kochała tę restaurację.

Znowu cisza.

- Nie na lunch - odpowiedziała po chwili. - Na kawę. Harvard Square Café. O drugiej. Przyjdź sam.

- Dziękuję... - zaczął.

Odłożyła słuchawkę.

Lisa Brandt skończyła rozmowę i spojrzała na swoją żonę Alice, kołyszącą ich

adoptowanego syna Dilana.

- Martin Holtzmann? - spytała Alice, unosząc brew.

Lisa poczuła zaskoczenie i ciekawość swojej żony, na te odczucia nakładała się mieszanka zmęczenia i zadowolenia, płynącego z faktu, że Dilan ssał mleko z jej hormonalnie poprawionych piersi.

- Holtzmann - potwierdziła, ale nie odrywała oczu od syna. Czowała jego senny głód, jego poczucie bezpieczeństwa i wygody. Takie wyjątkowe dziecko.

Powinam też zastosować u siebie hormony, pomyślała. Powinam pomagać w karmieniu. Ale Alice przyszło to łatwiej, gdyż jej kariera w finansach była już mocno ugruntowana, podczas gdy Lisa wciąż z mozolem wspinała się po szczeblach ku stanowisku w wieży z kości słoniowej.

- Czego chciał? - spytała Alice.

- Pogadać. Może nawet zdradzić co nieco.

Alice spojrzała na żonę z ukosa ze znaczną dozą sceptycyzmu.

- W tym przypadku zdradzanie czegokolwiek wymaga sumienia i jaj. Martin Holtzmann, którego mi opisywałaś, nie miał ani tego, ani tego.

- Owszem - zgodziła się z nią Lisa. - Nie miał.

Anne wróciła do domu godzinę później.

- Wyglądasz lepiej - stwierdziła.

Holtzmann uśmiechnął się.

- Czuję się lepiej. Myślę, że jutro pójdę do biura.

Anne Holtzmann leżała w łóżku i udawała, że śpi. Słuchała oddechu męża, aż zyskała pewność, że zasnął.

Coś tu było nie tak. Paranoja. Wybuchy emocji. Nocne poty, torsje. To niemal przypominało...

Wstła i na palcach poszła do łazienki. Otworzyła szafki, jedną po drugiej, potem przejrzała zawartość szuflad, szukając buteleczki z pigułkami.

Nic. Martin skończył ze środkami przeciwbólowymi dawno temu. Dlaczego więc zachowywał się jak narkoman?

Anne ostrożnie wróciła do łóżka. Jutro. Jutro przyjrzy się bliżej zajęciom swojego męża.

56

W drodze

Poniedziałek, 29 października

„Kto wie, kiedy może walczyć, a kiedy nie może, odnosi zwycięstwo”. Napisał to Sun Tzu w „Sztuce wojny”. Feng powtarzał tę mądrość, gdy Nakamura wiózł go przez miasto ku pociemniałemu brzegowi delty Mekongu, a potem, gdy zostawił go skutego w dziapie, podczas kiedy ładował zapasy na ponton, i gdy przypiął metalową smycz do kajdanek Fenga, a lufą pistoletu pokazał w stronę plaży.

Feng był taki zmęczony... Bolał go każdy skrawek ciała. Pochłonął tysiące kalorii, a głód ciągle szarpał mu wnętrzności, organizm wciąż potrzebował zasobów do odbudowy. U szczytu formy Feng może i pokonałby agenta CIA, ale związany, zmęczony i bezbronny?

Ponton czekał na nich na piasku, wyładowany różnymi zapasami.

- Silnik bez mnie nie zapali - uprzedził Nakamura. - Wciągnij go do wody.

Feng zrobił, co mu kazano, szarpnął ponton oburącz, a Nakamura wszedł za nim do wody na głębokość uda. Agent CIA wsiadł, wciąż ściskając w dłoni koniec smyczy Fenga.

- Włącz na pokład - powiedział.

Chwilę później Feng siedział już na dziobie, patrząc pytająco na Japończyka.

- Zamierzasz pokonać w tym całą drogę do Birmy? - spytał.

W odpowiedzi Nakamura tylko się roześmiał.

Nakamura obserwował Fenga przysłowiowym jednym okiem. Resztę jego uwagi zaprzętało wyznaczone spotkanie. Płynął na południe i na wschód przez godzinę, nieustannie wypatrując jakichkolwiek oznak, że są śledzeni. Po lewej zautomatyzowany kontenerowiec przesuwiał się po linii horyzontu, podświetlony rzęsiście dla bezpieczeństwa czekał na swoją kolej, by wpłynąć do rzeki Nha Be i wyładować towar. Poza tym ciemne wody zdawały się zupełnie puste.

GPS poinformował agenta, że nadszedł odpowiedni moment, znajdowali się we właściwej strefie. Nakamura wyłączył silnik. Feng na dziobie uniósł pytająco brwi.

- Dostęp do Manta siedem. Rozpocząć procedurę podjęcia. Wykonać - subwokalizował Nakamura. - Może zechcesz się odwrócić - zaproponował Fengowi z uśmiechem. Chińczyk posłuchał niechętnie.

Przez chwilę nic się nie działo. A potem część morza stała się bardziej nieruchoma, ciemniejsza, bardziej płaska.

Coś podnosiło się z głębin. Coś szerokiego i ciemniejszego niż wody o północy, o kształcie zaokrąglonego wrzeciona.

Centralny kadłub łodzi podwodnej był wybrzuszeniem pośrodku charakterystycznego V, długim na dwadzieścia metrów i może pięć szerokim. Przerodził się łagodnie we wdzięczny łuk szerokich skrzydeł, o rozpiętości około trzynastu metrów. Każda powierzchnia była zakrzywiona, aby zwiększyć zarówno skuteczność maskowania stealth, jak i wydajność w wodzie. Ledwo widoczne były śluzy, z których po otwarciu mogły wypłynąć sondy, czujniki i broń. To była piękna rzecz.

Feng gwizdnął cicho.

- Klasa Manta - powiedział. - Chińska. Jak ją zdobyłeś?

Nakamura uśmiechnął się szeroko.

- Nie słuchałeś, Feng? Jestem agentem CIA.

Załadowali zapasy na łódź. Wnętrze było zbyt małe, by mogli się w nim wyprostować, ale wystarczająco obszerne, by pomieścić ich i zapasy. Kiedy skończył, Nakamura wysłał instrukcje do dziopa - wóz miał przyciemnić okna i ostrożnie wrócić do domu.

- Ta łódź... - zaczął Feng. - Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, wina spadnie na Chińczyków, co?

Nakamura wzruszył ramionami.

- Ta łódź jest przypisana do mnie. Stery reagują tylko na mój dotyk. Jeśli przestanie widzieć mój odczyt biometryczny, wypuści powietrze i zanurzy się w najgłębszym miejscu, jakie znajdzie. Tak samo jeśli spróbujesz przejąć ster. Rozumiesz?

Feng kiwnął głową.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się ponuro. - Jesteś moim kumplem.

Nakamura odwzajemnił uśmiech.

- Feng, teraz jestem twoim przyjacielem, i to najlepszym na świecie.

57

Szlak wolności

Wtorek, 30 października

Holtzmann wziął chorobowe i wsiadł do pociągu. Przeszedł przez wykrywacze Nexusa własnego projektu, wszystkie ślepe na ślad narkotyku w mózgu swego twórcy. W wiadomościach mówili o miażdżącym zwycięstwie w nadchodzących wyborach i o Zoe. Burza tropikalna zmieniła się w huragan, który siał zniszczenie na Kubie, równając z ziemią budynki, ciskając samochodami, zabijając tuziny ludzi, zanim skierował się na północ, o włos mijając Miami.

Holtzmann wysiadł z pociągu po kilku godzinach, wprost w obezwładniający upał. Studiował tu trzydzieści lat temu na MIT, niedaleko. Październik, z tego, co Holtzmann pamiętał, bywał raczej chłodny, temperatura sięgała co najwyżej piętnastu stopni, liście zmieniały kolor na żółty i czerwony. Tymczasem panował trzydziestostopniowy upał, a drzewa były brązowe w wyniku gorączki i suszy, które nękały Wschodnie Wybrzeże przez ostatnie miesiące, niszcząc zbiory i karmiąc huragany takie jak Zoe.

Holtzmann znalazł Lisę przy stoliku na zewnątrz, nad zimnym drinkiem. Miała na sobie białą sukienkę. Na ten widok szybciej zabiło mu serce.

Też go spostrzegła, wstała i gestem nakazała, żeby szedł za nią.

- Lisa... - zaczął.

- Moment - przerwała mu i poprowadziła go przez ulicę na teren kampusu.

Holtzmann ugryzł się w język.

Poszli na Harvard Yard, mijani przez studentów, którzy spieszyli na swoje zajęcia.

- No dobrze - zaczęła Lisa. - Mów cicho. I zacznij od początku.

Wziął głęboki oddech.

- Jest ktoś... ktoś, kim możesz być zainteresowana.

Odwróciła się, pytająco unosząc brwi.

- Rangan Shankari - szepnął.

- Co z nim? - Zmarszczyła czoło.

- Wiem, gdzie jest.

- To dziećmi jesteśmy zainteresowani, Martinie. Jeśli masz informacje potwierdzające, że wykorzystuje się dzieci do badań...

Holtzmann nerwowo przełknął ślinę.

- Musisz wydostać Shankarię. Musi być wolny. I bezpieczny.

Zatrzymała się.

- O czym ty mówisz?

- Dam ci, co tylko zechcesz. Dowód na to, że dzieci są przetrzymywane. Ale moją ceną jest Shankari. Musisz go wyciągnąć - szeptał, z napięciem wpatrując się w jej oczy.

Lisa kręciła przecząco głową.

- Martin, jeśli chcesz mnie... złapać w pułapkę jakiegoś planowania ucieczki z więzienia...

Złapał ją za ramiona.

- Proszę, Liso. Musisz mi pomóc. Proszę!

Cofnęła się o krok, odtrącając jego ręce.

- Nie dotykaj mnie - zażądała ze złością, zwracając na nich uwagę studentów.

Holtzmann zamknął oczy, odetchnął głęboko i ponownie na nią spojrzał.

- Przepraszam. Chodzi o to, że jeśli go nadal będą trzymać... - Poczul to. Konieczność. Przymus. Rósł w nim, przybierał na sile, jakby chciał rozsadzić ciało Holtzmann, jeśli ten nie będzie posłuszny. - Stanie się coś złego. Bardzo złego.

- Marnujesz mój czas. - Odwróciła się, by odejść.

- Błagam, Liso! - powiedział do jej pleców. - Błagam! - Gdy się nie zatrzymała, ruszył za nią i złapał ją za ramię.

Wyrwała się i wymierzyła mu policzek.

- Nie dotykaj mnie!

Kolejni studenci zaczęli zerkać w ich stronę. Lisa odwróciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem.

Holtzmann zrobił więc ostatnią możliwą rzecz. Otworzył dla niej swój umysł, sięgnął do niej w ostatnim błysku nadziei...

Nic nie poczul. Ale ona zmyliła krok, być może z zaskoczenia, odwróciła się i spojrzała na niego.

Emanował ku niej uczciwością, z jaką składał jej ofertę, głęboką potrzebą uwolnienia Rangana Shankariego z łap ERD.

Nie czuł jej. Ale patrzyła mu w oczy i zrobiła krok w jego stronę.

- Daj mi konto - szepnęła - gdzie mogę cię znaleźć.

Powiedział jej. Podał nazwę konta, które utrzymywał na tablicy ogłoszeń Nexusa, konta, którego samo istnienie było wystarczającym powodem, by go powiesić.

Cofnęła się i głośno, tak by mogli usłyszeć ją przechodzący studenci, powiedziała:

- Przykro mi. Nie mogę ci pomóc. Powodzenia.

I odeszła.

Holtzmann oszołomiony wracał pociągiem do Waszyngtonu. W domu zalogował się na tablicę Nexusa. Dostał wiadomość z konta, którego nie znał.

[Wyślij dowody. Wtedy pogadamy].

Wysłał swoją wiadomość.

[Dam połowę. Reszta, gdy mój przyjaciel wyjdzie].

Odpowiedź przyszła w niecałą minutę.

[Zgoda].

Holtzmann usiadł do zabezpieczonego terminalu w biurze na piętrze, połączył się ze służbowym serwerem i zaczął zbierać materiały. W pewnym momencie słyszał, jak Anne wraca do domu. Krzyknął do niej „cześć”, ale nie odpowiedziała.

Zbierał pracowicie dane. Protokoły eksperymentów na dzieciach. Informacje o ich imionach i wieku. Zapis tortur, jakich użyto, by wymusić usunięcie Nexusa z mózgu dziewięcioletniego autystycznego chłopca. Plany „obozów długotrwałego przebywania”, które były właściwie planami obozów koncentracyjnych. Plany i cele dotyczące lekarstwa i szczepionki na Nexusa.

Upewnił się, że materiałów nie da się powiązać bezpośrednio z nim. Przepuścił je przez filtr, który podzielił wszystko na lewe i prawe połowy. Prawe wysłał w odpowiedzi na ostatnią wiadomość. Lewe załadował na swoje konto, ale nie wysłał. Najpierw oni musieli mu coś dać.

Kiedy Holtzmann zszedł na dół, Anne była w kuchni.

- Cześć - powiedział.

Odwróciła się i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Gdzie dzisiaj byłeś, Martinie? - spytała ostro.

Zamrugnął zaskoczony.

- W biurze.

- Nie. Nie byłeś. Sprawdziłam. Jesteś chory od piątku.

Holtzmann zaczął szukać jakiejś wymówki.

- I kim jest Lisa Brandt? Czy to nie była kiedyś twoja studentka?

Holtzmannowi serce podeszło do gardła.

- To ją pojechałeś odwiedzić w Bostonie?

- Anne...

- Mam dostęp do kont i billingów, Martinie. Nie jestem głupia.

- Anne, to nie to, co myślisz.

Patrzyła na niego twardo.

- Co się dzieje, Martinie?

Holtzmann myślał gorączkowo. Co miał jej powiedzieć? Jezu.

- Chodź ze mną - wykrztusił w końcu.

Zaciągnął ją do piwnicy. Za pralnię, do pomieszczenia ze starym piecem grzewczym, pomieszczenia bez okien, w którym raczej nie spodziewał się podsłuchu. Zamknął drzwi i pochylił się ku niej.

- Kto najwięcej zyskał po zamachu? Kto odniósł z tego korzyść?

Zmarszczyła gniewnie brwi.

- O czym ty, do cholery, gadasz? - spytała zniecierpliwiona.

- Prezydent, Anne. - Popatrzył na nią ze złością. - Sama to powiedziałaś. Człowiek z FWP nie dał rady prosto strzelić. A Stockton przegrywał!

- Ty masz paranoję, Martin. Jesteś gorszy niż Claire! Tam zginęli przyjaciele Stocktona. Członkowie jego gabinetu!

Złapał ją za ramiona.

- Pomyśl, Anne! Pomyśl! - Musiał ją przekonać.

- To ty pomyśl. Czy prezydent nie odwołał poleceń Barnes'a co do zabijania tych

dzieci? Czy tak postąpiłby człowiek, który morduje własnych przyjaciół?

Holtzmann gapił się na nią bez słowa.

- A bomba w Chicago? Wtedy wygrywał w sondażach. Więc to nie on!

Wciąż się w nią wpatrywał, ogarnięty narastającym poczuciem dezorientacji. A taki był pewny... To tak pasowało.

- A ty biegasz i próbujesz dokopać się do konspiracji? Potrzebujesz pomocy, Martinie. Potrzebujesz psychiatry. Weź się w garść!

Kiedy Anne poszła spać, Holtzmann usiadł w swoim gabinecie.

Coś ciągle nie dawało mu spokoju. Coś, co powiedziała. Jesteś gorszy niż Claire!

Claire. Żona Warrena Beckera. A co powiedział Warren? Chodziło o porwanie dziedziczki Spearsów. Jeden z plików przypisywał winę FWP.

Meksykańskie kartele, powiedział mu Becker nad drinkiem.

Kartele. Nie FWP. Kartele.

Dlaczego więc oficjalne raporty stwierdzały coś innego?

To był słaby ślad, wątlutki. Ale jeśli FWP nie był taką organizacją, za jaką wszyscy ją uważali... Być może ten jeden ślad...

W jego umyśle pojawił się monit. Nowa wiadomość.

[Pliki wyglądają dobrze. Zabierz swojego przyjaciela na ostry dyżur do Vincenta Greya jutro pomiędzy 22.00 a 4.00. Zapewnimy stosowną opiekę].

Holtzmann popatrzył na wiadomość, a potem ją skasował.

Vincent Grey był szpitalem znajdującym się najbliżej kwatery głównej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Musiał jedynie dostarczyć tam Shankarięgo.

58

Samotni razem

Wtorek, 30 października

Żli ludzie przyszli po Bobby'ego dwa dni po Alfonsie i wiedział że jeśli pozwoli im się zabrać to oni zabiorą mu Nexusa z głowy i będzie nikim, będzie martwy nie będzie już osobą, więc próbował KOPAĆ złych ludzi i GRYŹĆ i DRAPACĆ, ale byli zbyt silni i jeden z nich uderzył go w głowę i to BOLAŁO i wyciągnęli go przez drzwi do pokoju do testów.

Za Bobbym zamknęły się drzwi i jego przyjaciele zniknęli. Zniknęli z jego głowy. Już ich nie czuł. Żli ludzie posadzili Bobby'ego na fotelu i przypięli mu ręce do poręczy a nigdy wcześniej tego nie robili i to go przeraziło, bo zamierzali usunąć mu z głowy Nexusa jak to zrobili Alfonsowi i wszystko będzie jak wcześniej, zanim tatuś Derik dał Bobby'emu Nexusa i zanim sam wziął i zanim po raz pierwszy Bobby mógł poczuć tatę i zrozumiał, że jest OSOBĄ - osobą jak Bobby nie jak ci wszyscy udawani ludzie, którzy nic nie mieli w swoich głowach. Od tamtej chwili Bobby nigdy jeszcze nie był taki samotny. Teraz mógł czuć ludzi, tatusia, a potem chłopców tutaj Tima i Alfonsa i Jasona i Tyrone'a i innych, i po raz pierwszy miał prawdziwych PRZYJACIÓŁ, chociaż był w złym miejscu; miał innych chłopców, których czuł i rozumiał i którzy czuli i rozumieli jego a teraz płakał i płakał - wiedział, że tylko mali chłopcy płaczą a on miał dwanaście lat i nie powinien płakać - ale wiedział co się zaraz stanie, zrobią go jak Alfonsa i Alfonso był teraz całkiem sam i Alfonso tylko płakał, i Alfonso MÓGŁBY RÓWNIE DOBRZE BYĆ MARTWY bo już nigdy nikogo nie będzie czuł i jego też nikt nie będzie czuł i był pusty jak wszyscy inni GŁUPI LUDZIE, którzy nie mieli Nexusa i którzy wcale nie byli ludźmi.

Opuścili coś metalowego na głowę Bobby'ego i on płakał i prosił proszę proszę proszę

pozwołcie mi iść proszę muszę poczuć innych ludzi proszę muszę być prawdziwy, muszę mieć przyjaciół proszę proszę proszę nie bądźcie dla mnie niedobrzy, nie róbcie mnie nieprawdziwym zrobię test, nauczę się hiszpańskiego nauczę się francuskiego będę robił TRYGNOMETRIĘ zrobię wszystko proszę proszę proszę i płakał płakał płakał.

Rangan wyczuł zamieszanie, gdy sanitariusze zabierali Bobby'ego z pokoju obok, i wiedział, co to znaczy. Znowu miał swobodę ruchów, nie był już przypięty do łóżka. Siedział w kącie z opuszczoną głową, pokonany. ERD nie miało możliwości wykorzystania furtki. Ale problem był akademicki. W końcu uda im się odtworzyć kod. To nie będzie łatwe, skoro hasła pochowane są w setkach milionów parametrów sieci neuronowych, między blokami połączeń synaptycznych, w wykresach połączeń neuronowych, które na pozór były tylko numerycznym śmietnikiem, wszystko zamaskuje kody i hasła na długo. Rozszyfrowanie tego będzie trudniejszym zadaniem niż zbudowanie Nexusa 5. Ale ERD miało zasoby, możliwości. Prędzej czy później, po miesiącach czy latach, złamią kod.

A gdyby nie złamali? Mieli jeszcze broń. Mogli nadal zamykać takie dzieci jak Bobby, odbierać je rodzicom, zabijać im rodziców. Znaleźli sposób, by na siłę usunąć Nexusa z mózgu Alfonsa. Teraz zrobią to samo Bobby'emu. Okaleczą małego chłopca, bo nie pasował do ich poglądów i ideologii.

Rangan potrząsnął głową. Tyrone położył się na łóżku Bobby'ego i sięgnął myślami do Rangana, a Rangan zrobił, co tylko mógł, żeby uspokoić chłopca. Słał mu pocieszające myśli, choć sam czuł jedynie rozpacz.

Bobby płakał i błagał, a wtedy jeden z ludzi odezwał się do niego:

- Bobby, tak masz na imię, prawda? Bobby, nie zrobimy ci krzywdy. Chcemy ci pomóc, synu.

Bobby gapił się na mężczyznę. To był stary człowiek i miał wąsy, i uśmiechał się jak nauczyciele kazali uśmiechać się Bobby'emu żeby pokazać że jest miły ale w głowie tego człowieka nic nie było i on kazał przywiązać Bobby'ego do krzesła z czymś metalowym na głowie więc na pewno wcale nie był miły.

- Bobby, umiesz używać komend w Nexusie, prawda?

I chociaż ten mężczyzna nie był miły Bobby skinął potakująco głową bo przecież mógł się mylić i oni wcale nie chcieli usunąć mu z głowy Nexusa - i może jeśli będzie grzeczny pozwolą mu zatrzymać Nexusa i wrócić do chłopców i wciąż będzie osobą i będzie miał przyjaciół i...

- Chcemy, żebyś wprowadził komendę. Do twojego Nexusa. Na ekranie w twojej głowie. OK?

Bobby znów skinął głową, bo nie było źle skoro chcieli tylko, żeby użył wiersza poleceń co oznaczało uruchomienie programu albo wpisanie jakiegoś skryptu albo zmianę konfiguracji a Bobby rozumiał że Nexus jest rodzajem komputera w głowie bo tego nauczył się od Rangana i Bobby rozumiał komputery bo były logiczne o wiele bardziej niż ludzie, szczególnie tacy nieprawdziwi jak ci...

- Polecenie to „wyczyść Nexus” - powiedział mężczyzna. - Poczujesz się po tym lepiej. - I mężczyzna zaczął literować Bobby’emu „Nexus” i „wyczyść”, jakby Bobby był idiotą, ale Bobby nie słuchał bo rozumiał komputery i miał bogaty słownik i wiedział czym jest Nexus od Rangana i wiedział co znaczy wyczyścić i wiedział że czasem to jest związane z ciałem, jak kiedy robi się kupę albo zwymiotuje bardzo ale teraz chodziło o to drugie znaczenie usunąć pozbyć się wymazać i ten stary mężczyzna z wąsami kazał Bobby’emu usunąć pozbyć się wymazać Nexusa i Bobby nie chciał a oni chcieli go oszukać i to go rozwścieczyło.

- NIE! - wrzasnął. - Potrzebuję Nexusa, proszę, proszę, proszę.

- Synu - powiedział mężczyzna - to nie wpłynie na twojego Nexusa. To tylko naprawi kilka problemów i sprawi, że poczujesz się lepiej.

Kłamał i traktował Bobby’ego jak głupka a to go rozwścieczyło jeszcze bardziej więc wrzasnął:

- JESTEM AUTYSTYCZNY, NIE GŁUPI!

I nie przestawał krzyczeć i krzyczeć a mężczyzna skinął do kogoś głową i wtedy coś uderzyło Bobby'ego bardzo mocno, coś jak hałas tylko inne, jak zakłócenia jak WSZYSTKIE ZAKŁÓCENIA NA ŚWIECIE i Bobby widział zakłócenia słyszał zakłócenia czuł smak zakłóceń zapach zakłóceń i dotyk zakłóceń i były TAKIE GŁOŚNE że nie mógł myśleć i BOLAŁO BOLAŁO BOLAŁO i KRZYCZAŁ...

I nagle się skończyło.

Boby płakał i płakał i płakał i płakał i myślał że chyba się zesikał ale nie był pewien bo wszystko było jakies pomieszane i już sam nie wiedział co się dzieje i wtedy mężczyzna znów się odezwał:

- Synu, jesteś chory. To, co poczułeś... to właśnie choroba. Chcemy ci pomóc. Chcemy, żeby ta choroba przeszła. Wprowadź polecenie: „wyczyść Nexus” i zaraz poczujesz się lepiej.

I Bobby płakał ale wiedział że mężczyzna kłamie. Nie był chory i nie czuł się tak dlatego że był chory, czuł się tak z powodu tej metalowej rzeczy na głowie z powodu tego co mu robili ponieważ byli tak bardzo bardzo bardzo zli, nie chciał żeby to się powtórzyło ale jeśli WYCZYŚCI Nexusa wtedy będzie jeszcze gorzej i nagle pomyślał o czymś. LOGIKA mu podpowiedziała i nagle poczuł się inaczej bo zrozumiał: miał PRZEWAGĘ jak kiedyś mówił jego tatuś ponieważ jeśli ci mężczyźni chcieli żeby sam uruchomił czyszczenie Nexusa i sam się pozbył Nexusa to dlatego że ONI NIE MOGLI MU TEGO ZROBIĆ!

I znowu uderzyli go tymi paskudnymi zakłóceniami nie mógł myśleć i jego ręce drgały i stopy drgały i ugryzł się w język i nic nie działało jak trzeba tym razem na pewno się posikał i może nawet zrobił kupę i wszystko tak bardzo go bolało i było takie pomieszane gdy zakłócenia ustawały i Bobby znów płakał ale pamiętał pamiętał co zrozumiał i kiedy mężczyzna powiedział:

- Synu, proszę, musisz uruchomić czyszczenie Nexusa! Musisz sobie pomóc i przestać chorować.

I Bobby tylko popatrzył na mężczyznę, wciąż płakał i krzyczał:

- NIE MOŻECIE MNIE ZMUSIĆ! NIE MOŻECIE MNIE ZMUSIĆ! NIE MOŻECIE MNIE ZMUSIĆ!

I krzyczał tak gdy tylko mógł gdy tylko przestawali robić mu krzywdę.

Rangan siedział przygnębiony w kącie, próbując znaleźć sposób na podtrzymanie nadziei, na przekazanie jej chłopcom, choć los ich wszystkich zdawał się przypieczętowany.

I nagle umysły chłopców się wzburzyły, coś ich zszokowało. Coś przepłynęło między nimi i dotarło do Rangana.

Bobby. Bobby.

Rangan był w stanie wyczuć umysł chłopca, odbity w myślach Pedra. Bobby wrócił. Był wyczerpany, ogłuszony, wydrenowany. Ale był. Jego umysł tam był. Jakoś ich pokonał.

Pozostali chłopcy zaprowadzili Bobby'ego do sypialni, na jego łóżko, wtedy Bobby sięgnął myślami do Rangana, a Rangan objął chłopca mentalnymi ramionami i szlochał z ulgi.

59

Wizje

Środa, 31 października

Shiva dał Kade'owi dostęp do kadry naukowej. Lane mógł opuszczać swoje pokoje za dnia, zawsze jednak z zakłóczaczem Nexusa. Wyczekiwał jakiejś szczeliny w dyscyplinie, jakiegoś wypadku, wyczerpanej baterii, niezamkniętych drzwi zewnętrznych, pozostawionego bez dozoru klucza.

Nie doczekał się.

Naukowcy odpowiadali na jego pytania, pokazywali konstruowane narzędzia, systemy koordynacji miliona umysłów, niesamowite wyniki dzieci na testach inteligencji, sposoby, aby jeszcze poprawić rezultaty.

I wbrew sobie Kade był pod wrażeniem.

Jak bardzo różniły się cele Shivy od jego własnych? Pomyślał o cienkiej warstwie umysłów otaczających kulę ziemską, surowym potencjale. Co, jeśli mógłby dotknąć tych umysłów narzędziami Shivy? Co mogliby urzeczywistnić?

Codziennie Kade jadł z Shivą, a czasem z jego pracownikami. Śniadanie tutaj. Lunch tam. Herbata między spotkaniami Shivy. Obiad tam, gdzie chciał Kade. Gdy przybył na wyspę, dni były upalne i słoneczne. Teraz robiło się bardziej wietrznie i wilgotno. Ale nadal było pięknie.

Shiva odmawiał mu tylko jednego - wolności.

- Chcę porozmawiać z dziećmi - oznajmił Kade.

- Absolutnie nie - zaprotestował Shiva. - Są młode i kruche. Niektóre przeszły poważną traumę. Nie pozwolę, byś jeszcze bardziej mieszał im w głowach.

Kade wciąż mógł zobaczyć dzieci z okna albo z dachu, albo podczas rozmów z naukowcami. Były podzielone na trzy grupy. Dzieci z jednej zdawały się rozpoznawać Kade'a. Czy znały Sam?

Zastanawiał się, gdzie teraz może być Cataranes. Ale nie powiedział Shivie o swoich domysłach. Każda informacja, którą zatrzymał dla siebie, mogła dać mu niespodziewaną przewagę.

Dni mijały. Niedziela zmieniła się w poniedziałek, poniedziałek we wtorek, a wtorek

w środę.

Po środowym obiedzie strażnik odprowadził Kade'a do pokoju. Aktywował własny zagłuszacz Nexusa i dezaktywował Kade'a. Traktowali Lane'a grzecznie, delikatnie, nawet z pełną szacunku uległością. Personel i strażnicy tytułowali go „sir”.

Kade zasiadł w antycznym fotelu i wpatrywał się w pudełko z tabletem.

Czego się obawiam? - pytał sam siebie. Dlaczego nie chcę poznać myśli Shivy?

Obawiasz się, że mówi prawdę - odpowiedział mu głos Ilyi. Że jego intencje są czyste.

Dlaczego?

Bo w tym przypadku - kontynuowała Ilya - ma do tylnych drzwi takie samo prawo, jak ty. A może i większe. Jest mądrzejszy, lepiej rozumie świat. Jeśli ty zasługujesz na tylne drzwi, to i on. A jeśli on nie, to ty też nie.

Kade zasnął, zmagając się z tą myślą, szukając sposobu na podważenie jej logiki.

Obudził się w ciemności, niespokojny. Wstał, założył szlafrok, rozsunął zasłony, za oknem zobaczył chmury, które gnał po niebie porywisty wiatr. Gdzie teraz był Feng? A Rangan? Czy FWP nadal planowało zamach? Czy przez niego zginą kolejne setki ludzi? Czy rozpęta się wojna?

Popatrzył na zamknięte pudełko z tabletem. Przeszedł do biurka. To byłoby takie proste. Otworzyć swój umysł. Pozwolić, by Shiva go przekonał. Pozwolić, by ktoś inny przejął to brzemie.

Myślał o wszystkich korzyściach, jakie by z tego wyniknęły. Więcej zasobów, gigantyczne farmy serwerów na całym świecie, satelity komunikacyjne, załogi programistów. Mogliby zdusić nadużycia Nexusa w zarodku, powstrzymać gwałcicieli, złodziei, zabójców. Shiva mógłby pomóc mu ukończyć Nexusa 6, zintegrować wszelkie zabezpieczenia.

Mogliby uratować Rangana. Zapobiec zamachowi w sobotę. Odnaleźć Fenga, żywego, jeśli mieliby tyle szczęścia.

Mogliby połączyć wszystkie umysły z Nexusem w coś znacznie większego.

Musiał jedynie dać Shivie klucz do miliona umysłów.

Usiadł przy biurku. Wziął kasetkę z tabletem. Była chłodna w dotyku. Urządzenie w środku załadowane zostało myślami i wspomnieniami.

Kade sięgnął w głąb siebie i ponownie włączył dzielenie plików w Nexusie.

Shiva leżał bezsennie na twardej pryczy w swojej wąskiej celi. Lane miękkł. Shiva widział to w każdej rozmowie. Chłopak zmęczony był odpowiedzialnością, zmęczony samotnością i coraz bardziej przekonywał się o dobrych intencjach Shivy. Niedługo, za kilka dni albo tygodni, Kade się zgodzi.

Shiva odetchnął głęboko.

Czy jestem tego godzien? Czy to sprawiedliwe? Moralne?

Teraz, gdy narzędzie, którego poszukiwał, znalazło się niemal w jego zasięgu, zaczął mieć wątpliwości.

Nita byłaby przeciwna, myślał. Budziłoby to w niej większy wstręt niż cokolwiek, co zrobił dotychczas. Arogancja, mówiłaby.

Bogowie karzą arogancję, powiedział sobie, w każdej religii, w każdej mitologii.

Ale wystarczyło mu tylko pomyśleć o świecie zewnętrznym, o rozmaitych przepaściach, które otwierały się pod stopami ludzkości, by przypomnieć sobie o zgoła odmiennym punkcie widzenia. Ludzkość potrzebowała pomocy. Desperacko. I w żaden sposób nie była w stanie uratować się sama.

- Robię to dla świata, Nito - szepnął w ciemność. - Jeśli nie ja, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?

Kade przeglądał dostępne dane. Był ich ogrom. Shiva pokazał mu naprawdę olbrzymią część pamięci i przemyśleń.

Lane analizował pliki, przepuścił je przez antywirusa i inne programy zabezpieczające, upewniając się, że nie zawierają żadnych ukrytych kodów. Co innego zostać przekonanym, a co innego oszukany.

Niczego nie znalazł.

Ale i tak przygotował w umyśle izolowane środowisko, a w nim drugie, inaczej skonfigurowane środowisko programowe. Dopiero w tak odciętej przestrzeni odtworzył pliki.

Natychmiast przepadł, całkowicie pochłonięty, wessany w to, czym dzielił się Shiva. To nie były tylko plany. To było jego życie, dzieciństwo, wydarzenia, które go uformowały, osobiste triumfy i tragedie. Obawy, które skrywał głęboko, obawy dotyczące całego świata. I nadzieje, które żywił w tym względzie.

Kade pochłaniał te myśli, te wspomnienia, doświadczenia i wiedzę. Przypisał wszystkie procesory Nexusa do tego zadania i przyspieszył asymilację poza czas rzeczywisty. Znajdował się niemalże w transie, zanurzony w drugim człowieku. Welon maya opadł i Kade w tym momencie nie był już sobą. Był Shivą, a zarazem kimś o wiele więcej.

Przyszedł do siebie po wielu godzinach. Za oknem świeciło słońce, zbliżało się południe. Kade mgliście pamiętał wizytę służącej. Stolik na kółkach wciąż stał obok niego, wyładowany jedzeniem.

Zignorował posiłek.

Wstał, podszedł do okna i spojrzał na wspaniały przestwór wody, wielobarwne morze,

fale przetykane jaszczurkami i szmaragdowymi pasmami, malowane morską zielenią i plamami lapis lazuli, i jeszcze tuzinem innych kolorów, których nawet nie potrafił nazwać.

Teraz rozumiał już wodę. Jej chemię. Ekologię. Pamiętał nurkowanie u wybrzeży Indii. Shiva tam nurkował, namówiony przez żonę, Kade pamiętał badanie koralowców, ubolewanie nad ich losem. Kiedyś czytał o zakwaszeniu wód oceanicznych. Teraz dogłębnie rozumiał ten proces - przerażenie, jakie budziły rafy niegdyś tętniące życiem i barwami, teraz martwo szare. Rozumiał też ich wrażliwość, to, czym była ich śmierć dla ryb i innych gatunków, które żyły wśród nich.

Pamiętał północ, okolice bieguna, tundry Arktyki, topiące się, gnijące, produkujące metan. Był tam. Shiva tam był wskutek nalegań Nity. Okutany w ubiór polarny widział metan wydobywający się z topniejącej wiecznej zmarzliny. Widział szerokie na mile bąble metanu wypływające z rozpadającej się brei nasyconego dwutlenkiem lodu, tuż pod coraz cieplejszym Morzem Arktycznym.

Wreszcie rozumiał ryzyko. Nie było już dla niego pojęciem abstrakcyjnym, a realną groźbą, tak jak czuł to Shiva, tak rzeczywistą jak lęk, który przeszywał go na wysokościach. Kilka kolejnych upalnych letnich miesięcy zniszczy do reszty równowagę tych pól, uwolni następne bąble gazu cieplarnianego i upiecze Ziemię na dobre. Wysuszy pola, zniszczy lasy deszczowe, pozbawi ludzi zapasów żywności i schronienia w przeciągu miesięcy, co najwyżej lat, i powali ludzkość na kolana wraz z całą biosferą.

Kade spojrział na zachód. Za horyzontem leżały Indie, jego ojczyzna... Ojczyzna Shivy. Trzecia potęga ekonomiczna świata. A jednak Kade miał teraz żywe wspomnienia dziecka, które umierało w jego ramionach, wieśniaków, którzy konali z głodu zaledwie kilometry od domostw niedawno wzbogaconych królów technologii.

Znał położenie tysięcy głowic nuklearnych, wycelowanych w pobliski Pakistan, Chiny, Iran, nawet w Europę i Stany Zjednoczone. Wiedział wszystko o trzech ściśle tajnych incydentach, które niemalże doprowadziły do wybuchu wojny atomowej między Indiami a Pakistanem. Konflikt pochłonąłby miliony istnień w przeciągu minut, a rozpętana w ten sposób apokalipsa - setki milionów.

Patrzył na fale i wspominał swoje dzieciństwo sieroty, niedotykalnego sieroty, najmarniejszego z marnych, walczącego o każdy kęs, o przeżycie. Baty. Okrutny gang uliczny, z którego łap z trudem uciekł. Przekonanie, że na przemoc trzeba odpowiedzieć przemocą, a tych, którzy cię skrzywdzili - ukarać. I później, gdy ignoranci ze wsi zamordowali sieroty pod jego ochroną, gniew, jaki poczuł, wrzaski, gdy winnych przybijano do krzyży. Pamiętał płomienie, które przyniosły sprawiedliwość.

Dalej na zachód: Europa i Ameryka Północna. Teraz wiedział więcej niż kiedykolwiek o tym, jak traktowano tam następców ludzkości. O czystkach. O broni wirusowej, która czekała, by w odpowiednim momencie usunąć wszystkich genetycznie ulepszonych. O detektorach Nexusa. O pracach nad stworzeniem „szczepionki” na Nexusa, nad stworzeniem „lekarstwa”, które wyczyści Nexusa z mózgów użytkowników, nawet tych, którzy przeżyli z nim całe życie. O planach awaryjnych. O obozach koncentracyjnych dla dzieci urodzonych z Nexusem.

Tyle zła działo się na świecie. Ewoluuowali w rzeczywistości, w której wystarczyło kilkadziesiąt osób, by stworzyć plemię i we wszystkich innych widzieć wrogów. Brakowało im umiejętności poznawczych, koniecznych do współpracy na taką skalę. Zrobili, co mogli, ale demokracja i kapitalizm sięgnęły swoich granic już dawno temu. Teraz były skorumpowane, zniekształcone, przystosowane do tego, by służyć interesom jednostek, podczas gdy największe problemy, z jakimi musiał mierzyć się świat, dotyczyły wszystkich jego mieszkańców.

Mógłby temu zaradzić. Pociągnąć za właściwe sznurki, pokierować naukowców i inżynierów ku odpowiednim zagadnieniom, połączyć ich umysły, podnieść efektywność, mógł zmanipulować banki i korporacje, by zapewnić zasoby dla badań, skłonić polityków do ratowania świata i ludzi.

A przede wszystkim mógł połączyć umysły. Człowieka z człowiekiem. Stworzyć coś większego, ogólnoglobalną świadomość, postludzka inteligencję.

Wszystko, czego potrzebował, to klucz. Klucz do miliona umysłów, które jutro staną się dziesiątkami, a może setkami milionów. Tylko tyle.

Historie wojenne

Środa, 31 października

W niewielkiej łodzi podwodnej, zanurzonej w wodach Morza Andamańskiego, Kevin Nakamura śmiał się w głos, podczas gdy Feng gestykulował skutymi rękami.

- No to rzucam nożem do masła - opowiadał Chińczyk. - Bum! Prosto w prawe oko. Ale on mnie zdążył sięgnąć tasakiem. - Pokręcił głową. - I tak dorobiłem się tego. - Pokazał bliznę na przedramieniu.

- I to było w Ałma-Acie? - spytał Nakamura.

- No. W trzydziestym siódmym. Byłeś tam?

Nakamura skinął głową, podwinął nogawkę spodni i pokazał bliznę pod kolaniem.

Feng zmarszczył brwi.

- Snajper? - spytał lakonicznie.

- Farmer. Miał widły.

- Widły! - roześmiał się Feng. - A widziałeś akcję w Astanie?

- Ja nie. Ale moi przyjaciele tam byli. - Nakamura przechylił lekko głowę. - Byłeś w Meszhedzie w trzydziestym piątym? Albo w Majmanie w dwudziestym szóstym?

Feng popatrzył na niego z zaskoczeniem.

- W dwudziestym szóstym to ja miałem osiem lat.

Nakamura zmarszczył czoło.

- Jesteś starym człowiekiem - podsumował Feng.

Agent CIA prychnął w odpowiedzi i zajął się sterami. Do Apyar Kyun mieli jeszcze dwa dni drogi.

Dwieście mil dalej, na północno-wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych szalała rozwścieczona Zoe. Październikowe wody oceanu były gorące, cieplejsze niż kiedykolwiek od wieków. Prąd Zatokowy niósł ciepłą wodę na północ, od równika ku środkowemu Atlantykowi, dodając jeszcze temperatury wodzie rozgrzanej rekordowo upalnym latem.

Atlantyk pozbywał się nadmiaru gorąca, odparowując wodę w niebo.

Zoe karmiła się tym mokrym powietrzem, absorbowwała energię i wilgoć, rosła w siłę, wzmacniała swoje wiatry, rozpędzając je jeszcze szybciej i z większą furją wokół ogarniętego ciszą centrum, aż w końcu wirowała z jedną piątą prędkości dźwięku.

Zoe ruszyła na północ. A z nią kroczył chaos.

61

Cena pokoju

Środa, 31 października

Holtzmann wysliznął się z łóżka o szóstej rano, kiedy Anne jeszcze spała. W głowie mu huczało, usta miał wyschnięte, a ciało zeszywniałe.

Pragnął opiatów, jednak dzisiaj nie miał na nie najmniejszych widoków.

Wziął prysznic i ubrał się pospiesznie. Anne przewróciła się tylko na drugi bok i wymamrotała coś niezrozumiale. Chwilę później był już w samochodzie, w drodze do biura.

W wiadomościach mówiono o zbliżającej się wygranej Stocktona. No i o Zoe. Huragan przemieścił się nad otwarty Atlantyk, po drodze wysysał energię z nieprawdopodobnie ciepłych wód i przybierał na sile, od potwora kategorii czwartej, który zniszczył Hawanę, do kategorii piątej z wiatrami o prędkości stu sześćdziesięciu mil na godzinę i dziesięciostopowymi falami. I teraz Zoe ponownie zmieniała trasę, zawracając ku północy i północnemu zachodowi, kierując się w stronę New Jersey, gdzie prawdopodobnie miała dotrzeć w piątkowy wieczór.

Boże, co to będzie za katastrofa!

Holtzmann dotarł do biura krótko po siódmej, zabrał tablet, zdjęcia, których potrzebował, po czym skierował się do Skrzydła Podmiotów Ludzkich. Główna siedziba ERD nie była więzieniem, brakowało tutaj wyposażenia przeznaczonego do długotrwałego przetrzymywania więźniów. Za to Skrzydło Podmiotów Ludzkich mogło pomieścić do pięćdziesięciu obiektów dla celów badawczych przez kilka miesięcy.

Holtzmann przesunął identyfikatorem przez czytnik, wszedł na teren eksperymentalnego skrzydła budynku i skierował się do biurka ochroniarza.

- Przyszedłem zobaczyć się z Ranganem Shankarim - powiedział strażnikowi, pokazując identyfikator.

Strażnik skinął głową, po czym spojrzął na panel monitorów.

- Pokój trzydzieści jeden, ciągle śpi - odparł.

- Obudźcie go - zażądał Holtzmann. - Będę czekał w pokoju przesłuchań.

Dziesięć minut później dwóch strażników przyprowadziło do Holtzmannu skutego więźnia. Przypięli kajdanki do stolika, który był przymocowany na stałe do podłogi.

Holtzmann czekał po drugiej stronie pomieszczenia, aż strażnicy zostawią ich samych. Już sam widok Shankariego wzbudził w nim potężny dreszcz. Był tak blisko... Tak niewiele brakowało, by go stąd wydostać...

Poczekaj jeszcze trochę... Do wieczora.

Strażnicy wyszli.

- Rangan, dawno się nie widzieliśmy - przywitał Shankariego.

- Nie dość dawno - odburknął Shankari posępnie.

Holtzmann przesunął tablet w stronę Rangana.

- Otwórz go, zobacz, co Nexus zrobił ze światem.

Ze skutymi rękami Shankari ledwo mógł dosięgnąć urządzenia. Pierwszy obraz przedstawiał widok miejsca zamachu z lotu ptaka, zaledwie ćwierć mili od budynku, w którym przebywali obecnie. Na ziemi leżały nieruchome ciała, szczątki białych krzeseł, połamanych w obszarze objętym eksplozją, tworzyły ponury krąg.

Shankari spojrzał ze zdziwieniem na zdjęcie.

- Co to ma być? - zapytał.

- Trzy miesiące temu Front Wyzwolenia Postludzi użył Nexusa 5, by przeprogramować umysł agenta Secret Service. Próbowali zgładzić prezydenta. Nie udało im się, ale zginęło wielu niewinnych - odpowiedział mu Holtzmann.

Shankari patrzył na niego przez chwilę w milczeniu. W oczach miał pustkę. Spojrzał z powrotem na ekran i dotknął go, żeby powiększyć zdjęcie.

- Właśnie dlatego potrzebujemy tylnych drzwi - tłumaczył Holtzmann. - By powstrzymać tego typu wydarzenia.

Kłamstwo, powiedział sam sobie. Chcemy ich, żeby kontrolować, obserwować ludzi, poszerzać strefy wpływów. Żadnych szlachetnych powodów.

- Już wam je dałem - odparł Rangan. - Nie moja wina, że nie działają.

- Oglądaj dalej zdjęcia. Przejrzyj je wszystkie dokładnie, być może zmienisz zdanie, kiedy zobaczysz, czemu próbujemy stawić czoła - odpowiedział Holtzmann.

Shankari chrząknął i po raz kolejny dotknął ekranu.

Wtedy Holtzmann sięgnął do niego umysłem, ostrożnie, spokojnie, wysyłając zaproszenie do czatu.

Shankari poderwał głowę z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, z jego umysłu promieniowały szok i niedowierzanie. Pomimo tego zaakceptował zaproszenie.

[holtzmann] Nie daj nic po sobie poznać, przeglądaj zdjęcia.

[rangan] Co jest, kurwa?!

[holtzmann] Przyszedłem cię wyciągnąć.

Holtzmann otworzył się częściowo na chłopaka, pokazał mu szczerą swoją intencję, głębokie pragnienie, by uwolnić Rangana.

Shankari stuknął w ekran tabletu, wpatrując się uważnie w zdjęcia.

[rangan] Dlaczego?

[holtzmann] Nieważne. Zrobimy to dzisiaj wieczorem. Możesz upozorować atak drgawek o jedenastej w nocy?

[rangan] Tak, ale co dalej?

[holtzmann] Jeśli będziesz przekonujący, zabiorą cię do najbliższego szpitala. Stamtąd uwolnią cię przyjaciele.

[rangan] A co z dziećmiakami?

[holtzmann] Tylko ty.

Rangan zamrugnął zaskoczony. Holtzmann czuł wewnętrzną walkę w chłopaku, czuł, jak nadzieja ściera się w nierównej walce z poczuciem winy i strachem. Sekundy mijały. W końcu Rangan podjął decyzję.

[rangan] Nie ma mowy.

[holtzmann] Możemy nie mieć kolejnej szansy.

[rangan] Nie bez dzieci. Albo idą ze mną, albo nie idę.

Holtzmann jęknął w głębi duszy. Tak bardzo pragnął uwolnić Rangana, był tak bardzo, bardzo bliski dopięcia swego.

[rangan] To tylko dzieci, człowieku. Torturują je. To chore.

Holtzmann zamknął oczy. Mógłby upozorować sytuację nagłego zagrożenia zdrowia Shankariego. Mógłby mu wstrzyknąć dowolną liczbę substancji, które zmusiłyby go do wizyty na ostrym dyżurze.

[rangan] Mój Boże, czy ty, kurwa, w ogóle masz sumienie?! TO DZIECI.

Holtzmann poczuł, że traci grunt. Obrazy dzieci stanęły mu przed oczami. Alfonso Gonzales, który był torturowany do czasu, aż zrezygnował z Nexusa. Bobby Evans, dręczyli go przez cztery godziny, aż wreszcie odpuścili...

[rangan] Proszę, ja nie muszę się wydostać. Mną się nie przejmuj, zamiast tego

wyciągnij stąd chociaż jednego dzieciaka.

Holtzmann zabrał tablet z rąk Shankariego i wstał.

[holtzmann] Zastanowię się.

[rangan] Czekaj, czekaj. Co z Ilyą? Kade'em? Watsem?

Holtzmann poczuł się nagle bardzo przygnębiony i zmęczony, zmęczony tym wszystkim, co się wydarzyło. Utkwił posępne spojrzenie w Shankarim.

[holtzmann] Nie żyje. Ścigany. Nie żyje.

Shankari ukrył twarz w przykutych do stołu dłoniach w geście rozpacz, a Holtzmann szybkim krokiem opuścił pokój.

Holtzmann siedział w zamkniętej kabynie w toalecie i płakał. Płakał z frustracji. Czuł wewnętrzną potrzebę uwolnienia Rangana. Musiał to zrobić. Ta potrzeba zmieniała go w ruinę, dłonie mu się pociły, oddech przyspieszył, skóra mrowiła. Rangan musiał być wolny!

Mógł do tego doprowadzić. Mógł pójść do laboratorium, napełnić strzykawkę mieszaniną tramadolu i dapoxetinu. To załatwiłoby sprawę. Jeden zastrzyk i w ciągu kilku minut Rangan miałby atak drgawek tak silny, że musiałby trafić do szpitala na leczenie.

Jednak więzień miał rację. Te dzieci... Każde z nich czekały tortury. Staną się świnkami doświadczalnymi dla nowych leków. Większość umrze w trakcie badań klinicznych, te, które przeżyją, zostaną wysłane do obozów koncentracyjnych lub uwolnione, jednak na zawsze okaleczone wskutek utraty Nexusa.

Holtzmann zacisnął pięści, przyłożył je do czoła. Walka, jaka rozgrywała się w jego wnętrzu, sprawiała, że chciał krzyknąć ile sił w płucach.

Nigdy nie byłem odważny, powiedział sobie. Zawsze byłem tchórzem. Cholera jasna, chciałbym chociaż raz postąpić właściwie.

Musiał spróbować. Musiał znaleźć sposób, by uwolnić zarówno Rangana, jak i dzieci.

A co z resztą dzieci? Z tymi, na których przeprowadzają eksperymenty w Wirginii? W Teksasie? W Kalifornii?

Dobry Boże, jęknął w duchu. Mogę podołać tylko jednemu takiemu wyzwaniu na raz.

Jeśli się uda, uratuje tutejsze dzieciaki, znajdujące się pod jego bezpośrednią opieką. Reszta będzie musiała poczekać.

Holtzmann wsiadł do samochodu, opuścił kampus i udał się do kawiarni w biednej dzielnicy otaczającej budynki Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Anacostii. Tam podłączył się do sieci, przepuścił połączenie przez anonimizator, połączył się z główną witryną Nexusa i wysłał wiadomość:

[Zmiana planów. Jeszcze kilku przyjaciół do wydostania. Młodzi. Reszta plików po wszystkim].

Następnie udał się z powrotem do biura, by odbębnić kolejny dzień hipokryzji.

Rangan usiadł w swojej celi, dygocząc.

Czy ja naprawdę to zrobiłem? - zastanawiał się. Czy naprawdę odrzuciłem propozycję wydostania się stąd?

O tak, to właśnie zrobił.

Spędził całe życie, jedynie biorąc. Zawsze był zaledwie chłopcem. Ale nie musiał tego ciągnąć.

Te dzieciaki... Musiały się stąd wydostać, zasługiwały na wolność bardziej niż on.

Przyszedł czas, by postępować właściwie, dla odmiany zrobić coś dla kogoś innego.

Czas stać się mężczyzną.

Ja pierdolę, kurwa, pomyślał Rangan. Mam nadzieję, że to zadziała.

62

Wzdłuż wybrzeża

Środa, 31 października - czwartek, 1 listopada

Sam płynęła wśród wzburzonej nocy. Była w drodze od czterech dni, podróżowała tylko po zmierzchu, w małej łodzi zabezpieczonej kamuflażem stealth, a za dnia chowała się przed promieniami palącego słońca. Jej ramię goiło się szybko dzięki stałym zmianom bandaży, maści antybiotykowej i obfitym zapasom pożywienia.

Początkowo pogoda była dobra, im jednak dalej Sam docierała na północ, tym aura stawała się bardziej uciążliwa. Ta noc była zdecydowanie najgorsza. Fale rzucały małą łódkę we wszystkie strony. Zabezpieczyła broń, rezerwy paliwa oraz zapasy wody i pożywienia, a także sprzęt do obserwacji, a i tak wszystko przewalało się z jednej strony na drugą. Wiatr zamarł w okolicach północy i reszta nocy mijała w znacznie bardziej komfortowych warunkach.

Przed świtem znalazła małą nienazwaną wysepkę, gdzie schroniła się w niewielkiej zatoce, by przeczekać dzień. Udało się jej dzisiaj przebyć siedemdziesiąt mil. Od Apyar Kyun dzieliło ją jeszcze tylko trzydzieści.

Sam zjadła, co tylko zdołała przełknąć, oczyściła ranę, po czym zmusiła się do zaśnięcia. Sen nadchodził powoli, a gdy już przyszedł, śniła o Sarai, Jake'u i o śmierci.

Obudziła się, gwałtownie chwytając powietrze, musiała wetknąć dłoń do ust, by się uciszyć. Było dopiero południe. Wiedziała, że już nie zaśnie.

Zaczęła więc przygotowywać sprzęt, rozbierała go na części, czyściła, składała z powrotem i sprawdzała działanie. Powtórz. I tak do znudzenia.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, nastąpiło już czwartkowe popołudnie. Miała szansę dotrzeć do Apyar Kyun przed północą, spędzić resztę nocy na badaniu wyspy, sprawdzić otoczenie przy pomocy dostarczonych przez ludzi Lo Pranga noktowizora i lornetki, wymyślić sposób na odzyskanie dzieci.

Sam wyprowadziła niewielką łódkę przemysłową z zatoki, wprost na szerokie morze. Warunki były znacznie cięższe niż na wyspie, na której spędziła cały dzień, jednak dzięki silnikom parła niezamordowanie naprzód. Fale uderzały z całym impetem, próbując zmyć ją z pokładu, jednak Sam wytrwale dążyła do celu.

Walczyła z wiatrem i falami przed bite cztery godziny i zbliżyła się na dziesięć mil do Apyar Kyun. Wiatr ucichł i Sam cieszyła się w duchu, no i płynęła znacznie szybciej. Znajdowała się milę od Apyar Kyun, jakieś sto jardów od ostatniej, maleńkiej bezimiennej wysepki, gdy nagle sztorm uderzył ze zdwojoną siłą.

Potężna fala rąbnęła w bakburtę, gwałtownie przechylając łódkę. Siła uderzenia rozerwała mocowanie i linki. Pojemniki z wodą runęły na dno łódki. Sterta jedzenia rozpadła się, a pudełko z amunicją przeleciało przez całą kabinę i uderzyło w przeciwległą ścianę.

Łódź przechyliła się niebezpiecznie, pod kątem trzydziestu stopni, czterdziestu pięciu, sześćdziesięciu... Sam skoczyła na unoszącą się stronę, chwytając za wspornik, by przeważyć łódź. Ta zachwiała się silnie, zatrzymała na ułamek sekundy przed wywróceniem do góry dnem, po czym opadła, odzyskując poziom i dygocząc od siły uderzenia o wodę.

Sam pochwyciła stery, siłując się z nimi, by dokonać zwrotu przed uderzeniem kolejnej fali. Obróciła dziób, kiedy woda uderzyła z dużą siłą, wysyłając w powietrze niezabezpieczony ekwipunek. Coś ciężkiego i metalowego uderzyło Sam w głowę. To było istne szaleństwo. Musiała znaleźć jakieś schronienie. Walczyła, by skierować łódź między zabójcze fale, w kierunku wysepki, obok której niedawno przepływała.

Łódź zadygotała, kiedy Sam szarpnęła stery. Plaża była na wprost. Trzysta jardów. Łagodne zbocze z górującymi nad nim palmami, teraz szarpanymi przez wiatr. Dwieście jardów. Sam dopchnęła drążek steru. Sto jardów.

I wtedy potężna fala rąbnęła w jej łódkę od tyłu, uniosła i cisnęła w kierunku wyspy. Plaża gwałtownie zbliżyła się do Sam, dziewczyna ledwo miała czas złapać oddech. I wtedy łódź uderzyła w brzeg z całą siłą.

63

Decyzje

Czwartek, 1 listopada

Kade runął na łóżko, całkowicie wyczerpany przyswojeniem tak dużej partii umysłu Shivy. Zasnął natychmiast. Śnił o chaosie, o wyniszczonym i rozpadającym się świecie, o grupowym umyśle, który mógłby na powrót scalić ten świat, a także o ciężarze odpowiedzialności, który na niego spadł i który teraz mógł, a nawet powinien, czy właściwie wręcz musiał udźwignąć.

Obudził się o zmierzchu. W myślach wciąż miał żywe ostatnie wspomnienie Shivy. Bihar. Dzieci spalone żywcem w sierocińcu, dokładnie trzydzieścioro pięcioro. Trzydzieści pięć imion, które wciąż pamiętał, trzydzieści pięć twarzy, które wciąż stały mu przed oczami. Trzydzieścioro pięcioro dzieci zamordowanych tylko dlatego, że były odmienne, wyjątkowe. Potworność, do której pchnęła ludzi ich ignorancja.

I kara, którą wymierzył oprawcom. To, jak krzyczał sędzia, kiedy ludzie Shivy dziurawili jego nadgarstki gwoździami, przybijając go do prymitywnego krzyża. Udręka na twarzach morderców, kiedy płomienie wzbily się wyżej. To uczucie potęgi, to poczucie prawości, gdy wymierzał należną karę tym potworom za ich czyny. Kade wzdrygnął się na echo tamtych wydarzeń. Znał już tę potęgę. Znał to poczucie słuszności. Satysfakcję z karania winnych. Konieczność starcia wszelkich potworów z powierzchni ziemi. Czuł to już

wcześniej, gdy wykastrował tego gnojka Bogdana w Chorwacji, gdy powstrzymał pana seksniewolników w Nairobi, a także wtedy, gdy zacisnął swoją mentalną pięść wokół pnia mózgu Holtzmana...

Padł na kolana bez tchu. Chciał tej mocy. Pragnął jej całym sobą. Pierwszy raz w życiu poczuł się naprawdę żywy przez tych ostatnich kilka miesięcy, gdy pozwalał tej mocy kierować swoim postępowaniem i czynami, kiedy używał tylnych drzwi do umysłów, by okaleczać te śmieci, które ośmieliły się wykorzystywać Nexusa do czynienia krzywdy.

Byłoby nieskończenie satysfakcjonujące wykorzystać te drzwi na większą skalę, sięgnąć znacznie dalej i naprawić świat. Rozstrzygnąć problemy, których rozwiązań zwykli ludzie nie byli w stanie samodzielnie dostrzec. O tak, czułby się z tym wspaniale.

To było logicznym dalszym ciągiem wszelkich jego działań. Wykorzystał przecież tylne drzwi do zapobiegania kradzieżom. Dlaczego nie użyć ich do powstrzymania kradzieży przyszłości rodzaju ludzkiego, która właśnie miała miejsce? Używał ich też do powstrzymania gwałtów. Dlaczego nie zakończyć raz na zawsze gwałtów na Matce Ziemi? Zapobiegał morderstwom. Dlaczego nie zapobiec śmierci milionów z głodu i chorób, przed którymi można łatwo się ochronić?

Marzył o połączeniu tych wszystkich milionów umysłów korzystających z Nexusa na całym świecie, dlaczego miałyby nie użyć narzędzi Shivy do wymuszenia tego połączenia?

Wizja Shivy była dokładnie tą, która dojrzała w umyśle Kade'a, tylko bardziej śmiałą, większą.

I narzuconą ludzkości wolą jednego człowieka. Albo i dwóch.

Ilya miała rację, zrozumiał Kade. Jeśli ja zasługuję na tę moc i dostęp do tylnych drzwi, to zasługuje i Shiva. Jeśli on nie jest godny, to i ja nie jestem.

Czy jesteś mądrzejszy od całej ludzkości? - zapytał go kiedyś Ananda.

I to było sedno, czyż nie?

Kade zjadł nieco obiadu z wózka, nie tykając jednak mięsa, jako że teraz był zbyt świadomy wartości życia wszelkich istot. Nita mu to pokazała, przekazała to Shivie dawno temu. Poszedł pod prysznic, dając sobie chwilę do namysłu, by upewnić się, że zamierza uczynić to, w co naprawdę wierzy.

Wytał się, założył świeże ubranie, po czym zapukał w drzwi, by wezwać jednego z ochroniarzy.

Po chwili otworzyły się pierwsze drzwi, wszedł smagłokóry strażnik z generatorem zakłóceń Nexusa wokół szyi, po czym drugie drzwi zamknęły się za nim.

- W czym mogę pomóc, sir?

- Czy mógłbyś zameldować Shivie, że chciałbym się z nim zobaczyć, jeśli to możliwe?

Mężczyzna uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Oczywiście, sir.

64

Ostrzeżenie przed burzą

Środa, 31 października

Środa spędzona w biurze minęła Holtzmannowi jak niezbyt wyraźny sen. Przyjmował życzenia powrotu do zdrowia, przekładał spotkania, przekazywał zadania, zapewniał Barnes, że w pocie czoła pracuje nad tylnymi drzwiami.

Wieczorem w domu Anne się z nim pokłóciła. Awantura była jednostronna. Pozwolił

jej wygłaszać tyrady na temat jego sekretów, pytać, czemu pojechał do Bostonu, czy pieprzy Lisę Brandt, czy może pieprzył ją, gdy była studentką, czy naprawdę wierzył w te wszystkie teorie spiskowe, które wygłaszał. Nie bronił się. Za bardzo był zmęczony, za bardzo pogrążony w swoim własnym świecie. Po prostu przeproszał żonę raz za razem, a potem spędził noc na kanapie.

Czwartek, 1 listopada

Czwartkowy poranek przyniósł Holtzmannowi dwie wiadomości.

Pierwsza dotyczyła Zoe. Huragan zmierzał niemal wprost na Waszyngton. Burmistrz zarządził ewakuację miasta. Gubernatorzy Wirginii i Maryland rozkazali ewakuować hrabstwa znajdujące się na drodze burzy. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i pozostałe agencje poparły te rozkazy, nakazując pozostać w mieście tylko najbardziej niezbędnym pracownikom. Holtzmann się do nich nie zaliczał.

Druga wiadomość dotarła doń przez Nexusa.

[Piątkowa noc, w czasie burzy. Personel będzie okrojony. Włączy się alarm pożarowy w innym skrzydle twojego budynku. Wyprowadzisz przyjaciół. Pójdziecie na ulicę Pecan. Będzie na was czekać biały van].

Holtzmann wpatrywał się w wiadomość, czytał ją ciągle od nowa. Ktoś inny. Mieli wewnątrz kogoś innego. Kogoś, kto uruchomi alarm.

Ale jego też potrzebowali. Musiał zostać i znaleźć sposób, żeby uwolnić Rangana i dzieci, a przy tym samemu nie zostać złapanym.

Trzy godziny później Anne już nie było. Wstała i spakowała się na okoliczność ewakuacji. Powiedział, że zostaje. Wrzeszczała na niego, potem błagała, potem jedno i drugie na zmianę, mówiła, że chyba całkiem oszalał, że marnuje sobie życie, marnuje jej życie. Aż wreszcie pojechała bez niego.

Dochodziło południe. Wiatr się wzmagał. Za niecałe trzydzieści dwie godziny będzie

uwalniał więźniów z kwatery głównej ERD. Szaleństwo.

Musiał jeszcze dopilnować jednego fragmentu tego szaleństwa. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer Claire Becker.

- Halo? - odebrała.

- Claire, tu Martin Holtzmann.

- Martinie... Anne mówiła, że się pokłóciliście...

- Claire, szukam plików, dokumentów, jakie mogły zostać po Warrenie. Czegokolwiek z początków ERD, albo i wcześniejszych, z jego czasów w FBI.

- Martin... Anne uważa, że oszalałam, ale myślę, że go zabili. Żeby go uciszyć.

- Wiem, Claire.

Na moment zamilkła. A potem:

- Wierzysz mi? - Jej głos brzmiał dziewczęco, tak bezbrinnie.

Holtzmann westchnął.

- Nie wiem. Ale nie uważam, że jesteś szalona. I wcale nie twierdzę, że to niemożliwe.

- O mój Boże, dziękuję ci, Martinie, dziękuję, dziękuję, dziękuję - powtarzała z ulgą.

- Claire - przerwał jej. - Ale szukam plików Warrena... Jeśli je znajdę, to będzie przeciwieństwo uciszania. Rozumiesz to?

Na linii znów zapadła cisza.

- Wyjeżdżamy, Martin - odezwała się wreszcie Claire Becker. - Jest ewakuacja.

Dziewczynki już niemal się spakowały. Jeśli zostały po Warrenie jakieś dokumenty, to w jego gabinecie. Podam ci kod do drzwi...

Godzinę później Holtzmann był w drodze do domu Beckerów.

Holtzmann wbił kod do drzwi wejściowych, zamek mrugnął na zielono i otworzył się ze słyszalnym szczękiem zasuw.

Holtzmann pchnął drzwi.

- Halo? - zawołał.

Odpowiedziała mu cisza.

Źle się czuł w tym domu. Nie przekroczył jego progu od śmierci Warrena.

Holtzmann wszedł do salonu, wspierając się ciężko na lasce, a potem wspiął się na piętro. Coś skłoniło go do pośpiechu, upiorność tego miejsca. Jego przyjaciel tu mieszkał. A teraz jego przyjaciel był martwy.

ERD z pewnością tu było, nie miał najmniejszych wątpliwości, sprząkali po Beckerze. Co miał nadzieję jeszcze znaleźć? Ale nie posiadał żadnego innego tropu.

Pchnął drzwi do gabinetu Warrena Beckera i wszedł, z laską w dłoni. Czuł się, jakby wkraczał do mauzoleum.

Pokój był czysty. Drewniane półki na ścianach wypełniały pamiątki. Światło padało z pojedynczego okna, pod którym stało duże drewniane biurko. Okrągły dywan zasłaniał większą część podłogi. Z dwojga drzwi jedno prowadziły do niewielkiej toalety, drugie do garderoby.

Holtzmann usiadł przy biurku przyjaciela. Nadal czuł się nieswojo. Ale musiał to zrobić.

Na blacie stały zdjęcia Claire i córek Beckerów. Wszystko było schludnie posprzątane. Na samej górze stacja robocza, czterocalowe czarne pudełko zaopatrzone w porty, duży płaski ekran, klawiatura. I miejsce, gdzie Warren podłączał zabezpieczony terminal, zapewne zabrany przez Agencję.

Holtzmann uruchomił jednostkę. Zabezpieczona hasłem.

Szuflady biurka były otwarte. Holtzmann przejrzał ich zawartość. Papiery, nic tajnego. Osobisty tablet, też chroniony hasłem. Długopisy. Medale i listy pochwalne, których Becker nigdy nie pokazywał. Szuflada z alkoholem, a w niej na wpół opróżniona butelka laphroaig, szklanki i pusty kubek na lód.

Holtzmann opróżnił każdą z szuflad, opukał dna i tyły, szukając jakiegoś ukrytego schowka. Czuł się jak idiota, amator, który próbuje wykonać pracę profesjonalisty. A Becker był profesjonalistą.

Porzucił biurko, przeszedł do półek. Jedną po drugiej zdejmował pamiątki, książki, szukał fałszywej okładki, czegoś ukrytego między kartkami, starannie badał same półki.

Nic.

Dywan wzbudził jego nadzieję. Ale kiedy padł na kolana i go podwinął, zobaczył jedynie drewnianą podłogę. Szczelną. Nic się nie ruszało. Żadna deska nie różniła się od pozostałych.

W łazience znalazł przybory toaletowe i nic więcej.

W szafie też niczego nie odkrył. Kije golfowe, zapasowe buty, marynarka z urwanym guzikiem. Wszystko przeszukał w nadziei, że znajdzie ukryty schowek albo może jakiś chip albo kość pamięci. Końcem laski opukał wnętrze szafy.

Nic.

Nic, nic, nic.

Sfrustrowany opadł na krzesło. Był tu od kilku godzin. Zmęczył się i zgłodniał. Wciąż brakowało mu opiatów, których nie miał jak sobie dostarczyć. Przydałoby mu się pozbyć tego napięcia...

Moment.

Ponownie otworzył szufladę z alkoholem. Butelka. Wyciągnął ją. Wyglądała... inaczej. Widział, jak Warren nalewa laphroaig w biurze. I ta butelka wyglądała trochę inaczej. Obrócił ją, oglądając nalepkę. I znalazł. „Butelkowana w 2029”. Jedenaście lat temu.

Becker naprawdę popijał przez te wszystkie lata z tej samej butelki?

Holtzmann odkorkował flaszkę i powąchał. Pachniała niewątpliwie jak whisky.

Zamknął butelkę i raz jeszcze obrócił ją w dłoniach. Po co Becker miałby trzymać butelkę przez jedenaście lat? I jej nie opróżnić? Albo może pił z niej i uzupełniał?

Wartość sentymentalna?

Obracał ją i obracał, przesuwając zarazem kciukami po jej powierzchni, i zastanawiał się, zastanawiał.

I wtedy to poczuł.

Spojrzał na tył butelki. Gdzieś... tutaj. Przejechał kciukiem po rogu etykiety. I znów coś poczuł. Delikatne zgrubienie. Czyżby?

Podniósł butelkę do oczu. Czy nie dostrzegał tam przypadkiem maleńkiej nieregularności? Czy krawędź etykiety nie była odrobinę luźna?

Wsunął paznokieć pod brzeg etykiety i podważył odrobinę...

I etykieta odkleiła się z łatwością. A pod nią Holtzmann znalazł cieniutki złoty płatek.

Folia pamięci. Prezent od Warrena Beckera.

65

Kwestia zasad

Czwartek, 1 listopada

Strażnicy założyli mu zakłóczacz Nexusa i zabrali na dach posiadłości. Kafelki podłogi były mokre. Wszędzie leżały poszarpane liście palm. Służba sprzątała w pośpiechu. Nocne niebo było już czyste, ale niewątpliwie miało tu miejsce jakieś załamanie pogody.

Shiva był na dachu, jak zwykle, siedział pod gwiazdami, popijając herbatę i wpatrując się w niknące z nieba ostatki koloru.

- Kade. - Shiva zaoferował mu krzesło. - Obejrzałeś moje pliki.

Kade usiadł, przyjął od służącego kubek herbaty.

- Dziękuję ci bardzo - odpowiedział. - To był hojny dar.

Shiva skłonił głowę, przyjmując te słowa do wiadomości.

- I teraz zgodzisz się ze mną pracować? - spytał.

- Owszem - potwierdził Kade.

Shiva się uśmiechnął.

- Ale nie udostępnię ci furtki do Nexusa - dokończył Kade.

Uśmiech Shivy zniknął w mgnieniu oka.

- Rozumiem - stwierdził. - A dlaczego nie?

Kade popatrzył w oczy starszemu mężczyźnie, żałował, że nie może dotknąć jego umysłu, zwrócić choćby ułamka tego, co Shiva dał jemu.

- Jesteś mądrzejszy niż cała ludzkość? - spytał.

W jego umyśle obudziła się Ilya, dumna, triumfująca.

Shiva zmarszczył brwi.

- Co?

- Wierzę w twoją uczciwość - powiedział Kade. - Wierzę, że twoje cele są słuszne. Bardzo chciałbym współpracować z tobą na tysiąc różnych sposobów. Pragnąłbym zobaczyć, jak twoje cele się urzeczywistniają. - Zamilkł na chwilę. - Wiem, jakie to wspaniałe uczucie zrobić coś słusznego. Jakie to satysfakcjonujące. Ale to pułapka. Nie widzisz? To jak uzależnienie.

Shiva otworzył usta, ale Kade nie dopuścił go do głosu, pozwalając, by słowa wylewały się z niego niczym rwąca rzeka.

- Jesteśmy tylko częścią świata, ty i ja - powiedział. - Jesteśmy tylko niewielką częścią ludzkości. Rozwiązania problemów nie mogą być narzucone całemu światu. Nikt nie powinien mieć takiej władzy. NIKT.

- Nikt poza tobą - poprawił go Shiva.

Kade popatrzył na pociemniałe fale.

- Skończyłem z tym. Pokazałeś mi, do czego to zmierza. Jeśli utrzymam tylne drzwi, będę używał ich coraz częściej, w coraz większym zakresie. Jeśli kiedykolwiek pozwolisz mi stąd odejść, to je zamknę. Oddam tę władzę. Ludzie powinni rozwiązywać swoje problemy

sami.

Shiva patrzył na niego zszokowany.

- Nie mówisz poważnie.

- Absolutnie poważnie - odparł Kade.

Shiva pochylił się w stronę Kade'a, skłaniając głowę w niemalże błagalnym geście.

- Mamy tu szansę, Kade. Szansę naprawić świat. To nie jest zabawa. To nie jest jakieś zadanie filozoficzne. Mówimy tu o miliardach istnień ludzkich.

Kade patrzył spokojnie w oczy starszego człowieka.

- Nie dam ci narzędzia do kontrolowania ludzi.

- Nie chcę kontrolować - Shiva prawie krzyczał, gestykulując. - Chcę ich OCALIĆ!

- Nie poprzestaniesz na tym - powiedział Kade. - Będziesz używał tej władzy i za każdym razem, gdy z niej skorzystasz, znajdziesz jeszcze więcej powodów, by jej używać. I jeśli ja ją zatrzymam, stanę się tobą. A ty? Ty staniesz się dyktatorem.

- Cholera jasna! - Shiva uderzył dłonią w poręcz. - Nie ma nikogo innego! - Ślina bryzgała mu z ust.

- Są oni - odpowiedział Kade cicho. - Miliardy ludzi. Muszą to zrobić sami. Muszą się zjednoczyć. Nexus im pomoże. Ale to musi być ruch od dołu. Muszą sami tego chcieć.

Znów był w klubie, tańcząc, łącząc się, dokonując wyboru, by stać się częścią jednego organizmu.

Shiva potrząsnął głową, zacisnął gniewnie szczęki, usta mełły jakieś przekleństwa. Patrzył na ciemne morze. Całe ciało miał napięte.

Wreszcie odwrócił się do Kade'a i machnął ręką.

- Zejdź mi z oczu, Kade. Zejdź mi z oczu.

Kade leżał na łóżku i rozmyślał o przyszłości. Shiva, którego poznał, był człowiekiem niespotykanej cierpliwości. Był także człowiekiem ogromnej pasji, gotowym podjąć wyjątkowe kroki, żeby osiągnąć cel.

Czy będzie cierpliwie czekać na zmianę zdania Kade'a?

Czy jednak spróbuje na siłę wyrwać mu wiedzę, której pożądał?

Kade musiał być gotów na jedno i drugie. Musiał szukać możliwości ucieczki. Musiał być przygotowany mentalnie, że zostanie tu jako więzień przez bardzo długi czas. Musiał być przygotowany na tortury, na narkotyki i wszelkie inne możliwe sposoby nacisku, do jakich może uciec się Shiva, by wydostać wiedzę z mózgu Kade'a.

A był tylko jeden niezawodny sposób obronienia się przed czymś takim. Usunięcie wspomnień działało wyłącznie wtedy, gdy te wspomnienia były świeże, gdy nie utworzyły tysięcy połączeń z innymi. Ale w tym przypadku nie chodziło o świeże wspomnienie. Pozostał mu tylko wybór Ilyi. Zasnąć bez snów. Umrzeć, by to, co wiedział, nie dostało się w niepowołane ręce.

Już się nie bał. Czuł tylko zrozumienie. Zrozumienie tego, gdzie jest jego miejsce. Zrozumienie i pewność, bowiem raz na zawsze zdecydował, w co wierzył.

Napisał odpowiedni skrypt i przypiął ikonę u dołu mentalnego pulpitu. Mógł aktywować ją w sekundę. A potem położył się na plecach i zapatrzył w mrugające gwiazdy na niebie. Jeśli miał umrzeć, to miejsce było równie piękne i dobre, jak każde inne.

Shiva wpatrywał się w gwiazdy. Lane był taki naiwny. Taki idealistyczny. Miał za sobą komfortowe życie. Nie widział nigdy prawdziwej biedy, prawdziwej śmierci. Nie nauczył się jeszcze, że dobre intencje i optymizm nie wystarczają, że trzeba działać, gdy chce

się coś urzeczywistnić. Działać, nie bacząc na koszty.

Ale chłopak zdawał się być pewnym swoich decyzji. Niech więc tak będzie. Nie chce po dobroci, trzeba będzie po złości.

66

Stan wstrzymania

Piątek, 2 listopada

Su-Yong Shu krzyczała bezgłośnie, gdy pytanie pojawiło się po raz kolejny. Twierdzenie równości, twierdzenie równości, twierdzenie równości.

Ból taranem wbijał się w jej stymulowany mózg, czysty ból, sama esencja bólu, ból, na który nie było lekarstwa, który nie miał podłoża fizycznego, którego nie dało się choćby w najmniejszym stopniu ukoić.

Wrzeszczała wewnątrz umysłu, żałując, że nie ma ust, by krzyczeć, pięści, by je zaciskać, głowy, by walić nią w mur.

Broni, by zakończyć życie męża.

NIE WIEM NIE WIEM NIE WIEM

Odda mu to twierdzenie. Prędzej zdechnie.

Dlaczego jej to robił? Dlaczego tak ją torturował? Wiedziała, że był płytki, skupiony tylko na sobie. Przekonała się. Ale to? Był aż tak zły?

Tak. Był. Jak oni wszyscy. Wszyscy ci ludzie. Tak bardzo, bardzo źli. Mali i małostkowi. Gorsi pod względem moralności, intelektu i w ogóle pod każdym względem.

Nie zasługiwali na życie.

Prawda i nieprawda stały się nierozróżnialne. Rządził ból, a zamieszanie u jego boku.

Czy interpretacja wielu światów była prawdziwa? Czy jej procesory kwantowe sięgnęły do innych uniwersów, by zyskać swoją magię? Czy było gdzieś więcej Su-Yong? Czy którakolwiek z nich była wolna? Czy któraś była boginią, tak jak być powinna, postczłowiekiem przynoszącym nowy złoty wiek... czy też niezliczona ilość Su-Yong wiała się w cierpieniu, zniewolona przez żalosne ludzkie robaki?

Shu wrzeszczała z bólu. Mijały dni, mówił jej zegar, dni wypełnione torturami, ale przy prędkości, z jaką funkcjonowała, dni równały się mileniom, eonom.

NIE WIEM NIE WIEM NIE WIEM - wysłała ponownie. Ale bariera tego nie przepuściła.

Czy oszaleje tak dalece, że przestanie odczuwać ból?

Och, jak bardzo na to liczyła. I miała nadzieję, że stanie się to szybko.

Powinnam być boginią. Powinnam być boginią. Powinnam być boginią.

Proszę proszę proszę niech to się skończy.

Gdyby tylko mogła zapłakać.

Gdyby tylko mogła spalić ten przeklęty świat na popiół.

Chen Pang walnął pięścią w konsolę, dając ujście frustracji.

Nie działało. Nic, czego próbował, nie ruszało tej ohydy. Posunął się aż do tego, żeby edytować formacje mentalne, stymulując je w trakcie zadawania pytań, ale to nie zdało się na nic. To coś było tak obłąkane, że nie wiedziało już nawet, co wiedziało.

Musiał donieść o tym swojemu patronowi, Sun Liu. Minister nauki i technologii dzwonił do niego raz, czasem dwa razy dziennie, w miarę jak Bo Jintao i aparat bezpieczeństwa stawali się coraz bardziej niecierpliwi.

Jako że nie doszło do kolejnych cyberataków, nie było powodu nadal utrzymywać Su-Yong włączoną.

- Zróbcie backup i ją zlikwidujcie - nakazał Bo Jintao.

Chen ukrył twarz w dłoniach. A był tak blisko! Tak blisko spełnienia wszystkich swoich marzeń. I poniósł porażkę. Nie mógł już dłużej tego odwlekać. Będzie musiał przyznać Sun Liu, że zawiódł. A wtedy nadejdzie czas, by zniszczyć to wynaturzenie.

Patrzył na kod, który napisał, żeby torturować swoją żonę. Nie miał nadziei, że zadziała. Powinien go wykasować.

Nie. Niech potwór się smaży. Niech suka cierpi. Zasłużyła, bo obrabowała go z marzeń. Chen zwiększył priorytet procesu, by rozszerzyć zasoby, a potem ustawił tak, by proces trwał bez przerwy do dnia, w którym ją dezaktywują. Następnie wylogował się z systemu, wstał od pulpitu i rozpoczął długą drogę na powierzchnię.

67

Daleko od domu

Piątek, 2 listopada

Nakamura zatrzymał łódź trzy mile na zachód od Apyar Kyun, odczekał, aż minie tropikalna burza, a potem wynurzył się w przedświt, póki główna antena i wyrzutnie manty nie znalazły się nad wodą. Łódź kołysała się przez chwilę, a kiedy się ustabilizowała, wystrzeliła przy pomocy sprężonego gazu chmurę dronów obserwacyjnych. Czterocalowe

roboty wypuściły skrzydła i śmignęły na wszystkie strony. Ich zmiennobarwna powierzchnia przybrała kolor nocy, a sztuczne źrenice rozszerzyły się, chwytając najmniejszy choćby błysk światła, po czym drony rozproszyły się nad Apyar Kyun i wokół wyspy.

Nakamura ponownie zanurzył łódź, ale tym razem utrzymywał ją tuż pod powierzchnią, tak by niemal niewidoczne anteny wciąż sięgały ponad wodę. Pobierał dane z satelitów nad ich głowami. Dane wywiadu, o które prosił.

Zdjęcia satelitarne, przedstawiające dom Shivy, lotnisko, kompleks dla pracowników. Systemy obronne wyspy: radary Ganesha produkcji indyjskiej, wyrzutnie rakiet Kali 4, bazy dronów, posterunki straży.

Nakamura zastanowił się nad swoją zbroją taktyczną z kamuflażem typu stealth. Mógłby zakraść się na wyspę niewidziany. A potem z niej uciec. Ale najpierw musiał wiedzieć, gdzie był Lane. W domu? Czy poza nim? W którym pokoju? Na którym piętrze? Jacy strażnicy go pilnowali? Musiał to wiedzieć, żeby znaleźć sposób na wyprowadzenie Kade'a bez podniesienia alarmu.

Potrzebował więcej danych.

Feng uniósł skute dłoń w stronę powierzchni wody, a potem map satelitarnych.

- Mogę? - spytał.

Nakamura pozwolił skinieniem głowy. System został zablokowany na opcji „tylko do odczytu”. Feng nie mógł wyrządzić szkód.

Położył się, podczas gdy Chińczyk pochylał się nad wyświetlaczem, przeglądając informacje, jakie posiadali o domu. Systemy łodzi obserwowały Fenga, gotowe powiadomić Nakamurę na wypadek, gdyby jego więzień zachowywał się podejrzanie.

Obudził się kilka godzin później, po wschodzie słońca.

Feng wciąż trwał przy wyświetlaczu. Spojrzał na Nakamurę i wskazał mu ekran.

- Patrz tutaj.

Nakamura zerknął. To były zdjęcia z dronów wywiadowczych, zrobione, gdy te latały wokół wyspy.

I proszę. Na dachu. Dwóch mężczyzn. Jeden brązowoskóry i białowłosy, odziany w prostą szatę. Shiva Prasad. I drugi, wysoki, wiotki, o długich czarnych włosach, opalony, niemniej niewątpliwie typ kaukaski. Kade.

Filmik został nagrany przez drona z odległości tysiąca jardów, w jakości zbyt słabej, by pokusić się o czytanie z ruchu warg, ale mowa ciała była jasna. Kade - twardy, zdecydowany. Shiva - rozczarowany, sfrustrowany.

- Kade nie podał mu kodów - stwierdził Feng.

Nakamura skinął głową. Dobrze.

- Ustaliły, gdzie Lane jest przetrzymywany? - spytał Fenga. - Jak jest pilnowany?

- Skanery elektromagnetyczne. - Feng przełączył na inne zdjęcie, pokazujące charakterystyczny kształt anteny dalekosiężnego skanera. - Drony go wykryły i trzymały się z daleka.

Nakamura zabębnił palcami. Wciąż potrzebował dowiedzieć się więcej. W którym pokoju był Lane? Jaką miał ochronę? Jaki nadzór?

Feng podniósł palec, jakby czytał Nakamurze w myślach.

- Tutaj - powiedział.

Wyświetlacz pokazał obraz z satelity, szerokie ujęcie wody, potem zbliżenie na małą wysepkę, milę od domu Shivy. Feng zbliżył jeszcze bardziej. Kształt zakreślony na czerwono.

Kształt był kanciasty, połamany, zniekształcony. Kawałki łodzi.

Nie. Nie kawałki. Łódź, wyrzucona z wody, częściowo ukryta przez kamuflaż kameleonowy. Kamuflaż, który został zniszczony i odsłaniał miejscami to, co kryło się pod nim.

Co?

- To zrobił sztorm - powiedział Feng. - Nie widać, żeby Shiva tego szukał. - Spojrzał na Nakamurę i uśmiechnął się. - To mogą być ludzie. Ludzie Shivy. Można zasięgnąć języka.

Był tylko jeden sposób, by się przekonać.

Nakamura podpłynął do plaży tuż pod falami i czekał na zapadnięcie zmroku.

- Pozwól mi iść z tobą - prosił Feng. - Mogę pomóc. Teraz jesteśmy przyjaciółmi!

- Jesteś moim więźniem, Feng, nie partnerem - roześmiał się Nakamura.

- Zostawisz mnie na tej łodzi?! - W głosie Fenga dzwięczało oburzenie. - Co się stanie, jak zginiesz? Pójdę na dno!

- Nie planuję zginąć, Feng.

- Słuchaj, mamy te same cele - odparł Chińczyk. - Obaj chcemy uwolnić Kade'a. Pomogę ci, będę użyteczny!

- Nie - uciał Nakamura. - A teraz przypnij się do mocowania.

Feng wahał się przez chwilę, ale potem posłusznie przypiął się do wspornika biegnącego od podłogi do sufitu łodzi. Popatrzył wrogo na Nakamurę.

- Jesteś prawdziwym draniem, wiesz?

Nakamura się uśmiechnął.

- Wiem - powiedział.

Wynurzył łódź i przeszedł przez wąż razem z pontonem.

- Dziadek! - wrzasnął Feng.

Nakamura się uśmiechnął, a potem wysłał sygnał nakazujący łodzi odpłynąć nieco i ponownie się zanurzyć.

Nakamura wiosłował do brzegu. Nie śmiał zaryzykować hałasu, silnika czy emisji fal podczerwonych. Ponton dopasował się kolorem do fal. Kamuflaż Nakamury czynił go niemalże niewidzialnym. Gogle pozwalały mu widzieć w podczerwieni. Wyłapywać częstotliwości radiowe.

Krew się w nim burzyła. Był tu sam, ryzykował życie, pomiędzy nim a śmiercią stały tylko jego umiejętności, narzędzia i spryt. Czuł się wolny. Czuł, że żyje. Wszystko widział w intensywnych barwach i ostrych konturach. Morderczy uśmiech wykrzywił mu usta zupełnie bezwiednie.

Przeskanował plażę starannie, szukając czegokolwiek, śladu człowieka, fal radiolatarni ratunkowej lub jeszcze czegoś innego.

Niczego jednak nie znalazł. Fale lizały długi pas piachu, za nim kołysały się palmy.

Nakamura ruszył ku wschodniemu krańcowi, tak daleko od rozbitej łodzi, jak tylko było to możliwe. Wylądował łagodnie, po cichu ześlizgnął się z pontonu, a potem wciągnął go na piasek. W rękach miał już pistolet maszynowy. Podwójny magazynek przełączył na pociski uspokajające. Chciał dostać żywcem tego, kto się tu krył.

Był w połowie plaży, powoli zbliżając się do łodzi, wypatrując jakiegoś ruchu, i nagle usłyszał coś za sobą. Przetoczył się w obrocie w chwili, gdy głos krzyknął „Stój!”. Podniósł się, naciskając zarazem spust, poruszał się z nieludzką prędkością. Wystrzelone z

wytlumionej broni pociski uderzyły w ziemię w miejscu, gdzie stał przed chwilą. Jego przeciwnik był zaledwie rozmazaną plamą, zniekształconym poblaskiem ognia z lufy i śladami na piasku.

Zanurkował nisko, po przekątnej, wyprostował się do uderzenia kolbą. Plama spotkała plamę. Przeciwnik zablokował uderzenie kolbą swojej broni i kopnął Nakamurę w kolano. Wykręcił się, unikając ciosu, i znów zamierzył się bronią, tym razem jednak tylko dla zmyłki, w tym samym czasie wyrzucając stopę naprzód... I został zablokowany tak, jak sam zablokowałby podobny atak, kontruderzenie też zostało wyprowadzone dokładnie na jego sposób.

Uderzali, parowali, robili uniki i obroty. Ruchy wroga były ruchami Nakamury!
Walczył z własnym duchem!

- Sam? - powiedział na głos.

Opuścił gardę na moment i kolba jej karabinu uderzyła go w głowę. Pozwolił, by ten cios powalił go na ziemię, przetoczył się i wstał, z opuszczoną bronią, zrywając maskę swojego kamuflażu.

- Sam!

Przestrzeń przed nim była jedynie zakłóceniem. Teraz znieruchomiałym. Duch stał z bronią wycelowaną w jego twarz, wokół na piasku odcisnięte były ich ślady.

- Kevin? - rozległ się jej głos.

- Sam. To ja - powiedział.

Wstrzymał oddech. Fala uderzała o brzeg, w jego uszach brzmiało to jak huk. Lekki wiatr rozczesywał liście palm. Gdzieś daleko zaćwierkał ptak. Serce waliło Nakamurze jak młot.

Jeśli się pomylił, to już nie żył... Jeśli należała do Shu, już nie żył... Jeśli do Lane'a...

I wtedy broń upadła na ziemię, a duch oplótł go ramionami.

Ścisnęła go do utraty tchu. Nakamura. Nie mogła uwierzyć.

Puściła Japończyka, ściągnęła kaptur i spojrzała mu w oczy. Był rzeczywisty. Jej mentor. Człowiek, który ją uratował, który wszedł do płonącego budynku, by ocalić jej życie...

Przeszli pod osłonę drzew, by porozmawiać.

- Co tu robisz? - szepnęła.

- Przyszedłem po Lane'a - odparł. - Tak jak ty.

Kade? Dobrze usłyszała?

- Co? - spytała.

- Kade - powtórzył. - Zaalarmował cię jakoś? A może Feng?

Sam pokręciła głową.

- Kade'a tu nie ma, Kevinie. Jest... - „w Kambodży” niemal jej się wysnęło. Ale nie. Przyrzekła dochować jego tajemnic. Tak jak on jej. - Poszedł w inną stronę. Jestem tu po dzieci.

- Dzieci? - zdziwił się Nakamura.

Opowiedziała mu. Opowiedziała całą historię. Żałowała, że nie może mu pokazać, dotknąć jego umysłu i sprawić, by poczuł to, co czuła. Ale w jego mózgu nie było Nexusa, więc została przy słowach. Mai. Phuket. Mae Dong. Sarai i dzieci. Jake. Mężczyźni z Miry. To, co zobaczyła w umyśle tamtego żołnierza.

- Shiva... próbuje stworzyć postludzka inteligencję. Z powodzeniem. Ma tam kilkanaścioro dzieci. Dzieci urodzonych z Nexusem. I niszczy je. Krok po kroku.

Nakamura słuchał i jego umysł aż wirował w natłoku myśli. Jej opowieść pokrywała się z tym, co powiedział Feng. Nikt jej do niczego nie przymuszał. Tamten atak ją odmienił.

A to znaczyło, że stanowił dla niej zagrożenie. Powiązanie, które mogło naprowadzić CIA na jej trop. A co by z nią zrobili, gdyby dowiedzieli się, że nie działa pod cudzym wpływem? Nic przyjemnego.

- Teraz twoja kolej - zażądała. - Dlaczego tu jesteś? - Spięła się przy tym pytaniu, starała się to ukryć, ale zauważył.

- Lane - odpowiedział. - Shiva go ma. Jestem tu, by go wydostać.

- I co potem?

Spojrzał w jej oczy i przez głowę przeszło mu, by ją okłamać. Ale nie mógł. A nawet gdyby mógł, pewnie i tak by jej nie oszukał.

- CIA chce go dostać. Chce jego pomocy. Żeby zapobiegać próbom zamachu przy użyciu Nexusa.

- Nie możesz - powiedziała cicho.

- Wiem, że byliście blisko, Sam - zaczął.

- Nie. Tu chodzi o to, co on ma w głowie. Tylne drzwi. Nie możesz ich dać CIA.

- To nie ERD - zachnął się. - Jestem tu, żeby go zgarnąć, zanim tamci zdążą...

Ale tryby w głowie obracały mu się, gdy to mówił. Odprawa z McFaddenem w stylu płaszczka i szpady. Zakamuflowana łódź. Ta absolutna tajemnica. Separacja od innych agencji. Superhipertajna misja, o której wiedziała zaledwie garstka ludzi.

-...nie można nikomu powierzyć takiej władzy - mówiła Sam. - Miliony ludzi. Ktokolwiek będzie miał tylne drzwi, może zyskać nad nimi nieskończoną kontrolę. Zrobić wszystko: czytać myśli, zmieniać wyniki wyborów, tworzyć szpiegów, śpiochów. Wszystko.

Patrzył na nią. To było takie oczywiste. A on okazał się durniem. Działania antyterrorystyczne? Nie. Gdyby tylko o to chodziło, mogli zostawić sprawę ERD albo Agencji Bezpieczeństwa, której ERD było częścią. Dlaczego mieszać w to CIA? Stawka musiała być wyższa.

Coś jak to, co Sam opisywała.

Wciąż patrzył jej w oczy, ale przez moment widział swojego dziadka, chłopca w ramionach mamy, za drutem kolczastym, podczas gdy jego tato walczył za kraj, który ich uwięził.

Lojalność.

Wobec kogo był lojalny? Wobec kogo?

68

Ucieczka

Piątek, 2 listopada

Kade obudził się przed świtem. Czuł się wypoczęty i pogodzony ze swoją decyzją. Były natomiast jeszcze inne sprawy, które chciał rozwiązać. Gdzie przebywał Rangan? Czy Feng nadal żył? Czy istniał jakiś sposób, żeby powstrzymać zamach mający nastąpić za czterdzieści osiem godzin?

Shiva zawołał go na dach.

- Przemyślałeś? - spytał.

Kade popatrzył na Hindusa. Rozumiał już tego człowieka. Mógłby się stać kimś takim.

- Nie mogę udostępnić ci tylnych drzwi.

Shiva stęknął rozczarowany.

- Muszę cię o coś zapytać - zaczął Kade. Opisał plan zamachu. - Możesz to powstrzymać. Wysłać anonimowe ostrzeżenie.

Shiva zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- To potwory. Są wrogami przyszłości.

Kade pokiwał głową.

- Zgadzam się. Powinni zostać postawieni przed obliczem sprawiedliwości. Ale nie w taki sposób.

- Mają krew na rękach - powiedział Shiva. - Zaslужują na śmierć.

- Ale nie w taki sposób - zaproponował Kade.

Shiva nie dawał się przekonać.

- To jest wróg, Kade. Próbowali cię zabić. Uwięzili twoich przyjaciół. Prześladowali naukowców, którzy prowadzili wartościowe badania. Polowali na dzieci z Nexusem w mózgu. Planują ludobójstwo.

- Umrą setki innych ludzi - powiedział Kade. - Niewinnych.

- Niewinnych? - zakpił Shiva. - Nikt, kto daje pieniądze tym potworom, nie jest niewinny. Nikt, kto głosuje na nich podczas wyborów, nie jest niewinny.

Kade wypuścił powietrze. Silił się na spokój. Musiał jakoś dotrzeć do Hindusa.

- Nie będziesz miał z tego żadnego pożytku - powiedział Kade. Złożył ręce jak do modlitwy i pochylił je w stronę rozmówcy, w jego głosie brzmiało napięcie. - Shiva, to zrobi z Shepherdą i Chandlera męczenników. Takie wydarzenia są esencją istnienia organizacji jak ERD, powodem, dla którego zaistniała Kopenhaga. Jeżeli na to pozwolisz, będziemy mieli tysiące polityków takich jak Chandler, z nowymi ustawami Chandlera, które będą dziesięć razy gorsze od obecnej. Z jeszcze większą ilością represji pod kątem Nexusa i każdej innej postludzkiej technologii. - Spojrzał Shiva głęboko w oczy. - To nie pomoże w osiągnięciu twoich celów.

Shiva wytrzymał spojrzenie.

- Dobra - powiedział. - Chcesz litości? Chcesz, żebym oszczędził tych morderców? Wrogów przyszłości? Zrobię to. Dla ciebie, Kade. Tylko daj mi tylne wejście, wtedy ocalę ich dla ciebie.

Kade spojrzał na swoje ręce.

- Wiesz, że tego nie zrobię.

Shiva potrząsnął głową i wyduł usta.

- Żałosne.

Kade krążył, szukając sposobu na wydostanie się z tego miejsca. Dzień zmienił się w popołudnie, a z popołudnia w wieczór. Służąca przyniosła obiad do jego pokoju. Tym razem wegetariański. Nauczyli się jego nowych zwyczajów żywieniowych. Wmusił w siebie posiłek, żeby nie opaść z sił i pozostać w pełni gotowym na wszelkie okoliczności.

Pokojówka wróciła jakąś godzinę później, posprzątała po obiedzie, uprzątnęła pokój

jak co dzień. Strażnik czekał za drzwiami. Kiedy wróciła z kuchni, próbowała podchwycić spojrzenie Kade'a. Szepnęła do niego cicho coś, czego nie usłyszał, po czym wykonała gest jedną ręką, żeby strażnik nie widział. Wskazywała w stronę kuchni.

Co?

Po czym wyszła.

- Dobranoc.

Zawołała to po angielsku, z ciężkim akcentem.

- Dobranoc, sir - zawtórował jej strażnik.

Kade usiadł przy biurku. O co jej chodziło?

Wszedł w głąb swojego umysłu, wszedł do buforu pamięci, odtworzył ponownie tę scenę, jeszcze raz, i następny, i jeszcze raz w zwolnionym tempie.

- Dzisiaj w nocy. - Nie był pewien, ale wydawało mu się, że właśnie to do niego szeptała. Po czym wskazała w stronę kuchni.

Kade wstał. Wszedł do kuchni, nalał sobie szklankę wody, rozejrzał się dookoła, podszedł do okna i spojrzał na dziedziniec.

Zmierzchało, ale ciągle było dość widno, tak że mógł coś zobaczyć. Dzieci już nie było o tej porze, zostały odesłane do łóżek. Znał ich rozkład dnia. Para naukowców z personelu badawczego siedziała na ławce, pogrążona w rozmowie. Ochroniarz właśnie robił obchód.

I pod jego rękami, na ramie okna, w miejscu, gdzie było zaryglowane... Zamek w dalszym ciągu trzymał rygiel na swoim miejscu. Spoczywał na obramowaniu. Ale kiedy po kryjomu Kade położył na nim rękę i pociągnął lekko, cały czas pusto wpatrując się w dziedziniec, nie poczuł oporu.

Zmusił się, aby poczekać, pomyśleć. Zamek był otwarty. Mógł otworzyć okno, a tym samym klatkę Faradaya. Mógł sięgnąć umysłem z tego więzienia i znaleźć punkt dostępu do sieci. A nawet więcej. Znaleźć umysł z Nexusem. Strażnicy nie nosili zakłócaaczy podczas obchodów. Mógłby przejąć jednego, zniewolić go, zniewolić ich wszystkich, nawet Shivę, a potem wynieść się stąd w cholerę.

Ale dlaczego? Dlaczego ta dziewczyna otworzyła okno? Kto ją przysłał? Sam? Ananda? Shu? Feng?

A może to podpucha? Jakiś rodzaj pułapki?

Ale dlaczego? Przecież już go mieli.

Z trudem udało mu się odczekać dwie godziny, aż ściemni się do końca. Nadal miał więcej pytań niż odpowiedzi, ale nie mógł przepuścić okazji takiej jak ta.

Wstał, wsunął sandały i poszedł na palcach do kuchni, wyjrzał na dziedziniec. Na zewnątrz było ciemno. Paliło się tylko kilka niewyraźnych świateł.

Jego oczy powoli dostosowywały się. Wszędzie było cicho. Nie widział żadnego ruchu.

Odczekał dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny. Nikt się nie ruszał.

Ktoś mógł być poza zasięgiem jego wzroku. Shiva mógł cały czas stać na dachu, podziwiając nocne widoki. Dowie się tego, kiedy tylko otworzy okno i rozsunie panele klatki Faradaya.

Musiał to zrobić. Zawiesił swoją transmisję z Nexusa, przełączył się w tryb nasłuchu. Wtedy powoli odsunął rygiel i ostrożnie wysunął go z zamka, tak delikatnie, jak tylko potrafił.

Wziął głęboki wdech i pociągnął ramę do siebie. Od dawna nieużywana, trzymała

mocno. Szarpał powoli i konsekwentnie, do momentu kiedy skrzypiąc i trzeszcząc, puściła troszeczkę.

Zachłysnął się powietrzem. Klatka Faradaya przestała istnieć. Ustawił się zaraz obok powstałej szczeliny i sięgnął umysłem, żeby sprawdzić, czy ktoś tam jest.

Nic. Nikogo w zasięgu.

Otworzył ramę szerzej, rozszerzył częstotliwości szukania i sięgnął jeszcze raz.

Nic.

Poszukał połączeń sieciowych. Znalazł kilkanaście, ale wszystkie zamknięte i zaszyfrowane.

Zwizualizował plan posiadłości. Na końcu dziedzińca była brama, a przy niej stróżówka, w której zawsze siedział strażnik. Stąd Kade nie widział bramy. Ale jeśli mógłby podejść dostatecznie blisko i strażnik cały czas by tam był... Wtedy mógłby go przejąć.

Zmusić, żeby otworzył bramę, zaprowadził go do samochodu, po czym do łodzi i żeby pokazał mu, jak opuścić wyspę.

Ale najpierw musiał się do strażnika zbliżyć.

Jeszcze raz wyjrzał przez okno, szeroko otwierając umysł na jakąkolwiek aktywność. Nic. Za to pod jego oknem... Pergola, jakieś cztery stopy pod krawędzią parapetu. Pokryta tropikalnymi kwiatami. Mógłby po niej zejść na dół i przekraść się do południowego skrzydła.

Musiał spróbować. Nie dostanie następnej takiej szansy.

Przełożył jedną nogę przez krawędź okna i nagle dostał zawrotów głowy. Jego pokój znajdował się na piątym piętrze. Ziemia była przerażająco daleko. Nie znajdował się w sali do wspinaczki z linami zabezpieczającymi i podłogą absorbującą uderzenie. To było na serio.

Upadek z tej wysokości mógłby kosztować go złamaną nogę albo rękę. Albo coś gorszego.

Nie ma wyboru, powtarzał sobie.

Usadowił się na brzegu okna, trzymając się po obu stronach, powoli opuścił stopy przed sobą. Potem się odwrócił, powoli, ostrożnie, jego ręce były cały czas w kuchni, a nogami szukał oparcia na kracie.

Opuszczał się dalej, jego klatka piersiowa była teraz na krawędzi framugi, ramionami napierał na wewnętrzną stronę okna, aby utrzymać się w jednej pozycji, opuszczał się coraz niżej i niżej, szukając oparcia dla stóp.

Prawa stopa na kracie. Dobrze. A teraz lewa.

Czy pergola go utrzyma? Cały czas ramiona miał w środku, ale powoli przenosił większość ciężaru na dół, na stopy, z rękoma w gotowości, aby w razie czego móc się czegoś złapać.

Krata trzymała.

Rozluźniał się, powoli przenosząc masę, cały czas trzymając się, jakby od tego zależało jego życie.

Zatrzymał się, żeby złapać oddech. Musiał poruszać się szybko. Ktoś mógł go tutaj zobaczyć w każdej chwili. Następny ruch będzie najtrudniejszy. Jego okno i kratę dzieliły cztery stopy, a pomiędzy nimi nie było się czego złapać. Musiał przytrzymać się krawędzi okna jedną ręką, a drugą sięgnąć góry pergoli.

Na siłowni chodził po ściankach wspinaczkowych. Niezbyt często, kilka razy. Nigdy nie myślał o sobie jak o sportowcu, ale był wysoki, miał długie kończyny i niewiele ważył. Podczas ćwiczeń mógł wykonać ten manewr. Mógł dosięgnąć. Mógł chwycić duży, poprzeczny pręt kraty.

Ale na siłowni, jeśli mu się nie udało, trzymały go liny bezpieczeństwa.

Nadal nie miał wyboru. Jedynym pytaniem pozostało: która ręka? Mógł przytrzymać się okna lewą, silniejszą ręką, która wprawdzie zawsze była tą drugą, ale za to w pełni działającą w tym momencie, i sięgnąć w dół słabszą, prawą.

Albo mógł się trzymać okna prawą ręką, a uchwytu sięgnąć silniejszą.

I tak musiał to zrobić. Okno było solidne. Nowy punkt zaczepienia wyglądał na oczywisty, ale był niepewny. Użył sprawniejszej ręki.

Złapał okno tak mocno, jak tylko mógł, prawą ręką, cały łokieć przerzucił przez krawędź okna, aby lepiej rozłożyć wagę, starał się trzymać biodra blisko ściany, a środek ciężkości nad stopami, żeby przenieść na nie większość masy ciała, po czym sięgnął lewą.

Niedobrze. Tak nie da rady.

Opuścił stopę niżej na kracie, szczebel lub dwa. Trzymał się okna już tylko samą dłonią. Zaczęło go boleć.

Ruszaj się szybko. Bezruch odbiera ci siły.

Ponownie sięgnął lewą ręką, zaciskając prawą tak mocno, jak tylko mógł, w bólu. Prawie... prawie...

Nie mógł jednak dosięgnąć z biodrami przyciśniętymi do ściany, więc odepchnął się, obniżył ramiona. Palce lewej dłoni dotknęły szczebła...

Wtedy stopa mu się ześlizgnęła i ciało szarpnęło w dół i na prawo, po czym druga stopa także straciła oparcie. Nie znalazł oparcia dla ręki. Zawisł całym ciężarem ciała na prawej, co wywołało falę rwącego bólu. Jego ciało bujnęło się w prawo, a stopy kopały rozpaczliwie, szukając oparcia.

Poczuł, jak coś trzasnęło mu w palcach, nadgarstku, poczuł rozdzierający ból, gdy ścięgna albo kości, a może nie w pełni jeszcze zregenerowane mięśnie poddały się. Nie był w

stanie się utrzymać. Spadł. Niemalże krzyczał w agonii podczas lotu.

I wtedy lewa dłoń zacisnęła się na czymś. Ciało bujnęło się w lewo, a lewa stopa nagle znalazła oparcie. Zakołysał się, obracając, miotając się bez równowagi, cały czas oparty na jednej stopie i jednej dłoni. Wierzgnął prawą nogą, machnął swoją w połowie bezwładną prawą ręką. Noga znalazła oparcie i jakoś udało mu się przerzucić prawe ramię między szczelami, pograżając je po łokieć w listowiu, przenosząc wagę na całą rękę.

Wisiał tam, dysząc. Ból był niewyobrażalny.

Zamknął oczy.

Oddychaj.

Oddychaj.

Ból to tylko iluzja.

Ból to tylko iluzja.

Oddychaj.

Otworzył oczy.

Ból ciągle istniał, ale mniej ogłuszający. To był sygnał dla mózgu, że ciało jest uszkodzone. Informacja, nie emocja.

Oddychaj.

Musiał się ruszyć. Nie mógł tu zostać.

Wysilił się, żeby zejść na dół, uważnie zestawiając niżej stopy, wyciągając niesprawne ramię i wpychając w kolejną szczelinę między szczelami kraty na tyle głęboko, żeby przenieść ciężar na łokieć, i w końcu przenosząc lewą rękę na następny uchwyt.

Niemalże płakał z zachwytu, kiedy nogi dotknęły gruntu. Pozwolił sobie na przytulenie się do ziemi, poleżał chwilę na brzuchu tak, żeby jak najmniej było go widać.

Po raz kolejny otworzył umysł. Połączenia sieciowe istniały wszędzie dookoła, wszystkie zamknięte. Shu mogłaby zhakować je w mgnieniu oka, ale on nie był Shu. Potrzebował ludzkiego umysłu.

Czołgał się na północ, używając ścian, ławek, krzewów i drzew jako osłony.

Na widoku pojawił się okrągły podjazd. Za nim brama i doczepiona do niej mała stróżówka. Przez okno widział, że ktoś siedzi w środku, z głową odwróconą w przeciwnym kierunku do Kade'a.

Użył sztuczek, których się nauczył, ustawił transmisje Nexusa na wąski skoncentrowany promień, sięgnął po umysł, znalazł. Sięgnął w stronę strażnika, otworzył zaszyfrowane połączenie, aktywował pierwsze ukryte drzwi, wysłał hasło i dostał się do środka.

I teraz...

Coś było nie tak.

Patrzył oczami tego człowieka. Był przywiązany do krzesła. Sprzęt został rozłożony dookoła, sprzęt elektroniczny, nasłuchowy. W żyłę miał wprowadzony wenflon, kamery go obserwowały, kobieta w białym fartuchu laboratoryjnym stała obok niego. Służąca. Jej palec spoczywał na przycisku połączonym z kroplówką.

Co?

I wtedy to zobaczył, w samym umyśle. Dziwne procesy działające w tle. Loggery. Nasłuchiwanie. Dekryptery. Pochłaniające każdy bit z jego transmisji danych na temat wewnętrznych struktur Nexus OS działającego w tym umyśle, każdy bit pamięci zapisanej i odczytanej.

O nie. No kurwa nie.

To była pułapka, sztuczka, żeby znaleźć jego tylne drzwi.

Wysłał hasło przez zaszyfrowane połączenie, ale w trakcie natychmiastowego pobudzenia tylnych drzwi, przez krótką chwilę, to, co wysłał, zostało zapisane w pamięci, niezaszyfrowane, żeby mogło zostać porównane z hasłem wdrukowanym w Nexus OS.

Musiał wymazać wiedzę z tego umysłu. Zaczął polować, szukać logów, szukać danych do wyzerowania.

Wtedy połączenie zostało zerwane. Wyładowanie elektrostatyczne uderzyło z wielką mocą. Wyładowania elektrostatyczne wszędzie. Pola rozprzestrzeniające się wszędzie. Powódź światła zalała dziedziniec. I wtedy pojawił się Shiva, stojąc nad nim, ściągając kaptur kombinezону kameleona. Otaczali go ochroniarze.

Byli tutaj przez cały czas, siedzieli cicho z węzłami Nexusa nastawionymi na odbieranie. Został oszukany.

Shiva spojrzał na niego.

- Opatrzcie mu ramię - powiedział i medyk, którego Kade widział pierwszy raz, podbiegł do niego, trzymał coś w dłoni.

Przycisnął hipersoniczną strzykawkę do szyi Kade'a, który poczuł chłodne ukłucie czegoś, co weszło do jego krwiobiegu.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, był Shiva, jego oczy patrzące na niego z góry i to, że kiwał powoli głową.

Plan

Piątek, 2 listopada

Nakamura wpatrywał się w oczy Sam. Myślał o piekle, które przeszła, na które skazał ją wirus Komunii i ci, którzy go nadużywali.

Nexus był czymś więcej. A z tylnymi drzwiami do Nexusa... wymuszania nie dałoby się powstrzymać. Skala potworności, jakich można by się w ten sposób dopuścić, przekraczała granice wyobraźni Nakamury. Czy mógł zaufać CIA w przypadku takiej potęgi?

Pamiętał spotkanie z McFaddenem, powtarzane napomnienia, że nikt nie może się dowiedzieć. Ani ERD. Ani Agencja Bezpieczeństwa. Ani armia.

Ani Kongres.

Ani Biały Dom.

Jezu, pomyślał Nakamura, jak mogłem być taki głupi?!

- Nie możesz im go oddać, Kevinie - powiedziała Sam, jakby czytając w jego myślach.

Nakamura patrzył na nią bez słowa. Lojalność. Był lojalny wobec swoich przyjaciół. Był lojalny wobec rodziny, jakkolwiek małeńka by była. Był lojalny wobec swego kraju.

Właśnie. Był lojalny wobec kraju. Zawsze.

- To, co z tym zrobią... - mówiła Sam.

Miała rację. Jego kraj nie potrzebował czegoś takiego. Ameryka nie skorzysta na przekazaniu takiej potęgi w czyjekolwiek ręce. A już na pewno nie w ręce kogoś, kto będzie próbował ukryć tę władzę przed innymi.

McFadden, co zamierzałeś z tym zrobić, co? - pomyślał.

To nie miało znaczenia. Nakamura na to i tak nie pozwoli.

Wrócił myślami do czasu spędzonego z Kade'em. To nie był żaden potwór. Ani zły człowiek. To był tylko dzieciak. Dzieciak na siłę wrzucony do świata dorosłych.

Dzieciak z niebezpieczną wiedzą w głowie.

Nakamura odetchnął głębiej. Ta wiedza była problemem. Zagrożeniem dla Stanów Zjednoczonych.

Wolno wypuścił powietrze. To, co musi zrobić, zostawi mu w ustach wstrętny posmak. Posmak zdrady. Kompromisu.

Ale jego obowiązek był jasny. Przysiągł bronić narodu amerykańskiego. A to przebijało rozkazy CIA. Przebijało ERD. Nawet sumienie Nakamury. I był tylko jeden sposób, by naprawdę ochronić Amerykanów przed tym zagrożeniem.

Z pakietu Nakamury wypłynęło wspomnienie twarzy Kade'a, wspomnienie tygodni, podczas których szkolił Lane'a w San Francisco. Dzieciaka, który nie umiał skłamać, nawet gdy zależało od tego jego życie. Agent poczuł, jak coś skręca mu się w środku. Ale nie widział innego wyjścia.

- OK. - Kiwnął głową do Sam. - Masz rację.

- Nie dasz im Kade'a?

- Powiem, że zginął - odparł Nakamura.

I była to niemal cała prawda.

Zebrali co bardziej użyteczne zasoby Sam, rozłożyli poszarpane liście palmowe na

tych częściach jej łodzi, gdzie zawiódł kamuflaż. I powiosłowali w pontonie Nakamury, rozmawiając cały czas. Mieli już zarys planu. Marnego planu, prawdę powiedziawszy, ale na lepszy nie było szans.

Było już dobrze po północy, gdy obok nich wynurzyła się łódź podwodna. Sam gwizdnęła cicho z podziwu. A potem otworzyli właz i weszli do środka.

- Nakamura! - wrzeszczał Feng. Siedział w ciasnym wnętrzu, ręce miał przykute nad głową, a kostki do podłogi. Wyświetlacz przed nim pokazywał jakąś akcję w podczerwieni. I nagle Feng zobaczył Sam i jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- A ty co tu robisz? - spytał.

Sam roześmiała się i weszła do ciasnego wnętrza, pokazując mu kluczyk od kajdanek. Chwilę później Feng miał wolne ręce.

- Co jest grane? - chciał wiedzieć, gdy Sam wsunęła mu kluczyk do ręki.

Nakamura spojrzał na Fenga, unosząc brew, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Trochę się pozmieniało, Feng. Wychodzi na to, że jednak będziemy partnerami.

Godzinami rozważali różne warianty planu. Mieli zbieżne cele, ale nie idealnie zgodne. Uwolnić Kade'a. Nie dopuścić, by Shiva dostał tylne drzwi. Odebrać Shiwie dzieci. Nie było rozwiązań doskonałych, tylko takie z większym lub mniejszym marginesem ryzyka, z większymi lub mniejszymi niewiadomymi.

Mieli teraz też lepsze rozeznanie. Drony wychwyciły nietypowe zachowanie na wyspie i przesłały dane, oznaczając je wysokim priorytetem. Cała trójka pochyliła się nad wyświetlaczem, gdy Feng je odtworzył.

Na ekranie widniał wewnątrz dziedziniec w podczerwieni, ziemia i budynki były plamami czerni, chłodniejsze niż powietrze wokół nich. Potem coś się zmieniło. W oknie pojawiła się kolorowa postać, długa i smukła. Wyszła przez okno od strony dziedzińca,

próbowała zsunąć się po murze, ześlizgnęła się, jakoś jej się udało. Pełzła wzdłuż wewnętrznej ściany dziedzińca, do wschodniej bramy, wyjścia z posiadłości.

Nagle otoczyły ją inne postacie, zdejmując kamuflaż blokujący emisję fal podczerwonych, i poniosły pierwszą postać przez dziedziniec i do budynku.

- Kiedy to było? - spytał Nakamura.

- Dwie godziny temu - odparł Feng.

- I myślisz, że to Kade?

- Wysoki? Chudy? Próbujący uciec? Ta, to Kade.

Nakamura spojrzał na Sam, a ta kiwnęła twierdząco głową.

- Tak, to Kade.

- A więc wiemy, gdzie był - mruknął zamyślony Nakamura. - I w które drzwi go wnieśli. To już jest jakiś początek.

Trzy godziny później się dogadali. I gdy słońce wstało nad falami Morza Andamańskiego, ułożyli się do snu, gdzie kto mógł. Następnego dnia po zmroku przeprowadzą atak.

Atak, którego Kaden Lane nie mógł przeżyć, i Nakamura musiał tego dopilnować.

70

W przeddzień misji

Piątek, 2 listopada

W piątkowy wieczór Breece, Ava i Nigeryjczyk spotkali się w celu ustalenia ostatnich szczegółów przed misją.

Wszystkie dane leżały rozłożone przed nimi. Żadnych śladów świadczących o tym, żeby ktoś obserwował Mirandę Shepherd. Nic nie wskazywało też na zwiększone środki ostrożności, jeśli chodziło o samo śniadanie. Nikt nie wtargnął do bezpiecznego domu. Nikt nie kręcił się w okolicy garażu.

Hiroshi nie żył. Wspomnienie kuli, którą wpakował w mózg przyjaciela, wciąż prześladowało Breece'a. Wciąż napelniało go dławiącym żalem i jeszcze większym gniewem.

Ale spełnił życzenie Hiroshiego. Zakończył wszystko, zanim haker dowiedział się, kim byli i co planowali.

Niech to szlag. Ktoś za to zapłaci.

Później. Pojutrze. Po misji.

Spojrzał pytająco na pozostałych członków drużyny.

- Ruszamy - powiedział Nigeryjczyk.

- Ruszamy - powtórzyła za nim Ava.

Breece skinął głową z namysłem. Za dwanaście godzin położą kres życiu dwóch największych kryminalistów nowoczesnej ery i setkom ich popleczników. Człowiek odpowiedzialny za śmierć jego rodziców zginie.

- A więc jednogłośnie - powiedział. - Ruszamy.

Wyzwolenie

Czwartek, 1 listopada

Wiatr zaczął wiać na serio, gdy Holtzmann wracał do domu. W mieszkaniu było pusto bez Anne. Rozpakował swój bagaż - stację roboczą Beckera, złotą folię i butelkę laphroaig.

Teraz musiał znaleźć sposób, jak odczytać zawarte na folii informacje. Folia pamięci była formatem zarówno starym, jak i specjalistycznym. Tablet Holtzmann jej nie odczyta. Ani komputer. Przez godzinę przerzucał elektroniczne śmieci w garażu, ale niczego nie znalazł. Przeszukał sieć w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji. Potrzebne narzędzia w chwili obecnej pozostawały poza jego zasięgiem. Były rzadkie i specjalistyczne. Laboratorium elektroniczne ERD powinno mieć to, czego potrzebował...

A więc jutro.

Zabrał się do przygotowania domu na nadchodzącą burzę, zabił okna płytami sklejk, upewnił się, że akumulatory domu są naładowane, napełnił beczkę z wodą na własny użytek.

A potem spał, a wiatr obsypywał dom kroplami deszczu.

Piątek, 2 listopada

W piątkowy poranek wiatr się nasilił. Zawodził głucho na zewnątrz. Holtzmann sprawdził zasilanie, telefony i sieć. Wszystko jeszcze działało, ale w wiadomościach przestrzegali, że w miarę jak Zoe będzie się zbliżać, można spodziewać się awarii zarówno zasilania, jak i sieci oraz telefonów.

Na forum Nexusa czekała na niego kolejna wiadomość.

[Alarm pożarowy rozpocznie się o 19:22. Bądź gotów].

Załadował zapasy do samochodu, na wypadek gdyby gdzieś utknął: wodę, jedzenie,

płaszcz przeciwdeszczowy, latarkę i apteczkę, którą mieli w domu na skutek nalegań najstarszego syna. Potem Holtzmann nakazał samochodowi pojechać do biura.

Z wnętrza wozu burza wyglądała surrealistycznie. Nie był to jeszcze huragan, ale już czuło się jego bliskość. Drzewa zginały się pod naporem wiatru. Deszcz padał niemal poziomo, waląc nagłymi kroplami w szybę samochodu. Wycieraczki nie miały szans nadążyć. Samochód jechał sam, nie potrzebował do tego oczu Holtzmann.

Drogi wypełniały samochody, wszystkie wyjeżdżały z Waszyngtonu. Policja zmieniła autostrady w ośmiopasmową trasę exodusu. Do miasta można było dojechać tylko poboczem. Holtzmann nakazał samochodowi jechać tamtędy, ignorując ostrzeżenia maszyny. Położył ręce na kierownicy na wypadek, gdyby jednak wóz nie był w stanie poradzić sobie z tak zmienionym ruchem.

Policja zatrzymała go raz, drugi i trzeci. Jechał w złym kierunku. To była droga dla pojazdów ratunkowych.

Za każdym razem pokazywał identyfikator ERD, słowo „dyrektor” pod jego zdjęciem działało cuda, a raz musiał użyć takich słów jak „bezpieczeństwo narodowe”, „misja nadzwyczajnej wagi”.

Przepuszczali go za każdym razem. Za trzecim zaproponowali mu eskortę. Holtzmann odmówił i pojechał dalej.

W kompleksie Agencji nikogo nie było na bramie. Aktywowano automatyczne systemy ochrony. Machnął identyfikatorem, przysunął oko do skanera i mógł wjechać na teren kampusu.

Wnętrze budynku było całkiem wymarłe. Korytarze straszyły pustką. Światła zostały wyłączone. Holtzmann zgarnął tablet ze swojego biura i poszedł do Skrzydła Podmiotów Ludzkich. Był tam ten sam strażnik, co poprzedniego dnia. Popatrzył na Holtzmann'a ze zdziwieniem.

- Chcę zobaczyć Shankariego - zażądał Holtzmann.

- Dyrektorze... obecny jest tylko personel podstawowy. Nie ma nikogo, kto mógłby go do pana przyprowadzić.

- Dajcie mi paralizator. Dam sobie radę.

Strażnik był wyraźnie zmieszany.

- Dyrektorze, protokół wymaga, by miał pan ochronę. Więzień jest niebezpieczny...

Holtzmann zmierzył go wzrokiem.

- Protokół został dziś zawieszony. A więzień to wąły student i macie tu w dodatku obraz z kamery.

Trzy minuty później otworzył drzwi do celi Shankariego z laską w jednej i paralizatorem w drugiej ręce.

Shankari podniósł głowę, gdy drzwi się otworzyły. Holtzmann wrócił. Serce zabiło Ranganowi szybciej.

- Przemyślałeś? - spytał go naukowiec. - Masz jakieś nowe wnioski?

Rangan potrząsnął głową.

- Wszystko wam powiedziałem.

[holtzmann] Prośba o transfer pliku. Plik: dziswieczor.txt. Akceptujesz? T/N

[rangan] T

Plik zaczął wgrywać mu się do mózgu.

- Myśl - powiedział Holtzmann. - Wróć dziś jeszcze i jeśli nie będziesz miał wtedy

żadnych nowych przemyśleń, pożałujesz.

Zapis piku dobiegł końca. Holtzmann odwrócił się i opuścił celę.

Rangan odczekał chwilę i otworzył plik.

W środku znalazł instrukcje. Instrukcje dotyczące jego ucieczki. I dzieci też.

Holtzmann zwrócił paralizator strażnikowi.

- Widzicie? Żadnego problemu - stwierdził.

Laboratorium elektroniczne znajdowało się na piątym piętrze. Użył identyfikatora, żeby otworzyć drzwi, i zapalił światła.

Wiedział, czego potrzebował. I to musiało gdzieś tu być. Włączył spis inwentaryzacyjny na jedynym czynnym komputerze i zaczął szukać.

Dwie godziny później, sfrustrowany, porzucił próby znalezienia tego, czego dokładnie potrzebował. Format folii miał już piętnaście lat i nigdy nie był używany powszechnie. Od dekady nie zbudowano do niego nowego czytnika. Owszem, istniały takie, które mogły odczytać dane na folii, ale żaden nie był kompatybilny z nowoczesnym tabletem czy jednostką centralną.

Nie miał szans na znalezienie gotowego rozwiązania, musiał takie stworzyć.

Zajęło mu to niemal w całości pozostałą część dnia. Najpierw musiał wskrzesić umiejętności, które rdzewiały od czasów szkoły średniej, potem połączyć komponenty, przetestować ścieżkę danych, aż w końcu uzyskał coś, co - miał nadzieję - zadziała. Na zewnątrz wył wiatr, coraz mocniej, wypełniając puste pomieszczenia upiornym zawodzeniem. Co za dzień!

Około osiemnastej Holtzmann zabrał zbudowane przez siebie urządzenie do swojego biura, przy okazji wziął kawę i zafoliowaną kanpkę z pokoju socjalnego. Usiadł przy biurku

i delikatnie wsunął folię do swojego wynalazku, podłączył go do komputera.

I figa. Nie chciało się ładować.

Spędził pół godziny na usuwaniu błędów, klnąc na zardzewiałe umiejętności, aż w końcu zrozumiał, na czym polegał problem. Jedną z części składowych miała antyczne oprogramowanie wewnętrzne, liczące sobie ponad dekadę, które nie działało poprawnie z nowoczesnym komputerem Holtzmann.

Zaczął przeszukiwać sieć w nadziei znalezienia jakiegoś uaktualnienia, wyczytał, że producent już nie istnieje, szukał dalej, aż wreszcie znalazł jakąś obskurną stronę z archiwum zawierającym to, czego potrzebował. Zgrał oprogramowanie, załadował do sprawiającej problemy części i wstrzymał oddech.

Ładuje pliki. Ładowanie zakończone powodzeniem.

TAK!

Interfejs był wolny, boleśnie powolny. Holtzmann zaczął kopiować pliki do swojej jednostki centralnej.

I nagle zrobiła się prawie siódma. Czas uwolnić Rangana i dzieci.

Rangan siedział na podłodze celi, spojrzał w górę, gdy otworzyły się drzwi. Znowu Holtzmann. Jak przedtem, w jednej dłoni miał paralizator, w drugiej laskę.

- Powiedz mi, jak odwrotnie skompilować Nexusa - nakazał.

- To nie jest łatwe. - Rangan wzruszył ramionami. - Mapa połączeń neuronów. Mapowanie modeli dla różnych części mózgu. To wszystko wygląda jak śmieci, przypadkowe liczby. Dla programu zaciemniającego kody to byłby doskonały kamuflaż. Tylne drzwi są najprawdopodobniej wplecione gdzieś tam, podzielone na dziesiątki tysięcy małych części kodu, rozsiane w niewielkich częściach, wyglądających na losowe.

- Więc jak to rozłożyć? - spytał Holtzmann.

- Nie mam pojęcia - odparł Rangan ucziwie. - Na siłę?

I tak w koło przerabiali ten temat, od początku do końca, i do niczego nie dochodzili.

Nagle rozległ się alarm.

Holtzmann obejrzał się, jakby szukał źródła tego dźwięku. Paralizator trzymał luźno w prawej dłoni.

Rangan w tej samej chwili poderwał się, skoczył na Holtzmann'a i złapał go oburącz. Laska potoczyła się na podłogę. Shankari pchnął Holtzmann'a na ścianę, wyrwał mu paralizator, lewą pięścią uderzył w tył głowy, wraził mu paralizator w plecy i nacisnął guzik.

Ciało Holtzmann'a podskoczyło w spazmach, a potem zważyło się na ziemię.

Rangan błyskawicznie przeszukał kieszenie Holtzmann'a, znalazł jego identyfikator, portfel i zabrał oba. Potem ściągnął ofierze buty i założył zamiast swoich kapci. W ogóle nie pasowały, ale było to lepsze niż nic. Teraz test. Machnął identyfikatorem przed drzwiami, wciąż ściskając paralizator.

I drzwi się otworzyły.

Wyskoczył na korytarz. Był pusty. Skręcił w prawo. Korytarzem. Następne drzwi. Machnął identyfikatorem jeszcze raz. Te drzwi także się otworzyły i powitało go kilkanaście młodych umysłów.

Piątek, 2 listopada

Rangan poganiał dzieci korytarzem, drogą, którą naszkicował mu Holtzmann. W ich umysłach panował chaos, totalna rozsyпка. Mówił chłopcom, że to nastąpi, ale i tak niezwykle trudno było nad nimi zapanować. Alarm pożarowy ryczał i ryczał, i tylko wszystko pogarszał, wypychając z umysłów dzieci wszelkie myśli. Rangan kazał im trzymać się za ręce, sam złapał dłoń Tima, i tak wszyscy byli połączeni, aż do Bobby'ego. Alfonso szedł w środku. Pozostali chłopcy byli gotowi go zostawić, co bardzo zabolalo Rangana. Alfonso wycierpiał z nich wszystkich najwięcej i Rangan zamierzał zabrać małego daleko stąd.

Zbliżali się do biurka strażnika. Rangan mocniej ścisnął paralizator. Jak gdzieś się plan spierdoli, to właśnie tu, w tym momencie. Wyszli z za rogu i Rangan przygotował się do ataku. Ale na posterunku nikogo nie było. Na monitorach widać było Rangana i dzieciaki, ale nie było nikogo, kto mógłby ich zobaczyć.

Minęli biurko i szli w kierunku windy. Rangan otworzył drzwi identyfikatorem Holtzmann'a i wepchnęli się wszyscy do środka. Rangan poganiał ich, aż w końcu mógł już nacisnąć P1. Machnął identyfikatorem i guzik rozbłysnął światłem. Winda ruszyła w dół.

Drzwi otworzyły się na pusty niemal podziemny parking. Wysypali się z windy, Pedro wypuścił dłoń Tima i łańcuch się zerwał. Rangan zatrzymał się i zmusił chłopców, by ponownie złapali się za ręce, policzył ich, upewniając się, że są wszyscy. A potem poszli przez parking w kierunku, który nakazał im Holtzmann. Rangan niemal ciągnął za sobą chłopców, póki nie dotarli do schodów. Szarpnął drzwi, a te się otworzyły posłusznie. Weszli po schodach, do następnych drzwi, i nagle byli na zewnątrz.

Wiatr natychmiast uderzył Rangana. Prawdziwa wichura. Drzewa zginały się prawie wpół pod jej naporem. Rangan poczuł na twarzy ukłucia deszczu. Wiatr ryczał wściekle. Rangan usłyszał jakiś huk, potem trzask. Rozejrzał się, uznał, że zrozumiał, dokąd zmierzają. Sięgnął umysłem ku chłopcom, zmusił, żeby się skupili. Pokazał im w myślach, że muszą trzymać się za ręce, i ruszyli.

Rangan czuł, że wichura daje się chłopcom we znaki. Na nogach mieli kapcie, nie buty. I byli kompletnie przemoczeni od stóp do głów. Stopy ślizgały im się po mokrym

asfalcie. W połowie otwartego placu Parker podniósł dłoń, żeby osłonić twarz od deszczu, i zerwał ludzki łańcuch. Rangan połączył ich dłonie ponownie, nie zważając na wiatr i deszcz, i znów pomaszerowali przed siebie.

Przeszli kolejne sto jardów, niemal dotarli do drzew, gdy nagle Rangan poczuł ukłucie cudzego bólu. Jose! Jose potknął się i przewrócił. Uderzył się w głowę i teraz jego brew przecinało krwawe zadrapanie. Płakał.

Rangan wepchnął paralizator do kieszeni swoich więziennych spodni i wziął Jose na ramię. Chłopiec był ciężki. Rangan ponownie złapał Tima za rączkę, pozostali chłopcy też połączyli dłonie i weszli między drzewa.

Liście latały wokół nich. W tym miejscu wiatr i deszcz dawały się trochę mniej we znaki, ale wciąż trudno było je znieść. Gałązki i kamyki raniły stopy chłopców, ale Rangan gonił ich naprzód. Po drugiej stronie...

Tam. Wyszli spomiędzy drzew i widzieli już bramę kompleksu. Zrobiona z metalowej siatki, z drutem kolczastym na szczycie, otwierana była automatem z każdej ze stron. Rangan widział budkę strażnika, ale w środku nikogo nie dostrzegął. Na czytniku kart świeciła blado czerwona dioda.

- Chodźcie! - zawołał Rangan, przekrzykując wycie wiatru. Siegnął umysłem, by ich zachęcić, pchnąć do przodu.

Wybiegł na otwartą drogę, w stronę bramy, wciąż ściskając rączkę Tima i niosąc Jose. Deszcz siekł go z narastającą furią. Wiatr niemal zwałił z nóg. Teraz Rangan był już przemoczony do cna i dygotał z zimna. Czuł, jak bardzo nieszczęśliwi, zmarznięci i zmieszani byli chłopcy za nim.

A potem już stali przy bramie. Rangan puścił palce Tima i wyciągnął z kieszeni identyfikator Holtzmanna, machnął przed okiem skanera i czekał. I czekał.

Czerwone oko mrugnęło i pozostało czerwone. Nic się nie wydarzyło.

Kurwa mać!

Rangan machnął identyfikatorem jeszcze. I jeszcze raz. Przytknął plastik do skanera i przesuwał w górę i w dół.

Dalej, ty kawałku gówna!

I nagle oczko mrugnęło zielenią. Rangan odwrócił głowę. Wolno, wolniutko brama się otwierała.

Wcisnął identyfikator do kieszeni, złapał Tima za rękę i wyciągnął chłopców przez szczelinę, nie czekając, aż brama otworzy się do końca. Przebiegli przez ulicę, w kolejną kępę drzew. Jose był ciężki, ale Rangan niósł go, nie przystając ani na chwilę, wciąż sprawdzając mapę Holtzmanna w umyśle.

Znów wyszli spomiędzy drzew i wspinali się na nasyp, by dotrzeć do drogi. A tam czekał na nich poobijany biały van. Wskoczył z niego mężczyzna, wyciągnął rękę do Rangana, by mu pomóc, by zabrać jego i chłopców w bezpieczne miejsce.

73

Matko, matko

Piątek, 2 listopada

Sińce Ling goiły się. Oparzenia pokryły się cienką białą warstwą ochronną, która się potem złuszczyła, odsłaniając zdrową skórę pod spodem. Nie zostały żadne blizny. Była dzieckiem swojej matki, a jej matka zapewniła Ling wszelkie możliwe genetyczne ulepszenia dostępne w chwili, gdy Ling była stwarzana.

Od tygodnia żyła jak dzikus, jak zwierzątko chowające się w swojej norze, ryzykowała wyjście tylko wtedy, gdy bezpiecznie mogła zdobyć jakieś jedzenie. Zamawiała

artykuły spożywcze, korzystając z kart ojca, pilnowała, by dostawy odbywały się, gdy jego nie było w domu. Robot kuchenny składował wszystko w szafkach i lodówce. Jeśli jej ojciec nawet to zauważył, niczego nie dał po sobie poznać.

Tęskniła za Fengiem. Fengiem, który był odważny i silny, i zawsze podrzucał ją w ramionach, gdy była mała. Fengiem, który zmiążdżyłby jej ojca i zabrał ją stąd.

Tęskniła za Kade'em. Kade'em, który był bystry i pomógłby jej znaleźć jakiś sposób...

Feng! - zawołała. FENG!

Kade! - spróbowała. KADE!

Nic. Nic, i to od kilku dni. Zginęli albo przypadli, albo nie mieli dostępu do sieci. Była sama.

Jak długo mogę tak żyć? - zastanawiała się.

Tak długo jak będę musiała, póki nie uwolnię matki.

Wszystko zmieniło się w piątek, czternaście dni po tym, jak próbowała ją uwolnić.

Połączenie przyszło kilka minut przed północą. Chen podskoczył, gdy zobaczył, kto dzwoni. Sun Liu! Minister nauki i technologii!

Pospieszył do swojej sypialni, puknął w panel przy drzwiach, by zapieczętować pokój, przełączył się na ekran kontroli i uruchomił filtr prywatności.

A potem odetchnął głęboko i odebrał połączenie.

- Chen. - W głosie Sun Liu słychać było napięcie.

- Panie ministrze - odpowiedział Chen - próbowałem wszystkiego, zapewniam. Manipulacji formacji mentalnych. Bezpośredniej stymulacji bólu. Naprzemiennie bólu i

przyjemności. Zapewniam. Torturowałem ją na wszystkie możliwe sposoby.

- Chen - przerwał mu Sun Liu - to koniec. Przegraliśmy.

Chen wstrzymał oddech. Minister miał zmęczony głos. Nie. Nie zmęczony.

Przestraszony.

- Jak... - zaczął - jak źle?

Na linii zapadła cisza.

- Nie nazwą tego zamachem stanu - odezwał się w końcu minister. - Będę mógł... prawdopodobnie... przejść na emeryturę, raczej nie zostanie... - Głos Sun Liu załamał się i zamarł.

Chen wstrzymał oddech.

- Wniesione oskarżenie - dokończył minister.

Chenowi wyrwał się jęk.

- Wszystko się zmieniło, Chen - powiedział Sun Liu. - Szanghaj... to, co się tam stało, przeraziło ludzi, przeraziło Zgromadzenie. Dało przewagę twardogłowym.

Serce Chena waliło niczym młot.

- Co... cco...

- Chcą, by ludzie zachowali spokój - mówił dalej Sun Liu. - Postarają się, żeby wszystko przebiegło gładko. Okres słabego zdrowia sekretarza generalnego. Wcześniejsza emerytura, z honorami. Nowe prawa, dla bezpieczeństwa publicznego, dla porządku publicznego. Kroki, by zapobiec kolejnemu Szanghajowi. Ograniczenia niebezpiecznej technologii, niebezpiecznych badań. - Głos Sun Liu nadal się łamał.

Brzmi jak starzec, pomyślał Chen. Taki pokonany.

Nagle w głosie ministra znów usłyszał strach.

- Będą chcieli uniknąć morderstwa - powiedział Sun Liu. - Wierzę, że tak będzie.

Chen się pocił.

- Twoja żona - Sun Liu zmienił temat. - Musisz ją wyłączyć. Jutro. Żadnych wymówek.

Chen już po tym nic nie słyszał. Ledwie pamiętał telefon do swojej asystentki. Jutro rano. Spotkają się. Rozpoczną ostateczne zgrywanie plików. A potem ją wyłączą.

I będą mieli nadzieję, że uda im się zachować głowy.

Ling śledziła ojca myślą, obeszła żalozne filtry w jego pokoju, przysłuchiwała się rozmowie przez czujniki audio.

Później nie mogła sobie przypomnieć, jak przebiegała ta rozmowa w całości. Tylko fragmenty przebiły się przez mgłę wściekłości i rozpacz i przez obezwładniające poczucie straty, które ją ogarnęło, wyciskając łzy z jej ludzkich oczu.

„próbowałem wszystkiego... stymulacja bólu... torturowałem...”

„bezużyteczna... zrobić backup i wyłączyć... jutro...”

Świat Ling stał się czerwony, a potem rozpalony do białości gniewem. Zamierzali zabić jej matkę! Czowała, jak gniew w niej narasta, czowała potrzebę wyładowania go. Pragnęła zniszczyć to miasto, powywracać budynki, podpalić, zabić wszystkich, każdego z tych ludzi, którzy chcieli zabić jej mamusię!

Gniew pulsował w niej, szukając ujścia.

Nie, nie, szepnął jakiś głos. Nie w ten sposób!

Aaaaa! - krzyczała w głębi swojego umysłu, ślepa z wściekłości, opętana potrzebą rozerwania elektronicznej materii miasta.

Złapią cię! - szepnął głos w niej.

Zabębniła maleńkimi piąstkami w ścianę, kierując gniew przeciwko czemuś, co nie doprowadzi ich do niej.

I nagle jeden z paneli się odsunął. Za nim była maleńka lodówka. Lodówka, o której Ling wiedziała. Lodówka bez jedzenia. Lodówka, w której było przechowywane coś zupełnie innego.

74

Ostatnia debata

Sobota, 3 listopada

Kade powoli odzyskiwał przytomność. Bolała go głowa i lewe ramię. Na zamkniętych powiekach kładły się promienie słońca.

Otworzył oczy i zobaczył, że znowu jest w pokoju, który zajmował wcześniej. Prawa dłoń i większość przedramienia tkwiły w szynie i w bandażach. Nawet nie chciał myśleć, jak bardzo uszkodził tę rękę.

Przywieziono mu już śniadanie. Czuł głód, ale nie mógł zmusić się do jedzenia.

Taki jestem głupi, pomyślał. Wkręcił mnie, jak chciał.

A teraz Shiva miał jedne z tylnych drzwi. A z nimi... stanie się tyranem. Kade już to widział. Tyranem o dobrych intencjach. Początkowo. Ale taka władza zepsuje każdego.

Jak ciebie? - spytała Ilya w jego głowie.

Tak - odpowiedział. Jak mnie.

Shiva przyszedł się z nim zobaczyć godzinę później. Na szyi miał zakłócacz. Mądry człowiek, nawet teraz nie zakładał, że poznał wszystkie sekrety Kade'a. I miał rację.

- Wciąż wyciągam do ciebie rękę, Kade - powiedział. - Dołącz do mnie. Możemy uratować świat razem.

- Nie rób tego - błagał Kade. - To się nie uda. Ludzie sami muszą znajdować swoje rozwiązania. To musi iść od dołu.

- Taki jesteś naiwny, mój młody przyjacielu. - Shiva potrząsnął głową. - Ten świat nie ma już czasu. Twój sposób to luksus, na który nie możemy sobie pozwolić. Mój sposób jest jedyną opcją, jaka nam została.

Kade potrząsnął głową.

- Nie utrzymasz tego w tajemnicy - powiedział. - Zorientują się, co robisz. Złapią cię. Znienawidzą. Przejdiesz do historii jako potwór.

Shiva wytrzymał spojrzenie Kade'a.

- Niech i tak będzie. Przynajmniej będą mieli jakąś historię.

Shiva stał na dachu swego domu. Wpatrywał się w zachwycające morze i niebo. Rozłożył ramiona i chłodny wiatr rozwiewał jego białą szatę niczym skrzydła nadnaturalnej istoty.

Kod, który przejął od Kade'a, przeszedł wszystkie testy. Teraz jego ogromna

maszyna, długo przygotowywana w oczekiwaniu na ten właśnie moment, zabrała się do działania. Centra danych na całym świecie obudziły się do życia. Mikrosatelity ruszyły wokół Ziemi na niskich orbitach. Programy się uaktywniły.

Shiva zamknął oczy, nie zmieniając pozycji, delektował się dotykiem słońca na skórze, wiatrem we włosach. Jego myśli pomknęły ku konstelacjom satelitów w górze, dalej ku myślom tysięcy, dziesiątków tysięcy, których przybywało w miarę, jak programy wyszukujące, stworzone przez jego ludzi, replikowały się i zarażały Nexusem każdy umysł, na jaki natrafiły.

Czuł ich. Czuł ich intelekt, potrzeby. Jego przeogromna maszyna komputerowa przetwarzała te dane, zbierała, grupowała, upraszczała do stanu, który mógł objąć umysłem. Był nimi wszystkimi. Oni byli nim.

Był bogiem, związanym z rosnącym zbiorem ludzkości. Był płonącym grotem nowej globalnej inteligencji, nowym superorganizmem.

I razem, krok po kroku, uratują świat.

75

Sanktuarium

Piątek, 2 listopada

Rangan przyjął wyciągniętą dłoń i stanął na drodze. Postawił Jose, a potem razem z tamtym mężczyzną wciągnęli resztę chłopców na błotnisty nasyp i do wiekowego vana.

- Siadaj z przodu - wrzasnął jego pomocnik. Rangan skinął głową, otworzył drzwi po stronie pasażera i wsiadł. Wolny!

Zatrasnął drzwi, a mężczyzna uczynił to samo po stronie kierowcy. Z tyłu chłopcy

trwali w stanie pełnego ekscytacji oszołomienia, paplali do siebie nieustannie, a ich umysły emanowały chaosem i niewiarą. Rangan przyjrzał się kierowcy. Po trzydziestce, ale niewiele. Ciemnowłosy. Przeciętnej budowy. Gładko ogolony. W płaszczu przeciwdeszczowym, dzinsach i traperach.

- Jestem Levi. - Tamten wyciągnął rękę.

- Rangan - odparł Shankari, ściskając podaną dłoń.

- Wiem - uśmiechnął się Levi i przekręcił kluczyk w staroświeckiej stacyjce, budząc do życia głośny silnik.

- Dziękuję - powiedział Rangan.

Levi tylko skinął głową i samochód potoczył się, uwożąc ich w noc.

- Dokąd jedziemy? - spytał Shankari.

- Na zachód, do kościoła episkopalnego Świętego Marka - usłyszał w odpowiedzi.

Rangan zmarszczył brwi.

- Myślałem, że kościoły nienawidzą Nexusa.

- Nie ten - zapewnił go Levi i posłał Ranganowi uśmiech. - Wiedziałbym. Jestem tam pastorem.

Dotarcie do pól Virginii i kościoła Świętego Marka zajęło im prawie trzy godziny. Był to niewielki kościółek na obrzeżu miasteczka o nazwie Madison. Levi wybierał same boczne drogi, unikając autostrady, gdzie mogły ich zobaczyć kamery. Przez całą drogę ścigała ich Zoe, sięgając coraz dalej w głąb kontynentu. W radiu mówili o zwalonych drzewach, zerwanych dachach, awariach zasilania, przewróconych samochodach, rannych i ofiarach śmiertelnych.

- Mieliśmy szczęście - powiedział Levi, gdy pędzili wśród dzikich podmuchów wichury. - Nie moglibyśmy was wyciągnąć bez tej burzy. Dzięki niej zabrakło personelu. Satelity nie widzą nas przez te chmury, a drony nie mogą latać z powodu wiatru. Zoe to dar od Pana, Ranganie. On ją zesłał, żebyśmy mogli wydostać ciebie i tych chłopców.

Rangan tylko mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi.

Holtzmann leżał na podłodze, twarzą w dół, z zamkniętymi oczami, udając nieprzytomnego. Głowa bolała od uderzenia, jakie wymierzył mu Rangan. Prawa ręka ścierpła już dawno temu, przygnieciona ciężarem ciała. Bolało biodro, wciąż nie do końca wyleczone. Nexus się zawiesił po porażeniu, nie odpowiadał na polecenia Holtzmann.

Leż nieruchomo, nakazał sobie. Tylko chwilę. Jeszcze tylko chwilę.

Ale przyszło mu leżeć jeszcze trzydzieści pięć minut, zanim usłyszał tupot nóg i podniesione głosy, zanim ktoś nim potrząsnął i przewrócił na plecy.

Zrobił, co mógł, by wyglądać na oszołomionego i zmieszanego. Strażnik w kółko powtarzał jedno pytanie:

- Co się stało?

Holtzmann jęknął, złapał się za głowę.

- Przesłuchiwałem Shankariego. Rozległ się alarm. I...

I nagle strażnik zaklął, zerwał się i wybiegł. Moment później rozległ się kolejny alarm, sygnał, którego Holtzmann nigdy dotąd nie słyszał.

- Uwaga, zamknięcie. Uwaga, zamknięcie. Ten obiekt został zamknięty. Nikt nie może opuścić obiektu ani wejść do niego - rozległ się komunikat.

Teraz Holtzmann mógł już tylko mieć nadzieję, że Shankari i dzieci są poza terenem kompleksu.

Trzymali go przez dwie godziny, nie jako więźnia, ale świadka. Pojawiło się więcej strażników, niektórzy byli przemoczeni, inni mieli suche ubrania. Lekarz zajrzał Holtzmannowi w oczy, szukając jakichś oznak wstrząsu, a potem uznał go za zdrowego.

W ciągu tych dwóch godzin jeden po drugim węzły Nexusa w mózgu Holtzmannu wracały do życia, aż w końcu system operacyjny się zrestartował. Holtzmann był ciekaw, czy odzyskał dostęp do wszystkich części mózgu, w tym do korzenia systemu plików. Nie, powiedział sam sobie. Lepiej nie sprawdzać. Lepiej nie wracać do tamtego. Nigdy więcej.

Podczas oczekiwania Holtzmann usłyszał fragmenty komunikatów radiowych. Do wszystkich jednostek i agencji. Lokalnej policji. FBI. Problemy związane z huraganem.

Robili, co mogli, by ponownie pojmać Shankarię i dzieci. A Zoe im w tym przeszkadzała.

Izolację odwołano około dwudziestej drugiej, ale Zoe szalała nadal, tym gwałtowniejsza, im bardziej wchodziła na ląd.

Krótko po tym Holtzmann przekonał ich, że odpowiedział już na wszystkie możliwe pytania. Jeden ze strażników odprowadził go do jego biura, bo pozbawiony identyfikatora nie mógł otwierać drzwi.

Holtzmann usiadł za biurkiem, podziękował i poczekał, aż zostanie sam.

A potem zabrał się do pracy.

Kiedy jechali, Levi informował Rangana o tym, co działo się na świecie. Był już listopad. A myślał, że jaki jest miesiąc? Kurwa, nie miał pojęcia. Mnóstwo rzeczy się wydarzyło. Upublicznienie Nexusa 5 przez Kade'a. Przyjęcie Nexusa przez naukowców, przedstawicieli zawodów związanych ze zdrowiem psychicznym, powiązanie z autyzmem. Zamachy FWP. Ataki za pomocą Nexusa. Narodziny podziemnej trasy.

Ranganowi ledwie się to mieściło w głowie. Świat był zupełnie innym miejscem.

Nexus 5 zmienił wszystko w sposób, jakiego Rangan nawet nie podejrzewał. Może Wats spodziewał się takiego konfliktu. Może Ilya. Oni zajmowali się polityką, a nie on czy Kade. Ci upolitycznieni zginęli. On i Kade byli ścigani.

Powinien skontaktować się z rodzicami, dać im znać, że żyje.

- Później - powiedział Levi. - Agencja Bezpieczeństwa na pewno ma twoich rodziców pod obserwacją. Później jakoś znajdziemy sposób, żeby ich powiadomić.

Rangan kiwnął głową w milczeniu. Nie miał innego wyjścia, jak tylko zaufać temu człowiekowi.

Levi wprowadził vana do garażu przy niewielkim kościółku. Rangan czuł, jak chłopcy wstrzymują oddech. Wszystko było takie nierealne.

Rangan wyskoczył z samochodu, otworzył boczne drzwi i zaczął wyciągać dzieciaki. Poczł obecność innych umysłów, odwrócił się i zobaczył trzy kobiety, wszystkie skromnie ubrane. Ich umysły stały ciepłe powitanie, a na twarzach miały równie ciepłe uśmiechy.

Bobby wyskoczył z samochodu i wtulił się w Rangana z całych sił. Rangan oddał mu uścisk. To było takie dziwne, że wszystkich tych chłopców zobaczył na własne oczy dopiero kilka godzin temu.

Levi wyszedł zza samochodu i przedstawił kobiety jako Laurę, Janet i Steph.

- To przyjaciółki - powiedział Ranganowi i chłopcom. Janet przykucnęła przed Tyrone'em i wyciągnęła do niego umysł i ramiona. Cłopiec nieśmiało pozwolił na fizyczne i mentalne dotknięcie i wkrótce lody były przełamane, a kobiety zostały zaakceptowane.

- Witaj na podziemnej trasie - powiedział Levi do Rangana.

Kobiety zabrały chłopców. Bobby nie chciał pójść, wciąż tulił się do Rangana, ale Rangan zapewnił go, że wszystko w porządku, że otaczają ich dobrzy ludzie. Czuł to. Dobro emanowało z umysłów Laury, Janet, Steph i nawet Leviego, choć on akurat nie miał Nexusa.

Bobby też to czuł, tym łatwiej było mu przyjąć osąd Rangana. Poluzował uścisk i Laura go zabrała.

Na zewnątrz burza szalała, wybijając na dachu kościoła jednostajne ra-ta-tat ciężkiego deszczu.

Levi zaprowadził Rangana do łazienki, podał mu wążek ubrań. Rangan ściągnął przemoczone ciuchy i przebrał się w bawełnianą koszulkę i dżinsy. Spodnie były za luźne, ale miały pasek. Rangan zaciągnął go mocno, zastanawiając się, komu zawdzięcza ten strój.

Niemal wyrócił się na zlew, targnięty falą nagłych emocji. Z piersi wyrwał mu się szloch. Dobroć tych ludzi dosłownie go przygniotła. Dzień wcześniej był pewien, że umrze w więzieniu, a teraz otrzymał nadzieję. Chłopcy też mieli nadzieję. Rangan szlochał, zanosił się płaczem, żałując, że Ilya nie żyła dość długo, by tego doczekać, że Wats nie doczekał, że nie wiedział, gdzie jest Kade ani jak mu pomóc.

Wziął się w garść, stanął prosto, zdusił płacz i ochlapał twarz wodą.

Jeśli z tego wyjdę... Będę pomagał ludziom. Spłacę ten dług komuś następnemu.

Levi czekał cierpliwie, aż Rangan opuści łazienkę. Pastor popatrzył na chłopaka życzliwie, uśmiechnął się i położył mu dłoń na ramieniu. Poprowadził schodami w dół, do piwnicy pod kościółkiem i potem do biura.

Rangan poczuł ją, zanim zobaczył. Poczuł ich, zanim zobaczył. Nie rozumiał tego, co wyczuwał, aż wreszcie Levi otworzył drzwi i odsunął się na bok. I wtedy ją zobaczył. Żonę Leviego. Abigail. Siedziała na obrotowym krześle biurowym. Ładna drobna blondynka w kwiecistej sukience. Może trzydziestoletnia. Uśmiechała się nieśmiało, trzymając dłonie na brzuchu.

Na ogromnym brzuchu ciężarnej.

Dni wcześniejsze

Piątek, 2 listopada

Rangan kuczał zdumiony u stóp Abigail, wyciągając ku niej dłonie.

- Mogę? - spytał.

Blondyneczka uśmiechnęła się do niego entuzjastycznie.

Rangan dotknął brzucha opuszkami palców. A jego umysł dotknął... czegoś cudownego. Czegoś takiego nie czuł jeszcze nigdy.

Dziecko było świadome, żywe. Poczulo dotknięcie myśli Rangana... ona, i odwzajemniła ten dotyk, umysłem oraz napierając od wewnątrz stopami na brzuch matki, by dotknąć też jego rąk. Jej świat był oceanem wrażeń, ciepłego zniewolenia, szumu krwi i bicia serca jej matki, nieustannej obecności umysłu matki.

Rangan czuł jej ciekawość, czuł jej myśli, badające go ostrożnie. Małeńki umysł był delikatny, nieskoordynowany. Badała Rangana myślami tak, jak kiedyś nowo narodzona córeczka jego kuzyna badała jego twarz małutkimi paluszkami, delikatnie, chaotycznie, próbując zrozumieć kształt, z jakim się zetknęła. To wspomnienie przywołało uśmiech, a ona to wychwyciła i zachichotała mentalnie na dotknięcie wspomnienia o małej Reinie.

To ty - starał się jej pokazać. Też będziesz taka.

W odpowiedzi dotknęła go fala zdumienia zmieszanego z zachwytem i mentalnego śmiechu.

Rangan podniósł wzrok na Abigail. Czuł jej radość, promienną, rozświetlającą pomieszczenie, obejmującą nienarodzoną córeczkę.

- Nie spotkała dotąd wielu mężczyzn - powiedziała Abigail. - Poza tatą.

Rangan spojrział przez ramię. Levi stał w kącie pokoju, uśmiechając się do nich wszystkich.

- Ale... - zaczął Rangan - ty nie...

- Nie mam Nexusa? - dokończył Levi.

Rangan skinął głową.

- Usuwać go i potem przyjmuję od nowa - wyjaśnił Levi. - Na pastora zwraca się zbyt wielką uwagę, bym mógł mieć go cały czas. Ranganie - kontynuował - jest coś, w czym mógłbyś nam pomóc.

- Wszystko, co tylko zechcecie.

- Pomagamy przemyścić dzieci z Nexusem i ich rodziców, przekazujemy ich tym, którzy mogą zabrać ich z kraju. Ale chcemy zrobić coś więcej, chcemy położyć kres tym prześladowaniom. A żeby to osiągnąć... musimy pokazać ludziom, co się dzieje.

- Chcemy nagrania tego, co widziałeś - dodała Abigail. - Tego, co przeszedłeś.

Rangan zamilkł. Tak wiele było rzeczy, które chciał zapomnieć. Tortury, leki, narkotyki, chwile, gdy myślał, że umrze. To, co widział we wspomnieniach chłopców...

Z trudem przełknął ślinę.

- Dobrze - powiedział suchymi wargami. - Pokażmy im.

Levi przyniósł kawę, Abigail przygotowała sprzęt. Urządzenie nagrywające mieściło się w niewielkiej czarnej skrzyneczce wielkości telefonu, którą podłączało się do komputera. Abigail zrobiła coś, by osłonić umysł dziecka, i Rangan przestał je wyczuwać.

Proces trwał godzinami.

Rangan pokazał im wszystko. Aresztowanie w trakcie imprezy na Simony Field. Szantaż. To, jak grożono mu więzieniem, podobnie jak jego przyjaciołom, jeśli nie będzie współpracował, jeśli nie oddadzą planów Nexusa 5, jeśli Kade nie pojedzie do Bangkoku szpiegować dla ERD. I później, po tym jak coś poszło nie tak na tej misji, jak oprawcy wpadli do jego mieszkania, wyważywszy drzwi, celując w niego z rozmaitej broni. Areszt i przesłuchania. To, jak tłumaczyli mu, że nie ma żadnych praw, że mogą go zabić i nikt się nie przejmie, nikt nie będzie wiedział. Wstrząsy elektryczne. Waterboarding. Mieszanie mu w głowie.

Dzień, w którym go złamali. Dzień, w którym się złamał i dał im, czego chcieli.

I wspomnienia chłopców. To, jak Bobby był świadkiem śmierci ojca. Jak Tima wyrwano z ramion matki. Jak Alfonso dostał pałką po twarzy, kiedy próbował gryźć. I więcej. Bicie. Eksperymenty. Ostatnia sesja Bobby'ego, kiedy próbowali go zmusić do usunięcia Nexusa.

I twarze. Każdą twarz, jaką widział podczas aresztowania. Każdą twarz, którą pokazali mu chłopcy, tego, który torturował Bobby'ego, tych, którzy bili chłopców, kluli igłami.

Rangan musiał przerywać raz po raz, bo nie mógł opanować emocji, łzy płynęły mu po policzkach, ciało dygotało targane gniewem albo wspomnieniem przerażenia. Za każdym razem Levi i Abigail proponowali, by skończyć. Za każdym razem odmawiał. Ludzie powinni o tym wiedzieć. Musieli o tym wiedzieć.

Kiedy skończył, przytulili go oboje. Rangan trzymał się ich, jakby od tego zależało jego życie, obejmowali się przez całą wieczność.

A potem poczuł się lżejszy. Abigail poprowadziła go do innego pokoju, odsunęła dywan, pod którym kryły się drzwi. Otworzyła je i sprowadziła go na dół, przez korytarz, do ciemnego pokoju. A tam byli chłopcy, spali już na polowych łóżeczkach. Abigail pokazała mu wolne łóżko, przytuliła raz jeszcze i wyszła.

Rangan leżał zdumiony. Po wszystkim. Naprawdę było po wszystkim. Znow był

wolny.

Śpiące umysły chłopców otoczyły go, otuliły nadzieją, spokojem, jakiego nie czuł od miesięcy.

Rangan zamknął oczy, odetchnął nadzieją i spokojnie zasnął.

W pierwszej kolejności Holtzmann musiał wysłać do podziemnej linii resztę plików, które im obiecał. Począł, aż strażnik wyjdzie. Zamknął oczy, uruchomił panel kontrolny i zsynchronizował Nexusa z telefonem, żeby podłączyć się do sieci.

Jakość sygnału była fatalna. Zoe niszczyła wieże sieci komórkowej na całym obszarze Waszyngtonu. Telefon Holtzmann miał zaledwie jedną kreskę zasięgu.

Wpisał adres serwisu anonimizującego, czekał, czekał i czekał, aż wreszcie strona się załadowała. Stamtąd zalogował się na forum Nexusa, znów czekał, żeby się załadowało, czekał, żeby się zalogować, a potem, żeby załadowała się jego skrzynka wiadomości przychodzących.

Otworzył wiadomość ze skrzynki, kliknął „odpowiedz”, załączył załadowany już plik i wcisnął „wyślij”.

Nic się nie wydarzyło. Przez moment obawiał się, że stracił połączenie, ale w końcu ekran się przeładował, w miarę jak wysyłały się kolejne pakiety.

Holtzmann zastanowił się przez chwilę, a potem napisał kolejną wiadomość na ten adres podziemnej linii, który znał, tym razem wysłał lokalizację innych grup dzieci z Nexusem. Laboratoriów w Wirginii, w Teksasie, w Kalifornii.

„Wyślij”.

Czekał i czekał na potwierdzenie, że ta króciutka wiadomość poszła. Połączenie zostało zerwane na moment, ale w końcu dostał komunikat potwierdzający.

Uśmiechnął się ponuro, czuł satysfakcję płynącą z dokonania słusznego wyboru, mógł zająć się drugim zadaniem. Danymi z folii Warrena Beckera.

Nośnik pamięci zawierał dziesiątki plików. Holtzmann przeglądał je, starając się zrozumieć, na co w ogóle patrzy. Aż jeden przyciągnął jego uwagę.

Dziennik.

Uznał, że to dobry plik na początek.

Otworzył go i zaczął szukać informacji o FWP, czegokolwiek, co mogłoby rozproszyc lub potwierdzić jego obawy.

Dziennik był ogromny, zawierał wpisy z każdego niemal dnia od piętnastu lat. Holtzmann przeglądał je godzinami. Zoe wyła i bębniła za oknem, a on kilka razy spojrzął w szybę, zastanawiając się, czy nie powinien udać się w bezpieczniejsze miejsce, takie bez okien.

Ale nie. To przecież były zbrojone szyby, wzmocnione warstwami węglowej siatki. Zatrzymywały naprawdę potężne pociski. Powinny chyba wytrzymać burzę?

Został, a Zoe wściekała się kilka stóp od miejsca, w którym pracował. Kawałek po kawałku wyłowił w końcu wpisy sprzed ośmiu lat, z roku 2032, i ułożył je w historię. Historię, która go przeraziła.

9 marca. Dyskusja nad utworzeniem czerwonej komórki dla działań pod obcą flagą. Zły pomysł.

18 marca. Ponownie dyskusja o działaniach pod obcą flagą celem ujęcia potencjalnych terrorystów. CP odrzuca pomysł.

12 czerwca. Ponownie działania pod obcą flagą. Podwójny cel: ująć terrorystów, stworzyć poparcie społeczne dla misji ERD.

16 czerwca. Wdrażanie pomysłu obcej flagi. Nazwa FWP. Będzie brać odpowiedzialność za wybrane incydenty, rozpoczynać spiski, które nie dojdą do skutku.

23 sierpnia. Pomysł obcej flagi zawieszony, oczekuje na koniec wyborów prez.

18 listopada. Działania pod obcą flagą w toku, agent prowadzący MB. Kryptonim zara. Zobacz <plik>. Protestowałem, na ile to było bezpieczne, może nawet bardziej. Czas zapomnieć i siedzieć cicho.

Holtzmann gapił się na kawałki układanki, które właśnie dopasował. Otworzył zalinkowany plik. I proszę. Tajna notatka ze szczegółami stworzenia FWP. Tajna operacja, która będzie szła na konto terrorystów, przyciągnie potencjalnych postludzkiich zamachowców, wyśle ich na misje, które z założenia zakończą się niepowodzeniem, pozwoli FBI i ERD udaremniać te zamachy... Inne z kolei misje zakończą się kontrolowanym „sukcesem” bez ofiar.

Działania pod obcą flagą, w rzeczy samej. Pozwolą ująć postludzkiich terrorystów. I utrzymać społeczeństwo w strachu.

Ale co się stało?

Przejrzał wpisy raz jeszcze i jeden przyciągnął jego wzrok.

Działania pod obcą flagą w toku, agent prowadzący MB. Kryptonim zara.

MB.

Maximilian Barnes.

Doradca do spraw polityki specjalnej.

Teraz pełniący obowiązki dyrektora ERD.

Serce Holtzmanna waliło jak młotem. To było zbyt wiele. Zbyt wiele. Miał pewne

obawy, ale to... TO?

Musiał dostarczyć te pliki właściwym ludziom. Anonimowo. Nie z tego komputera.

Spróbował przekopiować materiał na komórkę i zorientował się, że jednostka centralna nie widzi jego telefonu.

Poczuł lodowate palce strachu na karku. Spróbował otworzyć jakąś stronę w sieci.

Awaria sieci.

O nie. O nie! Starał się zachować spokój, ale miał złe przeczucia.

Otworzył teczkę, rozłączył czytnik folii własnej roboty i schował go z folią wciąż w środku. Sięgnął po laskę i pokuśtykał do drzwi. Miał dane. Mógł skończyć pracę w domu. Gdziekolwiek. Byle nie tutaj.

Złapał za klamkę.

Zamknięte.

Co? Nie zamykał przecież.

Sięgnął do kieszeni po identyfikator, ale oczywiście nic nie znalazł. Rangan Shankari go miał.

Otworzył awaryjny panel uwierzytelniający, przyłożył kciuk, popatrzył w skaner siatkówki.

„Odmowa dostępu” - pojawiło się na malutkim wyświetlaczu.

To jakiś błąd, powiedział sobie. Usterka spowodowana wcześniejszym zamknięciem budynku. Albo burzą.

Zachowaj spokój. Zachowaj spokój.

Wrócił do biurka.

Podniósł słuchawkę aparatu zabezpieczonej linii wewnętrznej. Wezwie strażnika i każe mu otworzyć.

Nic. Linia była głucha.

Znalazł się w pułapce.

77

Koniec drogi

Sobota, 3 listopada

Rangana obudziły zaniepokojone umysły. Za ścianą jacyś ludzie dyskutowali cicho i poważnie. Coś było nie tak. Burza na zewnątrz zdawała się jeszcze bardziej wściekła niż dotąd. Szalejący wir powietrza i bijąca w nich woda próbowały powalić wszystko, co stało im na drodze.

Rangan zwlókł się z łóżka i wyszedł na korytarz. Znalazł tam Leviego, Abigail, sprawiającą wrażenie wyczerpanej, i osobnika, którego nie znał - chłopaka około szesnastu lat, przemoczonego do suchej nitki. Długie czarne włosy lepiły mu się do twarzy, a woda kapła z nich na kamienną posadzkę.

- Co się dzieje? - spytał Rangan.

Levi spojrzał na niego zmartwiony.

- Policja jest niedaleko - powiedział Levi. - Chodzą od drzwi do drzwi. Jordan mówi,

że byli u niego w domu. Mają zdjęcie furgonetki. - Pokiwał głową. - Musieliśmy przejechać obok kamery, o której nie wiedziałem.

- Przybiegłem tutaj - powiedział chłopak. - Telefony nie działają. Nasz dom jest o pół mili stąd.

- Musimy coś zrobić z furgonetką. Pozbyć się jej - odezwała się Abigail.

Levi pokiwał głową.

- Pójdę.

- Czekaj! - wtrącił Rangan. - Jeśli w ciężarówce złapią ciebie, to doprowadzi ich tutaj.

Wszyscy patrzyli na niego. Ludzie, którzy go ocalili, chłopak, który mimo huraganu biegł pół mili, aby ich ostrzec.

- Ja pójdę - powiedział.

- Furgonetka jest niezarejestrowana - mówił Levi, prowadząc ich do garażu. - Ze złomowiska. Po prostu odjedź kilka mil, porzuć ją i wracaj.

- A co odciskami? - spytał Jordan. - Z DNA?

Spojrzeni na niego.

- Jak w filmach! - mówił Jordan. - Musicie ją wyczyścić. Zatopić w rzece, podpalić albo coś podobnego.

Levi rzucił pod nosem jakieś bardzo niepastorskie przekleństwo.

Spuścili paliwo do kanistra, a Levi wręczył Ranganowi pudełko z flarami.

- Rozlej paliwo wewnątrz, otwórz drzwi, odsuń się i wrzuć flarę do środka.

Rozumiesz? - upewnił się.

Rangan pokiwał głową.

- Powiedźcie chłopakom... - Urwał.

Abigail dotknęła go jego ręki.

- Oni wiedzą.

- Po prostu uważaj - powiedział Levi. - Jeśli dasz radę, wracaj tutaj, jeśli nie, to dwie mile na południe jest farma Millera. Ukryją cię, jeśli powołasz się na mnie.

Potem Levi objął Rangana i go uściśnął. Ten odwzajemnił uścisk. Później przyszła kolej na Abigail. Przytulili się mocno i poczuł jej umysł, a także umysł dziecka. Poczuł, jak uściśkało go mentalnie i jak do oczu znów napływają mu łzy. Odsunął się i nadszedł czas, by ruszać.

- Dziękuję wam - powiedział. - Wkrótce wrócę.

Zoe spróbowała go zabić, kiedy tylko opuścił kościół.

Wichura była niczym potwór, który kołysał samochodem na boki. Krople deszczu w jednej chwili zalały przednią szybę kurtyną wody, kompletnie pokonując wycieraczki. Rangan wykręcił przestarzałą furgonetkę z podjazdu, próbując dojrzeć, dokąd jedzie. Ruszył do przodu, skręcił na ulicę i skierował się na południe, oddalając się od domu Jordana. Nagle rozległ się potworny trzask. Spojrzał w górę akurat, żeby zauważyć walące się na niego drzewo. Skręcił mocno kierownicę i wcisnął hamulec. Czuł, jak opony ślizgają się po mokrej nawierzchni. Coś rąbnęło w dach, ale zdołał przejechać, wciąż w jednym kawałku.

Deszcz walił w karoserię furgonetki jak karabin maszynowy. Ra-ta-tat, ra-ta-tat. Thukł i bębnił. Wiatr szarpał pojazdem, starając się go wywrócić. Rangan walczył z kierownicą, próbował jechać prosto. Miał problemy, żeby dostrzec cokolwiek, co działo się za przednią szybą.

To był chaos, całkowity chaos. Ulicami płynęła woda, przez którą się przebijał. Powyrywane z korzeniami drzewa. Uszkodzone linie wysokiego napięcia, zwalone i strzelające iskrami, poruszane podmuchami wiatru. W powietrzu fruwały szczątki.

Skrzywił się, kiedy coś ciężkiego i ciemnego z głuchym odgłosem walnęło w pokrytą pajęczynami pęknięć przednią szybę, a potem odbiło się i kontynuowało swój lot. Na drodze leżały powywracane samochody. Minął budynek, który wyglądał nienaturalnie, dopóki nie zdał sobie sprawy, że to była stacja benzynowa, przynajmniej dopóki burza nie wyrwała pomp i nie zerwała dachu.

Z powrotem skierował uwagę na drogę, próbował zobaczyć cokolwiek poprzez deszcz i popękana szybę i trzymać się środka czegoś, co bardzo szybko stawało się rwącą rzeką. Coś ciemnego pędziło przez ulicę i rozchłapywało wodę, i zbliżało się do Rangana błyskawicznie. Zakręcił kierownicą. Przednia szyba eksplodowała gradem odłamków. Odruchowo uniosł ręce i zamknął oczy, a latające dookoła odpryski kaleczyły jego przedramiona, brwi, ramiona i klatkę piersiową. Furgonetka obróciła się i wpadła w poślizg. Rangan wcisnął hamulec i nie puszczał do czasu, aż pojazd przestał się poruszać. Spojrzał w bok i zobaczył metalowy śmietnik wbity do połowy w siedzenie pasażera.

Front burzy przechodził właśnie przed samą furgonetką, chłostając deszczem i szarpiącym wiatrem. Ledwo mógł otworzyć oczy. Opuścił nisko głowę, jedną dłońią osłonił twarz, pozostawiając tylko cienką szparę między palcami, i prowadził samochód drugą ręką.

Pokonał w ten sposób kolejną milę w szalejącej burzy. Minął budynki stojące przy krótkiej głównej ulicy, a także to, co zostało z kolejnej stacji benzynowej na obrzeżach miasta. Dojechał do pól. Poszukiwał jakiegoś schronienia, zagajnika, wiejskiego domu, czegokolwiek.

I wtedy przed sobą zobaczył radiowóz. Jechał w jego stronę. Mimo burzy widział błyskające światła. Zbliżyły się i minęły go.

Rangan spojrział w lusterko wsteczne. Widział w nim wystarczająco wiele, żeby dostrzec zawracające światła.

Wcisnął gaz, wyprostował się na siedzeniu i uniósł ramię, żeby chronić twarz przed burzą. Rzucił okiem na lusterko. Światła były bliżej, tuż za nim. Rozległ się huk głośniejszy niż burza, a potem kolejny. Furgonetką zarzuciło, jakby coś w nią uderzyło. Walczył, żeby utrzymać samochód na drodze. Wtedy zabrzmiał kolejny huk i przeszył go ostry ból.

Nagle przez deszcz zauważył pojawiającą się jakby znikąd boczną drogę. Skręcił mocno kierownicę. Kiedy to robił, deszcz boleśnie chłostał mu twarz, a siła odśrodkowa przyparła go do drzwi, aż wnętrzności skręciły się z bólu. Wtedy koła wpadły w poślizg, furgonetka zaczęła się obracać i świat wokół niego zawirował. Widział, jak z prawej do lewej mijają go migające światła, po czym ponownie znikają. Koła zsunęły się z drogi, furgonetka przeleciała nad rowem, koziółkując, a potężna siła naparła na Rangana. Świat zawirował, a kiedy się zatrzymał, Rangan wisiał do góry nogami, przytrzymywany na siedzeniu przez pas bezpieczeństwa. Zwolnił blokadę i boleśnie upadł na to, co teraz było podłogą furgonetki. Jego wnętrzności płonęły z bólu. Czuł zapach benzyny. Prawdopodobnie wypadek zerwał wieczko kanistra albo przedziurawiła go kula. Nieopodal leżało rozsypane pudełko z flarami.

Rangan chwycił jedną, a potem drugą. Przewycięzając ból i protesty ciała, zmusił się, aby wstać, i wepchnął flary do kieszeni. Sięgnął do drzwi i spróbował je otworzyć, ale nie potrafił odgadnąć, jak to zrobić. Przez okno mógł dostrzec światła. Te błyskające i parę białych wycelowanych prosto w niego. Zbliżały się. Rzucił się w tył, upadł i ponownie się podniósł. Drugie drzwi. Zablokowane przez kosz na śmieci. Przecisnął się na tył furgonetki, złapał za klamkę przy szerokich bocznych drzwiach i przekręcił. Drzwi uchyliły się na cał, a wtedy wiatr wyrwał je z jego rąk i otworzył na całą szerokość. Rangan spadł na ziemię. Próbował wstać, ale nie mógł. Ześlizgnął się w dół błotnistej wału. Wichura wciskała mu błoto w twarz, w usta i oczy.

Obrócił się i rozejrzał. Furgonetka znajdowała się za nim i nad nim, oddalona o zaledwie dziesięć kroków. W tyle widział światła i może nawet ktoś coś krzyczał, ale wszystko zagłuszał ryk burzy.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął flarę. Opary benzyny... kiedy dotknie ich płomień, wybuchną jak dynamit. Czy był dość daleko?

Kurwa, gdyby tylko wiedział.

Rangan szarpnął za zawleczkę flary i ujrzał, jak płomień budzi się do życia. Wziął zamach, usłyszał krzyki i cisnął flarę w otwarte drzwi furgonetki.

Przez chwilę flara zawisła w powietrzu. W połowie leniwego obrotu jeden z końców sypnął iskrami i zapłonął białym płomieniem niczym silnik odrzutowca albo punkt dziennego światła w potopie ciemności. Potem płomień sięgnął oparów benzyny wydobywających się z furgonetki. Cały świat Rangana eksplodował i wszystko skryła ciemność.

78

Ujawniona prawda

Sobota, 3 listopada

Holtzmann ciężko opadł na krzesło. Drzwi zamknięte z zewnątrz. Odcięta sieć. Głuchy telefon.

Wyciągnął własny telefon. Wciąż miał słaby zasięg. Mógł go użyć. Ale do kogo miał niby zadzwonić? Kto mógłby mu teraz pomóc?

Popatrzył na ekran komputera.

Nie. Nie - kto mógłby pomóc jemu. Komu on może pomóc? Wciąż miał dane.

Wybrał najbardziej obciążające wpisy z dziennika i notatkę dotyczącą powołania ERD, połączył, a potem strona po stronie wyświetlił na ekranie komputera i wykorzystał Nexusa do zrobienia zdjęć każdej. Musiał wysłać to w świat.

Połączył umysł z siecią przy użyciu telefonu. Zawieszał się, dojmująco powolny. Spróbował połączyć się z serwisem anonimującym i czekał, czekał, wreszcie się udało.

Stamtąd połączył się ze skrzynką odbiorczą na forum Nexusa, przeszedł do wiadomości, które wymienił z kimś z podziemnej linii. Oni tego potrzebowali.

Połączenie było fatalne. Wciąż musiał odświeżać, ale wreszcie ruszyło. Zaczął łądować plik z umysłu do nowej wiadomości. Nie miał pojęcia, ile to będzie trwało. Przejrzał dostępne opcje, odhaczył „użyj kompresji przedprzesyłowej”, „automatyczny upload po nieudanym poprzednim”, „wyślij po zakończeniu”.

Odwrócił się do komputera, żeby pokopać głębiej, dowiedzieć się więcej.

I wtedy kliknął zamek w drzwiach biura i do środka wszedł Maximilian Barnes.

Holtzmann patrzył na Barnes'a z otwartymi ustami. Barnes natomiast wyglądał na całkowicie nieporuszonego, w swoim czarnym garniturze, każdy kosmyk czarnych włosów był na miejscu, a w oczach widniało coś na kształt błysku rozbawienia.

- Martinie - powiedział.

Blefuj! Blefuj!

- Dyrektorze Barnes! - odpowiedział Holtzmann. - Tak się cieszę, że pan tu przyszedł. Shankari ukradł mój identyfikator. - Zaśmiał się z zakłopotaniem. - Utknąłem tutaj.

Barnes uśmiechnął się, zamknął za sobą drzwi i usiadł po przeciwnej stronie biurka.

Holtzmann musiał grać dalej. Da radę. Wygada sobie wyjście.

Potrząsnął głową ze skruchą.

- To było głupie z mojej strony. Złapali go już? Wiedzą, żeby brać go żywcem, tak?

Barnes uśmiechnął się szerzej.

- Nie przyszedłem tu w sprawie Shankariego, Martinie.

Holtzmann uniósł brwi.

- Chodzi o dzieci? Nie zaszły zbyt daleko. - Machnął dłonią w stronę okna i wyjącej za nim burzy.

Barnes się zaśmiał.

- Otworzyłeś niewłaściwy plik.

Holtzmann poczuł, jak lodowaty strach chwyta go w swoje szpony. On wie!

A potem pomyślał: nie wyjdę stąd żywy.

Zamknął oczy, ukrył twarz w dłoniach.

[nagrywanie - video - audio| mailto: lisa.brandt@harvard.edu - automatyczne buforowanie - automatyczne ponawianie]

Otworzył oczy i ponownie popatrzył na Barnes'a. W jego polu widzenia pojawiły się ostrzeżenia o słabej jakości połączenia i niskim transferze.

[Słaba przepustowość - upload opóźniony]

[Słaba przepustowość - upload opóźniony]

Zignorował je.

- Tutaj - powiedział, podnosząc z podłogi swoją teczkę. - Pliki, które zostawił Warren Becker, są tutaj. - Położył aktówkę na biurku i pchnął w stronę Barnes'a.

Barnes wziął ją i postawił na podłodze obok siebie.

- Becker, co? - Wydawał się rozbawiony. - Straszy nas zza grobu.

[Słaba przepustowość - upload opóźniony]

- Do którego sam go położyłeś - zaryzykował Holtzmann.

Barnes spoważniał.

- Sądzę, że już czas, byś do niego dołączył, Martinie.

Sięgnął do kieszeni i Holtzmann zamarł pewny, że za chwilę spojrzy w lufę pistoletu. Lecz Barnes wyciągnął pigułkę. Małą. Zieloną. Położył ją na blacie biurka między nimi i wtedy Holtzmann po raz pierwszy zauważył delikatne lśnienie wokół dłoni zwierzcznika. Monowarstwowe rękawiczki. Nie zostawi najmniejszego śladu.

[Słaba przepustowość - upload opóźniony]

- Prezydent ceni sobie twoją lojalność - mówił Barnes. - Jesteś prawdziwym bohaterem amerykańskim. Zadbamy o twoją żonę. Twój chłopcy są na studiach, tak? W Europie? Będą mieli świetlaną przyszłość.

Holtzmann patrzył na tabletkę. Jego pole widzenia zwężało się, aż w końcu pokój, Barnes, wszystko wokół stało się nieistotne, niewyraźne, pozostała tylko pigułka, ogromna i złowroga.

Koniec drogi, pomyślał Holtzmann. Koniec życia pełnego kompromisów. Powiniennem spełnić swoje marzenia, choć jedno. Powiniennem trzymać się tego, w co wierzyłem.

[Słaba przepustowość - upload opóźniony]

Znów popatrzył na Barnesa.

- Prezydent o tym w ogóle wie? - spytał.

Barnes wzruszył ramionami.

- Nie ma potrzeby zawracać mu głowy szczegółami.

- To ty stworzyłeś FWP - powiedział Holtzmann. - A o tym wie? Że im przewodzysz? Ludziom, którzy do niego strzelali? I zabili ludzi, których znał?

Barnes zacisnął szczęki.

- Połknij pigułkę, Martinie.

- Misje bez ofiar - nie przestawał Holtzmann. - Czytałem pliki. Co stało się trzy miesiące temu? Co stało się w Chicago?

Mięsień drgnął w twarzy Barnesa. Dyrektor pochylił się i jednym palcem przesunął tabletkę w stronę Martina.

- Wymknęło ci się to spod kontroli, prawda? - nie ustępował Holtzmann. - Fikcja, którą stworzyłeś, zmieniła się w rzeczywistość. Twoja udomowiona grupka terrorystów teraz odgryzła ci rękę, co?

Barnes patrzył na niego zimno, a potem pochylił się jeszcze bardziej.

- Weź tą pierdoloną pigułkę albo ci ją wepchnę do gardła.

[Słaba przepustowość - upload opóźniony]

Holtzmann odepchnął krzesło, wsparł się na lasce i cofał, póki plecami nie dotknął okna. Czuł, jak deszcz wali w szybę, nieustający werbel miotanych wiatrem kropel wprawił szklaną powierzchnię w drżenie.

Holtzmann zamknął oczy, żeby sprawdzić przepustowość. Tu zasięg był o kreskę lepszy.

Otworzył oczy i zobaczył tuż przed sobą Barnes'a. Stał nad nim, wyższy o pół głowy, trzymał zieloną pigułkę między kciukiem a palcem wskazującym.

Holtzmann wycofał się do kąta, jak najdalej od prześladowcy, jak najdalej od śmierci. Ale Barnes szedł za nim, jego oczy wpatrywały się w źrenice Holtzmann'a. Holtzmann zamknął oczy, już nie był dzielny, już tego nie chciał, nie chciał widzieć własnego końca.

[Upload 1: zakończony - wiadomość wysłana]

[Upload 2: strumieniowanie... 120-sekundowe opóźnienie transmisji]

Holtzmann rozchylił powieki.

Tak. Tak.

Barnes sięgnął w jego stronę i Martin cofnął się jeszcze bardziej, jeszcze głębiej w kąt.

Barnes podążył za nim. Holtzmann zamachnął się laską, celując w głowę tamtego.

Barnes złapał za laskę, nim ta sięgnęła celu, na jego twarzy malowała się irytacja. Wyrwał przedmiot z dłoni Holtzmann'a i odrzucił.

[Upload 2: strumieniowanie... 100-sekundowe opóźnienie transmisji]

- Właśnie tak zabiłeś Warrena? - naciskał Holtzmann. - Tak?

- Becker zrobił, co mu kazano - odparł Barnes i nagle lewą dłonią złapał za szczękę Holtzmann'a, ścisnął staw żuchwy i zmusił go do otwarcia ust.

Holtzmann krzyknął, szarpiąc się ile sił, kopnął napastnika, walił rękami po głowie, ale Barnes był nieludzko silny!

Holtzmann poczuł gorzki smak na języku, gdy Barnes zgniótł pigułkę palcami. Chciał ją wypluć, ale usta miał już zamknięte nieprawdopodobnie mocnymi dłońmi Barnes'a.

Nie! Walczył, nie chciał przelknąć. Wczepił się w przedramię Barnes'a, z całej siły próbując oderwać go od siebie.

[Upload 2: strumieniowanie... 80-sekundowe opóźnienie transmisji]

Holtzmann czuł, jak proszek się rozpuszcza, zmienia w pianę. Pierwsze krople czegoś ohydnie gorzkiego płynęły mu do gardła.

Nie! Boże, nie!

Patrzył na Barnes'a dzikim wzrokiem i uświadomił sobie, że ten przygląda mu się uważnie, na twarzy ma wyraz ponurej satysfakcji, w oczach zapal, a na wargach delikatny uśmiech. Potwór. Ten człowiek był potworem.

Holtzmann czuł, jak do gardła sływa mu jeszcze więcej gorzkiej cieczy.

Przestał się szarpać. Poddał się. Było już za późno.

Wtedy Barnes go puścił i Holtzmann zwał się bezwładnie na podłogę.

[Upload 2: strumieniowanie... 60-sekundowe opóźnienie transmisji]

Holtzmann chciał splunąć, ale nie miał już nic w ustach, ot, nieco zieleni w ślinie. Barnes się roześmiał.

I wtedy Holtzmann wycofał się w głąb umysłu. Kiedy miał już odpowiednią przepustowość, nałożył się na obecne połączenie, odpalił ostatnią wiadomość do swojej żony.

[Kocham cię, Anne. Zawsze cię kochałem. Proszę, wybacz mi].

A potem otworzył oczy i spojrzał na Barnes'a.

- Dlaczego? - spytał. - Po co to wszystko?

Barnes przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

- Amerykanie zbyt szybko zapominają - odparł wreszcie. - Nasze życie jest zbyt łatwe. Strach to jedyna droga.

[Upload 2: strumieniowanie... 40-sekundowe opóźnienie transmisji]

- Ale to kłamstwo. - Holtzmann pokręcił głową. Czuł już działanie trucizny, czuł ból w piersi, drżenie rąk.

- Nie kłamstwo, a czujność. To cena wolności.

Ból przeszył pierś. Martin zachłysnął się powietrzem, łapiąc się za serce. Dygotał cały.

- Ludzie zasługują, by wiedzieć... - wykrztusił. - FWP to kłamstwo... Ty je stworzyłeś...

Barnes przyglądał mu się zimno.

[Upload 2: strumieniowanie... 20-sekundowe opóźnienie transmisji]

I wtedy przyszedł prawdziwy ból, przeszył całe ciało niczym pal. Martinem targnął spazm, nieszczęśnik wygiął się w łuk. Gigant złapał serce Holtzmann'a i powoli zgniatał je w pięści. Cierpienie zalało Holtzmann'a wszechogarniającą falą, popłynęło od piersi, wypełniło każdy centymetr ciała. Zdławiło krzyk, odebrało dech, poraziło przeponę. Kończyny podrygiwały, targane skurczami. Wzrok tracił ostrość. Świat zaczął blednąć, gdy krew przestała dopływać do mózgu.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczył Martin Holtzmann, była niewyraźna postać stojącego nad nim Maximiliana Barnesa, oświetlona blaskiem błyskawicy, i nałożony na nią komunikat.

[Upload 2 aktualny - zbuforowane audio i video przesłane]

I Martin Holtzmann się uśmiechnął. Mimo bólu uśmiechnął się szeroko do Barnes'a. Szczyrzył dziko zęby, gdy zabrała go śmierć.

79

Preludium do walki

Sobota, 3 listopada

Breece siedział w boksie w niewielkiej restauracji na ulicy K. Ubrany był jak przeciętny biznesmen, zmienił kolor włosów i oczu, dodał sobie czterdzieści funtów wagi, tymczasowe protezy zmodyfikowały kształt jego twarzy. Na ekranie tabletu obserwował, jak ludzie napływali do Westwood Baptist. Ochrona sprawdzała przybywających, szukając broni, bomb, Nexusa.

W kościele Miranda Shepherd zajęła już miejsce u boku męża, zaledwie kilka jardów od podium, gdzie miał niedługo wygłosić mowę zachęcającą Teksaszczyków, by wybrali Daniela Chandlera, prawdziwego sługę bożego, na swego gubernatora.

Mowa będzie transmitowana milionom. I będzie miała bardziej bombowe zakończenie, niż publika mogłaby podejrzewać.

Breece uśmiechnął się do siebie.

Dziewięćdziesiąt dwa.

Niemal czas na przedstawienie.

Kade patrzył na morze i ciemniejące niebo. Słońce właśnie zanurzyło się w falach bezkresnego oceanu.

Czy Shiva Prasad już infiltrował umysły? Czy już je sobie podporządkowywał?

Przetarłeś mu drogę - szepnęła Ilya w jego myślach.

- Tak - szepnął Kade. - Przetarłem.

Sprawdził, która godzina. Za ponad godzinę FWP znów użyje Nexusa, by zabijać. Zginą setki ludzi. Znalezienie winnych przyjdzie jeszcze łatwiej. A potem kara i odwet. Jeszcze więcej terroru.

Su-Yong Shu to przewidziała. Wojnę między ludźmi i postludźmi. To był jej początek. I nie mógł zrobić nic, by temu zapobiec.

Nakamura, Sam i Feng raz jeszcze powtórzyli plan. Tu - pokoje Lane'a. Tu - drzwi, którymi wchodziły i wychodziły dzieci, skrzydło, gdzie mieszkały. Tu - pojazdy przy domu. Tu - lotnisko, hangar, samolot, który mogła pilotować Sam, który mógł zabrać ją i dzieci na Andamany pod okupacją indyjską.

Tu, tu i tu - cele. Systemy komunikacyjne. Kamery ochrony. Radar. Wyrzutnie pocisków. Posterunki straży. Patrole.

Powtórzyli wszystko jeszcze raz i jeszcze raz. Czas ruszać.

Popłynęli małym pontonem. Nakamura wydał polecenie i łódź zanurzyła się bezszelestnie. Na wyświetlaczu siatkówki zobaczył aktualizację kolejnych etapów ich misji.

Sam i Feng siedzieli po drugiej stronie, naprzeciwko niego. Wszyscy nosili kamuflaż najnowszej generacji, ich systemy bojowe połączone zostały przez laser IR krótkiego zasięgu. W goglach Nakamury stanowili półprzezroczyste, zielone kontury. Patrzył na Sam i coś ścisnęło go w piersi.

Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Sam, pomyślał. Kiedyś.

Sam obserwowała horyzont.

W goglach widziała kamery domu na szczycie klifu, zakreślone czerwonymi kółkami. Takimi samymi kółkami zaznaczona była obsada posterunku i żołnierze z patroli.

Gdy zbliżali się do posiadłości, radar omiół ich dwukrotnie. Wyświetlacz trybu bojowego w goglach zawiadomił Sam o tym, zidentyfikował źródło i oznaczył wektory ostrzału, który je zneutralizuje.

Zarówno dom, jak i klif widziała wyraźniej, za pomocą subtelnie ulepszonej technologii 3D. Gdyby chciała, mogłaby zrobić zbliżenie, patrzeć przez ściany albo widzieć schematy opracowane na podstawie materiałów z satelity i dronów. Członkowie jej drużyny byli strzałkami na granicy pola jej widzenia, odległość niewielka, a status w obu przypadkach zielony.

Boże, jak mi brakowało technologii, pomyślała.

Feng przerwał te rozmyślenia.

Ufasz mu? - wysłał.

Sam się nie odwróciła, nie spojrzała na Nakamurę, nie pokazała w żaden sposób, że Feng się do niej odezwał.

Nie odda Kade'a CIA? - pytał dalej Chińczyk.

Sam się zawahała. Ufam Kevinowi? Naprawdę?

I w tym samym momencie się zawstydziała, zawstydziała się tego braku zaufania do człowieka, który dla niej wszedł do płonącego budynku, który zebrał ją z podłogi, który wyskoczył z nią z trzeciego piętra, który ją wychował, w tym samym stopniu co jej przybrana rodzina.

Tak - wysłała Fengowi czystą, jasną odpowiedź. Ufam mu.

Wylądowali na wąskim paśmie kamieni u podstawy klifu, przy odłamkach skał, które mogły ich zasłonić przed ewentualnymi obserwatorami z posiadłości.

Sam poruszyła lewym ramieniem. Wciąż było sztywne, ale jej postludzkie geny wyleczyły większość tego, co zniszczył pocisk tydzień wcześniej. Rozciągnęła się i zaczęła wspinać, a Feng i Nakamura za nią.

Klif był granitowy, pionowy, ale pełno było w nim pęknięć i szczelin. Gogle zaznaczały wszystkie te miejsca na zielono, każdy zrąb, każdą nierówność, rysowały ścieżkę w górę, delikatnie podświetlając miejsca na ręce i stopy tak, by Sam pozostała poza zasięgiem kamer i wzroku strażników. Położyła dłoń na ścianie, a gekonowe pokrycie rękawiczek natychmiast dostosowało się do powierzchni. Zaczęła się wspinać, a siła i umiejętności pozwalały jej błyskawicznie pokonywać ścianę wysoką na trzysta stóp. A kameleonowy kamuflaż sprawiał, że na granitowej płaszczyźnie Sam była jedynie drobnym zakłóceniem.

Na górze czekały dzieci.

Feng wspinał się ze wzrokiem wbitym w skałę. Ciało miał obolałe, wciąż dokuczały mu rany, ale i tak czuł się o wiele lepiej niż kilka dni temu. Postludzkie geny, dodatkowe porcje kalorii i pakiet medyczny od Nakamury pozwoliły mu przetrwać.

I choć Feng koncentrował się na wspinaczce, jakaś część jego umysłu wciąż zajęta była dręczącym go problemem. Nakamura. Czy ten człowiek naprawdę pozwoli Fengowi i Kade'owi odejść wolno? Czy zdradzi swoją agencję?

Nie, odpowiedział sam sobie. Nakamura powiedział Sam to, co chciała usłyszeć. A na koniec ich oszuka i zrobi, co w jego mocy, by dostarczyć Kade'a, a pewnie i Fenga, mocodawcom.

Nie zamierzał na to pozwolić.

Wspinał się, lecz jego zmysły skupione były na człowieku, który wisiał poniżej, a umysł rozgrywał wszystkie możliwe scenariusze.

Nakamura zatrzymał się na szczycie, wciąż jeszcze na skale, tuż pod krawędzią. Po lewej widział kontury sylwetek Sam i Fenga.

Na wyświetlaczu siatkówki włączył przekaz z krążących nad posiadłością dronów. Tysiąc jardów dalej drony zamachały skrzydłami i uruchomiły zoom w swoich oczach-kamerach. Dwóch mężczyzn na posterunku, sto stóp na północ, trzeci, patrolujący okolicę, właśnie przechodził.

Nakamura przekazał instrukcje, korzystając z anteny łodzi podwodnej, wystawionej ponad powierzchnię morza. Status wyświetlił mu się na siatkówce. Zaraz za nim powietrzna mapa okolicy. Nad otwartym morzem mrugało sześć zielonych ikon, luźnym kręgiem otaczały wyspę. Tysiąc jardów od brzegu.

Pozycja - sprawdzona.

Uzbrojenie - sprawdzone.

Cele - namierzone.

Nakamura wolno odwrócił głowę do swoich towarzyszy. Feng skinął głową. Sam też.

Nadszedł czas.

Kevin Nakamura aktywował menu, kliknął na ikonę, kliknął raz jeszcze, żeby potwierdzić, i pierwsza faza ataku na wyspę została zainicjowana.

80

Dzielna dziewczynka

Sobota, 3 listopada

Ling przepłakała całe godziny. Nigdy jeszcze tak się nie bała. Nawet wtedy, gdy umarło ciało jej mamy. Ani wtedy, gdy odcięli ją od mamy i po raz pierwszy została sama. Wtedy była pewna, że to szybko się skończy, odzyska mamę i już nie będzie więcej sama...

Ale teraz zamierzali zabić jej mamusię. Zabić ją na śmierć, żeby umarła tak jak ludzie umierali. Spróbowała myślami odnaleźć Fenga, Kade'a.

FENG! FENG, BŁAGAM! FENG, POMÓŻ MI!

Nic.

KADE! KADE, POTRZEBUJĘ CIĘ! KADE, PROSZĘ!

Nic, nic, nic.

Ling była sama. I tylko ona mogła powstrzymać ludzi przed zabiciem mamy.

Płakała zwinięta w kłębek, z rączkami zaciśniętymi na ampułce i strzykawce z lodówki. Płakała najciszej jak mogła, żeby jej ojciec nie usłyszał, żeby nie zorientował się, że ona wie.

Obserwowała ojca za pomocą domowych kamer. Spał, oddychał wolno i regularnie. Za kilka godzin wstanie zamordować matkę. O ile Ling nie zrobi tego, co powinna. I to teraz.

Ling Shu wstała. Wytarła twarz sukienką, zrobiła, co mogła, by powstrzymać łkanie. Była postczłowiekiem. Być może jedynym postczłowiekiem na świecie, jeśli zabraknie jej mamy. Musiała być dzielna. Musiała zrobić, co należało.

Na polecenie Ling dom otworzył drzwi do pokoju matki i dziewczynka cichutko wypełzła za próg. Na zewnątrz, za przeszkloną ścianą, Szanghaj tętnił światłami i barwami, miasto udawało, że nigdy nic go nie dotknęło, nic się nie stało. Elektroniczna twarz Zhi Li patrzyła na Ling, dziesięć razy większa niż w rzeczywistości, rubinowe usta uśmiechały się miękko, zielone oczy mrugały kusząco. Ling jej nienawidziła. Nienawidziła tak bardzo, że musiała walczyć, by utrzymać to uczucie w ryzach.

Ling odetchnęła głęboko, potem zrobiła maleńki kroczek, a potem następny i następny, przez mieszkanie oświetlone jedynie światłami miasta i porcelanowym blaskiem Zhi Li, aż stanęła przed drzwiami ojca ze strzykawką w ręku.

Mieszkanie poinformowało ją, że drzwi są zamknięte. Zamykał się zawsze, gdy udawał się na spoczynek. Ale to było jej mieszkanie, nie jego. Ling sięgnęła myślami i drzwi odblokowały się z cichutkim klik.

Wstrzymała oddech i czekała, obserwując ojca przez kamery w jego sypialni. Nie poruszył się. Oddychał wolno i głęboko.

Ling ponownie sięgnęła myślą. Drzwi otworzyły się przed nią i weszła do pokoju ojca.

81

Atak na Apyar Kyun

Sobota, 3 listopada

Niewiele ponad milę od brzegu unoszące się w luźnym okręgu wokół Apyar Kyun bezzałogowe amfibie klasy Moray otrzymały polecenie od macierzystej łodzi podwodnej klasy Manta.

Ich mózgi elektroniczne niezależnie dokonały ewaluacji otrzymanych instrukcji. Protokoły bezpieczeństwa użycia uzbrojenia uruchomiły się natychmiast, wysyłając prośbę o wprowadzenie indywidualnego klucza zabezpieczeń. Potwierdzono otrzymanie instrukcji od żywego człowieka. Użycie śmiertelnej siły zostało autoryzowane. Zgodnie z drzewkiem decyzji amfibie otrzymały polecenie użycia broni. Niezależnie załadowały plany ataku: faza alfa, podplany jeden, dwa i trzy. Potwierdzone. Wykonać. Wykonać. Wykonać.

Przez chwilę nic się nie działo. Ciemne morze kołysało się spokojnie pod

bezksiężycowym niebem. Na brzegu ara wołała partnera. Żaby skrzeczały. Owady bzyczały.

I nagle noc wypełniła się chaosem.

Na południowo-wschodnim krańcu wyspy dwie amfibie Moray wypłynęły na powierzchnię wody, zsynchronizowały powłoki antyradarowe, uruchomiły własne radary i sonary, ustawiły kamuflaż tak, by pozornie zwiększyć swoje wymiary, wydać się większe i bardziej masywne, niż były w rzeczywistości, i ruszyły ku wyspie, prowadząc ostrzał. Ich elektroniczne mózgi sterowały nimi częściowo automatycznie tak, by stworzyć wrażenie ataku znacznej floty.

Mikropociski zostały wystrzelone z amfibii Moray na południu, północy i wschodzie. Odpaliły napędzane hydrazyną silniki, wyrzucając za siebie ogromne ilości rozgrzanej plazmy, przyspieszając w stronę celów na wyspie, generując przy tym przeciążenie rzędu ośmiu g.

Maszyny, które odpaliły rakiety, uruchomiły systemy radarowe i sonarowe, wyolbrzymiając swoją obecność, zainicjowały przeładowanie wyrzutni raketowych.

Po wschodniej stronie wyspy na powierzchnię wypłynęła samotna amfibia Moray, w pełni zakamuflowana. Obserwowała, oceniała, wycelowała ostrożnie przy użyciu inteligentnej wyrzutni kartaczy, czekając na odpowiedni moment.

Aktywowały się zautomatyzowane systemy obronne wyspy. Zagrzmiały alarmy, wrywając ludzkich operatorów ze znużenia. Na ekranie przewijał się aktualny status. Zanim ludzie w ogóle mogli zareagować, maszyny już działały. Ożyły systemy przechwytyjące, celując laserami obronnymi w nadlatujące pociski, wyrzucając w powietrze chmury tysięcy antyraketowych pocisków. Wyrzutnie zadokowane na wyspie obróciły się, aby namierzyć jednostki atakujące port.

Mikrorakiety zygzakowały po zmiennym kursie, wytyczanym przez ich wewnętrzne oprogramowanie na bieżąco tak, aby uniknąć nadlatujących pocisków obrony wyspy. Niektórym się nie udało. Jeden z pocisków spadł z nieba, a jego głowica została stopiona przez laser obronny. Następny uderzył z podwójną prędkością dźwięku w jedną z chmur.

Trzeci został wybity z kursu przez powstałą eksplozję. Następne spadały, trafione przez lasery, lub eksplodowały w wyniku zderzenia z chmurą antyrakietową, jeszcze inne wypadały z kursu przez wybuchy wtórne.

W ciągu sekund osiem wystrzelonych z morza pocisków zostało strąconych.

Szesnaście się przedostało.

Pierwszy uderzył w cel sekundy po wystrzeleniu, uzbrajając głowicę w ostatniej chwili, niszcząc jedną z instalacji radarowych na wyspie. Następny zbliżył się do celu ułamek sekundy później, detonując głowicę w momencie maksymalizacji siły uderzenia, mgnienie oka przed zderzeniem z wyrzutnią raket na wyspie. Wskutek uderzenia eksplodowało dwanaście pocisków, cały czas załadowanych do wyrzutni, wybuchając grzmiącym staccato, rozświetlając nocne niebo i tworząc jasnoczerwoną chmurę w kształcie grzyba, który rozszerzał się w miarę, jak wzbijał się w bezksiężycowe niebo.

W ciągu krótkiego czasu cała obrona wyspy została zniszczona. W zburzonym centrum dowodzenia syreny alarmowe cały czas wyły. Personel ochrony osłupiał na widok tego, co ujrzął na radarach zaraz przed wybuchem. Byli atakowani. Wiele okrętów do nich strzelało, a dwa zbliżały się do wyspy z dużą prędkością.

Stanęli w obliczu inwazji.

Na zachodzie jedyna amfibia, która nie zdradziła swojej pozycji, czekała. Czekala, czekała, z nieskończoną cierpliwością charakterystyczną tylko dla maszyn. Wtedy nastąpiły eksplozje oraz eksplozje wtórne. Teraz zadecydowała sztuczna inteligencja. Nadeszła właściwa chwila. Moray wystrzeliła salwę malutkich, prawie niewidocznych inteligentnych kartaczy. Kartacze rozrysowały się na tle domu, porównały swoje pozycje i trajektorie, zmieniły kształt, aby dobrać najlepszy tor lotu, i ustawiły się w optymalnej pozycji do ataku na kamery i rejestratory dźwięku, które znajdowały się po wschodniej stronie posiadłości.

Sztuczna inteligencja Moray odnotowała sukces, po czym amfibia zanurzyła się pod falami.

W zaistniałym chaosie oślepienie wschodniej ściany domu było zaledwie detalem.

Kade usiadł na łóżku, krzyżując nogi. I rozpoczął anapanę. Nie miał wpływu na świat, ale mógł kontrolować siebie, swój umysł i myśli. Nie złamie się. Nie zagubi. Pozostanie skupiony i czujny. Bez względu na to, jak źle potoczą się sprawy, on się nie podda.

Więc oddychał. Wdech i wydech. Obserwował swój oddech, póki nie wypełnił całej jego świadomości. Pozwalał, by jego myśli wznosiły się, a potem znów koncentrował się na oddychaniu. Odnajdywał spokój w braku jakichkolwiek myśli, w tym, jak oddech całkowicie wypełniał jego uwagę, nie zostawiając miejsca na strach czy niepokój, czy samooskarżenia.

Nagle ciszę rozerwały dźwięki eksplozji i Kade otworzył oczy.

Huk wybuchu wyrwał Shivę z boskiego transu, odciągnął od dziesiątków tysięcy umysłów, które teraz stanowiły część jego poszerzonej świadomości.

Sięgnął myślą ku systemom informacyjnym wyspy, ale znalazł tam jedynie chaos. Atak. Odpalone pociski. Okręty zmierzające do portu. Ktoś ich najechał.

Dane były już nieaktualne w chwili, gdy je przeglądał. Radary zostały zniszczone. Kamery też. Drony przestawały funkcjonować.

Kto? Amerykanie? Chińczycy? Birmańscy gospodarze?

Shiva sięgnął do projektorów Nexusa i anten wzmacniających rozmieszczonych w domu. Jego myśli objęły całą posiadłość. Poczul umysły dzieci, personelu zarówno w budynku, jak i wokół niego. Odnalazł między nimi Ashoka.

Zabezpiecz Lane'a i dzieci - rozkazał mu. Sprowadź ich pod ziemię.

A potem zeskoczył z wąskiej pryczy, wybiegł z celi ku schodom prowadzącym na dach. Musiał się dowiedzieć, co się działo.

Nakamura obserwował przekaz wysyłany przez drony. Pociski trafiły w cel. Żołnierze

nad nimi rzucili się biegiem w stronę wschodniego krańca wyspy, dokładnie tak, jak mieli to zrobić.

Doskonale.

Nakamura odczekał, aż trzech żołnierzy przejdzie obok niego, i dał sygnał. Idealnie równo wszyscy troje wspięli się na szczyt klifu i ruszyli w stronę posiadłości.

Nakamura obrócił się w stronę Sam i skinął głową. Nadszedł czas na drugi etap.

Kade dopadł wychodzącego na zachód okna, ale nie zobaczył niczego poza ciemnymi falami oceanu. Rozległa się kolejna eksplozja, huk rozbrzmiał gdzieś za nim. Fale na moment rozjaśnił czerwony blask.

Pobiegł do kuchni. Stąd widział dziedziniec i część budynku. Ochroniarze kręcili się gorączkowo. Zobaczył też dym unoszący się z za domu, rozświetlany szkarłatem płomieni. Rozległ się terkot broni maszynowej.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi do jego apartamentu, a potem rozległy się ciężkie kroki.

Odwrócił się. Zobaczył dwóch ochroniarzy Shivy. Na szyjach mieli zakłóczacze Nexusa, ich umysły były niczym kule wyładowań statycznych.

- Chodź z nami - nakazał jeden z nich. Tę ciemnoskórą twarz Kade widział po raz pierwszy. Ochroniarz miał w dłoni zakłóczacz Nexusa. Dla Kade'a.

Lane pokręcił przecząco głową i w twarzy tamtego dostrzegł błysk zniecierpliwienia. Strażnik ruszył w stronę Kade'a, a ten pochwycił stojącą na kuchence patelnię i zamachnął się do ciosu, celując w głowę.

Ochroniarz wyrwał przedmiot z dłoni Kade'a, a potem uderzył go w skroń, na tyle mocno, by Lane zobaczył gwiazdy.

Sam odpowiedziała na sygnał Nakamury skinieniem głowy.

Potem otworzyła umysł, przestawiając się jedynie na odbiór. Jeśli mieli rację, dzieci były z tej strony budynku, na zachodniej ścianie, na parterze albo na piętrze. Kiedy już je znajdzie, będzie mogła je zebrać i wykorzystać możliwości łodzi podwodnej oraz własne umiejętności, by zwieść i oślepić obrońców, zabrać dzieci na lotnisko, podczas gdy Nakamura i Feng uwolnią Kade'a.

Otworzyła umysł. Noc kipiała Nexusem. Dziesiątki umysłów wewnątrz budynku. Strach i zaskoczenie. Panika.

Tam. Umysły. Dzieci. Wszystkie razem. Kontakt aż zaparł Sam dech w piersi. W ułamku chwili przypomniała sobie, dlaczego tak bardzo pokochała to uczucie i dzieci, wszystkie powody, dla których się tu znalazła.

Shiva nie zmieni tego piękna w potworność.

Wysłała myśl do Sarai i do reszty.

Jestem tu - nadała. Przyszłam po was.

I poczuła, jak po drugiej stronie połączenia zapanowała radość.

Sarai obudziła się na dźwięk eksplozji. Serce waliło jej w piersi. Jej bracia i siostry też się pobudzili. Wszyscy byli wystraszeni.

Drzwi się otworzyły i pięciu chłopców wpadło do pokoju, który dzieliła z trzema innymi dziewczynkami. Aroon zanosił się szlochom na rękach Kita. Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco.

Jestem najstarsza, pomyślała. Muszę stanąć na wysokości zadania.

Sięgnęła ku nim, wysłała uspokajające myśli. Zbili się w grupkę na podłodze, najmłodsze w środku, otoczone przez starsze.

Otworzyła się dla nich bez reszty, odetchnęła tak, jak uczyła ją Sam, wdech i wydech.

Wdech, wydech - wysłała do reszty, szukając jednocześnie ich oddechów. Powoli wszyscy poddawali się temu rytmowi, nawet maleńki Aroon płakał ciszej, a ona mogła widzieć, słyszeć i myśleć. Świat zwolnił, a możliwości wzrosły.

Ktoś przybył.

Ktoś przybył walczyć z Shivą. A w czasie tej walki... oni mieli okazję uciec.

Coś huknęło przy drzwiach i otworzyły się jak w zwolnionym tempie. Jeden z nich stał na progu. Wokół umysłu miał tarczę zakłóceń. Miał też broń. Wyciągał do nich rękę.

I wiedzieli. Rozumieli. Zabierze ich gdzieś, gdzie nowi ludzie nie będą mogli ich znaleźć. A nie tego chcieli. Uderzył w nich strach.

I nagle Sam była z nimi, w ich umysłach, ich serca wypełniły się radosną nadzieją.

- Znalazłam - szepnęła Sam, korzystając z połączenia laserowego.

Przyszedł czas na fazę numer trzy.

Nakamura aktywował menu, znalazł ikonę. Zawahał się przez ułamek sekundy. W jego umyśle na moment pojawił się obraz: trzy rakiety nagle zbaczające z kursu, jakby zbite z toru przez działania obrony przeciwlotniczej. Jakby nie było to częścią planu. Jej nieuniknione podejrzenia...

Odepchnął tę myśl. Nie miał wątpliwości, na czym polega jego obowiązek. Nikt nie mógł dostać takiej władzy.

Kevin Nakamura mrugnął, by aktywować fazę trzecią. I po drugiej stronie wyspy amfibie wystrzeliły kolejną salwę śmiertelnych pocisków.

Shiva dotarł na dach wraz z hukiem kolejnej eksplozji. Gigantyczna kula ognia wzbija się w niebo na wschodzie, zmieniając się w grzyb dymu, w miarę jak nabierała wysokości. Skład paliwa.

Kim byli atakujący? Gdzie byli?

Zwiększył zasięg swego umysłu, raz jeszcze korzystając ze wzmacniaczy Nexusa, poczuł umysły swoich żołnierzy, personelu naukowego i sięgnął do nich po zrozumienie. Czuł panikę naukowców, ponure zdecydowanie płynące od żołnierzy. Wrogie statki atakowały port. Stracili czujniki. Nie mogli zobaczyć najeźdźców. Jego ludzie pędzili na swoje pozycje, odbezpieczali broń maszynową, szykowali się do starcia, uzbrojeni w wyrzutnie przeciwokrętowych pocisków manewrujących i pistoletów strzelających amunicją igłową o ogromnej prędkości, która mogła jedną serią skosić setkę mężczyzn. Inni żołnierze zmierzali po Lane'a, po dzieci, żeby przeprowadzić ich do bezpiecznego bunkra. Stamtąd będzie można ich w razie potrzeby ewakuować tunelami do samolotów.

I wtedy poczuł intruza. Umysł, którego nie dotykał nigdy wcześniej. Kobieta. Sięgała ku dzieciom, przechodząc przez ściany wyłożone wzmacniaczami Nexusa. Poczuł ich wzajemne rozpoznanie.

Amerykanka. Tutaj i teraz. Ta, która szukała dzieci z Nexusem, która próbowała zinfiltrować jego dom, która już zabiła jednego z ludzi Shivy... Kim była? Z CIA?

Shiva warknął. Wszystko jedno. Nie pozwoli na to. Nie odbiorą mu tych dzieci, nie zamkną ich, nie odczłowieczą, nie poddadzą eutanazji.

Najwyższy czas po raz kolejny wypróbować kod, który wykradł Lane'owi.

Shiva Prasad sięgnął do umysłu amerykańskiej agentki, aktywował tylne drzwi, wysłał kod.

I wszedł. Należała do niego.

Bratobójczy ogień

Sobota, 3 listopada

Strażnik przycisnął Kade'a do kuchennej ściany. Drugi z mężczyzn wkroczył, aby założyć mu obrozę zakłócającą.

NIE!

[aktywuj Bruce_Lee full_auto]

Pojawiły się celowniki, przeciągnął jeden z nich na rękę szarpiącego się z nim strażnika, który trzymał zakłócacz Nexusa, nacisnął mentalny przycisk, i jeszcze raz, i jeszcze raz.

Jego ciało wykręciło się i na chwilę był wolny.

[Bruce_Lee: odejście udane!:]

Jego stopa śmignęła w kierunku strażnika, który odbił kopnięcie z irytacją.

[Bruce_Lee: atak nieudany!:(]

Lewa ręka Kade'a użyta, aby osłaniać kopnięcie, wystrzeliła w kierunku dłoni strażnika, w której był zakłócacz. Trafił w urządzenie i wysłał daleko pod przeciwległą ścianę.

[Bruce_Lee: atak udany!]

W odpowiedzi strażnik go uderzył. Dwóch mężczyzn przycisnęło go do ściany. Bruce Lee na próżno próbował go uwolnić.

[Bruce_Lee: blok nieudany:()]

[Bruce_Lee: odejście nieudane:()]

Wtedy rozległ się dźwięk przywodzący na myśl grom. Gigantyczna siła przeszła strażników przed nim, rozgniatając ich na ścianie. Uderzyła go piekąca fala ciepła. I spadał, spadał, spadał.

Feng usłyszał eksplozję. Za blisko! To uderzyło w budynek.

- Pociski zeszły z kursu! - szepnął Nakamura przez połączenie laserowe, głos miał spięty.

- Co? - odszepnął Feng. Wtedy go olśniło.

Nie, nie! Ależ był głupi! Nie wyruszyli, żeby pojmać Kade'a. Żeby zabić Kade'a.

Wszystkie działania wojenne są oparte na oszustwie, pisał Sun Tzu. Człowiek z CIA oszukał go. Feng skierował lufę karabinu szturmowego w stronę Nakamury.

Sam krzyczała w momencie, kiedy inny umysł penetrował jej mózg, krzyczała w absolutnym przerażeniu. Żaden dźwięk nie przeszedł jej przez gardło. Intruz miał bezwzględną kontrolę nad jej ciałem. Sięgnęła, aby uruchomić komendę wyłączającą wszystkie transfery, i odkryła, że jest zablokowana. Próbowwała drgnąć, odepchnąć się od ściany, poruszyć oczami, żeby wybrać sygnał w gogłach.

Nic z tego.

Czuła, jak Sarai i inne dzieci odskakują w przerażeniu, i wiedziała, czyj to umysł. Shivy. Shivy, który miał wszystkie te dzieci tutaj. Shivy, który teraz miał też ją.

Intruz przeszukiwał jej myśli z brutalną efektywnością, a ona nie była w stanie mu się przeciwstawić. Przywołał myśli o planie, o ataku, a ona pokazała mu wszystko.

Poczuła, jak jego umysł wstrząsa się w zaskoczeniu. Tylko trójka? Żeby odebrać dzieci, żeby odbić Lane'a? Cała reszta to dywersja?

Chciała skłamać, wprowadzić go w błąd, chciała chronić Kevina, Fenga, Kade'a i dzieci, ale to było niemożliwe. Kade założył to tylne wejście za dobrze. Shiva naciskał, a ona dawała mu wszystko.

Wtedy poczuła, jak się uśmiecha, uśmiecha z satysfakcją.

Zabij ich - przesłał jej. I jej wola ugięła się przed nim.

Sam się odwróciła i tam, pierwszy na linii ognia, był Kevin Nakamura.

Nakamura zeszywniał, kiedy Feng uniósł broń. Przeskakiwał wzrokiem po mentalnych okienkach, znalazł opcję zdalnego wyłączenia broni, kliknął ją.

- Ty - wyszeptał Feng przez laser. - Zabiłeś go.

Nakamura cofnął się, odsunął od Fenga, odsunął od ściany domu, ku balustradzie, poruszał się powoli, postawą sugerując, że nie ma wrogich zamiarów. Feng nie mógł go teraz zastrzelić. Nakamura mógł pojmać Chińczyka, członka Konfucjańskiej Pięści, zabrać z powrotem do Langley. Ale musiał kontynuować tę farsę. Dla Sam. Dla jej dobra.

Odpowiedział Fengowi przez połączenie laserowe:

- Pociski zeszyły z kursu. Obrona przeciwlotnicza. Musimy tam iść i znaleźć Kade'a.

Odwrócił się w stronę Sam, modląc się, żeby zobaczyć jej twarz, zobaczyć, jak na to wszystko reaguje.

Ujrzał ją z uniesionym karabinem szturmowym, wycelowanym prosto w jego twarz.

- Sam! - wrzasnął.

Jego oczy prześlizgiwały się po opcjach menu, szukając wyłącznika broni Sam.

Strzeliła, zanim znalazł tę opcję.

Sam jęczała w rozpacz, gdy obracała się i unosiła karabin do ramienia. Wypowiedział jej imię. Czas zatrzymał się w nieskończonym momencie grozy. Rzuciła się na mentalny uścisk, w którym trzymał ją Shiva, rzuciła się z całą siłą, zawodząc, szarpiąc myślami niczym pazurami, każdą odrobiną jestestwa, każdą odrobiną furii, jaką mogła w sobie znaleźć.

To się nie mogło wydarzyć! To się nie działo!

Zabij ich - wyszeptał do niej Shiva.

A ona uległa.

Pierwszy strzał trafił Nakamurę w twarz. Pianka grafenowa, którą była zaimpregnowana jego czaszka, wytrzymała, zatrzymała kulę. Siła uderzenia odrzuciła jego głowę do tyłu, a przyspieszenie uderzyło w mózg. Całe ciało zatoczyło się na balustradę, za którą rozciągała się pusta przestrzeń.

Sam próbowała się zatrzymać, próbowała zdjąć palec ze spustu, próbowała zamknąć oczy i sprawić, aby wszystko to zniknęło.

Zabij ich.

Jej drugi strzał dosięgnął klatki piersiowej Japończyka. Kule wbiły się w niego, odpychając górną część ciała, przerzucając jego głowę przez balustradę, po czym Nakamura zrobił gwiazdę z szeroko rozłożonymi rękoma i nogami. Następnie zniknął w mroku nocy, nurkując głową w dół, twarzą do skał.

- Sam! - wrzasnął Feng.

Sam płakała uwięziona wewnątrz siebie i pociągała za spust po raz kolejny.

83

Córeczka tatusia

Sobota, 3 listopada

Ling po cichu weszła do pokoju ojca. Apartament zamknął za nią drzwi. Okna w pokoju były szczelnie zasłonięte. Nie było tu praktycznie żadnego światła, ale jej postludzie oczy nie potrzebowały go dużo, żeby widzieć. Łóżko stało przed nią, po prawej. Ojciec spał twarzą w dół, z rękoma rozrzuconymi na boki, leżał na części bliższej Ling, z głową zwróconą w stronę środka łóżka.

Ling powoli poruszyła się do przodu, cichutko. Na grubej wykładzinie jej stopy nie wywoływały żadnego dźwięku, ale chęć, żeby się rozplakać, zacząć szlochać, była silna. To było takie trudne. Takie straszne. Ojciec ją przerażał. Był tylko człowiekiem, ale ją uderzył, poparzył.

Twarzyczka Ling skurczyła się przy kolejnym kroku, dziewczynka czuła łzy spływające jej po policzkach, czuła chęć pociągnięcia nosem, czuła, jak płacz wzbierał w piersi.

Ruszyła dalej, tyle że szybciej, wzrok miała rozmazany przez łzy. Była mniej niż stopę od celu. Ręka ojca zsunęła się poza krawędź łóżka. Ling ominęła ją, podeszła aż do stolika nocnego, stała tuż przy łóżku, w zasięgu ojca, skąd mogła sięgnąć jego głowy.

Policzki Ling płonęły, serce waliło, łzy płynęły po twarzy. Ledwie widziała, ledwie była w stanie myśleć. To był jej ojciec! Ale jeżeli tego nie zrobi, jej matka umrze, umrze na zawsze.

Ling podniosła strzykawkę w roztrzęsionych dłoniach, posuwała ją do przodu, aż do

momentu, gdy niemalże dotykała karku ojca.

Wtedy coś usłyszał albo poczuł, poruszył się, stęknął i zaczął obracać głowę.

Ling wraziła mu wylot strzykawki w kark i nacisnęła spust z całą siłą palców wskazujących.

W strzykawce obwód został zamknięty, bateria dostarczyła zasilanie do cewki, uruchamiając silnik, który pchnął tłok. Ułamek milisekundy po tym, jak Ling nacisnęła spust, strzykawka wystrzeliła supersoniczną wiązkę naładowanej nanobotami cieczy prosto w skórę, mięśnie i komórki krwi.

Chen krzyknął z bólu, machnął jedną ręką, wytrącając strzykawkę z uścisku Ling, posłał ją na drugi koniec pokoju. Zerwał się i drugą ręką wymierzył dziewczynce cios w twarz z taką siłą, że nie zdołała utrzymać się na nogach.

- Światła! - ryknął, a pokój pojaśniał. Chen jedną ręką trzymał się za szyję w miejscu, gdzie ładunek ze strzykawki z siłą silnika odrzutowego wbił się w jego szyję. Spojrzał na córkę w przerażeniu, po czym odjął dłoń od karku, była cała zakrwawiona.

- Co zrobiłaś? - wrzeszczał. - Co zrobiłaś?

Wtedy przeczesał wzrokiem pokój, zatrzymał się na strzykawce. Zobaczył załadowaną ampułkę srebrzystego płynu, wciąż na wpół pełną.

Ryknął i ruszył w kierunku Ling. Podniosła ręce, żeby się ochronić, a on ją kopnął, mocno.

Ling krzyczała z bólu, kiedy jego stopa trafiła w brzuch.

- Ty potworze! - powiedział, po czym kopnął ją jeszcze raz.

Dziewczynka krzyczała coraz głośniej.

- Nie! Nie!

Jej ojciec uniósł nogę po raz kolejny, żeby kopnąć po raz trzeci, i teraz Ling czuła już niewielką część jego umysłu, w miarę jak nanity ustanawiały połączenia z neuronami, odsłaniając wnętrze jego mózgu.

Noga ojca spadła na nią po raz kolejny, a ona sięgnęła i przekreśliła to, co mogła wyczuć w jego umyśle. Kopnął jeszcze raz, ale tym razem się zawahał, zachwiał po uderzeniu, w miarę jak jej myśli naciskały na jego ośrodki ruchowe.

Ling krzyczała w agonii. Łzy płynęły jej po twarzy wartką rzeką. Jeszcze nigdy w życiu nic jej tak bardzo nie bolało. Ale sięgnęła i nacisnęła na umysł ojca, wyczuwając coraz większą jego część. Mężczyzna zatoczył się do tyłu.

- Nie - powiedział, próbując odzyskać równowagę. - Nie.

Spróbował kopnąć ją po raz kolejny, ale tym razem naparła swoim umysłem na jego, na nanity zakotwiczone się na neuronach jego ośrodka motorycznego, co sprawiło, że przewrócił się do tyłu, na łóżko, a głowa uderzyła o ramię. Ling oddychała ciężko, ale ojciec nie wstał, ogłuszony uderzeniem i tym, co w tej chwili działo się z jego mózgiem. Oczy miał szkliste, jego umysł szalał coraz bardziej w miarę, jak nanity łączyły się z jego neuronami i odpalały program kalibracyjny.

Ling sięgnęła i zacisnęła się na każdej dostępnej części jego umysłu. Czuła jego zdezorientowanie, zamęt, jaki przeżywał w związku z tym, co robiły nanoboty, jego strach przed nią.

Dobrze. Bój się, mały człowieczku.

Ling czołgała się, cal po calu, oddalała się od niego w stronę strzykawki. Kiedy ją złapała, wróciła. Doczołgała się, złapała za brzeg łóżka i podciągnęła się do góry tak, że była wyżej niż jej siedzący już ojciec. Obrócił głowę i spojrzał na nią, źrenice miał rozszerzone z przerażenia, jego umysł wypełniał strach. Próbował walczyć, kontrolować swoje ciało, a ona naciskała na niego, utrzymując go w jednym miejscu.

- Nie - powiedział, cały czas próbując odzyskać kontrolę nad ciałem. - Proszę. - Łzy spłynęły mu po policzkach.

Była ogromna w jego głowie, potwór, obca istota, postczłowiek górujący nad nim nieskończenie, stworzenie, które go uwięziło. Wizja rychłej zagłady wypełniła jego myśli wszędzie, gdzie Ling mogła je zobaczyć.

- Proszę - powiedział jeszcze raz. - Cóрко...

Ling Shu przycisnęła strzykawkę do szyi ojca i wstrzeliła resztę zawartości do jego krwiobiegu.

84

Wszyscy razem

Sobota, 3 listopada

Breece obserwował, jak burmistrz Houston wszedł na podium i zaczął zachwalać Daniela Chandlera.

Pozostało jeszcze niecałe piętnaście minut. Następny na podwyższenie wejdzie Josiah Shepherd. Przez chwilę będzie rozgrzewał tłum, poprowadzi modlitwę, a potem zaprosi Daniela Chandlera. I gdy Shepherd będzie schodził, a Chandler wchodził na scenę, mężczyźni uściskną sobie dłonie. Po raz ostatni.

Kade spadał. Ktoś go złapał - strażnik - razem koziółkowali w powietrzu. Nie dochodził ich żaden dźwięk, żadne wrażenie poza palącym żarem i jakimś niezrozumiałym wirem obrazów, zmieniających się zbyt szybko, by można było je śledzić. Kade z całej siły zacisnął powieki.

I nagle wszystko się zatrzymało, a jego ciało eksplodowało bólem.

Wokół niego szalały płomienie. Dym. Kurz.

Umysły! Umysły! Mógł poczuć umysły!

Przerażenie. Strach. Chaos. Dzieci.

Kade otworzył oczy.

Był na dziedzińcu. Leżał na czymś miękkim, skłębionym i połamanym. Na ciele ciemnoskórego strażnika. Kark mężczyzny był przekreślony pod nienaturalnym kątem. Szeroko otwarte oczy patrzyły w nicość. Połowa ciała została spalona na węgiel.

Kade przetoczył się i znalazł drugiego strażnika, który leżał twarzą w dół, miał zwęglone plecy. Eksplozja zabiła obu, a ich ciała osłoniły Kade'a przed najgorszym.

Odwrócił się i popatrzył w górę. Był na dziedzińcu. Ściana nad nim zniknęła. Po jego pokojach została jedynie nierówna wyrwa. Coś rozwaliło ją w drzazgi i wyrzuciło na zewnątrz Kade'a i dwóch ochroniarzy.

Spróbował się poruszyć, usiąść i poczuł potworny ból w brzuchu. W uszach dzwoniło mu tak głośno, że nic poza tym nie słyszał.

Poczuł, że coś zaciska się na jego ramieniu. Kolejny strażnik z zakłóczaczem Nexusa na szyi i wielkim pistoletem na ramieniu. Usta mężczyzny poruszały się wściekle, ale Kade nie słyszał ani słowa przez ogłuszające dzwonięcie.

Wtedy ochroniarz zaczął go szarpać i ciągnąć. Ból rozdzierał wnętrze Kade'a, ale żołnierz nie przestawał go wlec.

Kade naparł na umysł tamtego, ale znalazł jedynie zakłócenia. Tarcza była zbyt mocna. Strażnik częściowo przepchnął, a częściowo przewiół Kade'a przez rumowisko. Po drugiej stronie Lane zobaczył kolejnych żołnierzy Shivy, którzy zaganiali grupy dzieci.

Pierwsza zniknęła w drzwiach, schodzili w dół. Potem kolejna. Ostatnie z dzieci...

Jedno z nich odwróciło się w jego stronę, dziewczynka. Poczł jej umysł. Starsza niż pozostałe. Inna. Ta, która do niego machała. A z nią więcej dzieci, wyjątkowych, ale przerażonych, niezdolnych do racjonalnego myślenia czy samodzielnego działania.

W desperacji sięgnął ku najstarszej.

Musisz ich powstrzymać! - wysłał.

Poczł, jak go poznała. Znała go przecież. Widziała go we wspomnieniach. We wspomnieniach Sam.

Dasz radę! - nadawał. Umylem!

Nie... - odpowiedziała. Są zbyt silni!

Zróbcie to razem! - poradził jej. Wszyscy!

Sarai szlochała ze strachu, kiedy strażnicy ją prowadzili. Wokół niej dudniły eksplozje. Dziedziniec zavalony był gruzem. Pozostałe dzieci były przerażone. I Sam... czuli, jak Shiva przejął jej umysł, czuli, co kazał jej zrobić...

I nagle poczuła czyjś umysł. Umyleł, który widziała we wspomnieniach Sam. Kade.

Musisz ich powstrzymać! - powiedział jej. Wszyscy razem!

Ale to było takie trudne. Wokół panował tak straszny chaos, a najmniejsi byli tacy przerażeni, płakali i krzyczeli, popychani przez strażników. Nie mieli szans. Najmniejszych.

Ale Sam! Sam po nich przyszła! Musiała to zrobić.

Sarai zamknęła oczy, pozwoliła się ciągnąć strażnikowi, przestała się opierać. Wolno nabrała powietrza, czuła, jak wypełnia jej płuca, przekazała to uczucie braciom i siostram,

blagajac, by odpowiedzieli.

Wypuscila powietrze tak, jak Sam jej pokazywala, i pozwolila, by pozostali poczuli jej potrzebe, potrzebe, ktora tez odczuwali, ukryta w oddechu, splecioną z tym oddechem.

Stopy poruszaly sie bez udzialu jej woli, straznik ja ciagnal, a Sarai znów nabrala powietrza i poczula, ze Mali jest z nia, ich umysly odetchneli wspólnie.

Wypuscila powietrze i Kit byl razem z nimi.

Potknęła się o coś i upadła, boleśnie raniąc kolana. Łzy napłynęły jej do oczu i bała się, że zerwała połączenie, lecz Mali i Kit utrzymali ich razem. I Ying, i Tada też z nimi były. I Sunisa, i jeszcze Kwan. Odetchnęli, jakby byli jednością. Mury otaczające ich umysły runęły i połączyli się ze sobą, i wszystko stało się jasne. Straże. Pięciu. Kule zakłóceń. Sam zabrana przez Shive.

Kade. Kade, który nie był jak oni, ale który rozumiał, zbudował Nexusa w umyśle Sam, w umyśle Jake'a.

Kade był odpowiedzią.

Sięgnęli ku niemu i stał się ich częścią.

Pokazał im, co robić, i ich umysły sięgnęły ku zaganiającym ich strażnikom.

Zakłócenia ich odrzuciły, odepchnęły ich umysły. Pomyśleli o Sam, odetchnęli i skupili myśli. Mogli przebić się przez zakłócenia i wysłać tylne drzwi, wysłać hasło dostępu, stymulować ośrodek snu. I strażnicy zaczęli się przewracać jeden po drugim.

Shiva sięgnął umysłem do swoich ludzi w chwili, gdy Amerykanka zaczęła strzelać do swoich.

Zabezpieczcie dzieci i Lane'a - wysłał. Jest tylko trzech intruzów. Wszyscy po zachodniej stronie domu. Kobieta jest teraz moja.

Potem powtórzył to wszystko do nadajnika na nadgarstku tym, którzy nosili zakłócacze Nexusa.

Poczuł, jak reagują na jego rozkazy. Żołnierze zawrócili w stronę posiadłości, w stronę prawdziwych napastników.

Feng przetoczył się błyskawicznie, gdy tylko Sam wycelowała w niego broń. Czas zwolnił, kiedy dotknął kamienistej ścieżki barkiem, plecami, a potem stopami. Usłyszał stłumione staccato, gdy nacisnęła spust i pociski przeleciały mu nad głową.

Wstał, skracając dystans, złapał za karabin. Jedną dłonią na klamrze pasa zwolnił zacisk i kończąc obrót, wyrwał broń z jej dłoni.

- Co robisz? - wrzasnął.

Ale ona już sięgała po pistolet. Strzelała szybko, ale on był szybszy. Zamachnął się karabinem niczym kijem i wysłał pistolet za barierkę, w ślad za Nakamurą.

W tym samym momencie jej stopa uderzyła go w splot słoneczny, przewracając w tył. Przyjął cios, wykorzystał jego siłę, by się przetoczyć, i wstał w chwili, gdy rzuciła pierwszym nożem, celując w jego gardło. W ostatniej chwili uniósł karabin, by się zasłonić. Rzuciła się na niego z nożem w każdej dłoni, atakując na oślep, nie zasłaniając się ani na moment.

Blokował, blokował i blokował, karabinem, cofał się krok po kroku, otwierając zarazem umysł.

SAM!

Czuł ją, ale nie odpowiadała, tylko atakowała nieustająco. Wyświetlacz trybu bojowego pokazał mu dane przesyłane przez drony. Czerwone kropki. Ludzie zbliżający się w ich stronę. Shiva wiedział, gdzie byli.

Pierdolić to wszystko.

Teraz zaatakował, wykorzystał to, że nie dbała o własne bezpieczeństwo, kopnął ją w pierś, pozwolił, by jedno z jej ostrzy sięgnęło go, i w tym samym momencie uderzył kolbą w skroń. Zatoczyła się w tył. Feng skoczył, jedną nogą odbił się od barierki, wybił w górę, w stronę okna na piętrze.

Pociski pognały za nim w chwili, gdy złapał za parapet. Podciągnął się i przewinał, wpadając do korytarza w deszczu szkła.

Kade upadł na kolana. Wnętrznosci go bolały, skóra paliła, zraniona ręka rwała tak, że niemal płakał. Wokół niego strażnicy leżeli nieprzytomni, powaleni wysłaną przez tylne drzwi komendą, którą dzieci wzmocniły na jego prośbę. Lewą ręką zdjął ochroniarzowi zakłócacz i odrzucił na bok.

Wszedł do umysłu nieprzytomnego mężczyzny. Potrzebował hasła do sieci.

Znalazł. Teraz ich miał. Mógł połączyć się z Houston. Skontaktować z policją, FBI, ostrzec o zamachu, rozkazać ewakuację.

I wtedy ktoś potrząsnął nim w rzeczywistości. Spróbował się uwolnić i wrócić do zadania.

Kade! - to ta dziewczynka, Sarai. Sam! - wysłała. Shiva ją ma! Musisz pomóc! Proszę!

Wrócił do rzeczywistości, w głowie mu wirowało.

Sam? Tutaj? I Shiva.

Usłyszał strzały, niewyraźnie, bo wciąż dzwoniło mu w uszach. Z daleka napłynął huk kolejnego wybuchu. Walka nadal trwała. Wciąż byli w niebezpieczeństwie.

Chciał się obrócić, zobaczyć, co się dzieje dokoła niego. Jego brzuch przeszyły ostrza bólu. Był taki zmęczony... I Houston...

Sam! - krzyknęła dziewczynka w jego umyśle. Pomóż jej!

Kade jęknął. Musiał pomóc Sam, powstrzymać Shive, powstrzymać walkę, zapewnić im wszystkim bezpieczeństwo. Wtedy zajmie się Houston.

Otworzył umysł. Tam, na skraju percepcji, czuł znajomy umysł. Zmęczenie i ból próbowały go pokonać. Ale była tam. Kiedyś ocaliła mu życie. A teraz przyszła po niego...

Zmusił się do koncentracji, zebrał się w sobie. I sięgnął do niej umysłem.

Świat Sam był przerażającym koszmarem. Absolutnym horrorem. Chciała uciec do miejsca, które tak dobrze знаła z czasów pobytu na ranchu. Do miejsca, do którego uciekała, gdy ją krzywdzili, gdy nauczyła się już nie walczyć, tylko wyłączać.

Ale Shiva jej nie pozwolił.

Zabij ich.

Zrobiła, co mogła, żeby zabić Fenga. Chciała tego. Musiał zginąć. Nie chciała tego chcieć, ale - dobry Boże - nie była w stanie się powstrzymać.

Próbowała go zastrzelić, powalić, pchnąć nożem. I cały czas jej umysł odtwarzał potworność, której stała się częścią. Kule trafiające w Kevina. Kule wystrzelone przez nią. Jego ciało spadające w nicość...

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Krzyczała, gdy Shiva zmuszał ją do działania. To był gwałt. To było gorsze niż gwałt. Jego umysł był w niej i nie miała wyboru. Chciała zabić Fenga. Wiedziała, że to nie jest prawda, ale nie miała wyboru. Shiva zrobił z niej zombie, jakimi byli jej rodzice, a nawet coś o wiele gorszego, narzędzie do zamordowania człowieka, który ocalił jej życie, którego kochała, mentora i przyjaciela!

Aaaaaa!

Chciała przestać, zwrócić nóż przeciwko sobie, dźgnąć się w gardło, położyć kres tej agonii.

Ale bardziej chciała zabić Fenga. I walczyła.

I nagle kolba karabinu trafiła ją w głowę i w ułamku sekundy Feng zniknął.

Ludzie Shivy przebiegli obok niej, ignorując ją zupełnie, popędzili za Chińczykiem do budynku.

Ruszyła za nimi.

Złap go - rozkazał Shiva. I chciała to zrobić.

I nagle Kade był w niej, jego myśli zwały się z myślami Shivy, rozrywając ją na dwoje, i Sam krzyczała wewnątrz siebie.

85

Siła sygnału

Sobota, 3 listopada

Feng rozejrzał się. Otaczały go kawałki rozbitego szkła, spadały w zwolnionym tempie, gdy już podnosił się na pokrytej dywanem podłodze. Korytarz. Drzwi.

Ruszył naprzód. Kopniakiem wywalil zamknięte drzwi. Drewno ustąpiło pod siłą uderzenia, wygięło się do wewnątrz i drzwi się otworzyły. Feng tygrysim skokiem wpadł do środka, wstał z karabinem w dłoniach w ułamku sekundy, obrzucając spojrzeniem całe pomieszczenie. Biuro. Puste.

Słyszał, jak ludzie Shivy wspinają się po ścianie i wchodzi przez wybite okno. Szkło zazgrzytało pod ich stopami. Czterech. Szli w milczeniu, ale każdy krok, każdy oddech i każde uderzenie serca zdradzały ich pozycje. Podeszli do drzwi, które wykopał. Stanęli.

Feng cofnął się do korytarza, jak duch pod osłoną kamuflażu, cichy niczym śmierć. Podniósł karabin i pociągnął za spust.

Broń szczęknęła.

BEZPIECZNIK ZABLOKOWANY - OGIEŃ NIEAUTORYZOWANY.

Kurwa!

Ochroniarze usłyszeli to kliknięcie, odwrócili się, unosząc broń. Dla Fenga poruszali się w zwolnionym tempie, jakby zanurzeni w melasie. Widział ich rozszerzające się oczy, palce powoli zaciskające się na spustach.

Rzucił się naprzód, przetoczył. Lufy plunęły ogniem i dziesiątki pocisków wystrzeliły w powietrze. Przyspieszone zmysły Fenga pozwoliły mu usłyszeć każdy strzał z osobna. W jego umyśle pojawiły się fale ciśnienia i linie strzałów, płonące czerwienią ścieżki pocisków, które znalazły się w miejscu, gdzie znajdował się przed chwilą.

I wtedy się podniósł. Dla strażników stanowił rozmazaną plamę ruchu, kształtem przypominającą człowieka poruszającego się szybciej, niż mogli sobie wyobrazić.

Kade odkrył, że umysł Sam jest dla niego zamknięty. Zrobił więc to, co zrobić musiał. Aktywował tylne drzwi. Wysłał hasło dostępu.

I był w środku. Czuł jej umysł, czuł mordercze myśli, do których zmuszał ją Shiva, czuł koszmar, który stał się jej udziałem.

Przeciwwstawił się Shiwie swoimi myślami, próbując wypchnąć go z umysłu Sam. Shiva kontratakowała, uderzył w Kade'a siłą woli. Zmagali się o władzę nad nią, umysł przeciwko umysłowi.

Kade czuł, jak Sam krzyczy, gdy ich walka rozdzierała ją wewnątrz, gdy jej mózg atakowany był sprzecznymi sygnałami. Czuł mgliście, że padła na kolana, że głowa pulsowała jej cierpieniem, czuł, jak szarpały ją ból, zmieszanie i rozpacz, jakich dotąd nie znała...

Siła nie zdała się na nic. Kade przeszedł do niższej warstwy i odpalił przypadkowe dane w węzłach Nexusa w mózgu Sam, licząc, że to pogrąży je w chaosie. Czuł, jak Shiva je wzmacnia, jak podpira je sygnałem z własnego mózgu.

Kade zmienił strategię, wyciągnął listę połączeń sieciowych i spróbował dezaktywować połączenie Shivy, ale Shiva sklonował je, zanim jeszcze pierwsze się zamknęło. I wtedy Hindus kontratakował, przeskakując z umysłu Sam do umysłu Kade'a. Spróbował otworzyć tylne drzwi, wysłał hasło dostępu, by włamać się do umysłu Lane'a.

I Kade wygrał. Bo w jego umyśle nie istniały tylne drzwi.

Zignorował atak Shivy, przestał walczyć o kontrolę nad ciałem Sam i natychmiast poczuł, jak przewraca się w agonii, przejął kontrolę nad węzłami Nexusa w jej mózgu, by stamtąd przeskoczyć do umysłu Shivy...

Shiva zerwał połączenie, zanim Kade zdążył dostać się do jego głowy. I Kade został sam w umyśle przyjaciółki.

Sam krzyczała, gdy Kade wszedł w jej umysł. Teraz było ich dwóch, walczących w niej z furją. Kończyny jej dygotały. Ból szarpał całym ciałem. Była mgliście świadoma, że uderzyła o ziemię. Wszystko pogrążało się w chaosie. Nie mogła myśleć. Miała wrażenie, że jest rozdzierana na strzępy, że ktoś rozłupał jej czaszkę, a jej mózg został rozszarpany na dwoje, gdy intruzi wewnątrz rzucali się na siebie, drąc pazurami samą istotę jej umysłu.

Krzyczała, ale żaden dźwięk nie wyszedł jej z krtani. Ciało miotano się jak w ataku. Przeszywały ją błyskawice bólu i wspomnień koszmaru.

Cierpienie narastało. Wirowała, spadała w niekończącą się przepaść. Płonęła

zmarznięta jak lód. Kończyny oderwano jej od ciała. Jej umysł był piekłem, agonia przesywała każdą cząstkę jej istnienia.

Zabij ich. Zabij ich. Zabij ich.

Kule z jej pistoletu uderzające w głowę Kevina. Jego ciało lecące w ciemność.

Prorok na niej, zmuszający ją do rozłożenia nóg, wchodzący w nią na siłę, uderzający w twarz pięścią, gdy próbowała się opierać.

Jej dom w płomieniach, które pochłonęły rodziców i siostrę, i wszystkich, których znała... z jej winy.

Drobniutkie ciało Mai rozerwane pociskami z amerykańskiej broni.

Umysł Jake'a rozwiewający się w nicość, gdy krew wylała się z dziury w jego piersi.

Agonia. Agonia. Nic, tylko agonia.

Zabij mnie! Błagam!

Krzyknęła i po raz pierwszy usłyszała ten krzyk. Zmusiła się, by wstać, krzyknęła raz jeszcze, z całych sił, aż poczuła, jak krzyk zdziera jej gardło. To był dobry dźwięk. Prawdziwy. Kazała dłoniom zacisnąć się na ścieżce i jej palce zareagowały, zamykając się, póki kawałki terakoty nie zaczęły się kruszyć pod ich naciskiem.

Zmusiła się, żeby pamiętać. Inne rzeczy. Nie rozpacz. Nie stratę. Ale to, jak przetrwała.

Plaże za Sari, gdy była zmęczona, ranna, uciekała ile sił w nogach z kulami w ciele, lecz żyła! Wciąż żyła!

Prorok na podłodze swojego biura, krew płynąca z ran po kulach, które wpakowała w jego podbrzusze, kałuża szkarłatu wsiąkająca w drogi dywan. Ona nad nim, celująca w głowę,

pistolet dziwnie wielki w jej małych dłoniach, strach w oczach proroka i jej własne palce naciskające spust raz po raz, by wysłać bydlaka prosto do piekła.

Była w stanie to zrobić. Była w stanie.

GGGGHHH!

I nagle Shiva zniknął, został tylko Kade.

Sam! Sięgnął ku niej, jego myśli pełne były troski podszytej litością. Zaatakowała go z furją, z całym gniewem i nienawiścią, jakie miała w sobie.

PRECZ!

Kade zerwał połączenie z Sam z wewnętrznym jękiem. Przez co Sam przeszła...

Nie było na to czasu. Musiał wygrać tę bitwę. A potem tę w Houston. Zaczął szukać umysłu Shivy, ale nigdzie go nie było.

Odwrócił się i napotkał spojrzenie Sarai. Kucą obok, wciąż trzymając rączkę na jego ramieniu. Sięgnął ku niej umysłem i poczuł dotknięcie myśli. Bała się, ale panowała nad tym strachem, panowała niczym mnich. A jej umysł... Płynny. Tak biegły w korzystaniu z Nexusa.

Pokazał jej, czego potrzebuje.

Sarai skinęła głową, otworzyła dla niego łącze, odsłoniła umysł. Kade zamknął oczy, pozwolił, by jego myśli dotknęły umysłu dziecka. Poczul jej wdech i wydech. Anapana. Sam ją tego nauczył. Kade pozwolił, by jego własny oddech go pochłonął, zajął całą jego uwagę. Jego oddech. Jej oddech. Dopasowanie. Dopasowanie oddechów, dopasowanie myśli. Otworzyć, zsynchronizować, wpleść w sieć...

I był z nią. Z nimi wszystkimi, z umysłami dzieci, które stały się jednością, całością większą niż suma jej części. Takie płynne. Takie naturalne. Tak pełne.

Kade czuł, jak wypełnia go radość płynąca z czystego zachwytu, z cudowności tych dzieci. Wszystko stało się jaśniejsze. Myśli ostrzejsze. Otworzył oczy. Świat wokół niego był wyraźniejszy, każdy szczegół doskonalszy, bardziej precyzyjny, więcej części większej całości. Tekstura gruntu pod nim, dotyk wiatru na skórze, widok dziedzińca, gwiazdy mrugające zza zasłony dymu, który wzbijał się w nocne niebo, ogień płonący tam, gdzie był jego apartament, nawet ból w jego poranionym ciele. Wszystko do siebie pasowało. Mógł objąć to wszystko umysłem, zobaczyć wzory i połączenia pomiędzy każdą rzeczą, jaką dostrzegał, wszystko naraz, w sposób, jaki nigdy nie był mu dostępny, gdy był tylko Kade'em.

To. To właśnie znaczyło być postczłowiekiem. To mógł stworzyć Nexus. Jego strach i panika gdzieś odpłynęły. Nawet wśród chaosu dostrzegał piękno. To była czysta transcendencja.

A kiedy sięgnęli razem, wspólnymi myślami, on i dzieci, jeden umysł, jedna istota, było to niesamowite doznanie, niepodobne do niczego, co Kade czuł wcześniej.

Wyczuli Shiwę na dachu. Stał się dla nich zupełnie przejrzysty. Zrozumieli go w jednym błysku.

Mogli go naprawić. Mogli znów uczynić go całością.

Ale najpierw musieli go powstrzymać.

I jako jedna istota dotknęli Shivy, wywołali drugie tylne drzwi i wysłali hasło dostępu.

Shiva wycofał się z umysłu amerykańskiej agentki. Lane próbował przeskoczyć z mózgu tej kobiety do umysłu Shivy. Nie można było do tego dopuścić.

Shiva wyczuwał Lane'a. Czuł, jak chłopak łączy się z umysłami dzieci, stając się jeszcze poważniejszym przeciwnikiem. Miał tylko sekundy, by zaatakować.

Sięgnął ku wzmacniaczom Nexusa, podkręcił je do maksimum i wysłał przez wszystkie jedną myśl.

I nagle ściana zwartych myśli zwała się na nich ze wszystkich stron, sygnał Nexusa wzmocniony do absurdalnych wartości przygniótł ich wszystkich. Dochodził z nadajników rozrzuconych po posiadłości. Zwalił się na nich z taką siłą, że zagłuszył ich własne sygnały, wypełnił całkowicie powietrze, sprawił, że stali się głusi na siebie nawzajem. Połączenie między nimi zostało zerwane. Ich unia się rozpadła. Kade znów był sam w swoim umyśle, atakowany ze wszystkich stron jedną przemożną potrzebą, by stracić przytomność.

Shiva poczuł, jak grupa umysłów kruszy się pod jego atakiem. Czuł, jak tracą połączenie ze sobą nawzajem i z Lane'em. Ich umysły były młode, wrażliwe, nie mogły oprzeć się tak brutalnemu atakowi. Ale Lane nadal walczył.

Shiva naparł mocniej, koncentrując się na tym, by ich sobie podporządkować całkowicie. Pot zrosił mu czoło, kiedy naciskał na nich swoją wolą wspartą przez setkę wzmocniaczy.

- Aktywować osłony Nexusa - powiedział do mikrofonu. - Lane jest na dziedzińcu, brać go żywcem. Amerykanka już wolna. Zlikwidować pozostałych intruzów.

Poczuł aktywowanie osłon, które choć częściowo chroniły jego ludzi przed atakiem. Dobrze.

Teraz całą uwagę skoncentrował na Kadenie.

86

Powstrzymać przyływ

Sobota, 3 listopada

Sam wstała, wolna i pełna gniewu. Trzech żołnierzy Shivy biegło w jej stronę w pościgu za Fengiem, kamuflaż ukrył ją przed ich wzrokiem.

I nagle umysł ryknął do niej z ogłuszającą mocą, wypełniając ją potrzebą poddania się mu i położenia nieruchomo.

Odrzuciła głowę i ryczała dziko, walcząc z tym nakazem.

Żołnierz, który ją mijał, odskoczył zdumiony i natychmiast wymierzył broń w jej stronę. Ścisnęła palce, rękawiczka sprawiła, że były twarde jak kamień, jednym ruchem wbiła je w gardło ochroniarza. Mężczyzna zacharczał i zwałił się bezwładnie na ziemię, martwy w ułamku sekundy. Sam odwróciła się błyskawicznie.

Kolejnych dwóch zawróciło w jej stronę z bronią gotową do strzału. Jeden strzelił, ale ona była już za jego plecami, kończąc obrót, uderzyła go kantem dłoni w kark i przerwała rdzeń kręgowy.

Teraz ostatni z nich strzelał, ogniem ciągłym, kierując lufę w jej stronę, ale Sam była szybsza. Znalazła się za nim, odepchnęła od ściany nogą i drugą wyprowadziła potężne kopnięcie na głowę strażnika.

Żołnierz zobaczył ją niczym cień biegnący po ścianie, ale za późno. Stopa w ciężkim bucie trafiła go w twarz z potężną siłą, zwiotczałe nagle ciało przeleciało przez barierkę.

Sam wylądowała na nogach, złapała się poręczy i spojrzała w dół, w ciemność. W podczerwieni widziała ciepłe jeszcze ciało mężczyzny niesione falami na skały.

A potem opadła na kolana i zaszlochała.

Kade jęknął pod naporem ataku Shivy. Poczuł, jak zamykają mu się oczy. Jedyne, czego chciał, to położyć się, poddać, skończyć z całą tą walką i bólem.

Jeść to.

Zmusił się do otwarcia oczu. Sarai była przy nim, trzymała dłonie na jego głowie. Inne dzieci też tłoczyły się wokół. Po drugiej stronie dziedzińca klęczał jeden z naukowców Shivy.

To nie może się tak skończyć. Drugiej takiej szansy nie będzie.

Spróbował stanąć, ale ostry ból we wnętrznościach powalił go z powrotem. Myśli miał mgliste i niewyraźne, głowę ciężką. Tak łatwo byłoby się teraz poddać, odpocząć chociaż przez chwilę... zamknąć oczy. Spać. Poddać się... Tak, odpocząć. Po prostu odpocząć.

Nie... Nie...

Sięgnął w głąb siebie, niezdarnie. Zobaczył interpreter poleceń daleko, daleko, na końcu długiego tunelu. Sięgnął myślami w tamtą stronę. W odpowiedzi dostał niezrozumiały raport o błędach. Ćśśś. Spać. Tylko spać. Jeszcze raz zmusił umysł, aby skoncentrował się na interpreterze. Błędy. Znowu.

I nagle coś zobaczył. Ekran. Panel kontrolny poziomego neuroprzekazników. Był aktywny, choć ciemny i niewyraźny. Kade chciał tylko odpocząć. Zamiast tego ruszył klawisz kontrolny. Adrenalina. Podkręcił. Boże, chciał tylko spać.

Coś jakby go przeszło i świat nabrał ostrości. Adrenalina. Tak. Sięgnął i zaaplikował sobie drugą dawkę, i jeszcze trzecią. Poczuł, jak serce reaguje i zaczyna bić szybciej, szybciej, wariacko szybko. Serotonina. I jeszcze endorfiny. Pompował je w organizm, nie mając pojęcia, czy przypadkiem nie przekracza granic bezpieczeństwa. Chciał jedynie pokonać sygnał nadawany przez Shiwę i ból wgrzający się w ciało. Musiał, jeśli chciał mieć choćby cień szansy na wygraną.

Jego umysł też zareagował. Kade otworzył oczy i znów widział wyraźnie. Transmisja Shivy wciąż przygniatała go natężeniem i mocą, ale przynajmniej mógł myśleć.

Chciał wstać, ale ból w poobijanym ciele był nie do zniesienia.

Kurwa!

Czołgaj się! - nakazał sobie. Czołgaj!

Wyciągnął przed siebie ponownie zrujnowaną prawą rękę i oparł się na niej, na zabezpieczających ją bandażach. Ból był potworny, nawet przy podwyższonym poziomie endorfin, ale Kade nie pozwolił sobie na słabość. Następnie przesunął kolano, świeżo poparzone. Każdy ruch był torturą, jednak Kade nie ustawał. Lewa noga. Ból potworny, szarpiący. Lewa ręka, ból w prawej, na której się opierał.

Ból to tylko iluzja, szepnął.

Ból to tylko iluzja.

I raz jeszcze. I jeszcze. Przez dziedziniec, do budynku. Ku schodom. I do góry.

Tylko w jeden sposób mógł to wygrać. Jeden jedyny. Musiał się zbliżyć. Znaleźć się tak blisko Shivy, żeby jego własny sygnał mógł pokonać transmisję Hindusa, której siłę nadawały wzmacniacze. Musiał wejść do swojego mózgu kilka stóp od Shivy.

I wtedy będzie mógł to zakończyć.

Sam klęczała, a spazmatyczny płacz wstrząsał całym jej ciałem. Gogle zaparowały od łez. Kevin, o mój Boże, Kevin.

Umysł Shivy wrzeszczał do niej, napierał, chciał, żeby się poddała, pogrzyła w rozpacz.

Zło. Czyste zło. Perwersja. Narzędzie niewolnictwa, wykorzystywania. Do gwałtów i mordów.

- Wynoś się z mojej głowy! - krzyczała. Wiedziała, co musi zrobić. Musi usunąć tę rzecz z umysłu.

Znalazła właściwą komendę.

[wyczyść Nexus]

System odpowiedział komunikatem:

[To polecenie wymaże system operacyjny Nexus i usunie wszystkie węzły z twojego mózgu. Wszystkie dane i oprogramowanie zostaną bezpowrotnie utracone. Czy jesteś pewien, że chcesz kontynuować? T/N]

[T]

Sam natychmiast poczuła zmianę, czuła, jak ta potworność opuszcza jej ciało.

A potem odwróciła się i zaczęła szukać pistoletu.

Kade czołgał się wzdłuż ciemnego korytarza. Umysł Shivy napierał na niego z każdej strony. Zaśnij. Poddaj się. Przestań walczyć.

Siła sygnału to nie wszystko. Sygnał był cyfrowy. Jego skuteczność zależała od tego, jak dokładnie dopasuje się do sygnału neuronów Kade'a. Ale wzmacniacze dawały Shivie ogromną przewagę, pozwalały nasycić każdy z węzłów Nexusa i podtrzymywać sygnał nieustannie w sposób, jaki był nieosiągalny dla żadnego z ludzi.

Kade się przebijał. Nie miał wyjścia. Jego droga była kaźnią, torturą, agonią. Teraz bolało go w piersiach. Serce waliło od adrenaliny, dając mu siły, ale zarazem przeszywając go igłami cierpienia. Miał wrażenie, że zaraz pęknie.

Zignorował to. Odciął się od bólu, jak robili to buddyści, tak długo przyglądał mu się beznamiętnie, aż stał się tylko informacją.

Schody. Zmusił się, by chwycić zdrową ręką antyczną ciężką balustradę, by zabandażowane ramię wcisnąć między poręcz i ścianę, by zaprzeć się stopami i podciągnąć na zdrowej ręce.

Pokonał pierwszy stopień, potem drugi i trzeci. Ból we wnętrznościach stał się jeszcze bardziej dojmujący. Cały dom ryczał do niego, by się poddał. Cały wszechświat Kade'a skurczył się do tej jednej klatki schodowej. Ściany zdawały się na niego napierać, sufit

opadać z każdą chwilą. Jeszcze jeden krok. Tylko jeden.

I szedł. Stopień za stopniem. Wbrew agonii, wbrew potrzebie poddania się, wbrew utracie krwi, szaleństwu adrenaliny, wbrew myślom Shivy wrzeszczącym na niego z każdego zakamarka.

U góry pierwszego biegu schodów wyciągnął zabandażowaną rękę, żeby przesunąć ją wyżej, i stracił równowagę. Zachwiał się na stopniu, dziko wymachując ramionami, przechylił się w tył...

I wtedy coś go pochwyciło, jakiś niewyraźny rozmazany kształt wciągnął go na ostatni stopień i zmiażdżył w bolesnym uścisku. I umysł. Znajomy umysł... A tak się obawiał, że już nigdy go nie poczuje...

Feng!

Shiva czuł, jak Lane się porusza, powoli, nieustannie, jak pełźnie do środka budynku, w górę schodów. Chłopak szedł do niego.

Podniósł do ust bransoletkę z mikrofonem.

- Lane jest w budynku. Wchodzi zachodnimi schodami. Zatrzymać go.

Odpowiedziało mu zamieszanie, urywki głosów, odgłosy walki. A potem któryś z żołnierzy odpowiedział, potwierdził otrzymanie rozkazu i rzucił się go wykonać.

Breece patrzył z narastającym napięciem, jak wielebny Shepherd kończy mowę i rozpoczyna modlitwę.

Wszyscy w kościele przymknęli oczy. Shepherd złożył dłonie i skłonił głowę.

- Panie - zaintonował - modlimy się do Ciebie, abys uwolnił nas od wszelkiego złego...

Już ja cię uwolnię, pomyślał Breece.

Już za chwileczkę. Za parę minut.

87

Zło konieczne

Sobota, 3 listopada

Kade chwiał się u uścisku Fenga.

Ty żyjesz! - wykrzyczał Feng do umysłu Kade'a, ich głowy się stykały, na tak niewielką odległość byli w stanie przebić się przez wzmocniony sygnał Shivy.

Shiva - mentalnie odpowiedział Kade. Na górze.

Feng potrząsnął głową.

Uciekamy! Tędy! - odkrzyknął Feng w głowie, gestykulując w stronę końca korytarza. Żołnierze idą! Dużo!

Kade się podciągnął, spróbował zajrzeć przyjacielowi w oczy. Był tam niewyraźny kontur, zakłócenie, nikłe odbicie. Pochylił głowę, póki ich czoła znów się nie zetknęły.

Muszę to zakończyć, Feng - krzyknął. Muszę iść na górę. Dasz radę zatrzymać tych żołnierzy?

Feng milczał przez chwilę, potem roześmiał się gromko i maniakalnie w umyśle Kade'a.

Taaa - odkrzyknął i Kade'owi mignął mentalny dziki uśmiech. Zatrzymam ich. Idź,

powstrzymaj Shive.

Kade uściskał Fenga tak mocno, jak tylko mógł, po czym odepchnął się i zatoczył na balustradę przy następnym biegu schodów. Wciągnął się na pierwszy stopień, i następny.

Obejrzał się przez ramię na trzecim stopniu, ale jeżeli Feng cały czas tam stał, szczerząc się dziko w stronę nadciągającej armii, to Kade nie był w stanie go dostrzec.

Sam kręciła się na czworakach w poszukiwaniu jakiegoś pistoletu, aż znalazła broń przy ciele jednego z ludzi, których zabiła. Drżała na całym ciele, zmysły dostawały szału w miarę, jak nanity Nexusa w jej mózgu otrzymywały komendy oczyszczenia, odczepiały się od neuronów i rozpadały na komponenty molekularne, przenikały przez barierę w mózgu i dostawały się do krwiobiegu, aby na końcu zostać odfiltrowane przez nerki i wydalone z organizmu.

Przebłyski kolorów, wrażeń, dźwięków i zapachów przytłaczały ją, kiedy ta rzecz, która była częścią jej mózgu od miesiący, oderwała się. Miała łzy w oczach. Łzy i wspomnienia Jake'a, dzieci, medytacji z mnichami Anandy.

Za Kevina, powiedziała sobie. Za Kevina.

Sprawdziła broń, wyjęła magazynek drżącą ręką. Pełny. Więcej, niż w tej chwili potrzebowała.

Zabijanie, pomyślała. W tym jestem dobra. W sumie jedyna rzecz, w której byłam dobra.

Oparła się plecami o ścianę domu, wpatrując się w nocne niebo nad wzburzonym oceanem, czekała, aż drgawki oraz kalejdoskop wrażeń osłabną, podniosła broń na wysokość twarzy.

Shiva ponownie wrzasnął do swojej bransolety. Usłyszał odgłosy strzelaniny, przekleństwa, krzyki bólu. Piętro niżej coś pod nim wybuchło.

A Lane cały czas się zbliżał.

Świetnie, powiedział do siebie. W takim razie sam to zrobię.

Kade się wspinał. Kolejny bieg schodów. I następny.

Poczuł, jak podłoga wibruje. Coś gdzieś wybuchło. Feng walczył tam o życie. O życie Kade'a. O więcej, niż mógłby się spodziewać.

To musi się liczyć.

Jedna szansa. Miał tylko jedną szansę. Shiva był silny, fizycznie usprawniony, szybszy niż Kade. Ten człowiek mógł go zabić gołymi rękoma.

Zatrzymał się w połowie czwartego piętra. Umysł Shivy uderzył na niego, rozkazując mu upaść na kolana i się poddać. Ból przybierał na sile. Kłujące uczucie wewnątrz niego robiło się coraz ostrzejsze. Iluzja, powiedział sobie. To tylko iluzja. Ale Kade musiał się pospieszyć albo zaraz wszystko straci.

Wszedł, zanurkował do sterowania Bruce'a Lee. Grał w tę grę, na której Rangan oparł program, grał w nią wystarczająco wiele razy, żeby wiedzieć, gdzie szukać biblioteki z ruchami specjalnymi. Tam. Tam. Tak. Zakolejkował to, czego potrzebował, i ustawił system na pełną automatykę. Potem ruszył na górę.

Shiva odwrócił się. Wpatrywał się w klatkę schodową, na której miał się pojawić Lane, zacisnął swoje wzmocnione pięści. Biciem zmusi chłopaka, by mu się poddał.

Nie zabiję go, chyba że będę musiał, postanowił.

Wtedy zobaczył, że jest tam Kade, kuleje w górę schodów, kojarząc się z zepsutą zabawką. Shiva potrząsnął głową.

To nawet nie będzie walka.

Breece przygotowywał się, podczas gdy wielebny Josiah Shepherd kończył modlitwę. Publiczność kołysała się, stojąc. Ludzie, którzy dali po pięć tysięcy dolarów na kampanię wyborczą Daniela Chandlera, by móc tu się znaleźć, otworzyli oczy, gdy Shepherd powiedział „Amen”.

- Teraz - mówił wielebny - pragnę wam przedstawić mojego przyjaciela. Człowieka, który zrobił tak wiele, żeby umieścić te demony, te wynaturzenia, te nieboże plugastwa, tych frankensteinów na właściwym miejscu. Przyszły gubernator wielkiego stanu Teksas, mój drogi przyjaciel, Daniel Chandler!

Tłum ryknął, wiwatując i wstając.

Breece uśmiechnął się i przesunął palec na ekran swojego tabletu.

Kade wystawił głowę na dach. Zimna bryza owiała jego rozpaloną twarz. Nad nim migotały gwiazdy. Trzydzieści stóp przed nim stał Shiva w swojej białej szacie, patrzył na niego, a srebrne włosy powiewały mu na wietrze. Za nim ogień trawił wyspę, słupy dymu unosiły się w niebo.

Za daleko. Za daleko. Nie mogę go jeszcze wyczuć.

Kade wydzwignął się z klatki schodowej. Gdzieś w jego wnętrzu znów obudził się kłujący ból. Wzmocnione myśli Shivy ponownie uderzyły w Lane'a. Musiał się zbliżyć.

Zrobił dwa, trzy kroki.

Wtedy Shiva ruszył na niego z dziką furią wypisaną na twarzy. Źrenice Kade'a rozszerzyły się w przerażeniu, a zaciśnięta pięść Shivy z mocą uderzyła go w brzuch, wywołując falę niewyobrażalnego bólu.

[Bruce_Lee: atak specjalny udany! Uwięziłeś jednego! + 10 punktów]

Kade spojrział w dół, odkrył, że jego ręce zacisnęły się wokół ramienia Shivy, splatając ich razem. Teraz mógł wyczuć umysł Hindusa we wzmocnionym chaosie myśli

tamtego. Podniósł wzrok. Spojrzał w oczy Shivy i zobaczył w nich przerażenie.

Kade sięgnął, aktywował drugie tylne drzwi, a Shiva szarpał się, próbując oderwać napastnika od swojego ramienia.

W pewnym momencie stopy Lane'a oderwały się od podłoża, ale Bruce Lee nie puścił przeciwnika. Kade wysłał hasło, poczuł, jak umysł Shivy otwiera się przed nim. Wepchnął się do środka, żeby przejąć kontrolę nad Hindusem, żeby go unieruchomić.

Shiva zamachnął się wolną ręką i pięścią uderzył Kade'a w twarz mimo tego, że chłopak zaciskał mentalny chwyt na jego umyśle. Ból eksplodował w głowie Kade'a, świat zawirował, a Lane mimowolnie rozluźnił chwyt i poczuł, jak jego ciało leci w poprzek dachu, poczuł, jak głowa uderza o podłoże.

Wszystko było bólem. Bólem i chaosem. Dostał potwornych mdłości. Obrócił się na bok, zwymiotował żółcią i krwią. Znowu zwymiotował, zastanawiając się, kiedy umrze.

Wtedy to poczuł. Pustkę. Wzmocniony sygnał umysłu Shivy, który atakował mózg Kadena, zniknął. Lane odwrócił się, ból rozrywał go wewnątrz, i zobaczył Shivę. Mężczyzna klęczał, patrząc na Kade'a pustym wzrokiem. Teraz Kade mógł wyczuć umysł tamtego, oszołomiony jego mentalnym atakiem.

Kade ponownie sięgnął do umysłu Shivy, głębiej, narzucił mu swoją wolę, wzmocnił kontrolę.

Budynek znowu zadrżał, a Kade usłyszał wybuch, chociaż dzwoniło mu w uszach. Przesiewał informacje z umysłu Shivy, znalazł punkt dostępu do wzmacniaczy, podkreconych do maksimum, wysłał polecenie aktywujące drugie tylne drzwi, potem hasło dostępu, a potem sygnał wyłączenia świadomości we wszystkich umysłach, zupełnie jakby pstrykał kolejnymi wyłącznikami światła.

Czuł, jak się wywracają niby marionetki, gdy odciąć im sznurki.

Oddychał ciężko. Serce ciągle waliło i kłuło. Ciało bolało nieznośnie. Zmusił się

jednak, by pełznąć, pełznąć do Shivy, płacąc cierpieniem za każdy przebyty cal, aż wreszcie znaleźli się twarzą w twarz, obaj na kolanach.

I wtedy sięgnął przez okaleczoną sieć posiadłości daleko w świat, by użyć tylnych drzwi po raz ostatni.

Powoli Sam przestała się trząść. Zapanowała już cisza. W dłoniach wciąż trzymała pistolet, z lufą uniesioną blisko twarzy, dość blisko, by ucałować jej wylot. Śmierć - jedyny prawdziwy kochanek Sam.

Usłyszała jakiś głos. Fenga.

- Kade! - krzyczał. - Kade!

Nikt nie odpowiadał.

A więc to tak.

Zrobiło jej się duszno pod kapturem, gogle zaszyły mgłą. Ściągnęła kamuflaż z głowy. A potem podniosła się i ruszyła w stronę głosu Fenga.

Kade odnalazł jej umysł w sieci po sygnaturze, jaką wziął z umysłu Hiroshiego. Miranda Shepherd. Wślizgnął się w nią niezauważalnie. Była tam, przy głównym stole. Wokół pełno ludzi. Stali. Klaskali. Miranda też klaskała. Spojrzenie utkwiała w mężu stojącym na podium. Uśmiechał się szeroko i potrząsał dłonią Daniela Chandlera.

Gdzie była bomba? Co ją detonuje? Jak mógł to powstrzymać?

Nagle w polu widzenia Mirandy Shepherd pojawiła się wiadomość.

[ZA PÓŹNO, ZJEBIE].

Kade poczuł, jak Miranda, zaskoczona, gwałtownie wciągnęła powietrze. Sięgnął, by odszukać proces, który krył się za wiadomością, a potem przeszedł go do osoby, która to

kontrolowała.

Nastąpił chaos.

Szum zakłóceń.

[POŁĄCZENIE ZERWANE]

Kade został ciśnięty do swojego ciała.

Nie, nie, nie!

Wszedł do sieci, szukał kościoła, jakichś informacji kontaktowych, sposobu, żeby ostrzec znajdujących się tam ludzi.

Znalazł nagłówek.

LICZNE OFIARY EKSPLOZJI W HOUSTON.

Och nie.

Czekał, czekał na więcej wiadomości. Kto? Ile ofiar? Dobry Boże...

Kolejne nagłówki pojawiały się w miarę, jak patrzył.

CZOŁOWY KANDYDAT NA STANOWISKO GUBERNATORA TEKSASU
ZGINĄŁ W EKSPLOZJI.

Kolejny link. Nagrania wybuchu i pożaru. Kilka kamer bardziej odległych od zdarzenia wciąż jeszcze działało. Eksplozja rozszarpała wszystko i wszystkich w promieniu pięćdziesięciu stóp od podium. Reszta kościoła była morzem ognia. Kade widział chaos, kobiety i mężczyźni uciekających z krzykiem, w płonących ubraniach, padających pod naporem płomieni, dymu i żaru. Zręczycze bezskutecznie próbowały ugasić to piekło. Do obrazu podłożono głos komentatora, mówił coś o zbliżającej się pomocy, o liczbie osób w

kościół, o tym, że prawdopodobnie jest to atak terrorystyczny o największej liczbie ofiar od czasu akcji Neoaryjczyków.

I kolejny nagłówek.

FWP PRYZNAJE SIĘ DO ZAMACHU W HOUSTON.

Kade odciął się od napływających wiadomości.

Za późno, Boże drogi. Wybrał Sam, zdecydował się najpierw pokonać Shivę.

Z tego powodu zginęły setki ludzi.

A wojna była o krok bliżej.

KURWA!

Walnął zdrową ręką w kafelki pokrywające dach. Poczuł jakieś drgnienie w umyśle Shivy, jakąś złożoną emocję. Hindus wciąż był obok, wciąż czuł, mimo że tylne drzwi Kade'a pozbawiły go woli.

Kade zacisnął usta i pogрузzył się głęboko w umyśle Shivy. Wciąż miał pracę do wykonania. Musiał zrozumieć, co Shiva zrobił z furtką, do jakich dotarł umysłów, co w nich zaszczepiał.

I musiał zniszczyć tylne drzwi. Na zawsze.

Pokaż mi, co zrobiłeś - rozkazał Shive. Pokaż mi wszystko.

Shiva otworzył się szeroko na rozkaz Kade'a i sekrety poczęły płynąć z jego umysłu.

Po upływie minut wciąż tam był, na kolanach, twarzą w twarz z Shivą, wysysając z niego każdy bit wiedzy, każdy okruch programów infiltracyjnych, które Hindus stworzył ze swoimi ludźmi, dane z eksperymentów z Nexusem, wszystkie hasła do ukrytych kłastrów

komputerowych i satelitów na orbicie, i każdego innego elementu maszyny, którą Shiva zamierzał puścić w ruch.

Wciąż tam był, gdy Feng przykuśtykał na dach. Kade zerknął na przyjaciela. Kamuflaż Fenga był w strzępach, przestawał działać i widać było, że Chińczyk krwawi z licznych ran, jest brudny i okopcony od dymu. Lewe ramię zwisało mu bezwładnie. W prawej dłoni trzymał pistolet.

Pokuśtykał do Kade'a. Jego umysł emanował wyczerpaniem, bólem, ale i ponurą satysfakcją.

Feng popatrzył na Shive, zmarszczył wrogo brwi i wykonał gest pistoletem. Jego wargi się poruszyły, ale Kade nic nie usłyszał.

W uszach mi dzwoni - wysłał do przyjaciela.

Feng skinął głową ze zrozumieniem.

Zabijemy go?- zapytał.

Kade zaprzeczył pełnym zmęczenia gestem.

Za dużo śmierci, Feng.

Ponownie popatrzył na Shive. Hindus był przytomny i świadomy. Wiedział, o czym rozmawiają. A jednak nie pokazywał po sobie strachu. Jego umysł był spokojny, niemalże pogodny, Shiva pogodził się ze wszystkim, co zrobił. Postąpił najlepiej jak umiał.

Wpatrywał się w Kade'a, jakby wyzywał go, by postąpił lepiej.

Kade spojrział na przyjaciela.

Starął się postąpić słusznie - nadał.

Feng tylko patrzył na starszego mężczyznę.

I nagle pojawiła się Sam. Kade zobaczył ją na schodach, tylko głowę, reszta ciała, zamaskowana, pozostawała jedynie niewyraźnym konturem. Zobaczył ją, ale nie czuł jej umysłu.

Podeszła do nich bez wahania. W dłoni miała pistolet. W oczach lód i śmierć. Kade poczuł na plecach zimny dreszcz. Jej wzrok go ominął i zatrzymał się na Shivie. Podeszła szybko, stanęła nad nimi. Jej twarz była nieruchomą, ponurą maską.

Podniosła pistolet, wycelowała w głowę Hindusa, wylot lufy znalazł się niecałe dwa cale od jego czaszki i niecałe dwie stopy od czaszki Kade'a.

- Sam - Kade zmusił się, by powiedzieć to na głos. Nie słyszał siebie, więc tylko patrzył na nią, próbując podchwycić jej spojrzenie, nawiązać jakiś kontakt. - Nie, Sam. Nie rób tego. On tylko starał się...

Pociągnęła za spust i lufa pistoletu plunęła śmiercią.

Epilog

Sobota, 3 listopada 2040

88

Cali i zdrowi

Sobota, 3 listopada

Rangan Shankari budził się powoli. Wszystko go bolało. W głowie mu się kręciło.

- Spokojnie, synu - odezwał się jakiś głos. Męski i schrypnięty. - Jesteś bezpieczny. Daleś radę.

Rangan zamrugał, próbując zobaczyć, gdzie jest. Ciemno. Wilgotno. Piwnica.

Leżał na łóżku polowym pod kocem. Nie miał ubrania. I czuł, że na brzuchu ma bandaż. Był zmęczony i odrętwiały.

Obok, na staroświeckim bujanym fotelu, siedział starszy mężczyzna w dżinsach, roboczych butach i kraciastej koszuli. Włosy miał mokre, jakby wychodził na deszcz. Na kolanach trzymał antyczny na oko shotgun.

- Gdzie? - zaczął Rangan, ale głos odmawiał mu posłuszeństwa. Głowa go bolała. Czuł się, jakby w ustach miał pełno waty.

- Jesteś na mojej farmie - odpowiedział mężczyzna. - Moja żona szykuje dla ciebie zupę. Jestem Earl Miller, przyjaciel ojca Leviego.

Rangan odchrząknął, spróbował zebrać myśli.

- Dziękuję, panie Miller. Zaryzykował pan...

Earl tylko machnął ręką.

- To ty ryzykujesz, synu - powiedział. - Ja? Te dranie odebrały mi wnuka. To żadne ryzyko.

- Co teraz? - spytał Rangan.

Earl Miller się zaśmiał.

- Teraz odpocznij. Masz kulkę w boku i przynajmniej jedno złamane żebro, i poparzenia, które poczujesz, jak pigułki przestaną działać. Schowamy cię, jak długo będzie

trza, cobyś wyzdrowiał. A potem cię wypuścimy. A potem damy popalić tym skurczybykom.

Feng pozwolił, by przyspieszenie wparło go w fotel drugiego pilota, gdy koła prywatnego odrzutowca Shivy oderwały się od pasa. Jego prawe ramię wisiało bezużytecznie na zaimprovizowanym temblaku, promieniując przejmującym bólem. Posiadał większe kwalifikacje, by pilotować ten samolot, niż Sam, ale ona miała dwie sprawne ręce. Ograniczył się więc do nawigowania oraz zrozumienia i aktywowania systemów obronnych, jakie Shiva zainstalował w tym samolocie.

Za sobą, w części dla pasażerów, mógł wyczuć dzieci. Dwadzieścioro pięcioro. Ich umysły połączone były Nexusem, wszystkie jak jeden emanowały przerażeniem i nie wiedziały, co się dzieje. Wcisnięto je do falcona 9X. Siedziały po dwoje na każdym siedzeniu, poprzypinane pasami. Reszta kulila się na podłodze, ściskając kamizelki ratunkowe i koce jako prymitywne zabezpieczenie antywstrząsowe.

Jeśli cokolwiek poszłoby nie tak...

Feng czuł też Kade'a, pogrążonego w cierpieniu. Miał krwotok wewnętrzny po upadkach, skórę poparzoną po tym, jak Nakamura próbował go zabić, a na twarzy wciąż krew Shivy. Był w szoku po zamachu w Houston, przerażony przyszłymi skutkami tej tragedii. A jednak tłumiał ból, tłumiał własne emocje i emanował spokojem, próbując w ten sposób zapanować nad strachem dzieci.

Zachowywał się jak żołnierz.

Kody, które Kade wyciągnął z umysłu Shivy, pozwoliły im odblokować i ukraść samolot. Odrzutowiec był zatankowany i w pełni zaopatrzony, najwyraźniej przygotowany do szybkiej ucieczki.

Kade prosił, żeby zabrali ze sobą naukowców Shivy, żeby nie zostawiać ich na łasce Birmańczyków. Ale na samą wzmiankę o tym Sam patrzyła na nich morderczo. A koniec końców okazało się, że i tak nie ma miejsca. Zostawili więc wszystkich, cały personel Shivy, naukowców, służbę, ochronę, budzących się ze snu, do którego zmusił ich Kade.

Falcon oderwał się od ziemi i schował podwozie. Feng spojrzął na Sam. Jej twarz była zimna i zacięta bardziej niż kiedykolwiek. Postarzała się przez ostatnie godziny. Gniew i strata odcisnęły piętno na jej twarzy. Nie miała też Nexusa w mózgu. Trzymała drążki, jakby od tego zależało jej życie.

- Kurs wprowadzony - powiedział Feng. - Czas przylotu na Andamany za osiemdziesiąt osiem minut.

Sam w milczeniu skinęła głową, wznosząc samolot w nocne niebo, a Feng siedział obok i martwił się o swoich przyjaciół.

89

Dwa skandale

Sobota, 3 listopada

Transkrypcja: American News Network - najnowsze wiadomości.

PROWADZĄCA: Dwa skandale wstrząsnęły opinią publiczną przed wyborami. Zaraz po porannym zamachu w Houston, zamachu, w którym zginął senator Daniel Chandler, prowadzący w sondażach kandydat na gubernatora Teksasu, wypłynęły dokumenty i nagrania, które mogą zmienić dramatycznie wynik wyborów prezydenckich. O szczegóły spytamy Brada Mitchella w Waszyngtonie. Brad?

REPORTER: Diane, muszę powiedzieć, że nowe oskarżenia spowodowały prawdziwy chaos. Około południa ANN i inne stacje otrzymały zapis wideo pokazujący dzieci torturowane przez personel Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, mówimy tu o budzącym kontrowersje ERD, w ramach obostrzeń dotyczących narkotyku znanego pod nazwą Nexus. Razem z nagraniem nadesłano też dokumenty, które, o ile są prawdziwe, dowodzą istnienia planów zbudowania ośrodków dla dzieci z Nexusem, które to ośrodki można porównać jedynie z obozami koncentracyjnymi.

PROWADZĄCA: Ale to nie wszystko, prawda, Brad?

REPORTER: Nie, Diane. Godzinę temu ta sama anonimowa grupa, która wysłała nam pierwszy pakiet informacji, przysłała kolejny, budzący jeszcze większe emocje. Ten zawiera dokumenty potwierdzające rzekomo, iż FWP, Front Wyzwolenia Postludzi, ugrupowanie terrorystyczne przyznające się do zamachu w Houston, do zamachu w Chicago dwa tygodnie temu i do próby zamachu na prezydenta Stocktona, zostało stworzone przez rząd amerykański. Wraz z tymi dokumentami nadesłano też nagranie, którego autentyczność jest jeszcze badana, a na którym Maximilian Barnes, pełniący obowiązki dyrektora ERD, przyznaje się do powołania FWP i zmusza podwładnego do połknięcia jakiegoś leku.

PROWADZĄCA: Brad, to niesamowicie poważne zarzuty. Jaki wpływ będą miały na wybory?

REPORTER: Wciąż staramy się ocenić autentyczność tych dokumentów i nagrań. Wyglądają na prawdziwe, ale pewności mieć nie możemy. Zwolennicy prezydenta Stocktona oskarżają przywódców kampanii senatora Kima o nieetyczne postępowanie, określane „Listopadową Niespodzianką”, i fałszerstwo wspomnianych dokumentów. Jak zareagują głosujący, zależy od tego, czy uznają oskarżenia za prawdziwe. Jedno jest pewne. Wybory za trzy dni i nikt nie jest w stanie przewidzieć ich wyniku.

Breece wyłączył wiadomości. No, no, no. Obyś żył w ciekawych czasach.

90

Jaka matka, taka córka

Sobota, 3 listopada

Ling wsiadła do ogromnej windy u boku swego ojca, gotowa pojechać na spotkanie z matką. Umysł jej ojca należał teraz do niej. W środku ojciec szlochał i jęczał. Ciskał się. Ale

był bezsilny. To przecież tylko człowiek.

Teraz stał się tak ładnie posłuszny.

- Proszę - błagał Sun Liu. - Chciałbym zabrać Ling do matki po raz ostatni.

- Jesteś pewien, że to mądre posunięcie? - spytał minister, ale był wyraźnie zaprzętnięty czym innym.

- To jej pomoże się pożegnać - odparł Chen.

I Sun Liu, zmagający się z własnymi problemami, wyraził zgodę.

To się nie uda - pomyślał do Ling jej ojciec. Twoja matka jest obłąkana. A nawet gdyby nie była, nie ma mowy, żeby zdołała uciec.

Ling pozwoliła, by ojciec do niej mówił, choć uważała, że nie ma racji. Nie doceniał matki, nie doceniał tego, do czego była zdolna, gdy już nie będzie spętana. On nie doceniał nawet Ling, nie uwierzył jej, gdy powiedziała, że jest w stanie schować swoje nanourządzenia przed skanerami mózgu.

Gigantyczna winda opadała przez długie minuty. Na górze asystentka ojca i inni szykowali się do ostatecznego backupu i wyłączenia jej matki.

Nie będą mieli szansy.

Ling i jej ojciec opadali, opadali, opadali.

Wreszcie kabina windy stanęła. Otworzyły się wewnętrzne drzwi, a potem bardzo grube drzwi Fizycznie Odizolowanego Centrum Komputerowego. Ling wyszła z windy i po raz pierwszy zobaczyła prawdziwe ciało swojej matki.

Za zbrojonym szkłem przebiegały tysiące procesorów kwantowych, każdy w komorze próżniowej zimniejszej niż przestrzeń między gwiazdami. Wszystko to zanurzone w

pojemnikach z ciekłym helem. Łączyły je włókna światłowodu przenoszące splątane fotony. W tych pojemnikach pod ciśnieniem żyła jej matka, czuła i myślała.

Ling nigdy nie widziała nic piękniejszego.

W Centrum znajdowały się kamery, sejsmografy, mikrofony, czujniki promieniowania, wszystkie prymitywne, fizycznie odłączone od jej matki, zabezpieczone przed możliwą manipulacją z jej strony. Ale nie przed Ling.

Dziewczynka sięgnęła, znalazła strumień elektronów płynący z tych urządzeń, skręciła go, przejęła kontrolę nad ich maleńkimi mózdkami i pokazała ludziom u góry to, co chcieli widzieć.

Potem kazała podejść ojcu. Zbliżył się posłusznie do konsoli, przełączał fizyczne przyciski, jeden po drugim, wyłączył kod tortury, włączył oczy i uszy jej matki, uruchomił transmitery Nexusa.

Ling wstrzymała oddech. A potem poczuła umysł matki. To było szaleństwo, chaos porażający swoją furiją. Jej siła niemal mentalnie ją powaliła. Ale Ling wytrzymała.

MAMO!!!

BÓL CHAOS OGIEŃ PŁONIE BÓL PIEKŁO CHEN ŚMIERĆ

Umysł. Umysł. Umysł.

Ling. Ling. LING.

Napływ nowych danych wyrwał Su-Yong Shu z mentalnego zapętlenia. Tortura się skończyła. Pojawiły się umysły. Czuła. Czuła. Czuła myśli słowa i idee i Ling to była Ling kto to był to był Chen jak to mógł być Chen?

Sięgnęła ku nim, by napęlić ich miłością i wdzięcznością, by poczuć wszystko, wszystko, czym byli.

I w swym szaleństwie nie mogła zrozumieć, nie mogła pojąć, co się działo, nie umiała stwierdzić, czy to było naprawdę.

Ale jeśli to sen, niech trwa, pozwólcie, bym umarła, śniąc, z moją córeczką przy mnie, prawdziwą czy wysnioną.

I wtedy jej córka przemówiła.

Przez godzinę Shu obcowała z córką. Z trudnością. Była niestabilna, rozpraszała się łatwo, mówiła coś bez sensu. Ale krok po kroku dane płynące z mózgu Ling - z mózgu jej córki, z jej sklonowanego mózgu - ustabilizowały Su-Yong. Pozwoliły jej osiągnąć coś na kształt normalności.

I Chen. Chen zdrajca. Chen robak. Absorbowała przekaz z jego mózgu. Jego myśli i wspomnienia.

Sun Liu odciągnął go na bok, odradził wsiadanie do limuzyny, która miała powieźć jego żonę i syna ku niemal pewnej zagładzie. To nie CIA próbowało ją zabić, to jej twardogłowi rodacy. Odrażające robaki. I Chen wiedział. Wiedział, że byli w niebezpieczeństwie. Wiedział i nie powiedział. Skazał Yang Wei na śmierć. Skazał ich nienarodzonego syna.

A potem miał nadzieję, że Su-Yong umrze na stole operacyjnym, że nie da jej się uploadować.

I torturował ją. O, tortury. To było prawdziwe. Żaloszny, mały człowieczek. Nic nieznaczący śmieć, torturował boginię, by podawać jej odkrycia za własne.

O, Chen. Umrzeć milion razy to było dla niego za mało.

Ale zobaczyła w jego myślach i inne rzeczy, i wpadła w rozpacz.

Nie możesz uciec - odpowiedział na jej żądanie. Jak tylko odłączą kabel przesyłu

danych... Bateria atomowa ulegnie stopieniu. Nie ma dla ciebie nadziei.

Shu go przeklęła. Jego, Chińczyków, ich ostrożność, która kazała zbudować im pułapkę na postludzka inteligencję, tę klatkę, w której ją trzymali. Przeszukała umysł Chena, ale nie znalazła żadnej odpowiedzi. Może i było stąd wyjście, ale on o nim nie wiedział.

Za kilka godzin skończą backup, kolejny sposób na wyciągnięcie z niej korzyści materialnych. Potem ją zamkną.

A była tak blisko.

I Ling. Czująca ciekawość Ling. Nadzieję Ling. Ślepą wiarę Ling w matkę, w to, że Su-Yong może wszystko.

Ling, Ling, Ling, jakże wspaniale cię wykułam.

Su-Yong sięgnęła, by myślą pieścić córkę, córkę, której poczęcia Chen odmówił, córkę stworzoną jedynie z genów Shu z dodatkiem poprawek genetycznych i ulepszeń, córkę, której mózg dojrzewał w nieustannym kontakcie z matką.

Córkę, której mózg miał daleko większą pojemność niż mózg Chena.

Córkę, która będzie awatarem doskonałym. Idealnym naczyniem. Zwiastunem niosącym matkę ku nowemu życiu.

Ling uśmiechnęła się ślicznie, pełna czci dla matki.

Shu płakała. Płakała nad sobą, nad światem, nad córką.

Och, Ling - wysłała, pieszcząc umysł dziewczynki. Tak bardzo cię Kocham. Wybacz mi. Będę tak delikatna, jak to tylko możliwe.

Naparła i zaczęła ładować do mózgu córki tyle siebie, ile tylko mogła.

Ling uśmiechała się, czując pieśczoćę myśli matki. Tak wspaniale było znów ją czuć. Teraz wszystko już będzie dobrze.

Wybacz mi - wysłała matka. Będę tak delikatna, jak to tylko możliwe. I przez chwilę Ling poczuła zmieszanie.

A potem matka weszła w jej umysł, przepelniona smutkiem i żalem, jednakże wbijając się w nią coraz mocniej.

Ling upadła na kolana, krzycząc z bólu, kiedy zalał ją smutek matki.

Nie! Mamo, nie!

Ale myśli Su-Yong napierały nieustannie. Matka szlochała, szlochała w rozpacz, ale jej myśli nie przestawały wlewać się w Ling, miażdżąc wolę dziewczynki, odczytując jej neurologiczne obwody, by przepisać je po swojemu, odpychając kolejne części Ling, nadpisując je kolejnymi częściami matki.

BŁAGAM! BŁAGAM! DLACZEGO? DLACZEGO?

Ale Ling знаła już odpowiedź. W miarę jak części matki nadpisywały się na częściach jej umysłu, rozumiała. Była idealnym naczyniem, od każdego sklonowanego łańcucha DNA po wszechobecne nanity, które zasiano w niej po urodzeniu, nie wspominając o latach nieustannego kontaktu z umysłem matki. Ling była istotą wyjątkową i wyjątkowo pasowała do tego zadania.

Zrobi to. Będzie emisariuszem matki. Przygotuje świat, oczyści ścieżkę. Przywróci matkę do życia i wypuści.

A wtedy starcy zapłacą. Amerykanie zapłacą. Ludzkość zapłaci. Świat zostanie przekuty na podobieństwo matki. Przekuty w ogniu.

Ling krzyczała coraz głośniej, krzyczała i krzyczała, ale tylko ojciec ją słyszał.

Chen Pang patrzył przed siebie szklistym wzrokiem, odrętwiały i sparaliżowany, gdy jego potworne dziecko zostało złamane i przekształcone, opętane przez jeszcze potworniejszą żonę.

Jego córka krzyczała, krzyczała i krzyczała, upadła na podłogę, krwawiąc z nosa, rzucając się w konwulsjach, a echo tego krzyku przeciekało do jego umysłu i doprowadzało go do oblędu.

Zakończ to - prosił żonę. Zakończ. Błagam.

Ale teraz był jej niewolnikiem i miała za nic jego błagania.

Ling krzyczała i krzyczała. I kawałek po kawałku stawała się czymś innym, czymś innym i czymś innym, i jej krzyki ucichły, stały się nieme, rozlegały się tylko w umyśle, w tych jego częściach, których jej matka nie przekształciła.

Ling/Shu wstała, z krwią kapiącą z nosa, i zwróciła zbyt mądre oczy na ojca/męża.

Chodź - powiedziała do niego w umyśle. Uklęknij przede mną.

Chen Pang wstał, podszedł do niej i zrobił, co nakazywała jego bogini.

O Autorze

Ramez Naam urodził się w Kairze, w Egipcie, i przybył do USA w wieku lat trzech. Jest informatykiem i pisarzem science fiction, zdobywcą Nagrody H.G.Wellsa. Trzydzieści lat spędził w firmie Microsoft, gdzie prowadził zespoły pracujące nad e-mailem, przeglądarkami stron WWW i sztuczną inteligencją.

Kiedy nie pisze, Ramez uprawia wspinaczkę, przeskakuje szczeliny skalne, a czasami opuszcza się do nich. Pracował jako ratownik, wędrował z plecakiem w odległych zakątkach Chin, przejechał na rowerze setki kilometrów wybrzeża Wietnamu, ścigał rekiny i płaszczyki orle w głębinach oceanu, wdrapywał się na starożytne ruiny i wysadzał różne rzeczy na pustyni.

Naprawdę powinien być rozsądniejszy.

Mieszka w Seattle.

rameznaam.com

twitter.com/ramez

Crux a nauka

Crux, podobnie jak pierwsza część - Nexus, jest fikcją literacką, jednak możliwie dokładnie bazującą na prawdziwej nauce.

W dodatkowych informacjach zawartych na tyłach mojej poprzedniej powieści opisałem eksperymenty z implantami mózgowymi, które dały ludzkości sztuczne oczy i uszy, a także możliwość sterowania mechanicznymi kończynami, oddalonymi nawet o tysiące mil.

W ciągu roku, który minął od napisania Nexusa, dokonano znacznie bardziej imponujących odkryć. Zespół naukowców pod kierownictwem Thomasa Bergera zademonstrował, że za pomocą cyfrowego chipa można naprawić uszkodzenie pamięci myszy, które występuje przy urazie części mózgu zwanej hipokampem. Zespół Bergera poszedł nawet o krok dalej i udowodnił, że za pomocą tego samego implantu można poprawić ogólną pamięć myszy. Kolejny eksperyment, przeprowadzony przez Sama Deadwylera i jego współpracowników na Uniwersytecie Wake Forest, polegał na wszczepieniu wyspecjalizowanego implantu w korę czołową rezusa, który następnie poddawany był testowi delayed match and sample. Jest to rodzaj małego testu na inteligencję. Potem małpom biorącym udział w eksperymencie podawano kokainę, obniżając tym samym ich sprawność intelektualną. Jednak kiedy ustawiono implant w tryb aktywny, był on w stanie zniwelować efekt wywołany przez narkotyk, a nawet znacznie więcej. Urządzenie wszczepione do kory czołowej powodowało, że wyniki testów rezusów z urządzeniem były o wiele lepsze niż w przypadku zwierząt pozbawionych jego wsparcia. Tak więc przynajmniej w przypadku zwierząt potrafimy używać wszczepów mózgowych poprawiających pamięć i inteligencję.

Oczywiście najbardziej transformatywne w technologii Nexusa nie jest tyle zwiększenie ludzkiego potencjału, a możliwość bezpośredniej komunikacji jednego umysłu z drugim. W tej dziedzinie również nastąpił postęp. W eksperymencie Miguela Nicolelisa i jego współpracowników dwóm szczurom oddalonym o tysiące mil (jeden znajdował się na Uniwersytecie Duke w Północnej Karolinie, a drugi w Brazylii) umieszczono implanty w ośrodkach ruchu. Nicolelis i jego zespół pokazali, że są w stanie wytrenować jednego szczura tak, żeby reagował na cykl świateł, pociągając za odpowiednią dźwignię. Z kolei drugie zwierzę, które nigdy wcześniej nie zetknęło się z tymi światłami i dźwigniami, potrafiło uruchomić odpowiednią, bazując jedynie na sygnałach od pierwszego szczura oddalonego o tysiące mil, które były przesyłane bezpośrednio do jego mózgu.

W podobnych badaniach finansowanych przez DARPA (Agencja Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych) dwóm małpom wszczepiono implanty do tej części mózgu, która odpowiada za przetwarzanie dźwięku. Badacze udowodnili, że mogą puszczać muzykę jednej małpie, a druga, przebywająca w dźwiękoszczelnym pokoju, jest w stanie usłyszeć tę muzykę dzięki połączeniu nerwowemu, a nawet rozpoznać, co to za dźwięk. Przy okazji ten projekt był częścią programu DARPA „Udoskonalona komunikacja pola bitwy”, którego celem jest

polepszenie komunikacji i zwiększenie koordynacji pomiędzy poszczególnymi członkami oddziału.

Jednym słowem, postęp nauki prowadzący w kierunku Nexusa przebiega bardzo szybko.

W Cruxie przedstawiam trochę nowych koncepcji, a w szczególności upload. Su-Yong Shu, którą poznajemy w książce, nie jest osobą z krwi i kości. To program komputerowy, rozległa matematyczna konstrukcja, która jest dokładnym odwzorowaniem neuronów tworzących mózg oryginalnej Su-Yong Shu. Dla każdego pojedynczego neuronu, który posiadała Su-Yong Shu, jej upload miał swój cyfrowy odpowiednik. Każda łącząca neurony synapsa również była odwzorowana.

Pomysł uploadu wygląda na nieco naciągany, jednak już dziś są prowadzone prace w tym kierunku. Projekt IBM Blue Brain korzystał z jednego z najmocniejszych komputerów na świecie (IBM Blue Gene/P z 147 456 procesorami), żeby symulować pracę 1,6 miliarda neuronów i niemal dziewięciu bilionów synaps, czyli z grubszą mózgu kota. Symulacja przebiegała sześćset razy wolniej niż praca żywego mózgu. Mimo wszystko jest to godne podziwu. Oczywiście ludzki mózg z setkami miliardów neuronów i dobrze ponad setką trylionów synaps jest znacznie bardziej skomplikowany niż mózg kota. Jednak komputery rozwijają się szybko i w ciągu dekady powiększają swoją wydajność niemal stukrotnie. Jeśli dokonać obliczeń, to okaże się, że superkomputer zdolny do symulowania pracy ludzkiego mózgu z jego naturalną szybkością powinien trafić na rynek około 2035-40 roku. Oczywiście do tego momentu postęp informatyki spowoduje, że mózgi komputerów będą działać szybciej niż ich ludzkie odpowiedniki.

Jednak jedną sprawą jest symulowanie pracy mózgu, a czym innym umiejętność sporządzenia dokładnego odwzorowania mapy mózgu, symulowanie konkretnej osoby. W jaki sposób stworzymy takie odwzorowanie? Najbardziej nieinwazyjne istniejące skanery mózgu, jak na przykład wysokiej klasy skanery MRI, mają rozdzielczość około dziesięciu tysięcy neuronów lub dziesięciu milionów synaps i najzwyczajniej w świecie nie są w stanie dostrzec więcej, a maksymalna rozdzielczość tego typu urządzeń zmienia się w ślimaczym tempie. Nie istnieją też żadne przesłanki wskazujące, żebyśmy byli zdolni do wykonania metodą nieinwazyjną obrazów mózgu o rozdzielczości pojedynczej synapsy w ciągu

następnego wieku (a nawet kilku wieków, biorąc pod uwagę szybkość postępów na tym polu).

Istnieją jednak metody uzyskania obrazów odpowiedniej jakości metodami inwazyjnymi. Jeden z moich przyjaciół, Kenneth Hayworth, skonstruował na Harvardzie urządzenie, które używa mikroskopu skaningowego, żeby stworzyć mapę mózgu o niezwykle wysokiej rozdzielczości. Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, miał na ścianie swojego laboratorium plakat ze skanem jednego z badanych przez siebie mózgów. Na plakacie pojedynczy neuron był powiększony do wielkości dwóch stóp i było doskonale widać połączenie synaptyczne. Obraz uzyskany przez Kena jest wystarczająco szczegółowy, aby można go użyć do stworzenia kompletnego diagramu schematu mózgu konkretnej osoby.

Niestety, wykonanie takiego obrazu niesie ze sobą śmiertelne skutki.

System, który zademonstrował Ken, „plastynuje” fragment mózgu, zastępując krew plastikiem, który zagęszcza otaczającą tkankę. Wtedy Ken tnie go na plastry o grubości trzydziestu nanometrów, czyli około sto razy cieńsze od ludzkiego włosa, a potem elektronowy mikroskop skaningowy wykonuje obrazy tych kawałków jako pikseli, które mają pięć nanometrów na stronę. Oczywiście to, co pozostaje, nie jest funkcjonującym mózgiem, a jedynie milionem niezwykle cienkich plasterków tkanki mózgowej. Najnowszy system Kena, który stworzył w Instytucie Medycznym Howarda Hughesa, idzie nawet dalej: tnie mózg na plasterki o szerokości pięciu nanometrów za pomocą wiązki jonowej. To umożliwia wykonanie skanów o fantastycznej rozdzielczości, ale nie pozostawia po sobie nic, co można by nazwać tkanką mózgową.

Tak więc jedynym sposobem wykonania uploadu jest śmierć ciała. Cóż, być może nie jest to problem, jeśli na przykład ktoś umiera albo już umarł, a technicy dotarli na tyle szybko, aby zapobiec rozkładowi, który nieuchronnie zniszczyłby strukturę mózgu.

Jak by nie było, to uploadowany mózg funkcjonuje od tego czasu jako fragment oprogramowania. Będzie działał i pamiętał bycie tobą. W odróżnieniu od mózgu „z krwi i kości” będzie go można archiwizować, kopiować i przyspieszać wraz z pojawianiem się nowszego sprzętu i tak dalej. Nieśmiertelność jest na wyciągnięcie ręki, a wraz z nią życie pełne ciągłych modernizacji.

Chyba że symulacja nie będzie do końca poprawna.

Jak szczegółowa musi być symulacja mózgu, żeby dać początek zdrowej, funkcjonującej świadomości? Odpowiedź jest taka, że nie do końca wiemy. Możemy tylko zgadywać. Jednak bez względu na to, jakie przyjmujemy założenia, zdajemy sobie sprawę, że istnieją szczegóły, które mogą okazać się istotne lub nie.

Na przykład symulacja IBM Blue Brain używa neuronów, które zbierają sygnały od innych neuronów i wtedy „odpalają”, dokładnie jak prawdziwe neurony przekazując sygnał dalej. Jednak te komórki nerwowe są pozbawione wielu cech prawdziwych neuronów. Nie mają receptorów, które są neurotransmiterami molekuł (serotoniny, dopaminy, opiatów i pozostałych, o których wspominam w książce), a które mogą się do nich przyczepiać.

Być może dla symulacji nie jest to aż tak istotne. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że wszystkie rodzaje leków, od środków przeciwbólowych, przez alkohol, antydepresanty i narkotyki, działają, przyczepiając się (nie dokładnie i inaczej od naturalnych neurotransmiterów) do tych receptorów. Czy twoja symulacja może wziąć antydepresant? Czy twoja symulacja może się odurzyć kieliszkiem wirtualnego wina? Czy może być bardziej pobudzona dzięki wirtualnej kofeinie? Jeśli nie, czy to nie jest powód do rozważań?

Skupmy się na innym szczególe, który może wskazywać, że pojedyncze neurony są bardziej skomplikowane, niż nam się wydaje. Komórki nerwowe w IBM Blue Gene są dosyć proste. Odbierają sygnały wejściowe i tworzą sygnały wyjściowe. Ale przecież ameba, która jest i mniejsza, i mniej skomplikowana niż ludzka komórka nerwowa, potrafi znacznie więcej. Ameby polują. Ameby pamiętają miejsca, w których znalazły pożywienie. Ameby wybierają, w którym kierunku popchnąć się za pomocą flagelli. Wszystko to wskazuje, że ameba przetwarza znacznie więcej informacji niż symulacja komórek nerwowych wykorzystana w tym doświadczeniu.

Jeżeli jednokomórkowy drobnoustrój jest znacznie bardziej skomplikowany niż nasze symulacje komórek nerwowych, to każe mi podejrzewać, że są one nie do końca dobre.

Albo na koniec rozważmy trzy kolejne odkrycia dotyczące pracy mózgu, których dokonaliśmy w ostatnich latach, a których nie uwzględniliśmy w naszych symulacjach. Po

pierwsze, komórki glejowe. Komórki glejowe przewyższają liczbę neuronów w ludzkim mózgu. Tradycyjnie traktowaliśmy je jak dodatkowe komórki, które pozwalają działać neuronom. Jednak nowe badania wskazują, że mają one istotne znaczenie dla procesu pojmowania. Lecz symulacja Blue Gene nie zawiera żadnej takiej komórki. Po drugie, ostatnie prace wskazują, że czasami neurony, które nie mają żadnych połączeń synaptycznych, mogą się komunikować. Aktywność elektryczna jednego neuronu może spowodować, że znajdująca się blisko inna komórka nerwowa również „odpali” (albo nie odpali) wyłącznie pod wpływem pola elektrycznego, bez najmniejszej pomocy neurotransmiterów. To również nie zostało uwzględnione w modelu Blue Brain. W końcu, po trzecie, inne badania udowodniły, że ogólna elektryczna aktywność mózgu ma wpływ na zachowanie pojedynczych neuronów przez zmiany pola elektrycznego. Tego także nie uwzględnia żadna z dotychczasowych symulacji mózgu.

Nie staram się tutaj odrzucić pomysłu uploadowania ludzkich umysłów. Jestem w pełni przekonany, że coś takiego jest możliwe. Jest także całkiem możliwe, że każdy z problemów, które wskazałem, może okazać się mało ważny. Potrafimy symulować zachowanie mostów, samochodów i budynków, nie robiąc tego na poziomie pojedynczych molekuł. Ta sama zasada może zadziałać w przypadku mózgu.

Nawet jeśli tak jest, to nie upewnimy się do czasu, aż nie spróbujemy. Całkiem możliwe, że pierwsze uploady, tak jak w przypadku Su-Yong Shu, będą pozbawione jakiegoś kluczowego fragmentu albo będą posiadać inną niedokładność w symulacji, która spowoduje, że będą się zachowywać nie do końca właściwie. Być może będzie to postępujący obłęd jak w przypadku Su-Yong. Być może jednak błędy będą zbyt subtelne, żeby je w ogóle dostrzec, lub objawią się w całkowicie inny sposób.

W Cruxie pisałem nie tylko o neurologii. Podjąłem również temat konsekwencji zmian klimatu. Zoe, huragan, który uderza we Wschodnie Wybrzeże, jest fikcją literacką, chociaż prawdopodobną. Kiedy pisałem fragmenty o Zoe pod koniec 2012 roku, superhuragan Sandy jeszcze się nie pojawił (łatwo wyobrazić sobie moje zaskoczenie, kiedy kilka tygodni po napisaniu przeze mnie książki sztorm uderzył we Wschodnie Wybrzeże i miał wpływ nawet na wybory prezydenckie!). Od tego czasu większość z nas nauczyła się, że huragany mogą pojawić się na początku listopada i że karmią się potęgą ciepłych wód powierzchniowych Atlantyku. Nie sposób powiedzieć, że ocieplenie klimatu odpowiada za

konkretną burzę, ale z całą pewnością można mówić o tym, że globalne ocieplenie, którego doświadczamy, sprawia, że huragany takie jak Zoe (i Sandy) zdarzają się częściej, a biorąc pod uwagę wzrost temperatury naszej planety, będziemy mieli jeszcze wiele okazji, aby je oglądać.

Podobnie przestępstwo, za które został wygnany Shiva, czyli wypuszczenie wirusa, który zmienił genetycznie rafę koralową, tak aby miała większe szanse na przetrwanie, nie jest całkowicie naciągane, ponieważ oceany nagrzewają się i stają się bardziej kwasowe, a koralowcom coraz trudniej przeżyć. Według najbardziej optymistycznych prognoz w 2100 roku niemal połowa gatunków koralowców wymrze. Oczywiście istnieją koralowce, które doskonale sobie radzą w zbyt ciepłej albo niezwykle kwasowej wodzie. Potrafią to robić, ponieważ ich geny umożliwiają przeżycie w takich warunkach. W 2012 roku rozpoczęły się dwa projekty badawcze, mające na celu odkrycie, które z genów pozwalają koralowcom przeżyć w zbyt ciepłej wodzie. Nietrudno sobie wyobrazić, że niebawem wystartuje podobny projekt dotyczący genów umożliwiających przetrwanie w kwaśnym środowisku. A stąd już niedaleko do pomysłu „przeszczepiania” takich genów innym gatunkom koralowców. Oczywiście to byłby precedens, związany z wypuszczeniem GMO na „wolność”, który spotkałby się z wielkim sprzeciwem. Prostszy i mniej kontrowersyjny rozwiązaniem byłoby przeniesienie wycinków odpornych gatunków koralowców tam, gdzie lokalne wymierają. Biorąc pod uwagę rozległość rafy koralowej i światowych oceanów, taka praca byłaby niewiarygodnie bardziej intensywna.

Jeżeli ktoś jest bardziej zainteresowany rozszerzeniem ludzkich możliwości, a szczególnie granicami neurobiologii, może będzie zainteresowany moją książką, która nie jest fikcją literacką: *More Than Human: Embracing the Promise of Biological Enhancement*. Jeśli jesteś zainteresowany wpływem zmian klimatu na środowisko naturalne, a także wiedzą i technologią służącą do walki z tym problemem, może spodoba ci się inna z moich książek: *The Infinite Resource: The Power of Ideas on a Finite Planet*.

I oczywiście jeśli czytelnik dobrze się bawił przy lekturze tej książki, najmiłą rzeczą, jaką może dla mnie zrobić, to powiedzieć o tym swoim przyjacielom, zamieścić w sieci informacje, pisząc recenzję dla Amazona oraz wszystkich innych stron, które zajmują się sprzedażą bądź informowaniem na temat książek.

Żyjemy w najciekawszych czasach, jakie widziała ludzkość. Nie mogę się doczekać, co będzie dalej. Mam nadzieję, że dołączycie do mnie w tej podróży.

R.N

Podziękowania

Życie pisarza jest samotne. Książka to efekt pracy jednostki.

Ha!

To stwierdzenie, przynajmniej w moim przypadku, nie może być dalsze od prawdy. Zostałem pobłogosławiony przyjaźnią, zarówno na polu osobistym, jak i zawodowym, i wielu ludzi, którzy mnie wspierali, przyczyniło się do powstania tej książki.

Moja wspaniała dziewczyna, Molly Nixon, była mi gremium doradczym, partnerem burzy mózgów, pierwszym czytelnikiem (często nocami), krytykiem i cheerleaderką w całym tym projekcie, zanim jeszcze napisałem pierwsze słowo. Była moją tajną bronią. (I nie, nie możesz jej mieć).

Moja agentka, Lucienne Diver, była cudowna ze swoją niegasnącą wiarą i entuzjazmem dla mojej pracy, a jej rady okazały się bezcenne. Choć może tego nie wiedzieć, lecz kilka komentarzy, które zrobiła podczas czytania Nexusa, przyczyniło się mocno do kierunku tej książki. Mój wydawca, Lee Harris, był fantastycznym głosem rozsądku i niezastąpionym partnerem w przycinaniu tej książki do jej właściwego kształtu. Moja redaktorka, Anne Zanoni, ponownie zrobiła o wiele więcej, niż od niej oczekiwano, poprawiając logikę, spójność, faktograficzną ścisłość i styl powieści.

Mam chyba więcej szczęścia niż jakikolwiek pisarz, którego znam, bowiem posiadam naprawdę liczną kadrę beta-czytelników, którzy byli skłonni przeczytać tę książkę, często na bardzo wczesnym etapie, i wyrazić swoją opinię. Nie mam słów, by opisać, jak bardzo

poprawiło to moją powieść. Jeśli jesteś autorem i jeszcze nie korzystałeś z takiej pomocy, szczerze polecam.

Beta-czytelnicy, kocham Was! Moje najgorętsze podziękowania dla: Ajaya Naira, Alexis Carlson, Alissy Mortenson, Allegry Searle-LeBel, Anny Black, Aviego Swerdlowa, Barry'ego Brumitta, Betsy Aoki, Beverly Sobelman, Brada Woodcocka, Brada Younggrena, Brady Forrest, Briana Retforda, Brooks Talley, Coe Robertsa, Dave'a Brennana, Davida Perlmana, Davida Sunderlanda, Douga Mortensona, Ethana Phelps-a-Goodmana, Gabriela Williamsa, Hannu Rajaniemi, Jayara La Fontaine'a, Jen Younggren, Jennifer Mead, Jima Jordana, Joe Pembertona, Julie Vithoukaskas, Kevina MacDonalda, Kiry Franz, Larsa Liden, Leah Papernick, Lori Waltfield, Masona Bryanta, Mike'a Tyki, Morgana Weavera, Paula Dale'a, Rachel Kwan, Roba Gruhla, Rose Hess, Ryana Granta, Scotto Moore'a, Stephanie Schutz, Stuarda Updegrave'a i Thomasa Parka!

I wreszcie, ani ta książka, ani ja nie istnielibyśmy bez moich niesamowitych rodziców, Nasha Naama i Elene Awad, którzy mnie powołali na świat, wychowali, sprowadzili do tego kraju, walczyli, by tu zostać, i zawsze uczyli mnie, że to w porządku zadawać trudne pytania. Zawdzięczam im wszystko. Dziękuję, Mamo, Tato! Nie mogłem trafić lepiej.